

#1825

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCYĄ

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO,
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, HENRYKA GALLEGÓ,
GABRYELĄ KORBUTĄ, STANISŁAWĄ KRZEMIŃSKIEGO

TOM II

WYPISY Nr 143-273



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907

Biblioteka Publiczna
Warszawa - Wola
11768



3011--011768-00

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

WYDAJENIE STYCZNIOWE



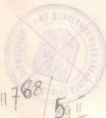
WARSZAWA

WYDAWCA: WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO
DZIAŁ DRUKARNI I WYDAWNIWA

Czyt. Naukowe

Nr 111
Nr inw. C. N. 11768

59/11



WARSZAWA

WYDAWCA: WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

KRAKÓW - Druk W. L. ANCYCYA I SPÓŁKI.

WYKAZ WYPISÓW.

XVIII.

DMOCHOWSKI FRANCISZEK KSAWERY (1762—1809).

Wypisy Nr 143—144.

Mowa na obchód pamiętki Ignacego Krasickiego (1801) 4

XIX.

PRZYBYLSKI JACEK (1756—1819).

Wypis Nr 145.

O języku polskim (1816) 11

XX.

OSIŃSKI LUDWIK (1775—1839).

Wypisy Nr 146—147.

A) Oda na cześć Kopernika (1808) 18
B) Wykład literatury porównawczej (1818 i nast.) 21
Teatr angielski. Szekspir 21

XXI.

KOZMIAN KAJETAN (1771—1856).

Wypisy Nr 148—172).

A) Oda na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie (1809) 33
B) Do tańczącego Krakowa (1818) 35
C) Oda na upadek dumnego w roku 1815 36
D) List. Odpowiedź Franciszkowi Morawskiemu na jego list o klas-
sykach i romantykach (1825) 38
E) Ziemiaństwo polskie, poema w czterech pieśniach (1839) 40
F) Stefan Czarniecki, poemat w 12 pieśniach (1858) 49
G) Pamiętniki (1858—1865) 57
a) Junacy starej daty 57

	Str.
b) Kuliki starościny Stanisławowej Kossowskiej	60
c) Galicya pod panowaniem austriackiem	63
d) Wojska polskie w Lublinie	66
e) Stanisław Potocki	68
f) Nadzieje Staszica	69
g) Król saski	71
h) Dzień 29 listopada 1890 r.	75
H) Z listu do Franciszka Morawskiego z marca 1827 r.	80
I) Z listu Franciszka Morawskiego z dnia 22 grudnia 1827 roku	81

XXII.

FELIŃSKI ALOJZY (1771—1820).

Wypisy Nr 173—183.

✓ A) Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego, z woli Naczelnego Wodza Wojsku Polakiemą podany. Wiersz Alojzego Felińskiego. Muzyka Jana Kaszewskiego (1816)	86
B) Ziemianin czyli ziemiaństwo francuskie Jakóba Delli, przełożone wierszem polskim 1816 (L'Homme des champs ou les Georiques françaises)	87
a) Z pieśni I.	87
b)	88
c)	88
d)	89
C) Barbara, tragedia w 5 aktach (1817)	89
a) Akt I. Scena II.	91
b) Akt II. Scena III.	92
c) Akt III. Scena VII.	93
d) Scena VIII.	94
e) Akt IV. Scena I.	95
f) Akt V. Scena III.	96

XXIII.

KROPIŃSKI LUDWIK (1767—1844).

Wypisy Nr 184—186.

A) Ludgarda, tragedia w pięciu aktach (1816)	98
B) Pieśni	100
C) Julia i Adolf, czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru (1824)	101

XXIV.

WEŹKY FRANCISZEK (1765—1862).

Wypisy Nr 187—197.

A) Oda na powrót wojska do stolicy 18 grudnia 1809 r.	109
B) Okolice Krakowa (1820)	111

	Str.
C) Gliński, tragedia w pięciu aktach wierszem (1821)	114
D) Władysław Lokietek czyli Polska w XIII wieku (1828)	117
E) Do A. M. po wydaniu «Wallenroda» w Petersburgu; w czasie pobytu jego we Włoszech (1831)	124
F) Bezkrólewie II; dramt w pięciu aktach (1853)	125
G) «Smutno mi, Panie» (1860)	129
H) O poezyi dramatycznej (1811)	132
a) Rozdział VI. § 3. O czasie i miejscu, w którym się dzieła dramatyczne odbywać mają	139
3) Powstanie Królestwa Polskiego	136
a) Rzezie 15 sierpnia	136
b) Ogólne uwagi o powstaniu	140

XXV.

GORCZYCZEWSKI JAN (około 1750—1823).

Wypis Nr 198.

Gotownia sentymentalna (1804)	149
-----------------------------------------	-----

XXVI.

TOWARZYSTWO IKSÓW (1814—1819).

Wypisy Nr 199—201.

A) «Ludgarda» tragedia	159
B) «Barbara Radziwiłłówna» tragedia	163
C) Teatr Narodowy. Trzecie wystawienie tragedyi «Barbara»	171

XXVII.

POTOCKI STANISŁAW KOSTKA (1757—1821).

Wypisy Nr 202—213.

A) Pochwała Grzegorza Piramowicza (1802)	186
B) Rozprawy o języku, wymowie i literaturze polskiej (1811—5)	194
C) O wymowie i stylu (1815)	198
D) Mowa na obchód pogrzebu Józefa ks. Poniatowskiego (1816)	210
E) Rozprawa o duchu pism Machiawela (1818)	213
F) «Świątek krytyczny» (1816)	216
G) «Podróż do Ciemnogrodu» (1820)	220

XXVIII.

SŁOWACKI EUZEBIUSZ (1772—1814).

Wypis Nr 214.

Teorya smaku w dziełach sztuk pięknych	229
Rozdział II. § 1. O piękności	229

XXIX.

BOROWSKI LEON (1784—1846).

Wypisy Nr 215—216.

A) Uwagi nad Monachomachią Krasieckiego	Str.
B) Przedmowa do wydania Jerozolimy Wyzwolonej w przekładzie Piotra Kochanowskiego	287

XXX.

KOPCZYŃSKI ONUFRY (1735—1817).

Wypisy Nr 217—220.

«Gramatyka Języka Polskiego» (1817)	245
a) Ze «Wstępu czyli Przemowy do Narodu»	245
b) Z części I. Powierzchność Języka	247
c) Z części II. O Wewnętrzności Języka Polskiego	248

XXXI.

LINDE SAMUEL BOGUMIL (1771—1847).

Wypisy Nr 221—222.

Prawila etymologii, przystosowane do języka polskiego (1805—6)	253
Ostateczne zamiary etymologii	254

XXXII.

MROZIŃSKI JÓZEF (1784—1838).

Wypis Nr 223.

O znamionach nad samogłoskami (1830)	257
------------------------------------------------	-----

XXXIII.

KRÓLIKOWSKI JÓZEF FRANCISZEK (1781—1839).

Wypisy Nr 224—225.

Prozodya polska (1821)	262
----------------------------------	-----

XXXIV.

TOWARZYSTWO SZUBRAWCÓW (1817—1822).

Wypisy Nr 226—230.

A) Mowa Dygnitarza Szubrawisymussa Okkopirnosa z powodu przyjęcia do Szubrawstwa nowego członka (zwój dziupłowy)	268
B) Wyjątek z podróży na wyspę Balni-barbi	273
C) Tabella, ukazująca liczbę bogatych mieszkańców tego kraju, bawiących się zagranicą, oraz ilość wywiezionych pieniędzy z ich wydatków, ze wszystkich gazet i dzienników zagranicznych przez niżej podpisanego pracowicie i rzetelnie ułożona, a teraz dla dobra publicznego na jaw wydana (Artykuł nadesłany)	276

D) Ogłoszenie o nowej pensyi dla panien	Str.
Prospekt leky, dawać się mających na pensyi	278
E) Rozmaitości	281

XXXV.

BANDTKE v. BANDTKIE JERZY SAMUEL (1768—1835).

Wypisy Nr 231—232.

A) Dzieje Narodu Polskiego (1835)	287
B) «Historia drukarń krakowskich» (1815)	290

XXXVI.

BANDTKE JAN WINCENTY (1783—1846).

Wypis Nr 233.

Historia prawa Polskiego (1850)	296
-------------------------------------------	-----

XXXVII.

RAKOWIECKI IGNACY BENEDYKT (1783—1839).

Wypis Nr 234.

«O stanie cywilnym dawnych Słowian» (1820)	306
------------------------------------------------------	-----

XXXVIII.

SZANIAWSKI JÓZEF KALASANTY (1764—1843).

Wypisy Nr 235—236.

Co to jest filozofia? (1802)	312
----------------------------------------	-----

XXXIX.

JAROŃSKI FELIKS (1777—1827).

Wypis Nr 237.

Jakiej filozofii Polacy potrzebują?	318
-----------------------------------------------	-----

XL.

SIARCZYŃSKI FRANCISZEK (1758—1829).

Wypis Nr 238.

«Obraz wieku panowania Zygmunta III»	325
Z rozdziału V: Wojna obieralność króla, swobody szlachty, przewaga możnowładców	326

XLI.

SUROWIECKI WAWRZYNIEC (1769—1827).

Wypisy Nr 239—241.

A) «O upadku przemysłu i miast w Polsce» (1810)	333
-----------------------------------------------------------	-----

a) Z przedmowy do Lubieńskiego	str.
b) Z rozdziału: O przemysłach w Polsce, Rolnictwo	334
B) «Stedzenie początku narodów Stowiańskich»	339

XLII.

SOLTYKOWICZ JÓZEF (1762—1831).

Wypisy Nr 242

•Rozprawa nad przyezynami uwieczających naukom mniemań» (1828)	346
----------------------------------------------------------------	-----

XLIII.

CZARTORYSKA Z FLEMINGÓW IZABELLA (1746—1835).

Wypisy Nr 243.

•Piełgrzym w Dobromilu» (1818)	352
--------------------------------	-----

XLIV.

WIRTEMBERSKA KSIĘŻNA Z KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH MARYA (1768—1854).

Wypisy Nr 244—245.

•Malwina czyli domyślność serca» (1816)	361
-----------------------------------------	-----

XLV.

CHODŹKO JAN (1777—1851).

Wypisy Nr 246.

•Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrowny» (1821)	371
Kiermasz w Czańnikach. — Zdanie pana Jana o żebrakach. — Przygoda z małżeństwem szwariwem. — Wróźbiarstwa Cyganów	372

XLVI.

CHODAKOWSKI ZORYAN (1784—1825).

Wypisy Nr 247.

•O Sławiańszczyźnie przed chrześcijaństwem» (1818)	387
----------------------------------------------------	-----

XLVII.

GODEBSKI CYPRYAN (1765—1809).

Wypisy Nr 248—249.

A) «Granadyer-Filozof». Powieść prawdziwa (Warszawa 1805)	394
B) «Wiersz do Legiów Polskich»	398

XLVIII.

REKLEWSKI WINCENTY (1786—1812).

Wypisy Nr 250—254.

A) Krakowiaki	412
---------------	-----

B) Jolenta	414
C) Halina	417
D) Wiesław	418
E) Urodziny	420

XLIX.

BRODZIŃSKI ANDRZEJ (1786—1812).

Wypisy Nr 255—259.

A) Pożegnanie z kochanką	423
B) Ranny powraca zwyciężcą	424
C) Polak powstający	424
D) Pieśń	425
E) Mazurek	426

L.

TYMOWSKI KANTORBERY (1790—1850).

Wypisy Nr 260—266.

A) Dumania żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem	428
B) Elegia z powodu wprowadzenia zwłok ks. Józefa Poniatowskiego przez wojsko narodowe wracające do ojczyzny	431
C) Elegia na śmierć Tadeusza Kościuszki	435
D) Oda do brzucha	439
E) Narodowość	442
F) Ojczyzna	443
G) Zamłowanie prawa	444

LI.

GORECKI ANTONI (1787—1861).

Wypisy Nr 267—273.

A) Zdobyte przez wojsko polskie w Hiszpanii wawozu pod Samo-Sierra	448
B) Duma o Zakrzewskim	449
C) Krakowiaki (1816)	450
D) Do kmiotków (1817)	452
E) Chłop i kameduleja (1818)	453
F) Dyabel i zboże (Bajka)	454
G) Bajka o furmanach (1828)	454

XVIII

DMOCHOWSKI FRANCISZEK KSAWERY

(1762—1808).

Rodzina Dmochowskich wywodzi się ze wsi Dmóchy, w województwie Podlaskiem. Na Podlasiu też urodził się Franciszek Ksawery, r. 1762, jako jedno z 8 dzieci średnio zamożnych rodziców. Z 6 synów dwu poświęcił się stanowi duchownemu; z tych jednym był Franciszek. Po ukończeniu szkół drohiczyńskich został namówiony przez Pijarów, by wstąpił do ich zakonu. W 18 roku życia rozpoczął nowicyat w Podolińcu, a jako 21-letni młodzian, już był nauczycielem: zrazu w Łomży, gdzie wykładał gramatykę i język francuski, przemawiając też często z ambony, po dwu zaś latach w Warszawie, gdzie uczył łaciny i polskiego. Tu rozpoczęła się jego praca literacka i publicystyczna: tłumaczył «Sąd Ostateczny» (1785) i «Noce» (1787) Junga, czyta Miłtona, w r. 1788 wydaje «Sztukę rymotwórczą, poema w 4 pieśniach», najcenniejsze swoje dzieło, w którym, jak mówi, chciał, «zagrzać czytaniem dzieł o sztuce rymotwórczej Horacego, Despra, podobnym język ojczysty zбогаć. Z obudwuch czerpał myśli; do drugiego układu szczególniej się przywiązał. Ze wiele winien dwóm tym nauczycielom, chętnie wyznaje; ale się też i swoich myśli nie zapiera». Dziełko to, w swoim czasie niezmiernie popularne, kilkakrotnie przedrukowane (1788, 1820, 1826), było książką szkolną u Pijarów. Jak stwierdza krytyka najnowsza (Chmielowski), wiele się tu znalazło uchyżeń od założeń boiowych w stronę pewnego zwolnienia od rygoru obowiązujących przepisów. Bajka p. t. «Orzeł i paw», wydana podczas znanej sprawy Dogrumowej (1786), przyniosła mu popularność oraz pierwsze honorarium, kilkanaście dukatów od Grölla. Około r. 1790 zbliżył się do Kołłataja, za którego wpływe uzyskał zwolnienie od ślubów zakonnych i został proboszczem w Piątku, w Wielkopolsce; przez dłuższy czas był sekretarzem Kol-

łataja, a także jednym z najgorliwszym kowalów jego «kuźnicy». Z tego okresu pochodzi kilka jego broszurek politycznych oraz słynna polemika z Akademią krakowską i Przybyskim: «Zakus nad zaciekaniami Wszechnicy krakowskiej» (1788) i «Urywek Bieca kręconego w Krakowie z okazyi zakus nad zaciekaniami Wszechnicy Krakowskiej» (1789).

W r. 1791 wyszedł jego przekład «Iliady» Homera. W rok później Dmochowski uszedł przed Targowicą zagranicę z Ign. Potockim, Małachowskim i in.; tu pomagał Kollatajowi w redakcyi dzieła «O ustanowieniu i upadku konstytucyi Polskiej 3-go Maja» (p. życiocyra Kollataja). W r. 1794 wraca do kraju i jest przez kilka miesięcy redaktorem «Gazety rządowej» (od 1 lipca do 3 listopada). Po upadku Rzępltej przez kilka lat tułał się po obcych krajach, Niemczech i Włoszech, dłuższy czas przebywał w Paryżu, cierpiąc okrutną nędzę, nie przestając działać wszakże w emigracyi. Z Paryża pieszo przywdrował do Getyngi, gdzie kształcił się pilnie, studiując literaturę antyczną i nowożytną. Za protekcją Krasickiego otrzymał pozwolenie powrotu do pruskiej Warszawy. Tu rozwinał bogatą działalność literacką i naukową; był jednym z pierwszych organizatorów i członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wydawał przez kilka lat «Nowy Pamiętnik Warszawski» (1801—1805), a zostawszy po śmierci Krasickiego mocą jego testamentu opiekunem jego puźnicy literackiej, wydał ją w 10 tomach (1802—4). Zachęcony przykładem ks. Wolskiego i Maciejewskiego, nie zrucając sukni duchownej, wziął ślub w zborze protestanckim z panną Izabellą Mikorską, co dało powód do zgorznienia i niezgody dla Dmochowskiego nieprzyjemności. Zakupioną w woj. kujawskiem wies oddał pod zarząd żonatego brata, sam zaś zamieszkał w Warszawie, w pałacyku z ogrodem przy ul. Pawiej, nabytem od kaszt. Zakrzewskiego; tam na obiady czwartkowe zbierał się przyjaciele, między innymi ks. Kopyczyński. Na zaproszenie Akademii Wileńskiej, by objął katedrę z pensją 1000 czerw. zł., odpowiedział odmownie. Życie jego małżeńskie nie było szczęśliwe, a fałszywa pozycya społeczna związała jeszcze kwasy domowe. W r. 1807, po śmierci prezidenta Pawła Bielńskiego, podał się do magistrata o to miejsce; wskutek intryg duchowieństwa otrzymał odmowę ku wielkiemu rozgoryczeniu. Ostatnie lata życia miał smutne; opuściła go żona z synem, wyjechałszy do majątku na Kujawy, sądy ściagały go za małżeństvo, chciano je unieważnić; dopiero za sprawą hr. Feliksa Lubieńskiego, Dyrektora Spraw, zarządzającego Wydziałem Spraw Duchownych, uzyskał z Rzymu uprawnienie ślubu. Dnia 19 czerwca 1808 r. p. dobowo cierpka rozmowa z Józefem Wybickim rozdzieliła go. Na drugi dzień wyjechał z Warszawy na wies wśród straszliwego upału. Na pierwszym popisie, między Bloniem a Nową Wsią, nagle zakończył życie, nie doczekawszy się pomocy lekarskiej. W rok później wdowa wydała jego przekład «Eneidy», dopełniony 3 ostatnimi pieśniami przez Winc. Jakóbowskiego, prowincyała Pi-

jarskiego. Ludwik Osiański przeczytał o nim pochwałę w Tow. Przyj. Nauk. Pochowany w katakumbach na Powązkach; miejsce to zajęto później pod mur, gdzie zaś złożono kości, niewiadomo.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Wydanie zbiorowe pism Dmochowskiego wyszło w 2 tomach w Warszawie r. 1826 p. t.: «Pisma rozmaite» i zawiera następujące utwory: tom I — Sąd Ostateczny i Noc pierwsza Junga, Ułamki Raju utraconego Milтона i Odyssei Homera, Horacjusza Flakka listów księgi II i Wiersze różne (przekłady); tom II — Zakus nad zaciekaniami, Urywek bieca kręconego, O notach towarzyszkich i występach im przeciwnych, Życia uczonych ludzi (St. Konarski, K. Wyrwicz, T. Waga, T. Ostrowski, Ig. Zaborowski, M. Wolski, J. Rogaliński, Grz. Piramowicz, J. Szymanowski), Mowy (o potrzebie i sposobie uczenia się łaciny, na pochwałę Ig. Krasickiego), Sztuka rymotwórcza.

b) Oddziennie ukazały się prócz powyższych: 1) «Do... T. Czackiego i M. Wolskiego... z okoliczności wydanego pisma o konstytucyi trzeciego Maja» (1791) bezimiennie, może i nie przez niego napisane; 2) «Idées sur la Pologne» (Paryż 1796); 3) «Orzeł i paw» bajka (1786); 4) «Pochwała dobroczynności JEgzm. Pana Karpiia» (1787); 5) «Do stanów sejmujących» (Warszawa 1788); 6) «Précis des causes de la destruction de la Pologne» (Paryż 1797); 7) «Réflexions sur une brochure intitulée: Kościusko au peuple français» (Paryż, 4 rok republiki); 8) «Do stanów z okoliczności uchwały sto tysięcy wojska» (1791); 9) przekład pani de Genlis: «O religii, jako jedyniej zasadzie szczęśliwości ludzkiej» (1781); 10) przekład z Goidoniego: «Mecenas poezycy» (1779); 11) przekład Iliady Homera (1791); 12) «Oratio pro inauguratione stadium» (Warsz. 1784).

c) O Dmochowskim pisali: Osiański L. w «Rocznikach Towarz. Przyj. N.» VIII: 120—148, XVI: 252; Wójcicki K. Wl. «Cmentarz Powązkowski» (I, str. 163—165; II, str. 256—262 — tu przytoczony urywek z pamiętników Jana Duklana Ochockiego, szwagra Dm., z «Gazety warszawskiej» 1856 r. i sprostowanie w teje «Gazecie» 1857 r., Nr. 5; Kraszewski J. L. «Pamiętnik anegdotyczny» (Poznań 1867); Bielski «Vitaie par.» (str. 199); Smoleński Wl. «Kuźnica Kollatajowska» (osobno i w «Pismach historycznych»), dależ życiocyry w «Przyjacielu Ludu» (Leszno 1839, II); w «Tygodniku Ilustrowanym» (1861, III); w «Rozmaitościach» (Lwów, 1825 i Warszawa t. r.); w «Bibliotece Warszawskiej» (1871, III); poglądy estetyczne Dm. podał wyczerpującej krytyce Chmielowski P.: w «Dziękach krytyki literackiej w Polsce» (Warszawa 1902).

Mowa na obchód pamiętki Ignacego Krasickiego (1801).

(Pisma rozmaite, T. II, str. 268—296).

143) Str. 268—270. Jeżeli z rzeczy ludzkich może co sobie rościć prawo do nieśmiertelności, to zapewne geniusz. Inne zalety, bądź władzy, bądź bogactw, bądź urodzenia, przemijająca mają trwałość. Rażą niekiedy pozornym blaskiem mniej uważne oczy; ale zgon wraca je do nikczemności, z której się niesłusznie wydożyć usiłowały. Sama nawet cnota, najpierwsze i największe między ludźmi dobro, wkrótce nieznaną gaśnie, jeśli pióro geniuszu nie wydrze jej zapomnieniu i nie zapisze w księgę nieśmiertelności. Sam tylko geniusz żyje z siebie; on jest i przedmiotem i sprawcą swej chwały; on sam tworzy dzieła godne wiewów; a te same dzieła stają się dla niego niezatartą pamiętką.

Któż ze współczesnych nad Krasickiego może być najpewniejszym tego gatunku chwaly? kto nad niego może sobie dłuższe obiecywać życie w pamięci potomności? Póki się utrzyma język polski, ta znakomita i najkształtniej okraszona gałąź słowiańskiego języka, póty jego imię wspominane będzie z tem uczuciem, jakie jego dzieła w każdym z czytających wzbudzają. Co mówić! Dzieła jego przyłożą się do utrzymania tego języka. Najodleglejsi potomkowie, chcivi tych samych kosztować słodczy, które w czytaniu Krasickiego ich pradziadowie czerpali, uczyć się będą ich mowy i przesyła ją swoim następcom.

Zaiste, mąż tak w wysokich talentów wyższy jest nad wszystkie pochwały. Żyje on i żyć będzie z siebie; i ten wieńiec, który sam swoją ręką upiół, nie potrzebuje żadnej ozdoby z przydanych obcą ręką kwiatów. Ale posłuszny być winniem rozkazom Zgromadzenia, które, uszczęszczając się ze swoich obowiązków, aby pamięć uczonych ludzi winny hold w gronie jego odbierała, mnie do tej posługi, tak dla mnie pochlebnej, wzwąć raczyło. Należy się od tego Zgromadzenia najwyższa wdzięczność zmarłemu książęciu, że imie swoje w rejestr jego najskwapliwiej zapisał; że w początkach zaraz największą gorliwość względem jego ustanowienia, utwierdzenia i skutków okazał. Niestety! jeśli nie wcześniej dla siebie, zanadto prędko

umarł dla Towarzystwa, którego i najcenniejszą był ozdobą i byłby najużyteczniejszym członkiem. Do tego, nie może być rzeczą obojętną dla światłej publiczności, posiadzenia nasze tak liczną przytomnością zaszczycającej, słyszeć rzecz o mężu, którego dzieła z takim czyta ukontentowaniem. A ja największy stąd pochop, największą śmiałość biorę, że o Krasickim mówić będę.

Żyjemy w tym wieku, kiedy opinia, do prawideł natury i rozumu zwrócona, ceni ludzi podług osobistej ich wartości. Wyszło dziś źródło owych pysznych pochwał, tak obficie szafowanych, a z takim unudzeniem słuchanych. Nie pytają się teraz, jak długi szereg przodków liczyć kto może, ale jakim był i co uczynił. Szczęśliwa, zaiste, zmiana, która, obalwszy słabe podstawy, na jakich oparte dawniej dumne bałwany przywłaszczały sobie prawo do czci świata, każe szukać rzetelnej chwały w talentach, zasługach i cnocie. Taką sobie zapewnił Krasicki. Miał on wszystkie zaszczyty panujące dawniej opinii; lecz tak je zaćmił osobistą wartością, iż samo ich wspomnienie zdawałoby się ująć jego chwały. Dowcip jego, talenta, przymioty stawiają go w rzędzie najznakomitszych ludzi, jakimi się ta ziemia w oczach Europy i potomności zaszczycać będzie.

Po tym wstępie Dmochowski daje krótki życiorys, obszerniejszy przegląd pism poetyckich i prozaicznych Krasickiego, wreszcie taką ogólną charakterystyką kończy swą pracę.

144) Str. 291—296. Miała razem dwóch ludzi Polska, których dzieła lubiła czytać i porównywać, a na których, jak na dwie celne literatury swojej ozdoby, patrzyła: Naruszewicza i Krasickiego. Pierwszy, wychowany w surowej szkole uczonego Zgromadzenia, drugi, wykształcony w polorownej szkole świata, wzięli odmiennie na umysłach piętna, które na swoich pismach wycisnęli. Stąd Naruszewicz poważny, a w samych żartach ciężki; stąd Krasicki miły, zabawny, ujmujący. Obadwa obdarzeni świętyniami od natury talentami; lecz Naruszewicz więcej sobie zadawał pracy, Krasicki więcej szedł za swoim dowcipem. Naruszewicz miał więcej głębokości, więcej świetności Krasicki. Tamten się zapuszczał w nieprzebrnione morze erudycji, ten biegł po uśmiechających się imaginacy

przestrzeniach. Krasicki w pierwszej zaraz młodości nabral do-brego smaku; Naruszewicz w początkowej edukacji wyczerp-
nął coś z szumnego stylu, który niedawno panował w Polsce, i nigdy się zupełnie z tej wady otrząsnąć nie mógł. Dlatego Krasicki zawsze gładki, naturalny; Naruszewicz często szumny, a czasem nadęty. Naruszewicza niezmierną z początku chwala wierszopiska, coraz w oczach ludzi gustownych zmniejszała się, a natomiast wzrastała sława jego dzieł, pisanych prozą; Krasicki, mimo pięknych i dowcipnych dzieł, niewiązana mową wydanych, utrzymał celniejszy zaszczyt z poezji. Obadwa lu-dzie rzadcy, wzajemnie siebie szacujący, byli ozdobą narodu i światłem nauk polskich. Lecz Naruszewicz pójździe do potom-
ności, jak tłumacz Tacyty i dziejopis, Krasicki, jak poeta. Naruszewicz będzie w ręku uczonych, Krasicki w ręku wszystkich.

Tak zajął uwagę moją autor w Krasickim, żem prawie zapominał uważać w nim człowieka. Najświetniejsze przymioty umysłu wzbudziłyby podziwienie, ale nie zapewniłyby szacunku bez tych, których uczucie jest źródłem. Lepiej jest dla człowieka, lepiej dla społeczności, aby być rozsądnym tylko a cnotliwym, niż przy największych talentach — złym człowiekiem. W Krasickim przymioty serca równe były wysokim przymiotom umy-słu: zadziwiał swoim najpiękniejszym dowcipem, a pociągał ku sobie miłością i przywiązanie najlepszym sercem. Bieg życia pu-blicznego, wcześniej dla niego przecięty, pozabawił go sposobno-
ści okazania tych cnót, w oczy bijących, które tylko na wielkim teatrze i w wielkich okolicznościach jasnieć mogą. Ale miał wszystkie cnoty prywatne. Przyjemny, ludzki, umiejący w drugich szanować talenta, bo je sam posiadał; uczynny, skoro mu tylko możność pozwalała, i gdyby był więcej chciał się ra-chować z szafunkiem swego majątku, byłby zyskał sławę do-broczynności; bo miał serce prawdziwie szlachetne. Właściwa jest rzecz umysłem wyniosłym nie przywiązywać ceny do pie-niędzy. Tę obojętność Krasicki w najwyższym miał stopniu. Ludzie bogacili się przy nim, a on prawie zawsze był potrze-bującym. Lecz, mimo tej potrzeby, żadną podłością życia swego nie splamiał i sam na tem najwięcej cierpiał, że nie zawsze był w stanie szlachetnemu sercu swemu dogodzić. Oderwany od ojczyzny, chował zawsze do niej najkwaśne przywiązanie.

Dla niej pracował, dla niej w pismach swoich chciał najlep-szych usposobić obywatelów. Kochający rodzinę i od niej ko-chany, z bratem ściślejszym jeszcze od krwi węzłem, przy-
jaźniąłączony, dla synów jego z ojcowskim był przywiąza-niem. Nic w nim tak miłego nie wzbudzało uczucia, jak gdy widział ich, z zapalem biegnących do usług ojczyzny, jak gdy słyszał piękne o nich wspomnienia. Wyniesiony na najwyższe stopnie, świetnymi ozdobiony tytuły, zaszczycony względami, a można powiedzieć, przyjaźnią i poufałością królów, daleki był od dumy, którą pospolicie w małych duszkach pomyślność rodzi. Znal on się być wyższym nad to wszystko i dlatego dla najniższych był grzeczny i przystępny. Dom jego można było nazwać domem gościnności. Najmilsza jest rozkosz dla wyższego rzędu człowieka żyć z ludźmi i dla ludzi. Lubo w zdaniach politycznych miał odmienny sposób myślenia, interesowali go ci wszyscy, którzy, wyplacając się z długu obywatelstwa, zo-stali nieszczęśliwymi. Krasicki przez dawną swoją wziętość wsta-wiał się za nimi, przykładał się do osłodzenia ich losu. Mnie samemu (wszak godzi się tam wspomnieć o sobie, gdzie wdzięcz-
ność wyrwa się z ust gwałtem), ulatwił powrót, ofiarował swój dom za przytułek i los życia obmyślił przyrzekał. Śmierć jego szlachetne chęci i moje nadzieje zniszczyła.

Mógłbym tu wiele mówić o cnotach jego stanu i jego stopnia; o religii, połączonej z filozofią, o pobożności czystej, dalekiej od najmniejszego cienia obłudy, o czulej staranności w szukaniu i pozyskaniu ulgi dla niższego duchowieństwa; lecz tę materyą, tak poważną, tak obfitą w pochwały, właściwem sobie prawem zajęły ambony.

Do cnót wysokich łączył Krasicki najniższe przymioty obcowania. Trudno być zabawniejszym od niego w towarzy-stwach; wesołość malowała się na jego twarzy, a uśmiech w jego w ustach osiadał. Pełen anegdótów, obfity w dowcipne wyrazy, był rozkoszą wszystkich, którzy mieli szczęście z nim obcować. Mimo częstych słabości, którym w podeszłym wieku podlegał, wesołość humoru zachował do śmierci.

Takiemu mężowi, członkowi swemu, Towarzystwo Przy-jaciół Nauk, w obecności kochających nauki współziomków, winny hold uwielbienia oddaje. Ale nie na tym jedynie ob-

rządu chce ograniczyć swoje ku niemu uczucia ani swoje dla narodu przysługę. Dzieła Krasickiego, jedne wydrukowane, ale już bardzo rzadkie, inne grubemi w druku pomyłkami skażone, inne nakoniec w rękopismach jeszcze zostające, godne są poprawnej, dokładnej i pięknej edycji. Tej żądał autor, znając, że w samych płodach dowcipu zostawi trwałą imienia swego pamiętkę; tej oczekuje naród, jako najdroższego zabytku; tę przyspieszyć Towarzystwo Przyjaciół Nauk za pierwszy cel starań swoich wzięło. Ja sądzę się za najszczęśliwszego, iż mając sobie ten poręczony obowiązek, zadosyćczynię zaufaniu autora, rozkazom kolegów i głosowi publiczności.

Szanowny cieniu! przyjmij ten słaby głos, jako wyraz winnego uszanowania dla ciebie i powszechnej wdzięczności; lecz daruj, jeżeli w obliczu oświeconych i kochających twoje dzieła spółziomków, okazując ich zalety, śmiałem oraz zastanowić się nad tem, co w zdaniu mojem względem nich powiedzieć można. Nie ustępuję nikomu w podziwieniu dla twego dowcipu, w szacunku dla pism twoich, w przywiązaniu do twojej pamięci; ale chciałem, aby głos mój przy jej uczczeniu był godny ciebie, będąc głosem prawdy. Miernych ludzi pochwały wyciągają tej ostrożności, aby, mówiąc o ich zaletach, zamilczeć o wadach; bo wspomnienie tych możeby nadwężyło lub zepsuło całe wrażenie, któreby na ich stronę uczynić chcieli. Prawdziwy geniusz nie lęka się, aby wytknięcie plam lekkich blask jego przyćmiło. Tego prawdziwie ugruntowana chwala, ten pewny jest nieśmiertelności, który, mimo wszystkiego, co szczerść o nim powiedzieć może, jeszcze jest wielkim.

Opracował H. GALLE.

XIX.

PRZYBYLSKI JACEK.

(1756—1819).

Urodzony dn. 1 września 1756 r., otrzymał na chrzcie imiona: Jacek, Idzi, Joachim. Przyszedł na świat w Krakowie, jako syn Bartłomieja, krawca tamtejszego, i Jadwigi z Matków. Pomimo niezamożności rodziców, otrzymał staranne wykształcenie, głównie dzięki wujowi, Pawłowi Mańce, profesorowi szkoły nowodworskiej w Krakowie, który wziął go pod swoją opiekę. Uczęszczał też Przybylski do tej szkoły aż do dyalektyki i w dniu 27 kwietnia 1771 r. zyskał w niej tytuł bakałarza filozofii, a w dwa lata później (1773) — licencjata filozofii i jednocześnie otrzymał stanowisko nauczyciela szkoły akademickiej w Tarnowie. Uzyskawszy 14 października 1775 r. tytuł doktora sztuk wyzwolonych i filozofii, w 19 roku życia przyjął święcenia kapłańskie i został wysłany do Chełmu w Prusach królewskich, gdzie w kolegium akademicznym wykładał syntaxim i poetykę. Jednocześnie sam się uczył, posiadał, prócz łaciny i greckiego, niemiecki, francuski, włoski i angielski. W 1778 r. powrócił do Krakowa, a przedstawiony wizytatorowi Kollatajowi, otrzymał z rąk jego profesurę w szkołach wojewódzkich krakowskich, potem lubelskich. W 1781 r. wykłada w Warszawie historię i prawo, a w r. 1784 Komisya Edukacyjna powołuje go na stanowisko prefekta biblioteki akademickiej w Krakowie i wysyła swoim kosztem na studia zagranicę. Był w Wiedniu, Szwajcaryi, Francyi, Włoszech, a po powrocie zabrał się do gorliwej pracy literackiej, zwłaszcza nad przekładami wielkich poematów i epopei literatury europejskiej: pracuje nad «Iliadą», wydaje «Batrachomyomachie», tłumaczy Herzydota, Miltona «Raj utracony» i «Raj odzyskany», «Treny Jeremiasza», «Luzyady» Kamomeasa, bierze się do «Georgik» i «Eneidy» Wirgiliusza, które wydaje jednak pod koniec życia. Nie ustaje też

w pracy nauczycielskiej: w r. 1788 obejmuje bezpłatny nadzór nad kandydatami do stanu nauczycielskiego i obowiązki ich korregenta, z r. 1791 zostaje profesorem greckiego i starożytności w szkole głównej krakowskiej. W uznaniu zasług Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w r. 1801 powołuje go na swego członka. Niebawem składa obowiązki prefekta biblioteki i profesora z powodu nadwątłego zdrowia, ale już w r. 1809 wezwano go znowu do pracy, uproszyszy go o objęcie katedry literatury greckiej na dwa lata. W tymże roku, przełomowym dla Galicji zachodniej, zostaje członkiem rady edukacji przy administracji powiatowej, w następnym — dziekanem wydziału filozoficznego; w 1811 zdał bibliotekę Jerzemu Samuelowi Bandtkiemu i usunął się od pracy społecznej, zajmując się przygotowaniem do druku przekładu Homera i Kwinta Rodyjskiego, który wraz z «Kluczem starożytności» ukazał się w ciągu lat 1814—1816, w 7 tomach. Wydanie 500 egzemplarzy kosztowało autora 1000 dukatów, i cały ten nakład leżał, prawie nieknięty, a po śmierci Przybylskiego jego spadkobierca, kupiec krakowski, Rudolf Koch, spytał antykwarzem — Żydom po złotówce egzemplarz. Wypadki polityczne jeszcze raz, ostatni, powołały go do pracy społecznej. Kiedy w r. 1818 zbierał się sejm nadzwyczajny w młodej Rzeczypospolitej krakowskiej, senat rządzący mianował Przybylskiego marszałkiem sejmiku gminy I, która wybrała go swoim reprezentantem na sejm, gdzie zamoczyła się pożyteczna jego działalność około przekładu konstytucji Rzeczypospolitej z francuskiego na polski i łaciń. W styczniu 1819 r. zachorował, zmarł tegoż roku dn. 11 września. Senat krakowski dozwolił pogrzebać bezpłatnie zwłoki jego w kościele archidiecejzjalnym Panny Maryi, gdzie wmurowano na jego pamiątkę tablicę z odpowiednim napisem.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Zbiorowego wydania dzieł Przybylskiego nie posiadamy. Czajkowski Paweł w końcu swej «Pochwały», zamieszczonej w t. IX «Rocznika Tow. Nauk. z Uniw. krakowskim połączonego» (Kraków 1824) daje spis 85 prac naszego autora, nadmienając, że spis ten nie jest pełny, gdyż pozostało wiele rzeczy w rękopisie, wiele też drobnych prac nie zostało zamieszczonych. Ze spisu tego podajemy tu ważniejsze pozycje: «Trzy Mowy o Odmianach w Naturze z francuskiego» (Kraków 1779), «Mądry Memnon powieść z franc.» (Lublin 1781), «Dobry Bramin» powieść z francuskiego» (t. t. r.), «Mowa na sejny Obchód Zwycięstwa Jana III nad Turkami pod Wiedniem» (Warszawa 1783), «Listy Peruwianki z franc. Szambalowej Grafigni» (Warszawa 1784), «Henryka Sandra Historia Naturalna Ekonomiczna» t I (Kraków 1786), «Dysertacja o Kunsztach pisania u Starożytnych (tamże 1788), «Batrachomyomachia czyli Bitwa Żab z Myszami... Homera» (tamże

1789), «Heautomastix czyli Bicz na siebie samego» (t. t. r.), «Wiekie uczone Starożytnych Greków i Rzymian w zabytkach ich pism uważane» (t. t. r.), «Hezyoda... Roboty i Dnie» (Kraków 1790), «Aleksandra Pope rzecz o Krytyce wiersz ojczysty obok z Angielskim» (t. t. r.), «Kamoensa Luzyada» (t. t. r.), «Hezyoda... dzieła pozostałe» (t. t. r.), «Miltona Raj Utracony» (t. 1791), «Ortografia języka greckiego» (t. t. r.), «Miltona Raj Odzyskany (t. 1792), «Początki języka greckiego do użytku Polaków» (t. t. r.), «Treny Jeremiasza» (t. 1794), «Siedm Psałmów Pokutnych według tekstu 70 Tłomaczów» (t. t. r.), «Śmierć Abła» (1797), «List do Pizonów o Kunsztach Poetycznym» (Kraków 1802), «Przekładanie Eneidy Wirgilio» (Kraków 1811), «Georgiki Kirgolskie» (Kraków 1813), «Iliada i Odyssea z dopełnieniami Kwinta Kalabra» (7 tomów, 1814—6).

B) W rękopisach, podług relacji Czernickiego («Tyg. Ill.», 1865, t. XII, str. 186), pozostały przekłady: poematu Klonowicza «Victoria Deorum» (rękopis był własnością Ambr. Grabowskiego), oraz «Henryady» Woltera, prawie całej «Messyady» Klopstocka i «Od» Horacego, które miały być przekazane Bibliotece Jagiellońskiej. W katalogu Wisłockiego niema ich wszakże, znajdujemy tam natomiast «Dziennik» z r. 1787, «Wspominki krakowskie z r. 1787» oraz «Aula Persego Satyr sześć».

C) O Przybylskim pisano niewiele. Prócz dość ogólnikowej «Pochwały» Czajkowskiego Pawła (w «Roczniku Towarz. Naukowego, z Uniwersytemem Krakowskim połączonego», t. IX, Kraków 1824) oraz sumiennej, na notatkach Ambr. Grabowskiego opartej, ale zwięzłej biografii Czernickiego Gustawa («Tygodnik Ilustrowany» t. XII, str. 318—319), mamy tylko krótkie wzmianki: w «Dzienniku Wileńskim» (1820), «Rozmaitościach» (1820), «Przyjacielu Ludu» (Leszno 1842, t. IX).



O języku polskim (1816).

W części II «Klucza starożytności» (1816) pod tytułem «Klucz do niektórych śpiewów Homera i Kwinta», stanowiącego tom VII i ostatni «Pamiątki dzieł bohatyrskich (tak) z wieku grajskotroskiego» na stronie 8 do 222 czytamy umieszczoną w szyku alfabetycznym pod literą j rozprawę: «Język polski». Po ogólnym wstępie autor, podzieliwszy gramatykę, czyli językoznawstwo na: pismo, wnię, w wywodnie, sztykownie i wyspiewnie, w takim też porządku części te wyklada. Pismowni poświęca najwięcej miejsca: rozpatruje samogłoski czyste, potem pocyłone, które stanowią odrzucną, dwugłosicę, czyli dwójniki (diftongi); dalej spółgłoski, które dzieli się na: wargobitne, garłobitne, językbitne i zębobitne, rozwódzi się długo nad jednako brzmiącymi w pewnych razach spółgłoskami (n. p. z i s), zniżając przytem dziwny sen ortogra-

ficzny, zwalcza *h*, pozwalając je utrzymać tylko w imionach własnych; dzieli spółgłoski na: obojbrzmienne, czyli całkiem miękkie (po których może stać *y* lub *o*), gruboobrzmienne, czyli całkiem twarde (*d, r, t*), różnoobrzmienne (*k i g*), cienkoobrzmienna, czyli *topna* (*l*), chuchkowa (*h*) i jęcząca, czyli najmniejsza (*j*). Dalej mówi o dwójkach (*cz, dz, dż, dż i t. d.*), o samogłoskach bąklowych, (*a, o*) o łoskoczącej spółgłosce *ł*, o pieszczonych (*ć, ą, ń, ż*), o dwójce chuchającej *ch*, rawniącej *sz*, szumiącej *sz*, szcękającej *cz* i *czworbukwie* (*szcz*), obukwach wielkawyeh, o rozczertni (interpunkty). Obok wielu dźwięków i nieskonsekweny nie brak tu uwag trafnych i głębokich. W wywodni podaje swoje nazwy części mowy: 1) rodzajak (praeculius), 2) imię, 3) zaimię, 4) głągol (verbum), 5) uczestniak (particplum), 6) okoliczniak (adverbium), 7) przedzak (praepositio), 8) spajak (conjunctio), 9) natrącak (interfectio). Dzieli wyrazy na pierwaki i pochodzaki, rozwdzi się nad wielością i różnorodnością tych ostatnich w języku polskim, ściga obce wyrazy (makaruny), podaje szereg przykładów. Co do szykowni i wyśpiewni (prozody), zadawała się ogólnemi uwagami. Na końcu przytacza własny przykład listu Horacego do Pizonów. Przytaczamy poniżej urywek o wyższości języka polskiego nad innymi, zostawiając nietkniętą wysoce oryginalną pisownię autora.

145) Str. 108—110. Przy żcizlem śledzeniu pierwakow od pochodzakach i odwrotnem prowadzeniu pochodzakow od pierwakow zdumie się każdy ciekawy a rozumujący Polak, jak daleko jego Ojczysty Język jest młotabnym (malléable), gdy się przekona, że czasem z jednego jednorodlogowego pierwaczka, prowadząc jego rodzinę przez wszystkie pomysłębne zakończki, zkrucania i zkladunki, tysiące słow wywodzić można.

Zapusciliśmy się w takowy rodzaj śledztwa, na jakież natrafimy bogactwa? W drobnienia i w grubienia tak Istotnikow, jak Przymiotnikow, jesteśmy nieprzewyższonemi. Jeżeli się Włoch chlubi, iż sam z Europeycow wyrazi swego Języka nayszczęśliwi drobn i grubi, mogąc np. mały Rzeczownik: kapelus, szcōe razy co raz inaczy oddać: *il capello, il capellino, il capelletto, il capellazzo, il capellaccio, il capelluzzo*, to my Włochowi nie ustapimy, mając tyleż, lub tyle drugie zakończek, rozmaiczących tę samą mianowkę, Włoską, od nas urodaczoną: kapelus, kapeluszek, kapeluszczyk, kapelusik, kapelusiczek, kapeluch, kapelusisko, kapelusiszczek, kapeluszosko, kapelusina, kapelusinka, kapelusiatko. Nemeo ma trzy zakończki na

drobnienie Istotnikow: *el, lein i chen*; a brach mu ich na grubienie, my zaś na owe okoliczności mamy ich mnostwo, i na rozmaicenie jednego Osobnika Dziewica może każdy, naszych Narodowych rozgoworek wiadom, wyliczyć około 20 wyrazow. Samo rozmaicenie Imion, Chłopcem i Dziewczętom Polskim na Chrzcie danych, czy my je pieszczocimy, czy je grubasimy, może przekonać o naszej słowistości na ucho każdego Wybadę, np. między pieskliwimi: Kazio (Kazimierz), Rycio (Maurycy), Własi (Władysław), Leosia (Eleonora) i t. d. Włob wieśniaczemi u pospolstwa: Bartek (Bartłomiej), Banach (Benedykt), Wach (Wawrzyniec), Nastka (Anastazyja), Polonka (Apollonia) i t. d, które według różnych Głagolin na wiele innych zakończek drobniających lub grubaszających prowadzone być mogą. Francuz wszystkie przedmioty drobnie lub grubione wyraża tylko raz przez przymiotnik *petit* lub *grand*, np. *petite bagne* (mały pierścień) i *grande bagne* (wielki pierścień). Polak zaś bez pomocy przymiotnikow: wielki i mały, choć ich równie dobrze używa, dookonałe zdrobni to samo przez pierścionek i pierścionecek, dookonałe zgrubi przez pierścienisko lub pierścieniszczek. W drobnieniu zdrobniebnych Przymiotnikow Włosi nas tylko ledwie do połowy ścigają; my zaś nasze aż do 8 razy drobić umiemy, jak wykazal Grzegorz Knapski na przymiotniku mały, który u Włochow wychodzi na cztery: *piccolo, picciolo, piccolino, picciollino*, a powiększać powiększebne potrafimy rozmaicie, tak, jak obcy Narodom trudno, np. wielki, wielkośny, wielkawy, zawięcki, długi, długośny, długawy, obdłużny, podługowaty, przydługi, zadługi, przedługi i t. d. i nadto w tey samy kolei snadno nam z przymiotnikow tworzyć na oba tony Istotniki, np. Długosz, Mędroch, Myśliwiec, Staruch, Młodzik, Nabożnik i t. p. z Głagolow, np. Biegun, Bywalec, Działosz, Gaduła, Leniuch, Pieszczoch i t. d, snadno z Uczestniakow, np. Uczeń, Narzezeniec, Rąbaniec, Zwolennik i t. d, snadno rozmaicic same Osobowniki od wad i różnych znamion, np. Białas, Garbus, Gębala, Głowacz, Lys, Oczal, Szafaniec, Zeź i t. d, nie rachując tu jeszcze wielu przewisk, jakie sztywni Łacinnicy na Łacińskie lub Greckie zakończki

potworzyli i jakie w baraskowym stylu uchodzą, np. Derus, Odartus, Wiarus, Fugas, Niegodzijas i t. d., a nie tracąc uwagi, że na zaszczyt naszej Mowy, choć mamy dostatkiem uszczypliwych przewisk, nayobelżywsze mianowki nie są u nas Słowiańskie, lecz po większoy części z obcych Języków przybierane.

My z każdego rzemiesiwa czy osobowego, czy rzeczowego, mocni jesteśmy prowadzić przymiotniki, czego Francuzi i Włosi nie dokażą, chyba je już posiadają z Łaciny, która jest matką ich Języków. Coż mi do tego, że Francuz nie może tylko raz powiedzieć: *la table de marbre, le plat d'argent, les Oeuvres d'Homère, le Palais de Radziwiłł* i t. d.? ja, Polak, równie się dobrze wyrażę, gdy także powiem: stol z marmuru, polmisk z srebra, Dzieła Homera, Pałac Radziwiłł, ale jeszcze piękny z moimi Przodkami: stol marmurowy, polmisk srebrny, Dzieła Homerowskie, Pałac Radziwiłłowski. Nawiasem tylko postrzęcę Etymologowi rozmyślanie nad przyczyną, dla której Staropolscy Pisarze różnili przymiotniki, od teyże Osoby lub rzeczy, lub mieysca ciągnięne, i czemu mówili: Homerowa Matka, Achilowa Kochanka; a Homerowskie wiersze i Achilowska pycha? czemu Ameryckie plody; a Amerykańskie Kunszt i t. d.? Ani ja wytłomaczę Francuzkiej spółki rzeczownika z przymiotniem: *les fers d'or* przez żelaza ze złota, lecz, unikając nierzeczy, oddam przez podkowy złote, bo u nas ani żelazo nie może być złotem, chyba w Alchimi, ani złoto żelazem, chyba w ty samy Sztuce kończący się na stracie kosztów i na nędzy, a przymtem bardzo różniny rzecz złocistą, złotawą i pozłacaną od złotey i złotą od szczerozłotey i złotolitej.

Opracował H. GALLE.

XX.

OSIŃSKI LUDWIK

(1775—1838).

Urodził się dn. 24 sierpnia 1775 roku w Kocku na Podlasiu, z ojca Jana i matki Barbary z Markowskich. Nauki szkolne ukończył w Łomży u ks. pijarów, którzy go namówili do wstąpienia do ich zakonu; przyjąwszy suknię duchowną, był jakiś czas nauczycielem, a w 1794 widzimy go w oddziale Karwowskiego. Po upadku powstania tułał się po kraju, trudniąc się nauczycielstwem. Nie czując powołania do stanu zakonnego, starał się o zwolnienie ze służb i uzyskał je mocą wyroku dwu instancyj sądu duchownego. W r. 1799 wydał w wdowy Zawadzkiej w Warszawie pierwszą swą pracę: «Zabawki wierszem i prozą», w dwu częściach (I — utwory liryczne, satyryczne, II — sielanki); dziełko to stanowi teraz wielką rzadkość bibliograficzną, gdyż autor, w dojrzałym wieku, uznając je za niegodne siebie pierwociny pióra, wykupował egzemplarze i niszczył. Od r. 1801 do 1807 utrzymywał w Warszawie wraz z Konstantym Wolskim wyższą pensyą męską i wykładał tam język polski i literaturę; jednocześnie pisywał do «Gazety Warszawskiej» recenzje teatralne, do «Nowego Pamiętnika» Dmochowskiego też sprawozdania z teatru (także «O dobroczynności», «O sztuce aktorskiej»). W roku 1802 został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a w dwa lata później sekretarzem tegoż Towarzystwa; wówczas to odczytał na jednym z posiedzeń wyjątek z «Przemian» Owidjusza we własnym przekładzie (Mowa Ajaksa i Ulissea o zbroje Achillesa). W r. 1805, jako nauczyciel i przewodnik Romana Sołtyka, wyjechał na kilka miesięcy do Francyi. Dnia 14 stycznia 1807 w obecności Napoleona odegrał w Warszawie jego «drama liryczne» w I akcie wierszem: «Andromedę» (z muzyką J. Elsnera). Z utworzeniem Księstwa Warszawskiego powołano Osińskiego do pracy społecznej; został w r. 1807 sekretarzem Dyrekcyi Sprawiedliwości, potem sekretarzem generalnym, wre-

szcze pisarza Sądu Kasacyjnego. Miał też sobie poręczone zwiedzanie sądów nowo zorganizowanych, ogólną redakcję urządzeń form i wzorów do akt stanu cywilnego oraz należał do rewizji przekładu Kodeksu Napoleona. Mimo tych prac urzędowych nie zaniedbywał pióra: pisywał ody i wiersze okolicznościowe («Do kapitana Morawskiego»), «Pieśń odjazdu dla wychodzącej z Warszawy gwardii cesarskiej polskiej 1808», «Wiersz na powrót zwyciężonego wojska do stolicy» — dwa ostatnie drukowane w «Gazecie Warszawskiej» 1808 i 1810 r., «Wiersz na powrót» czytany na jednym z posiedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wreszcie znana powszechnie «Oda do Kopernika» 1808, też w «Gazecie Warszawskiej»; wówczas też bierze się na dobre do przekładów arcydzieł dramaturgii francuskiej: zaczął, jeszcze za czasów pruskich, od «Horacjuszów» i «Cynny» Kornela, «Cynna», wystawiony w 1809 r., budził wielki entuzjazm, potem poszły inne: «Cyd» Kornela, «Alzysa» Woltera, «Fenelon» Cheniera, «Gabryella de Vergy» Du Belloy. W latach 1809 i 1810 wydawał «Pamiętnik Warszawski», który miał być kontynuacją wygasłego w r. 1805 «Pamiętnika» Dmochowskiego; wypełniał tu systematycznie prowadzoną rubrykę: «Teatr narodowy». Po dwu latach musiał zaniechać wydawnictwa, nie popieranego przez ogół (miał tylko 200 przedpłaćcieli). W r. 1810 wygłosił słynną mowę sądową w obronie pułkownika Siemianowskiego, jeden z lepszych utworów z tego działu w naszej prozie. W r. 1808 poślubił Rozalię Bogusławską, córkę Wojciecha, a w r. 1814 (od 10 lipca) objął po tasiu kierownictwo Teatru Narodowego, prowadząc go w duchu przeważnie pseudoklasycyzm przy zespole takich aktorów, jak Żółkowski, Kudlicz, Dmuszewski, Zdanowski, Ledóchowska i inni: dawał wprawdzie Szekspira «Hamleta», «Makbeta», «Leara», «Otella», ale w przeróbkach Francaza Ducisa we własnym przekładzie, dawał też Schillera «Pieska», «Intrygę i miłość», oraz «Dziewicę Orleańską» (w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego), ale w znacznej części postulował się tragedję francuską; z oryginalnych wystawił «Barbara» Feliskiiego, tragedję Wężyka, «Zbigniewa» i inne Niemcewicza, komedje Fredry i Ł. d. Przyczynił się też do podniesienia opery (Elsner i Kurpiński) oraz baletu. Na «obiadach czwartkowych» u generała Krasńskiego celował złośliwością, szcząc z młodocianych plodów romantyzmu; jemu to przypisyują trawestację refrenu z II części «Dziadów» («Co to było! nie nie będzie, Głupio było, głupio będzie»). Był też Osiński daszą stowarzyszenia krytyków teatralnych, zwanego Towarzystwem Iksów, a ogniskującego się w okresie 1814 do 1819 roku w domu Mostowskich, chociaż, jako dyrektor teatru, w pracach ich nie brał bezpośredniego udziału. Od r. 1814 do 1824 wykladał język polski i literaturę w szkole dramatycznej przy teatrze, a od 21 kwietnia 1818 r. objął katedrę literatury porównawczej w uniwersytecie warszawskim i zajmował to stanowisko do końca r. 1830, a 12 marca tegoż roku został dziekanem wydziału nauk i sztuk pięknych, wreszcie referendarem Rady Stanu i przeznaczonym do Wy-

działu wyznań i oświecenia publicznego. Tymczasem stosunki teatralne ułożyły się w następujący sposób: udzielane teatrowi przez rząd subsydium (razu 36,000 złp., potem 72,000) nie pokrywało niedoboru; tak więc w dn. 12 czerwca 1827 r. rząd wziął na siebie administrację, zakupiwszy od Osińskiego dekoracje, rekwizyty i garderobę i zostawiając go na stanowisku pierwszego dyrektora (do 16 grudnia r. 1835). Zmarł Osiński 27 listopada 1838 r., pochowany na Powązkach.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Wydanie zbiorowe pism Osińskiego wyszło w Warszawie 1861—2 r. p. t. «Dziela» w 4 tomach: tom I — przekłady Cyda, Horacjuszów, Cynny Kornela, Alzysy Woltera, Fenelona Cheniera, Gabrielli de Vergy Du Belloy, dalej: poezye oryginalne i tłómaczone i Wiersze ulotne; tom II, III i część IV: kurs literatury porównawczej; dopełniają IV tomu Mowy pochwalne i obrony sądowe, Krytyki i Sprawozdania literackie (m. imn. o «Glińskim» Wężyka) oraz rozprawa o pisowni. Poza tem wyszły osobno nie zamieszczone w wydaniu 4 tomowem: «Zabawki wierszem» w 2 częściach (Warsz. 1799), «Andromeda, drama liryczne, w 1 akcie wierszem» (Warsz. 1808), «O pierwiastkowej dramatyce w Polsce» («Sybilla nadwiślańska» 1821), «Cierpienia i śmierć Czackiego» («Pam. warsz.» Bentkowskiego, 1816). O wierszach mówiliśmy powyżej.

b) W rękopismach w posiadaniu rodziny pozostały libretta do oper: «Szewc czyli żony przemienione», «Turek we Włoszech» (z muzyką Rossiniego), «Sroka złodziej» (z muzyką teoż), «Dziadek», «Buliego «Intryga w oknach», «Wiśniaczka dowiecna», «Janek i Stefanek»; tragedję Szekspira w przekładzie Ducisa «Król Lear», «Otello»; komedje: «Pan Wilhelm» oraz Pignault Lebrun: «Rywal samych siebie». W bibliotece teatrów warszawskich, zaniedbaney i chaotycznej, nie udało nam się nic z tych utworów odszukać.

c) O Osińskim pisali: Grabowski Tadeusz: «Ludwik Osiński i ówczesna krytyka literacka» (Krańów 1901), Wójcicki K. Wł.: «Ostatni klasyk» («Bibl. Warsz.» 1872, tom I i II w osobnej odbite); tenże: «Teatr warszawski za dyrekcję Ludwika Osińskiego 1814—1820» («Bibl. Warsz.», 1885 II); Dmochowski Fr. Sal.: «Życie, dzieła i epoka L. Os.» (przedmowa do «Dziela» Osińskiego, Warsz. 1861); Wójcicki K. Wł.: «Życiorys znakomitych ludzi» (Warsz. 1851, t. II); Koźmian A. E.: «Życiorys w Przegłędzie Pozańskim», XXIV i osobno (Poznań 1858); Plenkiewicz R.: «L. Osiński» (w «Albumie znakomitych Polaków i Polek w XIX»), Chmielowski P.: «Dzieje krytyki literackiej w Polsce» (Warsz. 1902), wreszcie Życiorys w «Przyjaźniu Ludu» (1838, V), w «Czasie» (1853 Nr. 68), w «Świecie liter. hist. etc.» (Warsz. 1861).

A) Oda na cześć Kopernika (1808).

(Dziela, tom I, str. 403—407).

I.

146)

Najwyższy zakres śmiertelnika chwały,
 Wydarła niebu tajniki stworzenia;
 Olimpu godne przedsięwzięcie pienia;
 Ty, Uranaju, wspieraj lot zbyt śmiały,
 Niestała ludzi znana mi potęga,
 Ani się nad jej wielkością zdumiewam,
 Wyższych myśl moja obrazów dosięga:
 Świat mym zawodem, — Kopernika śpiewam.

II.

Po jego śladach, wolen ziemskiej trwogi,
 Odwiedzam ciała niebieskich nieomylnie drogi,
 Mierzę wielkość natury; w przestrzeni wiszące,
 Ręką Stwórcy rzucone, śledzę brył tysiące,
 Jak się unoszą, toczą, przyciągają, krążą
 I do jednego celu zgodnym biegiem dążą.
 Tam wreszcie dojdę, gdzie potęgę Bóstwo,
 Wszystko na swojej utrzymują strażą,
 Niezliczone światów mnóstwo
 Na łonie wszechmocności piastuje i waży.

III.

Zuchwałę ludzi i znikome plemię,
 Proch, dumą wzniezion, chciał władać na niebie;
 Za cel natury poczytał swą ziemię
 I resztą światów przemaczył dla siebie.
 O, jakże mylnie śmiertelników sądy!
 Dzikie marzenia wiek do wieków składał;
 Człowiek tam nikał i mędrzec upadał,
 Kędy się Boskie zaczynają rządy.
 «Próżno się mamy na ten zamiar silić?
 Wszakże, o Boże! Twa wielkość prawdziwa
 W ogromie niebios przebywa.
 Pozwól tę świętą zasłonę uchylić!
 Godniśmy cudów twoich: ta istota drobna,
 Kiedy w niej duch twój działa, tobie jest podobna!...»
 Tak mówił człowiek, nie mając nadziei
 Poznać, co przed nim noc zaszrośma kryła,
 Aż w dalszej czasów kolei
 Powstał Kopernik... ciemność ustąpiła.

IV.

Jak słowo Wszchemocnego, życia, śmierci źródło,
 Dzieciąć zmieszane żywiołów zarody,
 Z łona zamętu cały świat wywiódło,
 Wielkie dzieło porządku, jedności i zgody:
 Tak, stwielkowej nocy rozpędzając cienie,
 Kopernik iskrę niebieską rozniecił;
 Odróżnił Boską prawdę i złudzenie,
 Zwyciężył przepaść i ziemię oświecił.

V.

Noc była; księżyc toczył swój wóz złoty;
 Człowiek w śnie lubym z troski się wyzuwał;
 Spoczynkiem teńny ziemiańskie istoty:
 Bliższy niebianów sam Kopernik czuwał.
 Uciszone Bałtyku przyjęły go brzegi;
 Tam zwałwał układ świata, mierzył planet biegi;
 Nigdy go tak nie zajął ten widok wspaniały,
 Zdąło się, że ogląda miejsca swojej chwały.
 Jaka myśl, jakie czucie w Kopernika duszy!
 Jeden przelot rozumu błędy wieków kruszy.
 O, nagła zmiana! czy moc przyrodzenia
 Cuda mu swoje objawia?...
 Czy się porządek niebios na nowo odmienia?
 Czy to człowiek zgaduje, czy sam Bóg przemawia?
 Światłem jaśnieje szyk wiecznej budowy,
 Czego nikt nie mógł dociec, staje się wiadomem;
 Już to świat jego, świat nowy,
 Dziwniejszy swą prostotą, niżeli ogromem.
 Z nieskończoności, w jednym oka mgniemiu,
 Powstaje jasna przyrodzenia postać;
 Ach! powiedz, czcigodny cieniu,
 Jak wielka chwala drugim twórcą został!
 Zdumiony Bóstwa obrazem,
 Kiedy twój umysł stworzenia docieka,
 Objaw to czucie, kiedyś ujrzał razem,
 Tryumf natury, prawdy i człowieka!

VI.

Na cóż się ludzki dowcip nie ośmieli?
 Nad przyrodzenie wyższą sztukę władza,
 Skracca rozległość, która światy dzieli;
 Tu słońca żary do oka sprowadza,
 Tu pył olbrzymią obdarza postawą,
 Słabe doskonając zmysły.

Zda się, że jakąś czarodziejską sprawą
 Postaci rzeczy już od nas zawisły.
 Nie miał Kopernik tych ziemskich pomocy:
 Geniusz cudzych sił nie potrzebuje,
 Sam przez siebie rozjaśnia cienie czarnej nocy.
 Opuszcza ziemię, w niebo ulatuje
 I, wychodząc nad zmysłów ścięsięione granice,
 Tam zdobywa nieznanie świata tajemnice.

VII.

Jakbyś miał wyższość nad śmiertelnych rodem,
 Tyś zaczął, tyś dokończył to dzieło ogromne.
 Co kiedyś wielki wynajdą potomni,
 To tylko myśli twojej stanie się dowodem.
 Ciesz się, narodzie, ciesz, Polsko szczęśliwa!
 Chwała wielkiego męża na Ojczyznę spływa.
 Gdzie znajdziesz większe do chwały powody?
 O twoją własność spór wiodły narody.

VIII.

Jako w zuchwałych Tatrach wicher nieużyty,
 Silniejszy nad ich granity,
 Codzieli swą wściekłość wywiera
 I gwałtownem natarciem zapory otwiera;
 Każda chwila zniszczenia zostawuje znamię;
 Rozdęta burza górne szczyty łamie,
 Prze, walczy, roztrąca, ciska,
 Z ciągnym łoskotem leć skał urwiska:
 Bystrejszym pędem wiek za wiekiem płynie,
 Rodzą się, chwilę żyją, niktą pokolenia;
 Ziemia swą postać odmienia:
 Ileż dzieł wielkich w pamięci ginie!
 Lecz, Koperniku! twoja, nasza chwala
 Czasy zwycięży, równie jak świat, trwała...
 Dwieście wieków ubiegnie i tysiączne lata
 Wyjdą po nich z wieczności niezgłębne łona.
 Nim leniwy biegun świata
 Od ciebie wskazanego obrotu dokona;
 Żyć będziesz, chwala napelnisz ten przedział!
 Oby w tym czasów szeregu,
 Po tak cudownym twej rachuby biegu,
 Polak jeszcze to sprawdził, coś ty zapowiedział!

IX.

Wielkość zamiaru siły nie obarcza;
 Już wreszcie płochęj odwagi nie starcza:



Ny 1111-11768

Ty, co w niezmiernym przestworze,
 Przed niekończącym niebios Majestatem,
 Bezpieczny zwiędasz te [tak] bezdenne morze,
 Gdzie każda gwiazda punktem, a każdy punkt światem,
 Dokończy, Śniadecki! gdzie twój duch przenika,
 Czytaj tam imię twego poprzednika;
 Wszakże ty byłeś zdolny nam wystawić,
 Co mógł Bóg stworzyć, Kopernik objawić.

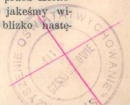
B) Wykład literatury porównawczej (1818 i nast.)

Kurs ten, wygłoszony w uniwersytecie warszawskim, składa się z następujących działów: epepeja (rozbior «Iliady», «Odyssei», «Encidy», «Farsall» Lukana, «Luzyady» Kamoensa, «Jerolimy Wyzwolonej» Tassa, «Raju Utraconego» Milтона, «Henryady» Woltera i «Wojny Chocimskiej» Krasickiego), poezya a heroik-omiczna («Myszeida» i «Monachomachia» Krasickiego), poezya dramatyczna (dramat u Greków, Kornel, Lopez de Vega, Cervantes, Calderon, Suckspir, Rassyń, Szyllig, Alfieri, komedya u Greków: Arystofanes, Plant i Terencyusz, Molier, komedya u Wlochów i w Polsce do końca w. XVIII), poezya liryczna (ody i pieśni, poezya biblijna, Jan Kochanowski), poezya dydaktyczna («Ziemiaństwo» Wirgiliusza, «Przemiany» Owidyusza, «Ziemiaństwo» Della), poezya pasterska, satura, listy, bajki. Na powtórny kurs składa się wykład o stylu i jego przymiotach, o wymowie i jej rodzajach (naradna, sądowa, pochwalna), o wymowie kaznodziejskiej, o deklamacyi, o tłumaczeniach z obcych języków i inne. Korzystając przeważnie z «Liceum» La Harpe'a, począć z Sismondiego, Hugona Blaira i krytyków włoskich, Osiński nie wygłaszał tu skrajnie klasycznych przekonań, chociaż cenił entuzjastycznie literaturę antyczną i klasyczną francuską. Podany poniżej ułamek charakterystyki Szekspira przekonywa o tem wymownie.

Teatr angielski. Szekspir.

147) Tom II, str. 336—372. Jeżeli na społeczną epokę teatru angielskiego zwrócimy uwagę, zastanowi nas na wstępie człowiek, obdarzony szczególnym geniuszem, który, mimo niedostatek wzorów, wśród otaczającej go dzikości, własną siłą za jaśniał i po dziś dzień od dwu przeszło wieków jest podziwieniem Anglii.

Ślawa hiszpańskiej sceny, z której Francya przed Kornelem niemało odniosła korzyści, dzieli się dotąd, jakeśmy widzieli, między trzech celniejszych pisarzy, tak blisko nastę-



pujących po sobie, że ich za społecznych uważać należy. Nie do nich nie przydała praca późniejszych. Jedni bowiem, biorąc dobrą wiarą błędy za prawdę, stawali się coraz niedołączniejszymi pierwszych naśladowcami; drudzy znowu, bez daru tworzenia, bez talentu i geniuszu, w plonem zachowaniu form i prawideł całej zalety szukali. Piękna literatura nie czyniła tam równego z czasem postępu, i chwały kastyllańskiej w jej starożytności szukać potrzeba. Lecz Anglia inną postać wystawia. Ma ona dziś w każdym rodzaju literatury tak znakomite plody, że je słusznie między wzorowymi liczyć przystoi. Cokolwiek starożytność przekazała nam doskonałego, czem się sprawiedliwie szczyścić mogą obce narody, wszystko to już angielscy pisarze na własną ziemię przenieśli. Dobry smak i najzdrowsza krytyka przemawia zwycięskim głosem w pismach rymotwórcy Popa, który nie tylko powtarza dawne Horacego prawa, ale je własnymi przykładami utwierdza. Sztuki nadobne nie ustępują tam wygórowaniu nauk dokładnych. Czemuż przecie teatr angielski nie poszedł za tem ogólnem światła i smaku dążeniem? czemu, zawsze sobie podobny, nie różni się od swoich początków? czemu nareszcie po dwóch wiekach doświadczenia, przy znianie życia i obyczajów, przy takim wzroście oświaty, Szekspir dotąd na scenie swego narodu panuje? Właśnie dla powyższych względów pytanie to nie jest trudnem do rozwiązania. Autor angielski musi mieć wielkie i niezaprzeczona przymioty, bez których niepodobna byłoby tak trwale pierwszeństwa zatrzymać.

«W oceniu zasług wielkich ludzi w dziejach nauk i smaku, z wielką bacnością, mówi Fontenelle, odróżniać należy wartość dzieł od wartości pisarzw. Mierny talent może niekiedy kształtne dzieło, wolne od zarzutu, utworzyć i nawzajem, w plodach nie dość foremnych, nie dość poprawnych, gdzie krytyka wiele do spostrzeżenia znajduje, mogą być wyryte ślady wyższego umysłu, twórczej władzy, która nie przestanie nigdy trwałego wzbudzać uszanowania. Każdy wiek ma właściwy sobie kres oświecenia, do któregośmy winni sądy nasze o dziełach ludzkich odnosić. Mierne talenta pozostają niżej tego stopnia, dobre dosięgają go, wyborne przewyższają. Człowiek z prawdziwym talentem wynosi się do stopnia oświecenia swo-

jego wieku, wychowanie i nauka nie dozwala mu być niższem od wzorów, jakie zastaje. Jest to powinność, nie jest jeszcze zasługa. Ale człowiek z geniuszem idzie dalej, nie zatrzymuje się u kresu wiadomości społecznych, przechodzi za obręb pomocy, z których korzystał, wydziera się nad sferę powszechną i wtenczas staje się wynalazcą, twórcą, zaszczytem wieku, nauczycielem potomnych. Ta chluba własności jest małej liczby głów uprzywilejowanych i nie utracą się wtenczas nawet, kiedy od następów przewyższoną będzie».

Cokolwiek nam historia o Szekspirze podaje, dowodzi gładnie, że, nie oswojony z poezją Greków i Rzymian, nie znający obcej literatury (bo ta w zawodzie jego mało mu pomocną być mogła), tem mniej publicznym swego narodu kierowany smakiem (bo Anglia przed Szekspirem nie miała widowisk, któreby na to imię zasługiwały), od drzwi teatru, od posługi widzów przeniósł się na scenę i, nie jak mierny aktor, ale jak wielki pisarz, stał się nie tylko ludu, ale dworu i najpierwszych w kraju społeczeństw podziwem i chlubą. Wiadomo słuchaczom moim, do jakiego stopnia wzrosło uwielbienie i chwala Szekspira. Sławiony za życia, nie doznał zawisnąć współpiszczych; po zgonie policzonych był do narodowych zaszczytów. Od niego się poczyna teatr angielski, żaden z późniejszych dramatycznych pisarzwów nie sławie jego nie ujął; a co dziwniejsza, w najświetniejszym wzroście literatury, kiedy się nawet poprawniejsze wzory zjawily, żaden z poetów, żaden z krytyków nie zdolał w Anglii sądu o Szekspirze, nawet o samej sztuce odmienić.

Nie mógł sobie tej chwały przywłaszczyć społeczny jego Ben Jonsohn, autor Katyliny i Sejana, chociaż znał Greków i nad układem dzieł swoich długie lata pracował. Poprawność, kiedy się łączy z słabością, często usypia; przeciwnie, dzielne, lecz uderzające piękności natury silnie zajmują umysły i serca nasze. Dla tej pewnie przyczyny Anglicy mogą czytać Jonsohna, lecz na scenie swojej chcą widzieć Szekspira. Musiały im później ustąpić miejsca cenniejsze dzieła Otawaj, który chciał wprawdzie zachować podobną Szekspirowi nierówność, lecz wysokości jego dosięgnąć nie umiał. Sam na ostattek Adisson, którego tragedia Katon tak blisko przystępuje

do utworów ateńskiej i francuskiej sceny, daremnie w sądzie spółrodaków swoich usiłował mierzyć się z autorem Hamleta. Niepoprawne bowiem wzory dzieła, w których krytyka wiele błędów odkrywa, długo trwać mogą, jeżeli je zdobi wielka liczba nadzwyczajnych zalet. Od tego uczucia jeden tylko krok niebaczny uczynić potrzeba, aby w zapale podziwienia dzikość nawet za geniusz poczytać i uznać wszystko doskonałym tam, gdzie jest wiele doskonałości.

Geniusz, zdobiący ojczyzny, godzien jest zawsze miłości ziomków; wolno go obronić przeciw pociskom zawiści, wolno do imienia jego przywiązywać uczczenie; przesadzony nawet zapal w tej mierze łatwo z tak szlachetnej pobudki usprawiedliwić się daje. Lecz dla jawnego wygórowania w częściach wszystko bez różnicy uwielbiać lub dla wielu błędów wszystko potępiać zda mi się równą z obojej strony niesłusnością. Byłoby to wyrzec się lekkomyślnie wszelkiej korzyści, jaką smak, uwaga, rozsądek z dzieł geniusza może odnieść, albo też smak, uwagę i rozsądek od uczestnictwa sztuk pięknych niebacznie wylaczać.

Nie tak zapewne sądzą słuchacze moi, ani ja pójdę za przykładem sędziów, co, kłócąc się o formy, zapominają o rzeczy i wadze dowodów. Szekspir, w zdaniu waszem, należeć będzie do rzędu tych ludzi, których geniusz nie daje się zmieścić ani zasługami wychowania, ani dzikością wieku swojego. Głęboki przyrodzenia badacz, jeżeli nie zgaduje odrazu wszystkich tajemnic sztuki, przynajmniej w dziełach swoich ten ślad pozostawia, że, gdyby był znał sztukę, doskonałość byłaby niewątpliwym jego udziałem. Zachwyca w nim twórczy pomysł, mocne uczucie, śmiały wyraz i ten trafny sąd, który go zwykle i jakby pomimowolnie wiedzie na drogę talentu.

Niema w dziełach jego tragedyi, w którejby najlżejsza uwaga nie znalazła dziwactw i niewłaściwości; lecz nawzajem w każdej jego sztuce łatwo w oczy wpadają takie zalety, które najsurowszy sędzia smaku przynabyl chętnie za ozdoby najpiękniejszych płodów. Jeżeli z tego wzoru, mylnie rozważanego, wypłynęła niezmiernie liczba niekształtnych płodów dramatycznych w Niemczech, nim Szyller i bieglejsi pisarze wątpliwemu smakowi pewniejszy dali kierunek, widzimy wszelako,

że za naszych już czasów najtrudniejsza w wyborze, powiem nawet, najwymyślniejsza w warunkach scena francuska przypożywoła sobie Hamleta, Julię i Romeo, Otella, Leara, Machbeta. Śpieszą na te widowiska mieszkańcy Aten dzisiejszych; Szekspir podziela chwałę z Kornelem, Rassynem i Wolterem. Lud, któremu światła i smaku zaprzeczac nie można, bez wstępu poznaje nową drogę, nowe obrazy, nowe pomysły. Talent wreszcie najdoskonalszego z aktorów scenicznych niemiejszy w tych dziełach znalazł żywioł dla swoich nieporównanych zdolności. Co wszystko dowodzi, że sztuka Szekspira nie zawsze być może, jak niektórzy mniemają, szkołą potworów i dziwactw, bylebyśmy umieli prawdę od fałszu, pozór od istoty różnić.

Poeta, o którym mówię, uważany w tym sposobie, będzie zawsze wielkim pisarzem. Bo któż lepiej od niego znał serce człowieka? Kto się dalej w skrytości jego zagłębił? Kto z większą prawdą przyrodzenie nasładował? Tyle różnych charakterów, tyle postaci, tyle odmiennych cieniów jedneje namiętności, bądź z dziejów i natury, bądź z zamożnej wyobraźni powziętych, nie przestają świadczyć, ile Szekspir znajdował w duszy i pojęciu swoim rzeczywistych bogactw. Nic on nie winien narodowi, bo w nim żadnych wzorów nie zastał; naród jemu wiele. Wspomnieć tu także potrzeba, że, oprócz trzech osnów, powziętych z historii rzymskiej: Koryolana, Juliusza Cezara, Antoniusza i Kleopatry; oprócz kilku dramatów, obce zdarzenia za treść mających, pisarz angielski największą część życia poświęcił dziejom swojej ojczyzny. Od Ryszarda II do Henryka VIII w nieprzerwanym prawie związku wywiódł na scenę różne losów narodowych przemiany, zbrodnie i cnoty, zalety i błędy, w których Anglia bądź chlubę swoją poznawać, bądź użyteczną czerpać mogła naukę. Jak na Elizejskich polach Wirgilego, tak w teatrze Szekspira potomkowie znakomitego rodu widzieli przodków swoich obrazy. Nie dziw przeto, raz jeszcze powiem, że do poety-dziejopisa tak mocno się przywiązała miłość rodaków.

O żadnym rytmotwórcy tyle nie pisano, jak o Szekspirze. Spory niezgodnych sędziów w różnych narodach i epokach przechodziły niekiedy za miarę słusności.

Plody jego dramatyczne dzielić można na trzy rzędy główniejsze: na komedye, które ściśle nie różnią się od jego tragedyi, ilekroć tego nie wymagają osoby, często z historyi królów i książąt przenoszone na scenę. Szekspir nie zawsze oddziela dwa główne rodzaje widowisk, jak to później obaczymy w przykładach.

Do drugiego rzędu należą narodowe jego tragedye. Są to dzieje królów, w ciągłej kolei następujące po sobie. Na czym się pierwsze dzieło skończyło, od tego drugie osnowę swoją zaczyna. Kilkogodzinne widowisko wyobraża często całe panowanie. Więcej tu rymotwórca polega na prawdzie podań, niż się oddaje własnemu wynalezieniu. Wielkie i prawdziwe obrazy, niekiedy z wyższym talentem oddane, muszą się podobać narodowi, który nie już czyta, ale widzi wystawioną na scenie tę epopeję, sto lat blisko trwającą, a w dziesięciu osobnych dramatach zawartą.

Trzeci rodzaj składają właściwsze plody angielskiego pisarza: Koryolan, Juliusz Cezar, Antoniusz i Kleopatra z dziejów rzymskich; Otello i Julia z nowoczesnych powieści, Lear, Hamlet i Machbet, na historyi wprawdzie oparte, lecz razem z własnego pomysłu rymotwórcy czerpane.

Gdybym chciał przytaczać celniejsze z dzieł Szekspira wyjątki, w których mocne czucie, świetna wymowa i trafne obrazy jaśnieją; gdybym naprzykład powtarzał klótnię Brutusa i Kassjusza z czwartego aktu Cezara lub tak słusznie uwielbiany monolog Hamleta albo przerażające sceny Otella, Leara: nie trudnoby mi było utrzymać słuchaczy w ciągłym dla tego pisarza podziwieniu. I przeciwnie, obfitej tenże sam rymotwórca dostarczyłby osnowy do wskazania, jak często prawdziwy geniusz błądzi i upada, kiedy go nie strzeże przewodnia smaku i krytyki. Z obojej strony obszernie o Szekspirze mówiono, a kiedy jedni wszystko w nim dobre upatrywali, drudzy, samą nadzwyczajnością zrażeni, łatwo mogli i pięknościom nawet ubliżać. Tak Wolter we Francyi, czyli Juliusza Cezara wykladał, czyli styl i wyrazy Otella na język francuski przenosił, skłonny do złośliwości, wyśmiewał angielskiego poetę, nie pomnac, że pisarz, tyle w narodzie swoim ceniony, nie mógł tej sławy bez wielkich zasług dostąpić. Cząstkowe przytoczenia

nie są dostatecznym obrazem wartości autora. W Szekspirze dziwić się trzeba wielkim pomysłem, które bez pomocy sztuki tak są wydatne, że ich ani postępek sztuki, ani siła talentu przewyższyć i zatrzeć nie zdoła. Chwały pisarza szukać należy w najlepszych jego utworach: do rzędu takich Bler policzają dwa jego dzieła dramatyczne: Otella i Machbeta, chętnie temu ostatniemu dając pierwszeństwo z przyczyny nie tylko samego przedmiotu, ile z układu i wykonania.

XXI.

KOZMIAN KAJETAN

(1771—1856).

Ojcem Kajetana był Andrzej Alojzy Koźmian, herbu Nałęcz wychowaniec szkół pijarskich, konfederat barski, obrońca prawny, znany i szanowany powszechnie w województwie lubelskim, gdzie było gniazdo jego rodzinne, miecznik lubelski; matką — Anna z Kielczewskich, córka chorążego Jerzego Kielczewskiego, właściciela Kielczewic dolnych nad Bystrzycą. W roku 1784 szlachta lubelska obrała Andrzeja Koźmiana deputatem do trybunału, rozpędzwszy zbrojną ręką przeciwną partję Kazimierza Nestora Sapieli, który, choć przedtem sam proponował Koźmianowi tę godność, w inną stronę potem zwrócił swe fawory, a król, rad z wyboru i upokorzenia Sapiehowego, mianował go deputacim podędkim, później sędzią ziemiaskim lubelskim. W roku 1790 Andrzej został obrany jednogłośnie prezesem sądu. Jedno z pięciorga rodzeństwa, Kajetan przyszedł na świat w Piotrowicach w Lubelskiem, wsi, nabytej przez jego ojca od krewnych żon, 31 grudnia 1771 roku. Wychowanie domowe nie było dość staranne, ale za to niezwykle bogobojne: ulubioną zabawą «Kajtusia» i jego braci było przebiewanie się w szaty duchowne, odprawianie nabożeństwa, i t. p. W piątym roku życia zaczęła się nauka systematyczna w domu, pod kierunkiem przyjeżdżających dyrektorów: Jakowieckiego i Jurkowskiego, a w roku 1780 Kajetan wraz z dwoma braćmi, Wincentym i Józefem, został oddany do szkół lubelskich, skąd niebawem, już po roku ojciec przeniósł ich do Zamościa, obowiązując się nie dość religijnego wychowania pod kierunkiem nauczycieli świeckich w Lublinie. W trzy lata później znowu chłopcy dostali się do Lublina, kiedy rząd austriacki wprowadził język niemiecki do szkół zamojskich; tu Kajetan ukończył wykształcenie średnie pod kierunkiem takich profesorów, jak Jacek Przybylski, matematyk Józef Czech, profesor poezyi i wymowy, Józef Girtler, który zwrócił uwagę na zdolności Kajetana. Po ukoń-

czeniu szkół mieli dwaj starsi synowie być postani do akademii kraakowskiej, ale zaniechano tego zamiaru znowu w obawie «ducha irreligii». Musiał więc Kajetan, wbrew upodobaniom, poświęcić się palestrze i pracować w charakterze dependenta u mecenasa Józefa Podhorońskiego. Nudy narzuconego zawodu osładzały stosunki z Ludwikiem Osinskim i Alojzym Felisimskim. Tak przeszło 4 lata. Kiedy zaś w roku 1792 w Lublinie ukazały się wojska rosyjskie, Andrzej Koźmian wraz z synami przeniósł się z Lublina do Bychawy, do domu swego przyjaciela, nad samą granicą. W czasie powstania Kościuszkowskiego Kajetan pragnął wstąpić do szeregu walczących, lecz wezwano go właśnie na sekretarza zawiązanej wówczas komisji porządkowej, co odciągnęło go od pola walki. W czasie trzeciego rozbioru Polski ojciec wypuścił Kajetanowi w dzierzawę dwie wsi, a niebawem zmarł nagle, dnia 6 sierpnia 1795 r., tchnięty atakiem apoplektycznym. Przy podziale majątku otrzymał Bystrzycę i Piotrowice, w których zamieszkał, bawiąc się myślistwem i pisanem wierszy, najwcześniejszych w swym zawodzie literackim. Do lepszych należy: «Modlitwa o pokój» z r. 1800, przekłady z Horacyusza i Tybulla, z *L'homme des champs* Delilla, wreszcie pierwsza oda napoleońska: «Oda na wojnę w roku 1800, ukończoną batalią pod Marengo». Po ożenieniu się z Anną Mossakowską (w roku 1802), spokojny i szczęśliwy, tworzył pierwsze zarysy «Ziemiaństwa». W roku 1806 zmarła mu ukochana małżonka, osieracając dwoje dzieci: Anielę i Andrzeja; w dwa lata poszła za matką i córeczką, pogrążając nieszczęśliwego wdowca w większą jeszcze boleść. Małym Andrzejem zaopiekowała się serdecznie siostra nieboszeczki, Maryanna Mossakowska, zastępując matkę. Obudzilo to tak żywą wdzięczność w Kajetanie, że poprosił ją o jej rękę. Dla uzyskania dyspensy na to małżeństwo z rozsądkiem, Kajetan powrócił z Wołynia, gdzie bawił w domu u teściów, w Lubelskie, gdy Galicya przeżywała chwilę przełomową, na wiosnę roku 1809. Wtedy właśnie, w lipcu, powstała jedna z najświetniejszych z cyklu jego ód napoleońskich: «Na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie», która szeroko rozniósła imię autora. Ody te idą nieprzerwanym szeregiem aż do roku 1812, a dzięki nim Koźmian staje się znanym i popularnym pisarzem; jednocześnie pracuje i w urzędzie, zrazu jako wiceprezes komisji departamentowej lubelskiej, później na szerszej widowni, w Warszawie, jako referendarz w Radzie stanu Księstwa Warszawskiego, której prezesem był Stanisław Potocki. Tutaj wszedł w ścisłe stosunki przyjacielskie z Marcinem Bodeim, Woronieczem i Staszicem, chociaż nie podzielał wszystkich poglądów autora «Rodu ludzkiego»; bywał też w województw Zamojskiego, gdzie spotykał się ze znakomitymi poetami ówczesnymi, jak Niemcewicz, Wężyk, Osinski. Dnia 6 stycznia 1811 r. został zaproszony na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Prócz ód napoleońskich w owym czasie powstał wiersz satyryczno-dydaktyczny na ówczesne obyczaje polskie p. t. «Mowa Katona cenzora, miana w senacie o obyczajach

rymskich» (1811), oraz kilka artykułów prozą. Kiedy w roku 1812 zawiązano konfederację generałą pod laską księcia Adama Czartoryskiego, Koźmiana powołano na jej sekretarza; jest więc autorem szeregu uniwersałów i odezw do narodu, w imieniu konfederacji piśnanych; wówczas też powstała oda «Na pożar Moskwy», najplonniejsza z liryk Koźmiana. Kiedy nadeszła wieść o rozproszeniu Wielkiej armii, rada konfederacji rozprzerła się: Koźmian ze Staszicem wyjechali do Bejca, posiadłości Marcina Badeniego, stamtąd zaś, na wezwanie St. Zamoyskiego, pośpieszyli do Krakowa, gdzie między innymi powstał znakomity wiersz: «Do tańcującego Krakowa». Po rozwiązaniu Rady Koźmiana mieszkał czas jakiś w Dzikowie u Feliksa hr. Tarnowskiego, później zaś powrócił do Piotrowic, zajął się gospodarstwem, a «Odą na upadek dumnego» zakończył około roku 1814 cykl liryk napoleońskich; dla Tow. Przyj. Nauk napisał w tym czasie «Raport o śpiewach historycznych Niemcewicza». Wówczas też nastąpił przełom w poglądach i sympatiach politycznych Koźmiana; wzo-rawszy entuzjastycznie chwala Napoleona, stał się wiernym wielbicielem Aleksandra I, którego widział w czasie bytności jego w Puławach we wrześniu 1814 r. Wejście Koźmiana na nową drogę kariery urzędniczej było już tylko kwestią czasu; odrzucił wprawdzie w marcu 1815 roku proponowaną mu przez ks. Czartoryskiego godność rektora akademii krakowskiej, nie czując się zdolnym do tak wysokiego powołania, ale już w czerwcu przyjął miejsce referendarza w wydziale oświecenia, mowu pod przewodnictwem Stanisława Potockiego; wybrał z Wirgiliusza i Horacego napis na bramę tryumfalną, wystawioną na przybycie cesarza do Warszawy, za co też prawdopodobnie otrzymał order św. Stanisława II klasy. Odtąd idzie już równą drogą zaszczytów i godności: chociaż bowiem w 1817 podaje się do dymisji w skutek nieporozumień z Zajęczkiem, ale już w styczniu 1818 roku zostaje powołany na stanowisko nadzwyczajnego Rady Stany z prawem głosowania na posiedzeniach Rady; w roku 1821 zostaje zwyczajnym Radcą Stany i dyrektorem generalnym w komisji spraw wewnętrznych i policyi, oraz we wrześniu tegoż roku — członkiem komisji emerytalnej. Od 5 października 1826 do maja 1827 zastępuje ministra spraw wewnętrznych Mostowskiego, a 24 maja 1829 roku z rąk Mikołaja I otrzymuje nominację na senatora kasztelana Królestwa Polskiego: «Ale w ślad za temi odznaczeniami nie idzie wzrost popularności: przeciwnie, już od r. 1821 zaczyna rosnąć niechęć ku Koźmianowi, zwłaszcza wśród młodych, z pośród których niebawem mieli wyjść belwederycy: Koźmian, konserwatysta z przekonań i upodobań, widzący jedyny rozum stanu w zachowaniu istniejącego porządku rzeczy, za warcholstwo pocyztujący każde poczynanie wyrotowe, powoli zaczął tworzyć dokoła siebie pustkę, dzieląc zaledwie z kilku przyjaciółmi czas wolny od urzędowania i pióra. Niechęć młodych wzmo-gła się jeszcze wobec stanowiska, jakie zajął Koźmian w słynnym sporze klasyków z romantykami. Uczeń Horacego i Boileau, był on najzwęzłszym,

najnamiętniejszym wrogiem nowego kierunku, twierdząc, iż «rozwo-lnienie przepisów, a tem bardziej odstąpienie od nich tem jest szkodliwsze i niebezpieczniejsze, niż obłąkanie młode umysły; poparcie i skłonność do nasładowania znajduje w niedołężności teraźniejszych pisarzy i wstręcie do trudnej pracy». Sady Koźmiana, znane nam tylko z prywatnej korespondencji i drukiem nie ujawnione, rażą kracowością i brakiem umiarkowania; wszystkie utwory Mickiewicza, od ballad do «Konrada Wallenroda», miały w nim nie już surowego sądzącego, ale niemilosierznego sędziego. Czytając te zjadliwe listy, otrzymujemy wrażenie, że tu kryje się na dnie coś więcej ponad różnice poglądów literackich, czaje się jakiś zawiesz człowieka, który przewiduje, że ktoś inny, młody, odmienny zgola, przyjdzie wydrzeć mu palmę pierwszeństwa w literaturze, czuje się, że tu walczy nie tylko klasycyzm z romantyzmem, ale też i konserwatyzm polityczny z rewolucy-onizmem, ideały «Ody na upadek dumnego» z hasłami «Ody do młodości». Namiętność zaślepiła Koźmiana: nie umiał czy nie chciał uznać literackich nawet klas romantyzmu, jak to uczynili Niemcewicz, Morawski, Wężyk, i nie mógł darować swym przeciwnikom i towarzys-zom «Czwartkowych obiadów» u generała Wincentego Krasiniego najmogłędniejszego nawet słówka obrony «szalonej gawiedzi». Tymcza-sem nadeszła rewolucja 1830 r., którą uważa za «szalone» przedsię-wzięcie; przepaść pomiędzy senatorem-poetą a społeczeństwem pogłę-bia się bardziej jeszcze. Jeden fakt wymowny świadczy o tem: kiedy na posiedzeniu sejmowem odczytywano imiona poszczególnych senato-rów, przy nazwisku Koźmiana kilka głosów zawołało: «On tu być nie powinien». Głęboko dotknięty, podpisałwszy jednak wraz z innymi akt detronizacji, poeta wziął urlop w lutym 1831 r. i wyjechał do Ka-lisza dla uporządkowania spraw majątkowych po zmarłym bracie, biskupie Józefie Koźmianie; do Warszawy przyjechał na kilka dni za-ledwie dla pogodzenia Krukowieckiego ze Skrzyńcekim, poczem znów udał się do Kalisza. Kiedy po raz wtóry zawitał do stolicy, było to już po bitwie pod Ostrołką. Doczekał się rzezi 15 sierpnia, szturm u wejścia wojsk nieprzyjacielskich do Warszawy, przyczem, uzyskawszy paszport, wyjechał do Piotrowic, kończąc na zawsze swój zawód pu-bliczny. Płon literacki z tego okresu (1815—1830) jest bardzo szczy-pły: prócz kilku wierszy lirycznych i historycznych (m. imn. słynny «List do Fr. Morawskiego... o klasykach i romantykach»), pochodzi z tego okresu jedynie mowy pogrzebowe nad trumnami: gen. Mokronowskiego, Marcina Badeniego, żywoty i «pochwały» St. Staszica, Kościuszki, Dą-browskiego nie wolne od pewnego panegiryzmu. W tym też czasie zajął się wykończeniem rozpoczętego jeszcze w r. 1805 poematu opi-sowo-dydaktycznego, «Ziemiaństwo polskie», którym chciał zaćmić «Sonety krymskie» Mickiewicza na polu poezyi opisowej. Praca szła wolno, chociaż przyjaciele, którym autor odczytywał oddzielne ustępy, naglili go do pośpiechu, ufn, że, ledwie «Ziemiaństwo» ukaże się w druku, zblednie odrazu gwiazda autora «Grzyńny». Poemat, ukon-

czony podobno na wiosnę 1830 r., wyszedł dopiero w r. 1839 i zawiódł najzupełniej oczekiwania autora i jego współwyznawców: szala w wielkopomnym sporze klasyków i romantyków już była wtedy od dawna przechylona. Mimo to nie można poematów Koźmiana, zrodzonymu pod auspicjami Horacego i Delila, odmówić wielu zalet literackich, zwłaszcza czystości i poprawności formy, której «gładzeniu» oddawał się poeta z drobiazgową sumiennością prawdziwego klasyka w dodaniu znaczeniu tego wyrazu. Po powrocie do Piotrowic oddał się pióru niepodzielnie i prócz drobniejszych utworów lirycznych («List do Fr. Morawskiego 1832», dwa listy poetyckie «Do Jędrzeja syna», «Do fałszywych Jeremiaszów» i t. d.), prócz pamiętników, pisał wielki poemat historyczny, «Stefan Czarniecki». Jak «Ziemiaństwo» miało być odpowiedzią na «Sonety Krymskie», tak «Czarnecki» jest antytezą «Wallenroda»: zbawia kraj nie zdradą, jak tamten, ale męstwem, patriotyzmem i poświęceniem. Sympatycznym epizodem w genezie «Czarneckiego» jest serdeczna korespondencja osiwiałego poety z synem jego przyjaciela, Zygmuntem Krasiniskim, który poddał starcowi myśl nadania bohaterowi cechy jasnowidzenia; z drugiej strony uczynienie Czarnieckiego w «Przedświcie» wyobraźcieniem rycersko-chrześcijańskiej przeszłości zawdzięcza Krasiniski Koźmianowi. Majątek oddał synowi, za granicę swej wioski nie wychylał się prawie zupełnie, z chłopami zachował stosunek patryarchalno-ojcowski, coraz smutniej patrzył na wyrastające dookoła niego mogiły krewnych, przyjaciół, kolegów. Wreszcie, w głębokiej starości, przeżywszy lat 75, umarł w Piotrowicach dnia 14 lutego 1856 roku.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Zbiorowego wydania pism Kajetana Koźmiana nie posiadamy. Osobno za życia autora ukazały się prócz niektórych ód i mów (Mowa na pogrzebie Marcina Badeniego 1824, Stanisława Mokronowskiego 1821, o życiu i pismach J. Nagurczewskiego 1811), «Ziemiaństwo polskie» (Puławy 1830 tylko I i II pieśni; całość tegoż roku we Wrocławiu), a także «Rys życia Jana Feliksa hr. Tarnowskiego» (Lwów 1842); po śmierci autora ukazały się: «Stefan Czarniecki» (Poznań 1858), «Pamiętniki» w trzech oddziałach (Poznań 1859—1865), Żywot ks. Józefa Szezepana z Rzeczycy Koźmiana» (Poznań 1865), wreszcie dwa wydania zbiorowe: «Różne pisma prozą» (Kraków 1878 i 1885; życiorysy, pisma polityczne, literackie i t. d.), «Wiersze różne» (Kraków 1881).

b) O Koźmianie pisali: Wojciechowski K.: «Życie i dzieła Kajetana Koźmiana» (Kraków 1897); Siemieński Lucyan: «Obzwy klasyków» («Pisma», t. V.); tenże: «Kajetan Koźmian» («Pisma», t. III); Krasiniski Zygmunt: «Listy o poemacie Koźmiana Stefana Czarnieckiego» («Przegląd Poznański», 1859); Morawski Franciszek: «Żywot Kajetana Koźmiana» («Pisma», t. I); Chrzanowski

Ignacy: «Kajetan Koźmian» (w «Albumie znakomych Polaków i Polek XIX w.» Tom I.); Tarnowski Stanisław: przedmowa do «Wierszy różnych»; Skrochowski J.: «Korespondencja K. K. z Fr. Wężykiem» («Przegląd Polski», 1875, II), «Rzut oka na poemat K. K. Stefana Czarnieckiego» («Przegląd Lwowski», 1875, t. X).

A) Oda na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie. (1809).

Z wydania «Różne wiersze» (Kraków, 1881), str. 40 — 43.

148) Drżycie, ludy wiarołomne,
Drżyj, rodzie Ulisa nowy!
Gdzież są zastępy ogromne,
Co światu niósły okowy?
Zaledwie nikczemne zgraje
Nachodzą sąsiedzkie kraje,
Zabrzmiwały ich krwawym zgonem
Brzegi Dunaju i Wisły:
Co za szalone zamysły
Chcieli walczyć z Napoleonem!

Zbyt trwożni działali otwarcie,
Jędze wam podały rąkę,
Na berła świata wydarcie
Przywołał nikczemną zdradę:
Na wasze chytre namowy
Kantabry podnoszą głowy,
Panatyzm ich wiedzie krwawy,
Lecą z piekła wszystkie zbrodnie,
Miecze, sztylce, pochodnie
I hasło waszej wyprawy.

Ale, o próżne nadzieje!
Zaledwie krok stawia zdrada,
Już się płaszczą Pireneje,
Z błyskiem wasz pogromca spada,
Jak ów Jowisz, co na niebie
Nie zna władcy, tylko siebie;
Kiedy się gniewem zapali,
Za zwrotem jego żręnie
Huczą burze, nawalnice,
Ziemia jęczy, świat się wali.

Stoją rozwarłe otchłanie,
Chylą się zawady tronu,

Krótkie dumy panowanie,
Pięć dni od groźby — do zgonu.
Podległość ludów zachwiana,
Dumny Wiedeń gnje kolana;
Otoczon jękiem i płaczem,
Patrząc na swych państw ostatek
Z gronem niedorosłych dzieciak,
Mocarz Germanów — tulaczem.

Już tylko jedna zapora
Zwyczajnie trzyma szeregi,
Bronić waszego Hektora
Nowy Ksanth porzucą brzegi,
Ale próżno boje wszczynają,
Szumi, wre, pieni się, wspina;
Ta sama moc niepojęta,
Przed którą świat drży w pokorze,
Dumną rzekę wypycha w łóże
I już cicho nosi pęta.

Rozpierzchłe z trwoży obozy
Cóż od zagłady ustrzeże?
Czeka was los Saragocy,
Okopy, warownie, wieże;
Patrzcie, lecą hukce chyże,
Błyszcą miecze, ryczą spiże,
Wszystko się w gruzy zamienia!
Chwała Ci, Największy z ludzi!
Jak Cię szczęście świata trudzi,
Już zbrodnia nie ma schronienia!

Lecz wy! których kraj nadzwiadów
Ledwie przemocy wydarły,
Już celem krwawych napadów,
Mężne dzieci nowej Sparty!
I wy! których rodu znamię
Zadną przemoc nie przełamie,
Chociaż granica przedziela,
Patrząc na łupieżców zgony,
Ciesz się, ludu uciśniony,
Już masz krzywd swoich mściciela.

Com rzek! jak Bóstwo natchnieniem
Nieme ożywia żywioły,
Wsparci twem dzielnym ramieniem,
Świeże ucznie twojej szkoły,
Ledwie się ich ziemi tyka

Harda noga najezdника,
Gromią pułki Laudona,
I zdziwionym nad tym czynem
Pokazali nad Raszyнем,
Że nie męжных nie pokona.

Oto są cuda zapalu,
Którym dusza wodza płonie,
Wzięte szacze bez wystrzału
I braciom podane dłonie.
Zamość, do obrony śmiały,
Najeża działami wały;
Miota z paszczów grom po gromie,
Lecz wrą bębny, — tej godzinny
Miecze, topory, drabiny,
I rodacy na wylomie.

Patrzyłeś z grona niebianów
Na mścicieli twoich zwłoków,
Największy z polskich hetmanów!
Pogromco dumnych widoków!
Wkrótce ujrzą Jagiellony
Potomków i tron zemszczony,
Ludy zniszczoną niewolę;
A jeżeli doświadczyć broni
Duma nieprzyjaciół skłoni,
Świat ujrzy nowe Psie Pole.

Wodzu! godny wiecznej sławy,
Postępuj za świetnym celem
I na równinach Morawy
Złącz się z naszym Zbawicielem.
A gdy wpośród męжных szyków
Ujrzę naszych ochotników,
Okaż mu ich chlubne bliźny;
Niech za krew, która się leje,
Uści nasze nadzieje
Powrotem lubej Ojczyzny!

B) Do tańczącego Krakowa (1813).

(Tamże, str. 76).

149) Kiedy los, sprzysiężony na kraju ruinę,
Smutną przemoc Polski dobija godzinę,
Gdy z ostatniego szczątka ojczystej uchrony
Wyparty męжны rodak w obce zmierza strony,

Gdy niemasz, ktoby nas mógł, ktoby chciał zasłonić,
Było komu kraj niszczyć, niema komu bronić,
Co za szczęśliwy powód do uczci i do tańców!
Skaczą żony i córki niebacznych mieszkańców,
Skaczą rycerze, skaczą pierwsi urzędnicy,
Skaczą w domach i ledwie już nie na ulicy.
Dają nam bravo obcy i każą grać dalej,
Zawsze tak Polak skakał, jak mu oni grali.
Od walca i kadryla zaczął się bal w kraju,
A kończy się kozakiem, jak było w zwyczajn.
I choć może niedługo potrwa skok ostatni,
Są tancerze do pierwszych, są do drugich zdadni.
Sama zalotna Egle, by kto był ochoczy,
Przeudnie po kadrylu kozaka wyskoczy.
O, dzięki ci, wyborne Polek wychowanie!
Polska ginie... Tańczymy, póki czasu stanie,
Tańczymy i nie myślimy, co nastąpi potem,
I skończymy godnie scenę płochnych głów zawrotem.
Niemasz, płci piękna, żadnych do smutku powodów,
Taniec na swoją wziętość u wszystkich narodów
I, czy Moskał, czy Niemiec tę ziemię posiadzie,
Zniszczy język i prawa, lecz walcować będzie;
Ja nie mogę nie westchnąć, że wśród Polek grona
Widzę dzieci skaczące, kiedy matka kona.

C) Oda na upadek dumnego w roku 1815.

(Tamże, str. 91—93).

- 150) Pierwsi w śmiertelników rządzie,
Których pycha niebios sięga!
Czem jest — postrzeżenie się w błędzie, —
Wasza wielkość i potęga?
Jeśli zdany waszej pieczy,
Naród ludzki jej złorzeczy,
Słaba jej podpora w broni,
Bo jest, jest wyższy nad wami,
Co się nędznych wzrusza łzami
I pioruny trzyma w dłoni.

Trzyma gromy, a przed nim
Drżą narodów burzyciele,
Pomsty Jego na tej ziemi
Dziś narzędzia, jutro cele.
Póki z nimi Jego ręka,

Świat im służy, gmin przykleka,
Niech się cofnie, a w tej chwili
Czem są te ziemskie pół-bogi?
Padają, jak proch, pod nogi
Tym, co im wprzód czołem bili.

Widziałem, jak groźny światu,
W postrachu ludów i zgroznie,
W całej pysze majestatu
Na zwycięskim jechał wozie.
Słyszałem krzyk zbrojnych szyków,
Brzęk kajdan, jęk niewolników.
Padło na twarz ludzkie plemię,
Króle w pętach, ludy w trwodze
Wolali przed nim po drodze:
Bóg to, Bóg zstąpił na ziemię

Bóg to, Bóg, głos mój powtarzał,
Bóg z wieczną władzą i chwałą.
Ach! kto mi ojczyznę stwarzał,
Jakież mu imię przystało!
Chociaż godne przebaczenia,
O! bluźnierze umiesienia,
Zagięcie z bezbożnym wiekiem!
Mógłbym tak Stwórcę poniżyć,
Chcę ku niemu tego zbliżyć,
Co się nie znał być człowiekiem?

Nędzny proch, rodu niepomny,
W zapędzie dumy piekielnym,
Widząc u nóg świat ogromny,
Uwierzył się nieśmiertelnym.
Już mu się wszzechwładztwo marzy,
Pragnie świątyn i ołtarzy,
Co chce, za niemylnie trzyma.
Zalodwie go ten szal chwytą,
Już się świat zdumiony pyta,
Gdzież jest? Był i już go niema!

Ruń! jak ów cedr wysoki,
Co wzrósł razem z przyrodzeniem,
Wierzecholkiem dzielił obłoki,
Piekiel dotykał korzeniem.
Już się szermot upadku szerzy,
A świat jeszcze w to nie wierzy.
Wstrząsły się lochy Erebu,
Więźnie Plutona struchlali,

Mysząc, czy się świat nie wali,
Z ciennie wyjrzeli ku niebu.

Ten, który palca skinieniem
Łądy, morza, nieba stworzył,
Jednego żywiołu techniem
Dumą świata upokorzył.

Dopiero jak ciennie chmury,
Wrzące na zgubę natary,
Snuły się lufoć zastępów,
Już ci bez ruchu, bez rady
Padają, jak mdle owady,
Na pastwę kraków i sępów.

Księgo, wiekami nie starta,
Jak srogie niesiesz wyroki!
Jedna twoja krwawa karta
Zalega, jak świat szeroki.
Niech słabość pociechę czyta,
Niech dumą w wściekłości zgrzyta,
Brzmi przestrogą okrag ziemi:
Bóg sam potężny, Bóg wieczny,
Los zdradliwy, niestateczny,
Człowiek poziomy, nikczemny.

D) List

Odpowiedź Franciszkowi Morawskiemu na jego list
o klasykach i romantykach (1825).

(Tamże, str. 94—96).

151) Gdy równie słynny rymem, jak Marsowym szykiem,
Morawski mi powiada: nie chcę być klasykiem,
I woła na nieśmiało Feba towarzysze:
Nie ucz się, lecz pisz, jak cheesz, a sam tak nie pisze;
Przypomnieć wiersz klasyka nadaje mi prawo:
«Nie rwijcie, chłopcy, kwiatków, bo wąż jest pod trawą».
Rady sprzeczne z wzorami wprowadzą was w siła,
Lecz komu uciążliwe rozsądki prawa,
Tema powiem: nie stłumiaj, coś otrzymał w darze,
Nie potrzebując wzorów, spal dawne pisarze,
Powierzaj się gorącce, nie radź przeszłych wieków,
Nie śmieję się z Rzymianami, nie płaczliwami Greków.
I ruszaj, Faetonie, albo nowy Febie,
Niechaj westchną nad tobą lub się śmieją z ciebie,

Kiedy żadnych u ciebie zalet nie stanowi
Znana myśl Horacemu albo Maronowi.
Głos godniejszy pochlebi twej dumie:
To to pisarz, co pisze, chociaż nic nie umie;
By nie krał, nawet imion nie słyszał pisarzy,
Pisze, jak myśli — myśli, jak mu się zamarzy.
Mówisz: przed żadnąż powagą nie będę się korzył,
Bóg mnie wieszczem mnych czasów, ani małpą stworzył;
Pyszna sojko, własnemi pióry leć ku sławie,
Ja ci jednak niejedno wyrwę piórko pawie.
Masz przyczynę ztorzączyć niebacznym klasykom,
Że śpiewali pochwały Augustom, Ludwikom,
Z ich tworów wiele na świat spłynęło smoty;
Łaskawszy rząd dla ludów, dla nauk wiek złoty,
Wielkiej zbrodni są winni, że, nie burząc tronów,
Chcieli kształcić Tytusów, gdy brakło Katonów;
Lecz wyznaj, czyś ich poznał, a przynajmniej czytał?
I co na to odpowiesz, gdybym się zapytał,
Czy podłego pochlebstwa wzory wydał z siebie
Wieszcz, co zrobił Katona prawodawcą w niebie,
Co tego, co Rzym sprzedał i pana mu nadał,
Pchnął w piekła wobec pana, co już Rzymem wdał;
Czyż i temu podłości zarzucisz znamiona,
Co rzekł: wszystko podbite, prócz duszy Katona?
Spal więc dzieła, podobnej uległ przygnanie:
Co Polsce po Horacym, gdy Szayler zostanie,
I naprzekór pierwszemu stargajmy przepisy,
Łączmy węże z ptakami, z jagnięty tygrysy;
Do końskiej szyi ludzką przypinajmy głowę,
Ryby z piękną kobietą spójnij na połowę,
A nad tymi cudami napełnij kartą
Niechaj się gmin zadziwia z grębą wółtrozwartą,
U gminu są godniejsze dla wieszczów pamiętki,
Usiądźmy z lutnią w rękę między wiejskie prządkii
I, własnym ich językiem nowe tworząc wzory,
Śpiewajmy: Wiedźmy, Strachy, Strzygi i Upiory;
Wszak już uceń Krzemienica w ukraińskim smaku
Nuci dyndającego wisiela na haku.
Wszak drugi, jego śladem budząc podziw w gminie,
Już nam w szczytnej balladzie śpiewa o pierzynie.
Z tak szczęśliwych początków wróżyć nie jest trudno,
Że zanućca o Kaśce, a choć Kaśka brudną,
Przedmiot gminny dostarczy rymów do osnowy.
Cóż stąd, że nieco traci — ale narodowy...
Sam przeto przedmiot gminny godzin wieszczów śpiewu.
Niech więc nasze pasterki paszą trzodę z chlewu

Niech im pijany Maciek przygrywa na dudzie,
 Po co smakiem salońdów paść prosty smak w ludzie?
 Brodziński zgrzeszył, gwałcając wiochów prawda,
 Że krakowskiego Małcha przekatał w Wisława.
 W naturze wszystko piękne, godne oka, ucha,
 Równie piękny koi dzielną, jak błotna ropucha.
 Niżej, niżej natura skryte wzdzięki ściele,
 Choć za jeden fioletek pokrzywy nazbyt wiele.
 Młodzi, nie naśladowajcie śpiewniących pisarzy,
 Oni brali, co pachniało, wy bierzcie, co parzy.
 Precz więc, Grecy z Parnasu, precz Rzymian prawidła,
 Gdzie Helikon za piecem, a Muzy u bydła,
 Każdy źebrak Homerem, a pastuch Hezyodem.
 Witaj, wieku szczęśliwy do pychy powodem,
 Ty nam obraz natury zdolasz wydać szczerzy,
 Idź do jaskini lotrów, tam twe bohaterzy.
 Śpiesz wystawiać na scenie rosnące nadzieje,
 Wspaniałe rozbójniki, szlachetne złodzieje.
 A gdy owoc twych darów rozmnoży się wszędzie,
 Powtarzaj z mistrzem: co to będzie, co to będzie!
 Przed takimi cudami kłóżyć się nie korzy!
 Lecz nie Bóg, ale dyabeł takich wieszczów stworzył!

E) Ziemiaństwo polskie poema w czterech pieśniach
 (1839).

(Z pierwszego wydania).

Pieśń I.

«Poema» opisowe, przez kilkanaście lat troskliwie czytelowane przez poe-
 te, poczęte w duchu Horacego «Georgiki» i «Ogrodów» Delli'e'a, miało
 być przeciwstawieniem «Sonetom» Mickiewicza i budziło wielkie nadzieje
 wśród klasyków, którym częściej było odczytywane. Nadzieje te zawiodły:
 «Ziemiaństwo» ukazało się późno, bo dopiero w r. 1839 (wyszło we Wro-
 cławiu) i nie sprawiło wcale wrażenia. Jest to obraz prac rolnika, z ca-
 łym szeregiem rad i wskazówek agronomiczno-ogrodniczych. Poeta zaczyna
 od obrazu wieku złotego, kiedy nie było panów i niewolników, i od wczyna-
 nia do ludzkości, by go natchnęła, oraz do Staszica, zacnego opie-
 kuna ludu.

152) Nie powstał nigdy we mnie zamiar tak zuchwały,
 Bym chciał sięgnąć po wieńiec Wirgilego chwaly:
 Żaden mu z śmiertelników nie wyrównał w rymie,
 I dla świata on śpiewał, kiedy śpiewał w Rzymie.
 Szczęśliwy! rzawnej lutni tonami tkliwemi,

Od tryumfów na zagon wiódł zwycięzców ziemi
 I, wskazując, co oręż spustoszył zbrodniczy,
 Do niezroszonych łami zachęcał zdobywcy,
 Słuchał Rzym — bo, gdy berło wzniosł August łaskawy,
 Serca cnotą zapragnęły, a rola uprawy.
 Wyjrzała z niskiej chaty ogorzala praca,
 I świat chętnie uwierzył, że złoty wiek wraca.

Były i na tej ziemi Saturnowe wieki!
 Szumiały kłosem pola, złoto niesły rzeki,
 Lipy miodem potniały, sad zdołbit się kwiatem,
 Płoniły się tyryjskim jablonie szkarłatem,
 Błądzące po dąbrowsach, przy ciekącym zdroju,
 Trzody na głosach znajomy biegly do wydoju,
 Igrały po pagórkach przyplodki dorodne.
 Były i serca prawe, i wioski swobodne.
 Pod skromną strzechą szcześniejszą miernością prostoty,
 Swoboda pracą, praca rozkrzewiała cnoty.
 Ród kmiecia dawał króle, w nich wzór rządów blóch,
 Bez napastnych celników, bez pobórców mnogich
 Pług był dawcą dostatków, pług kraju puklerzem:
 Rycerz oraczem, oracz stawał się rycerzem.
 Wawrzynami okryte wracały do chaty
 Pruć własną dłońią zagon mżnę Cyncynaty;
 Przy ucztach Kuryjszów, w ubogiej lepiance,
 Niosły hołd pokonanych narodów postać.
 Wtedy wdzięczne Tyburu zaliśmy ustronie,
 Gdzie pierwszy bluszczał zakwitnął na poety skronie.
 Mieszkały Muzy w gajach, a wiejskimi tony
 Flet pasterski po gajach głosił Polliony;
 Lecz ukazał się zbytek, a z nim nieszczęśliwe brzemie!
 Skromnych ojców skażone wyparło się piemie;
 Weszła chciwość i wieki żelazne przywiódła,
 Oręż wziął znamię władzy, — pług niewoli godła.
 Żałamał ręce rolnik i, szlorząc obu,
 Próżno cienie Kaźmirza wywoływał z grobu;
 Nikły skargi w powietrzu, a gwałt bez przeszkody
 Żywiciela narodu wtrącił między trzody.
 Jęknęła sprawiedliwość na tyle zakąły,
 Lży litości na martwym licu skamieniały;
 A odtąd, choć się lemiesz powierzchni dotyka,
 Brzydzi się grunt zaklęty znojem niewolnika.
 Hojne dłonie siewacza bujna rola zdradza,
 Bo ziarno, lżą skropione, w oset się wyradza.

Ach! czas już, czas przejechać tak srogą niedolę,
 Czas przebłagać żelzone zagrody i role,

Śnieżne cielce zaprzęgać do krzywych rydwanów,
 Ścinać z łąk wonne kwiaty, złote kłosy z łąków,
 Wioszczyć nimi rolnika uszajone skronie,
 Oręż wrócić zbrojowi, plug stawić przy tronie,
 Głosić skrzywdzonej pracy zwycięstwa i sławę,
 Ludzkości! ty mię natchnij, twój śpiewam sprawę;
 A ty do powziętego przewodzisz zawodu,
 Mędrze! i rolniczego dobroczynco rodu!
 Pójdźmy do Hrabieszowa kwitnącej ustroni,
 Ty z ustawą swobody, a ja z fletem w dloni;
 Obraz uszczęśliwionych pienia moje wzbudzi.
 Kupiłeś niewolników, zostawiasz ludzi.
 Któryż z nich na twój widok czułą łzę utrzyma?
 Nie miało dzieło wzoru, i słów wdzięczności nie ma.
 Tobie matki z pogodną zająd drogę twarzą
 I sprawę szczęścia drobnym niemowlętom wskaza
 Nie zraża się, jeżeli padną na kolana,
 Nie wstydi ten hołd ojca, który wstydył pana;
 Przyjmij go, a zwiedzając zagrody wieśniacze,
 Spraw, aby moich pieśni słuchali oracze.

Przystępując do właściwej treści, zaczyna od opisu wiosny i robót w tej porze roku: więc orka i bronowanie, więc oczyszczanie roli z chwastów, sadzenie kartofli, używanie roli — przy czym daje się wskazówki co do zaprowadzenia płodozmiaru — więc siew, koszenie siana, tepienie szkodliwego ptactwa i ochranianie pokżytecznego, wreszcie żniwa i okólnie.

153) Str. 40—43. Ale już lato, upał wzmagając skwarliwy,
 Ogniem złoci technieniem popłowił nivy;
 Szepcą w krzakach koniki, przepiórka chraptliwa
 Pod ważącym się kłosem daje hasło żniwa.
 Dopiąstowała ziemia czekanej nagrody;
 Pospieszaj za nią w pola, korzystaj z pogody,
 Zbieraj boże dziewice i krzepkich młodzieńców,
 Gromadź orszak oboczy z raną zorną żeńców!
 Niechaj się miesza z gwarem licznej rzeszy głosów
 Chrząst krzywych sierpów, szelest spadających kłosów.
 Ty sam zaprzęgał woły, poki pora sprzyja;
 Niechaj się wóz za wozem szybkim pędem miży;
 Szparkim rzutem napełniaj szopami zapole;
 To twoje, coś uchronił przed słońcą w stodole.
 A gdy radośne pieśni pod niebo się wzbija,
 I dlonie pracowite wieniec ci uwija,
 Gotuj ucztę! — Już śpiewa u wrót orszak cały
 Przygany dla sąsiada, dla ciebie — pochwały.
 Wyjdź przeciw, wezwij w progi, przyjmij wieniec na czoło,

I z tą, która go nosła, zrób ochoce koło!
 Ta lipa lub ten jesion, co przecina chmury,
 Co pod nimi sponżywał może z Piastów który,
 Stań im za przyśonek z ozdobnymi stropy;
 Miękkie trawniki nagiej nie obrażaj stopy;
 Za ogień, w alabastrach albo szklach iskrzące,
 Zablysz na lazurach jasnych gwiazd tysiące;
 A jakibądź niegodne wydadzą dźwięk strony,
 Skoro na nich ojczyste odezwą się tony,
 Zadrgnie w ątlach krew młodzi, każdy poda dlonie
 Towarzyszcze, przy której żywał na zagonie.
 Zaczną się szybkie skoki, zacząć koła zwrotne,
 Przeplatane przez pieśni i rymy zalotne,
 Jakimi się spierał pasterze Marona
 Lub śpiewał w Czarzynlesie wieszcz śród kmieci grona.

Tak gdy ochota orszak unosi wesoly,
 Zajmą ojce i matki rozstawione stoly;
 Rozprawiać o przygodach będą dawnych czasów,
 O wojnach pod Sobieskim, swobodzie za Sasów,
 O nieplenności roku, wróżbach urodzaju,
 Lub z westchnieniem wyliczać będą kłęski kraju;
 Bo tu do ust przechodzi, co się w sercu mieści,
 Zmieszają się z smutnemi i miłe powieści
 O dzieciach, rodzicielskim posłusznych naukom,
 I uśmiechną się lica niewyrodnym wnukom.
 Szczerza życzliwość wejdzie w tajemną rozmowę,
 Raję pocziwych zięciów, nadobne synowe.
 Tworzą się łube związki, miłość do nich wzywa.
 Prawa cōro natury, prostoto szczęśliwa!
 Ty z dziedzictwem twej matki powaby jej dzielisz,
 Jej wdziękiem się zalecasz, uśmiechem weselisz
 I niestarte ojczystych zwyczajów obrazy
 Przekazujesz następcom bez odmian i skazy;
 Nie zarządco możnym gnachów ani miastom wrzawy:
 Jakże drogo zmuszone kupują zabawy!
 Chociaż przemysłna zbytku i przepychu sztuka
 Dla przesyconych zmysłów nowych ponęt szuka,
 Chociaż na ucztach szumią z gron kampańskich soki,
 Żeglarz przesyła muszle z Adryjskiej zatoki:
 Talijska, dla ich uciech, zwabionego widza
 Uczy serce niewinne wad, które wyszydza,
 A pod pajęczą wdzięków uroczych zasłona,
 Drażni uśpione żądze Terpsychory grono;
 Udana szczęście tęsknot z duszy nie wywoła,
 Usta zwodzą uśmiechem, lecz nie kłamią czoła.

Nieprzekupna wesołość porzuca wezglowie,
I tam rada przebywa, gdzie praca i zdrowie.

Jak pierwsza pisań roll, tak druga poświęcona jest domowej zagrodzie. Z początku więc mówi się o tym okresie pradziejów, kiedy nie było jeszcze zwierząt swojskich, potem o ich oswojeniu, dalej o bydłe rogatem i jego odmianach i zaletach, owcach, psach owczarskich, o uprawie roślin pastewnych, stawianiu obór, kozach, wreszcie długi ustęp o koniu, jego hodowli i ujeżdżaniu, jego przynależności i znaczeniu w historii i kulturze, wreszcie podaje się męt grecki o stworzeniu konia przez Posejdoną użyciem trójzębu o ziemi.

154) *Str. 71—74.* Ale czas już opuścić ród zwierząt spokojny,
Czas o tobie, rumaku, zrodzony do wjary,
Co się sam chętnie mieszasz w rycerskie zaciągi,
I dzielisz bohaterów sławę i posagi.
Czy skalistego Dniestru sine pijesz wody
I w dzikich stepach wiatry wyzywasz w zawody,
Czyli Natolskie żrebec na przeciwnym brzegu,
Do Stambulskich haremów chcesz prześcigać w biegu,
Bijesz nurty kopytem i w żądy zapale
Pracinasz silną pierśią odmyty i fale,
Albo za głosem surmy z Daków stanowiska,
Drży w tobie każda żyła, nozdrze ogniem pryska,
Pragniesz jeźdźca, by w pędzie pod kopyta twoje
Zmiał mieczem buńczuki, tarcze i zawoje, —
Staw się przed moim okiem w tej świetnej orodzie,
Niecierpliwu wędziła i wspaniały w chodzie;
Staw się z karkiem labędzim i grzywą rozwianą,
Żujący czyste złoto z białszą nad śnieg pianą,
Jakim cię w bojach znali Polscy najdzielni,
Gdyś się rzucił z Czarnieckim w szumny wir Pilicy,
Lub gdyś, porząc kopytem Cymmeryjskie tonie,
Plawił miecze sojuszne ku Danów obronie;
Lub na jakim Sobieski, z odsiecznymi rotą,
Wpadł z błyskiem na hardego Wezgra namioty,
Potopił dumne dżicze, — aż wyparty z łoża
Ister nowe koryto pruć musiał do morza:
A gdy lud wywabiony w hołdach się wyciągał,
On pysznił się zwycięzcą i czuł, kogo dźwigał.
Takim był rumak polski w kraju i za krajem:
Tak wslawiał jeźdźca Polski, on go wslawiał wzajem,
Gdy niegdys po Tauryckich stepach plosząc dżicze,
Krymskim hordom odbijał jeńców i zdobywce,
Lub na rozkaz Cezara, pośród mordów zgrozy,
Jednym skokiem przesadził Kantabrow wawozy.

Bo, chociaż go pod temi ujrzały znamiony
Krzyżowce u Grunwaldu, u Elby Teutony,
Nie jemu, ni rycerzom poczytam za chwałę,
Roztrącać spasyłych Fryzów szyki ociężałe,
Krew szlachetną z plmieniem mieszać niewolniczem,
Co powolne ciężarom, wiek trawi pod biczem,
Rozmnaża ród, na sławy potęgę nieczuły,
Zdolny zastąpić cielec i leniwe muly,
Tu, chociaż ostrą broną z bryl zamiata pola,
Nie tyle go spodliła praca i niewola,
By nie tęsknił do wżrwy w bitwach i obozach,
Lub nie pragnął zaprzęgu w tryumfalnych wozach. —
Badacze przyrodzenia, których myśl poznała
Wpływy ciał nieśmiertelnych na śmiertelne ciała,
Powiedziecie! jakiej gwiazdy władza niepojęta
Jednym tu krzepi ogniem ludzi i zwierzęta?
Skąd dzielność, męstwo, żądza do chwały jednaka
Ożywia tu rolnika i jego rumaka?
Patrzcie: ledwie uchyli z twardych zgrzebił szyć,
Już się otrząsa z pyłu, grunt kopytem ryje;
Niechże mu niedorostek, do gonitw ochoczy,
Bez kielzna i strzemięcia na gładki grzbiec wskoczy,
Już z nim hasa na polach, już przesadza ploty,
Zważajcie: kiedy słońce ściąga promień złoty,
Szkiniąca rosa na trawie po łąkach i smugach
Przymila paszę bydłu strudzonemu w pługach,
Już hoża młóź wyjeżdża rozciąglą szeregim,
Tętni ziemia pod kopyt wiatrolotnym biegiem,
Już koczuje w pomroku pośród pól i błoni:
Odzwajają się hasła i parskanie koni,
Stoją naokół czaty, płomień w cieniu błyska,
Tak tu pasterz rycerzem, obozem — pastwiska.
Te to szlachetne zbige od pluga i brony,
Świętymi bratnich szyków wezwane znamiony,
Przekwasy na bróń lemiesz, biegly pędem wiatrów
Nad kwicistą Sekwanę od stóp śnieżnych Tatrów,
Zdawalo się, iż spiekły słonecznymi żary
Śpieszy hufiec Numidów pod Rzymian standary,
I, nagiemi kolany ścisnąwszy rumaki,
Pędzi sądzające Party i brodate Traki.

W III pieśni mówi się o drzewach: przedewszystkiem losnych, potem owocowych, ich szczeniela, pielęgnowaniu, ochranianiu od rabusiów i szkodników, tępieniu robactwa, kretów, szkodnych ptaków, mrówek; dalej mówi się o pszczołach, chwali się ich rzadnością, karnością i pracowitością, pozwalające stawiać te owady za przykład ludziom. Potem przechodzi się

do drzew leśnych, borów i lasów, daje się piękny ich obraz, stworzony pod wyraźnym już, zapewne mimowiednym wpływem «Pana Tadeusza».

155) *Str. 120—123.* Ziemię, mlekiem i miodem płynącą przed laty!
 Gdzie twoje gaje, w wonne uwiecznione kwiaty?
 Gdzie twój rozkoszny Hymet? gdzie Hybla przyjemna?
 Zaszczył wschodniego Dniestru, północnego Niemna,
 Których darami stoly zdobili mocarze,
 A ogniem watykańskie gorzały ołtarze;
 Niestety! dłoń łakoma i niebaczną razem
 Zgwałciła te przybytki żągwią i żelazem;
 A skrzydlate wygnatce, uchodząc od ciosów,
 W borach brunatne soki ssą z bezwonych wrzósów.
 Już z nich prasy cypryjskie nektarów nie syca.
 Bo płyn gościnną sosną zaprawia żywica. —
 W tych tułaczów tajemki zapuścimy krok śmiały,
 Gdzie niegdyś łowcze trąby króla kmieci brzmiały,
 Gdzie Witold, pierś hartując na waleczne czasy,
 O twarde żubrów czoła kruszył rohatyny —
 Pójdźmy w te głuche puszcze, pójdźmy w bory czarne,
 Pójdźmy wstrzymać napaści i gwałty bezkarne!
 Czas nauczyć rolnika, jak, roztropny w pracy,
 Ma dać wymiar siekierze, ma dać zakres gracy.

Lubię poważnych lasów uroczystą ciszę,
 Lubię szum, gdy wierzchami wicher zakolysze. —
 Czy mić chęci tam wiodą w południa upały,
 Czy wśród milczącej nocy, gdy księżyc wspaniały,
 Zwiedzając te odwieczne pomroku siedliska,
 Przez czarne jodły srebrne promienie przeciska,
 A między ciemnych świerków ukryty konary,
 Puhacz haka i ze snu zda się budzić mary,
 Mierzę wzrokiem te buki, wspanące dokola,
 Jak stopą gniotą ziemię, w niebo wnoszą czoła;
 Badam dęby odwieczne o ich młode lata
 I, przenosząc się myślą do kotyksi świata,
 Zwiedzam ich ramionami sklepione jaskinie,
 Pierwsze dachy śmiertelnych, pierwsze bóstw świątynie,
 Groźnych niegdyś wyroczni nieprzebyte progi,
 Których strzeżł postrach błądy i zabobon srogi,
 Zabobon, co, na ołtarz wyniosłszy bałwany,
 Katów z nożem za pierwsze wybrał im kapłany. —
 Ach! gdy wspomnę, że może pod tych drzew konary
 Pierwsze nędznej ludzkości padały ofiary,
 Myśl moja tak posępna, jak pomrok tych cieni,
 Smutkiem obciąża piersi, niezdolne do pieśni. —
 Chętnie dążyłem w lasy, prędszym wracam krokiem,

Uteśknionym pól, bloni, zagród szukam wzrokiem,
 A gdy ujrzę nad szczytem wiosiek dym białawy,
 Złote kłosa na niwach, kwiaty wśród murawy,
 Gdy słyszę ryki trzody, skaczącej po smugach,
 Pieśń wesolych oraczy, idących przy plugach;
 Czuję do innych natchnień mą duszę sposobną
 I nie dzięk naturę śpiewam, lecz nadobną. —
 Radbym przedrzeć tę szatę, pod której zasłoną,
 Ziemia przed wzrokiem słońca żyzne kryje łono,
 Widzieć oraczy lemiesz, gdzie dziś stoją bory,
 I na te głuche puszcze wzywam o topory. —
 O! gdyby dawną władzę miały wieszcza pienie,
 Drzewa z miejsca poruszać, ożywiać kamienie,
 Padłyby za mym głosem te lasów pustynie,
 Co swój zmierzch rozciągnęły przy Słucey i Pinie —
 Cień posepny nad źródłem Narwiby zagał,
 Prypeć wyjrzałby z borów i po błoniach płynął.
 Nie żali się mieszkancie Renu i Dunaju,
 Że mu hercyńska puszcza już nie mroczy kraju,
 Skoro tam, gdzie rozścielał zwierz drapieżny leże,
 Złotem błyszczące oblok przecinają wieże,
 Dzwon, się na nich kotysząc, niebu dźwiękiem głosi
 Każdy ruch, którym ziemia toczy się na osi.
 A gdzie pastierz nie zaszedł, sług nie tknął zagona,
 Dziś dowarza na tykach płodkie promień grona. —

Piękny jest również opis płonącego lasu.

156) *Str. 125—127.* Kto te czarne oglądał lasów zgorzeliska,
 Wyschłe chrósty bez liści, ziemię bez pastwiska,
 Przeszwory, pochłonięte przez płomień pożeraczy,
 Na których okopciały łom przy lomie steracy,
 Gdzie się już ptak nie gnieździ, zwierz żera nie szuka,
 I tylko po spróchniałych dzieciół korach stuka —
 Czyliż pośród ciężkiego nie wyrzekł westchnienia:
 «Niema tu rąk do pracy, lecz są do niszczenia?»
 Jakiż to wróg te kłęski roznosi zawzięty?
 Zaledwie wiosna sieje wdzięki i ponęty,
 Tu się już dymia lasy — i, jak sięga oko,
 Młoda zieloność mroczą błękitną powłoką;
 Bo ten wietrzyk, co w chwili natury odżycia,
 Kotysząc, młode pączki uwalniał z powicia,
 Tu płochemi igraszki z zdradliwym żywiołem,
 Gdy obudzi tlejącą iskrę pod popiołem,
 Już ta iskra, rozdepta lekkimi podmuchy,
 Chwyta drobne gałązki, chwyta listek suchy;
 Żarzy się i, błysnąwszy, jak zbrojne szeregi,

Lub skłaniające nurty rzeki, wyparte nad brzegi,
 Pędzi ogniste strugi i szerzy się z traskiem;
 Zrywa się zwierz, zbudzony łoskotem i blaskiem.
 Osaczony wokół — śmierci nie ominie,
 Błąka się, wpada w płomieniach ginie. —
 Lecz gdy niesyty żywioł poziomymi łupą,
 Pnąc się, zamieni drzewa w palające słupy,
 Napowietrznych mieszkańców płoną wzniosłe domy,
 Porzuca gniazdo orzeł, niestrwożony na gromy,
 Ufny skrzydłom, pod nieba niesie krzyk i trwogę,
 Wiatr za nim iskry miota — dym przecina drogę.
 I aż pod gwieździstymi doścignię lasury,
 Martwy z ogorzalemi spada na dół pióry. —
 Cóż, gdy na buchającej ogniami przestrzeni,
 W jeden się płomień złączą tysiące płomieni:
 Gore ognista góra, a wierzch jej wysoki
 Wązkim językiem sięga i parzy obłoki,
 Po rzekach, po jeziorach blask jutrześni nieci.
 Już nie słońce dla ziemi — ziemia niebu świeci. —
 Odległych stron mieszkańce truchleje śród cieni,
 Na tą lunę, co między błękitny ramięni.
 Małema, że, twarde pieczar przedarłszy sklepienie,
 Piekło z czaraych ochłaii wyrzuca płomienie:
 Że część ziemi w popiele, że już świat przy zgonie,
 Jak go chłonęły morza, tak go ogień chłonie.
 Taką trwogę rozniosły te straszne pożary,
 Co zaledwie zagasy w nurtach Nijagary. —
 Ale tam na te borów odwieczne podpały
 Skryte w nędznościach ziemi zarzewia zatłaly:
 A tu cóż sprawa postrach i klęski podobne?
 Drobna iskra! — przez ręce porzucona drobne. —

Ostatnia, IV pieśń odmienna jest od poprzednich: autor wprowadza tu pierwiastek liryczny, mówi o swoim życiu wśród gwaru wiejskiego, które nie dało mu zadowolenia, zniechęcony powraca do swej rodzinnej zagrody, witając z rozrzewaniem swych przyjaciół-rolników. Przycho-
 dzą odwiedzić go sąsiedzi, których przyjmuje z radością, rad spędzić w ich gronie chwile spoczynku od pracy. Ale nie wpuszcza do swego domu skapen-
 pieniacza, ni chłewca, bogaczącego się nędzą wieśniaków. Wychwala ży-
 cie wiejskie, ciche, spokojne i pracowite, wynosi pod niebiosa Puławy, jako
 wzór ustroju wiejskiej. Dalej opisuje swe wiejskie zajęcia i przyjemności:
 połów ryb, polowanie, zimowe wieczory przy kominku i dobrych książkach,
 kończy wreszcie wzwaniem do różnych stanów, nawołując je do «wzajem-
 nej pomocy, szacunku i zgody», przytacza serdeczną rozmowę rycerza z ro-
 lnikiem, kończy zaś następującą apostrofa.

- 157) Str. 185 — 186. Szczęśliwy, kto, wracając pod rodzinną strzechę,
 Z przeszłości dla przyszłości zbierał pociechę
 I z długiego pobytu na przestrzeni świata
 Młodych chwil przypomnieniem stare radeży lata,
 W łebzie dawnych przyjaciół na potomków zlewa
 I ludzi, i zwierzęta, i pola, i drzewa,
 A smutnej nie zostawia synom swym puścizny,
 Zaprzec się ojca, by się nie zaprzecł ojczyzny.
 Niech więc inni ponętą znaczenia i zbioru
 Dni i nocy na łaski oczekują dworu;
 Niechaj, w szkole obłudy przymiliwszy twarze,
 Ciche cudzym zasługom gotują potwarze;
 Niechaj z próżności czyli z chciwości zapędów
 Wszyscy się cisną hurmem do miast i urzędów,
 A pamiętni o sobie w krajowej posłudze,
 Niż pracować w swych wioskach, wolą wglądać w cudze:
 Wy zawsze z sobą zgodni, zawsze w chęciach skromni,
 Sprawcie, by, o was mówiąc, wyrzekli potomni:
 «Komu miła ojczyzna, cnoty, obyczaje,
 «Niechaj broni tej ziemi lub ją w skiby kraje». —

F) Stefan Czarniecki, poemat w 12 pieśniach (1858).

Zaczyna się, według modły klasycznej, od wyluszczenia treści, którą
 ma być ocalenie Polski przez bogobojnego i męznego rycerza, i od wzwania
 do Bóstwa chrześcijańskiego.

Pieśń I.

- 158) Str. 3 — 5. Mężą śpiewam, wybawcę nadwiślańskich ludów,
 Co go Bóg na spełnienie swoich wybrał cudów,
 Co ramie jego w groźny oręż sam uzbroidł,
 Aby rozdarta Polskę w jedno ciało spoił;
 Sam mu palcem pokazał do zwycięstwa drogę,
 Nauczył karcieć obce i domowe wrogi:
 Swawolę, samolubstwo, niezgody i zdradę,
 I tę zadróść — polskiego rodu wieczną wadę,
 Ileż od przez nią cierpiał, gdy się bojem wślawiał,
 Nie od tych, których gromił, — od tych, których zbawiał!
 Ileż krwią hojną skropił placów swego męstwa!
 Z iluż się kłęgk nie dźwignął, nim dopił zwycięstwa
 Nim przartył karki zdradcy, zbłąkanych nawrócił
 I dumnego Karola za morza przrzucił;
 Nim srogiego Bogdana skarcił bunt zbrodniczy,
 Wyrwał skrwawione łupy Tamerlana dzicy,

Nim rozgromił zastępy potężnej północy,
 Hunnów przegnał za Tatry, których wiódł Rakocy;
 I, wszędzie niosąc dzielny odpór i obronę,
 Wrócił ziomkom ojczyznę, królowi koronę.
 Tak, choć się świat na Polski zagładę sprzymierzyl,
 Sam zbawił, bo sam tylko w jej zbawienie wierzył.

Ty, których wybranego pomiędzy proroki
 Elijasza w ognistym wozie wzniosł w obłoki,
 Pamię wieczny! spuść na mnie promień światła z nieba!
 By głosić Twoje cuda, nowych cudów trzeba.
 Niech mnie Twa ręka wesprze i pieśni osmieli,
 Zawre ogniem pierś wieszczą, choć skronie szron bieli.
 I Ty, trzecia osoba Trójce tajemnicy,
 Co się na skrzydłach śnieżnej wznosisz gołębiczy,
 Duchu Najświętszy! spuść się z niebieskich obłoków,
 Otwórz przede mną księgę odwiecznych wyroków,
 Wiem, z dziejów świata jakie padły na nas ciosy,
 Gdy gnębionej ludzkości głos przebił niebiosy
 I na zagładę naszą już szła przemagal;
 Wiem, kto Bóstwe obraził, wyjaw; kto przebłagał.
 O Ty! której przy Ojca Przedwiecznego tronie,
 Księżyce w stóp przyświeca, gwiazdy wieńcząc skronie,
 Królowo niebios, ziemi najczystsza dziewico,
 Co Cię Bóg Syn zna Matką, Duch — obłubienicą!
 Ach! Twoja to wszzechwładna zjednała przyczyna,
 Bo czegoś prośby matki nie sprawią u syna:
 Niech więc najprzód Twa chwala zabrzmi w moim rymie,
 Niech ołtarze, «świętynie sławią Twoje imie
 Aż po ten dzień ostatni, gdy trąba anioła
 Przed sąd straszny ciemniczość ludzkości powoła.

Bóg, zagniewany na Polskę za jej grzechy, sprowadza na nią pięć groźnych narodów, a króla Jana Kazimierza, który zgrzeszył występkiem uczuciem dla żony Radziejowskiej, skazuje na wygnanie. Żądny zemsty Radziejowski wiezie na zgrubę ojczyzny Karola Gustawa, a głuszac w sobie wyrzuty sumienia, wzywa «władcę piekieł» do pomocy. Szatan nasyła na Polskę jędze pod przewodem jędzy niezgody, która powoduje haniebne przejście na stronę wroga pod Ujściem. Lud modli się po świątyniach, wołając do Boga o litość. Bóg upatrnie sprawiedliwego, dla którego wartoby naród oszczędzić, w osobie Stefana, który już na ostatnim sejmie dał się poznać, jako dzielny wojownik, mający na celu obronę wiary i ojczyzny. Spiesząc do oboza, król wstępuje do klasztoru na Bielanach, gdzie jeden z zakonników przepowiedział mu, że Bóg wybrał zbawcę dla ocalenia Polski. Król uchodzi do Krakowa; Karol oblega stolicę, ale Czarniecki broni jej dzielnie. Lecz w mieście niedostatek; kiedy więc Czarniecki przy świe-

tle księżycą robi wycieczkę na Szwedów, król uchodzi pod osłoną nocy. Wstępnie do Częstochowy, zrazu niepoznany, potem witany z radością. Gdy w nocy spowiada się przed jednym z zakonników, ten odkrywa mu się, jako Hołownia, który w bitwie pod Guzowem omal że nie zabił ojca jego Zygmunta, i prosi króla o przebaczenie. Jan Kazimierz chroni się do Opawy na Śląsku, a tymczasem Czarniecki na rozkaz króla i św. Stanisława, który ukazał mu się we śnie, poddaje wygłodzoną stolicę i wychodzi pod broń, z rozwiniętymi sztandarami. Gdy Stefan odpoczywa w Czarńcu na łonie poczciwych wieśniaków, tymczasem Częstochowa bohatercko odpiera szturmy Müllera. Karol Gustaw, uniesiony pychą, mniema się za króla Polaków, choć stropił go wieszce słowa Starowolskiego.

159) Str. 285—288. Król spuszcza się z kapłanem do ciemnego lochu, Z władzy, potęgi, chwaly widzi szczytę prochu, Widzi zakrzepłe twarze, widzi martwe zwłoki, Tak zimne, jak te czarne sklepienia z opoki; A umysł ślepy dumną pamięć z myśli strada, Że te prochy władady, tak jak on dziś włada, I, jakby nieśmiertelność z bóstwem pospolito, Przy urnach z popiołami dmie się, garść popiołu. Owszem, wychodząc, większą pychą się nadyma, Że po tak wielkich królach berło w ręku trzyma. Staje między wniostłymi górnych sklepień łuki, Widzi z marmuru pomnik Praksytela sztuki, Do łoża śmierci postać królewską przykutą, Powagę rysów twarzy zachowało dłoto; Ale go krata z kruszcem dokoła otacza. «Co znaczy ta zapora», pyta się tłómacza. «To jest Kaźmierz», rzekł kapłan, «ostatni z krwi Piasta, «Pod nim wzrosły to grody, te twierdze, te miasta, «Miejsca pustyń osady i zamki zaległy, «Objął Polskę drewniana, a zostawił z cegły; «Księżą prawd gwałt ukrócił, który lud nieciszał; «Rdzewiał pod nim wieki Chrobrych, a lemież potyskał, «Zwano go królem chłopów, gdy zawarł powieki, «Imie wielkiego wdzięczne przyznały mu wieki. «Lud pomnik trwałszym nad spłiz wyrazem ozdobił, «Żal swój usty wytoczył i łzami wyłóbił. «Lecz, gdy uciek powrócił między wiejskie chaty, «Lud od natłoku ledwie wstrzymał te kraty, «Cień jego wywołując przy żalonych skargach, «Lżąc marmur, w pył zmiećkując, unosił na wargach. «To jest król, najslawniejszy walocnymi czyni, «Batory, przeszedł na brzeg Poloty i Dźwiny, «I potężnym ramieniem przy dzielnych hetmanach «Zmusił Moskwę pokój błagać na kolanach.

«Niestety! gdy zamierzał dokonywać dzieła,
 «Dni drogie dla narodu śmierć w Grodzie przecięła!»
 Gdy się ku drugiej stronie świątyni przybliży,
 Czyta napis u stóp wzniesionego krzyża:
 Przy tym krzyżu Jadwiga lzy sączyła hojne,
 Ilekrót król i naród biegł odpiierać wojnę,
 Zdobiła tron cnotami, zgasła w wieku wiosnie.
 Gdy kapłan opowiada jej życie żalosię,
 Jakże dla obu ludów, dla Boga, dla wiary
 Z miłującego serca zrobiła ofiary,
 Rzekł Karol: «Tę cześć dla niej bez zdziwienia widzę
 «Cnoty jej w drugiej stronie świątyni widzę»,
 Gdy się dalej posuwa na przeciwnej stronie
 Widzi posąg leżący z berłem i w koronie.
 Na drobnym wroście dziwi go ogrom pancerza:
 «To jest», rzekł kapłan, «ojciec wielkiego Kazimierza,
 «Łokietek, wielki męstwem, chociaż drobnym ciałem,
 «Złączył Polskę, rozdatą nadziadów podziałem,
 «Przemógł współzawodników, a w polach Polowców,
 «Przytulił dumną potęgę grabieżnych Krzyżowców,
 «Trzykręć talacz, po trzykrót powracal do tronu,
 «I na ostrzu oręża trzymał go do zgonu».
 Na to się obrażona pycha w królu cuci,
 Rzekł: «Łokietek wasz wrócił, lecz Kazimierz nie wrócił».
 Odpowiada pokornym głosem stróż świątyni:
 «Królu, fortuna zmienna, a Bóg cuda czyni»
 Jak piorunem, rażony kapłańskimi słowy,
 Zaniemiał i już wątek przerywa rozmowy.
 Pierwszy raz czuje w piersiach zachwianego ducha,
 Już nie widzi pomników, nie szuka, nie słucha
 I, gdy się krokiem zbliża do przysionków końca,
 Spotyka przez Müllera wystanego gościa.
 Częstochowa się broni, goniec nie ukrywa
 Kłęk zadanych, o działa i o pulki wzywa.
 «Waleczność nasza, królu», mówi, «jest daremna,
 «Ten mały klasztor wspiera potęgą tajemna».
 Krzyknął na to w zapale rozjuszonej pychy:
 «Mnież to opór stawiają zabobonne mnichy!?»
 «Weź działa, do Müllera śpiesz z moim rozkazem,
 «Niech tu stawi przecora wraz z caci ich obrazem,
 «Lub niech zuchwały opór w proch orężem zetrze.
 «Twierdzą, klasztor, ołtarze wyrzuci w powietrze,
 «Niech widzi Polska, w cudach wywabienia pewna:
 «Mój oręż cuda czyni, a nie deska z drewna».

Gdy zniechęceni Szwedzi w dzień Bożego Narodzenia odstępają od Częstochowy, daje to hasło do powstania w całym kraju; pierwsze rzucił jarzmo najeźdźców ziemia lubelska, gniazdo rodzinne poety, co daje mu powód do jej wychwalenia.

160) Str. 310—311. Gniazdo moje! o ziemię! słusznie uwielbiona,
 Czemuż ukryły dzieje te skromne imiona
 Ziemiann, rycerzy, którzy pierwszy srom uczeni
 I pognębiony lemiem na oręż przekuli?
 Mózżem na ich grobach i cichych mogiłach
 Szczępłt prochu ze krwi znalazł, co stygnie w mych żyłach!
 Zebrałbym go na piersi, szukał w nim żywiołu,
 A wieszczy żar został z walecznych popiołu;
 Cześć ci, pomniku ducha starowego, Lublinie!
 Dwojaką sławą Polski stary gród twój słynie!
 W twych murach Jagiellonów potomek ostatni
 Między dwoma narodami spojł węzeł bratni;
 Z twych murów, za twych dzieci i wzorem i duchem,
 Złączył się naród wspólnym ratunku łańcuchem.
 Niepróżno wziął twój jeleń na swój kark koronę,
 Gdy lud twój pędem jego biegł na jej obronę.
 Nie żaden gród wspaniały, nie żadna stolica
 Wyhawczymy związekiem dzieje krajowe zaszczyca,
 Tyszowce, gród nieznanu ni z murów, ni z gmachów
 W niskich swoich gospodach z pod słomianych dachów,
 Brzękiem skruszonych kajdan znak do walki daje,
 Wśród stolic kraju ducha stolicą się staje,
 Jakby Bóg, co już winy z karty pomsty zmasał,
 Znowu żłób na kołyjskę wywabienia wskazał,
 Aby uznała Polska dumnych żąd igrzysko:
 Zguba mieszka wysoko, a zbawienie nisko.
 Jak pszczoły, rozpiezchnione u kwiecistych zdrojów,
 Gdy od uli usłyszą brzęk skrzydlatych rojów,
 Już po szlakach powietrznych szybkim lotem śpieszą
 Spoić w słup nieprzejrzaną żądla bratnią rzeszę:
 Tak tu z grodów, z miast, z gmachów, dworców, ziem, powiatów,
 Obok stojących Szwedów, wobec czujnych czołw,
 Poważne senatory, ziemiani orężne,
 I łanowi rycerze, i pulki ciężkie,
 Dążą, — wchodzą z obozem obadwa hetmani,
 I Sobieski, ów sprawca ducha ich przemiany,
 Skoro Czarnicę odetchnął, już ten obóz cały
 Pała żądzą zmasania korczyńskiej zakąły.

Zawijają się związki w Tyszowcach pod hasłem: «przy wierze, ojczyźnie, swobodach i królu». Jan Kazimierz po dłuższym wahanu, zachęcony szcześliwą wróżbą astrologa Żurawskiego, wraca do kraju na Często-

chowe, Podczas uroczystego nabożeństwa na Jasnej Górze spadł oręż Czarnieckiego, zawieszony nad ołtarzem, a na nim zabłysnął napis: pod tym znakiem zwyciężysz — i ta wszyscy poznali w Stefanie przyszłego szawca.

161) Str. 328—331. W płaszczu z jasnej purpury i w złotej koronie
Idzie król do świątyni, gdzie już dymią wonie,
Gdzie już Leszczyński czeka w Piotrowej tyjarze.
A skoro przed Maryi zbliżył się ołtarze,
Kordeciki pierwszy klęka, podnosi prawicę.
Zabłysło z pod zastony Przenajświętszej lice,
Zabrzmiąły hymny, modły i pobożne pienia,
Od huku trąb i kotłów zadrzęła sklepienia.
Król krzyżem pada, cisnie usta zimne glazy
I, wstawszy, tymi błaga Maryją wyrazi:
«O, najświętsza Dziewico! o, niebios ozdobo!
«Król-talacz, lud i wojsko korzy się przed Tobą.
«Litość dla nas w śmiertelnych zaparła się lonie;
«Przy Twoim ją w ucisku znaleźliśmy tronie.
«Już odtąd nie powędzą wrogi naszej ziemi:
«Gdzie jest ich Bóg, co w walkach miał stanąć za nami?»

«Jeżeli Cię obrazili, że dla tego tronu
«Stargalem święte śluby Jezusa zakonu,
«Ach! żądzą panowania nigdym się nie zmazał,
«Naród wezwał i ojciec chrześcijaństwa kazał,
«Wskazując w synu twoim wzór, jaki zostawił,
«Zstąpił z nieba, krzyż dźwignął, aby krwią świat zbawił.
«Te mnie do tej korony nakłoniły cele,
«Co ma tak mało władzy, a kołobć tak wiele:
«Ale ona zakwitnie, ciernie z niej opadną,
«Jeśli ją pod opiekę przyjmiesz wielowładna.
«Dokończ, dokończ naszego wywabienia dzieła!
«Jużes go twych obroną świątyni rozpoczęła,
«Niech nasze modły dojdą Twego majestatu!
«Dozwól polską Królową ogłosić Cię światu!
«Ciążę nam jeszcze rany, wyznajemy sami,
«Weisk wiejskiego ludu ściągnał pomstę szami.
«Ach! skoro tylko naród mój wyrwiesz od zguby,
«Z całym senatem czynię uroczyste śluby,
«Uchylę z niedzanych barków gniozące ich brzemię,
«Które gniewem obraza i niebo, i ziemię,
«Aby ten dzień pannaity darem Twej opieki,
«Dopóki Polski stanie, lud sławił na wieki».
I zdjął koronę z głowy, na ołtarz ją składa,
Kapłan ją bierze, kornem okiem obraz bada,
Lud milczy — i nastaje uroczysta chwila,

Każdy oko natęga, każdy słuch wysila.
W tem, o zjawienie niebios! cudzie niepojęty!
Rozjaśnia się urokiem pociech obraz święty.
Korona się podnosi od kapłana dłoni
I sama do najświętszej prztyła się skroni.
«Cud! cud!» kapłan struchlały w zachwytcniu woła:
«Ludu, zginaj kolana, w prochu nurzaj czola!
«Maryja twą koronę sama na skroń bierze,
«Ona Polski Królową, a wy — jej rycerze!»
I już skrucza, weśele tłumny gmin zachwyca,
Zabrzmiąła w kornych ustach pieśń Bogarodzica:
Same wieczech tęchną w organ huczno-brzmiące tony,
Same po wieczech świątyni kołyszą się dzwony.
Na walach, na warowniach same biją działa,
Słońce jaśniejszym ogniem na okręgu pała,
Gramot bezgromny w błękicie czystym się przelewa,
Niebo, ziemia Królowej polskiej hymny śpiewa.
Wylegają na drogi miasta i zagrody,
Pasterze biją czołem, przyklękają trzody,
Od ziemi w niebo czoła podnoszą dwurożne,
Szwedy tylko truchleją krwawe i bezbożne.
Wpółród tych za świątynią pieśni i okrzyków
W świątyni kapłan wzywa kornych wojowników,
Bierze na złotą rycę wizerunki blasze,
Zdobając ich piersi nimi, rzekł: «To tarce wasze!
«Dajcie miecze, niech hartu nabiorą do boju.
«Gdy na nie rosa padnie ze zbawienia zdroju».
Król szablę złożył, swoją gdy Czarniecki składa,
Ów oręż watykański z brzękiem na stół pada,
Na dwie części ozdobne pochwy się rozprzysły,
Rycę w złocie Maryi godła na nim błysły,
Ognisty napis przy nich objawiał się oku,
Jaki ujrzał Konstantyn wraz z krzyżem w obłoku;
Kapłan zawał: «Otóż zbawiciela znamie!
«Bóg wskazał cię, Stefanie, uzbój niem twe ramie!»
A cały lud w Czarnieckim utapia wejrzenia,
A jemu światło słońca czoło rozpromienia,
Ogień żarzy się w licach, ogień pierś rozpięra,
W postaci nadziemskiego stoi bohatera,
Król, lud woła: «Witaj, nasz wybawco, Stefanie!»
On na to: «Niech się wola Boga mego stanie!
«Królu, śpieszmy wziąć [tak] udział, przeznaczony w niebie,
«Bóg mnie wybrał narzędziem łask Swych, celem — ciebie».

Ziemia usuwa się z pod nóg Karola; Szwedzi, zapędzeni w widły rzeczne, między San a Wisłę, wynknęli się z pulapki, kiedy przysły im

z pomocą władze piekielne: zazdrość i niezgoda i poróżniały wodzów polskich. I drugi raz Polacy wypuścili z rąk pewne zwycięstwo, kiedy król, polacywszy się z Radziejowską, oddał się zabawom i gnuśnym rozkoszom, aż Kerdecki musiał zwrócić go na prawą drogę. Tymczasem Czarniecki odparł dzielnie Rakoczego i omal że nie zniósł go zupełnie, a potem na rozkaz króla udał się na wyprawę duńską. Mimo te czyny bohaterskie, ominięła go buława, która gwałtem prawie wzięła dumny Lubomirski. Czarniecki jeszcze raz udaje się na Litwę, by skutecznie odoprzeć Chowańskiego, i powraca w tryumfie. Tymczasem król szwedzki umiera.

162) Str. 527—529. Załedwie ranna zorza na niebie zabłyśnie,
Na dziedzińce zamkowe lud się tłumnie cisnie.
Woła o swego króla: on z okien podwoi
Z wybladłym licem temi słowy troski kołi:
«Przegrana bitwa, ale została odwaga,
«Nie utracona Polska ani Kopenhaga».
I senatory państwa przyzywa do siebie,
Naradza się o nowych zaciągów potrzebie.
Każdego dnia, rycerstwa otoczony kołem,
Pod pogodnem trawiający smutek kryje czołem,
Wkrótce sobie na czele wojska staną tuszy.
Goi się rana ciała, jączy rana duszy.
I, załedwie noc ciemna świat zmrokiem osłania
Słyszano po podwojach jęki, wyrzekania,
Słyszano, jak głuche go gmachu każda ściana
Odbijała przekleństwa i imię Stefana,
Niemi to rozpacze piersi Karola zatrula,
O n się to w ciemnej noey po podwojach tała,
Szuka sna, snu do powiek ubłagać nie może,
Zrywa się z łoża, znowu rzuca się na łoża,
Wpada w niemoc, z niemocy już się nie podwiga.
Próżno radzą lekarze, pociesza Jadwiga,
Ranionej duszy ciosów ciała nie wytrzyma,
Na zawiedzioną dumę ziemia lekarstw nie ma,
Śmierć jej ucieczką, śmierci lodowate ramie
Już na wybladłej twarzy ryje grobu znamie.
Już obłąkane zmysły schorzałej ofiary,
Nie widzą, jak straszdyła, widma i poczwary,
Zrywa się, chce uciekać i krzyczy struchlały:
«Oto on! watykański miecz jego koł biały!
«Tratuje mnie!... ratajcie! sztych wieśca do łona!»
I znowu z sił opada, głos mu w ustach kona.
Znów się zrywa i znowu: «Patrzcie! patrzcie», woła,
«Skąd idzie ta niewiasta wybladłego czoła?..
«Oto jej łono białe krew strumieniem broczy,
«Oto jej dłoń krew czerpie i bluzga mi w oczy...

«Ach, to Polska!.. to ona... śpieszcie na obronę..
«Krew jej me łoża topi.. tonę we krwi — tonę..
«Tonę i do piekielnej zapadom otchłani..
«Oto ogień przede mną, jedże i szatani..
I pot zimny na czoło wystąpił strumieniem,
Oczy słupieją, piersi moczają się z techniemem,
Duch się z ciała wydziera w mąk wiecznych przestachu,
A usta, ziębnąc, szmerzą: «Zwyciężyłeś, Lachu!»

Wreszcie Sawecya zawiera traktat oliwski, ów wieńiec oliwny, przepowiedziany przez zakonika białeńskiego, a król z królową i cała Warszawa wita z uniesieniem Czarnieckiego. «Tak się spełniła wróżba ostatnia kapłana», temi słowy kończy się poemat.

G) Pamiętniki (1858—1865).

«Pamiętniki» ukazały się w trzech tomach w Poznaniu i są nader ciekawe dla poznania obyczajowości schyłku XVIII i początków XIX wieku. W I «oddziale» autor opowiada o czasach swego dzieciństwa, kreśli wspomnienia szkolne z Lublina i Zamościa, wspomnienia trybunałskie z czasów Stanisława Augusta; o epoce Sejmu Wielkiego, o konfederacji Targowickiej i powstaniu Kościuszki mówi krótko, więcej natomiast poświęcając miejsca stanowi politycznemu i umysłowemu Galicyi pod panowaniem Austriaków. Kończy ten «oddział» obraz Wołynia z r. 1808—1809. W drugim oddziale Koźmian opowiedział o założeniu Księstwa Warszawskiego, o przyłączeniu doń Galicyi zachodniej, znaczną zaś jego część poświęcił obzeranym, żywym charakterystykom ówczesnych mężów stanu, najwięcej udzielając miejsca: księciu Józefowi Poniatowskiemu, Woroniczowi, Staszczowi, Marcinowi Badenkiemu, Aleksandrowi Linowskiemu i innym; resztę tomu wypełnia obraz przeobrażeń politycznych kraju aż do roku 1815. Trzecia część «Pamiętników» obejmuje przedewszystkiem czasy Królestwa Kongresowego (1815—1830), a także ostatnie lata życia autora. Na treść tomu tego składają się: obraz początków Królestwa, pochlebna charakterystyka Aleksandra I, ostrożna sylwetka Nowosiłowa, dalej portrety ówczesnych mężów stanu, jak: namiestnik Zajączek, Jerzy Okołów, Stanisław Zamoyski, Tadeusz Mostowski, Ksawery Drucki-Lubecki, generał Wincenty Krasński i inni, i literatów: Ludwik Osński, Franciszek Morawski, wierszokłeta Kajetan Jaksza Marcinkowski i t. d. Osobny rozdział poświęca ruchowi rewolucyjnemu z r. 1830—1831, który, jako przekonany konserwatysta, potępia. Kończy ogólnymi uwagami o późniejszych czasach aż do r. 1853.

a) Junacy starej daty.

163) Tom I, str. 10—14. W województwie Lubelskim były niektóre familie, co te bezczną wadę junakiery, jako szczególną cechę, równo z herbem szlachectwa zachowywały

i, jak zaszczyt jaki, pielegnowały. Rodzina Trzczińskich szczególnie się nią odróżniała. Znałem trzech braci rodzonych z tego rodu, synów urzędnika wojewódzkiego, dobrze osiadłego, wszyscy trzech mieli Herkulesa wzrost i postacie, nosili przy boku pałaze tak szerokie, jak katowskie miecze, przybrali do siebie dwóch podobnych atleatów: Zaniewskiego i Dębowskiego, a gdzie się pokazali, już się tam bez burdy i rąbaniny nie obszło; a że podówczas kto przewodził na sejmikach, ten najwięcej znaczył, i również panowie możni, jak dwór, takich poszukiwali, szablą więc i kielichem zjednali sobie protekcję u Michała Granowskiego, sekretarza wielkiego koronnego, krewnego i faworyta króla, który burmistrzował w Lubelskiem, a za jego wstawieniem się jeden został podstarostą lubelskim, mianowanym przez Mniszcha, marszałka wielkiego koronnego, a drugi podsejdmem. *O praeclarum custodem ovium!* Byłem prawie naczynym świadkiem, jak pierwszy, nieśmiółnie obdzierając Żydów, a ujęty podarunkiem Izraelity, kolegę swego, pisarza grodzkiego Skarszewskiego, czyniącego mu uwagi nad krzywym jego zdaniem, porwał na ustępie w swoje niedźwiedzie łapy i ledwie nie udusił, tak że na krzyk jego publiczność wpadła z ustępowej izby do audyencyonalnej. Drugi podobnie w moich oczach na obiedzie publicznym, z przyczyną uroczystości imienin królewskich danym, obywatela, Józefa Pulikowskiego, do którego miał urazę, porwawszy się od stołu, w twarz uderzył, skrwawił i nogami skopał, że ten ledwie przez kolegów swoich wydarty mu został. Widziałem, gdy oficera polskiego, niejakiego Ostrowskiego, że mu się jego rozmowy nieco mniej religijne nie podobaly, w twarz publicznie uderzył, a ten go na pistolety wyzwał. Pan podsejdm strzelać się nie chciał, z natrąsaniem się odpowiedział: «Ja bluźniercy Najświętszej Panny w łeb strzelę z okna, jak chrześcijanin, a nie splamię się wyjściem na pojedynek». Oto są wyobrażenia o honorze, o bezpieczeństwie publicznem stróżów praw, wyobrażenia o chrześcijaństwie uczniów szkół jezuitkich. Znałem wielu jeszcze podobnych, a szczególnie niejakiego Konstantego Janikowskiego, sławnego rębacza i burdę, już nie jednego województwa, lecz całego kraju. Był to jurgieltowy Achatas hetmana wiel. koron., Branickiego; był on wzrostu małego, lecz niezmiernie

barczysty, szeroki, karku niesłychanie grubego, twarzy obszernej, zgola lwiej postaci i siły. Gracz. rębacz, strzelał z pistoletów, jak nikt, i kielichom dobrze podolał; ten mniej był napastliwym, lecz wezwania żadnego nie odmówił, pod tym względem był w całej Polsce sławny. Bez jego sekundy żaden prawie w kraju nie odbył się pojedynek; w wydarzonym takim wypadku zaraz rozbiegaly się sztafety szukać Janikowskiego, a gdzie on się ukazał, strach ogarniał przeciwną stronę, bo już poprzedzała go sława niejednego antagonisty, sprzątnionego ze świata na odbytych pod jego kierunkiem pojedyнку. Przecież, gdy tę burdacką broń potrzeba było podnieść w r. 1792 na obronę ojczyzny, mało gdzie napelnily się pułki tymi rycerzami, wychowanymi w szkołach jezuitkich, a wielu, którzy wstapili do szeregów, męstwo odieglo. Wychowawce szkół, zaprowadzonych przez komisją edukacyjną, uczniowie szkół pijarskich, szkoły rycerskiej, konwiktoŹ Teatyńskich, Kościuszkowie, Poniatowscy, Mokronowscy, Potoccy, Wielohorscy, Łaźnińscy, Lipowscy, Jerlice i wielu innych łamali za stępy nieprzyjacielskie i krwią swoją hojnie szafowali, a brygada Biernackiego, po-większej części złożona z wasatych burdów, a od białych kapot kaptową nazwana, pierzchnęła pod Dubienką i popłoch rozniosła. Podczas powstania Kościuszki owi rębacze, owe zuchy lubelskie, o których wyżej wspomniałem, cóż zrobili? Jeden, przybrawszy na siebie kaftan z czarnej fuchtoŹej skóry, jak owa zbroję Achillesa, przez całe powstanie przejeżdżał się po ulicach Lublina, werbował podobnych junaków, zbierał legią z trupiemi głowami i z godłem Śmierć lub Zwycięstwo i ani sam na bój wyjechał, ani swej legii nie wyprowadził w pole. Drugi położył się w łóżko i udawał chorego na pedogre, chociaż na świeżo odbytych sejmiku rąbał się z szlachtą na ulicach. Nie kazał sobie krwi puścić, jak Mokronowski, chociaż o tem słyszał.

Trudno tego bezstronnie nie przyznać, że, jak owa generacya, za dwóch Augustów wychowana, tonąca, że tak powiem, we wszystkich politycznych wadach zeszlých wieków, wyzuta z wszystkich zalet oświecenia, męstwa, wyobrażeń o cnocie i honorze, skażona i spodłona pijaństwem, pieniacstwem, rozpusztą, fanatyzmem, chciwością, przybliżyła przygotowaną od-

dawna Polsce przez jej instytucje zgubę i do tego stopnia ohydziła nas w Europie, że nie tylko szacunek, lecz politowanie świata nam odjęła: tak przeciwnie, młode pokolenie, pod Stanisławem Augustem zrodzone i przez komisją edukacyjną wychowane, przez usiłowania swoje poprawienia wad ojców, przez szlachetne poświęcenie się i wytrwałą zapasy z przygotowanym nam losem, lubo od wielkich błędów politycznych nie wolne, przynajmniej krzywdzącą opinią o charakterze polskim przejednalo, szacunek Europy pozyskało i niejedną chwałą naród zaszczyściło. Kto się chce przekonać, czem była szlachta polska za czasów dwóch Augustów, niech czyta Otwinowskiego, kto chce wiedzieć, czem był szlachcie polski, ma jego żywy obraz w pamiętnikach Paska i w jego samego osobie, mniej zaletą męstwa, które były cechą wieku Jana Kazimierza [tak] i Sobieskiego, w którym on żył.

b) Kuliki starościны Stanisławowej Kossowskiej.

164) Tom I, str. 125—128. Starościna, gotując raz suty kulik do Godowa, mieszkanka Łąckiej, kasztelanowej sandomirskiej, uprzedziła ją, że ją z licznym weselem wiejskiem napadnie. Zbierała więc jak najczęściej par, bo sobie zamierzyła najmniej w sto osób tę zabawę wyprawić. Spotkawszy się więc z ojcem moim, tak go prosiła, tak go molestowała, że on, acz poważny i w swoich zasadach obyczajowych do tego stopnia surowy, że nam na żadnych zabawach publicznych, na reduktach i jarmarkach znajdować się nie dozwalał, nie oparł się naleganiom naprzykrzonej starościны, nie wzbronil nam należeć do tego kuliki i na stroje wiejskie dał nam pieniędzy. Przy-sposobiliśmy więc sobie żupany granatowe z karmazynowymi kołnierkami, lamowane srebrnymi szychowymi galonami, czapki karmazynowe krakowskie, białe ręczniki przez ramiona i w tym ubiorze czekaliśmy na to wesele we Wronowie u Goltza, szambelana niedgdyś Augusta III, starca siedmdziesięcioletniego, oświeconego i poważnego, który miał dwie córki niezamężne, już przez starościnę do kuliku zamówione. W tem miejscu, na trakcie między Belżycami a Godowem położonym, na hasło, przez starościnę wydane, mieli się zjechać ci wszyscy, którzy za Belżycami mieszkali. Czekaliśmy więc aż do wieczora, już

w kilkanaście sani zebrani, gdy dopiero zmierzchem wszczął się od austeryi wronowskiej krzyk, wrzawa, bicipy i odgłosy muzyki na dętych instrumentach, trzask biców i, jak jaki uragan, ta burza, z trzydziestu sani złożona, opadła przed gankiem. Dom ledwie mógł pomieścić ten tłum, udający pijanych chłopów, skaczący lub taczający się po pokojach. Starościna zaraz na wstępie oświadczyła, że ją dwóch członków z kuliku zawiodło i czekać tu na nią musi. Tymi członkami byli dwaj eleganci lubelscy: Trzcziński ze Strzyżowic i Grajewski z Jabłony, pierwszy wysoki, otyły, po francusku bez umiejętności francuskiego języka noszący się, w grzecznościach wyszukany, w chodzie teatralny, w rozmowie wysadny; drugi — konwiktorski warszawski, bardzo przystojny, delikatny i przyzwoity. Starościna oczekiwania tego użyla na namowę starca, zacnego i trzęsącego się od starości Goltza, aby się w kulik ten wniósł [tak]. Ani wiek tego starca, ani położenia córek, ani gniewy, lajania i uwagi nic nie pomogły. Musiał sędziwy Goltz da dogodzenia kaprysom pani na frak włożyć sukmanę i w tym stroju, w peruce niemieckiej na głowie powiększyć kulikowe grono; dozwolonym mu tylko zostało jechać osobno w karecie na sianach z obiema córkami. Gdy już się ściemniało, a starościna nie mogła doczekać się przybycia eleganów, już w pomroku ruszył cały orszak z kapelą na czele i z marszałkiem, wywijającym różgą, na przodzie. Burza się zerwała, wicher, śnieg, ciemność, jedne sanie mijają drugie, inne najeżdżają i trącają dyszłem, inne się wywracają; weselnicy babrzą się w śniegu, krzyk, wrzask, śmiechy, nie dla jednego bolesny przypadek, dla pani uciecha i radość. Trzeba było las przebywać, musiano pochodnie zapalić. Wtem odezwała się trąbka pocztowa, od ostatnich sanek aż do posztytnych pani starościны dochodzi głos: «Trzcziński, Trzcziński, Grajewski»; już starościna woła: «Stój!», zastanawia się cały orszak nie bez przypadków potrącenia dyszłami. Pocztowe sanki przesuwały się i stają obok sanek starościны. Eleganci w trzewikach, półczochach, we frakach, z ufryzowanymi i upudrowanymi tępami chcą panią witać z sanek. Starościna woła: «Wysiądźcie. Każą sobie podesłać skórę niedźwiedzia i zbliżają się, chcą pocałować rękę pani, rączka ta, wśród wyrzutów, chwytą za

tupety, gniecie i czuchra. A gdy się wyjawili trzewiki, pani wola na kapelę, każe grać kozaka i przymusza elegantów tańczyć po śniegu. Nic nie pomogły gniewy, prośby; zaraz hajducy byli na podreżcu, musieli się eleganci babrać, zamoczyli i tak śpieszyć do Chodła, miasteczka po drodze, gdzie dla przeblagania pani przebrali się w sukmanki. Napada więc ten orszak z hałasem dom spodziewającej się kasztelanowej sandomirskiej: tańcują, hula, je, pije przez parę dni, przewraca do góry nogami dom, bo niejedno lustro stracone różgą marszałkowską, niejeden sprzęt złamany przez rubasznych družbów. Po odejściu tego napadu wystawiał dwór obraz nieładu, jakby po rabunku.

Drugi podobny temu kulik wyprawiała starościna o trzy mile do Markuszowa, do wojewody lubelskiego, Hryniewieckiego, wdowca, starca siedmdziesięcioletniego, rządowego gospodarza, żyjącego z przystojną oszczędnością, a że słabowity i spokojny wojewoda na sam odgłos tej burzy, przebiegającej okolicę, przeląkł się, i to do pani starościny doszło, więc umyśliła mu sprawić niespodziankę, ledwie ją skłoniono, że przez uszanowanie i wieku, i zdrowia, i urzędu wojewody doniosła mu listem o swojej chęci. Przeraził się starzec i o siebie, i o swój pałac, który został świeżo wyreperowany i odświeżony na przejazd Stanisława Augusta. Rządny w domu i zamożny, nie dbał o wydatek, lecz o hałas i nieporządek, których był nieprzyjacielem, chodziło mu. Z początku myślał wyprosić się i ujechać, ale w zimie zawsze zamknięty w ciepłym pokoju i dla obawy paraliżu nie wychylający głowy za próg jego, ujrzał, iż jest koniecznością niemuniknącą przyjąć, i wolał się przygotować, jak *(tak)* być znięcacka napadniętym lub obrażoną panią; wymówił tylko sobie, aby kulik był bez podkówki od butów. Wpadł więc do niego ten kulik w dzień umówiony, lecz przy drzwiach do wielkiej sali stało dwóch hajduków z młotkiem i obiegami i rozkazywało gości, odrywając družbom podkówki u obcasów, aby niemi woskowych posadzek nie porysowali. Wojewoda, chociaż sędziwy, lubił młodo i piękną twarz, a było ich dosyć. Gościnność i ciekawość przemogły w nim bojaźń o zdrowie. Drzwi od swego pokoju kazał narozcień otworzyć, aby się mógł temu udanemu weselu przypatrzeć. Ubrazy

w żółte buty, żupan biały dymowy, kacawejkę takąż żółtego koloru z niebieskimi atlasowymi wylogami, z twarzą podwiązaną białą chustką pod brodę, z głową łysą, odkrytą czarną atlasową czapeczką, jakby księżą, papalinką zwaną, uważał przesuwać się pary, a gdy spostrzegł jaką twardą ładną, wypadał do sali, jak pajdak z pajęczyny, cyhający na muchę, lapał, całował i ścisnął; jakoż tak się rozochocił, że przez dwa dni kulik w swym domu zatrzymał.

c) Galicya pod panowaniem austriackiem.

165) *T. I, str. 248—252.* Kiedy tak dwie części Polski, Galicyę przecięte, współbiegały się z sobą w okazywaniu, gdzie lepiej, Galicya, jakby śmiercią ozioniona, wystawiała obraz trupa skościalego, martwego, którego obsiadło drobne a dokuczliwe robactwo, które dręczyło świerzbieniem nieznośniejszym od samego bólu. Chociaż pod zwierzchnikami słusznymi, oświeconymi i łagodnymi (bo oddajmy sprawiedliwość tam, gdzie się należy), niższa biurokracya rozpostarła się po składach, sądach i cyrkulach i rządzić zaczęła w sposób najdokuczliwszy; składała się ona bowiem z samych ubogich, zgłodniałych, chciwych, przekupnych cudzoziemców i, wyznajmy na nasz wstyd, i ze zniemczonych Polaków; bo się do niej w pierwotnych wyborach podłością, intrygami powcisnęło wielu Targowiczanów, nawet w grono sędziów i komisarzy cyrkularnych, lub też anty-Polaków w Galicyi wschodniej, znanych rodakom z mniej chlubnego postępowania. Ta biurokracya, panująca zawiaklaniami formami systemu rządowego, wówczas przyjętego, w te formy samych zwierzchników wylała i trętwiła ich dobre chęci, była zaś czasem szczęściem, czasem nieszczęściem tak przekupną i lakomą, że samych zwierzchników sprzedawała i że, czego doprosić się trudno było, nietrudno było kupić. Używali tych środków żli na ucisk dobrych, dobrzy ze wstrętem na swoją obronę lub ocalenie. Wygłęła się też nowa, temu krajowi nieznaną, a w Galicyi wschodniej przeniesioną arystokratyczną potęgą adwokatów, która za wzorem Józefa Dzierzkowskiego i Węgłęńskiego we Lwowie uorganizowała między sobą dyktatorialne biura pieniactwa i przekupstwa sądów, z czego w dostatki, przewagę i znaczenie rość

zaczęła. Zachwiały się fortuny prywatne, otworzyły się targi nie w biurach pysznych adwokatów, kto więcej ofiarował adwokatowi nagrody i przez niego jurgieltowanym rodzicom. Zaczęły się więc gorszące sprawy dzieci przeciw rodzicom, dochodzenia synostwa u matek, wpiernanie się w synostwa u bogatych ojców. Tak pieniacтво polskie dawne zostało karlem przy ówczesnym olbrzymie austriackim. W Polsce jawność obron w sądownictwie hamowała bezwstyd i bezczelność i pieniaczów i ich obrońców; tu skrytość i sekret referatów skutecznie usługiwały wszystkim najwystępniejszym nadużyciom. Czem był Węgleński we Lwowie, tem był w Krakowie Osławski, a w Lublinie niejednu mu podobny. Byli wprawdzie na czele *forum nobilitum*, od samego początku do końca tego rządu, słusni ludzie i dobrzy Polacy, którzy się ani rodu swojego, ani pochodzenia, ani sposobu szlacheckiego myślenia nie wyrzekli, jak najpierwszy Pietruski zacny, jeszcze z prawdziwej Polski obywatel, jak Gołaszewski, brat czyli imiennik biskupa przemyskiego. Oba oni, jak się nie wyzuli z uczuć polskich, tak nawet sukni narodowej nie zmienili. Przeciął ich urzędowanie Wittford, Niemiec rodem, mniej przyjazny Polakom, lecz sprawiedliwy; nastąpił po nim Michałowski, człowiek dobrze wychowany, który w obywatelstwie powszechną wziętość pozyskał i z honorem urzędowanie przy rozwiązaniu rządu zakończył; czuli ci zwierzchni urzędnicy złe, lecz go odmienić nie mogli. I administracja cyrkulów od początku swojego zaprowadzenia nie była bez słusznych ludzi na czele. Wyjąwszy pierwszego kreiskapitana Sierakowskiego, zniemczonego Polaka, i do tego stopnia napojonego przesadami i uprzedzeniami przeciw własnemu rodowi, iż mawiał: «Gdybym wiedział, że mam w sobie jedną żyłę polską, tobym ją sobie wypruć kazał», — taka nienawiść rodowa obudzała pogardę ziomek, nie jedna szacunku obcych. Po nim nastąpił Smeltz, osiwały starzec, i baron Mandorff, z Zamościa do Lublina przeniesiony. Oba postępowaniem swoim nie tylko nie zasłużyli na złe wspomnienie, lecz zjednali sobie poważanie powszechne. Ostatni doświadczył w trudnych i niebezpiecznych dla rządu austriackiego chwilach, że Polacy mają serca wdzięczne. Atoli to umiarkowanie w postępowaniu było jedynie zasługą osób, a nie

systematu biurokracyi demokratycznej, która w trzech pierwszych latach swego panowania szczególnie uciążliwą się okazała, dopóki się nie wypasa i w swej zawziętości do szlachty polskiej nie spostrzegła, nie zmordowała i dopóki się z nią nie pojednała. Właściciele też majątków zrozumieli dopiero wtenczas, czem ją ująć mogli i pogodzić z sobą, wtenczas wytlómaczyli sobie jej dawniejszą skwapliwość do mnożenia projektów, wyjednywania patentów, które niedoleżnie wykonywano. Z początku, jak grań, leciały do biur urzędowania, przepisy, żądzały ledwie nie codziennie komisyse dla wybadywania włóscian, a często dla burzenia ich przeciw panom. Co rok następowały konskrypcye wojskowe, co rok zmiana w podatkach, od których usuwania się sami oficyaliści, mający je wybierać, uczyli kontrybuentów i skutecznie przedstawiali środki. Na przełożenie biskupa krakowskiego, Gawrońskiego, wydano patent, wracający dziecięcinę wytyczne, mimo praw polskich i nastąpionych układów; sami się utworzyciele tego patentu przelekli zapalną wojną i nienawiścią, nie tylko między szlachtą, lecz całą ludnością wiejską a jej duchownymi pasterzami, i wkrótce odwołać go musiano; to samo działo się z wielu innymi tego rodzaju rozporządzeniami, które, acz po polsku tlómaczone, były równie w tlómaczeniu, jak w oryginale, tak ciemne, tak zawikłane pisane, że ich nie tylko Polacy, lecz sami wykonawcy Niemcy zrozumieć nie mogli. Szły więc kolejaj objaśnienia, ciemniejsze od samych urzędzeń. Dodajmy do tego, iż żadnej gazety w kraju nie było prócz niemieckich, żadnych wiadomości prócz podpadających pod oko, jako to arestowanie Ignacego Potockiego, marszałka Malachowskiego, Piramowicza i Zakrzewskiego, o czem dopiero wieść gruchnęła, gdy ich pod strażą prowadzono do Krakowa.

Tak w tych początkowych trzech latach, w których w sąsiednich państwach współubiegano się, jakby zatrzeć pamięć surowości i prześladowania i jakby ująć sobie i przejednać serca Polaków, tu przesadzono dokuczania winą niższych urzędników aż do śmieszności wzrastaly. Nie tylko z akt, z pism, z kalendarzów, z gazet wymazywano imię Polski i wszelkie o niej wspomnienia, ale wydano urzędzenia, zakazujące Najświętszą Pannę mianować królową polską i grożące karą tym,

kótrzyby się do niej pod tem godłem modlili. Takie postępowanie jątrzyło rany mieszkańców, a cieszyło sąsiadów. Kiedy też wojska rosyjskie trzy razy przechodziły przez Galicyę, niosąc pomoc cesarzowi Franciszkowi przeciw Francji, raz za cesarza Pawła I, pod Suwarowem dążąc do Włoch, dwa razy pod cesarzem Aleksandrem w drugim pochodzie na tę wojnę, którą bitwa austerlicka na czas zawiesiła, wojskowi rosyjscy mieszkańcom polskim i urzędnikom-Polakom okazali względy przychylności i z największą z nimi zachowywali się przyzwolnością, jakgdyby chcieli ich ująć i okazać im różnicę usposobienia, jakim przyjęci byli, od tego, które im rządzący nimi objawiali.

d) Wojska polskie w Lublinie.

166) Tom II, str. 16—19. Po upływie dni kilku napelnili Lublin radością wiadomości od wojska i z Warszawy. Arcyksiążę Ferdynand opuścił stolicę Księstwa, a rząd polski z Torunia wrócił do niej. Zamość szturmem wzięty. Ulatwił jego wzięcie Domański, rządca ordynacyi, przystawieniem drabin. Pulownik Pulsy bronili się walecznie, lecz garnizon, złożony z samych prawie rekrutów galicyjskich, do 3000 wynoszący, rozstawiony na wałach, gdy ujrzał Polaków, wdzierających się na mury, podawał im bagnety i wciągnął do forticy. Pulsy, raniony, poddać się musiał. Sandomierz zdobyty został przez generała Sokolnickiego, nie bez straty, bo legł książę Marcelli Lubomirski, waleczny młodzieniec. Pulownik Strzyżewski zapędził się pod Jarosław, zdobył niezmiernie zapasy ubrań wojskowych, miedzi i żelaza. Generał Roźniecki wszedł do Lwowa i rząd polski zaprowadził. Wśród tych pomysłości zbiegł się do Lwowa wszyscy znakomitsi obywatele wschodniej Galicyi: Stanisław ordynat Zamojski, Henryk Lubomirski, Tarnowski, Lewicki i innych wielu. Książę Józef, widząc się panem Galicyi, objął ją w imieniu Napoleona i rząd dla niej centralny ustanowił z Stanisława Zamojskiego, jako prezesa, Lewickiego, Dzierżkowskiego, Józefa Wielhorskiego, Miączyńskiego, Matuszewicza [tak], Franciszka Grabowskiego, Jana Tarnowskiego i do spraw duchownych księdza Józefa Koźmiana, podówczas scholastyka lubelskiego, przeczynał; za pomocy dodano im Dąbskiego, Orzechowskiego, Fredrę i innych,

a na sekretarzy Maksymiliana Lewickiego i Izzydora Piotruskiego, młodzieńca znakomitych talentów i zdolności. Przyznać potrzeba, że ten wybór był jeden z najlepszych, bo powołał do władzy mężów, najznakomitszych patriotyzmem, cnotą, światłem i powszechną u ziomków wziętością. Rząd ten natychmiast przystąpił do obsadzenia cyrkulów prawymi i zdolnymi obywatelami, i ich wybór zupełnie odpowiedział dobru rzeczy publicznej. Na wstępie rozkazano wszędzie zbijać lub zdejmować orły austriackie, a na znak, że ten kraj podchodzi pod władzę Napoleona, polecono zawieszac orły francuskie. Wszędzie odbywały się nabożeństwa i uroczystości. W Lublinie prawie niepodobniestwem było zbic tak prędko orla z gipsu, wyrobionego na facyacie ratusza w rynku, zbyt wysoko umieszczonego. Zbyt trudno i zbyt kosztownie było budować zastowanie. Znalazł się ochotnik z czeladzi rzemieślniczej, chłopiec czternastoletni, który z młotkiem i oskardą w ręku dał się uwiązać pod pachy i, wpół na postronku trzymany przez kilku-nastu ludzi, unosił się w powietrzu z niebezpieczeństwem życia. Przez dwie godziny pót kował austriackie znamie, póki go zupełnie nie zagładził i na jego miejsce orla francuskiego z polkaskiem przypatrującego się ludu nie zawiesił. Dnia tego był wielki obiad u generała Hebdowskiego, na którym czytalem od moją, prawie w kilka godzin napisaną. Są w niej błędy pośpiechu, lecz czytanie to zrobiło niejaki wrazenie. Generał Hebdowski był znawcą i miłośnikiem literatury. Posłano tę odę rządowi centralnemu do Lwowa. Wtedy przytomny Stanisław Małachowski, potem generał i kasztelan, szukał ze mną znajomości, sam z kilku uprzejmymi słowami przystąpił do mnie, i odtąd zawiązała się między nami 40-letnia niezachwiana przyjaźń. Odebrał moją odę rząd centralny we Lwowie, lecz *inter arma silent musae*. Byłaby może dotąd nie widziała światła, i możeby następnych po niej nie pisał, gdyby szczęśliwym wydarzeniem nie była wpadła w ręce Józefowi Dzierżkowskiemu, znakomitemu literatowi, znawcy i miłośnikowi poezyi. On przerzucając korespondencye rządowe, znalazł ją, a przeczytawszy, wniósł na posiedzenie rządu i przedeklamował. Usta więc jego rozslawily ją. Posłano ją do głównej kwatery księcia, Józefa. Tam przyjętą była dobrze, czytana i powtarzana w stro-

fach przez młodych oficerów, nareszcie prezes rządu centralnego drukiem ją ogłosił kazal.

Po mnie napisał na tę samą uroczystość, jak ja, Lublinianin, Antoni Wybranowski, wiersze, które miały w sobie ten koncept, iż «to nie jest orzeł francuski, lecz polski, pióra tylko białe na złote odmienił». Doświadczyłem więc tego upokorzenia w Lublinie, że unoszono się nad tymi wierszami, jako celującymi dowcipem.

e) Stanisław Potocki.

167) *Tom II, str. 72-74.* Prezesem Rady Stanu Księstwa Warszawskiego był Stanisław Potocki, mąż uczony, wielki miłośnik nauk i najceńszego wykształcenia; przez wielkie i długie doświadczenie, przez piastowanie pierwszych w kraju za Rzeczypospolitej polskiej dostojności znający i umiejący prowadzić liczne i drażliwe zgromadzenia. Nikt nad niego zdolniejszym na prezesa nie był, nikt go w tem miejscu zastąpićby nie potrafił. Przytomny, baczny, wymowny, bystro pojmujący toczące się sprawy, cierpliwy, a zawsze grzeczny, umiał piastować godność tej najważniejszej instytucji. Nie wiem prawdziwie, czy łatwiej jest kierować głupimi, czy mądrymi ludźmi. Czytam w Wiergiliuszcu:

*Fremit ignobile vulgus, iam sacra volant.
Lecz gdy się ukaże mąż insignis pietate,
Ille regit dictis animos et pectora muleto.*

Z mądrymi podobno trudniejsza jest sprawa; ileż pretensyj, ile próżności, jaka drażliwa miłość własna, jak niełatwy przypływ do nich najjaśniejszej prawdy i najsluszniejszemu przekonaniu! Przecież Potocki te wszystkie sprzeczne żywioły unosił, łagodził, skłaniał, zniewalał porywającą wymową i trafnością umiał. Posiadał on rzadki dar godzenia zdań, i to do tego stopnia, że, gdy po skończonych sporach wszystkie przeciwnie zdania w jednym obrazie wystawiał i z nich większości sąd wyprowadzał, ci, za których przekonaniem skłonił się, siłą w mowie jego wynajdowali podporę, a tych, których opinii nie potwierdzał, tak usprawiedliwiał powody, tyle ich sam wynajdował, że obie strony zadowolone chętnie do zgody przychodzili. Nigdy nie używał poważy, zawsze perswazyi uprzejmej i do przekonania trafiającej. W liczmem gronie niepodobna było wymagać rów-

nych zdolności: większa część członków była takich, których miło było słuchać i uczyć się od nich; ci bez koniecznej potrzeby nie mówili, ale najczęściej ci głos zabierali, którzy milczeć byli powinni. Niejeden miał oświecony umysł, serce prawe, pojęcie łatwe, ale mu natura łatwego się wysłowienia odmówiła, przecież nieraz miłość własna wyprowadziła go na plac nierównej walki z ludźmi utalentowanymi i wymownymi. Przy każdej rozprawie najczęściej mówił Staszic, najczęściej i prawie zawsze Kochanowski. Obydwom nie dostawało daru wysłowienia, lecz Staszic, choć z trudnością się tłómaczył, wiedział zawsze, czego chciał, i stawał się zrozumiałym. Kochanowski, spór wiedząc, wkiłł się i częstokroć, zabrawszy większą połowę czasu, tak się sam mnóstwem nie wyjaśnionych myśli zabalamiczył, iż nie spostrzegł, że, przeciw czemu spiriał się, tego właśnie wbrew samemu sobie dowodził. Ja sam w początkach sprawozdania mego urzędu, szanując w nim wiek i doświadczenie, a nie znając namiętnej słabości gadulstwa i sprzecznania się, nieraz podług jego opinii poprawiając redakcyę referatu lub projektu, musiałem prawie cały mazać, a przy końcu powrócić do zmanyanych artykułów, pod jego dyktowaniem słowo w słowo je umieszczając, dopiero ostrzeżony przez moich kolegów, a zwłaszcza przez Matuszewicza [tak], skwapliwie moją cierpliwość zmieniłem i uniknąłem podwójnej pracy.

f) Nadzieje Staszica.

168) *Tom II, str. 235-237.* Staszic więc, mianowany przez cesarza radcą stanu, dyrektorem generalnym przemysłu i kunsztów w komisji spraw wewnętrznych, a w komisji oświecenia członkiem, z zwykłą sobie pracowitością zajął się oświeceniem, naukami, kopalniami żelaza, cynku, soli, fabrykami, drogami. Minister spraw wewnętrznych, Mostowski, minister oświecenia, Potocki, tym samym przejęci duchem wydobycia kraju z ubóstwa i stworzenia jego zamożności, namiestnik, pragnący wślawić rządy swoje pomyślnością mieszkańców i ozdobieniem ojczystej ziemi, znaleźli w nim gorliwego, czynnego i oświeconego pomocnika, doradcę i wyrzęczyciela. Wszystkie trzy mu ufali, podziwiali pracę, szacowali i poważali osobę; jakoż pod jego kierunkiem, nieugiętą i niezmordowaną gorliwo-

ścią zaczął kraj kwitnąć i wzmagać się widocznie. Namiestnik tem szczerzej, tem stalej przywiązywał się do niego, że w jego pismach objawiony systemat połączenia Polaków z Rossyanami, jako jedyny środek zbawienia i zachowania tego, co nadspodziewanie przez wspaniałomyślnego monarchę narodowi udzieleniem zostało, spotykał się i zgadzał z namiestnika mocnym przekonaniem. Razu jednego, jadąc wraz z Staszkiem w jednym pojeździe do Targomina na obiad do ministra Mostowskiego, dokądeśmy się co niedziela udawali, zapytałem go, dlaczego rząd takie miliony trwoni na ozdobienie Warszawy, która w ubogim i małym kraju tak wyglądać będzie, jak głowa ufryzowana na lachmanami okrytem ciele. Odpowiedział mi: «Nie zaniedbujemy i kraju, lecz cóż to, nie zgadujesz jeszcze przeznaczenia Warszawy pod berlem rosyjskiem? To miasto przez swoje geograficzne i polityczne położenie jest przeznaczone być trzecią, a może główną stolicą wielkiego, w jedno ciało zrzeszonego, pod jednym potężnym berlem słowiańskiego rodu. Tu się rozstrzygną losy Europy zachodniej. Pozwoliła na rozbiór Polski, musi służyć mocniejszemu, zaniedbała mieć z Polaków sprzymierzeńców, będzie miała ze wcielonych w Słowiańszczyznę panów. Kostka jest już rzucona. Spajamy się z Rosją i oświecamy, bierzmy od niej potęgę, ona niech bierze od nas oświecenie».

Staszic wpływu swego użył nie tylko na dobro kraju, ale i swojej hrubieszowskiej osady. Zamyślając bowiem ludność jej uposażyć dziedzictwem gruntów, ośwobodził ją i w niej podał wzór, jakby życzył mieć cały kraj urządzony, wypracował ustawę dla tego towarzystwa liberalną, ludzką, wspaniałą, w niej przeczornym umysłem nakreślił urządzenia, zabezpieczające jej zakwitnienie. Wyzuł się z całego swego bogatego majątku, a ludzkość zrobił jego dziedziczką i przez przychylnego sobie namiestnika, równie jak przez Sobolewskiego, ministra sekretarza stanu, wyjednał potwierdzenie jej przez cesarza. Niestety! o ile ta ustawa i ten czyn wspaniały dobroczyńcy znalazł uwielbienia u enotliwych, oświeconych i ludzkich właścicieli po kraju, o tyle w okolicy Hrubieszowa w niektórych ciemnych i zatwardziałych samolubcach spotykał uwłoczycieli, przeciwników i takich, co obmową i czynami za zawodne w swoich spodziewa-

nych skutkach, święte i jedyne dzieło udawać, rozgłaszać i ponizac w opinii ziomków przedsięwzięli [tak]. Staszic gorszył się z tych niecných zamachów. Lecz, poddawszy swoją rzecpospolitą pod opiekę rządu, a szczególnie komisji spraw wewnętrznych, w której zasiadał i w której był pewnym jednego z sobą zdania dyrektora administracyi, do którego wydziału szczególniej ta opieka należała, wspólnie z nim czynnie i gorliwie czuwał, aby bądź z strony sąsiadów towarzystwa hrubieszowskiego, bądź ze strony urzędników ustawa jego najmniejszego nie poniosła uszczerbku, owszem, za życia jego i pod jego okiem coraz pomyślniej się rozwijała w skutkach swoich i w celach prawodawcy.

g) Król saski.

169) Tom II, str. 336—342. Podczas urzędowania mego dwa czyli trzy razy król saski zwiedził Warszawę, przyjazd jego nie był żadnem utrudzeniem kraju, jechał pocztą z nielicznym orszakiem, przetrzynany na dni kilka dworem dla ulżenia poczcie. Jechał, jak widziałem, w lecie w otwartym pojeździe, w płaszczyku plóciennym na mundurze kadeckim, w kapeluszu, którym z uśmiechem kłaniał się biegącemu i wołającemu *vivat!* pospólstwu. Byli tacy, co taki wjazd króla znajdowali zbyt skromnym i przypisywali go wygórowanej oszczędności. Wystawa Polakom zawsze się podoba i ujmuje. Odpowiadali im rozsądniejsi: «Dziękujcie Bogu, że macie takiego króla, który dla siebie żałuje wydatków, a dlatego siedm milionów należającej mu ze skarbu pensyi nie tyka się i zostawia ją na potrzeby kraju; nie otacza go służba ugalonowana i bogata, lokaje jego przyzwocie okryci, wygodnie umieszczeni, opasli i zastarziali w służbie, są świętniejszym orszakiem tego dworu, bo reprezentują majestat władzy, rozlewającej się zszczęście okolo siebie».

Podczas bytności króla bywały zebrania u dworu, o których marszałek dworu publiczność uprzedzał; powszechnie bywały wieczorem. Wolny był wszystkim w mundurach przystęp. Damy znakomite, już znajome królówi lub pragnące się przedstawić, stawały w półkołe po jednej stronie, męzczyźni po drugiej, marszałek dworu ustawiał, zapytywał o imiona i ułożoną koleją sztykował. Przed audyencyą przechadzano się, śmiano i gło-

śno rozmawiano z pewnym rodzajem swobody i ufności; gdy godzina nadeszła, drzwi rozwarły się od gabinetu króla, marszałek nadworny, Jan Małachowski, z laską w ręku ukazał się pierwszy, powtarzając głośno: «Mości panowie, król Jego Mość idzie». Wszedł za nim król, królowa, księżniczka Amelia, otoczeni szambelanami, ministrami saskimi i polskimi, i obchodzili najprzód półkoło żeńskie, potem męskie; równie król, jak królowa, przedstawionym czynili zapytania; z uprzejmością rozmawiali, nikt nie odszedł bez usłyszenia z ust ich kilku słów uprzejmych. Następnie król siadł przy stoliku do gry w wista, szambelanowie obnosili wezwania osobom, przeznaczonym do party z królem i królową; skoro się ułożyła partya, publiczność przytomna zaczęła chodzić, rozmawiać, gwarzyć, czasem zbyt głośno śmiać się, co sprawiało taki hałas, iż Małachowski, marszałek, stojący przy stoliku króla, musiał kilkakrotnie stuknięciem laski przypominać głośno gwarzącym obecność króla. Król z uśmiechem rzekł nieraz do niego: «Daj Wpan pokój, niech się bawią», i zdawał się czuć i okazywał na twarzy wewnętrzzną pociechę, że się jego władzy nie boją, lecz ją otaczają ufną swobodą. Zwykle przed północą kończyła się partya, i królestwo odchodziło. W czasie takiego wieczora roznoszono wybraną orszadę i limonadę, która zyskała nazwisko pocziwiej limonady saskiej.

Podczas bytności króla, czyli przy sejmie, lub też przy innej okoliczności, trzy razy na tydzień w zamku odbywały się sessye Rady stanu, na których rozmaite rozbierno projekta i urządzenia; król zwykle na nich osobiście przezydował. Zbiernano się powszechnie po lewej stronie sali wielkiej, w pokoju obszernym postawiony był długi stół, zielonem, cienkiem suknem pokryty i krzesłami nakoło otoczony; dla króla na początku stołu umieszczone było na stopniu krzesło wielkie, aksamitem karmazynowym obite. Stolik, równie zielonem suknem pokryty, odsunięty na kilka kroków ku drzwiom od stołu Rady stanu, był przeznaczony dla referendarzy i sekretarza. W początku Księstwa Warszawskiego referendarze zasiadali na końcu Rady stanu, lecz król, dowiedziawszy się, że za dawnej Polski referendarze kor. w Radzie nieustającej mieli osobne umieszczenie i stolik, polecił i w Księstwie Warszawskiem wyznaczyć osobne i oddzielne miejsce tym urzędnikom, co się niezmiernie nie po-

dobalo Linowskiemu i Staszicowi. Król zły humor tych panów leczył wyniesieniem ich na radców stanu. Gdy ostrzeżono, że król ruszył się z swego gabinetu, zwykle przed godziną drugą, cała Rada stanu *in corpore* wychodziła do wielkiej sali naprzeciw niego i wprowadzała go. Zwykle był ubrany w mundur kadecki z gwiazdami, wstęgą niebieska pod frakiem, w trzewikach, pończochach, kapeluszu stósowany, białemi strusiemy piórami obłożony, trzymał pod pachą; gdy zasiadł na krześle, minister sekretarz stanu Breza z teką i papierami usiadł naprzeciw króla na końcu stołu, ministrowie kolejają wydziałów, a radcy stanu kolejają nominacyi obsiedli stół. Pan Stanisław Potocki zaczął szereg zasiadających po prawej stronie, minister Łubieński po lewej, referendarze podobnie swój oddalony stolik obsiedli. Przeczytawszy minister sekretarz stanu protokół ostatniego posiedzenia, odczytał następnie kolej przychodzących pod rozbiór projektów, król po zapytaniu ministrów oznaczył, jaki projekt ma być wniesiony, wezwany więc przez ministra sekretarza referendarz stawał przed królem i stojący czytał referat. Członkowie Rady, przymawiać się pragnący, prosili króla o pozwolenie i porządkiem zaczynała się dyskusya, król cierpliwie słuchał, przymawiał się, uwagi czynił po polsku, mówił bowiem naszym narodowym językiem nieco trudno i powolnie, ale razem starannie, gramatycznie i jasno. Gdy który z radców Rady stanu, chcąc być lepiej zrozumianym przez króla, wpadł w rozprawę językiem francuskim, co się najczęściej Kochanowskiemu trafiało, król przerywał, mówiąc: «Proszę po polsku, bo pan Rządowski nie rozumie». Zdarzało się, iż, gdy dyskusya długo trwała, ten pan, umorowany, czasem zadrzymał; o godzinie czwartej, zajrzawszy na zegarek, zamykał sessyą i wychodził tym trybem, jak przyszedł. Po odejściu króla dwóch kamerdynerów wnosilo stoliki i na dwóch wielkich tacach obfite śniadanie z suchych konfitur, szynkę, likworów i w czterech małych butelczkach spleśniałych stare wino, jeszcze od Augusta II zachowywane, wszystko z apetytem zmieciono bywało, a szczególnie stare wino, jako nader rzadkie. Na jednym z takowych posiedzeń doświadczyłem tego świątobliwego i dobrego monarchy rzadkiej względem siebie delikatności. Byłem referentem projektu o egzekucyi podatków, który był wniósł do Rady stanu

minister skarbu Węgłęński; w przekonaniu mojem uznałem go do zamierzonego celu nieskutecznym, a zatem niepożytecznym i niepotrzebnym. Za tą opinią moją posłała cała Rada jednogłośnie; gdy do króla przesłany został, minister, poparłszy w nowem przełożeniu swoje powody, upraszał króla, mimo opinii Rady stanu, aby projekt jego zamienił w dekret. Król całą ekspedycją wrócił do Rady stanu, zastrzegając, aby całą rzecz zatrzymała do przybycia króla do Warszawy, gdyż tę materiją chce mieć rozbiieraną w obecności swojej. W przytomności króla wezwany zostałem do przygotowania i wniesienia na Radę stanu projektu i przedstawień ministra. Gdy przeczytałem referat przed królem i Radą, król, uczyniwszy kilka uwag *pro i contra*, zapytał się Rady stanu o zdanie. Po skończonej dyskusji, gdy król spostrzegł niezmienną opinię członków przeciw projektowi ministra, zapytał mnie: «Jakież Wpana jest zdanie?». — «Ja, Najjaśniejszy Panie, nie mogę mieć tu zdania, a opinią moją wyraziłem w moim referacie». — «A więc się Wpan upierasz przy swojej opinii?» Na to ja zamilkłem, lecz, pokłoniwszy się z uszanowaniem, odszedłem na swoje miejsce. Uważałem, że król potem kilka minut rozmawiał z panem Stanisławem Potockim, a następnie, oświadczywszy, że potwierdza opinię Rady stanu, zamknął posiedzenie. Przechodząc około stolika referendarskiego, z uprzejmą łagodnością spojrział na mnie i skłonił się; gdy, odprowadziwszy monarchę do jego gabinetu, wróciłiśmy na posiedzenie, pan Stanisław Potocki, wzięwszy mnie pod rękę, rzekł: «Wiesz, że król myślał, iż cię uraził, i pytał mi się, czy się dobrze wyraził, chcąc wiedzieć, czy i ty tego samego jesteś zdania. Wytłumaczyłem mu, że słowa: upierasz się używa się na nagane. Odpowiedział mi: «Więc się źle wyraziłem». Tego samego dnia wieczór odebrałem od ministra sekretarza stanu, Brezy, bilet następującej treści: «Król Jego Mość, wysyłając mnie w podróż, rozkazał mi wezwać referendarsza stanu K., aby mnie zastępował w trzymaniu protokołu na Radzie stanu, a to w dowód swego ukontentowania z jego prac publicznych». Zastępowałem więc przez parę dni ministra sekretarza stanu, chociaż młodszym byłam od innych, a ta łaska królewska stała się dla mnie tak chlubną, tak drogą, iż żaden zaszczyt, order lub tytuł przewyższyć jej w pamięci mojej i uczuciu wdzięczności

nie mógł. Co za delikatność, jaka znajomość ujmowania sobie serc! W kilka dni hrabia Senft Pilsach, minister interesów zagranicznych, wezwał mnie do siebie i oświadczył mi życzenie króla, abym wszedł do deputacyi, w celu regulowania summ Bajońskich wyznaczonej, a której członkowie na system zgodzić się nie mogli i ciągle o ten system spory między dwoma Wyczechowskimi i prawnikami pruskimi a Kochanowskim, radcą stanu, spóźniały skutek. Króla ktoś uprzedził, iż ja mam ścisłą przyjaźń z Kochanowskim i mogę wpływem swoim przyłożyć się do zgodnego uregulowania przedmiotu; przyjąłem z uszanowaniem i z chęcią królewski rozkaz, nie rękąc za skutek. Król, ujrzawszy mnie na publicznej audyencji, przystąpiwszy do mnie, z uśmiechem łaskawości rzekł do mnie: «A ja Wpanu znowu nową pracę dałem». — «Obym tylko, Najjaśniejszy Panie, znalazł w sobie tyle zdolności do spełnienia woli W. K. Mości, ile mam chęci». — «Wpan to dobrze zrobisz». Powiodło mi się, deputacya trafiła nakoniec na środek, godzący rozróżnione opinie, i projekt królowi przedstawiony został. Odtąd przy każdej audyencji król z łaskawem czołem przystępował do mnie, a Senft Pilsach oświadczył mi, że król czeka tylko najpierwszej sposobności okazania mi dowodu swego ukontentowania. Nie taje, że do tej opinii o mnie wiele się przyłożyła opinia i względy dla mnie ministra francuskiego, Serry, a szczególnie Stanisława Zamojskiego, wojewody, Tadeusza Matusewicza [tak], mego przewodnika i przyjaciela, Malachowskiego marszałka, Wielhorskiego, lecz, lubo czystą moją chęcią służyłem krajowi, nie dla wyniesienia, nie dla nagród, te pochlebne dla mnie nadzieje przerwały się wraz z nową dolą Księstwa Warszawskiego, które do innej sfery przeznaczeń powołanem było, i już przygotowania do przyszłych swoich losów i w umyslach, i na ziemi Księstwa czuć się daly.

h) Dzień 29 listopada 1830 r.

170) Tom III, str. 469—474. Zmierzczać się zaczęło; wyszedłem od Radoszewskiego, zostawiwszy przy nim Jenerala Kosseckiego i Lubińskiego, szwagra jego; wieczór był pośpny i wietrzny; idąc ulicą pod domami lewej strony, spostrzegłem środkiem ulicy żołnierza pieszo, biegnącego w ubraniu, jak

na paradę, z bronią i tornistrem, i pytającego: «Gdzie batalion?» w kierunku ku arsenaloowi. Usłyszałem krzyk po sieniach: «Zamykajcie domy!; z jednej sieni wypadła na ulicę kobieta, łamiąc ręce z krzykiem: «A moje dzieci! a moje dzieci! Przechodząc koło niej, zastanowiłem się i zapytałem: «Co to jest?». Oburknęła się na mnie i drzwi zatrasła. Przyspieszonym krokiem mijając ulicę Rymarską, spostrzegłem już stojący batalion przy domu bankowym, a wchodząc na Tłomackie, spotkałem kilka grup ludzi, idących i głośno rozmawiających: «Rewolucya w mieście!» Wchodząc na ulicę Bielańską, spotkałem dążący do pałacu Kossowskich, kwatery generała Lewickiego, pojazd próżny, na którym plaszczy jego leżał, za pojazdem jechał Kozak; ledwie mnie mineli, w kilka minut usłyszałem strzał, powiedziano mi później, iż spadł od niego Kozak z konia. Żywiej więc śpieszyłem do Frenkla domu, gdzie mieszkałem; gdy zadzwoniłem do bramy, odźwierny otworzył i przestraszony odezwał się: «Niech pan prędzej śpieszy, bo rewolucya na mieście». Na dziedzińcu domu zastałem pojazd pani Józefowej Krasieńskiej i doróżkę Sierakowskiego, radcy stanu. Wszedłszy do salonu pomieszany, zastałem rozmawiających najspokojniej wszystkich i czynione przygotowania do herbaty, gdy się odezwałem, że rewolucya w mieście, kobiety, myśląc, że je chce straszyc, śmiać się zaczęły, a gdy z miną serjo powtórzyłem, Sierakowski najspokojniej odezwał się: «Gdy wyjeżdżałem z pałacu pani Stanisławowej Potockiej, słyszałem jakiś szum i hałas na Krakowskim Przedmieściu, ludzie biegli ku Belwederowi, zapewne tam jakaś awantura wynikła». W tym momencie wpada lokaj p. Józefa Krasieńskiego z biletem do żony: «Natychniast przyjeżdżają do domu, lecz nie jedź Krakowskim Przedmieściem, ale boczną ulicą». Przelękniona pani Krasieńska wsiadła natychmiast do pojazdu i pośpieszyła. Sierakowski chciał wyjeżdżać, zatrzymałem go. W kilka minut wpada mój synowiec Stanisław, uczeń uniwersytetu, i przedko w kilku słowach przestrzegł nas, że rewolucya wybuchła; chciałem go wybadać, lecz on śpieszył się i zniknął nam z oczu. Jego opowiadanie przeraziło kobiety, uspokoiłem je, a sam, zatrzymawszy Sierakowskiego, gdy się kobiety spać pokładły, siadłem w moim pokoju w krześle, zapaliłem lulkę i tak przesiadziałem do białego dnia, patrząc na lunę z palących się

koszar za domem Komisji spraw wewnętrznych. Sierakowski zaś najspokojniejszym snem chrapał, a rano, przebudziwszy się, rzekł do mnie: «To jakieś głupstwo, które się koza zakończy».

Tymczasem zaczęli się do mnie schodzić, to z biura mego sekretarza, to przyjaciele, a każdy inną i często sprzeczną donosił wiadomość; lecz śmierć tylu generałów i krwawa scena w Belwederze już nam wątpić nie dozwalały o ważności zaburzenia.

Wtem wszedł do mnie stary generał niegdyś legionów polskich, mój powinowaty, Andrzej Karwowski, od lat dwudziestu znany brukowiec Warszawy i między brukowymi próżniakami wieńczony laurem patriotyzmu, mający związki z tajemnymi zmwami, pragnący żarliwie każdego wzburzenia, jako zbawienia dla swoich interesów, które marnotrawstwem zrujnował, zawsze malkontent i zawsze prawiciwy o zaburzeniach, za co nieraz i ode mnie, i od brata mego, biskupa, połajany lub wyszydzony został. Ten rzekł z tryumfującą i ukontentowaną miną: «A cóż, panowie, nie wierzyliście w rewolucję, otóż ją, chwala Bogu, macie!» i zaczął się popisywać ze swoim znaczeniem u rewolucjonistów. Chcąc się więcej szczegółów dowiedzieć, zatrzymałem go na obiad, przenocewał nawet w moim domu i rano wyszedł; za parę godzin wrócił zachmurzony i rzekł do mnie: «Kasztelan powinienby mi wynagrodzić szkodę, którą poniósłem wczoraj przez nocleg w domu Kasztelana». Myślałem, że mu mieszkanie jego zrabowano lub okradzono. «Nie, odpowiedział, ale właśnie, gdy tu bawilem, w nadziei, że Frenkla będą rabować, nasze poczciwe pospólstwo dobyło domu kasjera wojsk rosyjskich, Skrybickiego, i rozbiło kasę z kilkakroćsto tysięcy rubli, i podzieliło między siebie. Gdybym tam był, niemal dostałbym sumę; Skrybickiemu nie się nie stało, bo to mój przyjaciel». Umieszczęm wzmiankę o tym człowieku dla okazania, jakie to namiętności pobudzają wszelkie zaburzenia, każda niemal rewolucya.

Zaczęłam zbierać z sobą widoczne, a przez wielu z nas nie spostrzegane, przepowiednie rewolucyi. Dopiero przypomniałem sobie, dlaczego u mnie często bywał, podслуchiwał, wyciągał na słowa Franciszek Grzymała, i doszedłem z jego własnego wyznania, że był delegowanym od zmwiających się

dla szpiegowania mego sposobu myślenia; dlaczego mój przyjaciel i najznakomitszych zdolności oficer artylerii, Stanisław Rzewuski, raz przyszedłszy do mnie, wypytywał mnie, czy rząd nie niepokoi się obecną fermentacją umysłów, i widać było po nim, że chciałby był coś mi powierzyć, lecz go moimi odpowiedziami stropiłem; i ten mi potem wyznał, iż chciał mnie ostrzedz i wyjawić mi, że się gotuje rewolucja, a spostrzegł zaraz po mnie, iż jej nie pochwalam. Nakoniec, po wyjawieniu skutku, wytłómaczyłem sobie moje częste z najznakomitszą młodzieżą dysputy niby o romantyzm, pod którym kryły się w jej sercu polityczne zamiary, acz może nie przewidywała ona wtedy, że katastrofa tak bliska.

Wspomniałem pod ministrem Mostowskim, wspomniałem w żywocie mego brata przepędzone przeze mnie pierwsze dni rewolucji.

Oczekiwałem przybycia syna mego ze wsi i brata mego, biskupa z Kalisza, gdy Julian Niemcewicz przyszedł do mnie z wyrzutami, dlaczego nie wychodzę i nie pokazuję się; odpowiedziałem mu: «Wiesz, jak byłem przeciwny temu, co się stało, nic z tego dobrego nie wróżę; mając takie przekonanie, nie mogę być użytecznym, raczej szkodliwym, gdybym się chciał w to mieszać, a zresztą nie jestem *in odore* rewolucjonistów». Na to rzekł do mnie Niemcewicz: «Albo rozumiesz, że ja jestem u nich *in odore*?» powiedziałem prawdę szaleńcom, wciąż oblegają moje mieszkanie w dzień i w nocy; niby to się radzą, a słuchać nie chcą. Mówiłem im, aby rozpędzili i zamknęli kluby, a gdy się sprzeczać zaczęli, z gniewem się oburzyłem — nie radziście się mnie, nim zaczęliście szaloną rewolucję, dajcie mi teraz pokój i lećcie w przepaść, kiedy słuchać nie chcecie. — Od niego się dowiedziałem, że generał Pac przyjął dowództwo gwardyi narodowej i że generał Chłopicki na modły jego, gdyż mu Niemcewicz aż do nóg padał, wziął dyktaturę. Ta ostatnia wiadomość mnie ucieszyła, i odechnąłem. Widziałem w dyktaturze przynajmniej zabezpieczenie przeciw anarchii.

Wyszedłem wkrótce na miasto; postać jego była smutna, sklepy pozamykane, w innych miejscach zbiegowiska. Na ulicach pełno postaci brodatych i wąsatych, pełno ludzi częściej

w lachmanach, niż w ubiorach, zawsze uzbrojonych i groźnych. Ileż spotykało się nowych i nieznanych figur wojskowych, a między niemi dzieci. Studenci, rzemieślnicy snuli się po ulicach, wołając: «Wolność! Wolność!»

Przechodząc, wstąpiłem do pałacu Tarnowskich, do p. Tomasza Grabowskiego, gdzie zastałem zasnucony dom i pełno biurowej młodzieży z Komisji oświecenia i innych biur. Od Grabowskiego dowiedziałem się, że studenci zabrali u generała Kosseckiego tylko broń, bardzo piękną, którą składał w swoim małym arsenale. Grabowski, widząc, iż studenci najwięcej się odgrządzili przeciw członkom Komisji oświecenia, której przewodniczył Stanisław Grabowski, znienawidzony od młodzieży wraz ze wszystkimi członkami Komisji, którym obskurantyzm zarzucano, zamyślał jak najprędzej uchylić się do Wiednia. Pamiętam, jak sama pani Grabowska, Tarnowska z domu, w rozdrażnieniu przeciw rewolucji rzekła do mnie: «Znalazłam w biblii to wyrażenie; kiedy zechcę karać narody i skażę je na zagładę, w ręce młodzieniaszków oddam władzę. — Oto, dodała, jest wyrok na tę rewolucję».

Niespokojny, doczekałem się nakoniec syna, który był na wsi. Ujrzałem go już z kokardą narodową, witającego nas. Na drodze do Warszawy dowiedział się on o rewolucji i w mieście przypiął kokardę. Wpadł zaraz w grono młodzieży, z którą żył, i natychmiast połączył się z nią. Chłopicki, ujrawszy go, powiedział mu, iż ma mu dać ważne zlecenie. Wziąłem go więc sam i zaprowadziłem do dyktatora Chłopickiego; oddałem go w jego ręce. Jakoż zaraz wysłany został z rozkazami dyktatora do wszystkich generałów i dowódców, stojących od Lublina do Zamościa, z poleceniem, aby ich nakłonić dołączenia się z sprawą narodową. Misję tę mógł życiem przypłacić, gdyż między tymi generałami było kilku, a mianowicie ks. Wirtemberski, którzy nie byli skłonni słuchać tych rozkazów.

H) Z listu do Franciszka Morawskiego z marca 1827 r.

(Lucyan Siemiński: «Obóz klasyków» w «Dzielnach», t. V, str. 67—68, Warszawa 1881).

171) ...Czego też już nie dokazują romantycy! czego nie piszą! Utworzyli sobie teraz jakiś młyn wietrzny i, jak Don-Quixoty, wszędzie ogłaszają, że ich zazdrość napastuje. Godziłoby się wydrukować im i przypominieć bajkę Niemcewicza: «Niedźwiedź, Małpa i Świnia». Dmochowski zrobił na nich bajkę pod tytułem: «Stary i Młody», wystawiając, że, mimo przestróg starego, młody, widząc, jak osiel, pędzony przez muchy, przesadzał rowy, rozumiał, że to arabski rumak i t. d. Sonety Mickiewicza najlepiej oznaczył Mostowski jednym słowem: «Paskudztwo». Nie wiem, co w nich można znaleźć dobrego? wszystko bezecne, podle, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie. To jest sto razy gorsze, niż wszystkie Marcinkowskiego plody. Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy; Mickiewicz jest półgłówek, wypuszczony ze szpitala szalonych, który, naprzekór dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatwaniną słów niepojętego języka niepojęte i dzikie pomysły baje; Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinkowski pisać nie powinien; Mickiewicz myśleć nie umie; Marcinkowski w miłostkach jest płaski i kłkły prostak; Mickiewicz brudny, karczemny; Marcinkowskiego imaginację ciężką i tępą rozkołysały w niesforność Dzedzille lubelskie; Mickiewicza niesforny zapal rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki; Marcinkowski nie wie, że jest prostakiem i nieukiem; Mickiewicz z pychą i dumą przekonany, że szaleństwo jest poezją, brudy farbami, ciemność światłem, niezrozumiałość doskonałością. Czekam cię, abys mi chociaż jeden jego pomysł, jeden obraz usprawiedliwił. *Eris mihi magnus Apollo...* Wylączam z tego wiersz pod tytułem: «Wieczór», w którym może się rozum czegoś domaćać. Litwini tak są przejęci sławą swego smorgońskiego poety, że zarzucili wszystkie domy tymi «Sonetami». Waleryan Krasieński pędem roznosi je wszędzie...

I) Z listu do Franciszka Morawskiego z dnia 22 grudnia 1827 roku.

(Tamże, str. 74—76).

172) ...Wczoraj zapowiedział nam na obiedzie u Krasieńskiego Odyniec, że chwala Mickiewicza od morza Atlantyckiego aż do Araksu się rozchodzi, albowiem tłomaczą jego sonety: Wiazemski w Moskwie, w Petersburgu jakiś znakomity literat i senator, w Londynie dwóch żurnalistów nauczyło się po polsku, żeby mogli ziomkom swoim udzielić plodów tego wielkiego poety, którego już pisma angielskie pierwszym geniuszem i literatem polskim mianują. Cóż można było odpowiedzieć na to? tylko, ruszywszy ramionami, oświadczyć, że i my pójdziemy do Stambułu dla nauczenia się języka Mickiewicza, a nauczysz się, może będziemy wielbili; teraz trudno chwalić, czego się nie rozumie. Śpiewał nam potem Odyńczyk litewskim tonem dwie nowe ballady Mickiewicza, obiedwie o Turkach: jedną o prawowiernym, drugą o renegacie, które, nawet mimo chęci drażnienia się ze mną, znalazł Krasieński niedorzecznymi. Brodziński ganil, lecz nie bez zgorznienia i indygnacyi Lelewela. Dotąd na zarzuty, czynione bredniom naszych młodych wierszokletów, zawsze mówiłeś: «Pozwólcie krajowi mieć swoją narodową poezję». Chceją mi teraz odpowiedzieć, co mają wspólnego z narodową poezją Czatyrdahy i renegaty tureckie. Niemcy w swoich balladach przynajmniej swoich baronów śpiewają, a my — Turków, Tatarów, Kozaków, i to jeszcze ich nawet własnym językiem. Sto razy ci to powiadałem, że nie mogę zrozumieć tej jednej w tobie sprzeczności, że inaczej piszesz, a czego innego bronisz; czego sobie nie pozwalasz, to w drugich pobłażasz. Niech ciebie tylko naśladowają, niech przez połowę tak dobrze piszą, a troskliwość nasza o literaturę pocieszy się i uspokoi... Nie słyszałem, żeby Osiński bądź w żartach przy stole, bądź na katedrze przy lekcji w innym duchu mówił. Dlaczegoż nie słyszałem go ganiącego twoich pism? Owszem, oddaje im sprawiedliwość, a wierząc mi, mimo skłonności do żartów i satyry, mimo wszystkich drwinek, których sobie pozwala, Osiński w naszym kraju jest najlepszym krytykiem, najwięcej ma pewnego smaku i sądu,

i, ce do mnie, wolę jego satyryczne przycinki, niż wielu pochwały, bo myślę sobie, iż krytyka sprawiedliwa każdemu dziełu pomaga, niesprawiedliwa nic mu nie uwłacza. Brodzińskiego talent nie jest pospolity; praca może go zrobić pożyteczniejszym krajowi, niż jest Osiński, lecz nigdy go z nim nie zrówna w geniuszu, poprawności stylu, pomysłach czystych i wyobraźni prawdziwie męskiej. Nie miej mię za uprzedzonego przeciw komubądź lub za kimbądz; to jest moje przekonanie. Po dawniejszych pisarzach Osińskiego tylko i ciebie, a po was Brodzińskiego uznają za dobrych pisarzy, boście się nigdy bredniami nie zdradzili; tyś więcej robił, Osiński mniej, ale równie dobrze, a ty sam nawet nie nadalbyś był tyle piękności i poprawności twojej «Andromasze», gdyby był Osiński tłumaczeniami swemi nie pokazał wzoru. Pogódź się więc z Osińskim, przywieź swoją «Andromakę» i pozwól ją grać przez miłość sławy narodowej. Jeżeli to uczynisz, przyrzekam ci, że ani ja, ani Osiński słowa nie powiemy przeciw romantykowi, prócz tej rady: «Piszcie, jak Morawski!»...

Opracował H. GALLE.

XXII.

FELIŃSKI ALOJZY

(1771—1820).

Syn ziemianina wolińskiego, właściciela Wojutyna i Osowie, urodził się r. 1771 w Lucku, gdzie jego ojciec, jako sędzia ziemski, przebywał przez większą część roku. W okolicy zamieszkiwał: Czacey, Olizarowie, Platerowie. Młody Alojzy w dzieciństwie już zapoznał się ze starszym o lat 6 Tadeuszem Czackim. Nauki pobierał w Dąbrowicy (własność Platerów) u Pijarów. W szkołach już poznał, obok łaciny, świeżo wprowadzony do programu nauk język francuski. Później nieco przyswoi sobie jeszcze języki: niemiecki i angielski. Utraciwszy ojca, udaje się przed r. 1788 na praktykę do palestry lubelskiej, gdzie koleguje z Kajetanem Koźmianem. Wraz z Czackim przybywa do Warszawy r. 1789 i tu, w domu Stanisława Malachowskiego, podczas obrad wielkiego sejmu, spotyka wszystkie wybitniejsze postacie świata politycznego i literackiego. Poznaje Naruszewicza, Trembeckiego, Dmochowskiego, Kopczyńskiego. Nawiązuje bliższe stosunki z Wyszkowskim, Tymienieckim i Rodzikiem. Młodziemu ci, podobnie jak Koźmian, wykształceniu na literaturze francuskiej, dostrzegają wady poezyi ojczystej, zwłaszcza pod względem formy i pragną ją pod tym względem udoskonalić. Stąd uwielbienie dla Trembeckiego, któremu Feliński poświęca wiersz pochwalny. Za pośrednictwem Czackiego otrzymuje r. 1791 młody poeta miejsce nauczyciela przy Janie Tarnowskim w Dzikowie. W r. 1794 pełni przy Kościuszcze obowiązki sekretarza do korespondencji francuskiej. Po upadku powstania chroni się do Dzikowa, gdzie bawią także Wyszkowski i Tymieniecki. W r. 1795 wraca na Woliń i tam, gospodarując na wziętych w dzierżawę trzech wioskach: Wojutynie, Klepaczach i Osowie, rozczytuje się w pisarzach francuskich i łacińskich a głównie w utworach Rousseau'a. W liście wierszowanym do Wisniewskiego wspomniawszy dość skłódną i pobieżnie niedawne wypadki polityczne, wyraża swe za-

chwyty nad Wolterem, w którym widzi «wieczny wzór gustu, dowcipu i pisania» i nad Rousseau'em, który łączy «wymowę Peryklesa» z «cnotą Platona», a Nową Heloizą tak ujął za serce poetę polskiego, iż «czci go, jak bóstwo».

Poslubivszy r. 1800 Józef Omieciński, osiada w wygodnie urządzonej Osowie, mając za sąsiada w Horochowie swego ucznia Jana Tarnowskiego. Stawa, jaką pozyskał za wpływem dworu puławskiego modny w salonach Europy zachodniej Delille, pobudziła Karpńskiego do przekładu jego «Ogrodów», a Felińskiego do spolszczenia świeżo, bo w r. 1800, ogłoszonego poematu «L'homme des champs». Wyjątki z tego przekładu były pomieszczone r. 1802 w «Nowym Pamiętniku warszawskim» Dmochowskiego, całość zaś p. t. «Ziemiannin» ukazała się dopiero w zbiorze prac Felińskiego, ogłoszonym r. 1816 w Warszawie.

Przekład ten, dokonany z niezmierną dbałością o piękność i poprawność wysłowienia, przez poetę-ziemianina, blizkiego Delille'owi pojęciami i nastrojem uczuciowym, przedstawia w rozwoju naszej poezji, języka i stylu zwłaszcza ważne zjawisko nieocenione dotąd należycie. Piękną 18 zgłoszkowy wiersz płynie tu ze swobodą, wykwintną naturalnością, wdziękiem i szczerością uczucia. Nikt przed Felińskim, a po nim Mickiewicz dopiero, nie umiał odtwarzać takim językiem obrazów przyrody i życia wiejskiego. To też u Mickiewicza, w «Panu Tadeuszu» zwłaszcza, odbija się w wielu miejscach wspomnienie lektury tego świętego przekładu. «Dumania w Ursynowie» Niemcewicza są prawie że kopią «Ziemiannina».

Rozbudzenie się życia narodowego po wypadkach r. 1807 zachęciło Felińskiego do podjęcia pracy nad utworem oryginalnym, pozwalającym mu wypowiedzieć uczucia, mogące znaleźć echo w sercach współczesnych. Za przykładem Kropińskiego, którego Ludgardę odczytywał w rękopisie r. 1809, bierze za bohaterkę tragedji bliższą sercom postać i w ciągu lat dwu, ze zwykłą calem kołu klasyków starannością i powolnością, tworzy swe arcydzieło, «Barbarę», ukończoną latem r. 1811. Poddawszy nowy utworz ocenę całego koła przyjaciół-poetów, przybywa r. 1815 do Warszawy, by w stolicy nowego królestwa ukazać światu swe nowe dzieło wraz ze zbiorem poprzednich prac. Przygotowując do druku swe rękopisy, natknął na różne trudności i wątpliwości, jakie nasuwała nieustalona pisownia. Ze zwykłą sobie sumiennością zabrał się więc do zbadania kwestyi, sięgając do rozpraw z wieku 16, starych rękopisów i prac współczesnych gramatyków i lingwistów. Owocem tych poszukiwań była rozprawa, 200 stron obejmująca, «Przyczyny używanej przeze mnie pisowni». Odbiły się tu zalety charakteru i umysłu autora. Gorliwość o postęp języka, sumiennosc w pracy, rozsądek i umiarkowanie w proponowanych przepisach.

Warszawa zgotowała pocie gorące przyjęcie. Nawiedzał ją już w r. 1809 i wtedy, zaproszony na członka Tow. Przyj. Nauk, odczytywał na posiedzeniu 29 lipca ustępy z «Ziemiannina». Obecnie prze-

mówił o wiele silniej do serc polskich «Barbarą» — tragedją patryotyczną przedwzysztkiem. Uczucia społeczeństwa polskiego, oczekującego niedawno od Napoleona, a obecnie od cesarza Aleksandra I ziszczenia najgorętszych pragnień i zjednoczenia Polski z Litwą, znalazły tu swe wymowne odbicie. Stąd niesłychane powodzenie utworu zarówno w salonach Warszawy, przy odczytywaniu ustępów z rękopisu, jak i na scenie teatru narodowego, który wystawił «Barbarę» w dniu 23 lutego r. 1817. Podobnym warunkom i czynnikiem zawdzięczały swą popularność wydane wspólnie «Śpiewy historyczne» Niemcewicza. Jako tłómacz uczuć ogółu, tworzy wtedy Feliński i ogłasza w «Pamiętniku warszawskim» r. 1816 «Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa polskiego», przekształcony później i rozszerzony na znany hymn narodowy: «Boże coś Polskę». Wyrazem uznania najwyższych kół ówczesnej inteligencji było ofiarowanie Felińskiemu katedry literatury polskiej przy świeżo zakładanym uniwersytecie warszawskim. Nie czując się przygotowanym należycie do takiego stanowiska, poeta odmówił przyjęcia. Zaledwie powrócił do siebie, otrzymał od ks. Adama Czartoryskiego, jako kuratora szkół, propozycję objęcia obowiązków dyrektora i profesora literatury polskiej w liceum krzemienieckim. By zapobiedz wahaniom wątplącego o swych siłach poety, przesłał mu książkę kurator zarazem dyplom na członka honorowego uniwersytetu wileńskiego. We wrześniu r. 1818 zgodził się Feliński na podjęcie tych trudnych obowiązków, lecz dopiero 1 września r. 1819 nastąpiła urzędowa instalacja.

Zaledwie rozpoczął pełnić swe czynności, z zamiarem zaprowadzenia ładu w administracji, ducha karności i pracy śród uczącej się młodzieży, nagle śmierć w dniu 23 lutego 1820 r. położyła kres tym znacznym zabiegom. Wyrazem żalu powszechnego było, prócz wspianego pogrzebu, złożenie znacznego funduszu na stypendya szkolne.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

I. Pisma Felińskiego. Za życia autora ukazały się w roku 1816 «Pisma własne i przekładania wierszem Alojzego Felińskiego. Tom I. Warszawa, w drukarni rządowej: na odwrotnej stronie karty tytułowej: «Wolno drukować Julian Ursyn Niemcewicz». Mieści się tu rozprawa «Przyczyny używanej przeze mnie pisowni» i przekład «Ziemiannina» Delille'a; w przypisach na str. 369 podano naśladownictwo wiersza Tompsona «Szczęśliwe małżeństwo». Po śmierci poety pozostała wdowa wydała tom drugi (Warszawa 1821). Zawierają się tu: Barbara, tragedia; Radomist i Zenobia, tragedia naśladowana z Krebillona z odmanami miejsc niektórych, stosownie do uwag Woltera, Laharpa i innych znawców; O Alfierio, o jego tragedji Wirginia i o jej naśladowaniu polskiem; Wirginia, tragedia, naśladowana z Alfieriego. (Toż, Wilno 1821). — Dzieła Alojzego Felińskiego, wydanie nowe 2 tomy, Wrocław 1840; mieszczą się tu, prócz utworów, za-

wartych w pierwszym zbiorowym wydaniu: Pienia przy mszy św.; Do St. Trembeckiego; do Tał. Czackiego; Przemowa Kornelii do Rzymian; Wycinek z tragedji Woltera Tryumwirat; O wierszowaniu; Wykład sposobu, jakim dawane być mają lekcje literatury polskiej w Krzemieńcu; Dyalog czyli rodzaj rozmów; O listach.

Pierwsze wyd. «Barbary»: B. R. tragedia w pięciu aktach przez Al. Felińskiego oryginalnie napisana. Roku 1820 (Kraków). Z wydań późniejszych zasługują na uwagę: 1) B. R., wyd. nowe przejrane i uzupełnione, Lwów 1892 (wydanie przejrzał, poprawił i według pierwszych edycji z lat 1820 i 1828 uzupełnił Bron. Gubrynowicz); 2) B. R., tragedia w 5 aktach, opracował dla użytku szkolnego Władysław Dropiowski, Brody 1902 (Arcydziela polskich i obcych pisarzy, tom 4).

II. Pisma o Felińskim. 1) S. Tomkowicz. Barbara Radziwiłłówna w historii, rzeczywistości i poezji. Przegląd polski, 1875. 2) K. Kan-tecki. Dwa Krzemieńczanie, Lwów 1879. 3) P. Chmielowski. A. F. (Encyklopedia wychowawcza, tom IV, 1889). 3) P. Chmielowski. Na-za literatura dramatyczna, Petersburg 1898, tom I. 4) W. Hahn, A. Felińskiego «Kora i Alonzo» i «Kodrus» (Pamiętnik literacki, III, 1904).

A) Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego, z woli Naczelnego Wodza Wojsku Polskiemu podany. Wiersz Alojzego Felińskiego. Muzyka Jana Kaszewskiego (1816).

(Pamiętnik Warszawski, tom V, 1816, str. 455—456).

173)

Boże! coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały
I tarczą swojej zaslaniał opieki
Od nieszczęść, które przywalić ją miały.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego króla zachowaj nam, Panie!

Ty, coś ją potem, kłniony jej upadkiem,
Wspierał walczącą za największą sprawę
I, chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomógł jej sławę.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego króla zachowaj nam, Panie!

Ty, coś nakoniec nowymi ją cudy
Wskrzesił i sławne z klęsk wzajemnych w boju
Połączył z sobą dwa braterskie ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego króla zachowaj nam, Panie!

*Przed Twoim ołtarzem
niech zanosimy
nam, Panie!*

Wróc nowej Polsce światność starożytną
I spraw, niech pod Nim szczęśliwą zostanie,
Niech sprzyżające dwa narody kwitną
I błogosławia jego panowanie.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego króla zachowaj nam, Panie!

B) Ziemianin czyli ziemianstwo francuskie Jakóba Delilla przełożone wierszem polskim 1816 (L'Homme des champs ou les Gouergues françaises).

(Pisma, tom I, Warszawa, 1816).

Zdaniem ówczesnego krytyka (des Fontanes) Delille w tych słowach mógłby streścić swój piękny i głośny w całej Europie utwór: «Śpiewam dom wiejski i szczęście mieszkającego w nim medra; wystawię go, jak rozspynie wokół siebie dobrodziejstwa udoskonalonego rolnictwa i cuda, przemysłu; jak uczy się dla uprzyjemnienia swej samotności wszystkiego, co w dziejach natury jest najciekawsze, najmiłsze i najwynioślejsze i jak czasem bierze w rękę lutnię, by sławił wdzienne i wielkie widoki, którymi jest otoczony».

174)

Str. 238—239.

a) Z pieśni I.

Kto szczęście znaleźć pragnie wśród ojców zagrody,
Niech czysty hold wsi bóstwom czystem sercem składa.
Prostota szanownego wnuk zepuły dziada,
Bogacz, co, wczesnie wszystkie nasyciwszy żądze,
Próżno, chcąc je opuścić, rozruca pieniądze,
Woła biedny, ziewając, skoro się przebudzi:
«Jak tu żyć można? Jakże stolica mię nudzi!
«Na wsi to, na wsi tylko jest rozkosz prawdziwa;
«Jedźmy więc na wieś!» Wsiada, leci i przybywa:
Tęskność wita go w bramie i za każdym krokiem
Wlecze się. Obojętnem ledwo rzucił okiem
Na kwiaty, nowy kijosk i pieszczone drzewa;
Powraca — i na nowej sztuce w mieście ziewa.
Tak odmienając nudy z odmianą mieszkania,
I na wioskę narzeka i miastu przygania.
Nieszczęśliwy! niech raczej wini serce swoje:
Czara nieczysta kwasu najslodsze napoje.
Szczęście chroni się blasku w pół ustroniu cichem:
Za damą idzie przepych, przymus za przepychem.
Takim jest człowiek; wszystko psuje, przystacza.
Niech wreszcie zdunzonego wymyśli bogacza.

071

Zieloność, kwiaty, gaje do miasta przynoszą;
 Jeszcze mu to przebaczam: gdyż patrzę z rozkoszą,
 Jak natura, wygnana z pysznych stolic łona,
 Odzyskuje swe prawa i wraca zemszczona.
 Lecz z gniewem o Krezusie bezrozsządnym słyszę,
 Który przynosi miasto w skromne pół zacisze;
 Ubiera go, służy mu dworaków gromada,
 I do wiejskiego stołu pan, jak król, zasiada;

175)

Str. 248—249. b).
 Pod gęstą wierzbą, która, świeżość swego cienia
 Łącząc z świeżością wody, chłód przyjemny daje,
 Obiera miejsce rybak i po cichu staje,
 Nachylony, cierpliwie drżącą wędkę trzyma
 I śledzi ją po wodzie chciwymi oczyma.
 Co za radość! już trzcina drga, już piórka toną.
 Jakąż niebaczną rybę, chytrze uwiadzoną,
 Nić okrutna na haczku śmiertelnym wyciąga?
 Złotoluskiego karpia, czy zwinnego pstrąga,
 Czy węgorza, co, szatą błyskając srebrzystą,
 Pasmem długich pierścieni wodę porze czystą,
 Okonia, co swój ogon rozpoziera krwawą,
 Czy szczupaka łakomcę, co wyplenia stawy?

176)

Str. 259—260. c).
 Ale czy miasta będziem, czy wsi mieszkańcami.
 Pojmijmy, że szczęśliwi nie możemy być sami:
 Szczęście najmilsze, które dzieli z nami drudzy.
 Bogacze i nędzarze, panowie i słudzy,
 Wymagają wzajemnej pomocy w potrzebie;
 Przez pół żyje, kto tylko żyje sam dla siebie.
 O! wy, którym się przykrzy ciche na wsi życie,
 Bądźcie w niej dobroczynni, a wieś polubicie.
 Szczęście tu jest udziałem ludzi miłośnika;
 Wśród zgiełku rozległego miasta wszystko znika:
 Lecz na wsi pyszny zamek, chatka, słomą kryta,
 Bogactwo próżnujące, nędza pracowita,
 Rażąc bliżej widokiem sprzeczności dotkliwym,
 Obrzucają cierpiących naprzeciw szczęśliwym.
 Wówczas przychodzi Dobroć: twarz jej czarująca
 Goi rany i oręż zawięsi wytrąca,
 Równowagę niejaką w życiu ustanawia,
 Wraca prawa nieszczęściu, złe lata poprawia,

Porzuca biednym kilka kłosów na zagonie,
 Który ich pracowite uprawiali dłonie,
 I zapelnia ten przedział swoimi darami,
 Jaki różność majątków czyni między nami.

177)

Str. 274. d).
 Lecz tam-to, gdzie wiek stary rzuca cień wokolo,
 Zbiega się wsi kochanie i młodzieży czolo.
 Tam-to wesółych tańców pole się otwiera!
 Brzmią wiejskie skrzypce, każdy swą piękność wybiera,
 Z nią się wywija, wznosi, spuszcza lekkim skokiem,
 Nieraz się tu myśl, a myśl, oko zbiega z okiem,
 Nie jedna podwojone czuje serca bicie,
 Kiedy je ukochana dłoń przyćmiśnie skrycie;
 A młode serca czuciem napelniając lubem,
 Swawolna miłość igra przed poważnym słubem.
 Wszędzie radość i szczęście dają widok miły:
 Utrzymuje się zrzeczność, pomnażają siły;
 Za niewinną zabawą każdy się ugania
 I w odpoczynku nawet nie zna próżnowania.
 Tak obfitość i radość rozlewając wszędzie,
 Szczęście twojego ludu szczęściem twojem będzie.
 W tej wiosce, co się stanie wszystkich wiosek wzorem,
 Złączysz nędznego z możnym i lepianką z dworem,
 Stworzysz nowe rozkosze, cierpienia ukoiisz,
 Związku towarzyskiego łańcuch silniej spoiisz;
 A gdyś wieś uszczęśliwił, użyźnił, ozdobił,
 Tak jak Bóg powiesz: wszystko dobrze jest, com zrobił!

C) Barbara, tragedia w 5 aktach (1817).

(Pisma, Warszawa, 1821).

Miejscem akcji jest komnata zamku krakowskiego, w którym jednocześnie odbywają się obrady sejmowe. Utwór rozpoczyna rozmowa Izabelli, siostry Zygmunta Augusta, z Boratyńskim, marszałkiem izby poselskiej. Oznajmia on Izabelli, iż postawie, niezadowolony z małżeństwa króla, nie chce uznać za królową Barbary, przybywającej wtedy właśnie do Krakowa. O ile, jako żołnierz, gorliwie i z powodzeniem spełniał swe obowiązki, o tyle nie czuje się teraz Boratyński, jako marszałek, zdolnym do utrzymania w krambach rozbujanych namietności i sprzecznych dążeń fakey sejmowych. Izabella przypomina mu zasługi wojenne ojca Barbary i jego zgon w obronie ojczyzny. Czyż wychowana w takich uczuciach i zasadach córka nie jest odpowiedzialniejszą na królowę od księżniczek cudzoziemskich, wrostłych w tradycjach samowładnych, nasiąkniętych pogardą

dla swobód polskich? Po wyjściu Boratyńskiego pojawia się Barbara, wita z radością życiawą jej Izabellę i opowiada dzieje swego poznania się z Zygmuntem. Szczęśliwe chwile pożycia przeraża młodej parze śmiertelność króla, powołująca syna do stolicy; na wezwanie małżonka, śpieszy za nim do Krakowa Barbara i na wstępie zaraz dostreżna niechęć lub obojętność w ciekawie oglądających ją dworakach i tłumach. Bona przy pierwszym spotkaniu osypała Barbarę obelgami i wyrzutami, przypisując jej intrygom małżeństwo syna i śmierć męża. Pozostawszy samą, wyrusza Bona, w gwałtownym monologu całą nienawiść ku synowej. Jeżeli inne środki zawiodą, ucieknie się do skrytościwości, byle cel swój osiągnąć i małżeństwo syna rozewać. Znając barzliwą duszę gwałtownego i dumnego Kmita, marszałka koronnego, pragnie użyć go za narzędzie do wytworzenia w senacie stronnictwa, któreby gotowe było orężem poprzeć sprawę unieważnienia małżeństwa.

Na początku aktu drugiego, gdy król otaczającym go ministrom wydaje rozperządzenia i odpowiada w różnych sprawach, przybywa do niego najpoważniejszy z senatorów, Tarnowski, i w poufnej rozmowie stara się przekonać Augusta o potrzebie ustąpienia życzeniom przedstawicieli narodu. Argumenty Tarnowskiego pobudzają króla do energicznego protestu: «Wolę paść z ręki zdradźców, niż sam zdradzać żonę». W postanowieniu tem umacnia go jeszcze skarga Barbary, uzalającej się na swe osamotnienie i nieprzyjazny nastrój otoczenia, w jakim się znalazła w Krakowie. Naprawdę też Bona w szerokim wywodzie stara się przekonać syna o politycznej konieczności zerwania tego małżeństwa, pobudzić do ofiary uczuć własnych dla szczęścia państwa; niezłomny w swem postanowieniu król udaje się do sali sejmowej, a przebiegła i zawzięta Włoszka zamyśla powieścić poparcie swych zamiarów zafanatem lekarzowi przybożnemu, Monti'emu, który «pewniejsze środki przyszogeto skrycie». Nim ucieknie się do ostatecznych sposobów, próbuje ona podstępem i kłamstwem oplotać i zgubić Barbarę. Izabella udaremnia zamiar matki, polegającej na wyprawieniu bezwzględnie do Włoch Barbary, wprowadzonej w błąd co do stałości uczuć Augusta. Król śpieszy z izby sejmowej, by napokoić zrozpaczoną małżonkę i przybyłej deputacyi sejmowej, z Boratyńskim na czele, daje stanowczą odmowę w sprawie zerwania małżeństwa. Przemowa Boratyńskiego, w której poeta zespolił patryotyzm z republikaństwem, nie tyle szlachecznym z wieku XVI, ile francuskim z pierwszych chwil wielkiej rewolucyi, stanowi najwybitniejszy moment, zamykający akt trzeci. Opór króla pobudza gwałtownego Kmitę do zbrojnego wystąpienia dla poparcia praw narodu. Tarnowski jednak, którego Kmita usiłuje pociągnąć za sobą, potępia jego zamiar i stanowczo występuje w obronę króla i zagrożonej wojną domową ojczyznę. Stara się on zarówno hamować rokoszowe zapędy Kmity, jak i poryczonego króla, pragnącego się orężą stłumić ruch buntowniczy. Barbara, zrozpaczona, zaproszeniem polew, by wstrzymał swe zamiary i z «ojca ludu» nie stał się jego «tyranem». Zniewolony zakłamaniami Barbary, radami Tarnowskiego, zaproszeniem polew, król sprawę swego małżeństwa z Barbarą dobrowolnie oddaje pod

decyzję sejmu. Krok ten skłania rokoszan do złożenia broni i wzięcia udziału w obradach. Senat nie chce uznać małżeństwa królewskiego. Zrozpaczonego Augusta pociesza Barbara, zachęcając do ofiary dla dobra ogółu: «Cierpmy, giemy i, ginąc z wyroku rodaków, niesmy do grobu miłość Polski i Polaków». W tejże chwili jednak z ust uszczęśliwionej Izabelli i z opowieści posła sejmowego dowiadują się, iż izba posełska, za pobudką Boratyńskiego, dla zapobieżenia wojnie domowej i z obawy przewagi wpływów rakuskich, zgadza się na koronację Barbary, pociągając i senat do jednorodnej uchwały. Tarnowski, Boratyński, a nakoniec i Kmita, przybywają złożyć hołd królówi i stwierdzić swą wierność. Nagły odjazd Bony otworzył oczy wierzącemu w czystość jej zamiarów Kmitcie. Wybuchy ogólnej radości paraliżuje wiadomość o ciężkiej chorobie Barbary, wywołanej trucizną, zadaną jej przez Monti'ego, który, schwytany w ucieczce, odebrał sobie życie, lecz w ostatniej chwili wyznał, iż do zbrodni popełniona go namowa i zaplata Bony. Wnieśli ona do komnaty konająca Barbara w ostatnich swych życzeniach troszczyć się o dobro ojczyzny jedynie: «Ty żyj... ocal gaaasce... ojców Polski plemie: od nie-szczęść... od upadku... zachowaj tę ziemię», zaleca w przedgonnem pożegnaniu rozpaczającemu Augustowi.

a) AKT I. SCENA II.

178) Izabella, Barbara.

Barbara. Ach! po wielu latach i w jakiejże chwili

Zjawiasz się utęsknionej, Izabelo droga!

Kiedy mię niespokojność otacza i trwoga,

Kiedy się przeznaczenia mego szala waży,

Niebo mię wraca twojej opiekuńczej straży.

Ach! ileż mię twój odjazd nabawił boleści!

Ileż później o tobie rozsiwane wieści

Powiększały drżącego serca niepokoję!

Ileż mię wycisnęły lez nie-szczęścia twoje!

Izabella.

Wierzaj mi, w losu mego przemianach ustawny:

W gmachach królów, w pustyniach, mem tulałtwem sławny,

W pomyślności, w niedoli, w blasku i żalobie,

Wszystkie się myśli moje zwracały ku tobie.

Dziś odzyskuję, z wami nakoniec złączona,

Szczęście, które mi była wydarta korona.

Nic mię już nie rozdzieli z tobą, z synem, z bratem!

Miejsce, gdzie wy jesteście, będzie dla mnie światłem.

Lat kilka, którem w obecj krajnie przeżyła,

Dały mi żywiej uczuć, jak Ojczyzna miła.

Dziś jej szczęście i moje będzie dopełnieniem.

Gdy na twych skroniach polską urzmyj koronę.

Barbara. Z nieszczęśliwą skłonnością walczyłam usilnie;
 Lecz zostałam samotna i zostałam w Wilnie:
 Miejsce, gdzie pierwszy pocałunek ukwił w serce drżące,
 Przeciw mnie ubrało prapromień tysiące.

Tych śmiertelnych udręczeń spełniłam dwa lata,
 Gdy przed zamkiem ujrzała nagle twego brata.
 Na czele twego pułku, świetną stałą zbrojny,
 Z moim stryjem z północnej wracał wówczas wojny.
 Jakież uczulam w sobie na ten widok drżenie!..
 Zapłoniał się zbladłam... utraciłam tchnienie
 I zaledwo nieśmiało mogłam podnieść oko
 Na tę twarz, w mojem sercu wyrzyta głęboko.
 Na jego czole, dumnym z pierwszego zwycięstwa,
 Widziałam świtający dla Polski wiek męstwa.
 A w uśmiechu łagodnym, co serce porwa,
 Szczęście przyszele rodaków czytałam szczęśliwa.
 Ach! jakże trudną wówczas było dla mnie chwata
 Odrzucić jego miłość tak czystą i stałą...
 Bałam się i pragnęłam usłyszeć wyznanie..
 Usłyszałam... Powinność przemogła kochanie:
 Kilku słowy zniszczyłam nadzieje Augusta;
 Lecz mój wzrok, mój głos drżący, zdradził moje usta.
 Odtąd w rosnącej coraz miłości zapędzie,
 Śledził mnie, szukał, ścisgał i.. znajdował wszędzie.
 Same trudności zapęd jego natężyły;
 Wkrótce na swoją stronę skonił ród mój cały..

b) AKT II. SCENA III.

Str. 34—35. August. Barbara.

Barbara.

Nie odstępaj Barbary, ośmiel duszę moję:
 Ja nie życia, lecz ciebie utracić się boję,
 Jeżeli trzeba umrzeć, umrę niezachwiała,
 Lecz pozwól, bym na twoich rękach umierała.

August.

Co mówisz? żyjmy raczej i żyjmy dla siebie.
 Jażbym cię nie obronił? jażbym przeżył ciebie?...
 Lecz po cóż niepewności mękę jeszcze znawiasz?
 Kocham cię i panuję — a ty się obawiasz?
 Niech się przeciw nam ziemia i piekło sprzyżęga,
 Żadna nas już rozłączyć nie zdoła potęga,
 Dzień ten niebezpieczeństwa będzie dniem radości,
 Tryumfem twojej cnoty, tryumfem miłości!

179)

Dziś twoje piękne czoło koroną ozdobię
 Lub dam za ciebie życie, którem winien tobie.
 Dziś dwa narody będą świadkami twej chwały,
 Dziś o szczęściu Augusta świat się dowie cały:
 A jeśli dotąd Bona śmie grozić Barbarze,
 Jeśli cię nie chcą obcy uznawać mocarze,
 Jeśli ci sejm przeraża powagą surową: —
 Jutro uklekną wreszcy przed polską królową.

Barbara.

Toż myślisz, że mnie może być miłą ta chwala,
 Którębjem z narażeniem dni twych nabywała?
 Gdy niebo mi pozwala twe serce posiadać,
 Nic już nie mogę zyskać, a wszystko postradać.
 Zdołaż który z śmiertelnych, zdolająz niebianie,
 Pomnożyć moje szczęście i moje kochanie?
 O mężu! jeśli mogę izy cię zmieknąć mogą,
 Opuść ten zamysł, odwróć tę nawałność srogą,
 I pozwól, niechaj w mojem szczęśliwa ukryciu,
 Nie drzę o wszystko, co mam najdroższego w życiu.

c) AKT III. SCENA VII.

180)

Str. 54—55. Barbara, Izabella, August

August.

Jeśli dziś tron dla ciebie nie będzie wzniesiony,
 Zrzekam się niespokojnej Polaków korony!
 Niech, kto chce, rządzi szlachtą dumną i swawolną,
 Chcącą królów i królom ulegać niezdolną;
 Ja na dziedzictwie przodków moich poprzestaję,
 Wrócę z tołą w siedliska Litwy ukochane
 I poświęcę się szczęściu tych obywateli,
 Którzy i nasze będą szanować umieli.

Barbara.

Czemże jest szczęście nasze obok szczęścia ludów?
 Czemże pozabawiać Polskę owoc tuych trudów?
 Czemże rozdzielać wiecznie dwa potęgane kraje,
 Które złączył twój nadziazd, łącząc obyczaje,
 Łącząc rządu spólnictwo, dwóch wieków zażyłość,
 Jedną krew, jeden język, jedną swobodę miłość?
 Któreś w obliczu niebios poprzysięgi i ziemi
 Ścisłej spoił i oba zrobił szczęśliwemi?
 Czemże, by te pogromcze orły i pogonie,
 Które w ojczyzny spólniej, w praw spólnych obronie
 Walczyły, zwyciężyły, wstawiały się razem,
 Bratobójczem się kiedyś krawiły żelazem?

Lub żęły, sam ujarzmiom od obcego państwa, *niech będy*
 Ścięgal brońią brat brata, nagląc do poddaństwa? *niech będy*
 O, wy, tak łabe sercu mojemu narody! *niech będy*
 Siedliska naszych ojców męstwa i swobody, *niech będy*
 Jesli wam takie losy gotują niebianie, *niech będy*
 Niech umrę, niech przynajmniej ja nie patrzę na nie!

August

Tak jest, obom narodom przyrzekłszy opiekę,
 Dobrowolnie się tronu polskiego nie zrzekę;
 Lecz tem bardziej przez damę lub trwogę niskozemną
 Nie zezwolę, by ciebie rozdzielono ze mną,
 Kiedy mi los dwuch ludów poroczył nieba,
 Dla ich uszczęśliwienia ciebie mi potrzeba,
 Ni groźby sejmujących, ni błysk ich pałazy,
 Ni wydarce korony, nie mnie nie zastraszy!
 Ach! w porównaniu straty, która ja się boję,
 Czemże jest tron, świat, życie... nawet życie twoje!

181) Str. 56—59. d) SCENA VIII.

Boratyński. August, Boratyński, Posłowie.

Królu! w nas dzisiaj widzisz dwa ludy potężne,
 Które, długo rządzone przez twe przodki męjne,
 Pod nimi się złączyły, wstawiły i wzrosły.
 Ojca i dziadów cnoty na tron cię wyniosły.
 Im ojczyzna, ojczyźnie ty winienesz wdzięczność,
 Odplacić się jej teraz masz, Anguście, zrzeczność;
 W jej imieniu od ciebie domagać się śmiemy
 Ofiary, której wielkość sami czuć umiemy.
 Lecz ofiara, potrzeba do szczęścia narodu,
 Nigdy trudną nie była dla Jagiellów rodu.
 Pojąłeś królu, żonę, bez woli senatu
 Ze szkoda państwa, z ujmą twego majestatu;
 Słub twój znieważa świętą ustaw naszych księgie;
 Przystała mięta gwałci monarchy przysięgę;
 Wykonałeś ją pierwęć Polsce, niż Barbarze,
 Tej dom twój, tamtej byty świadkami ołtarze;
 W obliczu świata wszyscy królowie są braćmi;
 Związek z poddanka świetność tronu twego zaćmi.
 Przodkowie twój ród wnieśli, tyż go masz poniżać,
 Sercu twojemu dosyć jednego powodu,
 Że te związki miłymi nie są dla narodu,
 Ów, co przewyższył cnotą bohaterów gminnych,

Co jest wzorem dla ciebie, rozpaczą dla innych,
 Tytus, czemuż od tronu, od siebie oddalił
 Tę, przed którą zdumiony Wschód kładził palii?

A tyż, wolnego ludu król wolnie obrany,
 Mniej cheesz, mniej masz potrzeby być od nas kochany?
 Czyż myślisz, niszcząc wolność, gardząc ustawami,
 Podbić kraj i żelazne berło wnieść nad nami?
 Bądź raczej, idąc torem przodków nieomylnym,
 Naszą miłością wielkim, naszą mocą silnym,
 I spraw, twą władzę ważąc na praw naszych szali,
 Żebyśmy się nie ciebie, lecz o ciebie bali.

(kibając)

Nigdy przed obcą władzą, przed nieczem tyrana
 Nie ugięły się wolnych Polaków kolana:
 Dzisiaj błagam ciebie, ojeze naszej ziemi,
 Za tobą, za twym rodem, za dziećmi naszymi.
 W imię twych dziadów, których pamięć tak nam droga,
 W imię twojego ojca, w imię tego Boga,
 Co z małych wzmógł początków Polskę tak wysoko,
 I dotąd na nią zwraca opiekuńcze oko:
 Zgaś miłość, być mogącą strasznych burz powodem,
 Zerwij związki z kobietą, a wzmocnij z narodem!
 Niech Polska, niech świat cały, niech potomność mówi:
 •Tak miłymi poddani byli Augustowi,
 •Ze się dla nich nie wahał uczynić ofiary
 •Z najdroższych uczuć serca, nawet z łez Barbary!

182) Str. 65—67. e) AKT IV. SCENA I. Tarnowski, Kmita.

Tarnowski.
 W krajach innych pochlebstwo, a w naszym zachwalostę.
 Przez nią w Polsce od wnuków rozrodzonych Piasta
 Na gruzach władzy rządu — władza moźnych wzrasta.
 Ich przewrotność koleją to strasy; to mami
 Tron — podburzaniem gminu, gmin — tronu łaskami.
 Po każdej nawalności, co berłem zachwieje,
 Szczególnych siła rośnie, powszechna słabiej,
 Te zepsutych naddziadów nieszcześnie nauki
 Na wyścigi przejmują gorsze od nich wnuki.
 Tak więc Polskę wystawiasz na najstrojsze ciosy,
 Całość i samowładztwo jej spuszczasz na losy,
 A sam obracasz tylko wzrok nienasycony
 Na złane krwią i łzami bezkrólewia plony,

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Wydanie zbiorowe pism Kropińskiego ukazało się w r. 1844 p. t.: «Rozmaite pisma» (Lwów, Stanisławów i Tarnów). Zawiera ono następujące utwory: Dzieła miłości czyli muz i pęzła żarty, Rozmaite wiersze (bajki, pieśni, powieści), Szuka rymotwórcza, Modlitwy, Moje uczucia, rady, uwagi i przestrogi jedynie dla moich córek, Ludgarda, tragedia oryginalna w 5 aktach. Osobno wyszło: Julia i Adolf czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru (Warsz. 1824); przekł. rosyjski A. Połowcowa (Pet. 1831); przekł. francuski Maury (Paryż 1824, 1828, 1833).

b) O Kropińskim pisali: Wójcicki K. Wł.: «Życiorysy znakomitych ludzi» (Warszawa 1851, t. II), Tarnowski St.: «Romans polski w początkach XIX w.» («Przegląd Polski», 1874), Wojciechowski K.: «Werter w Polsce» (Lwów 1904); Galle Henryk: «L. Kropiński» («Wędrowiec», 1902, str. 426); prócz tego p. «Biblioteka warszawska», 1875. III; Sokolnicki generał: «Uwagi nad zdaniami o tragedji Ludgardzie» («Pam. warsz.» Bentkowskiego, 1816).

A) Ludgarda, tragedia w pięciu aktach (1816).

(Pisma rozmaite, str. 243—316).

Tragedya nie odstępuje od szablonu pseudoklasycznego. Bohaterką jest Ludgarda, żona króla Przemysława, zapomniana przez niego dla pięknej Ryksy, królowej szwedzkiej, narzeczonej Waclawa, króla czeskiego. Przemysław postanawia pozbyć się niemilej żony; uzyskuje rozwód z Rzymu, a wreszcie, pod pozorem aktu jego jakoby przez nią spiskownika, wtrąca ją do więzienia i nasyla na nią mordercę Sambora, swego powiernika. Spełniona zbrodnia wzburzyła przeciw królowi lud i senat; Przemysław, widząc się przez wszystkich opuszczonym, sam przebija się mieczem. Kolorytu dziejowego ani ścisłości historycznej niema tu wcale.

Akt II, scena V.

AKT II. SCENA V.

184) Str. 274—279. Ryksa, Ludgarda.

Ludgarda. Ryksko! na twoje łono rzucam się, szczęśliwa!

Mój Przemysław mnie kocha, twój Waclaw przybwa.

Ryksa. Przemysław ciebie...

Ludgarda. Winnam zwrot jego miłości

Łzom moim i odkryciu mojej niewinności.

Gdy mnie kochał i kiedy go wzajem kochała,

Zawiesz niezszczęsną jad swój w jego serca wiał.

Mniemał on, że, Waclawa pragnąc wydrzeć tobie,

Tę miłość cnotą tylko zwyciężalam w sobie.

Ach! gdybyś go widziała, jak tkliwie przede mną

U nóg moich błąd wyznał i miłość wzajemną

I jak, mitemi łzami zlewając me dłonie,

Wracał serce kochanka kochance i żonie,

Dzieliłaby to szczęście twoja dusza tkliwa.

Obyś, Ryksy, z Waclawem była tak szczęśliwa!

Leć i on...

Ryksa. Stój, okrutna!

Ludgarda. Coś rzekła w zapędzie?

Ryksa (*ukrywając swe poruszenie*).

Zmiana stanu płci naszej zawsze straszna będzie,

Gdy, ulegając sercu... albo też potrzebie,

Na zawsze, że tak powiem, rzec się mamy siebie...

Gdy tracę nieszczęśliwa tyle pociech razem...

Ludgarda. Przebacz łzom, wyciśnionym przeszłości obrazem.

Ryksa. Przejazną ręką zwity na cię wieniec włożę.

Nie trwoż mnie; odetchnienia raczej potrzebuję.

Ja, która wszystko z tobą dzieliłam i czuję.

Ryksa. Wszystko ze mną podzielasz...

Ludgarda. Wszystko. Ryksko! mów, coś znaczny

Ta niespokojność...

Ryksa. Mejej lękaj się rozpacz.

Ludgarda. Kiedyż dla mego serca w twojem była skrytość?

Wyznaj, nie truj mi szczęścia, miej nade mną litość.

Ryksa. W milczeniu masz ją mojem, pierwsze ust słowo.

Przerazi cię: co czynię? zostaw mnie, królowo (*na boku*).

Ludgarda. Czyż ta, która mi męża wydrzeć chciała, zawiść.

I twoją dla mnie przyjadź zmieniła w nienawiść?

Ryksa. Zgadłaś!

Ludgarda. Myłisz się; próżna jest twoja obawa,

Ja kocham Przemysława...

Ryksa. I ja Przemysława.

Ludgarda. Przemysława? o nieba! o srogości losu!

Nieszczęśliwa! przyjaźni chciej wysłuchać głosu.

Tworzącej się miłości zniszcz pierwsze wzruszenie.

Przygaś ogień, nim jeszcze zajmie się w płomienie.

Królowo! twoja rana już moją jest raną;

Doznałam, co to kochać, a nie być kochaną.

Ryksa. Precz ode mnie, rywalko, twoją moją rana?

Łatwe są tobie cnoty, gdyś wzajem kochana.

(*z przekąsem*)

Zrób mnie szczęśliwa, Ryksa pójdzcie w twoje ślady,

Odda litość za litość i rady za rady.

Ludgarda (*odchodzi*). Niewdzięczna!

Rykosa. Zemsto! zemsto! to serce cię wzywa;

W tobie ja tylko ulgę znajduję, nieszczęśliwa.
Tobie wszystko poświęcę, tak, wszystko poświęcę.
Ty dasz sercu odwagę, podając miecz ręce.
Gdyby, samą miłością tylko uniesiony,
Walcząc z miłością, dla mnie powracal do żony;
Gdyby, kiedy niewdzięczny tak łatwo się zmienia,
Z uczuciem u nóg moich błagał przebaczenia;
Gdyby się był mnie zwierzył, wyznał swoją winę
Lub przynajmniej dał jaką swę zbrodni przyczynę;
Widząc w jego zgrzyzocie razem łal i karę,
Mógłbym z mego szczęścia zrobiła ofiarę.
Ale nie, precz ode mnie, niegodna miłości,
Gniew, zemsta i nienawiść zrównają miłości.
On, co się z mej słabości, z mych przysięg najgrawa,
U którego jest niczem chwila nawet sława,
Który może w tej chwili wraz z swoją Ludgardą
Zmiewała mnie miłością lub okrywa wzgardą.

B) Pieśnię.

III.

(Pisma rozmaite, str. 59).

185) Te brzoź kilka, bieg tej wody
Tak mi wiele przypomina!
Tu przeskakałem wiek młody,
Tu niegdyś była Emina.

Ona tak miło i smadnie
Przez oczy weszła do duszy,
Jak wietrzyk, gdy w listki wpadnie,
I spokojność drzewa wzruszy.

Czemuż z miłych rzeczy zgrabą,
Pamięć człowieka nie traci!
Nie wdychałbym za nią lubą
Ni płakał poległych braci.

Gaje, pagórki, doliny,
Przeszłości obrazie miły!
Bez ojczyzny i Eminy
Jakżeście wiele stracili!

C) Julia i Adolf, czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru (1824).

(Z wydania pierwszego).

Romans ten poprzedza przedmowa, w której autor wyłuszcza cel swego wystąpienia, powiadając, że chodziło mu o wykazanie fałszywości panującego wówczas uprzedzenia, «iż nasz język nie jest zdolnym wydać tkliwosc uczuć delikatnej miłości, dla których język francuski, zwłaszcza w «Nowej Heloizie», zdaje się być stworzonym». Akcją tego obrazu «delikatnej miłości», nie bacząc na fatalny anacronizm, przenosi do Polski w. XVI. Bohaterowie noszą romansowo imiona Julii i Adolfa, obec ówczesnym obyczajom polskim. Ona jest córką magnata, Jana Tenczyńskiego, wojewody sandomierskiego, on — ubogim szlachciem. Rzecz dzieje się nad brzegami Dniestru, gdzie Tenczyńscy mają pańską rezydencję Krasnogród. Adolf zaś zamieszkuje o milę odległy skromny Skalin. Forma romansu — listy obojga bohaterów do powierników, a potem do siebie nawzajem, trochę — coraz wzmagająca się miłość wzajemna, której staje wprost żelazna wola ojca, zmuszająca Julię do przyrzeczenia ręki dawniej już wybranemu przez rodzinę Zdzisławowi, księżęciu Siewierskiemu. Dowiedziawszy się o tem, po czułym pożegnaniu Adolf sam się pozbawia życia, a w kilka miesięcy pośpiesza za nim i Julia, którą żal i rozpacz po stracie kochanka unoszą w grób. Pochowano ich obok siebie, położwszy na grobach krótkie, lecz wymowne napisy: «Smutna ofiara czystej miłości Adolf tu leży.» i «W ośm miesięcy i trzy dni Julia za nim poszła, ojciec ją przeżył.» Romans należy do kategorii sentymentalnych, modnych w owym czasie, obficie jest zroszony łez strumieniami, pełno w nim okrzyków, westchnień i jęków. Przytaczamy poniżej kilka ostatnich listów, przedstawiających rozstanie się kochanków i śmierć Adolfa.

Str. 94—104.

List LXVII. Adolfa do Julii

zawarty w poprzednim.

186) Julio! Widzenie się nasze wczorajszej nocy, którego przez wzgląd na twój stan uniknąć chciałem, tak bolesne, tak przerażające, ostatnie, złączone jeszcze z tą myślą, od dawna dręczącą, żeś już ciebie utracił, nie mogło innego na mnie sprawić skutku nad śmierć moją. Jeżeli dotąd przetrwałem okropności, jakie na mnie ściągnęły nieustannie pasowania się z sobą, pamięćmu dzień naszej ostatniej przechadzki i nasze nagłe rozłączenie się, dzięki nadziei, która od czasu mego powrotu do zdrowia codziennie więcej nas ożywiała.

Ujrzenie ciebie w czasie pożaru, chociaż wzruszyło nasowo gwałtowne we mnie uczucia i pomieszało odzyskaną niby

spokojność, byłem jednak szczęśliwy, bo byłem kochany, byłem szczęśliwy, boś ty jeszcze mogła być mogła, byłem nawet najszczęśliwszy, boś ty miała przeczcucia i nadzieje, że będziesz moją.

Niestety! jedna chwila wszystko i na zawsze zniszczyła. Odbieram list, list ręką Kamilli, zdrażdzałem, otwieram... Czytam. O słowa! «Adolfie, ulituj się nieszczęśliwej Julii! Ciebie kocha. Zdzisław przybywający ma jej rękę otrzymać».

Kochanko moja! pociesyłem wówczas ciebie, ale już niczem odtąd pociesysz się nie mogłem. Z temi to słowami Kamilli śmierć we mnie wstąpiła. W ogołoconem sercu z wszelkiego ożywiającego je uczucia, wśród myśli, nieustannie wystawiających cię z innym, ustawał we mnie ogień życia. Wyrzekałem niebu, znienawidziłem ludzi, siebie i cnoty, których dopełniałem.

Wiedziałem o dniu połączenia się twego z Zdzisławem. Czulem, że go przeżyć nie mogłem, dotrwać jednak aż do owej chwili pragnąłem i o tę litość nad tobą błagałem Nieba.

W tym smutnym skamieniałości stanie mniemałem, że mnie już nic dotknąć, przerazić i ożyć nie zdola. Alie wczoraj wśród nocy, zawołany listem Kamilli, zagrożony twojem niebezpieczeństwem, wezwany ku ulżeniu twoich boleści, natychmiast odzyskałem życie i siły i milową przeszeźnię przeleciałem pędem, jakim tylko ku ratunkowi kochanki lecieć [tak] można. Ty jedna tylko zdelasz uczuć, co się ze mną wówczas działo, gdy wzrok, poprzędając najbystrzejszy bieg konia, zaczynał dostrzegać i rozpoznawać wśród ciemności miejsca, tak dobrze sercu memu znane, tak dawno ode mnie widziane, miejsca, wśród szczęścia opuszczone, całą przeszłość przede mną stawiające, a tak dziś rozpaczają twój okropnie. Potajemnie ku nim zbliżanie się, z ostrożnością występno do ogrodu wnijście, obłąkanie się moje, przyprowadzające mnie do zwalisk mego niegdyś mieszkania, ujrzenie drzewa, pod którym cię w czasie pożaru widziałem, i tych brzoź, przy których mi swe włosy oddałaś, nakoniec wybiecie na wieży zamkowej trzeciej godziny, przypominające mi, kiedyś, zalana łzami, po raz pierwszy do mnie pisała... Juliol jedno tylko niebezpieczeństwo życia twego mogło mi dać moc przetrwania tylu okropności.

Przetrawałem wszystkie... wchodzę do twojego mieszkania... wszędy ciemność i milczenie... uchylam drzwi twego pokoju... O widoku!... zbladła, z zwieszoną na krzesle głową... u nog twoich Kamilla, zalana łzami... ukryte światło, nadające cię do stać śmierci... ręką rozpaczy, niepomną na skromność, rozrzucone twoje szaty... Utraciłem przytomność... wleciałem... oblałem łzami nogi twoje i ręce, co mię podnieść chciały. Utraciłaś i ty przytomność. Złączyły się nasze usta, złączyły się miłość i rozpacz tak silnie, że wszystkie usiłowania Kamilli do oderwania nas od nas nadaremne były. Odstały one same po wysianiu wzajemnem wszystkich sił naszych. Stało się, ostatnia rozkosz, ostatnie pożegnanie, ostatni dzień życia mego. Tak jest, Juliol już niknie... ustaje... dogorywa już we mnie życie...

...Co do ciebie... tylekroć nieszczęśliwsza ode mnie kochanko moja! ty naznaczonego kresu dożyć musisz. Gdybyś innych nie miała powodów i względów, przywiązujących cię do tej ziemi, dosyć ci tego wspomnienia, że ojciec twój żyje. Ojciec twój żyje! szanuj więc do końca obowiązki córki, dla których tyleśmy już poświęcili. Nie otwieraj mu przedwcześnie grobu rozpaczą swoją. Pomnij, że przyspieszenie śmierci temu, od którego wzięłaś życie, jest najstraszniejszą w oczach ludzi i Boga zbrodnią. Pomnij nakoniec, że lata, wieki są chwilą w porównaniu z wiecznością, w której się połączyć mamy. Ach! gdziekolwiek bądź, byleby się z tobą połączyć. Utraciłem cię na ziemi, idę cię odzyskać w nieskończoności, otaczającej Boga. Tam cię, kochanko moja, czekać będę, bo tam siedlisko nieszczęśliwych przez cnoty. Z jakąż niecierpliwością liczyć będę posuwania się czasu, przybliżające ciebie do mnie. Z jaką rozkoszą porwę ostatnie twoje tchnienie, z jakim tryumfem postawię cię nieskażoną przed Bóstwem, z którego czystych odcieniń utworzoną byłaś.

Może to pismo przyjazna ręka usunie na zawsze z przed oczu twoich, albowi też wówczas dopiero dozwoli na nie potoki łez wylać, gdy Adolf, przywalony ziemią, przestającąją go w siebie, ani jęków, ani miłości twojej czuć nie będzie... Wieczne

milczenie otoczy mogiłę moją, której może nigdy iza twoja nie skropi, noga nie dotknie.

Wszystko w opustoszałym zniknie Skalinie. To jedno tylko drzewo, imieniem twojem szczęśliwe, osłaniające grób twego kochanka, biorące pokarm nieniknieniem jego, zachowa pamięć miłości naszej. Śmiertelni! szanujcie je!.. Biada temu, kto tę świętą pamiątkę zabójczem żelazem ośmieli się zniszczyć!.. Cień go mój wszędy ścigać będzie i mścić się na wszystkich chwilach życia jego

..... Jeszcze raz wzrok słabnący zwracam w tę przestrzeń, którą tylekroć oczy nasze przebiegały, i na te wieże Krasnogrrodu, oświecone w tej chwili światłem, którego więcej nie ujrzę. O moje drzewa, łąki i gaje! świadki niegdyś mego szczęścia i rozpacz, życia i śmierci! O nadzieje miłości! lube oamieniali i wy, przyjaciele, żegnaj was! A ty, kochanko moja! połowo duszy mojej! życie moje do ostatniej chwili życia mego, używam cię tylko na czas tej ziemi dla jej ozdoby i szczęścia!

..... Włosy twoje są przy mnie... listy w rękach Kamilli... Skalin Miroslawowi... wiernego Luata zostawiam tobie... Julio... Julio...

List LXVIII. Tencyńskiego do Adolfa.

Adolfie! nie zadawaj śmiertelnego razu naszym sercom [tak], umiejącym cenić twoje cnoty i nadzwyczajną miłość, dla której Zdzisław w swego szczęścia ofiarę czyni. Upamiętaj się więc, powściągnij twój żal i przybwyj do twojej Julii.

List LXIX. Julii do Adolfa.

Jeżeli żyjesz, kochanku mój! Mężu mój! Jeżeli nie żyjesz, zabójco kochanki i żony!...

List LXX. Odpowiedź służącego.

Nie żyje

Opracował H. GALLE.

XXIV.

WEŻYK FRANCISZEK

(1785—1862).

Franciszek Weżyk przyszedł na świat we wsi Witalinie, w województwie podlaskiem, dnia 7 października 1785 roku, z ojca Kazimierza, późniejszego posła na sejm czteroletni z województwa sandomierskiego, i matki Maryi z Bogusławskich. Dzieciństwo jego upłynęło na łonie rodziny, znacznej i dobrze myślącej o dobru ogólnem; nieraz przysłuchiwał się Franciszek poważnym rozmowom, w domu rodziców toczonym z przybwywającymi gośćmi, jak biskup łucki, Feliks Turcki, Naruszewicz, Chreptowicz i inni. W roku 1792 oddano go do szkoły w Białej Radziwiłłowskiej; przez czas powstania trzymano go w domu, a przychodzące z teatru wielkich wypadków politycznych wieści głęboko wstrząsały duszą młodzieńczą. W roku 1795—6 uczył się w Łukowie, pod kierunkiem zacnego staruszka, ks. pijara Elmsonta, potem znow w Białej, aż wreszcie w roku 1798 oddano go wraz z bratem Ignacym na pensjonat Karola Möllera w Warszawie; a kiedy w rok potem nauczyciel wyemigrował z kraju dla wstąpienia do legionów, Weżyk zmuszony był uczyć się prywatnie, by nakoniec w roku 1801 zdać na maturę w c. k. gimnazjum białeńskiem, i to *cum nota eminentie*, poczem zapisał się na wydział prawnicy uniwersytetu krakowskiego, chodząc jednocześnie na wykłady literatury greckiej, rzymskiej i polskiej, a także starożytności greckich. Nauki humanistyczne pociągały go bardziej od suchego i nieszczerżnie wykładowanego prawa; wymownym dowodem studyów nad humanistami (pod przewodnictwem Jacka Przybylskiego), jest przekład «Edypa Sofoklesa z roku 1804. Z doby uniwersyteckiej pochodzi znajomość Weżyka z Czachim, Niemcewiczem, Osolińskim, nie mówiąc o Janie Śniadeckim, który był wówczas dziekanem wydziału filozoficznego; wtedy też zaczął przekładać «Eneidę», a także, za przykładem Alfieriego i Schillera, napisał

tragedyę p. t. «Don Carlos» (1805 r. — pozostaje w rękopisie). Gdy w r. 1806 umarła Franciszkowi matka, porzucił uniwersytet na wezwanie ojca, który chciał go mieć przy sobie dla pomocy w sprawach majątkowych. Rozgorzał od r. 1806 na terenie dawnej Rzplitej wojny natchnął go do szeregu ód i wierszy okolicznościowych, jak: «Oda do Polaków» (1806), «Wiersz do wojska polskiego» (t. r.), «Msza święta» (1808), które rozgłosił jego imię. W r. 1807 przybył do Warszawy w chwili organizacji nowego rządu i objął obowiązki asesora Sądu apelacyjnego departamentu warszawskiego. W roku 1809 daje się poznać szerokim kołom publiczności, jako autor okolicznościowej «sceny historycznej» w trzech aktach p. t. «Rzym Oswobodzony» (wydane w Warszawie 1811 r.), gdzie pod alegoryą najścia Gallów na Rzym przedstawił współczesne wypadki i nawet współczesnych działaczy politycznych (Kamillus — ks. Józef Ponia-towski). Na czas kampanii r. 1809 przeniósł się do Krakowa, gdzie poznał Dąbrowskiego, z którym wzniewał okolice Krakowa: Ojców, Pieskową Skalę, Krzeszowice, Tyniec, Łobzów i t. d.; do wycieczki tej przyłączyli się dwaj przyjaciele poety, Horodyski i Szaniawski. Wówczas to powstały pierwsze zarysy poematu «Okolice Krakowa», wykończonego w roku 1813, wydanego w 1820. W r. 1810, po przewyżczeniu wielu trudności ze strony rządu Księstwa Warszawskiego, wystawił w Warszawie «Glińskiego», utwór, który zjednał sobie gorącej poklask, a 25-cio letniemu antonowi swemu otworzył podwoje Towarzystwa Przyjaciół Nauk (6 stycznia 1811 r.). Za pierwszą pozszy inne tragedye: «Barbara Radziwiłłowa» (1812), «Bolesław Śmiały» (pierwotny tytuł: «Bolesław Wtóry» — p. autograf Nro 985 Biblioteki ord. Zamoyskich, 1816; tamże — autograf «Glińskiego», Nro 988), «Wanda», w tym samym mniej więcej czasie napisana, komedy: «Nowiniarz» (około 1811—15 r., nie wydana), «Kabalista» (1813, nie wydana). W roku 1810 został obrany posłem z powiatu białskiego na sejm warszawski; należał też w roku 1812 do czynniejszych członków konfederacji generalnej. Uznając zalety literackie tragedyi Wężyka, Towarzystwo Przyjaciół Nauk poleciło mu napisanie rozprawy o poezji dramatycznej; autor «Glińskiego» dokonał tego w roku 1811 i przedłożył swą pracę Towarzystwu, którą jednak wyznaczona deputacja odrzuciła, jako zbyt śmiało zrywającą z kanonami estetycznymi (1814 r.). Dotknęło to boleśnie Wężyka, który jeszcze w 82 lat pisał z żalem: «Poczytao mnie za barbarzyńca, i tylko uprzejmość kolegów oszczędziła mi tego imienia». Rozgorczony, a przytem znękany pogromem Napoleona w 1812 roku, usunął się z Warszawy do Krakowa, a potem do Witalina i tam w roku 1816 wstąpił w związku małżeńskie z panną Felicyą Mieroszewską, córką Józefa i Konstancy; w tym samym 1816 roku stracił 70-cioletniego ojca. Prócz dramatów pisał też w tym czasie i powieści: «Władysław Łokietek» (1828), «Zygmunt z Szamotai» (1829) i «Daszko i Oksenia» (1831, nie drukowana), powieść poetycką: «Komat», już pod wpływem

«Grażyny» Mickiewicza skreśloną. Powstanie listopadowe wciągnęło ponownie Wężyka w wir wypadków politycznych; w maju wezwano go do zasiadania w senacie i mianowano kasztelanem; wieści te zastały go w Siedliskach w Krakowskiem, odziedziczonych po ciocie, gdzie osiadł w r. 1830. Przyjechał do Warszawy, brał żywy udział w dyskusjach parlamentarnych, stawiając np. na sesyi 12 sierpnia «oddzielne votum» przeciw zmianie władu naczelnego, brał też udział w Radzie Konfederacji Generalnej, a po upadku rewolucyi uszedł ponownie do Siedlak, gdzie przebywał aż do roku 1838, wyjeżdżając tylko dla odpoczynku i kuracyi do wód zagranicznych (między innymi w latach 1834 i 1837 bawił zimą w Dreźnie, gdzie zapoznał się z Ludwikiem Tieckiem). W roku 1838 zamieszkał na czas dłuższy w Krakowie i został tu obywatelom rzeczywistopolitej krakowskiej; tu przebył zawieruchę 1846 i 1848 r. Z tej epoki pochodzi sporo wierszy ulotnych i okolicznościowych (m. inn. wiersze do Deotymy, do Z. Krasińskiego), z dłuższych poemat p. t. «Piaś» (1856). Ostatnie lata Wężyka nie były wolne od pracy społecznej, której zawsze gorąco się oddawał: w roku 1856 Towarzystwo Krakowskie Przyjaciół Nauk, którego od 29 lutego 1848 roku był członkiem, powołało go na zaszczytne stanowisko prezesa po Józefie Majerze (25 października); dnia 9 stycznia 1857 roku po raz pierwszy zagał posiedzenie Towarzystwa. Sprawą, którą najgorliwiej zajął się w te lata achyłkowo swego życia, była budowa własnego domu dla Towarzystwa; został kwartarzem składek i pełnomocnikiem, nawoływał w gorących odczwach społeczeństwo do poparcia znacznej inicjatywy, dość jednak bezskutecznie — wobec obojętności i ospalstwa ogółu — tak iż w końcu wdział się zmuszonemu brakującej piastą 6.550 złr. 47 ct. z własnej kieszeni dołożyć. Przez trzy lata piastował godność prezesa, złożony ją wreszcie w r. 1859 w ręce swego poprzednika, Majera. Nie próżnowało też w tym ostatnim okresie i pióro Wężyka: oprócz wielu wierszy lirycznych pisał utwory dramatyczne, jak: «I ja też, czyli Rzeczpospolita Babińska» (1861), «Bezkrólewie I» (1858) i «Bezkrólewie II» (1853), komedy «Dzieci wieku» (1860), «Przedsiębiorca teatru, prolog» oraz wiele rozpraw treści filozoficznej i politycznej. Nie danem mu było jednak widzieć pierwszej sesyi Towarzystwa w gmachu, pod który w dniu 4 czerwca 1857 r. położył kamień węgielny; na kilka miesięcy przed śmiercią podpisał trzęsącą się ręką umowę z Towarzystwem, mocą której zobowiązał swoich spadkobierców do wykończenia budowy, nawet własnym kosztem, gdyby fundusz zebrany okazał się niedostatecznym. W dniu 2 maja 1862 r. zmarł, żałowany powszechnie przez wszystkich; umiłowana jednak myśl Wężyka, dom Towarzystwa Naukowego, i pomimo jego śmierci znalazła urzeczywistnienie.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA:

a) Za życia autora ukazały się w druku następujące prace: «Barbara Radziwiłłówna, tragedia» (Kraków 1822); «Bezkrolewie, dramaty» (Kraków około 1858 r.); «Bolesław Śmiały, tragedia» (Kraków 1822); «Gliński, tragedia», (Kraków 1821, II wydanie 1831); «I ja też czyli Rzeczpospolita Babińska, komedia historyczna», (Warszawa 1861); «Mieszkaniec Krakowa do mieszkanka Warszawy» (Kraków 1829); «Okolice Krakowa» (Kraków 1820, 1823 i 1833); «Rysy z życia ś. p. ka. Karola Antoniewicza» (Poznań 1853); «Rzym oszobotzony, scena historyczna... wystawiona pierwszy raz na teatrze warszawskim 21 grudnia 1809 r. z okoliczności tryumfalnego powrotu wojska narodowego do stolicy», (Warszawa 1811); «Wanda, tragedia» (Kraków 1826); «Władysław Łokietek, czyli Polska w XIII wieku», (3 tomy, Warszawa 1828); «Zygmunt z Szamotą, powieść z dziejów XIV w.» (Warszawa 1830); «O życiu i zgonie Tekli z Wodziańskiej Małachowskiej» (Kraków 1830). Po śmierci ukazało się wydanie zbiorowe p. t. «Pisma... poezye z pośmiertnych rękopisów», wydał Stan. Tomkowicz, Kraków, 1878; tom I: tłumaczenia klasyków, tom II: utwory dramatyczne z dodaniem urywkowych pamiętników autora, tom III: poezye liryczno-okolicznościowe i inne pomniejsze z dodaniem bibliografii. Pamiętniki Wężyka p. t. «Powstanie Królestwa Polskiego w roku 1830—1831» wyszły w Krakowie w roku 1895.

b) W rękopisach pozostały w posiadaniu rodziny następujące prace: 1) «Don Carlos, tragedia w 5 aktach wierszem 1805 r.»; 2) «Nowiniarz, komedia w 5 aktach wierszem» około 1811—15; 3) «Kabalista, opera komiczna w 2 aktach wierszem» 1813 roku; 4) «Daszko i Okseña, powieść historyczna z dziejów XIV w.» około 1815 r.; 5) «Dzieje Polski dla dzieci», rozpoczęte w roku 1829, a ukończone około 1859 dla wnuków; 6) «Dzieci wieku, komedia w 3 aktach wierszem», 1860 roku.

c) O Wężyku pisali: Zathy H.: «Z papierów Fr. Wężyka» («Przegląd Polski», 1875, I); Korespondencya K. Koźmiana z F. Wężykiem» («Przegląd Polski», 1875); Tomkowicz S.: «Barbara Radziwiłłówna w poezyi» (tamże, 1875); Siemięński L.: «Fr. Wężyk» («Dzieła», t. IV); Wojciechowski K.: «Listy F. W.» («Przegląd Literacki», I, 1896); Tomkowicz St.: «Żywoć F. Wężyka» (w wydaniu «Poezyi» Wężyka, Kraków 1878); Zapala Z.: «Franciszek Wężyk, monografia bibliograficzno-krytyczna» (Kraków 1898); Baliński A. E.: «Bolesław Śmiały i św. Stanisław Szczepanowski w poezyi polskiej» (Kraków 1905); Tarnowski Stan.: «O niewydanych poezyach» (Rozpr. Akad. Umiej. wydz. filol., t. III, Kraków 1875); Chmielowski P.: «Dzieje krytyki literackiej w Polsce» (Warszawa 1902); Magiera M.: «Stosunek Zach. Wernera do literatury pol. z uwzględnieniem «Wandy» Wężyka» (Wadowice 1902).

A) Oda

na powrót wojska polskiego do stolicy 18 grudnia 1809 r.

(Poezye, t. III, str. 34 — 37).

187)

Gotujmy laury i hymny weselne,
Ważnośny do niebios tryumfalne łuki!
Oto, spełniwszy dzieła nieśmiertelne,
Mężnych Lechitów powracają wnuki.
Bracia to nasi, nasza krew, wasz czysty,
Bytu nowego puklerz nieprzebrity,
Przysięgi wielkości wróżby okalając;
Oto bóg zwycięstwu, co w zastępy blade
Rozsiewał z nimi poploch i zagładę,
Do ich oręża swą przywiał chwałę.

Cóż to za odgłos?... powietrze się wzrusza,
Zewsząd radośne unoszą się brzmienia
Cały lud jedna napeliła dusza,
Cały kraj w pole tryumfu się zmienia.
Powstają łuki, wznoszą się ołtarze,
Topią się oczy w bohaterów twarze,
Z serca płynące radość lzy wyciska.
Nadchodzą mężczyźni, a stolica cała
Ku ich przyjęciu z murów się wylała;
Niebo zachwyca wielkość widowiska.

Tak Rzym, z swych zwycięstw i cnot znakomity,
Witał po wojnach niezwalczone szczyty;
Brzmiały tryumfem Kapitolu szczyty,
Darły się w niebo radosne okrzyki.
Składano znaki, w bitwach uniesione,
Jęczały wozy, łupem obciążone,
Za dzielny wódzem szedł orszak zwycięski,
Dalej okuci w niewolnicze pęta
Podbitych ludów króle i książęta;
Drażł świat, odległe przewidując klęski.

Lecz gdzież mnie, myśli, unosisz zachwałę?
Z tryumfem cnoty równan tryumf krwawyl!
Czyliż w te pułki tyle męstwa wiała
Żądza ohydna ludobójczej sławy?
Nie płacząc na was o więzie swobody
Z drogiej własności wyzute narody.
Nie brzęczą na nich pęta niewolnicze;
Bracia wyrwani z jarzma i smrototy,
Bitnych naddziadów odzyskane cnoty:
Oto wasz tryumf, oto są zdobywce.

Już ta, z rąk której w bogatym posagu
 Niezwidłe męnych czekają wawrzyny,
 Już rąca sława od Wisły do Tagu
 Na podziw wielkom głosi wasze czyny.
 Ledwie wskrzeszeni nadludzkimi dziwy,
 Upadli przed wami Pomorzecze pierzchliwy,
 Drży Naddunajczyk, w krwawej starcie walcę:
 Tak dzielny Alcyd, wielkich bogów pamięć,
 Co z hydnych potwór oswoił ziemię,
 Dusił w kolebce mordercze padalce.

Nie tu kres trudów. Równi mu w potęgze,
 Równych prac ogrom zniosą wasze głowy;
 Jeszcze w odwiecznej przeznaczenia księdze
 Los wasz krwawemi zapisano słowy...
 Jednej z Alcydem uczestnicy doli,
 Długo wam zawiś wycchnąć nie dozwoli,
 Niosąc miecz z ogniem na wasze zagony;
 A wściekła z męstwa w świętych praw obronie,
 Z całego piekła w swej zemście wyzionie
 Hydry smagłowe, Jędze i Gorgony.

Lecz wy, w niezłomne uzbrojeni siły,
 Walk tych pogodną czekujecie twarz;
 Jest bóg, co Polskę wydziwnął z mogiły,
 Jeszcze się gromy w dłoni jego żarzą.
 Tak owa wyspa, którą woda słona
 Wydała na świat z rozdartego łona.
 Gdy Neptun morze swym trójzębem wzruszył:
 Próżno się miotał żywioł rozigrany;
 Gasły pioruny, pękały balwany;
 Mściwe zapędy bóg potężny kruszył.

Jak piękne walki otwiera się pole!
 Czuwa nad nami potężna opieka,
 Naprzeciw męzów stawają niedole,
 U kresu pracy nieśmiertelność czeka.
 Tak, gdy krwią waszą odbite siedliska,
 Gdy ziemia ojców dawny blask odzyska,
 Wtenczas spocznijcie na zwycięstwa łonie;
 A imion waszych uczyć niemowlęta
 Wskaże powinność dla serc naszych święta
 Zaraz po Bogu i Napoleonie.

B) Okolice Krakowa (1820).

(Z wydania pierwszego).

Jest to poemat opisowy, rozpoczęty w 1809 r. zaraz po zajęciu Galicji Zachodniej przez wojsko polskie. Poeta zaczyna od wezwania do miłości ziemi rodzinnej.

188) Str. 3—5. Niech inny, pogardziwszy ojczystą dziedziną,
 Śpiewa, jak Indów rzeki drogim kruszcem płyną;
 Niech go zajmą Alp śnieżnych widoki obryznie,
 Niech śladów dawnej chwały w nowym szuku Rzymie,
 Niech na gruzach Palmiry uci pieśń żaloby,
 Niech głosi panów Nilu równe niebom groby:
 Wyższy cel ducha mego obdarza natchnieniem —
 Ojców ziemię ojczystem chcę uwielbić pieniem.
 Po cóż śladem ubitym ściegać rzeszę płochą?
 Wszak i dla nas natura nie była macocha.
 A jeśli w obcej ziemi piękna okolica
 Czaraję wdziękami oczy i umysł zachwyca;
 Jeśli skał lodowatych nęci obraz dziki,
 Jeśli bory posępne, wesołe gaiki,
 Jeśli mają zalety zdroje przezroczyście:
 Dla mnie te najpiękniejsze, które są ojczyste.

O, nieprzebrane źródło najczystszej słodyczy!
 O ty, ziemi naddziadów wdzięk czarowniczy!
 Jak silnemi ogniw ty święta potęga
 Z ojczystą ukochaną dusze nasze sprzęga!
 Dla ciebie, gdy pieśń lubą usłyszy z daleka.
 Szwajcar w góry nieplodne z pysznych miast ucieka;
 Dla ciebie, wiecznej zimy twarde znosząc słoły,
 W obcych krajach Łapończyk usycha z tęsknoty;
 Dla ciebie, gdy duch niezgód, z przemocą związany,
 Lud wolny na łaźliwe potępił kajdany;
 Pod obcem niebem mężni walczycy przedsięwzięli
 By się z czasem na groźnych wyksztalcić mścicieli.
 Ileż razy, w swej doli szukając pociechy,
 Wdychali z brzegów Tybru do ojczystej strzechy;
 A nad kraj, ręką Twórcy hojnie obdarzony,
 Przekładali ubogie naddziadów zagony.
 O, miłości ojczyzny! twa przemożna władza
 Do bohaterских uczuć ludzi doprowadza.
 Któż ci sił swych, kto życia nie odda z weselem?
 Ty więc bądź pienia mego, ty ezi mojej celem.
 Tak, czyli śpiesząc w zawód, dotychczas nietknięty,
 Drogiej przodków mych ziemi zakresł ponęty;
 Czy się z pochodnią Feba w jej łono zanurzę,

By wydrzeć tajne skarbie zdumiałej naturze:
Ty mię wspieraj ramięmię potężnej opieki,
A późno głosu mego nie odrzucę wieki.

Śpiewać będę kraj błogi, którego wnętrzości
Pierwszych ojców ojczyzny przechowują kości.
Śpiewać chcę, jeśli rzeczy głos wydola słaby,
Bogaćstwa i pamiątki, wdzięki i powaby
Ziemni, na której łono natura wspaniała
Hojną ręką obfitość i skarby wylała.
Z niej, jak liczne od wieków stwierdzają dowody,
Drogiem zdrowiem płynące wytryski wody.
W jej głębię zapuszczony człowiek, światła chewi,
Karmi umysł ciekawy tysiącnymi dziwy;
A wdarszysy się w najskrytsze tajniki natury,
Dobrywa sól pożywną, kruszcze i marmury.
Cóż mam rzec o płodności, której dziełna władza
Ciężkie trudy rolnika hojnie wynagradza?
Dotknąć pólów, którymi obciążone łodzie
Wisła w rocznej daninie morskiej znosi wodzie?

Potem opisuje Kraków i jego okolice. Każda miejscowość, każda pamiątka budzi w nim wspomnienie dawnej świetnej przeszłości, i te dwa pierwiastki: opisowy i historyczny, łączą się i przeplatają, stanowiąc dość wątpliwe treści poematu. Skalka przywołał mu na myśl zbrodnię Bolesława II, Bielany — chwilę założenia tam klasztoru Kameldulów w XVII w., Tyniec ze starożytnym zamkiem — dawnych jego panów, dzielnych Toporczyków, kopiec Kosciuszki — czynny i śmierć tego męża, Łobzów — Kazimierza W. i Esterkę, Tęczyn — świetną przeszłość rodu Tęczynskich, Ojów i jego jaskinie — króla-tulacza, Łokietka, Prądnik — biskupa Maciejowskiego i Dworzanińca-Górnickiego; po wszystkim tem pozostały tylko ślady dawnego przepychu. Potem poeta ogląda mogiły Wandy i Krakusa, powtarza podanie o smoku wawelskim, słucha opowiadań starego w podziemia, ogląda szyby i jeziora podziemne, słucha opowiadań starego górniko o strasznym pożarze w minach w trzecim roku panowania Zygmunta Starego. Kończy wezwaniem do przyszłych pokoleń, aby mu wybaczone, że «wiekiem rysy dotknął nikły mi kolor». Podajemy poniżej jeden z napiętniejszych opisów, wylewu Wisły.

189) Str. 48—50. Gdy stąd oko rozmiery przestwór niedaleki,
Mijając wdzienne łaki i wzgórza pochyłe;
Widać na innym brzegu bliższej źródła rzeki
Podobną do tej mogiłę.
Pod nią znane z przemysłu spoczywa Podgórze;
Jej podstawę skaliste wspierają Krzemionki.
Nad czołem widać w Tatrach zawieszane burze
I gór, śniegiem okrytych, rozrzucone członki.

Kto kruchym łodziom Wisły zbytnio nie dowierza,
Niechaj, dając tam, wstąpi w mury Kazimierza:
Tam same ślady ludzkie do celu zawiodą.
Tam niegdyś stał most z drzewa nad szumiącą wodą,
Dowcipne dzieło kunsztu, co przez swe zabiegi
Dwa od wieków rozdarte złączył z sobą brzegi.
Dziesięć lat poniekana i dziwnie przejęta
Dźwigała, milcząc, Wisła dolegliwe pięta;
Wreszcie do sił olbrzymich obcą siłą wzrosła,
Wzdęła się, uderzyła i most hardy zniszła.
Widziałem kłęk olotropnych przepowiadnie znaki.
Wreszcieżaty ponad wodą krzywey wroby ptaki,
Z ciemnych pieczar zawył sprzeczne sobie wiatry,
I przyodziane śniegiem zbliżyły się Tatry.
Krótki czas ziścił wroby i przestrogi wieszczę;
Szum wody i trzask gromów uderzył z daleka,
Pękły brudne obłoki i lunęły deszcze,
Nagle z brzegów swych bystra występuje rzeka;
Rozlewa się w doliny, wstąpi na góry,
Rwie tamy, niszczy mosty i wywraca mury.
Już Wisła, straszliwymi zagmatwana łomy,
Niosła brogi i statki i drzewa i domy;
Już war, wszystko, co spotka, rozburzyć gotowy,
Hojne z ludzi i bydłał pochłonił stłogowy;
I Jęk straszliwy powstaje nad smutnym przestworzem,
Tu cały kraj zalany jednym zdał się morzem.
Tu nędzni, w srogiej z śmiercią pasując się męce,
Z wód szumiących omdlałe wyciągają ręce;
Tam wolni od zatopu we łzach toną rzecznych,
Jęczą, wespół nie mogą swych przyjaciół, krewnych;
Tam, gdy powódź warowne przebyła zapory,
Całe wieś w niedostępne uciekają bory.
Ściga woda za nimi, spocząć nie pozwala
I stuletnie jawory wraz z ludźmi obala.
Rolnik, z chatki wygnany nagłością powodzi,
Szuka brogów, bydelka; szuka, nie znachodzi;
Stracił całą chudobę i bry rzewne leje,
Widząc życia nędznego wydartą nadzieję,
Wtem otoczona wodą zachwiała się chatka,
W niej pracowita żona i zgrybiąła matka,
W niej się troje znajduje nieszczęśliwych dzieci.
Ci nędzni żebraż wsparcia; słysząc głos ich, leci,
Lecli... ale za późno. — Już wściekle bałwany
Stabe kruchego domku rozburzyły ściany,
Zginęli wszyscy razem w okropnej głębinie.
On się rzęca w nurt bystry i wraz z nimi ginie.

Szczęśny! że go zgon jeden w jednej złączył chwili
Z tymi, którzy za życia szczęściem jego byli!

C) Gliński, tragedia w pięciu aktach wierszem (1821).

(Z wydania pierwszego).

Tragedya ta osnuta na dziejach słynnego zdrajcy, który, za zabiójstwo skazany na wygnanie, udał się do Moskwy i walczył przeciw własnemu krajowi. Rzecz dzieje się na zamku smoleńskim, kiedyś zdobytym przez Glińskiego dla Moskwy, a teraz obleganym przez Polaków. Glińskiego dręczy wyrzut sumienia, a w noc widzi krawkę mary pobitych przezeń Zabrzezińskich, słyszy ich jęki. Daremnie uspokaja go córka, dobra i słodka Helena. Na zamek przedziera się chrobrzy rycerz polski, Trepka, niegdyś narzeczony Heleny, i błaga Glińskiego, by porzucił zbrodnicze zamiary i stanął po stronie rodaków. Gliński się waha, już odmawia, gdy Trepka obnaża miecz, gotów go zamordować, jeśli nie zdola przekonać; Helena drżącymi rękami wstrzymuje cię śmiertelną, grożący ojca. Wtedy Gliński, wzruszony tym dowodem cnoty i stałości, oświadcza, że gotów oddać się w ręce króla Zygmunta. Trepka i Helena triumfują. Tymczasem jednak przybywa do twierdzy car Bazyl, a przekonawszy się, że w zamku był Polak Trepka i że Gliński gotów Moskwy odstąpić, poprzysięga im zemstę. I nie czeka długo na jej spełnienie, bo oto wdiera się sam Trepka na pokoje zamkowe z mieczem w dłoni, godząc na życie cara. Ubezwoadniony, idzie na mękę, a okrutny car każe Glińskiemu czuwać nad wykonaniem karni. Ale w Glińskim obudziło się już sumienie: oznajmia carowi, że zna o wiele straszliwszego zdrajcę, a jest nim — on sam. To wyznanie przychodzi jednak za późno, gdyż wtem wystrzał działowy daje znać, że Trepka żyć przestał: Gliński nie chce go przeżyć i przebija się mieczem.

190) Str. 23—30. AKT II. SCENA II.

Gliński. Dzieci! *(do Trepek)*. Wszak mi cię wolno zwać syna wyrazem?
Pień ulgi doznaną, znajdując was razem!
Jak na widok was męstwo we mnie się odmładza!
Jak jest dzielna przyjacieli i natury władza!
Ach, chodźcie! niech was ojciec przyćmię do łona.
Cóż to? ty się odwracasz, a tyś przerażona?
Trepko! za cóż w twem ręku żelazo zabójcze?

Trepka *(na stronie)*. Cóż mu na to odpowiedź?

Helena. O, nieszczęśny ojciec!

Drżj, uciekaj!

Gliński. Co słyszę?... lub mię w błąd wyprowadzasz,
Lub tyś nie jest mą córką, gdy mi drzeć doradzasz,
Ja mam drzeć?... chcesz znaków potęgi i siły?

Rzuć oko na sterzące dokoła mogiły.
Tu potężne zastępy legły z mojej ręki,
Tam piekła napelnity konających jęki,
Tu rzeki zarumienił miecz ten, krwi rozrzućny,
Owdzie w stepy bezładne...

Trepka. Wstrzymaj się, okrutaj!

Jeżli z rąk twych krwi bratniej potoki się lały,
Po cóż stąd wobec ziomka dziłkie szluzasz chwaly?
Lecz i to ci pomijam. Znasz dobrze me cele.
Chceszli mieć hydne jarzmo lub wolność w podzielu?
Wybrażesz śmierć lub życie, sławę lub zhańbienie?
Mów! dobija godzina: zbrodnia jest milczenie!

Helena. O mój ojciec!

Trepka. Odpowiedz!

Gliński. Srodzy! czegoż chcesz?
Oto brzemię udrczeń siły moje gniecie,
Oto waham się cały na dwie sprzeczne strony,
Oto wreszcie przed wami stoję poniżony.
Tegoż po mnie chce losu wola niezblagana,
Ażeby przed Zygmuntem uchylił kolana?
Czyliż króle początek z wyższych istot biora,
Że ich łask żebrać każą hańbiącą pokora?
Cóż w Zygmuncie jest więcej, we mnie mniej od czelaka?
Wiesieli, gdybym się ugiął, co mnie potem czeka?
Zdany na łup mordercy wstępu i smroty,
Zbrodniarz bez wytrwałości, pokutnik bez cnoty,
Własnego upodlenia i kary narzędzie,
Któż się mojej słabości uragać nie będzie?
Któż się znaję krainy, które światła strony,
Odszalbym, jak podły zmiennik, nie był wyszydzony?
Raz już w cnotcie upadłem; żal winy nie zmienia;
Ochroń mi więc przynajmniej w zbrodni poniżenia.

Trepka. Więc ostatnia już dla mnie zniknęła otucha!
Niczę w tobie hardego nie powściągnę ducha?
Ani ciebie ojczyzna porusza cierpięca,
Która własne two ramie do zguby potracę?
Ani też z zawieszanej nad przepaścią drogi
Strasznego samego nieba zwracają przestrogi?

Helena. O! jeśli twoja stałość dotąd niewzruszona,
Niech cię córki błaganie i rozpacz pokona:
Przez ciebie od lat wielu wśród obcych ciśnięta,
Znosiam z cierpliwością dolegliwie pęta,
Tyś był zawdy mem wsparciem, a przy twoim boku
Urugałem się nieraz z srogiego wyroku.

Ileż srogich udręceń i lez kosztowała
 Pozyskana na ziemiach ojca mego chwala?
 Ileż przecaż okropnych twe budziły blaski?
 Bo śliżkie są od obcych wyzbrane laski!
 Gdy więc świetność twa srogoj ustąpi rozpaczy,
 Któż wtedy nad nym stanem litować się raczy?
 Oto nędzna sierota, mało znana komu,
 Stasę się celem wzgardy, okydy i sromu.
 Nieprzyjaciół twych liczná otoczona zgrają,
 Ci, którym służył ojciec, córki nie poznają,
 Ci, którym sprzyjać nie mógł, odepchną, wypłoszą:
 Ach! na lonie ojczyzny i śmierć jest rozkoszą.

Trepka. Długoż jeszcze występne zachowasz milczenie?
 Gliński. Zlorzecz mi, wiń, nastawaj; ja się nie odmienię.
 Helena. Ach ojcze! więcej dla mnie, niżli życie, drogi!
 Oto łzami rzewnemi skrapiam twoje nogi:
 Mamże wszystko wyjawić? może już, niestety!
 Mordercze nad twą głową smują się sztylety!
 Może cię tysiąc śmierci otacza dokoła.
 Ach! któż ogrom trosk moich określił ci zdola?
 Trepka. Srogi! w jakąż cię przepasę twa zaciętość grzebie!
 Chceszli więc, abym w zemście przeszedł nawet ciebie?
 Jam dla dobra twojego dni poświęcił moje,
 Dla ciebie aż do błagań zniżył się nie boję;
 A chociaż mi wraz z życiem wolna dusza wiłana,
 Pierwszy raz przed człowiekiem uginam kolana.
 Gliński. Żądaj walk dla ojczyzny, pobiegnę z ochotą;
 Lecz nie żądaj, bym dla niej okrył się sromotą.
 W pierwszych śmiało uderzę na siły olbrzyma;
 Przy drugiej ramie mego dziecka nie wytrzymam.
 Trepka. Dość już czasu na pródnąj upłynęło mówię;
 Ostatni raz cię pytam.
 Helena (na stronie). Nieba! cóż odpowie!
 Trepka. Ostatni raz cię pytam, jakąś obrał drogę?
 Helena. O mój ojcze!
 Trepka. Mów! śpiesz się!
 Gliński. Stało się! nie mogę.
 Trepka. Nicze już cię nie zmieni?
 Gliński. Tak jest.
 Helena. O rozpaczy!
 Trepka (chocąc go przebiec). Giń, zdradco!
 Helena. Stój, okrutny!

Trepka. Puszczał!
 Gliński. Cóż to znaczy?
 Trepka. Widzisz w całym ogromie i wstyd mój, i winę.
 Chybilien; trzymajujesz, wyrwij zemstę, zgine.
 Nie chceś... patrz więc, jak dłoń ta własną krew przeleje...
 Gliński. Stój!.. co czynisz... gdzież jestem... cóż się ze mną dzieje...
 Patrzaj!.. jakaś moc wyższa nagli mię, porywa...
 O Trepko! zwyciężyłeś...
 Helena. O chwilo szczęśliwa!
 Trepka. Mogęż wierzyć?
 Helena. Mój ojcze!
 Gliński. O dzieci Kochane!
 Trepka. Jakież Bóg tak pomyślną zrządza w tobie zmianę?
 Gliński. Zanurzony w przestępstwach, nie czulem dopóty,
 Aby można ze stałością tyle łączył cnoty;
 Moc twojego umysłu i niezgięta dusza
 Zachwyca mię, wywyższa i do cnoty przymusza.
 Ty, co cię względne Niebo na mój los natchnęło,
 Śpiesz, Trepko, do Zygmunta, opisz twoje dzieło;
 Powiedz, że chętnie dumę dla cnoty poświęcę,
 Że sam Gliński w królewskie chce się oddać ręce;
 Że, mimo dawne zbrodnie, troski i siwizną,
 Jeszcze mężnie potrafi umrzeć za ojczyznę.
 Trepka. O ty, trudów najcięższych osłodo jedyna,
 Ojczyzno! straconego powracam ci syna.
 Słuchajcie mię z uwagą. Tajemni ścieżkami
 Powracam do obozu; wy tymczasem sami
 Mieście się w gotowości; skoro noc nadbieży,
 Zbliżę się ku wam z hufcem wybranej młodzieży.
 Sam tu potem przybędę. Cóżkolwiek się stanie,
 Natenczas bez odwołki raźcie to mieszkanie.
 Od południa, gdzie najmniej zamek jest strzeżony,
 Czekać was będzie mężny zastęp umówiony;
 Tymczasem z całym wojskiem i wieśniactwa tłuszcza
 Saturm nagły od północy Polacy przypuszczą.
 Teraz śpieszę o wszystkim donieść Zygmunтови.
 Niech was cnota utwierdza; czas iść, bądźcie zdrowi!
 Gliński. Bądź zdrow!

D) Władysław Łokietek czyli Polska w XIII wieku (1828).

Powieść niniejsza ukazała się w Warszawie roku 1828 w 3 tomach, podpisana inicjałami F. W. Przedstawia ona nie dzieje królowania Łokietka

kowego (1306—1333), lecz epokę wcześniejszą, wiek XIII, młodość Władysława, jako księcia brzesko-kujawskiego. Akcja powieści przypada na ostatnie lata senioratu Leszka Czarnego oraz na epokę zamieszek, która przypada po jego śmierci, kiedy Kraków przechodził z rąk do rąk, od Lokietka do Henryka Pocerewego, Wacława czeskiego, króla Przemysława i znowu Wacława, wreszcie ukoronowanego uroczyskie Lokietka; to ostatnie atoli wypadki opowiedziane są tylko w krótkości w epilogu, właściwa zaś powieść urywa się na śmierci Przemysława. Wypadków i postaci historycznych wielka tu mnogość: książęta, panowie, rycerze i mieszczanie, intrzygi możnowładców, współzawodnictwo Piastów dzielnicowych, knowania Zakonu i Brandenburczyków, najście Tatarów, a wreszcie walki i walki bez końca: z Niemcami, Litwą, Tatarami, Czechami, nakoniec bratobójcze wojny o seniorat. Ale tła historycznego bardzo tu niewiele. Idąc śladami Waltera Scotta, jak wszyscy powieściopisarze nasi historycy, jak o tem przekona przytoczony poniżej urywek. W akcyję dziejową autor wplata dość znacznie nie romansową: miłość Władysława do pięknej Jadwigi, pierworodnej córki Bolesława, księcia kaliskiego, i Jolanty, królowy węgierskiej, łączące zakochanych w końcu powieści węzeł małżeńskim.

191) *Tom I, str. 61—77.* Mnóstwo rycerzy, których imiona woźni ogłaszali powszechności, wyjeżdżało koleją na szranki i przez dotknięcie drzewcem od kopii tarczy jednego z wyzywających powoływali ich do okazania swej zręczności lub siły. Wiele czynów rzadkiej odwagi i biegłości w sztuce rycerskiej odznaczały od innych huczne widzów oklaski, trąb i kotłów odgłosy. Lecz od godziny przeszło, jak się rozpoczęły turnieje, nikt nie był tak szczęśliwym lub zręcznym, aby którego z wyzywających rycerzy pokonał. Ziemomysł, książę kujawski, zaledwo dotknął tarczy Zaręby i na plac z nim wyjechał, w okamgnieniu zszadony z konia, przyznał przeciwnikowi swojemu zwycięstwo. Nie większą miał trudność Konrad Mazowiecki w pokonaniu Henryka Tlustego, który koniecznie chciał w dniu tym wsławić się jakim rycerskim zaszczytem. Zajęty jeszcze myślami dostąpienia ręki pięknej Jadwigi, wszelkiego dolożył starania do wydania się zwinnym i wysmukłym, pomimo przyrodzoną otyłość, z którą się rzadko zręczność kojarzy. Gdy runął z wyniosłego rumaka, wszyscy przytomni, prócz ochmistryzni książęniczek, u którego był w widocznem i nieposledniem poważaniu, ledwie od śmiechu powściągnąć się zdołali. Najzaciętszą była walka Dytrycha de Oldemburg z Bolesławem, mazowieckim księciem. Za pierw-

szem natarciem oba ujrzeli potrząskane swe kopie na drobne kawalki. Cofnęli się zrećnie obadwa i chcieli się porwać do szabel. Lecz gdy ten rodzaj walki więcej przedstawiał niebezpieczeństwa i gdy Bolesław wyzwał jedynie Dytrycha do spotkania na lekko, dotykając się tarczy jego drzewcem, nie zaś żelazcem, rozbroili ich marszałkowie turniejów. Podano im nowe kopie. Ale zaledwie przypuścili do siebie w całym pędzie konie, pękły znowu obydwie, nie mogąc wytrzymać natarczywości ciosu i silnego zbroi odporu. Wszelako ta Dytrychowi nad Bolesławem została przewaga, że, gdy drugiego kopia skruszyła się we środku, pierwszego przy samem żelazcu ulamana została. Upędał się długo Dytrych za swym przeciwnikiem, broniącym się nadzwyczaj zrećnie resztą ulamanego drzewca, i, gdy już prawie o zupełnie zwycięstwo rozpoczął, tak silny cios wymierzył w lewy bok znużonego przeciwnika, że ten, ruszony z siedzenia, lubo się utrzymał na koniu, jednak do strzemion trafić nie zdołał.

— Dość na tem! — zawolali marszałkowie i Dytrychowi przysądzili zwycięstwo.

Po krótkim odpoczynku, przyznanym dla rycerzy i koni, stali wyzywający nieporuszenie przy swych namiotach, i woźni po dwakroć wzywali napróżno ochoczych do walki rycerzy. Już się szmer głuchy po wszystkich miejscach rozlegał; już się pytano nawzajem: nikt-że to z Polaków nie będzie dość śmiały, aby się potkał z tym młodym Niemczykiem i wydarł mu zwycięstwa zaszczyt? gdy nieznamy nasz rycerz, który dotąd spokojnie na wszystko spoglądał, dosiadłszy swego rumaka i porwawszy od giermka kopię i tarczę, zjawił się nagle przy wrotach, prowadzących do szranki.

— Kto jesteś i po co tu przybywasz? — zawolał jeden z woźnych.

— Polak jestem i rycerz — odpowiedział śmiały glosem. — Przychodzę walczyć w zawartych szrankach na cześć pięknej Jadwigi.

— Imie twoje, stan i urodzenie? — zapyta woźny.

— Jeżeli wyjdę zwycięzca — rzekł nieznamy — chętnie to wszystko odkryję, jeżeli ulegnę, na cóż wam ta wiadomość przydatną być może?

— Rycerzu lub ktokolwiek jesteś — odezwał się Konrad de Tierberg — wiedz o tem, że ci książęta i zacieli młodzieńcy z równymi sobie walczyć mogą jedynie. Jeżeli więc nie odkryjesz twego imienia i stanu, surowe prawa turniejów zniewolą nas do oddalenia cię od szranków.

— Jeżeli takie są prawa turniejów — odpowie na to — ja im się chętnie poddam. Wszelako dodać tu muszę, że imię moje, stan i dostojność samemu tylko Bolesławowi, księżęciu na Kaliszu, odkryje.

— Niech i tak będzie — zawołał Bolesław.

— Oto są nasze dowody — rzekł nieznajomy, oddając jednemu z marszałków pisma, w trąbkę zwinięte. — Zanieście je panu waszemu, a ten osądzi, czy jesteśmy godni do wstąpienia w te szranki.

Z widoczną radością przeglądał Bolesław podane sobie pisma. Nareszcie rzekł głosem donośnym:

— Na słowo nasze książęce zaręczam wszystkich obecnych, iż rycerz ten, którego przed szrankami widzicie, godnym jest i wielce godnym do mierzenia się w zawartem polu z najpierwszymi książętami. Dozwalam mu przeto walczyć bez podniesienia przyłbicy przed walką.

Nie był do smaku ten wyrok komandorowi, a rycerz nasz, nie mając już żadnej przeszkody, poskoczył śmiało w otwarte szranki, oddawszy wpród pokłon księżęciu, obecnym niewiastom i całemu zebraniu. Wtedy dopiero ujrano go dokładnie całego w połyskującej i świetnej zbroi. Złote ostrogi i bogata rękodość oręża mniej uderzały, niż tarcza, cała z gładzonej i złotem nabijanej stali. Miała we środku orła białego w polu czerwonym, herb Piastów. Lecz taka jej była sztuczna robota, że orzeł ten patrzącym prosto naprzeciw całym się wydawał, z boków zaś okazywał się pokrajany na sztuki. Godło wokół tarczy było następujące: «Jeden lub żaden».

Gdy nieznajomy rycerz na środek zawartego pokoju pola wjechał, wstrzymał cokolwiek rumaka, jakgdyby się chciał namyślić zblizka, którego z wyzywających rycerzy najprzód do walki powoła. Lecz wkrótce, zniższy kopii przed Konradem, księciem mazowieckim, na znak uszanowania i uchyliwszy zlekką głowy przed Zarębą, jakgdyby przemawiał: znam was, ryce-

rze, przystąpił do Dytrycha de Oldenburg i dotknął jego tarczy równie drzewcem, jak i żelazcem swej kopii, dając mu przez to do wyboru, walkę na lekko lub walkę śmiertelną. Dumny młodzieniec z odniesionych dotąd zaszczytów wyskoczył na środek pola z obróconą żelazcem ku nieznajomemu kopią, chcąc dać do zrozumienia, że walkę śmiertelną nad lekką przerosi.

Gdy oba przeciwnicy naprzeciw siebie stanęli, zadrało całe zebranie, zważając nierówność sił i wzrostu walczących. Dytrych był w samym kwiecie wieku i wysmukłej kibiści, a wyniosłość rumaka, z którego miał walczyć, nadawała mu postać młodego olbrzyma. Drobnym wzrostem nieznajomego rycerza bardziej jeszcze od sążnistej postaci pierwszego odbijał. Zręczność wszelako poruszeń i zwinność lekkiego polskiego konia łagodziła obawę przegranej. Wszystkich życzenia i serca do słabszej napozór przywiązały się strony. Już się oba bystrem zmierzili spojzeniem; już trzykroć w całym pędzie nacierając na siebie i trzykroć cofając w tył swe konie, przekonać zdołali widzów, jak równie zręcznymi obadwa byli jeźdźcami, gdy Dytrych de Oldenburg, poskoczywszy piorunem ku swemu przeciwnikowi, tak silny mu cios zadał w lewe ramię, że się zdawało, jakby drzewo jakie z pnia swego obalone runęło. Jakże się zdziwiono, ujrawszy nieznajomego rycerza w tej chwili, gdy go pokonanym mniemano, tak silnym razem uderzającego w przyłbicę swojego przeciwnika, że się żelazo kopii jego skruszyło. Pewny niedawno zwycięstwa Dytrych, widząc, że nieznajomy rycerz w toż samo miejsce go ugodzić myślał, chcąc się niejako uchylić od groźnego mu ciosu, postradał równowagę i ledwie z konia nie zleciał. Uprzedził atoli swą hańbę, uskoczywszy na bok i stanąwszy w całości na placu. Odrzucił Dytrych resztę skruszonej swej kopii i dobył szabli bez zwłoki. Nieznajomy rycerz w tej samej chwili zeskokczył z konia z dobytym orężem. Rozpoczęła się walka pieszna na szablę, najzaciętsza, jaką dotąd może w zawartych szrankach widziano. Co tylko zręczność i siła wydolać mogła, wszystkiego obie strony użyły. Jęczały ich zbroje pod tęgością i liczbą ciosów, sypały się za każdym rzęsiście iskry z przyłbicy i szabel. Już nawet z pod zbroi krew się widzieć dawała. Raz siła nad męstwem, drugi raz zręczność brała górę nad siłą. Ujrano nakoniec, że Dytrych bądź z du-

giej walki, bądź też z osłabienia od wziętych razów widocznie chwiać się począł. Korzystał z tego przeciwnik, i kto wie, na czemby się walka skończyła, gdyby Bolesław kaliski nie rzucił swego buzdycana na środek placu zapasów, co było znakiem do zakończenia walki i rozbrojenia walczących. Skoczyli pomiędzy nich marszałkowie turniejów z białymi włóczniami w ręku, a Dytrych de Oldenburg, zachwiany z niedostatku sił i bólu, już, już upadał na piasek, gdy go zręcznie utkwiony w ziemię oręż, na którym się oparł, uwolnił od tej ostatniej hańby. Nie przeto jednak zwycięstwo swego przeciwnika zaprzeczył. Zagrzmiął natychmiast trąby i kotły, ogłaszając tryumf nieznanego rycerza, co tak rozjątrzyło gniewliwy umysł Konrada de Tierberg, że, zerwawszy się z sędziowskiego miejsca i dobywszy oręża, zawołał:

— Pozwól nam miłościwy książę, abyśmy się za naszego giermka pomścili i nauczyli tego nieznanego.

— Na inny czas — rzekł mu na to Bolesław — nie godzi się być razem i sędzią, i stroną.

— Zręczności i siłe twego konia, nie ręki, winienęs zwycięstwo — odezwał się do nieznanego Dytrych — radbym bardzo spotkać się z tobą na czele dobrze i po naszemu uzbrojonego hufca.

— Przyjmuję wyzwanie — odrzekł nieznamy — i przewiduję, że nam nieraz tak z wami spotkać się wypadnie.

— Kto jesteś — zawołał Konrad de Tierberg — że się tak uchwale do walk na czele hufców odwoływaś zdajesz?

— Jestem Władysław — rzekł nieznamy, uchyłając zasłonę przyłbicy — książę na Brześciu Kujawskim, synowiec polskiego monarchy, a brat następcy tronu, wasz bliższy sąsiad, a nie chciej, abym dodał: wróg.

W tej chwili wszystkie krąganki i miejsca głośnym okrzykiem zabrzmiały: «Niech żyje Władysław, książę kujawski i zwycięzca, niech żyje!»

Nawet Ziemiomysł, jakkolwiek był dotknięty do żywego przegraną swego przyjaciela, Dytrycha, nie mógł powściągnąć swej radości, widząc brata zwycięzcą.

— Sędziowie i rozjemcy dzisiejszego turnieju — zawołał

Bolesław — jesteścież równego ze mną zdania, że Władysław książę na Brześciu Kujawskim, na pierwszą zasłużył nagrodę?

— Jesteśmy — odpowiedział sędziwy Przedpelko. Konrad de Tierberg milczelnie ten wyrok zatwierdzać się zdawał.

— Drugą nagrodę — rzecze znowu Bolesław — przysądzamy Mikołajowi Zarębie: walczył po trzykroć, i żaden przeciwnik nie zdołał ruszyć go ze strzemięcia.

— Zgoda — rzekł znowu wojewoda poznański.

— Lubo trzeciej nagrody nie postanowiliśmy wcale — prowadził dalej książę kaliski — przecież dozwolicie mi, zacni rycerze i koledzy, abym nią ze szczególnych względów obdarzył jednego z tych, którzy byli mniej szczęśliwymi na dzisiejszym turnieju, a któremu słuszenie należy się sława waleczności i męstwa. Córko nasza Jadwigo! stań pomiędzy nami i chciej skinięń naszych dopełnić podług zwyczajów i prawa.

Zeszła Jadwiga, prowadzona przez dwóch marszałków, i stanęła blisko ojcowskiego siedzenia. Jej uroda i świetny ubiór, a nadewszystko jej skromność, połączona z wyrazem słodczy i radości na twarzy, powszechnie zbudziła oklaski. Rzuciwszy wzrok na rycerzy, którzy dzień ten uświetnili swymi czynami, spotkała oczy Władysława, iwarz jej okryła się żywym nieco rumieńcem. Stał jej w umyśle obraz tego rycerza, przez Sullisława skreślony. Cóżby rzekł, pomyślała w sobie, gdyby widział tę twarz ujmującą, te rysy ślachetne, które w sobie coś pociągającego zdają się zawierać?

— Przystąp, Władysławie, książę brzeski kujawski — zawołał głosem donośnym Bolesław — i przyjmij z rąk córki naszej Jadwigi ten oręż, który od Mieczysława Starego naszą zbrojownię zaszczycił.

Wtedy Jadwiga, przywziewawszy podaną szablę do szerokiej wstęgi błękitnej, włożyła ją na ramiona Władysława, który do tego obrzędu przykląkł na prawe kolano.

— Oręż ten — zawołał uniesiony młodzieniec — dotąd nie spocznie w pochwach, dopóki Bóg sprawiedliwy nie raczy przywrócić dawnej świetności ukochanej naszej ojczyźnie i póki zerwane jej części w jedno potężne nie skleją się ciało. Kolor tej wstęgi będzie odtąd świętym dla nas kolorem, a jeśli Nieba wesprą czyste nasze zamiary, przysięgam ci, piękna Jadwigo, iż widok

podobnej wstęgi na ramieniu prawego Polaka obudzi ślachetną pychę w sercach tych, którzy nią ozdobić się zapagną, dla ozdobionych częś i uszanowanie u świata.

Mikołaj Zaręba odebrał z rąk Jadwigi drugą nagrodę w polzocistym i ozdobionym dawnymi medalami pucharze. Nóż myśliwski z rekojęścią, droginami wysadzana kamieñmi, podala Jądwig Dytrychowi de Oldemburg z natchnienia ojca, który tym darem chcial mu osłodzić boleś przegranej w chwili pewności zwycięstwa. Odgłos trąb i oklask powszechny zakończył turnieje, poczem wszyscy udali się na zamkowe pokoje.

E) Do A. M. po wydaniu „Wallenroda” w Petersburgu; w czasie pobytu jego we Włoszech (1831).

(Poezye, tom III, str. 243—245).

192)

Gdy po skostniałych twardej ziemi zwłokach
Słońce na złotym wyjedzie rydwanie,
Baja skowronek w obłokach
I głosi światu wiosny zmartwychwstanie.
Prysły z rzek bystrych lodowe kajdany,
Wre pracą kniołków niwa, dotąd głucha, —
Zabrzniął słowik — ziemia słucha —
Umilkł gwar ptactwa na dźwięk niezrównany.

Jakż dziw polskie i litewskie sioła
Ku brzegom Newy porywa!
Słuchajcie bacznie! odgłos ludów woła:
Władca ptaków, orzeł śpiewa!
Jakże górnymi poloty
Do samych niebios daży drogą nową...
Kto nie zapłakał na los Wajdeloty,
Temu za życia nućmy pieśń grobową.
Wieszczów ojczystych chlubę i zaszczycie!
Czyś wskrzeszał z mogił zapomnienia Dziady,
Czyliś Grażynie nowo stwarzał życie,
Czyliś malował Szweciż zwierniada,
Czy na gór krymskich okazałm szczytcie
Ryleś tych natchnień nieśmiertelne ślady,
Wnet ciebie dusza narodu odgadła.
Któż, po olbrzymim zarysie
Nawet powodząc oczyma tępem,

Sity poświęceń nie poczuł w Farysie,
A w huraganie wroga naszej ziemi?

Jest bezherbowne serc powinowactwo,
Z podobnej na świat wyrzuconych procy,
Jest święte uczuć jednozgonnych bractwo
Wyższe od ludzkiej przemocy.

Ci, co chrzest jego wraz z życiem przyjęli,
Życ będą wiecznie, w uczuciach złączeni.
Oni się znają, choć się nie widzieli,
I niema dla nich rozdzieleży przestrzemi.

Ciebie dziś więzi ojczyzna Wirgilia;
Tu ci, co w tobie głos Boga pocuili,
Czekają tęskni. Kiedyż przyjdzie chwila,
Że cię dłoń bratnia do serca przyluili?

Jeszcze nam wszystkie nie speliły pocięhy,
Resztę ich chcemy od zgonu ochronić.
Wstąp pod sąsiednie dla Litwina strzechy:
«Będziemy dumać, śpiewać i lzy ronić».

F) Bezkrólewie II, dramat w pięciu aktach (1853).

(Poezye, tom II, str. 161—285).

Dwa dramaty Wędyka: «Bezkrólewie I» i «Bezkrólewie II» znacznie odbiegają od typu tragedji pseudoklasycznych. Powstały one pod wpływem dramatów historycznych Szekspira i przedstawiają szereg ludzkich scen, mających odwarzać chwilę dziejową w jej różnorodnych przejawach. Niemasz tu jednoci miejsca ni czasu, nawet — jednoci akcyi. «Bezkrólewie I» zamyka się w szacuplejszem kole intryg dworskich i dyplomatycznych i jest obrazem chwili po śmierci Ludwika aż do zamążpójścia Jadwigi. «Bezkrólewie II» szerze zakresła horyzonty. Jak tam po wygranięciu Piastów, tak tu po śmierci ostatniego z Jagiellonów nastąpił moment przelomowy wahania się i niepewności. Budowa tu jeszcze mniej sposta, niż w poprzednim dramacie. Mamy więc narady panów na zamku krakowskim, zaraz po otrzymaniu wieści o zgonie Zygmunta Augusta, więc rada braci-szlachty w dworku pod Krakowem, więc znów debaty senatorów na zamku biskupa krakowskiego w Prądniku, gdzie poslowie pretendentów wypowiadają się za swolmi nieodwzami; więc zgromadzenie szlachty z różnych ziem i województw pod wsią Kamionką w bliskości Warszawy za Pragę, zgromadzenie, mające na celu uchwalenie formy i sposobu elekcyi, przyzem utrzymuje się formuła Zamoyskiego: elekcyja *viribus*, mimo protestu rozsądniejszych i bardziej przewidujących obywateli. Ostatnie sceny wprowadzają nas na pole elekcyjne: kończy się dramat je-

dnożgodnym okrzykiem szlachty i senatorów: «Henryk pierwszy, król polski, niech żyje!». W ten spłot wypadków dziejowych wtrącony jest dość niekierownie epizod miłosny: hetman Jazłowiecki, ambitny i dumny magnat, oświadcza się o rękę Anny Jagiellonki, by wraz z nią otrzymać i koronę; królowa, zdziwiona, przypomina mu, że ma lat 60, i daje czas do namysłu; ale w ostatniej chwili hetman cofa się, bez żadnej wyraźnej przyczyny, przerażony jakoby świętokradstwem, którego miał popełnić. Żywił charakterystyczno-komediowy tego dramatu, które ała opowiadać. Żywił charakterystyczno-komediowy tego dramatu, które ała opowiadać. Żywił charakterystyczno-komediowy tego dramatu, które ała opowiadać.

AKT IV. SCENA IV (urywek).

193)

Str. 259—265. Zamoycki. O bracia! przystąpmy do rzeczy. —

Wyznaci z władów przez wyroki nieba,

Mamy się zająć wybieraniem króla,

Ciśnię ku temu ojczyzny potrzeba,

I wszystko na nas na pośpiech nastawa.

Są szczere chęci, a w nich niebios wola —

Lecz jak wybierać, mileżą o tem prawa!

Przewidujący taki cios przodkowie

Łedwie go w głównej dotknęli osnowie,

Bolesć możebnej a ciężkiej kolei

Całego rodu Jagiellów zagłady

Musiła zmieszać ich pierwotnie rady,

By nie wydzierać ostatniej nadziei,

Na czas w tem zdające dalsze opatrzenia,

O czem nie mogli pomyśleć bez drżenia.

Czas ten tak twardy, nieocfionym krokiem

Nadzieści z okropną na przyszłość obawą.

Uchylnyż czoła przed boskim wyrokiem

I to nadstarczmy, o czem mileży prawo,

I tak cel jego spełnijmy wyniośli,

By nam swobody wyżej jeszcze wzrosły:

Bo gmacz ich święty — nie ścieśniać lub walić,

Lecz go potrzeba wznosić, doskonalić.

Jeden ze szlachty. Słuchajcie, bracia! to mi lepak tęgci,

On tnie tak z głowy, jak nasz pleban z księgi.

Zamoycki. Są, o od Piastów wybrz zwyczajowy

Chcą tak odnowić, jak było przed laty,

By pierwsze w kraju stanowiąły głowy —

Lecz inak kwitły nasze antenaty,

Inne dziś szlachty prawa i znaczenie,
Odmianą postać ma Rzeczpospolita.

Jeden ze szlachty. To mi mędrkowie, proszę uniżenie —
A myż to po co, szlachta rodowita?

Zamoycki. Mędrzeście rzekli. Czas płynie potokiem,
I jedna drugiej nie równa godzina;

Co było dobrem przed wiekiem lub rokiem,

W tem się obecność odmian dopomina.

Wtedy był rozum i potęga cała

W kilku przedniejszych, jak nam świadczą dzieje;

Dziś ich moc dzielna na kraj się rozlała,

Dziś Polska nasza przed szlachtą jasnieje,

Polaka — jak słońce wśród niebios przestrzeni,

Szlachta — do złotych podobna promieni.

Czynim biskupów...

Wszyscy. Zgoda na to, zgoda!

Zamoycki. I kasztelanów...

Wszyscy. I ta słuszność macie!

Zamoycki. Ma krok najpierwszy z prawa wojewoda,

Gdy nam przodkuje lub radzi w senacie;

Lecz na swobodnej trudem szlachty ziemi

W obiorze króla, tej praw naszych tarczy,

Za cobyż byli od innych lepszemi?

Czyż głos ich jeden za sto naszych starczy?

Po cóż czas trwonici długimi wywody?

To krzywe zdanie.

Wielu ze szlachty. Niema na nie zgody.

Zamoycki. Inni, sroższymi złudzeni błądami,

Wybierać króla chcą województwami,

Śród niepewności i grozy

Zataić rady i rad tych powody,

Pokrajac Polską na różne obozy,

By jednomyślniej nie dopuścić zgody,

By brat nie wiedział to, co brat uchwala,

I by się z sobą znosić nie zdołali.

Jawność w obradach — jest słońcem na niebie;

Pocóż je grażyć w nieprzebitą ciemność?

I słońce blednie, gdy je mgła opasa.

Więc ci doradcy w tak ważnej potrzebie

Chcą do województw wyprawić prymasa,

By wszystkie zdania policzył tajemnie;

A na kim spocznie oczywista wola,

Tego ma Polsce ogłosić za króla!

Czemże jest prymas przed ustaw oczyma?

Międzykról, kapłan najpierwszy i książę —
 Lecz do dwóch głosów prawa nawet nie ma.
 Jeśli więc władzę tajemną otrzyma
 Liczenia głosów, on sam je rozwiąże
 I da nam króla.

Wielu ze szlachty. Niema zgody, niemat!
 Zamoycki. Jawność w obradach, bracia i ziomkowie,
 Jest czystą prawdą — w niej tkwi boża wola.
 Jeden ze szlachty. My chcemy najwie głosować na króla.
 Kto nam w tajemnicy za prawdę odpowie?

Zamoycki. Stójmyż na wieki przy tak świętem prawie,
 Niech wola jego wszystkim będzie jawna.
 Wiecie, czem była szlachta starodawna,
 Czem jest dzisiejsza? — ja to wam objawię.
 Jedni z nas styna przez przodków zasług,
 Drugi — przez własne przewagi i znoje,
 Będę wam liczył szereg braci długi,
 Których wślawiły i rady i boje?
 Od pięciu wieków krwią szlachty pojona,
 Ziemia ta dla nich pała sercem matki.
 Jedni z niej hojne pobrali imiona,
 Ci zasłynęli przez cześć i dostatki.
 Lecz są z swych zasług szanowni mężowie,
 Co, w ciężkiej losów opacznych przygodzie
 Stargawszy lata i mienie i zdrowie,
 Nieraz do domu wracają o głodzie;
 A zniósłszy ciosów, przeciwności mądwo,
 Wleką do grobu szlachetne ubóstwo.
 Tym w licznych dżiatakach Bóg pobłogosławił;
 A gdy zszedł ojciec na synów ramionach,
 Ci, dzieląc w równie to, co im zostawił,
 Siedzą na szczupłych naddziadów zagonach,
 Lecz w każdej kraju doli i potrzebie
 Niosą jej w holdzie i byt swój, i siebie. —
 Jednej to matki rodzone to dzieci,
 Na jednej dni swe rozpoczęli ziemi,
 Jedno im słońce, jak ich pamom, świeci:
 Że niefortanni, mająć być gorszeimi?
 Równi jesteśmy przed Boga obliczem;
 Gdy się z nas który z tym pożegna światem,
 I gdy przed boskim stanie majestatem,
 Pan czy chudzina, zarówno jest niczem.
 Tak z praw odwiecznych najświętszej warowni
 I z władzy swobód, krwią przodków nabytej,
 Jesteśmy, bracia, wszyscy sobie równi.

Przed majestatem Rzeczypospolitej;
 A gdy rzecz idzie o jej byt i losy,
 Równe są wszystkich i zdania, i głosy.

Jeden ze szlachty. Dobrze mówi pan belski, głos jego — głos z nieba.
 Zamoycki. Stójmyż więc silnie przy prawie nabytej;
 A gdy nadejście jutrzejsza potrzeba,
 Na wybór króla głosujmy *virum*,
 To jest oddzielnie.

Wszyscy. *Virum, virum.*
 Jordan. Ależ, starosto.
 Zamoycki. Masz-li inne zdanie?
 Jordan. Tak jest, bo wasze nieładem grożące.
 Jeden ze szlachty. Nie przerywajcie rad naszym, Jordanie!
 Zamoycki. Nie czyńcie tamy wolnemu głosowi!
 Tenże ze szlachty. Niech się pan belski wprzód z nami namówi,
 A potem inni.

Jordan. Łatwiej w jedno zdanie
 Sto głosów spojć, niżeli tysiące.
 Zamoycki. Sto głosów niczem, gdy ich są tysiące.
 Jordan. Któż w tyle głosów natchnie ducha zgody?

G) „Smutno mi, Panie“ (1860).

(Poezycy, tom III, str. 274—278).

194)

I.
 Smutno mi, Panie, na tej nędznej ziemi!
 Odarty z siły, pociech i swobody,
 Przebijam nieba oczyma łzawemi,
 Czy tam wesołszej nie znajduję gospody;
 Bo tu, gdzie zwróć oko me lub ucho,
 Wszędy pustynię napotykam głuchą;
 Bo przez ubieglę od młodości lata,
 O klucz do szczęścia pytałem u świata,
 Lecz świat na moje nie odrzekł pytanie,
 Aż, potargawszy w ciężkim trudzie siły,
 Gdy drżącą stopą dotykałam nogiły,
 Smutno mi, smutno, o Panie!

II.
 Minęła wiosna wśród rajskich uniesień,
 Lato swym skwarem zniekało pielgrzymu,

Przeszła bez żniwa życia mego jesień,
I dziś mordercza pryciska mię zima.
Czyż sny młodości i złote kwiaty,
Zanim z nich burza wonny kwiat obwieje,
Po dągiem życiu, choćby raz przed zgonem,
I najskromniejszym nie pocieszą plonem?
Czy w Twojem słowie święte zaufanie,
Z którym wychodzim w drogę życia śliską,
Wyjdzie wierzącym na urągawisko?
Smutno mi, smutno, o Panie!

III.

Dałeś mi serce i trochę zdolności;
Rychłom ku cnocie ramiona wyteżył,
Zwiodłem walk mnóstwo z hydrą przeciwności,
Opierałem się — aleś nie zwyciężył. —
Próżno, młodzieńcym uniesion zapalem,
Echa mim uczuciom wśród ludzi szukałem;
Próżno przez życia wzburzone bałwanem
Branąem sam jeden i niezrozumiany. —
Są, którym zdolność, przyjaść lub kochanie
Snują nić złotą i w dojrzałych latach...
Lecz po cóż marzyć o powiędłych kwiatkach?
Smutno mi, smutno, o Panie!

IV.

Dar pieśni brzących jest potężnym darem:
To balsam z niebios na ludzkości rany;
Lecz olowianym dar ten jest ciężarem,
Gdy śpiew o głuche rozbija się ściany,
Inny czas, innych śpiewaków powołał,
Ci, do serc których śpiew ten trafić zdołał,
Stargani w krwawych i płonnych wysiłach
Już od lat wielu drzemają po mogiłach.
Tak — z lutni, wziętej pod dni mych zaranie,
Z lutni, w bolesnych rozstrojonej jętkach,
Co się dziś w moich potrzebowała rękach,
Zwracam ci drzazgi, o Panie!

V.

Czemu mię wyrok przykuł do tej ziemi?
Krew po niej wszystkie sposocyła skiby,
Męde jej brzęczą łańcuchy ciężkimi,
Kradną z niej dzieci, okowane w dęby.

Eblis się po niej rozszalał od złości;
Lecz w niej naddziadów spoczywają kości —
Już tehem ostatnim ludzkość na niej kona,
Aleś ja wyszedł z jej świętego łona.
Długoż trwać będzie piekiel panowanie?
Gdzież uciśnionych jest Bóg i obrońca?
Więc gły tej nędzy nie oglądam końca,
Smutno mi, smutno, o Panie!

VI.

Tyle krwi naszej wylało się marnie,
Tyle się luda zmieniło w tulaczy,
Tyle wygniotły pęta i męczarnie;
Że nie zostanie nic — oprócz rozpacy. —
«Rozpacz?...» odrzekł głos z góry surowo,
«To jest bluzniercze w usciech męda słowo;
«Spórz tam, gdzie mleczna wyiskrza się droga,
«Zajrz wewnątrz siebie i poszukaj Boga.
«Śmierć idzie z życia, z śmierci zmartwychwstanie;
«Každy cud musi poprzedzić ofiara —
«Gdzież się podziela silna w ten cud wiara?
«Przebacz mu, przebacz, o Panie!

VII.

«Ty cierp i ufaj w niebieską przestrożę».
— Będę więc cierpieć — i zaufam śmiele;
Lecz któż mię zwraca na zmyloną drogę?
Tyżes to, z niebios zesłany aniele?
Jakżes mógł trafić w to smutku zacisze?
Otuch nieznanych głos urocyz słyszę,
Widzę, przez ciemność, co tę ziemię mroczy;
Dwie gwiazd, jak z nieba w twoje wchodzą oczy;
Widzę i w duszę wraca zaufanie —
I wiara w przyszłość silniej we mnie tleje
I krzepszą w sercu poczuwam nadzieję:
Już mi mniej smutno, o Panie!

VIII.

Cóż to? cud stał się — rozprysłe kawały
Lutni moc jakaś w dziwnie kształty klei.
Nieznane dźwięki z jej głębi zabrzmiały:
Słyszę hymn wiary, miłości, nadziei!
Jakaż potęga życiem ją natchnęła?
Dwujęz, lutni, wyższe opiewając dzieła,
I ogłoś światu boskie panowanie;

Pod wpływem blasku cudotwórczej tęczy
Niech głos twój gromi, pociesza lub jęczy.
A ty skończ pisać te, o Panie!

H) O poezji dramatycznej (1811).

(Wydane w „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce”, Tom I, Kraków, 1878, str. 273—340).

Gdy Towarzystwo Przyjaciół Nauk powzięło zamiar opracowania całkowitego kursu literatury, dział dramatu powierzono naówczas Wężykowi. Owocem pracy jego jest studjum niniejsze, które nie doczekało się jednak zaszczytnej mianości na łamach „Roczników” i zostało wydrukowane dopiero w r. 1878 przez dra Stanisława Tomkowicza w „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce”, jako przyczynek do dziejów poglądów estetycznych w Polsce. Rozprawa dzieli się na dwie części. W pierwszej wyklada Wężyk, czym jest poezja dramatyczna, jej podział, początek, wylicza jej prawa: cel, układ, charakterystykę osób, styl, wreszcie poddaje szczegółowemu i dość surowemu sądowi „Atalii” Raayna w przekładzie Niemcewicza. W drugiej części mówi o tem, które są przedmioty najposobniejszej do udziałania dobrego dramatu, jakie przykroitości w dziełach dramatycznych zachować należy, wreszcie charakteryzuje rozlicznych przedstawicieli poezji dramatycznej, nie tylko klasycznej (starożytnej i francuskiej), ale i nowocześniejszej: wynosi Szekspira, Goethego, Schillera, Hiszpanów (Lopez de Vega, Calderon), Włochów (Goldoni, Alfieri). Te ostatnie właśnie ustępy rozprawy, a także dość ostrożnie zresztą wylamywanie się z pod przewagi „przepisów” estetyki pseudoklasycznej w I części, stały się kamieniem obrazym. Wyznaczono deputację, złożoną z Oslińskiego, Niemcewicza, Koźmiana Kajetana i Tarnowskiego Jana Amora, która w maju 1814 r. złożyła referat, orzekającą, że praca Wężyka nie może być drukowana w „Rocznikach”. Motywy, podane przez deputację, były następujące: 1) że autor nie oddzielił i nie rozgraniczył dostatecznie tragedji i komedji; 2) że pominał inne rodzaje „dramatyki”, a mianowicie operę; 3) że wzorami jego byli przeważnie pisarze angielscy, a mianowicie Szekspir; 4) że autor „nawto dozwala sobie powstawać przeciw uznanym już powszechnie prawidłom, do czego z uszczerbkiem do-
brego smaku pisarze niemieccy obserne już i poehopne otworzyl pole,
5) że nie wspomina wreszcie o pisarzach ojczystych w tragedji i komedji. Podajemy poniżej jeden z najbardziej charakterystycznych urywków rozprawy Wężyka.

a) Rozdział VI. § 2. O czasie i miejscu, w którym się dzieła dramatyczne odbywać mają.

195) Str. 284—286. Blizkiem powinowactwem z jednością działania łączy się jedność czasu i miejsca. Krytycy francuscy, którzy tak mocno przy zachowaniu wszystkich

trzech jedności obstają, twierdzą, że je wraz z innymi przepisami sztuki wyczerpali od Greków. Według nich pierwsza zawiśla na tem, ażeby drama odbyło się w przeciągu dnia jednego, czyli 24 godzin, druga, aby od pierwszej sceny aktu pierwszego aż do ostatniego ostatniej rzecz cała na jednym i tem samem odbyła się miejscu. Nie będziemy się na tem rozwódzić, czyli, podług Schlegla, Arystoteles w swojej poetyce ciemno o jedności czasu, a nie o jedności miejsca nie pisał, czyli też, według pisarzy francuskich, ten mędrzec i krytyk podał pewne i niecofnione w tej mierze prawidła. Szukając źródła przepisów, które wyłożyć umysłiliśmy, w samem przyrodzeniu rzeczy, nim objawimy nasze mniemanie w tym względzie, przypuściwszy, że Grecy te lub tym podobne zachowywali prawidła, chcemy naprzód okazać, jaka jest różnica między dramatyką grecką a naszą. Tej zgłębienie potrafi nas doprowadzić do ustanowienia: czyli możemy lub powinniśmy iść niewolniczo w ślady dawnych pisarzy i ślepo stósować się do tego, czego krytycy francuscy żądają.

Nadmieniliśmy w trzecim rozdziale niniejszej rozprawy, że chóry daly początek tragedji u Greków, a następnie najznakomitszą jej część składaly. Wyobrażały one widzów, którzy przypatrzywal się wszystkiemu; razem z głównymi osobami dzialali, razem z nimi cieszyli się albo cierpieli. Nawto chór takowy nigdy prawie nie schodził ze sceny; a kiedy bohaterowie sztuki przynaglieni byli do opuszczenia teatru, chór zostawał i w pieniach swoich zastanawiał swą uwagę nad tem, co się już stało, gotował umysły do tego, co miało później nastąpić. Stąd pochodziło, że dzialanie w obliczu jednych i nie schodzących z miejsca swojego osób musiało być zawarte w szczupłych granicach czasu i odbyć się na jednym a temże samem miejscu. Wszakże nieustanna obecność chóru do tego stopnia związała z sobą akty, iż żadnej między nimi przerwy, żadnego odroczyunku nie było.

To, co się tu rzekło, wystarczy do uznanie wielkiej różnicy między naszym a greckim teatrem. Nie spadała tam zasłona po każdym akcie. Nie było tej przerwy, która jest u nas między jednym a drugim. Niemasz dziś chóru, niema konieczności wiązania się do szczupłych granic czasu i miej-

sca. Prócz tego, jedność miejsca u Greków pochodziła z samego sposobu ich życia. Nietajak każdemu, że starożytni wszelkie sprawy, tak publiczne, jak i prywatne, odbywali nie w domach własnych, lecz na miejscach wszystkim powszechnych. Stąd wypływało, że poeci, obierając jedno i toż samo miejsce do działania w swoich dramatach, nie obrażali przyzwoitości, owszem, stósowali się przez to do obyczajów swego narodu i wieku.

Jeżeli francuscy pisarze (pomimo twierdzeń, że się greckich prawideł trzymają) czas trwania dramatycznej sztuki, który nie przewyższał u Greków czasu jedynie do wystawienia koniecznego, do dnia jednego, czyli dwudziestu czterech godzin pomknęli, czemużby nie można tej wolności dalej rozciągnąć? Skład naszego teatru i zwyczaj łatwe ku temu podają sposoby. Po każdym akcie spada zasłona, kończy się część pierwsza wielkiego obrazu dramatycznego poematu. Jak długo ma trwać przerwa między jednym aktem a drugim, nie oznaczają prawidła. Lecz jeżeli ta przerwa, która rzeczywiście nie przerosła ćwierci godziny, ku dopełnieniu czasu 24 godzin, dla sztuki zamierzonego, wyobrażać ma 3 lub 4 godziny; czemużby nie można tego omamienia dalej posunąć, wystawując, że między jednym aktem a drugim znaczna część dnia lub też dzień cały upłynął? Tym sposobem więcej czasu zyskali dramatyczni pisarze, mniej kajdan, które dowcipy krępują. Wreszcie może to być prawidłem dla francuskiego teatru, lecz nie dla wszystkich. Chcąc udowodnić takowe mniemanie, dość będzie przytoczyć jednego z nader znakomitych krytyków francuskich. Bossu uważa ¹⁾, że noc jest złą porą do tragedyi i że ta przez wszystkie godziny najdłuższego dnia w lecie trwać może. Tym sposobem dodaje uczony Home ²⁾, angielska tragedia dłużej, niżli francuska, a w Nowej Ziemi, gdzie całe lato jest dniem jednym, przez całe lato trwać może!

Kończąc tę obszerną rozprawę, powiemy, że to dzieło dramatyczne co do jedności czasu najlepszem jest, które nie trwa dłużej nad czas, do wystawienia potrzebny; to zaś

¹⁾ Bossu: *Traité sur le Poëme Epique*. L. III. Chap. 12. (Przyp. Aut.).

²⁾ Home w dziele pod tytułem: «O zasadach krytyki», w Rozdz. 23. (Przyp. Aut.).

nie uchybia przeciw naturze rzeczy i dzisiejszego teatru, które się przez tyle dni ciągnie, ile ma aktów.

Co do jedności miejsca. Z okazanej różnicy między naszym a greckim teatrem wypływa, że i w tem przepisy francuskich pisarzy za nadto niewolniczymi się zdają. Nie jestem ja za tem, ażeby, obrazem niektórych dzisiejszego wieku pisarzy, scenę w jednym akcie lub szałce z Londynu do Rzymu, z Rzymu do Paryża przerosić. Lecz sądzę, że, nie odmieniając bynajmniej miejsca w aktach samych, jeden z nich może się odbyć w palacu, inny w ogrodzie, inny w więzieniu, w kościele. I na tem jedność miejsca według natury dzisiejszego teatru zależy. Zasadą tych odmian w aktach będą podobnie zachodzące przerwy pomiędzy nimi. Wreszcie nie wszystkie osoby konieczne, do dramatycznego działania użyte, mogą lub muszą na jedno schodzić się miejsce. Urząd ich, stan, wiek, przyzwoitość nie dozwala najczęściej wybrać takiego, gdzieby wszyscy mogli nieprzymuszenie działać, mówić lub odkrywać swe jawne lub skryte uczucia. Przykłady lepiej objaśnią to zdanie. Ani godzi się uciekać do tych niedokonanych sposobów, przez które pisarze francuscy, chcąc ustalić powagę urojonego prawidła, wybierają częstokroć na miejsce działania jaki przedpokój, wspólny kilku pomieszkanom, zajęty przez główne osoby, w którym schodzą się bez przyczyny, odkrywają swe uczucia bez trwogi, chociaż ich nieprzyjaciele o ścianę się tylko znajdują; nie widzą się z sobą, chociaż o kilka kroków mieszkają, ażeby ściągnąć nakoniec poznania się nagłe, nadspodziewane zdarzenia. Takowe środki ująd jeszcze w komedyi. Kilku przejeżdżających stawa w jednym domu gościnnym. Przedpokój jest wspólny dla wszystkich. Rzecz się poczyna od służących, którzy tam mają swoje mieszkanie. Nadchodzą panowie, mówią, działają; lecz aby w tragedyi, jak naprzykład w «Berenice-Rasyna, do gabinetu wspólnego pomieszkania tej palestyńskiej królowej i Tytusa cesarza schodzić się mogli wszyscy na opowiadanie tylu pięknych rzeczy, trudno jest z przyzwoitością pogodzić.

1) Powstanie Królestwa Polskiego.

(pisane w r. 1836, wydane 1895 r.)

Bezpretensjonalny pamiętnik o wypadkach wielkiego roku dużą ma cenę dla historyka, pomimo iż Wężyk nie umie utrzymać się w karbach ścisłej przedmiotowości. Konserwatywa z zasady i temperamentu, dawać nie może «demagogom» i «klubistom»: Lelewelowi, Mochackiemu, Niemojowski, niechętnie wyraża się o Chłopińskim, Prądzyskim, natomiast wygłasza gorącą apologię Skrzyneckiego, chociaż całej winy zdjąć z niego nie potrafi. Przegrał 1831 r., według niego, przypisać należy: 1) niezdolności Chłopińskiego, 2) błędem Skrzyneckiego, 3) «panowaniu klubów», a stąd zrodzonej anarchii, 4) nieposłuszeństwu generała Ramorina. Całe przedsięwzięcie rewolucyjne, ku temu zdaje się aktuałnie autor, było dziełem lekkomyślności i rozpacy, nie mającem widełków powodzenia, z góry skazanem na zagładę. Wężyk opowiada żywo, z zacięciem, często przepalając opowiadania uwagami, refleksjami, nieraz dość płytkimi i jałowemi; czasem też wyrwa mu się silniejszy wyraz uczucia. Wogóle, pamiętnik nosi na sobie cechę besopredności i dzięki temu właśnie ma poważne znaczenie dla historyka, który potrafi odróżnić prawdę od uprzedzenia osobistego lub stronnictwa.

a) Rzezie 15 sierpnia.

196) *Str. 169—174.* Przystępujemy do skreślenia obrazu nocy 15 sierpnia, która zbezczeszczyła krwią i mordami stolicę, od której odwróca oczy i serce prawli Polacy, a zadrzą za zgrozy na jej wzmiankę potomni. Powstanie Polski, tak dotąd czyste w obliczu świata i tak dla narodu chwalebne, skazi na koniec okropne bezprawie. Napróżno niecni zbrodniarze czekają, by cienie nocy ich sprośne dzieła pokryły. Dowie się o nich stolica, przeklinać będą potomni. Dzień cały zeszedł na ciekawem oczekiwaniu, komu rząd narodowy ster wojska poruczy. Nie ogłoszono ani jednego słowa w tej mierze. Głuche pogłoski biegaly, że czynni członkowie klubu listy proskrypcyjne spisali i że ci nawet, którzy z rozsądkiem umiarkowanie łączyli, nie uszli ich podejrzliwej uwagi. Od trzech dni Lelewel o ruchu zbawiennym nadmieniał. Towarzystwo patryotyczne, liczniej, niż dotąd, zebrane, radziło jawnie o niebezpieczeństwie ojczyzny. Podano wniosek, by się domagać od rządu oddalenia od wojska generała Skrzyneckiego, i ten się wniosek utrzymał. Lecz gdy już radziło poczęto, jak go wykonać, czyli na piśmie, czyli też innym sposobem, wniesiono, by Towarzystwo w całem się gronie do rządu z swoim żądaniem udało. Na tem stanęła

narada. Ciągnie tłum różnorodnego składu, mając na czele ks. Puławskiego Kazimierza, Czyńskiego Jana i Boskiego Nikodema, przez Miodową ulicę. Ciekawość zwiększa uzbrojona tłuszczość co chwila. Już na Krakowskim Przedmieściu do 3000 ludzi liczone. Cała ta rzesza napelnia dziedziniec namiestnika pałacu, a mówcy Towarzystwa przeciskają się do sali posiedzeń rządowych. Wychożą członkowie pojedynczy Narodowego rządu, słuchają mów, tchnących istnem zuchwalstwem, i przyrzekają nazajutrz na południe odpowiedź. Cała ta scena gorsząca trwa blisko godziny. Lecz gdy mniemano, że Towarzystwo zaspokoiło się odpowiedzią rządu i gdy to niejako utwierdziło oddalenie się tłumy od namiestnikowskiego pałacu, dzielą się tłumy na pomniejsze oddziały i, wzmocnione nowemi siły, schodzą się znowu pod Zamkiem, gdzie uwięzionych generałów w dniu 29 czerwca dotąd w areszcie trzymano. Był pomiędzy nimi szambelan rosyjski, Fenshave, człowiek niewinny i dobrych obyczajów, który, przyzwyczajony do życia w Warszawie, ani ją pragnął opuścić, ani na jedną chwilę nie przesłał ufać szlachetności charakteru Polaków. Wplątany do szeldtwa mniemanego spisku Hurtiga wraz z cukiernikiem Lesslem, został za niewinnego uznany. Trzymano go jedynie w Zamku dla zastonienia przed wszelką obrazą, lecz miano wkrótce za przyzwolitym paszportem do przednich straży odesłać. Gnuśność rządu odwleka tylko te chwile. Była kobieta rosyjska, nazwiskiem Bazanow, śmiała i intrygantka, lecz tę o zdradę kraju, jako cudzoziemkę, nie można było potępić. Był na koniec oprócz świadomych z dawniejszych wzmianek kamerjunker Bentkowski, który miał utrzymywać korespondencyę z nieprzyjacielem. Ci wszyscy już byli osądzeni przez sąd nadzwyczajny; lecz wyrok na nich, odesłany do głównej kwatery, dla zmian, zasłanych w naczelnem dowództwie, potwierdzonym i wykonanym nie został. Bierza się tłum ludzi przed zamkiem, krzycząc: «Śmierć zdrajcom ojczyzny!» Warta gwardyi narodowej staje do bronii. Uderzono na trwogę, lecz czyli z namysłu, czyli z niedbalstwa, jeden tylko bęben słyszeć się daje. I ten na koniec zaniemial, gdy dobozowi palki odjęte zostały. Przybiega gubernator miasta, feneral Węgierski, ten, który po scenie, przez Towarzystwo patryotyczne z powodu Kępowieckiego

zdziałanej, chępił się w stolicy, iż z 200 ludźmi byłby ten rozruch usmierzył, przekłada wzburzonym, że ci, których śmierci żądają, już osądzonymi zostali, że wyrok na nich jest w głównej kwaterze i w druku, że nazajutrz ogłoszony i wykonany zostanie, ale przekłada napróżno. Naciągnął tymczasem batalion 18 pułku piechoty. Gdyby go był gubernator pod Zamkiem ustawił, mógłby zapewne zapobiedz gwałtowi i mordom. Lecz on rozkazał bramy zamkowe otworzyć, których burzyciele przestąpić nie mogli, i wpuścić wojsko w dziedzińiec. To dało powód, że się wraz z wojskiem towarzysze patryotycyści wcisnęli. Ale przychodzą rzeczy do tego stopnia, że Węgierski obowiązał się posłać natychmiast sztafetę do głównej kwatery po wyrok na więźniów zamkowych. By to wykonał, dodają mu 30 świadków, na czele których ksiądz Szyndlarski z gubernatorem do jego mieszkania odchodzi. Gdy burzyciele pozbyli się przytomności gubernatora, złączywszy się z oddziałami 18-go pułku, poszli natychmiast w Zamek do miejsc tych, gdzie nieszczęśliwi więźnie siedzieli, i poczuli ich kolejną wywlekać. Zjawił się pomiędzy tłumem Antoni Ostrowski, dowódca gwardyi narodowej warszawskiej. Ten, zamiast okazania jakiejś takiej chęci w utrzymaniu publicznego porządku, zalecał tylko swym podkomendnym, by nie strzelali do obywateli, a potem spokojnie głowy pomordowanych rachował. Są tacy, którzy twierdzą, że następujące słowa z ust jego słyszeli: «Panowie! moście wieszać, ale porządnie». Był jeszcze w tłumie człowiek, niebezpieczniejszy od wielu, którego tajemnym podszeptem noc tę w znacznej części przypisać należy, który się do wszystkiego rad mieszał i od wszystkiego potem ręce umywał, a tym był Krukowiecki, dymisyonowany generał. On w zgłębku przybrał pewnej powagi i został powitany tytułem gubernatora. Czy nakazywał morderstwa, czyli też wprzód do nich poduszczyl, nie zostało wykryte. Wszakże miał kogós z przyjaciół, co doniósł wkrótce rządowi, że lud wzburzony chce go mieć gubernatorem Warszawy, i rząd narodowy był tak dalece słabym, że temu snadno uwierzył i mianował go istotnie tej nocy gubernatorem Warszawy. Ale już krew się lala potokiem. Wpadnięto do mieszkania nieszczęśliwego Jankowskiego i znaleziono go pośród modlitwy. Ci, co go pierwsi lżyć i mordować zaczęli, byli sami

wojskowi albo klubiści, w mundury gwardyi narodowej przebrani. Nic nie pomogły prośby i przełożenia. Zelżony, zbity i skuty, już prawie nie żyw, został powieszony na latarni za nogę. Ten sam los spotkał generałów Hurtiga i Saleckiego, pastwiono się nawet nad ich trupami. Bukowski wyskoczył z okna na taras i zmalam nogę, ale się zdołał między krzewami utaić. Wszakże na krótko, bo, znalezione przez swych oprawców, znalazł natychmiast śmierć srogą. Szambelan Fenhave schronił się za piec swego mieszkania, ale po stolku, blisko stojącym, docieczono, gdzie się znajdował. Niwinnosc jego, nawet uznana od sądu, nie zdołała uchronić od śmierci. Pani Bazanow zamordowaną została z wściekłością i okrucieństwem, szerszem nad wszystkie opisy. Młoda jej córka, która towarzyszyła matce w więzieniu, pchnięta bagnetem, zaledwie uszła zagłady, udana za służącą. Bentkowski pomnożył liczbę nieszczęsnych ofiar, pomordowanych wprzód, nim powieszeni zostali. Ta rzeź okrutna w Zamku królewskim trwała przeszło godzinę. I to jest, co Lelewel nazywał ruchem zbawiennym. Gdy Krukowiecki zaczął przemawiać, jako dowódca miasta, dały się słyszeć głosy, żądające głowy najszlachetniejszego stronnika powstania, księcia Adama. Ostrzeżony zawczasu, gdy nie mógł przyjąć rady Lelewela, by stanąć na czele ruchu, musiał swe życie ratować ucieczką. Dosiadłszy konia w pałacu Zamojskich, udał się z masztalierzem samowtór ku obozowi przez wolskie rogatki; tam zatrzymany, znać przez stronników ruchu, ręczności konia ocalenie swoje był winien, nie przeto jednak za nim strzelano. Ale masztalierz spadł z konia, który, wróciwszy do domu, dał powód do pogłoski, jakoby Czartoryski życie postradał, co pośród nocy z udanym żalem rozgłaszał Krukowiecki. Mówią, że od Zamku chcieli się rozejść burzyciele po różnych stronach miasta dla wywlekania ofiar swojej niechęci, do których liczby należał generał Dziekoński, dowódca warowni na Pradze. Ale przemogła chęć wymordowania szpiegów, nie osądzonych dotychczas dla braku prawa na zbrodnie szpiegostwa. Lecz gdy więzieniu, w którym ci nędznicy siedzieli, było nader odległe od zamku, bo leżało aż za wolskimi rogatkami, przejście ich do tego miejsca uwolniło miasto na parę godzin od zgłębku mordów i trwogi. Ciągnąc

działanej, chęcił się w stolicy, iż z 200 ludźmi byłby ten rozruch usmierzył, przekłada wzburzonym, że ci, których śmierci żądają, już osądzonymi zostali, że wyrok na nich jest w głównej kwaterze i w druku, że nazajutrz ogłoszony i wykonany zostanie, ale przekłada naprzód. Nadsiadł tymczasem batalion 18 pułku piechoty. Gdyby go był gubernator pod Zamkiem ustawił, mógłby zapewne zapobiedz gwałtowi i mordom. Lecz on rozkazał bramy zamkowe otworzyć, których burzyciele przestąpić nie mogli, i wpuścił wojsko w dziedziniec. To dało powód, że się wraz z wojskiem towarzysze patriotyczni wcisnęli. Ale przychodzą rzeczy do tego stopnia, że Węgierski obowiązał się posłać natychmiast sztafetę do głównej kwatery powyrók na więźniów zamkowych. By to wykonał, dodają mu 30 świadków, na czele których ksiądz Szyndlarski z gubernatorem do jego mieszkania odchodzi. Gdy burzyciele pozbyli się przytomności gubernatora, złączywszy się z oddziałami 18-go pułku, posłali natychmiast w Zamek do miejsc tych, gdzie nieszczęśliwi więźnie siedzieli, i poczeli ich koleją wywlekać. Zjawił się pomiędzy tłumem Antoni Ostrowski, dowódca gwardyi narodowej warszawskiej. Ten, zamiast okazania jakiej takiej chęci w utrzymaniu publicznego porządku, zalecał tylko swym podkomendnym, by nie strzelali do obywateli, a potem spokojnie głowy pomordowanych rachował. Są tacy, którzy twierdzą, że następujące słowa z ust jego słyszeli: «Panowie! możecie wieszać, ale porządnie». Był jeszcze w tłumie człowiek, niebezpieczniejszy od wielu, którego tajemnym podszeptem noc tę w znacznej części przypisać należy, który się do wszystkiego rad mieszał i od wszystkiego potem ręce umywał, a tym był Krukowiecki, dymisyonowany generał. On w zgielku przybrał pewnej powagi i został powitany tytułem gubernatora. Czy nakazywał morderstwa, czyli też wprzód do nich poduszczyl, nie zostało wykryte. Wszakże miał kogoś z przyjaciół, co doniósł wkrótce rządowi, że lud wzburzony chce go mieć gubernatorem Warszawy, i rząd narodowy był tak dalece słabym, że temu snadno uwierzył i mianował go istotnie tej nocy gubernatorem Warszawy. Ale już krew się lała potokiem. Wpadnięto do mieszkania nieszczęśliwego Jankowskiego i znaleziono go pośród modlitwy. Ci, co go pierwsi żyć i mordować zaczęli, byli sami

wojskowi albo klubiści, w mundury gwardyi narodowej przebrani. Nic nie pomogły prośby i przełożenia. Zelżony, zbity i skuty, już prawie nie żyw, został powieszony na latarni za nogę. Ten sam los spotkał generałów Hurtiga i Saleckiego, pastwiono się nawet nad ich trupami. Bukowski wyskoczył z okna na taras i złamał nogę, ale się zdołał między krzewami utuć. Wszakże na krótko, bo, znalezione przez swych oprawców, znalazł natychmiast śmierć srogą. Szambelan Fenhavie schronił się za piec swego mieszkania, ale po stolku, blisko stojącym, docieczono, gdzie się znajdował. Niewinność jego, nawet uznana od sądu, nie zdołała uchronić od śmierci. Pani Bazanow zamordowaną została z wściekłością i okrucieństwem, sroższem nad wszystkie opisy. Młoda jej córka, która towarzyszyła matce w więzieniu, pchnięta bagnietem, zaledwie uszła zagłady, udana za służącą. Bentkowski pomnożył liczbę nieszczęsnych ofiar, pomordowanych wprzód, nim powieszeni zostali. Ta rzeź okrutna w Zamku królewskim trwała przeszło godzinę. I to jest, co Lelewel nazywał ruchem zbawiennym. Gdy Krukowiecki zaczął przemawiać, jako dowódca miasta, dały się słyszeć głosy, żądające głowy najszlachetniejszego stronnika powstania, księcia Adama. Ostrzeżony zawczasu, gdy nie mógł przyjąć rady Lelewela, by stanąć na czele ruchu, musiał swe życie ratować ucieczką. Dosiadłszy konia w pałacu Zamojskich, udał się z masztalerzem samowtór ku obozowi przez wolskie rogatki; tam zatrzymany, znać przez stronników ruchu, rącości konia ocalenie swoje był winien, nie przeto jednak za nim strzelano. Ale masztalerz spadł z konia, który, wróciwszy do domu, dał powód do pogłoski, jakoby Czartowski życie postradał, co pośród nocy z udanym żalem rozgłaszał Krukowiecki. Mówią, że od Zamku chcieli się rozejść burzyciele po różnych stronach miasta dla wywlekania ofiar swojej niechęci, do których liczby należał generał Dziekoński, dowódca warowni na Pradze. Ale przemogła chęć wymordowania szpiegów, nie osądzonych dotychczas dla braku prawa na zbrodnie szpiegostwa. Lecz gdy więzienie, w którym ci nędznicy siedzieli, było nader odległe od zamku, bo leżało aż za wolskimi rogatkami, przejście ich do tego miejsca uwolniło miasto na parę godzin od zgielku mordów i trwogi. Ciągając

po drodze, szukali Łubińskiego Henryka, obwinionego o usunięcie z pod srogości prawa vice-prezydenta Lubowickiego, i mało brakło, że zamiast jego nie powiesili brata, Jana Łubińskiego, który się dostał w ich ręce.

Gdy ruch się przeniósł za wojskie rogatki, do więzienia, będącego w domu zarobku, krew zatrzymanych tamże lała się bez oporu i najmniejszej przeszkody. Zginęli zamordowani szpiegowie dawnej władzy: Szlej, Szymanowski i wielu innych. Niezasłużona kara śmierci spotkała także i kilkunastu Żydów, uwięzionych za defraudacyjny przestępstwa. Zginęło także wogóle 35 osób, a krew ich została świadkiem w więzieniach wyuzdanej wściekłości. Już dzień zajmował miejsce nocy, gdy burzyciele przypomniałi sobie Hankiewicza, radcę stanu za dawnego rządu, osadzonego pod strażą w klasztorze dominikańskim na ulicy Freta. On stał się winnym prześladowania wielu rodaków i był zbyt czynnym we wszelkich czynnościach sądowych przeciw obwinionym od władzy. Nikt pewnie bronił nie zechce skazanego charakteru tego człowieka. Ale komitet śledczy nie znalazł go do tego stopnia winnym, by go pod sąd oddano. Wywleczony z swego przytrzymania, pokaleczony, jak inni, powieszonym został nareszcie. Tej egzekucji był żywym świadkiem Leleweł, bo zaszła ona w bliskości jego mieszkania. Prochownia dostarczyła jeszcze trzech ludzi, na których się wściekłość sprawców tej nocy wywarła. Był między nimi Fridlender i Birnbaum, dwa ramiona dawnej policy. Długo wisiały trupy pomordowanych przez ranek dnia 16, nim je przez kata ściągnięto i uwolniono miasto od zgrozy. Wśród nocy szukano cukiernika Lessla, którego miano w podejrzeniu, lecz ten się rychłej z swego mieszkania uchronił. Tu Krukowiecki pokazał pozorny przykład sprawiedliwości. Bo, gdy tłum ludzi różnego rodzaju, szukając Lessla, przetrząsał dom jego, jeden z saperów z płochości czyli lakomstwa pochwylił za sprzęt domowy i chciał go sobie przywłaszczyć, ale, ujęty, natychmiast został rozstrzelany na rozkaz nowo mianowanego gubernatora.

b) Ogólne uwagi o powstaniu.

197) Str. 232—238. Padła ofiarą Polska przed laty nie własnych błędów i winy, bo z tych się mogła otrząsnąć,

ale chciwości i dumy sąsiadów. Jakież ma prawo ten, który siedzi przy mojej między, by mnie przymuszal do ładu? Lecz nikt bezkarnie gwałcił nie może cudzej własności. Gdybym to zdziałal, jak człowiek, przyszedłby sędzia i grozą prawa wymierzył, co innemu wydarłem. Nie maszli sądu na królów, kiedy podobnie z ludami postępują? Gdy mnie trzech zbrojnych w lesie oblupi, to się rozbojem nazywa. Gdy trzy narody złączą swe siły na jeden i gdy rozszarpają jego odwieczną dziedzinę, gdzież jest ów wyraz, coby tę zbrodnię innem nazwiskiem okrasil? I któż nie wierzy, że jest trybunał, co sprawy królów i ludów przesądza? Tam sprawiedliwość stoi na straży wyroków, a uczą dzieje tysiącami przykładów, że cudza krzywda rychłej czy później bokiem wylezie. Lupił narody wielki zwycięzca, sądząc w swej pysze, że mu jest wszystko godziwie dla siły. I cóż się stało z całym ogromem potęgi? Prsyła na koniec, jak szyba lodu, a on, że sam przez siebie ciemnił, jeszcze za życia odniósł smrotną pokutę. Ale do spisku na Polskę wpływały ludy z królami, dlatego spaźnia się jeszcze chwila niesprawiedliwości niezbędnej. Aliz te pierwsze nie obaczają się, gdy same dzialaó zdolają? Inaczej jużby jej wyrok spełnić się musiał oddawna. Od pierwszej chwili rozbioru Polski ostrzega codzién Wszeczmocność przez liczne klęski i boje, że dotąd miru nie będzie na świecie, póki porządek między ludami do dawnych karbów nie wróci. Od lat czterdziestu czują to władcy i rady, ale nie śmieją dla wstydu odpłacić winę rozboju. Wszyscy kolejaj poznali, jak jest ten owoc gorzki i niestrawionej twardości i jak są liche pożytki, na które liczylí plocho, kiedy cudzą własność szarpali. Wieleż milionów ludności padło od tego czasu w ofierze, jak wiele skarbów uronió otdąd musieli, na jakie klęski własne oddali narody, a ile razy byli już sami bliżej zagłady! Ale strumienie krwi ruskiej, co polska ziemia polkneła, czyliż ma za nie ów samodzierca, gdy nie przestaje zalewają nimi polskie dziedziny, też same niwy, które oddawna za swoją zdobycz uznaje? Czyliż on nie zda rachuby na koniec, że tak daremnie kwiat swego ludu zmarnował? Rychłej albowiem czy później musi przyjsć chwila odwetu, i, skoro Polska, tak jak dotychmiast, nie zechce zostać pod obcem jarmzem, dźwigać go pewnie nie będzie, bo wola ludu

wolę jednego przemoże. Nic nie nadadzą te wymyślone męki i to przeniesienie ludności polskiej na obce stepy i jary. Tu plemię nawet przybyszów wyświeca wraz z mlekiem miłość do ziemi, na której chlebnie wyrośnie. Tam się zasieje ziarno swobody, gdzie upływu wieków potrzeba było, by ją poznano z nazwiska.

Lecz zwróćmy oczy ku dotykającym skutkom polskiego powstania. Runął obrzym zwycięstwa i siły, a berło władztwa nad światem przeszło na północ, jako zdobycz wygranej. Zdurzone ludy słowami chytryści, mniemały zrazu, że wyższość wymiarem sprawiedliwości w godne się ręce dostala. I Polak, zawsze mający cel jeden dla siebie, razem z innymi zdurzony, przygłąd do tego, co mu przyrzekał szczęście, swobodę. Lecz spadła maska obłudy, a został postrach potęgi, co się rozpostarł od oceanu, który południe oblewa, aż po ten kraniec, gdzie już się kończy panowanie płodności człowieka. Drżały narody, gdy barbarzyńcic przemówił. Przez lat dziesiątek liczono pilnie europejskie potęgi, bez dojsia aż do tej liczby, coby zaręczyć mogła przewagę. Lecz zapomniano przyzwać do tych rachunków ducha, który leczbami kieruje, i w tej pomyłce pocieszano się chwilowym pokojem. Nikt nie dociekał, że, nim ten obrzym ściągnie z daleka niesforne w ruchu ramiona, można mu zadać cios w serce i zabić. Lecz któryż naród weźmie na siebie to przedsięwzięcie zuchwałe? Gdy drżą z obawy i niepewności namysłów, Polska to działa, czego najpotężniejsi nie śmieli. Tak świetna rola musi być jej przeznaczaniem koniecznem. Ona najbliższa serca obrzymia, ona najwięcej krzywdy od niego poniosła. Lecz podziwienie i postrach nie ustal jeszcze. Gdy się już wszczęły krwawe walki z obrzymem zapasy, czegoż czekacie, narody, aż te odwieczne prawa, na których stoi świat cały, rozkażą uleść w nierównej walce karłowi? Czy nie widzicie, że za tą kłęską inne i sroższe was samych czekają? Teraz wam działać, jeżeli chcecie krwi własnej oszczędzić; ale najbliższym krzywe sumienie przeskadza. Chcieliby może dopomódz Polsce, dręczą ich przeciwko zbrodni, którą na Polsce spełnili. Boją się oni o kawał ziemi niewłasnej i wstydy niepozbędnego powrotu cudzego dobra poświęcają los przyszły ludów, nad którymi z lepszego prawa panują. Kiedy więc

nie chcą czyli nie mogą królowie sami wykonać sprawiedliwości nad Polską, przyjdzie ta kolej na ludy, i wtedy może spełni się naraz sprawiedliwość podwójna. Ależ ta chwila może dużo lez i krwi kosztować.

Walczą więc Polska z temi siłami, które są dotąd całej Europy straszylem. Rozwijają dzielność bez równego w dziejach przykladu, a porzucona od innych, jak ów zapaśnik pomiędzy lwami, długo zadziwia męstwem obrony i rezygnacją i wytrwałością bez wzoru. I gdzież nie przeszła sława tej wojny, jakież ciosy dotkliwsze jąki wzbudziły w całej przestrzeni znanego świata, jak te, które dzielnych obrońców swobód ojczystych w morderczych bitwach spotkały? Same narzędzia despoty nie przelewają krwi polskiej bez wstrętu, bo wiedzą dobrze, że na tej wojnie nie zyskać, a wiele stracić może Rosya. Siedm miesięcy wlepione oczy narodów zwróciły baczne wejrzenia ku ziemi Piastów, która, niedawno wygluzowana z ziemskiej posady, zapomniana została od świata. Nikt się nie spodział, by tyle siły istniało w zwłokach narodu, który dwa wieki upadał, choć nikt nie widział na własne oczy, by kiedy Polska skonała. Całun śmiertelny pokrył jej ciału, lecz drgały członki ciąglem usiłowaniem powrotu do życia. Potrzeba było sił wszystkich Rosyi: i tych, co świeżo z przedmieść Stambułu wrócili, i tych, co ujarzmiły Erywan, i tych, co strzegą bezpieczeństwa podejrzanego samodzierzcy, i tych, co odpychały zarazem od krańców świata, i od gór żynnych, z których Rosya patrzy lakomo na kolebkę świata Azyi, i od mórz wszystkich, do których jej rzeki spływają, ciągnęły hufce orężne na pokonanie nieszczęśliwego narodu, który z ufnością w swej świętej sprawie walczył, jak jeden przeciwko dziesięciu. Niewiele brakło, by nawet wyszedł z tryumfem; przecież to zdziałał na korzyść całej ludzkości, że, obnażywszy obrzymia, pokazał światu zupełną nicosć jego mniemanej potęgi. Któż po tej wojnie zleknie się szczerze rosyjskiego ogromu? Ten cios okropny, w serce Rosyi zadany, tkwić będzie w wiecznej pamięci narodów, i stąd pochodzi zemsta, z którą dziś samowładca nad Polską srożeje. Dlatego wywiódł odrazu wszystkie swe siły, by skończył wojnę jednym zamachem. A gdy się to nie powiodło na polach Grochowa, dlatego wywarł gniew ostry na swego wodza, że tym

lub owym środkiem nie skończył wojny, gdy miał do tego sposobność. Sam układ z Polską, w miesiącu marcu zawarty, jeszczeby zachował urok rosyjskiej potęgi od szwanku — późniejsze boje dopiero mgłę, wiszącą nad wzrokiem ludów, rozdarły. I to zgubiło Dybicza.

Lecz większe skutki nierównie dla samej Polski zrodziła ma z czasem świeżo skończoną powstanie. Od ostatniego rozbioru Polski już po raz piąty dowodzi Polska, że każda chwila, nawet pozornia, nie przedzie dla niej bez objawienia światu chęci niezłomnej ku odzyskaniu niepodległości, z której ją gwałtem odartło. Tak widzieliśmy w roku 1794 garstkę walecznych, co się do broni cisnęli, bez przezorności i bez nadziei zwycięstwa. Honor narodu wymagał tego, i naród uległ przemocy z honorem. Myśl Dąbrowskiego uratowała od zgnęśnienia tę dzielną młodzież, która poszła pod obce nieba walczyć i sposobić się do przyszłych usług ojczyźnie. Był legionów powiązał dzieje Polski z tem pasmem wznowionych usiłowań, które objawił rok 1806 i 1807. Zaledwie błysnął promyk przelotnej nadziei, a wnet Polacy powstali. Był to ciąg dalszy szlachetnych usiłowań pod cnotliwym Kościuszką. Gdy Austria w r. 1809 poczęła z Francją zapasy, znowu część Polski wyśliznęła się z rąk drugiego rozbiorey. Toż samo zaszło w roku 1812 przeciwko Rosyi. Dotąd każdy z trzech dworów doświadczył z bliska, ile go rozbiór Polski kosztuje. Lecz gdy runęła potęga, pod której cieniem złożyć chcieli lepiankę bytu swojego Polacy, dotknął ich narodość cios sroższy nad inne, bo położony urokiem łagodności, liberalności i pozornej dla płytkich oczu nadziei. O! gdyby tą drogą szedł Aleksander, którą iść począł w pierwszych latach panowania swego nad Polską, pewnieby narodość polska przogasła. Ale Opatrzność, czuwająca nad tą nieszcześnie krainą, zachowała ją od tak straszego ciosu. Nadana konstytucya zdeptana została nogami, barbarzyństwo cesarzowicza rozjątrzyło umyły. Demoralizacja, wprowadzona przez Rosyau pomiędzy Polaków, niegodnych tego imienia, a mająca przy tronie opiekę, aż nadto była zuchwałą i jawną, by prawych nie oburzala umysłów. Jeszcze lat dziesięć, a ta zaraza sroższeby skutki od cholery ściągnęła. Byli już tacy, i tych niemało, którzy nie wątpili, że pod jej wpływem duch narodowy dokonał. Nikt nie

śmiał ufać własnym swym siłom, nikt nie zawierzył w podobieństwo politycznego zmartwychwstania. Ci, którzy przewidywali blizką w Rosyi odmianę, czekać radzili aż do tej chwili, niepewni, czyli nadejdzie, albo lekliwi, by za ich życia nie przyszła. Grobowa cisza pokrywała bladym pozorem pomyślności krajowej gnuśność, nikczemność i niewolniczą obawę. Lecz nagle wybuch powstanie w nocy 29 listopada. Sprawcy onego sami nie wiedzą, co czynią. Bez planu i bez dowódcy biorą się do oręża, nie obliczywszy bynajmniej, jakie za sobą skutki tak śmiałe przedsięwzięcie pociągnie. Wsparci nad wszelki domysł przez bojaźliwość W. Księcia, idą do walki i postępują olbrzymimi krokami. Zdumiała stolica przyjmuje wkrótce na siebie śmiałego dzieła porękę. Wychodzą na jaw ci wszyscy, których podejrzliwość rządu zatrzymywała z daleka od władcy, a gdy sam W. Książę niczego więcej nie żąda, prócz bezpiecznego do Rosyi powrotu, i bojaźliwi, i roztropniejsi od innych stawają przy wielkiej sprawie narodu. Wkrótce zapal staje się powszechnym, bo od początku poznano, że śmiały zamysł skończyć się musi na boju. Dłatego starzy i młodzi i ci, co zamieszkałi tak zwane Królestwo, i ci Polacy, których przedzielili od braci pruskie lub austriackie granice, kwapią się zebrać przy narodowym sztandarze. Próżno dyktator ten tak powszechny zapal przytłumia, bo nie ma żadnej wiary w dzielność narodu, bo układy z rozgniewanym monarchą zdają się jeszcze jedyną drogą zbawienia. Lepiej poznali dumę cesarza ci, którzy nie chcą żadnych przypuszczających układów. Te po zwycięstwach jedynie mogły być zawierane z korzyścią. Jasnowidzący bój tylko widzą przed sobą. O, gdyby to przekonanie tkwiło z początku w umysłach radców i tych, co władzę objęli, możebyśmy w innej z początku wojny wystąpili postaci! Lecz gdy już trąba wojny zabrzmięła, wtedy dopiero rozwinął się w całej swej mocy charakter narodu. Jak miło było na ten widok spoglądać! Dotąd wszystko, co tylko zdziałali Polacy ku podźwignieniu nieszczęśnej ojczyzny, było za obcych pomocą. Ich kierunkowi winniśmy byli często fałszywe środki i cele. Mało kto dzielił nasze uczucia, nikt się nie dziwił wysiłkom, bo, powiązani z tymi, którzy nienawidzili ludów ściągnęli, musieliśmy ją w części podzielić. Dziś sama Polska własną swą siłą powstaje. Dziś wszyst-

dnego listu Pope'a, dwu listów oraz dytambu Delille'a, oraz utwory «własne»: listy poetyckie i sat. «Gotownia sentimentalna», nieco przerobiona. Przed samą śmiercią satyryka wyszedł jeszcze jego przekład Bukolik autora Eneidy, p. t. «Skotopaski Publiusza Wirgiliusza Marona» (Wrocław 1822).

Zabierając się do przekładania satyr Boalowych, Górczyzewski miał, jak sam wyznaje, dwójki cel dydaktyczny przed sobą: poprawę złych obyczajów rodaków i zohydzenie «ładajkich prozaistów i wierszokłódek». Aby zamiar swój osiągnąć, przebrał Boala «w strój polski», t. j. nie przełożył satyr jego dosłownie, lecz przerobił je w taki sposób, aby wywierały w Polsce ten sam wpływ zbauwienny, jak w oryginalnie we Francji. Zamiarowi temu, jak sam zapewnia, «pożądany skutek odpowiedział». Jako tłumacz, Górczyzewski szedł więc w ślady Zabuskiego, Naruszewicza, Krasickiego i Zablockiego, pierwszych przerabiaczy Boala, ale on pierwszy spolszczył w całości dzieło pisarza, który tak doniosły wywarł wpływ na poezję doby Stanisławowskiej. Jako stylista, wzorował się na Krasickim, którego był gorącym wielbicielem, ale język ma dosadniejszy; dość porównać jego przekład satyry VI («Niewygodny w Warszawie») z przekładem tejże satyry Krasickiego, zamieszczonym w dziele «O rymotwórstwie i rymotwórcach». Tekst satyr prawodawcy poezji francuskiej raz tłumaczy dosłownie, to znów parafrazuje go, rozszerza szeregiem wierszy, wstawiając nieraz całe ustępy, w duchu Boala, ale oryginalnie napisane. Przepyszny jest n. p. wizerunek skąpego obywatela wiejskiego i jego żony i obraz ich gospodarstwa (w sat. IX. Wyd. 1818, str. 93—98) lub opis dysputy chełpliwych nieuków pijanych o Sarmatach, Koperniku i Kadłubku w sat. III (str. 26—29), przypominający «Pijaństwo» Krasickiego. Tam, gdzie Boala wyszydza niemilosiernie pisarzy francuskich, Górczyzewski szczydzi zjadliwie z naszych pisników i obskurantów XVIII w. Najdotkliwiez i najczęstsze cięgi dostają się trzem bazarcom: «Autorowi «Pitona» («Python lipsko-warszawski dyabel» 1792), tj. księdzu Karolowi Surowieckiemu, «Autorowi «Helikonków», (1789) (ks. Ksaweremu Zubowickiemu) i «Rafałowi» (Gurowskiemu) autorowi wierszowanych «Dziejów Pisma Świętego» (1782). Głównym jednak celem poematów Górczyzewskiego jest autor «Pitona» — istne uosobienie obskurantyzmu. (Nie przeszkodziło to księdzu Surowieckiemu wydać ponownie swego «Pitona» w r. 1822, w którym w zaciekle i trywialny sposób napadł na Stanisława Potockiego za jego «Podróż do Ciemnogrodu»). Za temi ofiarami swemi, Górczyzewski wyprowadza całą galeryę grafontanów ówczesnych; rzecz naturalna dostaje się i «Tłomaczowi Kamoensa», t. j. Jackowi Przybylskiemu, maniakowi na punkcie neologizmów (str. 150, sat. XI) i Żaluskemu, który «taką miał chorobę pisania wierszy, że nawet katalog wierszem ułożył»; nie oszczędza nawet Staszica, jako tłumacza «Nymy Pompiliusza» i Euzebiusza Słowackiego, tłumacza «Henrydy».

W przekładzie «Listów» Boala Górczyzewski trzyma się ściśle tekstu oryginału; jeden tylko list (IX) przerobił według metody, stosowanej przy tłumaczeniu satyr. Jest ten list rodzajem «pochwały» Feliksa Lubieńskiego, ministra Sprawiedliwości za Księstwa Warszawskiego, i ma pozatem wartość przyczynku do jego życiorysu.

«Własne» poezje Górczyzewskiego to kilka wybornych listów poetyckich, (jak n. p. «List odpowiedni Górczyzewskiego na wiersz Chranzowskiego», z pięknym opisem niektórych miejscowości wielkopolskich) — i znakomita satyra p. t. «Gotownia sentimentalna», omieszczonej w końcu XVIII i początku XIX w. sentymentalność, przejawiającą się nawet w ubiorach, które miały wyrażać wewnętrzne uczucia!

W dobie panowania u nas klasycyzmu Górczyzewskiego ceniono bardzo, jako wymienitego tłumacza Satyr Boala i zdolnego satyryka; zachwycał się jego pismami Kolląta, cenił go Staszic; wymieniano Górczyzewskiego nawet, jako wzorowego autora, w podręcznikach (Królikowski w «Rysie poetyki». 1828, Korzeniowski w «Kursie poezji». 1829). Jego «Satyry Boala» Dyrekcyja edukacyi narodowej za Księstwa Warszawskiego zalecała do bibliotek szkolnych.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA: Krótsze lub dłuższe oceny pism Górczyzewskiego podali Bentkowski w «Historji literatury, oraz Osiński (Dziela t. III, str. 330 i 332) i Brodzkiński («Pisma rozmaite. 1830, str. 114) w rozprawach o satyrze. Po r. 1831 zwrócił na niego uwagę Tyszyński (w «Amerykanie w Polsce» t. II, str. 202 i 203), a za nim Chmielowski (w «Poglądzie na poezję pol. XIX stulecia»). Obszernej pisali o Górczyzewskim: Wójcicki w «Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki» (Wars. 1880, str. 167); Jarochoński w «Literatura poznańska w pierwszej połowie XIX st.» (Poznań, 1880, str. 25—28); Chmielowski w W. Encykl. powsz. t. XXV.

Gotownia sentimentalna (1804).

(«Poezje przekładane i własne». Warszawa 1818. Tom I, str. 190—206).

Do tej satyry Górczyzewski dał następujące objaśnienie: «Wiersz ten przedstawia śmieszne, teraz modne uprzedzenia niektórych dam, jakoby w stroju można umieścić wszystkie sentymenta, czyli uczucia, które niby mają być tłomaczami serca i razem też same uczucia zdolne są przelewać w innych. Klorynda, jedna z tego gatunku dam, dowodzi w pierwszej części, że tylko artyści, użył do ubierania, są zdolni do utwarzania podobnych sentymentów. Pismo Święte, Fizyka, Historia, zwyczaj i ubiory starożytne, miłość ojczyzny, wszystko to jest na placu, aby swoje zdanie

poparla. Ułsty wybieg w odpowiedzi jej na różne naprzeciw zagadnienia; dowcip i obrót w pozornem uprzątnianiu przeciwnaństw, okazują w niej skłonność do utrzymania się przy swoim przywidzeniu, a powieść o Klarysie zwyciężają do obmowy waść.

W drugiej części ubiera się i okazuje to dowodem, co chciała mieć za prawdę przyjęciem w pierwszej. Cnotę, religię, moralność, melancholję, żal, płacz, smutek, politowanie, i wszystkie najtkliwsze uczucia, wszystko to artysty w jej stroju mieszczą. Wszystko to ona w nim widzi i spodziewa się wiele korzystać z wrażeń tychże uczuć w osoby na nią patrzące. Ale przy najpierwszem doświadczeniu zawodzi się na swoich nadziejach, nie pokazując w sercu swojem takowych sentymentów, z jakimi się w stroju popisuje.

198) «Proszę siedzieć. Bytność tu jego pożądana,
 Mać być tylko momentem grzeczności WaćPana?
 Gdzież się spieszysz? czyś jeszcze sarny nie wyszedził? — *)
 Tak mówiła Klorynda, kiedyym ją odwiedził,
 I kiedy w chwilę słysząc ogłos z przedpokoju:
 «Że czeka gotowalnia; że już czas do stroju;
 «Że już przyszli artyści z kupcem świeżej mody,
 Chciałem odejść, by nie być przyczyną przeszkody.
 «Proszę siedzieć. Mam, rzecze, w tem interes walny,
 Byś mógł mój admirać strój sentymentalny» —
 — Sentymentalny! — Tak jest, każda część ubioru
 Co do kształtu, upięcia, kroju i koloru,
 Za prawidłem w najświeższej modzie dziś przyjętem,
 Powinna tchnąć i razić pewnym sentymentem.
 — Jakże się mieścić mogą uczucia w odzieży?
 — Tych atwó, na biegłości artystów zależy.
 — Czyż już garderobiana ubrać nie jest w stanie?
 — A pfe! parażjanki i parażjanie
 Tylko tak sądzić mogą. Bez nauk dziewczęta,
 Sąż zdolne natchnąć w ubiór różne sentymenta?
 Te zwłaszcza sentymenta, których dzielność cała,
 Do pewnychby w płci obcej wruszeń zmierzać miała?
 Dar ten udziałem mężczyzn. Im nie tajno zgola:
 Co ich, kiedy i w jakim stopniu razić zdoła.
 Prawda, że na to mrućzą niektórzy mężowie;
 Lecz nie trudno im gębę zatkać w jednym słowie,
 I niezbitemi mruków przekonać dowody:
 Że sam artysta zdolon ubrać podług mody.
 Kto robi ubiór, miarę kto na niego bierze,
 Nie lepiejże mnie, niżli Urszula, ubierze?

*) Komu nietajne jest przenośne znaczenie rogiacza albo jelenia, ten się spotka z prawdziwem tu znaczeniem alegorycznego wyrazu sarny. (Przyp. Aut.)

Ten, co utworzył gwiazdy, niebo w nie ustroi.
 Zegarek idzie temu, co kółka w nim spoit.
 Któż wie, czy w sobie była tak piękna Wenera,
 Jak w dluce Praksytela, lub w piórze Homera?
 Strój nie jest fraszka dla dam w znaczenia humorze.

Chcę, naprzykład, dziś jaśnieć w Hetruskim ubiorze,*)
 Poznał choć mógł fryzer; strój wspomina sobie,
 I zaraz włos mój trefi w Hetruskim sposobie.
 By w rzecz trafić nie trzebaż znać Hetruskich krajów?
 Ich dziejów? Podług epok, ich mód? Ich zwyczajów?
 Nie trzeba biblijotek przetrząść, aby wiedzieć,
 Jak włos ułożył, by sam mógł oku powiedzieć,
 Ja w smutnej, ja w radosnej, ja w wabiącej minie.
 Możnaż się tyle światła spodziewać w dziewczęźnie?
 Ta gotowa w strój gocką wnieść Architekturę
 I do sukni Hetruskiej Grecką dać fryzurę.

Com rzekła o fryzjerze, o innych rzec muszę:
 Szew, krawiec, upinacz, antykwaryjusz,
 Winni uczucia wydać w mierze, w kształcie, w kroju.
 — Czyż i Antykwaryjusz potrzebny do stroja?
 — Nie inaczej, bo w modach teraz zwyczaj taki:
 Nosić strój Memfis, Troi, Rzymu lub Itaki.
 Myśl moja jest, ubrać się na wzór Penelopy.
 Antykwaryjusz tylko od głowy do stopy
 Może jej strój opisać: Toż mówić o Frynie,
 Tetydzie, Aspazji, Helenie, Paulinie.
 Lub piękności dobytej z ocalań Herkulanu,
 Której odzież jest dla mnie do twarzy, do stanu.
 On zaraz mym artystom wydaje rysunki,
 Na różne, jakie choć mieć, ubioru gatunki:
 «Tu się zrobi tunika z najrzadszego lnu,
 «Tu z gazy krótka chlams, tu welon z muslinu.
 «Tu potrzeba preteksty; tu peplum; tu palli.
 «Złota przepaskaż zapnie sfinks w kłamrze ze stali;
 «Ta stola z listwą złotą, ta roba z powłokiem;
 «Ten tal przejrzysty, aby nie krył przed okiem.
 «Ta spartanka, ku biodrom po bokach rozwartą,
 «Tu pierś cała zakryta, tu na w pół otwartą.
 «Tu trzewiak, a tu lystycian uplecion w tasmięki;

*) Ubiór Hetruski wprowadzony w modę do Francji z przychyty wkrzeszonego przez Francuzów Królestwa Hetruury. Dany francuski, dla okazania swego przywiązania i szacunku dla nowego króla Hetruury, w tym stroju się jemu i królowej prezentowały, gdy te osoby znajdowały się w Paryżu. (Przyp. Aut.)

«Tu w tym kształcie sandaalki; tu takie ciężemki».
 Zgoła, co, jak, gdzie, kiedy, w stroju ma się mieścić,
 Antykwaryjusa winien artystom obwieścić.
 — Lecz nacóż strój, co zdołił Greczynki, Rzymianki?
 Naco gazą przedrzeźniać grube z welny tkaniki?
 Cóżby znaczyły dawniej u skromnej mężatki,
 Muśliny, krepy, rąbki, petynety, siatki?
 Z których dzisiaj użycia, nie w porze, nie w dobie,
 Nie jedna w runatymnie, nie jedna już w grobie.
 — Człowiek, choć uprzedzony, rad nie rad, to przyzna,
 Że na tem wiele sama skorzysta ojezyczna,
 Jej los świetny, jej sława, mód naszych jest celem.
 Skąpa naturę trzeba podchodzić forelelem.
 Niejeden ją oszukał, i jeszcze oszuka.
 Czego nie chce dać z łaski, to jej wydrze sztuka.
 Któż, co Jakób przemysłem działał, nie pamięta:
 Gdy mu się legły w trzodzie, jakie chciał jagnięta?
 Nie welna, lecz kształt sukni, kolor, postać żywa,
 W utwór zdrowych, walecznych, mądrych ludzi wpływa.
 Zdrowszaż welna, czy jedwab? Huffeland tak mniema;
 Że to nierozwiązane dotychczas problema.
 Pleć zaś nasza dowody kładzie oczywiste:
 Że w tych sukniach najzdrowiej, co są przeczoczyste.
 Przy wolnych przez strój matek powietrza przechodach,
 Da się duszy i ciała dzielną hart w ich płodach.
 Z żon w tym stroju zrodzą się odważne Achille,
 Mądre Sokraty, bitne Hektory, Kamille.
 A choć się też z nas która na on świat wysłiznie,
 Nie żal cierpieć i umrzeć w przysługach ojczyźnie.
 Zwyczaj wszystko ułatwi: za rok, drugi, trzeci,
 Zahartują swe zdrowie i matki i dzieci;
 Nic ich sił nie pożyje. Wiatr, deszcz, mróz, upał,
 Co się w tym stroju zrazu nieznośnie zdawały,
 Dla następnych pokoleń żywiłem się staną.
 Gdy z nas wyszła odwagę niezemnie niezlamaną,
 Walewają się potomkowie nasi niedalcy
 Więcej, niżli Rzymianie, Dardany i Grecy.
 Lecz w tem sęk, na tem sztuka, by w jocie nie schybić.
 Tęm powinna być lekko, tu wydać swą kibić;
 Tam trzeba iść przejrzysto; a mojej Urszuli
 Możeby do lba przyszło, wysłać mnie w koszuli!

Propoz do koszuli. Przedwczora Klarysa
 Chcąc ująć na swą wędę Tyrsa lub Filisa,
 Sądzi ponętę w stroju: Przykładem Dydony,
 Koloru cielistego wzięła pantalon;

Włos na urok trefiony; na nogach lysteianki;
 Smelec na szyi z popiersiem śmielszego Bogdanki;
 Pierś na powab wydana, suknia z biodr podpięta;
 Było to arcydobrze. Ale cóż? przekłeta
 Garderobiana Marta wszystko popsowała;
 Gdy, z respektem, koszuli zdjąć z niej zapomniała,
 Staniczek jej wysmukły, nóżki jak toczono,
 Zgarbaciały marszczkami *Chimsy* pokrzywiono.
 Zamiast więc nieć chłopców, co się przy niej snuli,
 Zrażała ich od siebie faldami koszuli,
 Takto jeden błąd w stroju, czego dałam próbę,
 Może z gruntu oszpecić i zmierzić osobę!
 Z tych więc i innych przyczyn, wbrew mężów zawisici
 Damy, sami powinni ubierać artyści.
 Posiłkiem z różnych nauk wsparte ich talenta,
 Potrafią złączyć w stroju gust i sentymenta.

Utwierdźmy to przykładem. Mospanie fryzjera,
 Te włosy spuścić, a te na grzebień się zbierzcie,
 Bo tak melancholicznie. Tę część, niech wiatr wznosi;
 Ta, niech ma taką postać, jak, że o co prosię.
 Reszta, niech to da poznać, że przy gotowalni
 Wcale nie miała miejsca; tak będzie moralnie.
 — Czy mam wpiąć dyjamenty? — Oh! nie. Dyjamenty
 Nie są zgodne z mojami dzisiaj sentymenty.
 Kilka różyczek z pereł przydać włosu temu.
 Nie tak... Tak będzie bardziej po religijnemu.
 — Ach! rozumiem. Pani chce przez negliz pozorny,
 Ukryć sztukę fryzjera i gust swój wyborny:
 — Wieszczysz Waćpan. — Ta głowa, cudny robi skutek!
 Sam tylko z niej wygląda żal, płacz, troska, smutek.
 Przejrzała się Klorynda u swej gotowalnie:
 To w tonie religii! rzekła, to moralnie!

Wtem do obuwia drugi przystąpił artysta:
 Dał pończochy, w nich kolor szary, postać mglista,
 A po bokach, na miejscu zwyczajnych kliników,
 Wznosi się od stóp para smutnych cyprysików.
 W trzewikach kolor miedzi; na przyszwach owalki,
 Z obrazem w Chińskim tśzu ofiary Westalki.
 «Jakże, krzyknie Klorynda, obów ten jest tkliwy!
 «Jak rzewliwe pończochy! trzewik jak cnotliwy!»

Dalej wziął ją w swe ręce kupiec świeżej mody.
 Wdział na nią czarny gorset z tęgimi obwodami;
 Ta dźwignąwszy nim pulchny gors swój aż ku brodzie,
 «Ten stan, rzekła, przystoi smutkowi i modzie.

A gdy tylko blondyna tchnącą pierś osłania,
 Jej tchnienia będą znakiem żalu, jęków, łkania.
 Prawd tych antykwaryjusz wzięwszy okiem próbę,
 Wrzasnął: *Mehercle!* z pani dziś istna Niobe!
 Zdało się jej, gdy w zbiegłej piersi robi przedział,
 Ze zwierciadło poświadcza, co Mędrzec powiedział.
 — Tak jest, rzeczy, tym stanem i przy tej żalobie,
 Jestem teraz prawdziwie podobna Niobie.

Krawiec obłókł ją w ciemną z atlasu spodnicę,
 I w robę *à la Psyché* uszyła na nice*).
 — Ze roba jest na nice uszta, to chwale,
 Rzecz Antykwaryjusz, w tem znak żalu. Ale
 Przy robie, dla wygody, miały być kieszenie.
 — Przepłaszam, powie krawiec, bardzo umiennie
 Mości starożytniku; dziś moda nie taka;
 A ja jej dla jednego psu nie choć dziwaka.

— Toż moda więcej, niż ja, u ciebie, ty bładnie?
 Mówilem, i tak pisze Tuceydyd wyraźnie:
 Ze w syrmach, *cutgo* robach, kieszenie bywały.
 Zmarwiła się Klorynda na ton tak zachwały.
 Lecz nie chcą, przez interes, ganić wspólnej winy,
 «Macie, rzeczy, obadwa po sobie przyczyny,
 Tuceydyd na Waćpanów nie będzie się żalił,
 Pisał on o kieszeniach, ale ich nie chwalił.
 Trzeba z dawnych zwyczajów coś ustąpić modzie,
 A moda ma przywilej gwałt czynić wygodzie.
 Zguba chustek, wachlarzy, zegarków, pierścieni,
 Znośniejsza jest, niż garby z odętych kieszeni.
 Śmiał się Antykwaryjusz. A krawiec tymczasem
 Skończył strój; odział panią krepą i atlasem.
 Roba w różdżki cypryso ugarnirowana,
 Dała postać Kloryndzie, że cała strokana.
 Obejrzała się sama po tej i tej stronie;
 Westchnła mówiąc: «Ta roba cała we łzach tonie!
 «Jak żywe wszędzie uczuć najtkliwszych wyrazy!
 «Ten ubiór zdolen zmiękczycy i najtwardsze glazy.
 Wreszcie, zatknąwszy różę w gorset półowalny;
 «Otóż to, rzeczy, cały strój sentymentalny.

Będąc świadkiem ubioru, mogąc go tłómaczyć;
 Wiedząc dobrze, co każda część jego ma znaczyć;
 Chciałem poznać: w jakim to wszystko zaszło celu?

*) Teraz najawieźniejszą modą w Paryżu nosić roby *à la Psyché*,
 (Przyp. Aut.).

Odpowie mi Klorynda: «Luby przyjacielu!
 Tyś widzę zawsze w żartach. Bo czyliż podobna,
 Byś nie wiedział, co znaczy ta postać żalobna?
 Ubiór cały, czyliż sam nie mówi przez siebie?
 Jakie on wzniesła uczucia, i w jakiej potrzebie?
 Krój, kształt, kolor, postawa, w sposób jak wygląda,
 Nie przemawiają do serca, czego po nim żąda?
 Włos, obów, suknia, gorset, postaciami swemi
 Żebra, widzisz, litości nad nieszczęśliwymi.
 Wiara, cnota, moralność tu na wszystkich mruga;
 By nie oszła bez nagród dla kobiet zasługa.
 A zbiór uczuć i oku i sercu objawia,
 Ze kto skąpi kalece, nieba się pozabawia.
 Lecz, czy ci żart czy upór, kryje me zamiary,
 Odsłonię je, bom pewna twój hojnej ofiary.
 Kwesta teraz jest w modzie, nie źle się nadawa,
 Gdy mniczy damom swoje wyderkują prawa.
 W tym stroju chcą kwestować. — Pewnie dla tej wdowy,
 Co męga i kapitał straciwszy gotowy,
 Na sześciorga swych dzieci żebrać wyżywienie?
 Nędza jej warta czułych serc ofiary. — Nie, nie
 — Czy nie dla tych walecznych, co, broniąc ojczyzny,
 Wrócili na jej lono z chwałebnemi blizny?
 Syci chwały, lecz goli i biedni tu przysli;
 Los ich wart naszych względów. — O tych rząd pomysli.
 — To pewnie dla tych, w ogniu co poniedli straty,
 Co im zgorzały domy, narzędzia, warszaty,
 A teraz chodzą z torbą, i głód mrze z nich wielu?
 Trzeba ich nędzę wesprzeć! — Nie, mój przyjacielu.

Przyznam się, choć kwestować dla tego chłopczyny,
 Co wszystkim stał się miłym, z trzpiotarstw, z żartów, z miny.
 Jak on gra! jak szczebioce! jak śpiewa! jak tańczy!
 Wśród tej, co ślad nasz wdzierze, młodzieży szaraczy,
 On nas najlepiej bawi; gdzie tylko są damy,
 Tam on jest, tam na niego wszystkie poglądamy,
 Rozkoszny ten Adonis, choć trochę zuchwalec,
 Wczoraj dając fajerwerk, sparzył sobie palec,
 A to jeszcze ten palec, co ni! dostał kuku,
 Stroił figle i śmieszył wszystkich do rozpuku,
 Dla niego żebrać damy w wdzięczności mu dłużne,
 Ja od Waćpana zaczęć. Proszę o jałmużnę. —

Nie mam więcej przy sobie, tylko trzy talary;
 A te są dla zgorzelców cząstką mej ofiary.

— Oh! proszę nie żartować, dla takiej hołoty,
 Co z biedą oswojona, dosyć będzie złoty;
 Reszta zaś dla naszego musi pójść szczebiotka.
 Dla niego, powiem szczerze, nie dam i półzłotka.
 Ofuknie mię Klorynda: «Względów dam niewarty,
 O sroższy nad tygrysy! dzikszu nad lamparty!
 Precz mi z oczu! kiedy cię i ten strój nie wzrusza,
 Serce twoje ze stali, a z krzemienia dusza».

Gdy to z gróżbą i z mocnym wyrzekła zapalem,
 Sklonilem się Kloryndzie, ale nic nie dałem.
 Pomyślałem więc sobie wychodząc z pokoi:
 Tam czułość zgasa w sercu, gdzie się kto w nią stroi.

XXVI.

TOWARZYSTWO IKŚÓW

(1814—1819).

W r. 1814, t. j. w chwili objęcia dyrekcji Teatru Narodowego przez Osieńskiego, zawiązało się w domu Tadeusza Antoniego hr. Mostowskiego (1766†1842) towarzystwo «wieczorne» wykwiutnych osób z inteligencji i literatów, które przyjęło nazwę Towarzystwa Iksów. Przewodniczącym tego towarzystwa, z hr. Potockich i voto Michałowej Szymanowskiej, do grona tego należeli: Józef Ignacy Kossakowski (sekretarz Towarzystwa), Adam Jerzy Czartoryski, jego siostra Maryja ks. Wirtemberska, Zofia ordynatowa Zamojska, żona Stanisława, J. U. Niemcewicz, Józef hr. Sierakowski (1765†1835), Maksymilian hr. Fredro, brat Aleksandra (†1845), Franciszek Morawski, Michał Wyszkowski (1770†1829), Kajetan Koźmian, Tadeusz Matuszewicz (1765†1819), Ludwik (1774†1846) i Stanisław Platerowie (1782†1851). W pewne dni tygodnia zbierano się u Mostowskich, odczytywano swoje utwory, omawiano je wspólnie. Za główny cel obrano sobie układanie sprawozdań teatralnych, które zamieszczano, po przedyskutowaniu i przyjęciu, w «Gazecie Warszawskiej» i w «Gazecie Korespondenta warszawskiego i zagranicznego». Pierwsze krytyki Iksów wydrukowano w «Gazecie Kor.» 25 października 1814 r. (z «Horacyzusów» Kornela) oraz 18 maja 1815 r. (z «Hamleta» Szekspira-Ducisa). Od tej chwili przez lat cztery Iksowie dziękują berło krytyki teatralnej, podpisując się X lub X. X. Członkowie Towarzystwa wypełniali swoje nielatwe, wobec konieczności zwalczania uprzedzi i przesądów, obowiązki bardzo sumiennie, zyskując sobie rozgłos i uznanie, ale jednocześnie wywołując powódz protestów, polemik i t. p. Przytem dodać należy, że hasłem ich działalności była bezstronność, choćby niemila dyrekcji i aktorom, którzy nieraz z ich ręki przyjąć musieli gorzkie pigułki. Kierunek Iksów był pseudoklasycyzmy, ale nieobce im były poniekąd i nowe prądy literackie; do zalet ich należy zaliczyć usilne zwalczanie

Opracował G. KORBUŁ.

nie melodramatów (np. Kotzebuego) i fars: różnych «Kasperków», «Kminików», «Pumpernikłów», «Przypekalewiczości» i t. p., od których rola się scena warszawska za dawnej dyrekcji i w pierwszych latach za Osńskiego. O tych to czasach teatru warszawskiego mówi z goryczą Fredro w «Odludkach i pocie»:

A te biedne teatry, gdzie na jednej scenie
Dzisiaj klaszczą Barbarze, a jutro Syrenie,
I szczęście jeszcze, jeśli nie te same usta
Głoszą śpiew Terefercia i żale Augusta...

A o krytykach owocnych, zapewne o Iksach, dodaje:

...ci zaś, którym Geoffroy pozawracal głowy,
Którym gazety plaćą im wyrok surowy,
Co uczą pisać drugich, nim nauczą siebie...

W samej rzeczy, mistrzem Iksów był J. L. Geoffroy (1743†1814), ale powołują się też na Schlegla, Sismondiego, Laharpa, Woltera. Stojąc na gruncie klasycyzmu, potępiali «Fiesca» Schillera, potępiali i cały kierunek romantyczny, chociaż później przechylił się do pewnego stopnia ku nowemu kierunkowi (p. krytyka «Hamleta» w «Gaz. Kor.» z dnia 6 sierpnia 1816 r., podpisana literą X, zapewne Morawskiego, wyprzedzająca o parę lat rozprawę Brodzińskiego o klasycyzności i romantyczności). W walce klasyków z romantykami zaznaczył się artykułem p. t. «Uwagi romantyka nad rozprawą Śniadeckiego» (w «Pam. warsz.» z sierpnia 1829 r.), biorąc w obronę Śniadeckiego. Przejściowe stanowisko Iksów wobec przełomu literackiego tłumaczy się tem, że w ich łonie dokonał się pewien rozłam na ludzi dawnych poglądów (Mostowski, Matuszewicz, Koźmian K. i inni) i ludzi bardziej postępowych (Czartoryski, Niemcewicz, Fredro, Morawski). W roku 1819 Iksowie zamikili: po wyjeździe i śmierci Matuszewicza, po wyjeździe Morawskiego do Lublina przerzedziło się ich grono. Ostatnią ich krytykę zamieścił Dodatek do «Gaz. Warsz.» dnia 11 maja 1819 r. i Dodatek do «Gaz. Kor.» pod tą samą datą Nr 38 str. 719; była to krytyka «Cyda» Kornela. Jako piastun dobrego smaku i kultury literackiej, jako objaw przejściowy od klasycyzmu do romantyzmu, zajmują Iksowie chlubne stanowisko w dziejach naszej literatury krytycznej.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

O Iksach pisał: Biegelsien H.: Towarzystwo Iksów, ustęp z dziejów krytyki w literaturze polskiej («Bibl. Warsz., 1885, t. IV), p. pewne uwagi u Grabowskiego Tadeusza: L. Osński i ówczesna krytyka literacka (Kraków 1901) oraz u Chmielowskiego P.: «Dzieje krytyki literackiej w Polsce» (Warsz. 1902).

A) „Ludgarda” tragedia.

(Dodatek trzeci do Nr 90 «Gazety Warszawskiej» z 9 listopada 1816 r. str. 2085).

199) Jest to cechą dzieł, istotną wartość mających, że czas im nie szkodzi, że owszem, gdy częściej pod sąd przychodzą, coraz godniejszymi pochwał być się wydają. Takim był los Ludgardy. Dyrektor i artyści narodowego teatru okazali, iż tę sztukę za celniejszą mają, kiedy wybraną przez nich została na wystąpienie naczelnej naszej tragicznej aktorki, która po długiej podróży wśród głośniejszych znaków ukontentowania całej publiczności okazała się na teatrze.

Przykładowa uwaga i cichość parteru, liczne oklaski w ciągu sztuki dowiodły, że Warszawa umie wynajdywać i czuć prawdziwe piękności i że coraz więcej odkrywa ich w Ludgardzie. Ja także w równym znalazłem się przypadku. Bez porównania więcej przyjemności uczulem w ostatniego przedstawienia Ludgardy. Sceny i dialog jaśniej, łatwiej i z nieprzerwanym interesem łączyć się zdawały... Piękności, nie postrzeżone w pierwszym wystawieniu, bardziej teraz mię uderzyły; wady niejaki, które wtedy raziły, zatarły, jakgdyby uszły prawie mej uwadze: słowem, i rzecz, i wystawienie sztuki o kilka stopni doskonalszymi się okazały.

Być może, iż, uderzony mnogością krytyk i niesłusznnością wielu z nich, z umysłem, skłonniejszym do pochwał i do przyjęcia dobrych tylko wrażeń, na teatr przyszedłem. Nie poczuwam się jednak do żadnego pobłażania.

Jedna z dopiero wspomnianych krytyk wyrzuca autorowi Ludgardy, iż skład i treść jego tragedji pod większą częścią przeciwiwają się historii. Lecz to uważać należy, że wypadki i osoby z historii są wzięte i że autor przeciw niej w tem tylko przewinił, że je pod jeden widok i do jednej akcji ściągnął. Zawsze wolno było poetom odstępować od nagich dziejów. Są epopeje, i wiele jest tragedji, za wzorowe słusznie mianych, w których znajdują się takie wykroczenia. Lepiej zaiste, kiedy ich można uniknąć. Lecz z drugiej strony połączenie w dramacie Ludgardy z Rykąś nie jestże myślą szcześniewą? nie dostarczała ona autorowi tysiącznych piękności, dla których aż nado można mu przebaczyć popełniony anachronizm? Gdy bez-

stronność mam za pierwszą zaletę prawego krytyka, chcąc dać tego przymiotu na sobie samym niewątpliwy dowód, wyznać muszę, iż, odczytując przeszłoroczny artykuł o Ludgardzie, znalazłem w nim zbyt wiele troskliwym o panięńską przystojność królowej szwedzkiej; przekonałem się później, że obyczaje dawne, jakkolwiek czyste, wistocie wiele dozwalały wolności i że tę wolność przepisy sceniczne dalej jeszcze posuwają. Przypomniałem sobie, że niejedna tragiczna księżniczka błąka się sama po teatrze bez żadnej nagany i że królowa Sparty w Andromace jeszcze mniej dbała jest na przystojności społeczne od Ryksy. Możemy więc darować jej nieuważne obłąkanie wśród tak okropnych wypadków i zamieszania. Co jednak w każdej reprezentacji Ludgardy, równie jak i jej piękność, na jaw wychodzi, jest to nieodbita potrzeba poprawienia V-go aktu. Zatrzymanie się Przemysława na miejscu, kiedy jednym słowem, jednym krokiem ocalić życie Ludgardy może, i najnieprzyjemniej działa na widzów, i psuje całą illuzję.

Nad prowadzeniem i intrygą sztuki publiczność aż nadto wiele zdań i rozbińców czytała i w tej mierze opinię swoją już miała sposobność wyjaśnić; z innego więc względu uważać Ludgardę przedsięwzięciem i zastanowimy się nieco nad charakterami główniejszych w tragedji osób. To posłuszny nam i każdemu czytelnikowi do pewniejszego osądzenia, czyli autor należycie nadany przez siebie charakter rozwinął i czy aktor szczęśliwie go pojął i wydał?

W Przemysławie chciał poeta malować mocarza potężnego, z własnościami, wyrównywanącemi najwyższemu przeznaczeniu, wielkiego męstwem, wolą i objęciem; lecz który, ani trudności, ani odmówienia, ani oparcia się nie spotkawszy, zaporów i granic dla swych namiętności nie uznaje, i do nich zasady najświętsze nagina. Autor chciał nam w ciągu sztuki wystawić ów krótki częstokroć przechód od gasnącego uszanowania dla cnoty do zbrodni najczarniejszych. Chciał nam wystawić nieodłączność szlachetnych z przyrodzenia uczuć, które, lubo nie przestają mścić się za swe porzucenie, napróżno jednak odzywają się, kiedy otaczające okoliczności i własne pasy przytłumiły już w duszy głos słuszności i prawdy. P. Szymanowski z większym, jak zazwyczaj, ogniem wydał chwile tkliwości i roz-

paczy; w czem na niemale zasługuje pochwały; lecz gdy miłość chwały po kochaniu zajmuje najbardziej umysł króla, o swoich czynach, o planach, o świetności kraju, z uniesieniem i większym zapalem mówić powinien.

W Ludgardzie poznajemy obraz bohaterstwa, którego w płci tylko pięknej mamy przykłady, łączącego anielską dobroć i słodycz z niezłomną stałością, rezygnacją, i zapomnienie o sobie z najgłębszem własnych cierpień uczuciem, a z urokiem najwyższej miłości duszę gotową z niej ofiarę uczynić. W jej rywalce zajmuje nas niepoohamowana namiętność,

Tota ruens Venus,

która prócz własnych płomieni, gdy jest rozogniona pychą wyniosłego umysłu i próżnością niewiasty, zapomina na wszelkie względy i na najdroższe związki. Charakter królowy szwedzkiej jest prawdziwie tragicznym. Zazdrość mściwa i litosć szlachetna naprzemian nią miotają. Gardzi ona trudnościami, oburza się na opór, lamie wszystko na sam pozór szczęścia rywalki... Lecz przed jej nieszczęściem chwieje się, rozrzewnia i korzy... Pani Ledóchowska, przejęta duchem swej roli, umiała ją szczęśliwie wydać. Nie przestaniem jej prosić, aby głośniej i wyraźniej raczyła mówić. Wiersz tak znaczący: «Mając w Ryksie kochankę, mić będę i żonę!» znowu wcale nie był słyszany, równie jak cała prawie scena V aktu, w której, bardziej będąc oddaloną od widzów, głośniej wymawiać powinna. Też samą rolę obracamy do panny Pięknowskiej: tkliwie i szlachetnie rolę swą wydała, lecz nie dosyć dumnie i zapalczywo, coby ze słodyczą Ludgardy większą wystawiło sporność. W tej sztuce Ryksa jedna mniej dobrze grała, jak przeszłej zimy. Oprócz słów: «i ja Przemysława,» które szczęśliwie, z zatrzymaniem się, obłąkaniem doskonale powiedziała, resztę roli śpiesznie i jakby dla odrecytowania kończyła. Czego mianowicie żaluujemy w tem miejscu tak pięknem, gdzie Ryksa po raz pierwszy szczęśliwą i spokojniejszą się czuje, z powodu, iż sądzi być Ludgardę występą.

Pozostaje nam mówić o Nałęczu i Samborze. Chciał w nich poeta wystawić dwie sprzeczności, w pierwszej wzór prawego obywatela, co, nieugięty w obowiązku, wylany dla cnoty i prawdy, nie ma innego celu, innej chęci ani myśli, tylko szczęście

i sławę ojczyzny. Powaga, stałość, surowa sprawiedliwość, wyższość nad osobiste widoki są rysami charakteru Nalecza, które pan Bogusławski zawsze stosownie, ale niekiedy słabo wydał. Przeciwnie, Sambor jest jeden z wyższych ludzi, u których talenta, jakożkolwiek znakomite, nie wystarczają dumie i ambicyi, co, siebie mając tylko na względzie, a cnotę i obowiązki za nic lub jedynie za maskę swych zamysłów, wszystkiego doświadczają, wszystko porzucają i w własnych się nakoniec żądach i przewrotności wikłają. Niemasz dość szalonego zamiaru, któryby im przez myśl nie przeszedł, któryby ich duma odrzuciła lub za niepodobny uznać chciała. Niemasz rozkoszy dosyć nie-tykalnej, do którejby chępliwą żądzą nie pociągnęli, korony im się marzą, lakną każdego rodzaju szczęścia i powodzenia. Takim chciał autor wystawić Sambora, takim być musi dla doskonałości sztuki. Lecz zdaje się, że mu za mało dał znaczenia, że jego passyę wyżej należało rozegrać i więcej powodów zebrać, aby przynaglił go z większym podobieństwem do spełnienia szkaradnego i ohydneho występku.

Nie tylko w wystawieniu szczególnych ról, ale wogóle Ludgarda z większą dokładnością grana była tym razem. Wychodzenie aktorów na scenę w sam czas się działo; i niema gra nie była zapomniana. Słowem, te ważne części wystawienia, które jego całość (*l'ensemble*) stanowią, szczęśliwiej, niż zazwyczaj bywa na naszym teatrze, teraz dopiętami zostały. Między najlepiej grającymi p. Kudlicza polichey wypadła, którzy rzadkim wyrazem, mocą tonu, wymawiania i jestu ważność roli swej wysoko posunął. Aktorowie nasi widoczny postęp w grze tragicznej uczynili. Niech się ich uczą, przeglądając pilnie rysunki starodawnych posągów i obrazy wielkich mistrzów. Tam znajdują nadobność i wdzięk postawy i trafiony wyraz prawdziwy każdej namiętności. Co się tyczy deklamacyi, oprócz ci-chego mówienia, już tyle razy wyrzucanego, nie dosyć aktorowie nasi na słowach zasadnych sensu zatrzymują się i ton podnoszą, aby tym sposobem wzbudzić uwagę widza i czucie jego poruszyć. Często zdają się utracać głos przy końcu wiersza, co ich piękność wniwecz obraca. Jest na naszym teatrze wada ogólna deklamacyi, której poprawa łatwą i ważną być

może. Aktorowie plci obojej mają powszechny zwyczaj zwalniać ton przy końcu okresu, kiedy, owszem, ostatnie jego słowa, ostatnie wiersze pełniejszym zawsze głosem, czulej i dobitniej powiedziane być muszą, aby nie zatracić, lecz dokonać skutku na słuchaczach.

Co do stylu i szczególnych wierszy żądajcy można, aby niektóre kadencye i obroty, zbyt często powtarzane, autor usunąć raczył. Lecz nic nam do żądania nie pozostaje co do toku wierszy, szlachetnych rozrzwień, dobitności wyrazów i najdelikatniejszych odcieniów tkliwych namiętności.

Kończąc wreszcie, zataić nie mogę, iż, jeśli poprawę V-go aktu uważam za nieodbitnie potrzebną, są inne jeszcze umiarkowania i odmiany, które śmiem uwadze autora polecić.

Do życzenia jest, kiedy królowa już zgadza się na rzwód i chce wrócić do ojca, aby Przemysław nowe i mocniejsze znalazł powody do nakazania jej śmierci, Sambor do popelnienia swej zbrodni, a Ludgarda do przedsięwzięcia potajemnej ucieczki. Królowa bowiem, mając po sobie ojca, senat, wojsko i cały naród, nie dosyć wznieca niespokojności w widzach, którzy już w 4-tym akcie Przemysława za zgubionego sądzą, kiedy od wszystkich, prócz od zdrajcy Sambora, jest opuszczony i sam jeden tylko o swoim nie wie niebezpieczeństwie.

Przez takowe poprawy i odmiany, które autorowi jego znakomity talent nastroczy, uczyniłby z swej sztuki jedną z najpiękniejszych. Pomnażając przyjemność publiczności, pomnożyłby winną jej wdzięczność. Im bardziej cenimy jego plody, tem mocniejsze zanosimy prośby, ażeby ostatnich dłota nie odmówił uderzeń, które doskonałość dzieła dokończyć zdołają.

X

B) „Barbara Radziwiłłówna” tragedia.

(Dodatek do Nr 18 „Gazety Warszawskiej” z dnia 4 marca 1817 r.)

200) Zawsze wspomnienia Polaka miłe zwracać się będą w owe Zygmuntofskie czasy, w których ojczyznę jego sława u obcych i lepsze od niej szczęście domowe uświetniały. Z tego więc powodu Feliński zrzęcznie wybrał i wystawił nam Barbarę Radziwiłłównę. Jednakże dzieje nasze między europej-

skiem i są najmniej tragiczne. Często zaburzone, lecz zawsze łagodne; niema w nich ani tych okropności w wojnach, ani osobistych napaści, ani krwawych odwetów, które gdzieindziej to rządzących, to rządzonych kaziły. Naród polski jest, że tak rzekę, szczególnie romansowym. Mało ważący losy obecne, choć były najprzeciwniejsze, odbiegał łatwo od nich i w utajoną przyszłość swe uludzenia przenosił; w niej czerpał pociechę, otuchę, w niej żył istotnie. Przy takowej pośród pięknych urojeń istności, a poświęcenia rzeczywistych korzyści, nabył i zachował koniecznie pewną wspaniałość w żądach i szlachetność w uczuciach, które mu nie pozwalały poniżać się do popolitych lub głęboko wysownianych zbrodni. Zdarzenia zatem z historii naszej, przeniesione na scenę tragiczną, nie mogą wzniecać ani nagłego duszy wstrząśnienia, ani przerażać gwałtownie umysłu. Zająć je tylko zdolają boleśnie i czule: skutkiem ich nie okropność, ale litość i lzy będą. Takie też są cele autora Barbary; obaczmy, jak ich dopiął.

Zygmunt August, za życia ojca jeszcze tajemnie zaślubiony z Barbarą, panuje. Mimo jej woli, ściga ją do Krakowa, gdzie sejm jest zgromadzony, na którym król chce małżeństwo swoje uznać i ogłosić. Większość obradujących i opinia narodowa, poduszczana od Bony, matki króla, przeciwni są tym związkom. W pierwszej zaraz scenie cnotliwy Boratyński, marszałek Izby Rycerskiej, przedkłada Izabelli, niegdyś królowej węgierskiej, siostrze Augusta, a przyjaciółce Barbary, jak dalece naród jest oburzony na myśl, aby mu poddanka królewska panowała, i jak konieczną jest potrzebą, ażeby król odstąpił od tych związków, któreby najszerszych rozterek stały się przyczyną. Wnet, to jest w drugiej scenie, Barbara przybywa i wyrusza przed Izabellą najgorętszej miłości i najszlachetniejszego umysłu uczucia, a to tego rzadkiego rodzaju wierzami, które, pochodząc z serca, do niego prosto trafiają i wdziękiem niewymownym czarującej melodyi ciągle zachwycają słuchacza. Nadchodzi Bona: jej dumna zapalczywość grozi Barbarze, odrzuca prośbę Izabelli, podżega Kmitę, naczelnika przeciwnej królowi strony, aby Barbarę porwał i do cesarza niemieckiego uwiózł; lecz gdy Kmita, rozwijając niechęć i hardą wyniosłość swoją, oświadcza, że ani on, ani nikt z jego podwładnych podłym

uczynkiem się skalać nie zdola, Bona prócz jego pomocy obiecuje sobie poruszyć innych sprężyn dla dopięcia swych zamiarów i nasycecia żądzy panowania.

W akcie 2-gim po odbytej wielkiej Radzie i po rozesłaniu stosownych rozkazów do książąt ościennych lub lenników państwa, król zostaje z hetmanem Tarnowskim, świeżo przybyłym, i wyraża mu, iż rzadzić według rad jego Polską pragnie, lecz że wiary Barbarze dochowa. Ta w czulej scenie biega męża, aby dla niej losów swoich i krajowych nie narażał. Przybywa Bona, odejść każe Barbarze i długo, lecz wymownie, choć bezskutecznie, usiłuje nakłonić syna do zerwania słów ukrytych, a przyjęcia ręki Austriaczki, inaczej zagraża mu wojną domową i ościenną, tudzież zgubą korony i narodu; a po odejściu nieugiętego króla mówi sama:

Nie ufam ni synowi, ni stanom, ni Kmicie,
Monty pewniejsze środki przygotowaj skrycie.

Izabela otwiera akt 3-ci, donosząc Barbarze, że brat wśród zgromadzonych stanów słucha w milczeniu niechętnych głosu. Wnet Bona, przybierając postać łagodniejszą, potwierdza, iż król wystawiony jest na zuchwałę wyrzuty, otwarte groźby, bliższe pałaców dobycie od wołających, aby zerwał niegodne związki z Barbarą; że opór jego zapowiadałby mu kres rządów lub życia; namawia zatem Barbarę, aby uprzętając zawady i poświęcając się szlachetnie dla dobra powszechnego, sama natychmiast ujechała do Włoch, gdzie Bona jej księstwo ofiaruje. Wtem zręcznie naprowadzony poseł donosi, że król, łzami ludu wyciężony, wyrzekł się nieprawej małżonki. Barbara, niespodzianem wiarołomstwem przejęta, rozpaczka; już nie odjeżdżać, ale umierać pragnie. Izabella ją cieszy, idzie badać prawdy i wkrótce, gdy już Barbara sztylet w zabicie własne dobyła, powraca z Augustem, wołając: «Stój, siostrze, mąż ci wierny; poseł w zmowie z Boną». Tuby cały piękny koniec 3-go aktu przepisać trzeba, aby dać czytelnikom wyobrażenie i położenia ogólnego, i uczuć słuchacza; lecz gdy to niepodobna, suchą więc i martwą treść, ile można, skracamy.

Król po słodkich wymówkach żonie, iż go tak łatwo posiadać mogła, i po czulem od niej przeproszeniu, oświadcza przedsięwzięcie złożenia polskiej korony i cofnienia się do dzie-

dzicznej Litwy, jeżeli stany w zaciętości swej względem jego małżeństwa trwać będą; lecz zwrócono szlachetnemi podnieceniami i prośbą Barbary, obiecuje wytrwałości i przyjmuje delegację od Izby Poselskiej. Tu Boratyński długo, lecz tak wymownie, iż każdy jeszczeby dłużej chciał go słuchać, przekłada powody narodu dla żądania zniszczenia ślubów króla z Barbarą; podobno w języku naszym żadnej mowy wierszem, któraby się z tą porównać mogła, nie mamy. Król odpowiada krótej, zwięźle, żywiej, tak, jak młodszemu i kochającemu przystoi.

Rozmowa Tarnowskiego z Kmitą rozwiera akt czwarty. Sędziwa i niezłomna cnota walczy z dumną i chciwą panownią, lecz szlachetną wyniosłością; a gdy Kmicie, mówiącemu: «Zawszem kraj dzielnie bronił i wiernie mu radził»; Tarnowski odpowiada: «I Gliński wprzód mu służył, niżeli go zdradził», cały teatr nie mógł się dłużej wstrzymać od przerwania sztuki przez jednogłośne oklaski, które wysoki i trafny talent autora wymusza. Król nadchodzi, oddaje Kmicie wyznanie, uczynione przez posła Strzembosza przed zgonem, iż Kmita gotuje zabójcy sztylet na Barbarę. Ten podle posądzenie siebie ze wzgardą odbiera; lecz wyraźnie i trochę cierpko Augustowi zapowiada, że musi zrzec się Barbary albo korony, że, gdy o naród nie stoi, królem być przestał i że, jeśli w pierwszym zapędzie danej stanom odpowiedzi nie cofnie, Kmicie jest zdano bronić praw i wolności ojczyzny; to rzekłszy, odchodzi. Król rozgniewany każe go natychmiast wtrącić do więzienia, lecz wstrzymany uwagami Tarnowskiego, iż Polak, obywatel, senator, wódz, laurem okryty, trudno by się mógł podjąć zbrodnią splamić; iż oskarżenie zmarłego nie jest przekonywające, August cofa dane rozkazy i mówi:

«Dosyć. Szanuję prawo: niechaj będzie wolnym».

Dowódca straży donosi, iż sztandar rokoszanów podniesiony, że się ich hufce gromadzą, że Krzemionka, najeżona działami, miastu grozi, że Bona z dworem i skarbnami do Włoch się wybiera. Król czyni rozporządzenia wojskowe; każe dowódcy litewskiemu wystrzelać z działa dać znak, aby się z wojskiem do miasta zbliżał, na którego czele za godzinę sam król stanie. Zdaje wykonanie tego Tarnowskiemu, tudzież mu spieszyć się i powracać zaleca.

Tu scena między Boną, usiłującą jeszcze króla nakłonić, aby jej pośrednictwa do rokoszanów użył i powolność obiecał, z królem, trwałym w przedsięwzięciu, lecz wzywającym matki, aby odjazd swój wstrzymała; ta odchodzi, mówiąc, iż na poniżenie syna nie będzie ptkwała. Tarnowski oznajmia, że wszystko do boju gotowe; lecz tkliwie i żywo wystawia królowi skutki wojny domowej i wznieślenia oręża między panującym a narodem. Przybywa mu na pomoc Barbara i błaga męża, aby według rady Tarnowskiego poruczył Stanom rozstrzygnięcie większością głosów całego sporu i jej losu. Boratyński wchodzi i oświadcza, iż sejm, jak odważnie stawał przeciw królowi przy prawach ludu, tak, wierny wszelkim obowiązkom swoim, wzywa króla do steru i czeka rozkazów jego do boju przeciw wiarołomnym rokoszanom. Król, ujęty tym wiernością dowodem, ogłasza, iż małżeństwo swoje pod sąd sejmku poddaje.

Barbara sama otwiera akt 5-ty, mówiąc:

Wraca nakoniec pokój; buntu naczelnicy
Składają miecz przed królem w obliczu stolicy,
Polsko! już więc nie będzie szarpać twego łona
Broń świętokradzka, z mojej przyczyny wznieciona.

Mę! już nie narazisz na oręż domowy
Twych ziomek, twego tronu i twej drogiej głowy.
O Auguste! Ojczyzno! o wy bóstwa moje!
Nic już wam nie zagraża... Czegóż się więc boję?
Drzę jednak, mimowolny smutek mię uciska,
Okropne przerażają duszę widowiska,
W ciemną przyszłości otchłań zapuszczam się z trwogą,
Serce nadziei, oczy snu przyjąć nie mogą;
Czuję niezabędnych tęsknot jad rozlany we mnie
I lez pocieszających wzywam nadaremnie!..

Dodaje, że sejm, tłumami ludu otoczony, trzyma jej losów szale, że wszyscy w milczeniu czekają wypaść mającego wyroku; że ten wkrótce, jak piorun, przerwie tę ciszę; wtem August wchodzi, wyrzeka na zdradę i niewierność ludzi, wymawia nawet Barbarze, że go skłoniła do poruczenia wspólnych losów sejmowi; że już senat większością zdań śmiał mu wydrzeć żonę i że niema się czego lepszego od Izby Poselskiej spodziewać; lecz Izabella przybiega z posłem sejmowym, donosząc, że zagrzana przez Boratyńskiego Izba Rycerska, uznała śluby

króla, że senat zatem swój wyrok cofnął, i że stany złączone żonie Augusta koronę ofiarują. Potwierdzają to Boratyński i Tarnowski, a ten dodaje, iż Kmita czeka na rozkazy króla, aby mu hold swojej wierności mógł złożyć. August, pragnąc widzieć ten dzień dla wszystkich radosnym, pozwala, aby Kmita stanął. Barbara, nie chcąc przeszkadzać jego tłumaczeniom, a prócz tego czując w sobie jakieś wzmagające się bóle i palenie wnętrzości, odchodzi z Izabellą. Kmita się z godnością uniża, mówiąc, że, jeśli zbłądził, w tem jego była największa wina, iż wierzył, że matka zawsze szczerze pragnie szczęścia syna. Izabella wpada z oznajmieniem, że Barbara nieustannie mdleje, a z drugiej strony dowódca straży donosi, że lekarz Monty, schwytany, gdy nocą chciał ujeżdżać, wyznał, iż z rozkazu Bony dał truciznę Barbarze, i że, sam potem jad polknąwszy, skonał.

Przynoszą konającą Barbarę, której ostatnie słowa:

Umieram... Polskę matką i Augusta żoną...
Śmiercią okrutną, prawda, lecz nie zasłużoną.
Ginąć zbrodnią... lecz ginąć nie z Polaka ręki...

i tak się tragedia kończy.

Gdybym nie był przyjacielem autora, zdanie sprawy o sztuce równie łatwo, jak miłe, uskuteczniłoby mi przyszło. Pochwalilibym najpiękniejsze wiersze, jakimi się dotąd scena polska ozdobiła, akcją ciągle w swej prostocie zajmującą, która bez obcych i naciąganych ozdób, bez wyszukanych teatralnych omamień, sama przez się ku mecie swojej zręcznie i szczęśliwie snowana, greckie wzory poniekąd nam przypomina; dodałbym bez wahania się, że tej tragedji narodowej podobno żadnej dotąd równej, a zapewne żadnej od niej lepszej nie mamy; co zdalo się być potwierdzonem tak przez oklaski powszechne, jak parteru zgodnem, a dotychczas u nas rzadkiem żądaniem, aby drugie jej wystawienie natychmiast nastąpiło. Ale kiedy tak świetnie rozwinięty talent autora stawia go na wyższym rzędzie pisarzy, i odtąd nadzieje nasze na nim zwłaszcza polegać mają, winna jest przychylna krytyka wskazać wady i cienie, jakie muszą koniecznie towarzyszyć plodom niedoskonałego rodu naszego: a mianowicie, w chwili powodzenia i wiatrów pomyśl-

nych, naznaczyć opoki i rafowe ławy, któreby na przyszłość luby nam okręt ominąć mogli nieuszkodzony.

Skracać czyny historyczne jest wolno tragedji; przeistaczając je bez ważnych powodów nie powinna. Nikt za złe nie poczyta autorowi, iż przeciąg czasu między jednym sejmem, który nie pozwał na małżeństwo Zygmunta Augusta, a następującym, który Barbarę uznał królową, ścieśnił; i że te dwie sprzeczne stanów wole w tem samem obradowaniu umieścił. Lecz szukam i nie znajduję powodów, dla jakich Bonę wyprawia do Włoch przed śmiercią Barbary, kiedy ten wyjazd znacznie później w samej rzeczy nastąpił; i kiedy z toku tragedji Bonie, nie spuszczał się na stany ani na rokoszanów, a trucizną potajemnie sprzątającej nieprzyjaciółkę, właśnie wtenczas wypadło zostać, gdy, za osiągnięciem pożądanego zamiaru, mgła spodziewać się, iż powróci bez przeszkody do wpływania na rząd państwa i tym sposobem chęć panowania nasyci; nikt bowiem napróżno zbrodni się nie dopuszcza, a tu więc zarazem i cel uchybiony, i środki nawspak użyte zdają się.

Ale autor nie miał dosyć na wrażliwości uczucia i litości, które walka między królem, obstawającym przy wierze, żonie danej, a stanami, o złamanie tej wiary nalegającymi, w sercach naszych wzmagala; chciał znaleźć jeszcze postłek w przerażeniu duszy: szukać więc musiał ku temu królowej Włoszki i Włocha za jej narzędzie, aby użyć środków obcych naszym obyczajom. Stąd więc, wówczas bardzo wątpliwa o otruciu Barbary przez Bonę, zamienia się w tragedji na pewność historyczną; stąd w sztuce podwójna i nieco zamitrżona intryga, bo akcja mogła się bezpiecznie kończyć na zgodzie sejmu i podległości rokoszanów; stąd niedogodność, iż Barbara, już otruta (lub wistocie na raka umarła), scenę przez cały prawie akt 5-ty zajmuje, a król jej cierpień, coraz widocznie na twarzy wyrywanych, musi nie dostrzegać, co w przykrem nieco położeniu i grających, i widzów zachowuje. Zdaje się, iż można było albo zupełnie otrucie wypuścić i na triumfie Barbary z królem zakończyć; albo, tę wystawując na scenie umierającą, Bonę w nadziejach triumfu zatrzymać i tylko na nią o tę śmierć cień podejrzenia rzucić.

W 3-cim akcie uwijanie się Barbary na scenie ze style-

tem (jeżeli go wówczas damy nosiły) trwa nadto długo; dość, żeby go dobyła przed samym powrotem Izabelli, a dwa wiersze z wezwaniem do żelaza należy przenieść na koniec tej sceny.

Wspomniałem, że Kmita za cierpko do króla mówi. W żadnym bowiem kraju człowiek bądź wódz, choćby najznakomitszy, ale podległy, bez popierającego swoich orszaku, nie przychodziłby sam jeden bezkarnie do mieszkania rządzącego oświadczać mu, iż przestał panować, i wyzywać go do boju. A gdy z natury rzeczy i ludzi król każe za to Kmitę uwięzić, Tarnowski słabo i mało zręcznie go tem broui, że Strzembosza zeznanie jest wątpliwe, bo tu już nie o to chodzi.

Te są ogólne po pierwszym wystawieniu sztuki dostrzeżenia, które pod światło autora poddaję. Nie ujmuję one bynajmniej sprawiedliwym i wielkim tej pięknej tragedji zaletom; dowodzą tylko, iżby jeszcze wydoskonaloną być mogła. Nieporównana jej poezja przeniosła tok i dźwięk Rasyna do polskiego języka, i wytknąć tu nie śmiały kilka skaz lekkich, które bardzo rzadko w malej liczbie wierszy postrzedz można, a które autor łatwo poprawi.

Sztuka, stroje i dekoracje do niej są wystawione przez dyrektora teatru z chwałebną starannością; widać, ile ten uznał jej wartość i wziął sobie za chlubę przyłożyć się do uwiecznienia rówiennika. Aktorowie w ogólności dobrze grali; chętnie ich usiłowania były skuteczne, i umieli role swoje, choć na pierwszej P. P. Szymanowski (Król) i Wolski (Tarnowski) wymawiali głośno, zwolna i wyraźnie, trzy istotne warunki, bez których żaden aktor ani aktorka dokładnie rzeczy swojej wydać nie może; nie zbywało im w potrzebie na zapale i szlachetności. Toż samo powiem o Panu Kudliczu (Boratyńskim), który mowę do króla imieniem sejmu trafnie i z czuciem (żądcyby jednak trzeba, nieco głośniej) wypowiedział. Pan Werowski (Kmita), gdyby niekiedy ton odmieniał, byłby doskonalszym. Posel sejmowy sprawę o sessji trochę powolej zdawać powinien. Nie można żądać ani dostojniejszej postawy, ani dokładniejszego swej roli pojęcia nad to, któreśmy w Pani Ledóchowskiej (Barbarze) uważali. Szkoda, że słabość piersi nie odpowiada jej usiłowaniam i że znacznej części tego, co mówi, dosłyszec nader jest trudno. W tkliwych zwłaszcza chwilach ma niebezpiecznie

zwyczaj zniżać jeszcze tonu; a tym sposobem najpiękniejsze wiersze nikną dla słuchającego. Prosić ją trzeba, aby przynajmniej na scenie więcej ku orkiestrze zbliżała się chciała, przez co i ona, i słuchacze wzajemnie zyskają.

Panna Pięknowska korzysta widocznie z nauk znakomitego mistrza, a wyjąwszy pochlebą wadę młodości, duchowi swej roli jest wierna i Bonę dokładnie wystawia; strzedz się jednak powinna jednotonności; bo wymawianie wierszów, choćby najlepsze, sprzykrzy się, gdy zawsze jest toż samo. W scenie jej z aktu 4-go z synem uważałem niezręczny nałóg, który na teatrze naszym wkorzenia się zdaje. Bona twarzą, spojrzaniem i mową, jest zupełnie i ciągle do syna obróconą; to się nie godzi i tak się na lepszych widowiskach europejskich nie dzieje. Zawsze aktor, mówiący do drugiego, nieco tylko ukośnie ku niemu nakloniony być powinien i niekiedy rzutem oka przypomnieć, że ma rzecz do niego: usta zaś stale, a oczy najczęściej do parteru obracać należy; bo jest daleko istotniejszą potrzebą, aby widzowie wszystko, co aktor wyraża, doskonale zrozumieli, aniżeli żeby się przekonywali (o czem już wiedz), z kim jest rozmowa. Dla tychże powodów i Boratyński, i Kmita, mówiąc do króla, nadto prostokątnie do niego stawają.

Izabella czyni, co może; w piątym jednak akcie, gdy donosi, iż sejm potwierdził małżeństwo króla, biedz z radością, a nie snuć się, także z Barbarą cierpiącą oddalić się przed wejściem Kmity, a nie po wejściu jego powinna.

C) Teatr Narodowy. Trzecie wystawienie tragedji „Barbara”.

(Dodatek do Nru-23 „Gazety Warszawskiej”, z Warszawy dnia 22 marca 1817 roku w sobotę, str. 576.)

201) Już publiczność wydała swój wyrok o Barbarze Felińskiego. Trzykrotnie jej powtórzenie, zawsze na imienne i głośne żądanie, potwierdziło zdanie, jakieśmy o tej sztuce oświadczyli, i zapewnia jej miejsce zaszczytne między pierwszymi tego rodzaju na scenie naszej tworam. Usprawiedliwia ten wyrok dykcya ciągle piękna i harmoniczna, dyalog żywy,

wymowny, wydanie uczuć tklive i szlachetne, słowem, obraz osób i charakteru zawsze prawdziwy, zawsze zajmujący. Że jednak niemasz i nie będzie dzieła ludzkiego, wszystkie w sobie łączącego doskonałości, musi mieć i ma zapewne Barbara swoje błędy i niedostatki. Wady stylu tak są nieznaczne, iż przez najsurowszą chyba krytykę odslonione być mogą. Co do intrygi, łatwiejsze jest spostrzeżenie omyłek. Zupełnie przedmiotu tego zgłębienie wtedy dopiero z potrzebną i godną dzieła ścisłością nastąpi, kiedy w rozinnożonych drukim egzemplarzach swobodniejszemu tenże ulegnie rozbirowi. Dzisiaj to tylko powiemy, na co się wszyscy prawie zgadzają, że rozwijanie sztuki jest słabe i nie tak ściśle, jakby należało, z całą osmową spojone; że królowa Bona nie dość silnie działa, nie dość jest sprężyną intrygi i niepotrzebnie znika ze sceny wtenczas, kiedyby jej przytomność, stawiając ofiarę obok prześladowcy, największe na widzach sprawiła wrażenie; że list Strzembosza skutku żadnego nie sprawia i zda się być mniej potrzebnym; że scena pugiłała niezgodna jest z charakterem Barbary i zbyt długo przeciągnięta; że na koniec nienaturalnym jest, aby król, straszną o niebezpieczeństwie Barbary odbierając wiadomość, wprzód myślał o sędzeniu przestępstwa, nie o żalowaniu tak mu drogiej ulubionej osoby.

Co do wystawienia w ogólności, powtórzymy, co już nieznanym autor artykułu w Nrze-19 «Korespondenta Warszawskiego» uważał: że miejsce sceny nie jest przez dekorację dobrze oznaczone, że dla dodania królowi powagi straż tem konieczniej jest potrzebna, że nawet Zygmunt o jej oddaleniu wyraźnie mówi; że te same osoby i w tych samych ubiorach raz wystawiają panów radnych, drugi raz posłów; że ten sam aktor i w tym samym stroju raz fałszywie z namowy Bony donosi, że król wyzwał się żony, drugi raz przynosi wiadomość o wyroku sejmowym, potwierdzającym wybór Augusta; że, na koniec, brak kobiet obok słabej i umierającej królowej jest niestosownością, której łatwo zapobiedz można było.

Usiłowania aktorek i aktorów były widoczne. Barbara grana była z tą szlachetnością i powagą i z tem tklivem czulego serca uniesieniem, jakiego charakter osoby i piękne wiersze autora wymagały. Bona wydana była z wielkim zbliżeniem do prawdy.

Dla dogodzenia jednak istotnej potrzebie powiedzieć winniśmy, że dwa ostatnie wiersze na końcu drugiego aktu wymówione być powinny wyraźnie i głośno, bo na nich osnowa intrygi polega, bo temu, co ich nie słyszy, dalszy ciąg sztuki niezrozumiałym być musi. August był Augustem. Talent aktora godny był charakteru tego króla. Wystawiający Boratyńskiego, Tarnowskiego i Kmity, wszyscy trzej artyści, już w pierwszym rozbirowie wspomnieni, dzielnie grą swoją do zajęcia uwagi słuchaczów przyłożyli się. Słowem, dawno już w naszym teatrze tak pięknej, tak interesującej i tak dobrze granej tragedji nie widzieliśmy.

X.

POTOCKI STANISŁAW KOSTKA
Opracował H. GALLE

XXVII.

POTOCKI STANISŁAW KOSTKA.

(1757—1821)

Syn Eustachego Potockiego, gen. artyl. litewskiej, starosty tłumackiego i właściciela Podhajec, oraz Maryanny Kąkłej, ostatniej z rodu, wnuczki sławnego Marcina i podkanclerza litewskiego Szczuki, urodził się w Lublinie w r. 1757. Z dzieciństwa wyniósł wspomnienia zbytków i nadmiernej hojności ojca, który w Radzynie prowadził dwór książęcy, a w Warszawie zakładał i urzędował całe jurydyki, jak Marynstad, jak Potoczczyzna (z Bielina, Grzybowa, Leszna i Wielopola) i erygował Potok pod Marymontem. Wielka fortuna szybko topniała: dzieci zaliczano już do rzędu «biedniejszych Potockich» — ale takich Rzeczpospolita nie miała wielu. Szacera życzliwość ojca dla Pijarów warszawskich opłaciła się dzieciom, przynajmniej dwóm z pięciu synów możnego pana; gdy w r. 1768 śmierć pasmo dni jego przecięła, po starszym, Ignacym, Stanisław, oddany do pijarskiego Collegium Nobilium, korzystał jeszcze z ostatnich promieni światła wielkiego reformatora zakonu. Zajmował się on osobście wykształceniem obu braci i hodowlą moralną; pomiędzy Ignacym a Konarskim wiązały się nawet stosunek ściślejszy, serdeczny. Ostatnia oda łacińska autora wiekopomnego dla Polaków dzieła «O skutecznym Rad sposobie», bolejąca nad nieszczęściami narodu, który, słuchając wrogich podstępów z zewnątrz, sposobem, przez niego podawanym wzgardziła, — oda na zaślubiny z Lubomirską, — zwrócona była do Ignacego Potockiego (1771). Obaj młodzieńcy wiele mieli do zawiądzienia wychowaniu pijarskiemu, wyjątkowo starannemu: zwłaszcza ziarna czystego obywatelstwa, którem przez życie całe jaśnieli, zasialo im w dusze szlachetne przewodnictwo Konarskiego. Już po jego śmierci i po pierwszym rozbiore Stanisław w 18tm zaledwie roku, prosto z Collegium wyjechał w podróż zagranicę; zwiedził Niemcy, lodowce Szwajcaryi i Sabaudyę i, zatrzymawszy się dłużej we Włoszech, chciwie zbierał

ślady wielkiej kultury, która go doskonałością form, harmonią wyrazu czarowała; bawił w Rzymie współcześnie z Albertandim i Piramowiczem, tam dopiero poznanym. Z nim zwiedził «piękniejszą Europę połową», — «Tybru i Partenopy klasyczne brzegi i całą auzuńską ukochaną krainę»; z nim też zawitał do Paryża. Podróż ta przez poznanie cywilizacji o wiele wyższej nad tę, jaką mógł znaleźć w ojczyźnie, rozszerzyła widnokrąg jego umysłu, wdrożyła go w wolno-myślność, tak potrzebną ówczesnej Polsce, wraziła mu w duszę niezgłędzone zamiłowanie wiedzy i pracy umysłowej, do czego przykład Piramowicza mógł go tylko zachęcać.

Po powrocie do kraju Potocki wkrótce się ożenił, i to z siostrą swej bratowej, Aleksandrą Lubomirską. Dla obu braci małżeństwo z bogatemi dziedziczkami było faktem, torującym zawód obywatelski. Rzeczpospolita miała konstytucję demokratyczną, ale rząd możnowładczy: chcąc w niej coś znaczyć, potrzeba było mieć za sobą nie tylko antenatów — rzadko kiedy zastępowanych swobodną łaską królewską, — ale i majątek; tego już teraz obu przysłym mędom narodowym nie brakło. Stanisław otrzymał rychło dygnitarstwo; w r. 1781 był już podstolim koronnym. W rok później województwo lubelskie wybrało go na posła. Odrazu wybił się na czoło. W gorszącej sprawie Kajetana Sołtyka wystąpił, jako jego obrońca; wzywając sprawiedliwości na krzywdę, wyrządzoną zasłużonemu patriocie, dnia 24 października 1782 r. wołał: — «Brońmy prawa przeciwko Radzie Nieustającej; brońmy ludzkości, prawa, wierności i cnoty przeciwko kapitulę, bo czy o znieważonego senatora, czy o biskupa uwięzionego, czy o dobroczytnego starca, czarno zdradzonego, czy o szlachcica uciśnionego równi równego krzywd upomnieć się zechcecie, zawsze miłej Boga i ludziami dopełnicie roboty». Własną swoją robotą zamknął w czterech wnioskach, domagających się uchylenia tych rezolucji Rady Nieustającej, które godziły w uwięzionego przez kapitulę krakowską biskupa. Roztrząsanie ich i głosowanie nad nimi zajęły cztery posiedzenia, w dniach 29, 31 października i 2 listopada; żaden się nie utrzymał ani w Izbie, ani w Senacie: zwyciężył król wraz z Radą. Z tego samego sejmu wszedł Potocki do Rady Nieustającej. W r. 1784 zrzekł się podstolstwa, a ponownie do Rady wybrany, zasiadał przez dwa lata w departamencie skarbowym. Piastując wciąż mandat z wojew. lubelskiego, z mocy wyboru sejmowego w r. 1786 dostał się do sądów sądownych koronnych, już jako kawaler Orla Białego.

Przez Lubomirskich spowinowaony z Czartoryskimi, ex-podstoli zaplątał się w r. 1784 w sieć intryg Dugrunowej; wraz z bratem uwierzył w rzeczywistość spryszczenia się króla na życie Generała Ziemi Podolskich i wraz z bratem też występował w sądzie marszałkowskim, jako świadek zeznań i wyrażał awanturnicy, branych za dobrą monetę. Musiał szybko otrzeźwieć, cicho bowiem, bez żadnej już zgody inicjatywy własnej, zachował się na sejmie r. 1786, który zacieriał ślady latwowności całego domu Czartoryskich i nazwisko

ich z nazwiskami hetmana Branickiego i Tyzenhauza z oryginału wyroku z dnia 15 marca 1785 r. wydrapać nakazał. *W liście* *jakowitowski*

Potocki był jednym z pierwszych i najgorliwszych wolnomularzy polskich; zdaje się, że już w r. 1780 należał do Wielkiego Wschodu warszawskiego. Najpierwsze jego wystąpienie krasomówcze poza-sejmowe spełniło się w loży masonskiej w końcu r. 1784. Dnia 26 grudnia t. r. wygłosił na posiedzeniu Braci pochwałę zmarłego Wielkiego Mistra, Andrzeja Mokronoskiego, marszałka sejmiku 1776 r. W trzydziści lat później mowę tę sam nazwał «akademicką»; rzeczywiście była ona sztywna, ale stanowi pierwszy ujawniony plód literackiej już zdolności. Prób, przywiezionych z zagranicy: opisu podróży po Niemczech, Włoszech, jakoteż drogi na Mont Blanc i szczyty, otaczające Chamounix, a może i powstałych już wówczas wierszy, nie odważył się nigdy sam autor wyprowadzić z rękopisów w świat; ale w pracy literackiej, przygotowanej, kształcącej nie ustawał. Właściwa wytwórczość przypada dopiero na wiek XIX. Mowy na posiedzeniach masonskich pozwalają uważać Potockiego za szczerego wyznawcę deizmu, wierzącego w dogmat braterstwa między ludźmi, a prztem za czciela wiedzy. Gdy wstąpił czyniło z wolnomularstwa tylko sport, gdy król, wyręczający się zastępcami, w lożach znajdował jedynie rozrywkę, późniejszy, do samego zgonu Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Polskiego poważnie oddawał się kultowi bóstwa, w żadnym nie uwiezionego kościele. Dnia 15 października 1786 r. nakazywał braciom wobec zjadliwych oskarżeń niewzruszoną stałość i mądrą a spokojną o jutro wyrozumiałość: niechaj zazdrość wywiera swe jady; związek kwitnie i kwitnąć będzie pod opieką Wielkiego Badownika Świata. Wolnomularstwo «uczy pełnić cnotę, kochać wolność, żyć w równości, szanować i wielbić ojcowską rękę». W tej samej mowie nazwał Potocki filozofię «królewską sztuką» a o Arystotelesie powiedział: «Mąż ten patuje nad wiekami; postęp świata w nowych wiekach po mroku średniowiecznym nasunął mu na usta niejedno gorętsze słowo. Tym przekonaniem i skłonnością, temu sposobowi wyczuwania wiekistości ze znakomości, jakie w Wolnomularstwie dawała myśl wolna, żadnymi pozytywnymi dogmatami nie krepowana, nie przemieniwszy się Potocki nigdy, aż do śmierci. Nie przeszkadzało mu to jednak na polu czynnej polityki liczyć się z koniecznością zewnętrzną, z naturą społeczną, wytworzoną przez wieki, jak i szanować zwyczajów, które stały się już narodowymi i przy wprowadzaniu reform, przy organizowaniu oświaty publicznej rzadził się roztropnem umiarkowaniem w stosunkach z dachowieństwem.

Odrodzenie się narodu i państwa na Sejmie Czteroletnim dało Potockiemu sposobność do użytkowania i mądrości obywatelskiej, i tej miłości ojczyzny, która go odrazu wprowadziła do grona reformatorów, aby go wkrótce uczynić jednym z najwybitniejszych członków stronnictwa patriotycznego. Już dnia 16 października 1788 r., na piątym posiedzeniu Sejmu, zawołał: «Dźwigać się, póki czas»; siedmiomilo-

nowy naród może się zdobyć na 100,000 wojska; trzeba stosować podatki do wojska, a nie wojsko do podatków. «Ostatnie to jest Opatrzności wejście — mówił — po którym albo szczęście i sława, albo wieczna czeka nas ohyda». W pięć dni później, a nazajutrz po jednomyślnym uchwaleniu wniosku Walewskiego, wniósł «przywrośnienie Komisji Wojskowej Obojga Narodów» z reformy Czartoryskich. Projekt swój jednem wsparł słowem: «Narody, jak ludzie, są tem, czem być chcą, czem się być czują; jedna losem ich rządzi umyślnie wspaniałosi i duszy hartowności. Począła się Polska i od tego momentu narodem być zaczęła». Dnia 1 grudnia złożył projekt etatu wojskowego. Dnia 8 stycznia 1789 roku dla przyspieszenia skutku zażądał obłożenia szlachty podwójnym poddymem, wzbraniając wyraźnie zwalania opłaty na poddanych: ściągając ten podatek zaraz, bo na wiosnę musi być już wojsko. Znakomitą mowę powiedział 16 stycznia. Przypominał grozę bezbrońności, przypomniał Filipa i Grecję, ukazał energię Fryderyka w pracy dla państwa. A Polska? «Kto chce wiedzieć, co się z Polską stanie, niech się nie pyta ani króla dobrego, ani w Polsce, lecz w Petersburgu dowiedzieć się może». On pierwszy tego dnia wydał hasło: znieść Radę Nieustającą. W trzy dni później zbił zarzuty obrońców jej przypomnienia, że ani Prusy, ani Austria w traktatach z r. 1775, uzupełniających rozbirowe z r. 1773, nie gwarantowały instytucji, która stała się już obmierzną. Trwoga o ojczyznę wyrwała wtedy Potockiemu z serca słowa, najmocniejsze może, jakie sejm ten usłyszał: «Żyj! Jeszcze Polacy, którzy drogą krwią przodków swoich nabytę wolności bronić potrafia, i, jeżeli Rada Nieustająca piórem zmanana nie będzie, tedy ją żelazem zgładzić przymuszeni będą». I Sejm zmazał Radę piórem: tego dnia ręką. Dnia 19 i 20 lutego rozsądnie przemawiał w sprawie buntów ukraińskich, zaprojektował odezwę do województw ruskich, a jego propozycję Sejm przyjął. Gdy nie utrzymał się projekt, zdławiający podymie, Potocki w marcu 1789 roku poparł żarliwie wniosek o zaprowadzenie podatku dochodowego, t. zw. «Ofiary dziesiątego grosza». W listopadzie ganił ostro prace komisji, która go nakładała; a dla zapobieżenia oszustwu w kwietniu 1790 roku żądał wymieniania prócz liczby dniów także i liczby dni pańszczyźnianych i wysokości pobieranych czynszów; sejm tę zbawienną poprawkę odrzucił. W sierpniu zażądał zniesienia hetmanów, skoro wyzną wówczas urzędujący. Dnia 20 września 1790 r. mocnem swem słowem dzielnie się przyczynił poseł lubelski do uchwały, odsyłającej sprawę elekcji *vivente rege* przed naród. Mowa z tego dnia jest nie tylko gorącą, rozumną, ale i dyplomatycznie zręczną; nawet Kalinka nie waha się ją pochwalić. Natarł w niej Potocki na możnowładztwo, zawistne, nie pozwalające, aby naród o sobie radził, pięknie roztoczył pojęcia narodu i prawodawstwa i ujął się za uniwersałem, który opoczyca pogrzebać chciała. Przy tajemnem układaniu i wprowadzaniu konstytucji organicznej pod obrady czynnie dopomagał bratu. Wspomnieć też trzeba, że na wnio-

sek Potockiego Sejm uchwałił posąg Czarnieckiemu. Z działalności w Sejmie ściśle wiąże się rozprawa o pożytkach z uchwalenia zasad do sprzedaży starostw (Warsz. 1792).

Wszystkie prawie mowy swoje na Wielkim Sejmie Potocki improwizował; przeważało w nich uczucie szczerze, gorące, wzniosłe. Kilka z nich ogłosił, parę nawet w przekładzie francuskim, a w dwadzieścia kilka lat później zamyślał wszystkie zebrać i, jako tom III, do dwutomowego zbioru «Pochwał i mów» dołączyć, ale zamiaru nie spełnił. Od tonu całości odbiegają dwa wystąpienia: w obronie Szczęsnego Potockiego i przeciwko dopuszczeniu nieszczań do prawodawstwa. Jeżeli pierwsza, z marca 1789-go, dowodzi przewagi, choćby tylko chwilowej, egoizma rodowego nad patriotyzmem, w drugiej, z grudnia 1790-go r., dostrzegamy jakby niedowład ducha postępu, ograniczenie umysłu przez pokutującą jeszcze w nim kastowość.

Podczas ustanawiania poselstw zagranicznych (9 grudnia 1788) król wybrał Potockiego na jednego z pięciu posłów, przeznaczając go do Wersala. Sam wybrany nie miał wielkiej ochoty, a podobno i dwór francuski niechętnie nominację przyjął, żywiąc jakoby jeszcze urazę za ostre postąpienie Lubieńskiego z Paulmym w bezkrólewiu. Skończyło się na tem, że Potocki pozostał w Warszawie i w sejmie, a na jego miejsce po długiej zwłoce pojechał do Paryża Orzechewski. Wysłanie Jana Małachowskiego do Dreżna w r. 1789 stało się na wniosek Potockiego.

Mówca sejmowy przedzierzgał się nagie w generała. W roku 1791 widzimy go generałem-majorem, a na początku następnego, po usunięciu się Szczęsnego, już nawet generałem, dowodzącym artylerją koronną. Człowiek bez specjalnego wykształcenia, zajmujący najwyższe stanowisko w broni specjalnej, stawał się żywym zaprzeczeniem tej zbrojności, o którą sam od początku sejmu tak gorąco zakładał naród. Co go skłoniło do dyletantyzmu, w jakich warunkach dokonała się nominacja, tego dotychczas nie wyjaśniono. Zle wzrosło, gdy Potocki objął dowództwo brygady, postanej przed wojną 1792 r. na Litwę. Dobre rady, które dał królowi, dnia 24 maja najwyższemu dowódczemu wojak obdarzonemu: aby utworzył radę wojenną i urządzić działolejnie w Kamieńcu i Krakowie, nie potrzebowały tytułów wojskowości, a druga z nich była już straszliwie spóźnioną. Król utworzył radę, powołał do niej Potockiego, ale Potocki już z powołania nie skorzystał: pojechał do swej brygady. W bitwie pod Mirem (dnia 10—11 czerwca) zarobił sobie na niesławie. Józef Sułkowski mówi o nim: «Chciał być geniuszem wszechstronnym i wdał się w wojskowość». Wyprosił sobie u Judyckiego (naczelnego wodza po zdraycy Wirtemberczyku) 800 koni, batalion piechoty i 4 armaty, i z tą siłą dnia 11 czerwca, w drugim dniu walki, napadł na obóz rosyjski. Zakroczenie zrządzie chwylowy popoch, po którym nastąpiła trwożna rejterada, a gdy generał nieprzyjacielski (Melin), zajmwszy siłą pozycję, przytrzymał na miejscu batalion, przysłany przez Judyckiego,

wszczęła się bitwa, zakończona dotkliwą klęską polską. Bronisław Zasleski nie zaważał się napisać, że Potocki «po pierwszym wystrzale armatnim tak się przeląkł, iż, zapomniawszy o komendzie, dosiadł konia i w ucieczce swojej aż o Grodno się oparł». Dnia 8 lipca wydał już z Warszawy rozkazy służbowe, jako «gen. artylerji Obojga Narodów, szef korpusu inżynierów i pontonierów, generalny komendant fortecy i arsenadów Rzeczypospolitej» — tytuły czeze, jak czezą była i sama wojskowość Potockiego. Targowica, zmiatając wszystkich ze sceny, zmiotła i jego. Tułał się przez czas pewien po Krakowie i za granicą. W pracach, uwieczonych ruchem narodowym 1794, wcale nie uczestniczył; wszakże, w ostatniej chwili przez brata wtajemniczonego, razem z nim i Kolltajem przyjechał do Kościuszkow w Krakowskie. Żadnego stanowiska nie zajął; wkrótce dla poratowania zdrowia wydalili się do Karlsbadu, gdzie go wraz z innymi (Piattołi, Jan Potocki, Michał Zabięto) policya austriacka (3 lub 4 lipca) uwięziła i osadziła w Josephstadzie. Cios nie godził w żadnego z uwięzionych osobiście; to tylko, na żądanie cesarzowej Katarzyni, dwór austriacki, zjednyany już dla trzeciego rozbioru, brał zadośćuczynienie za aresztowanie w Warszawie d'Ascha, wieloletniego rady poselstwa rosyjskiego. Więźniowie byli jeno zakładnikami i rząd wiedeński polecił łagodnie się z nimi obchodzić. Już na początku r. 1795 pozwolono Potockiemu i Zabięto mieszkać w Pradze, a w lutym 1796 zupełnie ich uwolniono. Potocki pojechał do brata w zabór austriacki, a potem osiadł w Wilanowie pod berlem już pruskim. Z talactwa przywiózł przerobionego Winkelmana i liczne zasoby do prac literackich, którym teraz w zaciszu wilanowskim wyłącznie się oddał.

Powstające w listopadzie 1800 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauk znalazło w Potockim żarliwego współdziałacza. Po Staszicu nikt szczerzej o uprawę umiejętności i piśmiennictwa w Towarzystwie nie zabiegał, a nikt zgola tak umyślnie dla niego po literacku nie pracował, jak Potocki. Wygłaszanie w stylu wieku pochwał po zmarłych jego głównie było zadaniem. Chronologicznie najpierwszą (1801) jest «Pochwała Józefa Szymanowskiego, pełna przesady i nieszczera, ale wiadomościami nie bez znaczenia o pisarzach Stanisławowskich wzbogacona; ostatnią (1820) — napisana dla Matuszewicza, z którym wiązało go nie tylko wspólna praca publiczna, ale i zażyłość; największą i najznamienitszą ze wszystkich — wygłoszona w r. 1802 nad Piramowiczem, z danymi autobiograficznymi i ważnym szczegółem historycznym o dążeniu Augusta Czartoryskiego podczas Wojny Siedmioletniej do zaprowadzenia tronu dziedzicznego w Polsce. Nie pozabawioną wskazówek historycznych a szczerą w formie jest mowa w Wilanowie na pogrzebie brata, w r. 1810. Siegnął umowny pisarz i po Czackiego. Blizjny nastrój ma pochwała Józefa Poniatowskiego z r. 1816, miała też być wygłoszoną w katedrze na Wawelu; odczytał ją mówca w Tow. Przyj. N. «Pochwała walecznych Polaków» na tym samym obchodzie z dnia 22 grudnia 1809 r., który Staszic słowem swem upamiętnił.

stanowi zwięzłe a cenne dziś przypomnienie wypadków i ludzi w formie, do wzniosłości przedmiotu zastosowanej. Dla Towarzystwa, zachęcony przez nie, napisał Potocki główne swe dzieło, o wymowie i stylu; na jego posiedzeniach odczytywał rozprawy o języku polskim, krytyce, stylu, o sztuce starożytnej, o Księciu Machiawela. Wydział Nauk zostawał pod przewodnictwem Potockiego. Działalność w Towarzystwie spotęgowała jeszcze sława, jaką przyyskał był w sejmie czteroletnim. Nie było w Warszawie nikogo, ktoby go imieniem w literaturze zaćmiewał. Stał się we wszystkich sprawach dobrego smaku powagą rozstrzygającą i w tej epoce, kiedy smak uchodził za najważniejszą zasadę krytyki, był dla świata literackiego jakby arbiter elegantiarum. Smakowi wprawdzie nie oddawał nieograniczonego berła, potoczności krasomówczej nie pozwalał wypierać logiki i prawdy; owszem, nawet się za niego umował, ale sam nie umiał znaleźć do niej tej drogi, którą my dziś dostrzegamy w rzetelnem poznaniu i rzetelnem też odczuciu przedmiotu. Ta prawda, że dzieło literackie jest tworem natury indywidualnej, wypadkową jej funkcji, zjawiskiem jej sił — wyższą była nad Potockiego, wyższą nad jego wiek. Zawsze mimo zastrzeżeń i przestróg forma nie przestawała królować; dbałość też o formę była w Potockim panującą. Ale pod tym właśnie względem on sam niewolny był od grzechu: nawykły do francuszczyzny, niedość badawczy, dopuszczał się w wystąpieniu swoim zbyt częstych galicyzmów, skłaniać polską gwałcił, a pod koniec życia, gdy wszedł na drogę satyry, w języku, nad którym już płakał Brodzkiński, utrwał jeszcze postaci wyrodne fletyjsy męskich w rzeczownikach nijakich. «Podróż do Ciemnogrodu» roi się od form «zleceniowi», «nazwiskowi», «zdaniowi»; nie braknie nawet żeńskich «budowów». W «Świśtku krytycznym» upierał się przy przeczeniu z biernikiem, zależnym od trybu bezolowicznego.

W zaciszu wilanowskim jeszcze za rządów pruskich spadł na Potockiego obowiązek publiczny. Gubernator w Warszawie Keller powierzył mu dozór nad świeżo założonem liceum Lindego. Dnia 2 stycznia 1805 r. dozorca miał nową inauguracyjną i odąd stałe już doglądał zakładu. Wkroczenie Napoleona otwarło przed człowiekiem, książkę i pióra tylko oddany, na nowo drogę zawodu politycznego; został członkiem ustanowionej d. 14 stycznia 1807 Komisji Rządzącej, a po Traktacie Tyliczym wszedł do Rady Stanu, funkcjonującej jako ministerium, i w wytworzonej przez siebie Izbie Edukacyjnej rozpoczął wraz ze Staszicem, Lipińskim, Surowieckim działalność, którą najtrwalszy sam sobie wznosił pomnik. Dziś jeszcze już pokolenie mogło zapomnieć o literacie, o «książęciu mówców», jakim go powszechność polska (Bentkowski I, 662—3) mianowała; najpóźniejsze jeszcze pamiętać będzie o organizatorze szkół w Księstwie Warszawskim. Jest to najświetniejszy, najrdzenniejszy, najobfitszy w owoce okres w życiu Potockiego. Dość tylko odczytać pochwałę Staszica, przejrzeć pilnie ustawy dla szkół, urządzenie hierarchii akademickiej; dość rozej-

rzeć się w mnóstwie wytworzonych instytucji nauczających od nizin do szczytów, — aby dyrektora Izby, a potem prezesa Dyrekcji Edukacyjnej, uznać za człowieka wielkiej zasługi. Nie było zakątką, do którego by nie wniósł światła swej wiedzy i ognia swej woli; nie było wypadku, w którymby na zawołanie życia nie stanął z gotowością poważną do spełnienia jego nakazu. Surowy Staszic posuwa się do wyznania: «Krzywdziłbym go, gdybym użył sztuki, jakiej potrzebują pochwały pospolicich ludzi». I zaraz potem wylicza prace człowieka niepospolitego. Po Prusakach zostały, prócz szkółek elementarnych niemieckich, tylko dwa upadające gimnaza i liceum. Wszędzie rozdyrzała się niemieczyzna. We wszystkich szkołach średnich ledwie 500 uczniów doliczyć się było można. Fundusze Kom. Eduk. poprzemnoszone z dóbr ziemskich polskich na drewniane domy niemieckie, po miastach i miasteczkach; całe dobra poobdulżane i pozamieniane — przez szlachtę polską! — w ziemiańskie, Pijarzy bliżej byli ruiny; rozprzagli się i zbiednieli. Konwikt Konarskiego rzeczywiście zniknął; pozostały tylko szkoły publiczne. Wszystko trzeba było budować na nowo. Potocki wskrzesił ustawy Kom. Eduk., lekko je uludszyszy. Zaczął od szkół dla nauczycieli, w których zaprowadził metodę Pestalozziego i Lancastera. Nauczycieli, brał z Pijarów, Benedyktynów i Bazyljanów; wogóle uruchomił księży, których mnóstwo było bez probostwa, stojących mimo to pustkami, bez jakichkolwiek obowiązków zawodowych. Równoległe z seminarjami ustanowił Towarzystwo do ksiąg elementarnych. W powstających szkołach ludowych zaprowadzał naukę praktycznego ogrodnictwa i robót kobiecych. Po miastach otwierał szkoły podwydziałowe, obliczone na zaspokojenie potrzeb życia, na uzdolenie do pracy zarobkowej, umiętnięte. Szkoły wydziałowe dawały już oświatę w stopniu wyższym, potrzebnym rolnictwu, kupiectwu i przemysłowi; przy nich istniały szkoły rolnicze. Licea departamentowe otwierały uniwersytet. Wyprawadzenie się Pijarów na Żolibórz spowodowało Potockiego do podniesienia konwiktu przez stałą pomoc państwową. Zakon, powołany do nauczania, otrzymał pod ster swój kilka szkół wydziałowych, później nawet i wojewódzkie. Zarządzając straszliwemu brakowi ludzi, wywabił Potocki młodzież zagranicę; dla zyskania sił nauczycielskich, których społeczeństwo samo nie przysposabialo, pootwieriał nowicyaty, zapewniwszy sobie obowiązkową pomoc zakonów w nauczaniu; nawet umyślnie seminarium nauczycielskie duchowne przy seminarium misonarskiem w Warszawie otworzył. Czując niebezpieczeństwo wpuśczenia księźda do szkoły, dla zażegnania go zaproponował radzie stanu połączenie władzy nad szkołami z dozorem nad duchowieństwem; nie zrozumiano go i propozycję odrzucono. Każda szkoła otrzymywała dozór, do którego wpłynali rodzice. Stan nauczycielski organizował się w sprawach powołania swego niezależnie od nacisku administracji. Komisje egzaminacyjne kwalifikowały do służby społecznej lub państwowej. Gdy wojsko potrzebowało lekarzy, a państwo prawników, Potocki skłonił znamienitszych

synów Eskulapa w Warszawie do bezpłatnego nauczania w szkole lekarskiej, a wspólnie z Lubieńskim zaprowadził szkołę Prawa i Administracji. W odzyskanym Krakowie, przy miejscowej pomocy Kollataja, dźwigał z upadku ponownego Akademii Jagiellońskiej. Pozostawione przez Prusaków dwa korpusy kadecckie poddał gruntownej reorganizacji i unarodowił. Cały systemat szkół był już na początku 1812 r., kiedy Dyrekcja wstępowała na miejsce Izby, gotowy. Przejmował go duch narodowości i zarazem użyteczności w życiu. Wykrojone z Księstwa Królestwo otrzymało, jako owoc 9-cioletniej pracy: 1200 szkół elementarnych, 20 podwydziałowych, 18 wydziałowych, 12 liceów, konwikt na Żoliborzu, 1 korpus kadeccki, 3 szkoły naucz. wiejskich, — prócz owych szkół wyższych. Po ustanowieniu Królestwa zamianowany ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego Potocki prowadził dalej zaczęte za Księstwa roboty; ale teraz główne staranie zwrócił na uniwersytet, w jego też organizację, w samo napisanie ustawy, obejmującej i teologię, najwięcej myśli własnej włożył. Urządzeniem Rady wychowania publicznego uzupełnił sterownictwo nad oświatą ogólnie-krajową. Nie małż też zasługą jest, jeszcze za Księstwa, ostanianie i skuteczną obronę Funduszy Edukacyjnych od rozbójni i łupieżstwa. Widząc zły wpływ duchowieństwa zakonnego na umysłowość ludu, a potrzebując dochodów na urządzenie hierarchii kościelnej, wyjednał u stolicy apostołskiej, za zgodą arcybiskupa Malczewskiego, przeniesienie wielu nieużytecznych dla oświaty, przeważnie próżniaczych klasztorów (1818). Ta suppressya ściągnęła na niego burzę, w kazaniach i lotnikach i na zebraniach towarzyskich. Broniąc się, napisał «Podróż do Ciemnogrodu». Biskupi dopatrzyli się w Państwie Ciemnogrodzkiem znieważenia Czystochowy. Skarga, podobno przez Woronicza do samego ces. Aleksandra podczas sejmu jesienią 1820 r. zamiesiona, otrzymała bezwzględny skutek w dymisji. Został Potocki honorowym ministrem stanu, ale z rządu już ustąpił.

Przez cały czas pracy nad szkolnictwem — równoległe z nią ciągnęło się długie pismo obowiązków ściśle już rządowych. Rada jego, długoletniem myśleniem i dostrzeganiem wsparta, w Komisji Rządzącej okazała się nieraz skuteczną, jak przy projekcie monety papierowej lub moratorium, które oba zwałcał. W lipcu 1807 roku wezwany do Napoleona wraz z kolegami, był w Dreźnie świadkiem podpisywania i nadania konstytucji «Ludom Warszawy i Wielkopolski». Projektu, który sam z sobą przywiózł, mocarz nawet nie przeczytał. Jako radca stanu Księstwa, był obok Lubieńskiego, niezależnie od pracy nad oświatą, najczynniejszym. Ważniejsze projekty i odezwy rządowe przechodziły przez jego stylizację. Na napisal odezwę, odpowiadającą na zachwalstwo austriackie z Odrzywoła (16 kwietnia 1809). Wraz z całą komisją podczas najazdu błąkał się po departamencie Plockim i Łomżyńskim; dopiero dnia 2 czerwca, nazajutrz po ustąpieniu Austriaków, wrócił do Warszawy. Po śmierci Gutakowskiego (1811) został prezesem Rady Stanu, nie przestając być dyrektorem

Izby Edukacyjnej. Podczas konfederacji generalnej w roku 1812 nie odegrał wybitniejszej roli, a kiedy gromy wojenne huczały, spokojnie pracował nad szkolnictwem. Po wojnie i zajęciu Księstwa przez Rosję wraz z całą Radą Stanu udał się najpierw do Krakowa, a potem w kierunku pochodu Poniatowskiego na zachód. Przebywając to w Karlsbadzie, to w Pradze, we wrześniu 1813 roku znalazł się w Lipsku i był w nim w dniach «walki ludów». W końcu powrócił do kraju, gdzie podczas nieobecności znajdował godnego zastępcę w Staszicu. Nie przerwała działalności obu mężów okupacja rosyjska; właśnie na rok 1814 przypada ustawa o hierarchii akademickiej, organizująca stan nauczycielski. Upadek Napoleona złamał Potockiego tak samo jak innych: gdy się mowy jego za Księstwa porówna z miewaniami na sejmach 1818 i 1820 r., niepodobna nie dostrzedz wielkiego luku, jaki zatoczył zmęczony nadziejami, przerażony zawodami patriotyzm uczciwego Polaka. Królestwo przyniosło mu na samym wstępie senatorską godność wojewody, po śmierci Ostrowskiego dało mu prezesostwo w senacie, a uszanowało jego stanowisko u najwyższego stercu i w zasadniczej pracowni szkolnictwa publicznego; tem łatwiej mógł pogodzić się z losem. Wiek osłabiał energię, ale pomimo wieku, człowiek tej miary nie powinien był podpisem swym uświęcać zamachu na art. 16-ty Konstytucji; nie powinno było nazwisko jego znaleźć się pod dekretem namiestniczym z dnia 19 maja 1819 roku, zaprowadzającym cenzurę na pisma peryodyczne. Błąd ten podzielił z nim Staszic, jak dzielił jego wolnomysłność, jego użyteczne, rozumne i uczciwe prace nad oświatą. Obaj schodzili ze świata złamani. Ale kto się ostał cało, kto się nie złamał wówczas w straszliwym wichrze losu? Ostatnie chwile życia już po wygnaniu z rządu zatruchać musiało nie tylko rozpaniętymiarze kłeski, poniesionej w walce z księżmi, ale i mocowanie się wolnomularstwa, w r. 1786 stawiącego niepodległość myśli, z ministrem, który się jej dla urzędowania wyparł.

Zmarł Potocki w Wilanowie dnia 14 września 1821 r. Pochowany w pieczarze miejscowego kościoła, ma narówni z bratem w kaplicy z prawej strony nagrobek pamiątkowy.

BIBLIOGRAFIA. I. Pisma Potockiego: Wydania zbiorowe, a przytem zupełnego, niema. Najwięcej rzeczy zebranych razem jest w zbiorze: a) «Pochwały, mowy i rozprawy... senatora wojew., ministra wyznań religii i oświecenia narodowego, komendanta generalnego kadetów, członka Tow. Przyj. Nauk i Akad. Krakowskiej...» (Warsz. 1816, Zawadzki i Węcki; 2 cz.: I: X, 460; II: 8 nłb, 664 str.; 89). Po tym zbiorze najobfitsze są: b) Roczniki Tow. Warsz. Przyj. Nauk; mieszczą większą część pochwał i kilka rozpraw. c) «Pam. Warsz.» Benth. wydrukował «Swistek krytyczny» (podznac. literą «W») z dopełnieniami polemicznymi, mowę o Krasiickim, i obszerną rzecz o Chinach i Chińczykach z dzieł obcych wziętą (T. I, II, V). d) Osobno wy-

chodzili, wszystkie w Warszawie, już od r. 1782, mowy polityczne, wolnomularskie, szkolne i miewane w T. Prz. N. jako «pochwały», jedna, wygłoszona w konwencie pijarskim do Kopczyńskiego: «Mowa przy oddaniu medalu X. Onufremu Kopczyńskiemu w dzień urodzin 30 listopada 1816 r.» (Warsz. 1816, 8 nłb. str. 4-to) i jedna rzecz polemiczna «Lettre d'un polonais à l'abbé Ciampi, prof. à l'université de Varsovie, le 12 mars 1821» (Warsz. 1821; podpis «C. P.»; 4 str. 4-to). Prace większe osobno drukowane: 1) «O sztuce u dawnych czyli Winkelma polski» (Warsz. 1815, 3 cz.: I: 8, 440; II: 509; III: 419; dod. 135 str.; 4 volumina 129, własne opracowanie Chaldei, Indyi, Chin, waz etruskich, malarstwa u staroż. wraz ze sztuką enkaustyczną. Pisane «w luku dział» i «w więzieniu» [przedm. do cz. I a]). 2) O wymowie i stylu» (Warsz. 1815 Zaw. i Węcki. druk. Rząd. cz. I: T. I: 30, III—XXVI, 385; T. II: 24, 510 str. Cz. II: T. III: 20, 522; T. IV: 16, 2 nłb, 511 str. 129). 3) «Podróż do Ciemnogrodu przez autora Świńska Krytycznego» (Warsz. 1820, Glücksberg; 4 cz.: I: 1 knlb., XIII, 249, 2 knlb.; II: 225, 3 knlb.; III: 208, 2 knlb.; IV: 227 str. 2 knlb. 249). — Wszystkie pisma układają się w następujące działy: A) Literacko-naukowe. Oprócz nr 1 i 2-go: dziewięć «Rozpraw o języku, wymowie i literaturze polskiej», przesłanych Lindemu; «O krytyce»; «O języku polskim»; «O sztuce pisania czyli o stylu» — wszystkie wygłoszone w Tow. Przyj. Nauk i zamieszczone w «Rocznikach». O tych wszystkich rozprawach, jako też o mowie w Liceum Lindego, włączonej w całość, ob. streszczenia pod wypisami B i C, oraz tutaj niżej C IV 3. Do działu tego należy jeszcze «O duchu pism Machiawela» (6 XII 226). — B) O sztuce. Prócz «Winkelmana» rozprawa «O sztuce u dawnych» (z obroną i zaleceniem samej sztuki, krytyką Winkelmana w oryginalne i poglądem na sztukę pierwotną, zwłaszcza chaldejską i medyjską), w 6 II 339, oraz «O medalach, mianowicie narodowych, we względzie ich użyteczności i sztuki, (a II 199). — C) Z licznego bardzo działu Mów: L polityczne trzy z sejmu 1782 r., przedruk w a II 1—102, z objaśnieniem o sejmie zwanym biskupa Soltyka»; tamże str. 103 «Mowa przy zdaniu sprawy z dwóchletnich czynności Rady Nieust.» O mowach z Wielkiego Sejmu ob. życiorys; niewiadomo nie o pozostawieniu zbioru ich w rękopisie; wiele wyszło współcześnie pojedynczo. Mowy z XIX w. u Estreichera. II. pochwalne w Tow. Przyj. Nauk, wszystkie w «Rocznikach», z wyjątkiem jednej, o Krasicim, pomieszczonej w «Pamięta. Warsz.» Bentk. IV (1816) 97—117. 129—47, przedruk w a I 99—153. W «Rocznikach»: 1) Czacki XII 12; 2) Matuszewicz XIV 98; 3) Piramowicz II 1, 4) Poniatowski XI 393; 5) Szymanowski I 42; 6) «Na obchód uroczystości ustalenia T. Prz. Nauk» VIII cz. I 10; 7) «Pochwała walecznych Polaków» VIII cz. II 19. W a I przedr. nr 3—7. Wychodziły osobno w przedkładać. III. Mowy za Księstwa poza T. Prz. Przyj. Nauk: «Przy złożeniu w grobie willanowskiem przewidzianych z Wiednia zwłok Ign. Potockiego...» w roku 1810 (a I

341—78, przyp. 379—84); «Przy wyprowadzaniu ciała... Adama Potockiego, dow. II pułku ułanów na dniu 28 list. 1812 r. w Warsz.» (tamże str. 385). Obie mowy wyszły i osobno. IV. Mowy szkolne: 1) «Przy otwarciu Liceum warszawskiego, w dniu 2 stycznia 1805 r.»; 2) «Przy zakończeniu popisu uczniów w Liceum warszawskiem dnia 28 września 1808 r.»; 3) «Rozprawa o potrzebie ćwiczenia się w ojczyźnej mowie, służąc mająca za wstęp do pisma o polskim języku, miana przy zakończeniu egzaminu Liceum Warszawskiego dnia 2 września 1811 r.»; 4) «Przy zamknięciu egzaminu Liceum Warsz. r. 1815.»; 5) «Mowa przy otwarciu uniwersytetu warszawskiego. Cztery pierwsze przedrukowane w a II 123, 139, 329, 159; piąta w programatach i w «Pam. Warsz.» Bentk. XI 268. V. Mowy wolnomularskie: 1) na cześć Mokronowskiego, r. 1784; 2) Rieule'a, 1786; 3) na zgromadzeniu d. 15 paźd. 1786; 4) «Przy podaniu projektu poprawnej konstytucji d. 9 kwietnia 1820 r.»; 5) «Przy wyborach najdoskonalszych trzech członków najwyższej kapituły, najdostojniejszych WW. dygnitarzy i WW. urzędników W. Wschodu w d. 21 miesiąca IV R. p. s. 5820 czyli Ery zwyciężaj 21 czerwca r. 1820.»; 6) «My Stan. k. Potocki, Wielki mistrz W. Wsch. Polskiego w Radzie naszej przesyłamy Wam Wsp. i Sz. Łoże pozdrowienie miłości i jedności Braterską», 1820 r. Wszystkie tylko w drukach samoistnych.

Rekopisy Potockiego, niegdys w Wilanowie pod Warszawą, po odziedziczeniu tej pamiętki przez hrab. Kaszawerową Branicką wszystkie, wraz z całem prawie dawniejszem archiwum przewieziono do Krzeszowic i pod Barany. U jednego już dziś niema na miejscu, gdzie pozostało tylko trochę teologii średniowiecznej i innych pomniejszej wartości. Wypróżnienia archiwum wilanowskiego dokonano w dwu odstawach, już w XX w. O pierwszej nie wiadomo; o drugiej zebrano następujące wiadomości: Nr porządkowy 232 obejmuje «O wymowie i stylu», prawdopodobnie tekst tożsamy z 4-ro-tomowem dziełem; nr. 251 Rozmaita ulotne poezye, bez głównego napisu, 57 str.; nr. 254 «Itinéraire des Glaciers de Chamounix, écrit par... à 18 ans»; nr. 255 «O architekturze wiejskiej, projekt»; nr. 256 «Voyages en Italie et en Allemagne»; nr. 257 «O sztuce dzisiejszych», oraz biografie; nr. 258 «Wypisy do dzieła O sztuce u dawnych».

II. Pisma o Potockim. Potockim nie zajmowano się wcale, ani jako literatem, ani jako politykiem i statystą. Z Kalinki «Sejmu czteroletniego» niepodobna odtworzyć sobie choćby w najgrubszych zarysach obrazu obywatela, patrioty i człowieka w najwładzejszym okresie życia, kiedy serce bito w piękny zespół z umysłem. Najnowsza praca Rudnickiego «Kajetan Soltyk» (Warsz. 1906) zajmuje się nim pilnie, mówiąc o sejmie 1782 r. Zresztą do dziś dnia najlepszą sumę czynów publicznych, zwłaszcza w dziedzinie oświaty, dał Staszic w Tow. Prz. Nauk, w krótkim przemówieniu pożegnaniem d. 26 listop. 1821 r. («Roczn.» XV 128—9) i w «Pochwale» czyli «Żywocie uczynnym» dnia

7 marca 1824 (tę XVIII 84—132). Cenne wiadomości o członku Komisji Rządzącej podaje Konic H. «Kom. Rządząca» (Warsz. 1905; odb. z «W. Enc. Powsz. Ilustr.»), «Pamiętniki współczesne, zwłaszcza Skarbką «Dzieje Królestwa» i «Królestwo do Rewolucji Listopadowej» przynoszą liczne świadectwa i wskazówki; trzeba je wszakże przyjmować krytycznie. O wezwaniu do Napoleona i posłuchaniu w Hotelu Angielskim w Warszawie dnia 10 grudnia 1812 roku: «Praedict. Histoire d'une ambassade en Pologne». Tarnowski pisze o Potockim w «Hist. Lit. Polsk.» wyd. 1-sze T. IV 62—8. W swojej «Historyi» Chmielowski zbywa go przelotną wzmianką (T. III 37—8).

A) Pochwała Grzegorza Piramowicza (1802).

(«Roczn. Tow. Przyj. N.» T. II, str. 1—82; «Pochwały, mowy» cz. I, 155—264; tu z «Roczników».)

Wygłosił ją Potocki w Towarzystwie dnia 15 maja 1802 r., a w treści mówił tak: W ciągu jednego roku straciła Polska Szymanowskiego (którego on sam ponad wszelką miarę był pochwalili), Krasiekiego i Piramowicza. Nie chce mówca zwiększać żalów; pragnie wykrzesać energię do wyrwania zabójczej ręce czasu tego, ku czemu zmierzają cele Towarzystwa: mowy ojczyste, «Uszlachetnić nieszczęście to więcej, niż być wielkim». P. jezuita został z czystego pobołowania. Zyskał sobie odrazu życzliwość Wacława Rzewuskiego i J. Al. Jabłonowskiego. Jako odmiustr trzech Potockich, kasztelanów lwowskich, niewdzialnie prowadził swych uczniów; z nimi lat kilka bawił we Włoszech i Francji. W Rzymie zwał się na życie całe z Ign. Potockim; w Rzymie poznał go i sam mówca. Kiedy po ponownym wyjeździe wrócił P. na ziemię rodowitą, już ona wtedy być nią przestaje. «Próżnie szuka Polski wóród Polski, a nie znajduje już i Tow. Jezusowego: boleść go wielka ogarnia (str. 22—5); zbolęły otrzymuje od przyjaciela probostwo w Kurowie, zostaje sekretarzem Kom. Ed. Narod. (28—39); redaguje statut Komisji i Tow. Elementarnej i co rok zdaje sprawę z ich działalności. Obraz dobrego plebana w Kurowie i w Międzyzdrocach Czartoryskich; «opatrzność ludu». W obrządkach, «często przesądnych» nie widział P. jedynego sposobu przydobobania się bóstwu; nieznaną była jego ludzkość, jego miłosierdzie. Przymiennienie blizkich stosunków, które łączyły zgasłego męża z Aug. Czartoryskim (dopisek o dziecinnym tronie dynastji austrijskiej str. 67) i ze Stanisławem Lubomirskim, prowadzi mówcę dalej w rozpopiel: wywołuje P-a przed siebie, mówi, jak w półtoracznej podróży zwiedził z nim «piękniejszą Europę połowę, Tybra i Partenopy klasyczne brzegi i całą auzońską ukochaną krainę». Z nim też zwałto do Paryża. Czy we Francji, czy na wolnej Helwetów ziemi, czy w «użonych Germanów siedliskach» — wszędzie był P. «pracowitą pszczołą, ssącą miody dla ojczyzny». Z nim mówca sąsiadował w kraju; w jego domu wiele dni swobodnych przepędził, pamięta go w szkółce pa-

rafialnej, którą sam był założył, nieraz otoczonego działwą wiejską. Dopiero Sejm Wielki podniósł zasłużonego męża z przynęmbienia. Ochoczo wziął się do pracy, gdy serce bilo nadzieją. Lacińskie odczyty do Rzymu podczas sejmu w sprawach urzędowych P-a styl kreślił; on-to napisał patryotyczną odezwę do wojsk pod Gołębim. Ułożywszy księgę pożyteczną dla ludu, po Targowicy jednak: — «Gdzież jest ten lud? Te moje prace, jak wszystko inne, składam na grobie miliej ojczyzny» (76). «Kwiat ranny», córkę Ignacego Potockiego, i ją starzec utracić musiał: los wydarł mu wszystko, prócz słodczy charakteru; z nią mąż entolity umarł. Dla stać Polskę tylko na dobowe wieńce, ale «zblżyła się czas, w którym zakwitną nauki w słowiańskich krainach», i w tej nadziei mówca, zwrócony do trzech zmarłych pisarzy, władających «najwyborniejszym z języków rozgależonej Słowiańków [tak] mowy, żegna ich wróżba: «Imiona wasze póty trwać będą, póki Wisła, Dniestr i Niewa płynąć nie przestaną». Całość przejęta tęsknym, elegijnym patryotyzmem poroźbiowym.

202) Str. 28—39 [Komisja Edukacyjna i Tow. do ksiąg Elementarnych]. Jaki widok uderza wchodzącego na świat Piramowicza i sprzecznem uczuciem pociąga ku niemu i od niego odpycha? Jaka w nim różność i czynów i ludzi? jaka rzeczy, zdań i pobudek odmiennosć? jak to, co od siebie morzami i wiekami odciętem się zdaje, w jednym łączy rysie, jak miesza podłość z wielkomyślnością, występkek z cnotą! Widzi z jednej strony oddzielone grona ludzi prawych, smutną uderzonych niemocą, a wśród nich schronione cnotę, obywatelstwo, nauki; z drugiej — zgraje ludzi skażonych, chciwie pracujących około ruiny własnej ojczyzny. Tak wiek zeszyły widział w obalonem mieście (Lisbona. *Przyp. Aut.*) przez trzęsienie ziemi złoczyńców, szukających złota wśród rozwalin i trupów, a błogosławiących niebu za ruinę własnej ojczyzny. Stały się pojezuickie dobra nowym pastwiskiem poczwary, co krew matki ssala. Złupiszcy ich majątek, zrzucila z siebie niezyskowy ciężar wychowania publicznego i lepszym go, szczęściem, zostawiła w podzielu. Dzięki cnym mężom, którzy stanęli na czele edukacji narodowej, dała Polska w czasach klęski i ohydy wzór jedyny publicznego wychowania, ustanowionego na swych zasadach prawdziwych, i zatarła prawie ich hańbę pamiętką wyższą nad wszystko, a tem zdwinięszą w nieszczęściu, że dotąd w szczęściu nieznaną. Czyliż dalekie kraje i wieki, słysząc lub czytając, jaki był stan Polski w roku 1773, wahać się w niepewności nie będą, coby o tych czasach myśleć i sądzić

miały? Czyliż mierząc [tak] ich słabość i upodlenie z tak ślachetnem, z tak cudnem dziełem, zdawać im się nie będzie, że mdlejącemu pod tyłą klęskami narodowi nie tylko dokonać, ale nawet powziąć tak wielkiej myśli wolnej nie było? Czyliż zadumieni nie powiedzą: «O narodzie! czemużbyś był w pomyślności, kiedyś się takim okazał w przygodzie?» Daro, daro szukam podobieństwa w dziejach ludzkich sprzeczności, którą te czasy wystawiały; ale mi go [tak] w wyższym rzeczy porządku gieniusz wskazuje. Bo czyliż nie tak połączył w sławnym obrazie śmiały twój pedzel, boski Buonaroty, i te piękne dusze, których niebo jest podziałem, i te dachy szpetnym skażone występkiem, które twórcza ręka w przedwieczne wtrąca otchłanie?*) Ty, co mniemasz móż połączyć w oczach współczesnych wygodę występku z zaszczytami cnoty, szalona nieprawości dumo! waz się przed równie bezwzględny i ostatecznym potomności, jak Twórcy, sądem, i w tym jednym przykładzie czytaj twój [tak] wyrok ogólny.

Wezwany Piramowicz od mężów, którzy na czele edukacji narodowej stanęli, na najczynniejszy jej urząd, bieży z pośpiechem na ten głos, który mu się głosem narodu być zdaje; a powtórnie się wychowaniu młodzieży poświęcając, to, co niedgdy przed ołtarzami Boga przyrzekł, rad, przed ołtarzem ojczyzny zatwierdza i święte świętym śluby dodaje. Jest otąd tak połączona pochwała jego z czynami Komisji Edukacji, że jej od nich odłączyć nie można.

Należał on do tej nieśmiertelnej pracy, od jej początku aż do jej końca, ale tak należał, że trudy jego część jej znaczną składają; że wszędy imię jego towarzyszy chwale i wdzięczności, które jej Polska winna. Rys mi więc choć lekki Komisji Edukacji i jej zamiarów wystawić przychodzi: kreśli go tem chętniej ręka moja, że na tak miłym widoku nie tylko wzrok nasz, ale i stęsknione potomności oko, czasów niewdzięcznych obrazem, z upodobaniem zawsze spoczywać będzie.

Rzeka ojczyzna, rzekł gieniusz do mężów przełożonych

*) Kiedyśny wraz z Piramowiczem oglądali w Rzymie sławny obraz sądu ostatecznego przez Michel' Angela Buonarotego w kaplicy Sykstyńskiej, wzruszony widokiem jego, i szukając jakiegoś do niego podobieństwa, przytoczył to, o którem tu wspominał (*Prezp. Aut.*).

nad edukacją narodową: «Nagrodźcie Polszcze dobrocią obywateli umniejszoną ich liczbę. Ułóżcie i do wykonania przyprowadźcie sposób wychowania, któryby dobrych ludzi społeczności, dobrych synów wydał ojczyźnie, z czego by i osobista każdego i powszechna wzrosła pomyślność. Postępicie śmiało w tem przedsięwzięciu; niech was nie wstrzymują bojaźliwe względy, niech żadna nie zraża trudność: wszystko może, wszystko zwycięży stałość światłej prawości». Idąc za tym głosem, który był głosem ich przekonania i serca, nie zaniedbali oni niczego, co tylko do tego zamiaru doprowadzić mogło. Rozciągnęli bacność i starania swoje na to wszystko, co fizyczną i moralną, co rodzicielską, szkolną i światową edukacją zawiera, w tem źródle czerpając wzór obywatelskiego wychowania, przystosowali go do rządu i gieniuszu narodu; a unikając równie ponęt nowości, jak jarzma zadawnionych przesądów, trzymali się średniej drogi umiarkowania i rozsądku. Tak wzrosło systema jedyne edukacji narodowej, pod opieką rządu jednostajnie całemu krajowi nadane.

Ale czymże są i najlepsze zamiary, jeżeli w ich wykonaniu nie przewodniczy mądrość, co je natchnęła, z rozsądkiem, zrzecznością i stałością złączona? Oto pięknym tylko, lecz nieużytecznym plodem rozumu ludzkiego, co wraz moc [tak] jego i słabość dowodzi. Umiała Komisja Edukacji nie tylko zamysł wielki powziąć, ale go do skutku przyprowadzić i wykonaniem uwiecznić. Nikną przed nią najcięższe zawady, i te, które przesąd, i te, które chciwość wznosi. Odpiera pierwsze łagodnem przekonaniem, oczywistym użytkiem, zgola, tem rzadkiem umiarkowaniem, co bez widocznej potrzeby ani ulega, ani raz. Wydiera z rąk drugiej [t. j. chciwości] przeznaczony na wychowanie publiczne Jezuitów majątek. Długo się i bezskutecznie pasuje, oburza się nakoniec Polska na widok tej wstydlivej walki, i z jej prawie jednomyślnego zlecenia oddaje sejm następny pod opiekę komisji odzyskanie i rząd rozproszonych edukacji funduszów. Gromadzi ona starannie ich szczątki, a choć zawikłane, choć znacznie uszczerbione, ciągną usilnością do takiego przyprowadza rządu, że potrzebom edukacji narodowej obficie, a nawet okazałe dostarcza.

Dźwiga natychmiast komisja podupadłe akademie Krakow-

ską i Wileńską i głównemi je szkołami Polski i Litwy stanowi. Chce je mieć jakby siedliskiem i źródłem narodowem nauk i umiejętności, z któregoby się jednostajnie na kraj cały rozpyływały. Wprowadza w nie zmiany, czasem i doświadczeniem poświęcone, na które Polska jedna od wieku i więcej niebacznem okiem patrzyła. Zachowuje dawne profesorów katedry, nowe stanowi, szuka i wybiera na nie, bądź w kraju, bądź zagranicą ludzi prawdziwie uczonych, niszczą nadużycia, zaciera przesady, przyjazną naukom obyczajność wprowadza, a baczna na przyszłość, seminaria nauczycielów stanowi, którzyby, jej duchem napojeni, przelać go w następne pokolenia byli zdolnymi.

Zna [= wie; w. XVIII] komisya, jak wolność, wnosząca rozum i duszę człowieka, jest naukom przyjazna, jak je, przeciwnie, poniża, umysł i serce jego poniżająca, niewola. Świadczą to swobody, stanowi akademickiemu od niej nadane. Nie tylko im rząd domowy zgromadzeń, w których żyją, poleca, nie tylko rozpoznanie zdolności kandydatów i wybór na miejsca profesorskie oddaje; ale kary, nagrody i sąd członków społeczeństwa swego powierza, ale, ich rady zasięgając, jakby sejmy uczone zwoluje, w tem wszystkim, co do oświecenia nauk i potrzeb ich stanu ściaga się: zgola, wolność oświeconą naukom za towarzyszkę nadał.

Nie winuje komisya ludzi za panujące w ich czasach nauk przesady, starości spoczynek z zaszczytem opatruje, młodości zachęcenie, każdej pracy nagrodę. Zmiana nawet nauczycielów nie nosi cechy ich wzgardy, lecz potrzeby odnowionych nauk, szacunku odbytej pracy. Bierze tok inny filozofia, kwitną matematyki, sztuka rozumowania braterskim z nimi łączy się węzłem. Napelnia komisya biblioteki, szczepi zielnicze ogrody, wznosi wyniosłe niebios strażę (t. j. obserwatorya. *Prz. Aut.*) i w najkosztowniejse je sztuki gwiazdomierczej opatruje sprzęty. Dzieli fizyka jej starania i nakłady, dzieli historia naturalna, dzieli sztuka lekarska we wszystkich swych gałęziach, a część jej najużyteczniejsza, za czasów naszych tak słusznie wslawiona, chirurgia, w Polsce doskonalić się zaczyna. Tak oświecona ku wszystkim umiejętnościom hojność jest obrazem rzetelnej współzawodniczości wielkiego narodu, co w krótkim lat przeciągu umie sobie nagrodzić wieków zaniedbanie, co nagle z niego ocu-

cony ściaga olbrzymia krokiem powoli ku doskonałości postępującej nauki.

Czegóż gieniusz, wsparty narodu zamożnością, w krótkim czasie dosięgnąć nie zdola? Dlatego małe rzeczy często bywają ciężkimi, że w nich zamknięci ludzie wnieść umysłu swojego i o wielkie kusić się nie śmieją. Śmie, co tylko jest dobrem, dokonywa, co tylko jest użytecznem, Komisya Edukacji i wśród skazanych czasów pomyślnych szczepi nadzieje. Po wszystkich województwach, ziemiach i powiatach wznosi wydziałowe i podwydziałowe szkoły: w nie się mienia Jezuckie gmachy i im podobną biorą postać te, któremi ku wychowaniu młodzieży inne zarządzają zakony. Myśl wielka tem ogromem ustanowieniem kieruje. Pamięta komisya, że nie tylko ludzi uczonych winna krajowi, lecz obywatelów ojczyźnie. Stają się w jej ręku szkoły narodowe równie obywatelstwa, jak nauk kolebką. To skuteczne lekarstwo bliznom ojczyzny, ten dziw nieznanym wiekom terazniejszym gotuje: pomyślności kraju, nie cudzemi klęskami, lecz własnem światłem nabytej. Łączy wychowanie obywatelskie z uczeniem, fizyczne z moralnem, zgola, czerstwość duszy z ciała czerstwością, a na nich zakładając szczęście człowieka i obywatela, szczęście ojczyzny i ludzi gruntuje. Ciekawy badacz, nie czczych dowcipu marzeń, lecz rzeczy ludziom wiecznie użytecznych, znajdzie w ustawach komisji szczegóły obrazu, którego ja tu rys ogólny wystawiam, wstrzymany i granicami tej mowy i rzeczy ogromem. Tam pozna rozdział i rozsądne stopniowanie nauk, tam baczny ich dozór, tam wybór starowny nauczycielów, tam ich ku uczniom i uczniów ku nim wzajemne powinności, tam wieku wysłużonego nadgrody, tam zachęcanie młodości, tam dla niej bodźce honoru, nie podle kary, tam w jej nawet zabawach zręczności, męstwa i hartowności szkołę, tam wszędy duch [tak] panujący cnoty i obywatelstwa, a nim otoczoną młodzież jakby powietrzem, którem oddycha i żyje.

Ktoż w ustawach Komisji Edukacji widzieć będzie bez tkliwego uczucia roznamiętnioną jej opiekę do wszystkich mieszkańców tej ziemi? Nie wypuściła z niej ludu wiejskiego, tej najbliższej, a przecię zwykłe zaniedbanej części narodu. Otwiera dla niego szkoły parafialne, szanownej je pieczy pasterzów miejscowych poleca, pociąga właścicieli do tego przedsięwzięcia,

przepisuje nauki, mistrzów obmyśla, zaprzęta się dozorem. Celem jest szkół parafialnych oświecenie około religii, około powinności stanu swego, około robót i przemysłu jego. Nie tu pozorowi, wszystko pożytkowi oddanem. Nie boi się Komisya Edukacyi widzieć ludzi ludźmi, bo ciastość trwożliwych względów nie określa jej wielkich zamysłów, bo przewidywać zdaje się, że wnet wyda ojczyzna ten pamiętny wyrok, który każdemu, co stanie nogą na ziemi Polskiej, wolność zaręczywszy, lud rolniczy pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmuje (W ustawach Trzeciego Maja. *Przyp. Aut.*). Szuka [= stara się] widocznie Komisya Edukacyi do tego dobrodziejstwa godnych tworczy i przygotować ludzi.

Taka jest treść pamiętnych jej ustaw. Zastanawia w nich ważność przedsięwzięcia, uderza łatwość i porządek w jego dokonaniu, zadziwia górująca prostota, pewne dzieł wielkich znamie. Natchnął je duch światłego obywatelstwa mężom, składającym tę jedyną w świecie magistraturę, dyktował geniusz i doświadczenie, kreśliła ręka Piramowicza, a godne dłuższego bycia złożyła użyteczność w archiwach świata, jako prawo do szczęścia, przyszłym pokoleniom służyć mogące. Ale kiedyż przyjdzie czas, w którym ludzie, pracowicie zaprzątynieni poszukiwaniem tylu nieużytecznych sobie rzeczy, spostrzegliż błąd swego, chwycią się tych, na których spoczywa ich pomyślność? Obiegli już, acz przestronną imaginacyi kraje, wyczerpali wszystkie prawie jej bogactwa: błędą dziś, po bitych jej manowcach próżnie śledząc nowości, mniej zwiędzeni, jak sami się zwieść chcący. A kiedy zdaje się, że wszystko już w tym rodzaju objęły ich pisma niezliczone, żadne, — ach, żadne! — poznać gruntownie światu nie dało prac tak użytecznych dla ludzkości, jakimi były Komisya Edukacyi! Niknie w oczach wieku oświeconego jedna z najpiękniejszych ozdób jego, pelzniese jedno z dzieł najużyteczniejszych rozumu ludzkiego, to może, którym się dzisiejsze czasy najbardziej zbliżyły do dawnych. O wy! których ciekawość zdala na naszą przewodzi ziemię, łatwiej wam przebaczyć płochą waszą w sądzeniu porywczosć o narodzie, zaledwie wam powierzchwie znany, jakżeście w nim widzieć tego nie umieli, co uwagi waszej najgodniejszem było, tego, czegoście u siebie nie znali. Nie

tak Pitagoras, nie tak Bias, nie tak Platon, nie tak ów sławny Scyta Anacharsis po świecie wędrował*).

Gdzież mnie niewczesny uniósł zapęd i przerwał to, co mi jeszcze o Komisji Edukacyi powiedzieć zostaje! Nie będę ja wtrzymywał uwagi waszej jej organizacyą; nie będę rozdzieleniem Polski na wydziały szkolne, poddane szczegółnemu komisarzów dozorowi; nie będę szkół wizyta, nadgodami nauk, zachęczeniami zręczności; nie będę kosztowną zagranicę wyprawą ludzi, w różnych umiejętnościach doskonalić się mających, i nieuprzedzonym ich wyborem; bo te rzeczy, acz godne wspomnienia, nikną przy większych, jak przy ogromnych natury dziełach nikną drobniejsze jej, choć piękne, twory. Lecz przemilczęć nie mogę społeczeństwa Elementarnego, tej okazalej komisji odooby.

Przybrała go [tak] sobie jakby za towarzysza wiernego uczonych prac swoich i powierzyła mu wykonanie dzieła, którego czyli nas nowosć, czy ogrom, czy zastanowi użytek, zawsze go w tylu upłynionych wiekach jedynem w swym rodzaju widzieć będziemy. Dość dla dowiedzenia tej prawdy powiedzieć, jaki był zamiar jego. Oto spisanie w ojczystym języku książek elementarnych i klasycznych, do wszystkich nauk służyć mających. Nie ma, nie miał ich dotąd żaden naród, żaden nawet tego nie powziął zamysłu, kiedy on u nas w wykonaniu i w swej mocy kwitnął! Był rekojmnią dokładności tej pracy wybór mężów z pomiędzy rodaków, do niego wezwanych, był i tych obcych pisarzów, których użyteczna mądrość stała się światłem wszystkich narodów. Były wydane dzieła przez członki społeczeństwa tego prawdziwie klasycznych wartość nazwiska. Były, nakoniec, złączone starania męża, którego na czele jego komisya mieć chciała (Ignacego Potockiego. *Przyp. Aut.*) wraz z Piramowiczem, co w nim miejsce sekretarza zastępował, i ta w naukach, jak w życiu ich przyjaźń, która w tem występowała, co dobrem, co

*) Pomijając wielu, wspomnę tu tylko Pana Koxa Angielszczyka, którego podróże północne są w ręku wszystkich; pisze on dość obszernie o Polsce, a raczej o Warszawie; badanie jego, z dat własnych Journalu wyjęte, miesiecznym w całej Polsce nie było: nie dziw, że w tym przelocie komisji edukacyi nie dostrzegł, tyła fraszkami w Warszawie zaprzątyną, *komisji edukacyi nie dostrzegł, tyła fraszkami w Warszawie zaprzątyną, komisji edukacyi nie dostrzegł, tyła fraszkami w Warszawie zaprzątyną.* (*Przyp. Autora.*)

użytecznym, co ślachtetnem było, jednym tochnęła duchem: tak, że Piramowicz, nie wyższości [= *wyższości, nie*] miejsca, lecz rady, ulegając, szedł zawsze, za swoim idąc, za przyjaciela zdaniem. Jednę dla ojczyzny duszę, jedno ku sobie serce mieli. Rozprzagnęłaś, o śmierciel! tak rzadką przyjaźń okrutniejszym dla pozostałego, jak *[tak]* dla zeszłego ciosem!

B) Rozprawy o języku, wymowie i literaturze polskiej (1811—5).

(«Pochwały, mowy»... cz. II, str. 329—664).

Poprzedza je zaoferowanie Lindemu (str. 327). Wszystkich jest dziewięć: I. O potrzebie ćwiczenia się w ojczystej mowie (329). II. O piękności języków w ogólności i o przymiotach języka polskiego w szczególności i jego stosunkach z łacińskim (348). III. O początkach narodu i języka polskiego, o jego dalszym postępie, o wpływie na nim mów obcych, o naczelnych pisarzach aż do Skargi i o przyczynach stanu, w którym nam zostawili nasz język (380). IV. Przyczyny upadku, wraz z naukami, języka polskiego; nowa epoka dźwigniana się jego za czasów naszych; przeszkody ku zupełnemu udoskonaleniu i środki zaradzenia tymże (429). V. O środkach ku większemu udoskonaleniu mowy naszej (461). VI. Ciąg dalszy uwag, do uzupełnienia języka polskiego i wymowy polskiej słuzić mogących (487). VII. O naukach i sztukach za czasów Zygmuntowych i o pisarzach polskich, mianowicie proza, od początku XVI w. do czasów St. Augusta (506). VIII. Stan nauk styczny z panowaniem St. Augusta; znakomici poeci i pisarze dramatyczni od początku tegoż aż do chwili dzisiejszej (571). IX. Znakomici pisarze prozą od początku panowania St. Augusta aż do dzisiejszej chwili (605—64). Pierwsza z tych rozpraw jest mową z r. 1811 w Liceum Lindego (ob. Bibliografia CIV B). Zasadnicze myśli, a nawet wykład w dosłownem brzmieniu w trzech następnych znajdują ją już w rozprawie o języku polskim, odczyt w r. 1812 w T. Prz. N. («Rozniki» IX 296—376); zwłaszcza rozprawa II jest prawie żywcem wyjęta z roznikowej. W całkowitym rozstoku pięciu rozpraw (II—VI) otrzymuje się następujące momenta myśli: Język nie tylko daje geniuszowi narodowemu jego wyraz, ale i pokazuje geniuszu miarę. Część swych przymiotów czerpie język z samej natury, część z pracy narodu nad jego udoskonaleniem; jest więc pracowitą zdobyczą geniuszu narodowego. Najgenialnym jest język grecki. Język włoski, zepsuty łaciński, już mowie Rzymian nie dorównywa; francuski ciężko i dłużej borykać się musiał. Nie darmo też Voltaire: «Grecy i Rzymianie budowali z marmuru; my z cegły stawiliśmy budynki». Żaden język nowożytny nie ma takiej, jak starożytny, prozody i harmonii. Przymioty języka polskiego w porównaniu z łacińską (str. 358 nast.). W słowach złożonych niższymi jesteśmy od Rzymian, ale w wyrazy zwiększenia i zmniejszenia bogatszymi: ustępujemy

jednym tylko Włochom. Przyczyną niewyrobiaenia się naszego jest łacina. W XVI w. język polski zdumiewająco się rozwija, głównie za sprawą Reya; ale od Skargi, od Zygmunta III do St. Augusta «okropna pustynia». Z rozsadku Czartoryskich, z mecenasostwa króla, z teatru, z «Monitora» — poprawa. Pierwszym czystszymszym pisarzem Bohomolec. «Talentów mieliśmy za St. Augusta więcej, niż nam po nich zostało pamiętek». Z tem wszystkim język polski dziś już ma prawo stać w pierwszym żyjących rzędzie: «tylko nam zbywa na wyrazach każdej rzeczy właściwych i na niemylnych w wyśłowieniu wzorach». «Trzeba wielkich pisarzy! ten środek zamyka w sobie wszystkie inne; ale potrzeba dobrego smaku, bo na smaku mowa polska więcej, jak żadna *[tak]* łuna, polega». Niebezpieczeństwo przekładów szkolnych: przed łacińskimi dawać wzory polskie. Cudna jest moc i panowanie języka. Prawo do mowy ojczystej jest jednym z walnych praw narodu, a prace nad nią nie są uczoną zabawką, są godnym obywateli trudem: wszak po upadku ojczyzny język był naszym narodowym skarbem. Prace Kopczyńskiego i Lindego. — Rozprawy VII—IX dają przegląd historyczny, na piśmiennictwo narodowe. Pierwszy początek zrobił był autor jeszcze w przypiskach do «Pochwały Józefa Szymanowskiego» (1801).

203) Cz. II, str. 358—65, z rozpr. II [język polski i Łacina]. Przystępując do języka Polskiego, zacząć mi należy od rozpoznania przymiotów i możliwości jego, do czego porównanie z Łacinią najlepszym staje się środkiem. Ten rzeczy porządek jest koniecznym, wprzód bowiem poznać należy własność i możliwość narzędzia, nim sądzić o użyciu i wydoskonaleniu jego. Szczęśliwe zdarzenie nadało mowie polskiej też samą, co i łacińskiej, składnię: jest to prawda gramatyczna do udowodnienia łatwa, lecz nieco długa i tęskna. Niezwyciężoną jest bowiem suchość gramatycznego rozbioru, której ja choć w części chcąc uniknąć, wytknę tu tylko zasadowe dwóch języków związki.

Wspólna jest nam z łacińską właściwość deklinacji, czyli przypadkowania, wyraźnie oznaczona przez rozmaite zakończenia jednego słowa; ta różnica przez się nas ostrzeża, w jakim słowo znajduje się stosunku z poprzedzającym lub następnem. Korzyść ta nie jest tak małą, jakbyśmy rozumieć mogli, bo, nadając językowi naszemu dar przypadkowania, nie przysmasza go do zastępowania braku jego przedimkami, przykrzym ciężarom, przywiązany do niedostatku składni niejednego z dzisiejszych języków, co, właściwie mówiąc, ogolonoce z przypadkowania, zastępują go *[tak]*, jak mogą. Ustawne powtarzanie przedimków mnoży częste słowa i nie tylko obciąża, lecz krę-

puje niemi mowę, a odejmując jej wszelką prawie wolność słów przekładu [= *przekładni*], odejmuje źródło licznych piękności dla niezbędnej potrzeby zastąpienia przednikami rozmaitych jednego słowa ukończeń, rzeczywiście stanowiących przypadkowanie.

Chlubnej dla języka naszego nie mogę tu pominąć uwagi, t. j. niejakię w przypadkowaniu nad łacinią wyższości. Zaszczyt takowy zbyt rzadko dzisiejsze języki posiadają, bym go w własnym przemilczał. Najprzód, w deklinacjach naszych przypadkiem jednym od łacinników bogatszy jesteśmy: sześć oni, my ich siedm liczymy. Powtóre, gdy język nasz ma osobne formy do przypadkowania przymiotników, osobne do rzeczowników, wynika stąd mnoga różnaitość dźwięków, nie pozwalająca jednostajności, w jaką wpaść może łacina, z powodu, że te same przypadkowania służą u niej przymiotnikom i rzeczownikom: np. *magna mensa*, dwa razy tamsam zakończeniem uderza jednostajnie ucho, którego [= *czyjej*] my unikamy, mówiąc *uchód wielki* i t. d. Tu niby jakieś prawo do harmonii nad łacinią zyskujemy, w której ona z tych innych miar jest od nas daleko wyższą. Cożkolwiek bądź, kiedy jednym z harmonicznych mowy środków jest roznaitość ukończeń, różność dźwięków płodząca, zaprzeczyć nie można, że się wiele do niej przykładu przypadkowanie nasze, na niej zasadzone. Do tego wszystkie polskie przymiotniki trojaki mają zakończenia w stosunku do trojaczego rodzaju: męskiego, żeńskiego i nijakiego; gdy ich wiele w łacinie jedno tylko lub dwa posiada. I tak, słowo *felix*, niezmiennie co do rodzaju w łacinie, ma ich trzy u nas: *szczęśliwy, szczęśliwa, szczęśliwie*. Również wyższy stopień, czyli porównyjący, trzy u nas, dwa u łacinników liczy zakończenia; u nich *major, majus*; u nas *większy, większa, większe*. Są to rzetelne dla składu języka i dla harmonii łatwości; a zatem zaprzeczyć nie można, że przypadkowanie nasze równa się łacinnikowi, jeśli go nie przechodzi.

Jak deklinacja, tak i konjugacye, czyli czasowania polskie obchodzą się bez zaimeków osobistych, bo rozmaite słów naszych ukończenia stosunki czasowania, jak przypadkowania oznaczają, kiedy się bez nich wszystkie prawie dzisiejsze języki, wyjąwszy słowiańskie, obejmć nie mogą. Wprawdzie czasowania nasze

mają także z jednej strony nieco wyższości nad łacinnikami, ale im nie wyrównują z drugiej. Nie mają one różnicy rodzajów w czasie przeszłym, którą my posiadamy. Któż nie czuje, że *dormivit homo, dormiuit mulier, dormiuit animal*, trzy razy równe powtarzając *dormiuit*, nie oznacza rodzaju i ubliża różnaitości dźwięku, gdy my obom tym rzeczom dogadzamy, mówiąc: *spiał człowiek, spała kobieta, spało zwierzę*. Z drugiej strony nie wyrównują ze wszystkim konjugacye nasze łacinnikami, mianowicie w imiesłowach i w całym słowie biernem, które nawzajem nie dochodzą dokładności greckich; lecz mało co ubożsi w tym rodzaju od łacinników, nierównie od współczesnych bogatszymi jesteśmy. Nadewszystko w konjugacyach, jak w deklinacjach naszych cenić winniśmy, że za ich pomocą postępujemy w mowie naszej, wolni od potrzeby przywiązywania do wszystkich czasów słowa jednego, albo nawet dwóch, obciążonych zaimekiem, co, wprawując w jednogłośność, opieszalsze i trudność składu, staje się jedną z przyczyn, dla których przekład słów jest albo nader ograniczonym, albo wcale niepodobnym tyłu dzisiejszym językom.

Otoż wielka korzyść przypadkowania i czasowania naszego, z której dla nas wypływa przekładu słów łatwość nieograniczona. Może ważność deklinacyi i konjugacyi mniej dlatego nas uderza, że są [*one*] początkową dzieci nauką; lecz właśnie dlatego początkowa gramatyki nauka od nich się zaczyna, że one są węgielnymi kamieniami, na których się wznosi cała języków budowa. Ginie ta, drobna napozór, lecz ważna w rzeczy uwaga z przed oczu naszych. Tak, kiedy widzimy gmach wspaniały, nie myślimy o ukrytych w ziemi posadach (fundamentach. *Przyp. Aut.*), na których on stoi, a bez których staćby nie mógł.

Nie będąc się tu rozszerzał nad niezmierną łatwością, mocą i ozdobą, jakie wolny słów przekład, mianowicie w poezyi w wymowie językiem nadaje; bo ktoż tego nie czuje, że dać słowom szyk, jaki się podoba, zmieniać go i miarkować do woli, przecinać, zawieszając wysłowienie, zbliżać lub oddalać wyrazy, gromadzić je lub dzielić, nadawać im wzrost lub spadek dowolny, zaczynać lub kończyć do wyboru myśl temże słowem, umieszczać go [*tak*], gdzie brzmienie wymaga, gdzie dobitność wyciąga,

gdzie się uchu podoba, gdzie [sic] smakowi zdaje, gdzie skutek radzi: zgola, rządzić dowolnie słowami, nie zaś być od nich rządzonej, jest najskuteczniejszym środkiem nadania mowie nie tylko płynności, mocy i harmonii, lecz koloru, ruchu, życia, zgola, naśladowniczego rzeczy wyrazu, i otrzymania tych wielkich skutków, którymi przez sam słów układ grecka i rzymska wymowa tak potężnie uderza? Dozwala i nam uczestnictwa tych piękności nasz język, przez równą z dawnymi w przekładaniu słów wolność, którą winien jest mało co znaczącej na pierwszy rzut oka przypadkowania i czasowania swego z nimi stosowności.

C) O wymowie i stylu (1815).

Towarzystwo Pr. Nauk zleciło Potockiemu opracowanie retoryki: podjął się, ale, gdy mu kazano rozwinąć «całą naukę», to go «przestraszyło». Mimo przestraszu wszakże zasiadł do pracy i w parę lat «dla pożytku miedzi» ją wykończył. Pierwszym jej rzutem, zasadniczym ujęciem jest «Rozprawa o sztuce pisania czyli o stylu», odczytana w Tow. Przyj. Nauk dnia 7 stycznia 1813 r. («Roczn.» X, 28—58; «Pochwały, mowy...» cz. II, 277). Prawd jej nie zdobył autor własną walką myśli badawczej; bierze je z Cycerona, Longina, Kwintyliana, a przyznaje się, że głównie poszedł za Rollinem i Buffonem. Ostatniego z nich odrazu się wycezuwa ze zdań: styl sięga do serca, styl jest samym człowiekiem, a «ulanie jakby w jedną sztukę» — prawem; naśladowanie nigdy nic nie wytworzyło. Ale cały ten cudzy dorobek pretwarza Potocki w głębokie przekonanie własne. Trzy są style: prosty, środkowy (mierny) i najwyższy (szczytny). Ten trzeci «rządził nieraz Grecyą i światem». Wspólnym wszystkich celem przekonanie, podbite umysłów. Prostota jest najtrudniejsza; przesada zabija; kwiecistość ośmiesza; szczytność wymaga wielkości przedmiotu. W każdej mowie ważniejszej znaleźć się muszą wszystkie trzy style; trudność w łączeniu i doborze. W każdym rodzaju obowiązuje całkowitość, niepodzielność, jak w naturze, która «zawsze daje całki». Wszelako «nie pisze dobrze, kto pisze tak, jak mówi, choćby mówił dobrze» (46). Styl wypływa z rozsądku, z duszy i ze smaku. Ton, czy register stylu zależy od zgodności wysłowienia z naturą przedmiotu. Wiedza, biegłość, wynalazczość są zewnątrz człowieka; styl jest samym człowiekiem. Styl i język, mianowicie polski. Giętkość tego języka wynagradza go za ubóstwo wyrazowe. Wszystko to w owej rozprawie zasadnicze. — Gdy Potocki miał pisać dzieło, do wskazanych wyżej przewodników przybyli mu z Grecyą Arystoteles, z Francyją Blaire i Thomas, wreszcie Świąjcar Laharpe, i dostarczyli nader obfitego zasobu historyczno-krytycznego. Dzięki tej zasobności mógł już na siałce pojęć powyższych roztoczyć rozległy obraz sztuki wymowy i sztuki

pisania w starożytności klasycznej, w pseudo-klasycyzmie i w dalszych do końca XVIII w. przejawach myśli francuskiej. O innych narodach, literaturach i mówcach cicho w dziele; jeżeli się co znalazło, to tylko z łaski przewodników. Historia, operacyja na źródłach przytoczyła myśli i zasady. Powstała książka niezadarna i jednostronna, napisana bez należytęj staranności o styl, ale mimo to wiele zdań, poglądów i zestawień rozumnych czytelnikowi dająca. Mamy w niej wymowę naradną (publiczną, sejmową), sądową, kazalną, pochwalną, akademicką, filozoficzno-moralną i filozoficzno-praktyczną (T. I i II), a początek wzory z drugiej i z trzeciej reki. Wielkość francuskie XVII i początku XVIII wieku prawdziwie nas przesładują. Z przyjemnością za to i pożytkiem czyta się Demostenesa i Cycerona (I i III). Orzekłwa i nas też całkowity przekład Rousseau'a improwizacyi o naukach i sztukach (II). W tomie IV występują style przedmiotowe, do każdego rodzaju pisania. Tu znova królują Francuzi; w rozdziale wszakże 20-tym części II, o Historii, już nie Francuzi myślą za autora, ale on sam korzysta ze szkoły getyńskiej, z «O Historii» Lelewela (1814) i daje rzecz zajmującą i na dziś jeszcze prawdziwą. Kończy zasadami «dobrego smaku» i zasadami krytyki. Rozprawę o krytyce, odmienną od rozdziału 36-go części II (Tom IV), zakończonego całe dzieło, wylosił był jeszcze dnia 21 stycznia 1811 r. w Tow. Przyj. Nauk («Roczniki» IX 101—19 i osobno), a odmienny tekst zamieścił w «Pochwałach...» część II, 250 (ob. Bibliografia). We wszystkich trzech opracowaniach tematu wraca do teorii; duszą nazywa myśl, ciałem styl, smakiem dobór stylu do rzeczy. Ubolewa znova nad ubóstwem języka polskiego w umiejętnościach, spiera się na ciągłą kuźnię wyrazów, ośmiesza ją później w «Świątku». W przedmowie do niniejszego dzieła przyrzekł był dać inne, umyślnie o stylu polskim, ale go nie dał.

204) *Tom I, str. 299—304. Z rozdz. 12-go części I, „o wymowie naradnej“* [Mowy improwizowane]. Niema wymowa nie trudniejszego, ale nie także, coby ją rzeczywiście oznaczało, jak nieprzygotowane mówienie; dlatego też dar ten, posunięty do pewnego doskonałości stopnia, jest najrzadszym. Tym sposobem mówiacemu nie tylko rzecz dokładnie posiadać należy, ale tę w wystawieniu jej łatwość i prędkość, co wraz myśli i właściwe im wyrazy podaje. Piszący w zaciszy ma czas zakreślić rys ogólny mowy swojej, ma czas przystosować jej części, ma czas dobrać i uporządkować dowody, ma czas rzecz każdą na swoim miejscu położyć i właściwemi upięknić ozdobami, bądź myśli, bądź stylu, ma czas wszystkiemu poprawić i jedność nadać. Lecz tutaj wrz składają i mówić przychodzi; niepoprawnym jest błąd popelniony, zmadac on [tak] się nie daje; więc koniecznie ustrzedz go się należy, a przynajmniej być

pewnym nieopelnienia takich, co by zbyt rażącymi były. Trzeba temu, co się mówi o jakiej rzeczy publicznie odważa, wszelkiego zasobu znajomości do niej stosownych, prócz tych ogólnych wszelkiego rodzaju wiadomości, bez których światły mówca obejść się nie może. Bo kiedy ten, co pisze swobodnie, ma czas i zrzęcnność poszukiwania tego wszystkiego, co do mowy jego służyć może, czyniący z głowy mieć do przy sobie powinien i umieć natychmiast jak najlajniej innym przedstawiać; trzeba mu tego smaku, tego uczucia, tego dotknięcia, które uczy znieznacka zmieniać ton stosownie do przedmiotu, do zdarzenia, do okoliczności: tu być prostym, tu być jedynym, tu być czułym, a wszędy naturalnym i jasnym. Trudnem jest, zaiste, to wszystko, i dlatego nieprzygotowana wymowa najwyższym jest jej stopniem; lecz ma ona nawzajem ułatwiający pomoce i rzetelne nad przygotowaną korzyści.

Pierwszą jest wrażenie, które na słuchaczach sprawia; zinnem jest przy niem napisanej mowy czytanie, a gdyby się nawet kto jej nauczył na pamięć i jak najzrzęcniej ją wymówił, nigdy ona tego ognia, tej żywości mieć nie będzie, jakie daje momentalne natchnienie. Niepomnał wznosi umysł mówcy widok często burzliwego zgromadzenia, co głosu jego w głębokiem słucha milczeniu. Rozszerza się, rozprzestrzenia myśl jego w miarę miejsca i liczby słuchaczów i kusi o przedmioty równie wielkie, jak ten, który widzi przed sobą; nim ośmielony, mówca śmie, co tylko może, a możliwości jego nie ścieśnia ani miejsce, ani słuchacze. Któżby się z ludzi wymownych odważył, roztrząsając przedmiot jaki z przyjaciółmi lub z uczniami, wnieść do tej wysokości myśli, wyrazów — zgola, tonu — do jakiej go wznosi sama przytomność tysiącznych widzów, pilnie słuchających słów jego? z których każdy, że tak powiem, własny tłumi oddech i zawiął od ust jego. Ten tylko, co nie doznał korzyści takowych, może nie czuć, ile sprzyjają nieprzygotowanej wymowie, ile zachęcają i ile jej mocy, ognia i sprężystości dodają. Dlatego też płynniejszą, tkliwszą, zgola, więcej znieznalającą, niżeli przygotowana, wydaje się ona słuchaczom. Ma jakiś ton natchnienia, co ich żywiej dotyka; zgola, mówi ona do nich duchem wymowy, a przygotowana — jej tylko językiem. Poręczność jej zastanowić się nie pozwala nad lekkimi stylu

skazami, których się w tym rodzaju ustrzedz niepodobna; i, zaiste, lepiej jest dopuszczać ich się niekiedy, jak [tak] przez zbytnią staranność w unikaniu zatrzymywać lub przerywać bieg mowy, jąkać się i wahać w wysłowieniu; bo wtedy słuchacz, dzielący wszelkie mówcy uczucia, z nim wpada w obawę, by ta niepewność nie uszkodziła osnowy rzeczy jego: zgola, jest to uczucie równie nieprzyjemne dla mówiącego, jak dla słuchacza, którego, ile możliwości, ochraniać mu należy. Dlatego lepiej mniej dokładnie rzecz powiedzieć, jak, poszukując tej dokładności, wpadać w niepewność i obawę. — Otóż niektóre uwagi o nieprzygotowanym mówieniu, w doświadczeniu czerpane, a którymby łatwo więcej dodać, gdyby nie wstrzymywała ta uwaga, że ten talent jest raczej natury darem, jak skutkiem przepisów nauki; bo choć ona jest koniecznie do niego potrzebna w dzisiejszym społecznym stanie, nie ona go przecież nadaje, bo on się i w prostych, i w dziłkich ludziach w stosownym do ich uczuć i potrzeb stopniu niekiedy znajduje.

205) T. III. str. 283—9. Z rozdz. 11-go części II „O początkach i naturze figur“ [Postaci mowy]. Przystąpmy do roztrząsania początku i natury figur, mianowicie tych, które zawiły od wyrazów. W tej liczbie obejmę ten liczny ich udział, który Retorowie tropami nazwali. W czasie pierwiastkowego ukształcenia [tak] języków, ludzie zaczęli od nadania imion temu, co najczęściej uderzało ich oczy, albo o czem najczęściej myśleli, a to imiennictwo bez wątpienia długo nader ograniczonym było. Lecz w miarę pomnożenia [tak] się ich pomysłów i znajomości większej liczby przedmiotów, wzrosło tworzenie imion; ale było i może jest niepodobnem, żeby język dostarczał wyrazów różnych do wszystkich pomysłów i wszystkich przedmiotów. Starali się więc ludzie uniknąć pracy nieskończonego słów wynajdywania, a wraz, by ulżyć ciężaru pamięci, użyli słowa, już przysposobionego do jakiej myśli lub rzeczy, by niem inną wyrazić, co się mieć zdawała z pierwszą jako związek. Tak przyimek *o* był początkowie wynalezionym do wyrażenia miejscowej okoliczności, naprzykład: «człowiek był zabitym *w lesie*», następnie zabrakło słów do wyrażenia stosunków ludzi z pewną posiadą fortuny lub umysłu; a mniemając widzieć jakąś styczność między tym i ciał położeniem, użyli przyimku

[tak] *we*, by wyraził pewne okoliczności: np. «jest w zdrowiu zlem lub dobrem, w radości lub w smutku, w niepokoju lub w spokojności». Widzimy, że wtedy przyimek *we* sprawił skutek tropu, to jest, że go użyto w sensie różnym od jego pierwszego znaczenia, by wyobrazić nowy przedmiot, co się zdawało mieć nieślaki podobieństwo z tym, który pierwsiastkowo oznaczał.

Zwroty tego rodzaju są pospolitymi we wszystkich językach i widocznie wskazują brak osobnego wyrazu dla każdego przedmiotu. Słowa, początkowo wyobrażające rzeczy widoczne, były odtąd użyte w wszystkich prawie mowach do wyrażenia czynności rozumu, mianowicie zaś jego skłonności. Przyczyna tego jest nader prosta: imiona rzeczy widzialnych pierwsze wynaleziono w wszystkich językach i następnie przystosowano do przedmiotów myśli, którym ciężiej było znaleźć nazwiska dla nader niedokładnego ich pojęcia.

Pożyczono więc imię lepiej znanego pomysłu, co wystawiał wyobraźni niejaką stosowność; i tak mówimy: «*wrzask przerażający, krew zimna, zakamieniałe serce, jasne rozumowanie, człowiek zapalony gniewem lub gorejący miłością, nadepty pęch lub zalany łzami* etc. i nie mamy innych wyrazów, co by mocniej malowały te pomysły.

Lecz, chociaż nieplodność języków albo brak słów rzeczywiście przyłożył się do wynalezienia zwrotów, ta okoliczność nie jest przecież ani jedynem, ani naczelnem źródłem tej postaci mowy. Wpływowi nad nią imaginacyi winniśmy przypisać początek zwrotów i ich bujne rozplodzenie. Przedmiotom, sprawującym wrażenie na ludzkim rozumie, towarzyszą okoliczności i stosunki, które nas wraz uderzają. Nigdy ich nie dostrzegamy odrębnym sposobem, to jest oddzielonych od wszelkiej innej rzeczy. Zdają się powiązane z jakim przedmiotem, co je poprzedza albo co idzie za niemi, to jest z skutkiem albo z przyczyną: tym sposobem każdy pomysł, lub każdy przedmiot wystawia zawsze inne pomysły, któreby można uważać, jako rzeczy dodatkowe, co niekiedy żywiej uderzają wyobraźnię, jak [tak] przedmiot naczelny. Stąd pomysły mogą być przyjemniejszymi lub łatwiejszymi do objęcia, albo przypominąć pamięci naszej większą rozmaitość ujmujących okoliczności. Przyjemniej na nich

spoczywa myśl nasza: a zatem, zamiast użycia właściwego imienia naczelnego pomysłu, który chce wyobrazić, używa imienia pomysłu odpowiadającego lub dodatkowego, chociaż naczelny ma swoje imię właściwe i znane. Stąd wynika, iż niezmierna rozmaitość tropów wciśnęła się w języki, mniej jeszcze przez potrzebę, niż przez wybór, a żywość ludzkich wyobraźni codziennie je pomnaża.

Tak, kiedy chcemy wskazać epokę, w której człowiek jaki używał najwyższego stopnia chwały swojej, chociaż łatwo jest wyrazić myśl tę słownie, wiąże się ona w imaginacyi naszej z pomysłem o roślinie lub drzewie w największej ich mocy, i mówimy: «*kwitnął w tym wieku, kwitnął w Rzymie lub w Polsce*» etc. Zamiast powiedzenia, że człowiek kieruje jakim stronictwem, mówimy: że «*jest na czele jego*». Głos początkowie wyobrażał dźwięk, który usta wydają; dziś mówimy: «*daje głos za tym, biorę głos przeciwko temu*»; co więcej używamy słowa tego, by oznaczyć wolę albo sąd, gdzie rzecz bynajmniej nie idzie ani o głos, ani o dźwięk żadnego rodzaju; a to kiedy mówimy: «*śłuchać głosu, lub iść za głosem sumienia, za głosem Boga, za głosem przyrodozenia, za głosem miłości ojczyzny*» etc. Ten obyčaj mniej jest skutkiem braku właściwych wyrazów, niż niejakiej przyjemności, którą znajdujemy w przybraniu pomysłu naszego okolicznością, której moc i żywość podobają się wyobraźni naszej.

Niniejsze uwagi o zwrotach i o sposobie, którym we wszystkich języki wprowadzonymi zostały, zgadzają się z tem, co Cyeron o nich powiedział w trzeciej księdze *O mowie*: «Sposób przenoszenia słów jest nader obszernym; zrodziła go najprzód potrzeba, niedostatkiem i ubóstwem do tego zagnana; potem zaś wslawiło go upodobanie i przyjemność. Jako bowiem szaty, naprzód przeciw zimnu wynalezione, potem użyte zostały do ozdoby ciała i oznaki godności, tak słów przeniesienie, skutek niedostatku, wzrosło upodobaniem».

206) *T. IV. str. 80—91. Z rozdz. 20-go części II. „O historii“*
[Dziełopisarstwo]. Chcący dopełnić zamiaru historyi, pisarz przywyzywać [tak] się powinien do odkrycia tajnych sprzężyn czynów i pierwszych przyczyn zdarzeń, które opowiada. Ku temu trzy rzeczy są mianowicie potrzebnymi: głęboka ludzi

Historja, będąc [tak] przeznaczona do nauki ludzi, wiele na tym zależy, by w niej niezmiennie panowała zdrowa moralność. Czyli małe charaktery, czyli opowiada zdarzenia, pisarz powinien zawsze okazywać się przyjacielem cnoty, nieprzyjacielem występku; bo oprócz innych niepomysłnych skutków, któreby sprawiła w tem obojętność jego, poniżyłby godność historyi i składnią swoją zimniejszą i mniej pociągającą uczynił. Zawsze więcej przywiązujemy się do zdarzeń, kiedy ich opowiadanie wzbudza w nas współczucie; lecz historyk nigdy tego nie sprawi skutku, jeśli nie posiada ani czułości, ani cnot moralnych.

207) T. IV, str. 558—64. Z rozdz. 34-go części II «O krytyce». Nie same tylko piękne nauki i sztuki są pod opieką krytyki, i nie do nich jedynie dozorę się jej rozciąga. Niemasz znajomości, niemasz tak wysokiej umiejętności, niemasz tak oderwanej, tak filozoficznej, coby z pod niej wyłączoną była, coby za jej nie wzrosła pomocą. Za powstaniem nauk rozwinęła krytyka ciemnotę rękopismów, po większej części klasztornej wyrwanych pleśni, dopełniła ich, zaniechaniem czasów uszkodzone liścia [= karty], sprostowała niezliczone pomyłki, grubą przepisujących niewiedomością i barbarzyństwem wieków zrzucone. Zgola, jej winniśmy przywrócenie nam tych skarbów, tych wzorów jedynych w całej dokładności, w jakiej tylko zwróconymi nam być mogły. Te to użyteczne prace może się najwięcej przyłożyły do powrotu smaku dobrego, który się dziś niemi gardzić zdaje. Erudycya, za pomocą krytyki wyrwijając ciernie, okrywające zwaliska, pod któremi zagrzebany krył się od wieków starożytności jenuusz, usłała do niego ten przystęp, te drogi, które z czasem smak dobry okrył kwiatami.

Jużśmy wspomnieli, ile historia winna krytyce. Ona rozpedziła grubą Chronologię pomroکہ, ona rozwikłała zamieszanie ludzi, czasów i wieków, ona niepewnej dat nauce pewność i gruntowność nadała; a jeśli głębokiej nocy czasów aż do gruntu przebić nie zdołała, to jedynie dlatego, że czynność krytyki, wraz z dowodami ustając, uczy nas nie kusić się próżnie o to, co jest do doclecczenia niepodobnem.

Wszak za niemałą przysługę krytyki i to liczyć należy, że nie tylko wszystkim prawie poszukiwaniom naszym pewny

dała kierunek, ale i pewne położyła granice, a tym sposobem ochroniła próżnych usiłowań i pracy rozumowi ludzkiemu, zawsze nad możność przedsiębrać śmialemu i tego często najuporczywiej poszukującemu, czego najmniej dociec można. Lecz wracając do historyi, krytyka dzisiejszym jej pisarzom wskazała tor prawdziwy, co lepiej ludzi, obyczaje, rządy, zgola, duch [tak] wieków poznać daje, a nawet zdarzenia z większą rozwija pewnością. Dawni historycy wyższymi byli mowcami; dzisiejsi prawdziwszymi, dokładniejszymi historykami, słowem, więcej od tamtych tem, czem być powinni. Lecz ogólniejsze jeszcze korzyści zjednało światło krytyki, które rzucił jenuusz Bakona na wszystkie umiejętności i nauki. Stanowi ona najpamiętniejszą epokę w dziejach ludzkich umiejętności przez wpływ szczęśliwy, który na nie miała, zmianę, co w nich sprawiła, wzrost, który im dała.

Jak tylko jenuusz Bakona, natchnięty od światłej krytyki, wskazał umiejętnościom prawidła, zniknął nielad, znikła otaczająca je przesądów pomroکہ, a natomiast rozwinął się pewny łańcuch znajomości ludzkich i właściwy każdy porządek. Tę wielką zmianę winny umiejętności nieśmiertelnej Bakona krytyce, która, im odtąd towarzysząc, doprowadziła je drogą oczywistości i doświadczenia do tego wysokiego stopnia ich udoskonalenia, którym się wiek nasz szczyci nad inne. Jakoż niemasz żadnej umiejętności, nawet najoderwansej, coby krytyce wiele winną nie była, którejby ona nie oznaczała właściwego dążenia i granic, którejby nie oczyściła z tego, co jej jest obcem, lub z tego, co w nią wcielił przesądnie długi nałóg; zgola, wszędy krytyka stała się drogą do rzeczywistości i prawdy.

Nie tylko więc równemi, ale użyteczniejszemi są przysługi krytyki w tym rodzaju, niż te, które smakowi dobremu, naukom i sztukom świadczy. Lecz nie dość jej było umiejętności na pewną naprowadzić drogę; ona je, za wskazaniem smaku dobrego, nauczyła mówić ujmującym językiem; ona suchości umiejętności przyozdobiła wdziękami jasności i stylu, ulatwiła i przyjemną uczyniła filozofią i najgłębszą mądrość. Nie mówię tu o tej wytwornej, o tej wyszukanej przyjemności, o tych wdziękach kwiecistych, niegodnych powagi tak wnikskich przedmiotów, którymi je nieraz zły smak uprzyjemnić mniemał, lecz o tym tonie prostym, jasnym, wraz wyniosłym i przyjemnym, który dobra kry-

znajomość, obszerne światło o polityce i naturze rządu, nakońiec biegła dyalektyka, czyli ten rodzaj krytycznego rozumowania, co umie rozwikłać rozmaite podania, rozróżniać język namiętności od szczerości, zgola fałsz od prawdy, nie zawierając innej powadze, jak zdrowego rozsądku i oczywistości. Pierwsza z tych rzeczy jest konieczną do wytłumaczenia postępów ludzi i odkrycia ich charakteru; druga, by zdać sprawę o rewolucyach i o wpływie przyczyn politycznych na publiczne sprawy; trzecia, by przekonać, że w tem wszystkim twierdzenia piszącego są oparte, nie na latwości, nie na ślepej zadufaniu, lecz na ścisłym przyrównywaniu rzeczy i ich podobieństwie do prawdy, jako też uduwnionej powadze pisarzów; zgola, na światłem rozumowaniu, co rozwidnia rzeczy wątpliwe, a niewątpliwym najwyższy stopień oczywistości nadaje.

Co do dwóch ostatnich przedmiotów, to jest co do światła politycznych i zdrowej krytyki, pisarze dzisiejsi nad dawnymi górują, bo posiadają korzyści, na których tamtych zbywało; dlatego mamy prawo wyciągać [= *wymagać*; wiek XVIII] po nich ścisłej dokładności. Już to uważałem [*T. I, rozdz. 7-my części I*], że świat był niegdyś mniej, jak *[tak]* dziś, przystępnym; krajiny sąsiedzkie nie miały tylu związków i mniej obcowaly z sobą. Nie wysyłano posłów, stale przemieszkujących, nie znano poczt, zbywało na drukach, a każdy naród mało co był świadomym tego, co się za jego granicami działo. Dawni więc Historycy nie mogli nabywać, jak tylko późnych wiadomości, i po wielkiej części niedokładnych. Trzeba także uważać, że pisali jedynie dla swoich współobywatelów, a nie dla cudzoziemców, którymi gardzili, a mniej jeszcze ku ogólnej nauce ludzi. Dla tej to przyczyny tak powierzchownie obejmowali szczegóły wewnętrznej polityki swojej; a chociaż w owych czasach miłość wolności mocno ożywiała ludzi, może dalekimi byli znania wpływu rządu i przyczyn politycznych tak dokładnie, jak dzisiejsi, których dłuższe doświadczenie we wszystkich rodzajach rządów oświeciło i przenikliwymi uczyniło w sprawach publicznych. Te przyczyny równie się ściągają co do krytyki; dodać do nich należy mniej uprzątnione, jak za czasów naszych, przesady, nie tak obfity zbiór materiałów, jak go dziś mamy, do porównywania i sądzenia zdarzeń historycz-

nych. Pochlebstwo piszących dla własnych współobywateli, których chępliwość przeważała nad krytyką i lubiła to wszystko, co ich w własnych wznosiło oczach, nakoniec tok przejęty w pisaniu historyi, co się więcej za ozdobami stylu i wymowy ubiegał, niż za ścisłą rzeczywistością poszukiwań krytycznych, które są rzetelną dobrą historyków naszych zaletą, i co im w ścisłym znaczeniu historyi, to jest w wystawieniu prawdy, wyższość nad dawnymi nadają. To wszystko wytłumaczyć może, dla czego dawni, którzy tak biegle opisuja zdarzenia, często sposobem nader niepewnym wskazują nam przyczyny polityczne, wpływające na nie. Historycy Grecy wcale nas niedokładnie uwiadamiąją o siłach i bogactwie różnych państw Grecyi, o przyczynach ich częstych rewolucyi, o ich domowych sprawach lub zobowiązaniach. W historyi Rzymu Liwiusz miał niewątpliwie obszerne pole do rozwinięcia znajomości politycznych o postępie potęgi jego i o korzyściach lub wadach rządu; przecieć nie znajdujemy w nim jak nader ograniczony widok tak ważnych przedmiotów. Liwiusz jest, zaiste, wysoce wymownym pisarzem; wszystkie jego opowiadania są największej wspaniałości, lecz nie można rozciągnąć jej chwały do rozumowań i przenikłości jego. Salustyusz, opisując spisek przeciwko rządowi, coby powinien był historyą polityczną, oczywiście więcej się zaprzęta wybornością opowiedni i malowaniem charakterów, niż odkryciem przyczyn tajnych. Zamiast dania nam poznać stronictwa, które wtedy Rzym dzieliły, i okoliczności, co czyniły Katylinę tak straszny, przestaje na wyrzekaniu przeciw zbytkowi i zepsuciu czasu swego, który porównywa z szczęśliwą prostotą upłynionych wieków.

Dalekim wszakże jestem od wymawiania wszystkim starożytnym historykom niewiadomości politycznej. Tucydyes, Polibiusz i Tacyt są w tym rodzaju pełnymi nauk pisarzami. Mądry i rozsądny Tucydyes nie zaniedbuje nigdy dokładnych wyjaśnień o tem, co opowiada; przedstawia korzyści i nieprzyzwoitości wszystkich podanych lub przysposobionych środków. Polibiusz celuje w politycznych widokach, w przenikłości systematów i w głębokiej spraw wojennych znajomości. Tacyt znalazł na gruntu serce człowieka i odmalował ludzi z równą prawdą, jak przenikłością i mocą.

Lecz kiedy żądamy, by historyk wystawiał nam głębokie i nauczające widoki, nie rozumiemy przez to, iż powinien zawieszać bieg historii dla uwidacznienia nas to, iż widokach i uwagach swoich, lecz że powinien dać nam dostateczne objaśnienie, ku rozwinięciu spraw, które opowiada; że powinien nas oświadczyć z konstytucją polityczną, z siłami, dostatkami, położeniem wewnętrznym, interesami i związkami zewnętrznymi, nakoniec z całą zamożnością kraju, którego pisze historię; trzeba, by nas postawił na wysokości, skądby się nasz wzrok rozciągał aż do przyczyn, co przywiodły zdarzenia; lecz, dostarczywszy nam najlepsze [tak] sposoby sączenia, sam wyrokować nie powinien. Obawiamy się, naturalnie, by historyk, który rozumuje o tem wszystkim, co mu się naszcza, nie nakręcał niekiedy zdarzeń do swego systematu. Szczególniej w opowiadaniu wierszem i rozsądnem polegać powinno nauczanie historii. Kiedy idzie o czyn wątpliwy, co wymaga roztrząsania, albo o jakie wielkie zdarzenie, którego przyczyny lub okoliczności dzielą mniemania, historyk zawiesić może na chwilę opowiadanie, lecz rzadko kiedy dozwalać sobie tego powinien.

Przystąpmy teraz do przymiotów opowiadania historycznego. Historia, będąc [tak] właściwie obrazem przeszłych zdarzeń, rzeczą jest oczywistą, że sposób opowiadania ich wpływ wielki mieć musi: i żeby się przekonać, iż jeden jest lepszym nad drugi, dość uważać różny skutek, który sprawuje też sama historia, opowiadana od dwóch różnych osób.

Pierwszy przymiot opowiadania historycznego polega w jego jasności, porządku i związku przyzwoitym; lecz, mówiąc o jedności [w T. IV. rozdział 20-ty części II], jużemy dostatecznie rzecz tę wyluszczyli. Rodzaj wyniosły składni historycznej wymaga, żeby ton poważny ciągle się utrzymywał w opowiadaniu. Styl jego nie przypuszcza wyrazów pospolitych i nieszlachetnych, również żartów, ucinków i przysadności rozumu. Historyk może niekiedy niższy ton dla przerwania jednostajności opowiadania swego, co zbyt przedłużone tęsknem staje się; lecz strzedz się powinien, by go nazbyt nie niżzył, a jeśli zdarzenie pocieszne zasługuje na wspomnienie, lepiej go [tak] w przypisku umieścić, jak wcielić do dzieła.

Lecz jasność i powaga nie są dostatecznemi. Mimo tych

przymiotów historyk mógłby być ociężałym i nieprzyjemnym. Powinien więc przywiązywać się do nadania pociągu opowiadaniu swemu, i ten to mianowicie przymiot wskazuje geniusz i wymowę pisarza.

Dwie rzeczy do tego przyłożyć się mogą: pierwsza polega w unikaniu porywczosci, co napelnia opowiadanie czyniami pomieszany, i rozwlekłości, co daje szczegółom zbytnią rozległość. Trzeba, by pisarz umiał rozróżnić, gdzie zwieźliwym, gdzie obfitym być przystoi; zlekka dotykać mało znaczących zdarzeń, a starownie wyluszczać te, co więcej pociągają, albo których skutki zasługują na uwagę. Powtórę, powinien baczyć na wybór rozsądny okoliczności, należących do zdarzeń, których chce dać opis dokładny. Rzecz, sucho opisana, nie zostawia w rozumie [nie] jak mierne wrażenia: za pomocą przyzwyczajenia dobranych okoliczności może jedynie pisarz pociągnąć i wzruszyć czytelnika; użycie ich w opowiadaniu jest tem, co zowieśmy malowaniem lub opisem historycznym.

Niektórzy z starożytnych historyków celowali we wszystkich częściach sztuki, mianowicie zaś w opisanich. Takie iż źródło upodobania, którego doznajemy, czytając Herodota, Tucydidesa, Ksenofonta, Liwiusza, Salustjusza i Tacyta. Lecz wnet o tem obszerniej mówić będziemy, jako też o tych mowach, któremi dawni zdobili składnie swoje historyczne, a których surowsza krytyka nie dozwala prawie użycia dzisiejszym.

Malowanie charakterów jest jedną z najwspanialszych, a wraz z najcięższych ozdób historii. W tym rodzaju zwykle świetnych obrazów pisarz, co chce jaśnieć, wpada często w zbytek wyszukania. By uderzył głębokością przenikłości swojej, zgromadza tyle przeciwności, tyle przymiotów, z sobą walczących, że te błyskawice wyrazów raczej przerażają oczy nasze, niż oświecają wskazany im przedmiot. Pisarz, co chce ocechować osoby swoje sposobem nauczającym, powinien używać stylu prostego, unikać wszelkiego wyszukania wyborności; nie dość, by nam dał rys obwodów: trzeba, by wyraźnie zakreślił naczelną podobieństwa znamiona. Historycy Grecy dają niekiedy pochwały, lecz rzadko przedsięwzięć malować charakter. Między dawnymi Tacyt i Salustysz uchodzą za najbłędszych tej części składni.

tyka umiała nadać najodważszym pracom pisarzy smakownych, ustawnie ich o tem przestrzegając, że głębokość nie jest ciemnotą i że ukryta we dnie studni prawda nie mniej dlatego jest jasną.

I to jeszcze co do krytyki uważać należy, że osobliwym trafem łączy w sobie władzę prawodawczą i sądową. Z jednej strony jest ona prawodawczą, bo jej przepisy nadali sztukom i naukom ci pisarze, których jeniusz rozbiórczy wyciągnął je z dzieł naczelnych, co przykładem poprzedziły naukę, co w wykonaniu zamykały prawidła; z drugiej jest ona sądową, a nawet wykonawczą, strzegąc dopełnienia własnych przepisów i wyrokując przeciw wszelkiemu im uchybieniu, których się tak często niedoleżność lub chęciwa nowości lekkomyślność dopuszcza.

Otóż czem jest krytyka, otóż wielki jej urząd, który, jakśmy już rzekli, wymaga niepospolitych znajomości i talentów, by krytyka na równym z swoim przedmiotem postawił stopniu. Dlatego też wielcy krytycy byli we wszystkich czasach rządzami jeszcze, niż wielcy pisarze, a prawie wszyscy wraz te łączyli przymioty.

D) Mowa

na obchód pogrzebu Józefa ks. Poniatowskiego (1816).

(«Pochwały, mowy...» część II, str. 387—460: «Rocznik Tow. Przyj. Nauk. XI, 393—447; tu z «Roczników».)

Przygotowana na obchód w Katedrze Wawelskiej, odczytana w Towarzystwie dnia 30 kwietnia 1816 r., zaczyna się okrzykiem: «Próżność nad próżnościami!» Na ziemi Bóg tylko jest wielkim. Biblia nastroja mówcę, daje mu tworzywo do zestawień, porównań i sentencji, zwłaszcza księga Psalmów. W toku życia Poniatowskiego przypomina Potocki chwile, kiedy po przystąpieniu króla do Targowicy synowiec wahał się, czy stryja usłuchać. W roku 1794 z Wiednia na ratunek ojczyzny pośpieszył. Pod Warszawą «dziwnie niedostrzeżenie, czy pomyłkę, wetuje, wpada, jak piorun, na nieprzyjaciela; księską ręką się nad nim lekkiej korzyści» (26-go sierpnia). Po nowym upadku i nowym powrocie nie chce służyć Prusakom; traci za to majątek. Życie pod Białą mówca zaślania zupełnie przed widzem-słuchaczem. Po roku 1806 Poniatowski, minister wojny, występuje przeciwko sile pod Raszynem pięćkroć, pod Wrzawą czterekroć wyższej. Działł ok Otomunie, gdy Polacy weszli do Krakowa. W roku 1812, kiedy Napoleon Hieronima odpedził, a Poniatowskiego do Smoleńska wezwał, wszyscy już myśleli, że korpus polski wyruszy na Ruś. Malowniczo o po-

gromie (str. 424—26), o Berezyńce (426—27), Bitwa pod Lipskiem (431—34); powiew z Psalmów na żalnosne zwłoki człowieka, żołnierza i patrioty (437). Szereg prozopoei kończy całe wspomnienie, a rozjaśnia je radość ze «wskrzeszenia Polski» (445—46). Gdy w roku 1811 Potocki swą rzeź nawet o krytyce zakończył istnym pożarem uwielbień dla Napoleona, teraz, w pięć lat później, kończy mową żalobną wyznaniem wiary, że cesarza Aleksandra «sam Bóg wypuścił na Napoleona», którego przedtem był wywyższył. Ale takimi byli oni wszyscy: nowy bóg, nowy oltarz. Co inaczej czuło, skryło się pod ziemię.

208) Str. 431—4. [Bitwa pod Lipskiem; Skon Poniatowskiego]. Zgromadziła się przeciw Napoleonowi potęga wszystkich prawie Europejskich Mocarstw w rozległych Lipska równinach: on przeciw wszystkim groźnie wystawia czoło i, jakby skała, co się wśród zaburzonego wznosi morza, wkoło miasta Lipska niewzruszone stoją rotę jego. Wala się na nie wojsk rosyjskich, niemieckich, angielskich, szwedzkich i duńskich nawały; pioruny tysiącznych dział tysiączne inne odbijają; grzmi powietrze ich hukiem, trzęsie się ziemia, krew się leje, śmierć wszędzie lata, wszędzie rzeź panuje, wszędy wrze wojna i sto bitew różnych widzieć może zdumione oko z szczytów lipskich wieży [tak]. Oświecają je ku wieczorowi pożarem gorejące wioski, co dnie pogodne tumanami zasępiają dymu. Późno w nocy kończy się wrzawa bitew, huk dział rozpoczyna się od świtu; trwa przez dni trzy z różnym powodzeniem ta walka olbrzymia, ten obraz piekiel otwartych i, że tak powiem, ostatecznego świata zniszczenia. I z taką zaciętością ludzie, których życie jest tak krótkim, tak nędznem, tak znikomem, tak przemijającym, sami godzą na zniszczenie swoje; nie ich zabójczej ręki pohamować nie zdoląwa, jedno niemożność dalszego pokoju. Nie oni wylew krwi własnej wstrzymują, z rozkoszą się w niej nurzać zdają, ale ona nakoniec ich wściekłość gasi i zalewa. O nieszczęsnym, o szalone ludzi obłąkanie, na którym się przecież najświetniej w ich oczach mniemana sława opiera!

Mami raz jeszcze los Napoleona: już się zwyciężoną mniema, już to dzwonom lipskim głośić każe, właśnie w tej chwili, w której go szczęście ze wszystkim opuszcza, kiedy go Bóg chce mieć pokonanym. Wnet mu na sposobach nawet zbysza obrony, a ucieczka ostatnim jego staje się ratunkiem. Nielatwą ona

była i można powiedzieć, że mu ją, znużeni rzezią, sami otwierają sprzymierzeńcy. Powierza on obronę odwrotu cofającego się wojska Poniatowskiemu, który na czele 700 ludzi piechoty i 60 konnych przyjął jej nie waha się: takie było meztwo, a może i rozpacz jego. Wierny przyrzeczeniu swemu, z taką słabą siłą ostatni rusza z Lipska, lecz wtedy dopiero, kiedy już do niego nieprzyjacieli wkracza. Płynię rzeka pod miastem, której brzegi jedyny tylko most łączy: ku niemu udaje się Poniatowski. Zamyka mu drogę przemożna nieprzyjaciela siła; uderza na nią na czele konnicy swojej i do mostu się przedziera. Lecz, niestety, w poprzedzających bitwach rannego nowo postrzal w lewe ramię godzi, a most po przejeździe Napoleona wysadzony, wrócić mu się na odwrot każe. Wtedy, do otaczających go 'broni towarzyszków rzekłszy: — Lepiej ginąć, jak Polakom przystoi, aniżeli żyć nikczemnie! — znowu na nieprzyjaciela uderza: drogę sobie wśród niego palaszem otwiera. Lecz po wtórna godzi go obok piersi kula: omdlewa na chwilę, a przyszedłszy do siebie, do towarzyszków, co go zaklinali, by, zostawiwszy komu z przytomnych dowództwo, chciał się jeszcze dla Polski zachować, rzekł: — «Przyjaciele! Bóg mi powierzył honor Polaków, jemu samemu go oddam». Wtem rusza w tę stronę, gdzie rzeka dwoma płynię korytami: przebył z niemalą trudnością pierwsze «Pleisse» zwane. *Przyp. Aut.*; wnet stanął nad głębszem, Elsteru, tak osłabiony, że się zaledwie trzymał na koniu. Przecież, gdy się blizkim schwywania od nieprzyjaciela widzi, śmiało się w Elster rzuca; wspiera omdlewającego odważny Blaichant [Bléchamp]. Już przebył rzekę, już się koń dzielny pnie na brzeg urwisty, kiedy konający spada z niego Poniatowski i w rzece tonie. Zanurza się za nim szlachetny Blaichant i po dwa kroć wznosi go nad wodę; lecz, wnet i sam w bystrych nurtach pogrążony, z Poniatowskim niktne. Rzucają na ten widok krzyk okropny pozostali tam Polacy, lzy mu nawet żalose nadbiegli dają nieprzyjaciele, lecz już niemasz ratunku: zniknął na zawsze Poniatowski. Napróżno nawet przez trzy dni ciała jego szukają, które w opodal miejsca tego w bystrych nurtach Elsteru nakoniec znajdują rybacy. Runęła po sprzymierzonych obozach, runęła, jak piorun, po Lipsku w jednym oka mgnienu nieszczesna wieść o śmierci Poniatowskiego. Przyjaciele i nie-

przyjaciele równy prawie hold żalu oddają jego pamięci, bo równy jest dla niego ich szacunek. Świadkiem, niestety, tego byłem; widziały smętne oczy moje te pogrzebowe zaszczyty, które oddał szlachetny nieprzyjaciel złożonym w kaplicy królewskiej zwłokom jego, a co [tak] lzy gorzkie wraz ze mną przytomnych Polaków skropiły!

E) Rozprawa o duchu pism Machiawela (1818).

(«Roznikł Tow. Przyj. Nauk» tom XII, str. 226—65).

Tytuł główny uzupełniony dodatkowim: «z uwagami nad tem za pytaniem czyli się z wiekiem świat pogorsza?». Rozprawę tę odczytał Potocki w Towarzystwie dnia 4 maja 1818 roku. Na wstępie dał pojęcie machiawelstwa. Niegodziwość, nawet na tronie papieskim, współczesna Machiawelowi, wywołuje w nim odpowiednie wrażenie moralne. Krótki rys żywota (str. 233—35). Świat postępuje, ale ludzie wydają się sobie gorszymi, niż są. W Książcu odbijają się tyranie włoskie, z któremi autor zestawia arystotelesową (236—38). Machiawel nie naucza, jeno opisuje. Tak go rozumiał Rousseau, gdy mówił, że Książę jest «księga wolnych ludzi» (239). Ale w zakończeniu Machiawel, opisawszy tyranię, jako chorobę, zaleca ją, jako lekarstwo; jego książka to jakby trucizna, co i zabija i leczy (240). Pisze Włoch dla zbrodniarzy, których los powynosił na trony. Z wyjątkiem jednego rozdziału XVIII: Czy dotrzymamy danego słowa? Książę jest już dalsz bez znaczenia dla Europy; możnaby go zalecić chyba tylko despotom azyatyckim (241). Na str. 242—52 zwięzły rozbiór książki, a na 253—65 wyjątki z uwagami własnemi Potockiego.

209) Str. 235—9. Za czasów Machiawela Włochy były punktem środkowym świata, stamtąd się po świecie szerzego, ale oraz krajem najburzliwszym w Europie, bo nie tylko każde prawie miasto kraju tego walczyło o wolność, z której go wielcy i mali tyrani wyzuc usiłowali, lecz krwawe wojny Hiszpanii z Francją, mianowicie za Karola V z Franciszkiem I, dażyły do całkowitego ujarznienia tej pięknej krainy, którą tymczasem niszczyły. Tej epoce przypisać należy początek polityki, odtąd wydoskonalonej w Europie, która polega na utrzymaniu równowagi między państwami. Książęta włoscy, mianowicie papież i Wenecyanie, najprzebieglejszymi się w tej trudnej sztuce okazali. Burzliwy Juliusz II i Leon X, następca jego, szcześnie postąpili sobie z Francuzami, zbyt groźnymi tym nawet, co im otworzyli Włochy, a później Henryk VIII, król an-

gielski, po zadanej klęsce Francuzom pod Pawią niemniej zrzęcznie zabezpieczył wolność Europy przeciw zamachom potężnego zwycięzcy. Świadek tych zdarzeń, ustawnych rewolucji i niewoli Włoch, oświecony doświadczeniem, głęboką rozważą dawnych historyków, na koniec własnymi uwagami, Machiawel poświęcił się szczególnie polityce i utworzył wspomnianie od nas dzieła, z których najgłośniejszą [tak] księgą jego «O Księciu» stała się, acz jest tą, co mu najmniej zaszczytu przynieść była powinna.

Przecież, właściwie mówiąc, Machiawel nie jest pierwszym, który wskazał systemat tyranii, zamknięty w księdze jego o księżcu: wiekami przed nim zakreślił go Arystoteles w polityce swojej i w tych krótkich zamknął słowach: «Królestwo docho-wuje się przyjaźnią i zaufaniem; przeciwnie, tyrania gruntuje bezpieczeństwo swoje na nieufności i z tego powodu sprzyja niewolnikom przeciw ich panom. Tyran nie powinien otaczać się jak tylko drżącymi przed nim służebnikami. Strzedz się ma dopuszczać do stołu swego własnych poddanych, a rzadko kiedy cudzoziemców». W treści, trwałość tyranii, podług Arystotelesa, gruntuje się na trzech głównych zasadach: «nikczemności i nieoświaty poddanych, wzajemnych ku sobie nieufności i niemożności buntowania się i tajnego spiskowania». Drugi sposób polega w naśladowaniu powierzchownem rządu królewskiego, byleby tyran miał zawsze moc w ręku i mógł rozkazywać, jako pan samowolny, w udawaniu przychylności ku publicznemu dobru, w nieobrażaniu gminu rozrzućnym skarbu szafunkiem i dumnym przepychem, w przybieraniu na się postaci nie pana, ale stróża majątku publicznego, na koniec w zniewalaniu umysłów pozorem przyjemności i łagodności, nie zaś ich obrażaniu twardością i dumą. Tyran powinien zalecać niewolnikom swoim, by nie krzywdzili nikogo, kobietom swoim — by się nie wynosiły nad inne; powinien się ukazywać umiarkowanym w zabawach, szanować publicznie Bogów i zaszczycać mężów znakomych cnotami, być rozdawcą pochwał i nagród, a wymierzenie [tak] kar zostawić sądom. Należy mu mieć tę samą, co królowi, przezorność: niewynoszenia zbyt wysoko poddanego, albo wynoszenia wraz kilku, ażeby się nawzajem śledzili i czuwali nad sobą; nie powinien ufać ludziom butnym i śmiałym, a jeśli ich

zbyt wyniósł, powinien ich zrzęcznie i nieznacznie poniżać. Niech się nie dopuszcza nagłego im odjęcia wziętości, bogactw i władzy; niech nie zadaje obelg nikomu, niech nie podnosi na nikogo ręki. Niech się wydadaje poszukiwać kobiet miłością, miłością, nie rozchwiałością [tak] ku nim wiedziony. Niech utrzymuje zgodę między bogatymi i ubogimi; lecz niech się stara mieć zawsze mocniejszych po sobie, by w potrzebie mógł ich użyć przeciwko drugim. Niech zachowuje podufałość z możnymi dworu swego, a ludowi podobać się stara powierzchowną dobrocią postacją».

Nie wymyślił więcej [= nie więcej wymyślił] politykę swoją Arystoteles, niż poetykę lub retorykę, acz pierwszy przepisał ich zasady, bo zawsze i we wszystkim przykłady poprzedziły [tak] na nich ugruntowane przepisy. Wyczerpał tedy Arystoteles jedne w dziełach Homera i najlepszych poetów, drugie w Peryklesa, Demostenesa i innych wymowie; przepisów zaś polityki jego dali mu wzór, co do części, o której mówimy, tyle liczni Grecy tyranii, że mu na wzorach w tym rodzaju nie brakło. Sprawdził je przez porównanie w kilkanaście wieków po nim Machiawel i na wzór tego, co widział, w księdze swojej o księżcu rozwinął.

Otóż źródła przepisów, które daje Machiawel księżcu swojemu, popierając je przykładem Cesarzów Rzymskich i Włoskich księząt. Jeśli te obmierze przepisy stały się kodeksem niektórych tyranów, coby je byli w czarnej duszy i sercu swoim znaleźli, odkryły one z drugiej strony całą zgrozę ich sztuki rządzenia i wyjawily zbrodnicze pasmo ich polityki, tak dalece, iż, gdy wielu wniął Machiawela o jego szkodliwą naukę, odpowiadają na to drudzy, iż nie więcej on winien, jak ów chemista, któregoby oskarżono, że chciał wskazać zbrodniarzom nieprawie użycie trucizny dlatego, że wskazał jej naturę i rozbiór. Podług ostatnich Machiawel, nauczając niby tyranów, dał w rzeczy nader użyteczną ludziom przestrożę, i tak zdaje się że myślał sławny Rousseau, mówiąc w Społecznej Umowie swojej: «Książę Machiawela jest księgą wolnych ludzi».

F) „Świstek krytyczny” (1816).

(«Pamiętnik Warszawski» Bentkowskiego r. 1816: Tom IV: str. 479—84; Tom V: 103—18, 207—88, 355—78; 487—98; VI: 122—44, 232—60, 368—95, 504—80).

W tomie IV (kwiecień) wstęp p. t. «Uwagi krytyczne», podznaczony literą «W», która się i w samym «Świstku» powtarza. Dopiehleniem rzeczy głównej są: «Gadający niemowa» z tomu VI, z roku 1816 i tomu VII i VIII z r. 1817; Odpowiedź na pismo, umieszczone w «Dz. Wil.» o Zakonie Smorgońskim i o «Świstku», tom VIII 104; Listy z Kozłobrodów względem kawalerów smorgońskich VIII 45; Akademia pacanowska XV 118. Polemicznie wiążą się z satyrą Potockiego: «Uwagi na uwagi krytyczne przez E. E.» (Tom V, r. 1816, maj) i «Odpowiedź...» z Krakowa przez «A.» (tamże); wreszcie dwie nowe odpowiedzi (Tom V 346, 350). W «Uwagach krytycznych» postanawia Potocki «tam śpieszyć na ratunek, gdzie rozszedł lub język polski najbardziej zagrożony mi się znajdują». Druga impreza była dla niego samego niebezpieczną. Zaraz ów E. E. wytknął mu niepotrzebne narzedniki, ale uczynił to spokojnie. Czupurny Krakowianin, ująwszy się za swym marnym nekrologiem (jakiegoś Darowskiego), zakończył nadzieją, że Redakcja «Pamiętnika» nie będzie już więcej drukowała rzeczy tak «lichego» krytyka. Ale i Bentkowski i Potocki nadzieję tę zawiedli: ciągnął się «Świstek» przez cały rok 1816, będąc właściwie «Światakiem», jak go polemista Lindyn przekonywał — tylko niewiadomo: czynnym czy biernym, świszczącym na innych, czy też wyświstywanym przez nich. Bywało i jedno i drugie; ostatecznie świat z «Pamiętnika» zagłuszył gwizdy nieprzyjaelskie. Potocki mierzył głównie we wsteczne pojęcia i skłonności indywidualna, w próżność i pychę, w przesady, zabobony i clemnotę, w wielkopaniństwo czcne, a niechlujne; o stosunki społeczne rzadko się odcierał, gdy np. piętnował niechęć panów dziedziców ku szkole ludowej lub ośmieszał, prozą i wierszem, żądających moratorium. Poszedł zatem inną drogą, niż wileński Szubrawcy, którzy, nie zaniedbując krytyki, na moralność indywidualną zwróconej, moralizatorskiej, przeważnie jednak, zwłaszcza w r. 1817, wydrwiwali przywary stanów i powołań w ich doniosłości społecznej.

Wkrzeszeniem Smorgoń Świstek wyprzedził Szubrawców. Nie tylko nie ustępując im w wolności, ale niezwadnie nad nich wyższy, nie wahał się stanąć z nimi do walki i polemizował o liberalizm i «Sześciolatnią korespondencją arcybiskupa Raczyńskiego» (Tom VI 247, 249, 250). Dążność jego najwyraźniej występującą w Ustawie oceru niedziadka (T. V 234—88), do którego później przybyła jeszcze Pacanowska Kosa. Stronę społeczną ukazuje Potocki dodatnio we wzorowem gospodarstwie i wzorowem też pożyciu z ludem w Zaciszy, gdzie rządzący melody Waclaw i radujący się miłym widokiem jego wuj-dobroczyca, dusza jasna i piękna, wraz z całym rządem wsi i folwarku przypominają «Pana Podstolego» (Tom VI 122—44). W Zaciszy czuje się Potocki przeniesionym jakgdoby

do Niemiec lub Anglii, a stary szlachcic, w gościnę przybyły, gaduła świsliwy, prznosi go znnowu w czasy Augusta III. Prótnicki, Sentyemnicka, Modnicka samomi nazwami swemi się tłómaczą. W «Gadającym niemowle», na którego powołuje się Potocki w «Podróży do Ciemnogrodu» jako na swą własność, wydrwiwa białkową grafomaniją wogóle, a w kobietach sawantkach nieaenycony głód literackiej twórczości. Przepięca gramatyczny we flekayach i składni, choć o wiele poprawniejszy, niż w «Podróży», nie wahał się zawołać: «Język polski jest jak Kościół Gallikański: ma swoje swobody.» Zapewne, ale nie takie, na jakie pozwalał sobie autor «Świstka».

210) T. V. str. 234 [Statut organiczny orderu niedziadka]. Najwyższy niedziadzek z laski jenuzu ciemności, mistrz wielki Smorgońskiego Zakonu, pan udzielný królestwa kretów, jeziora raków, wielkiego księstwa sów, hrabstwa nietoperzów, przyładku ślepowronów, wyspy gawronów i wielu miejsc innych — wszystkim wiernym poddanym naszym, noszącym czapki, kapelusze, zawoje, krymki i t. d., wszystkim ślepym, jednookim, zrywotwym, krótkowidzącym — pozdrowienie.

Zaledwie zgodnym wyborem najszanowniejszych towarzysów naszych na ten wszystkiej stopień wielkiego Smorgońskiego Mistrza wyniesionymi zostaliśmy, zważając z wielką Radą naszą, iż blask oświaty, który się szery w ojczyźnie naszej, a to za pomocą źle myślących ludzi, ciężąc nad oczyma naszymi i nad słabym wzrokiem mieszkańców obszernej kretowiska naszego, a chcąc, ile od nas zawisło, wstrzymać nieszczęśny postępek oświaty i zachować poddanych naszych w tej przyjemnej ciemności, w tych cieniach widoecznych, w których ojcowie nasi z takim szczęściem i upodobaniem żyli;

Dla tych przyczyn, chcąc zachęcić i natężyć usilność najmlizszych i najszlachetniejszych przyjaciół naszych, co się tak pomyślnie zakrzętają przytłumieniem szerzącego się coraz więcej światła — ustanowiliśmy wraz z wiernymi towarzyszami i poradnikami naszymi order niedziadka, zachowując sobie rozdawanie tegoż w najwyższej kapitule tym, którzy sobie na tak znakomitą łaskę zasłużyć zdołają.

Art. I. Order niedziadka składa się, jak następuje: 1) Mistrz wielki, którym jest sam najwyższy niedziadzek. 2) Wielcy urzędnicy, czyli wielcy niedziadkowie. 3) Kommandorowie czyli wyżsi niedziadkowie. 4) Kawalerowie niedziadka z ka-

gańcem — i 5) prości kawalerowie niedźwiadka bez kagańca. Art. II. Kierować będzie sprawami Zakonu Rada najwyższa, czyli kapituła, pod naczelnictwem mistrza wielkiego. Art. III. Kawalerów wysokich stopniów mianuje mistrz wielki na podanie kapituły po odbytych egzaminie. Art. IV. Prości kawalerowie i kawalerowie kagańcowi nosić będą przy boku jedni srebrną, drudzy złotą ozdobę niedźwiadka na żelaznych łańcuszkach, Komandorowie na szyi, a wicelcy urzędnicy prze-wleczoną od lewego ramienia do prawego boku. Art. V. W uroczystych obrzędach wicelcy urzędnicy przyodziani będą skórą niedźwiadzią nakształt płaszczka i czapką nakształt głowy niedźwiadziej, dłuższemi wszakże przyzdobioną uszami, i oni jedni mieć będą prawo noszenia drąga nakształt tych, jakie niedźwiadnicy używają. Art. VI. Zakon, mając [tak] za cel wygaszenie światła, przypuszczonymi do niego być nie mogą jedno ci, którzy udowodnią cztery pokolenia grubego nieoświecenia tak z ojcowskiej, jak z macierzystej strony. Art. VII. Mają być uwolnieni od wszelkich genealogicznych dowodów: 1) Ci, którzy od lat kilku wyznają zasady zakonu naszego i za nie walczą; 2) Ci, którzy wslawili się czynem jakim znakomitym przeciwko liberalności i oświacie; 3) Zbiegowie i wszelki pisarz, co udowodni, że mieni zdania z okolicznościami, albo, że ma je na zbyciu. 4) Żli pisarze, smak i język psujący, smutno-weseli, nadeptalasy, tęskno-żartobliwi, nadewszystko zawilo-nierozsądni, a to w miarę zaświadczonej dziełami i pismami zdatości i praw swoich do zakonu naszego. Z tego powodu co kwartał odbywać się będzie publiczny egzamin, na którym pisać mają się każdemu z barbarzyństwem, niewiadomością i nierozsądkiem swoim wolno. Sędziowie, od nas wyznaczeni, złożą wyborową listę najznakomitszych w tym rodzaju subjektów i z kolei nam ich na miejsca wakujące kawalerów podawać będą. Spis ten, złotemi literami wyryty, wisieć będzie obok tronu naszego w sali wielkich obrad. Art. VIII. Lubo kawalerowie ślubują niewiadomość, nie wyrzekają się w potrzebie złej wiary. Art. IX. Nie powinni oni nigdy spuszczać z oka tych trzech głównych zasad zakonu naszego: zaślepiac, by rządzić; przesłađawać, by przekonać; czolgać [tak], by się wywyższyć. Art. X. Kawalerowie niedźwiadkowi przyrzekają: walczyć bez ustanku z prawdami

przeciwnemi widokom zakonu naszego; nie wdzyrgać się żadnej niedorzeczności, jakożkolwiek oczywistej, ile razy znajdują więcej zysku, niż ohydny w jej popieraniu. Art. XI. Wykonają przed nami przysięgę wiecznej nienawiści ku wszelkiej oświacie, dobremu wychowaniu, dobremu smakowi, myślom liberalnym, zgola — zdrowemu rozsądkowi. Art. XII. Ażeby zaś przyniknęli się powinnościami swojemi i dochowali rozum w stanie ciemnoty, której naukę rozszerzać winni, czytać będą i rozważać dniem i nocą pewnę [tak] korespondencyę kilkoletnią, świeżo wydaną, i inne dzieła tego rodzaju, które im osobnem urzędzeniem najlaskawiej wskażemy. Art. XIII. Wykonanie niniejszej ustawy wielkim urzędnikom naszym, w czem do kogo należy, obwieszczenie zaś wielkiemu naszemu kanclerzowi powierzamy. Dan w Ciennogrodzie, pierwszej nocy panowania naszego. (podpis). Mrucażyło Mistrz wielki. Lizilapa kanclerz. Głupiewicz sekretarz.

211) *T. IV. str. 509—10* [Odwiedziny u Pana Próżnickiego]. Jeszcze do dnia stanęliśmy u Imci Pana Próżnickiego, a gdyśmy na podzamkowej grobli toneli w błocie, bo z okrągłaków wśród trzęsawicy złożonej, huk armat, a raczej jakichśi pukawek, oznajmował nasz szczęśliwy przyjazd zamkowi. Przy wjeździe do najbrudniejszego żydowskiego miasteczka, które kiedy w Polsce widziałem, wznosiła się tryumfalna brama, z deszczek pełnych szpar złożona i oblazłem okryta malowaniem, co może już dziesiąty raz służyła na obchód dnia Imienia gospodarza; skromny jej napis pierwszeństwo sławie i imieniu [tak] Pana Próżnickiego nad Aleksandrów i Cezarów przyznawał. — Wydrapaliśmy się nakoniec niegodziwą drogą do zamku, na wzgórkę leżącego. Wypadło naprzeciwko nas dwóch niezgrabnych laurfów, widocznie parobków lub stróżów, dnia tego przyodzianych liberyą, przez rok cały na kolkach wiszącą. W ich tedy towarzystwie przebywszy tryumfalnie most zwodzony i zamkową bramę, wzdłuż muru której Jego-mość Pan Próżnicki odmalował kazal obwach [tak], broń prezentujący i jaki niegdyś czy antenaci jego czy on w tym zamku mieszkał [tak], wjechaliśmy w smutne podwórze nawpół zrujnowanego zamku, którego część tylko mieszkalną była, reszta — opuszczona nietoperzom i sowom. Wysełł naprzeciwko nas gospodarz z dość

licznym gości orszakami i pompatyczną mową powitał w domu swoim przyjaciela mego, na którą ten pokrótce odpowiedział, przedstawił mnie gospodarzowi; poczem weszliśmy do brunatnego, ale adamskiego salonu, gdzie na nas damy czekały.

G) „Podróż do Ciemnogrodu“ (1820).

Podatkę do „Podróży“ dało Potockiemu wezwanie „Świszka“ do pióra w Nrze 32 „Tygodnika wileńskiego“ z roku 1819. Są w Europie, są u nas ludzie — tłumaczy się autor we wstępie — uważający oświatę za „matkę i karmicielkę klęsk rewolucyjnych“, gdy właśnie, jako żywo, brak oświaty, namiętności „zhańbiły, zakrawiły europejskie rewolucyje“. Drogo kosztowały te przewroty, ale obaliły wiele państw. Dziś trzeba się mieć na baczności przeciw tym, którzy „chcieliby wrócić nas do ciemnoty i przesądów feudalnych wieków“. Dziełko ma na celu odsonienie tych ludzi i napietnowanie „obłudnej gorliwości“, pokrywającej tylko „żądzą zysku; jest jakby dalszym ciągiem „Świszka“. Podróż swą odbywa autor wspólnie z owym Wacławem z Zaczasy. W smorogómskim państwie Ciemnogrodzkiem odnajduje „Świszek“ swój kochołany Zakon smorogómski, dostaje się w społeczeństwo czarownic, złych duchów i strachów i w szkodliwsze — rozbojników-panów feudalnych, organizujących rozboje i łupiestwa, urządzających zasadzki, a ciemiężących lud z pomocą duchowieństwa. Widzi wokół siebie królewską pychę z żebrającą ciemnotą i zbrodniczą chciwością, patrzy na katownie dla ludu, stawiane obok świątyni, dostrzega wszędzie nabożność bezbożna, zabobony i gusła, czary i uroki, wiarę w cuda, mesmeryzm, cudownych lekarzy i iluminatów; obserwacyjne jego oko ogarnęło nawet nie zdola niezliczonych tłumów, całej armii bonzów, molłów, szeków, czarnych rabinów w mnóstwie klasztorów, pagód, kaplic i synagog żydowskich, — a wszędzie ciemnota, zdzierstwo, gwałt, fałsz, rozpusta, leniwość, bieda, brud i niechlajstwo. Duchowieństwo, z władzą teokratyczną, we własnej stolicy, Świętogradzie, żyje z oszukiwania wiernych, ludu przedewszystkiem, uprawia rozpustę, hałuję i romansuje; Boga tylko na szydełku maluje; gotyckie barbarzyństwo! Państwo Ciemnogrodzkie mogłoby wyżyć ze 12 milionów, a ma zaledwie 3 mil. mieszkańców. Żydów huk; pljawkę te jednak są złem koniecznem, bo lud niemrawy, sam nie podjąłby funkcji przemysłu i handlu. Dobra narodość stanowią 1/3 część powierzchni kraju, ale lud nie ma ziemi, bo ziemia należy do duchownych i baronów, którzy ją zamieniają w pustynię. W całym kraju ukazuje się jedna tylko na rok księga uczona świecka — Kalendarz, a jedyną drukarnię utrzymuje — Inkwizycya święta. Z niej wychodzi dwa razy na tydzień gazeta za pozwoleniem rządu. Inkwizycya pali i ludzi i książki (zagrani-czne). Szkoły tylko po klasztorach — a jakie jeszcze szkoły: prowadząc w nich Arystoteles scholastyków i sama scholastyka, i w dodatku jeszcze

alwar. Przywilej szlachecki żarzy się ponad wszystkim. Nawet klaszatory dostępne tylko dla szlachty, i to starej, z 64 pokoleń, i tak samo prelatury. Najciemniejszy Pan Smorogonii, świadomie oszukiwany przez gubernatorów, celników i kasyerów, podpisuje wszystko naoslep, wierzy, że świat (ziemia) nie jest okrągłym, ale czworogranym, wymusza religiję zabobonu i mroku. Na str. 120, tom II Potocki odrzuca zmyśloną formę bajki i uszy Wacława usprawiedliwia się ze zniszczenia w roku 1818 wielu nieużytecznych zakonów; na str. 127 odpiera uroszczenia i skargi duchowieństwa; na str. 155 staje w obronie systematu szkolnego w Królestwie — a wszystko to czyni tonem poważnym, stylem jakby urzędowym. Na str. 170 przypomina jeszcze *Überus veto* i augustowskie toasty i bizuny i poddaństwo chłopskie, a na str. 121 tomu III, daje przelotny rys Trybunału owych czasów. Tak pokazane Państwo Smorogonii zdumiewa nawet jakby rewolucję na lepsze, a z dymów i ogni jej korzysta bajka, aby dać podróżnikom możliwość powrotu do ojczyzny. Satyra, z wielu stron jakby odbijająca w sobie staroświecką Japonię, godzi w rzeczywiste wstętnictwo i samolubstwo i ambicję rządu społeczeństwem, które przejawiały się pomiędzy 1815—20 rokiem w Królestwie, na Litwie i Rusi. Wyśłowienie w „Podróży“ jest gorsze, niż w jakimkolwiek Innem piśmie Potockiego: Tom I: str. 154 nadużyć, 226 wyniesły, 229 odmówić łaskę; II: 143 nazwiskowi, 180 zdaniłowi, 181 go (wojsko), 224 one (obląkanie); III: 41 modłów kobiecych, 77 ku morzowi, 90 dwoma nyfmami, 208 każdy ruszywszy, stanęli; IV: 61 drugą kursę, 75 budowań, 110 szarmyciował, 111 przeradził, 158 złecenił — i wiele, za wiele imych.

212) *Cz. I str. 123—9.* Uchliły kotły i trąby na znak, dany od Barona, który temi słowy posiadzenie nasze zagali: „Rycerze, kiedy nas Opatrzność Boska i męstwo nasze z srogiego wybawiły niebezpieczeństwa, kiedy duchy, czarownice i rozbojnicy haniebnie pierchnęli przed bronią naszą, po krótkiej, lecz, jak mniemam, krwawej dla nich rozprawie, najprzód mi podziękować Bogom należy za tak oczywistą ich opiekę; potem zapisać ten czyn między pamiętnymi zamku tego, wslawionego od wieków Bohaterską odwagą przodków moich, jak to świadczą te wojenne godła, na turniejach i zajazdach zdobyte, co wsząd na tych murach jaśnieją. Niewyrodny potomek Derusowskich rycerzów, nie gnuszęj ja w spoczynku. Towarzysze broni, waleczni wojownicy, powiedzcie tym znacym cudzoziemcom, czy jest jaki kopiec rozległych granic włości moich, czy nie był potem lud krwią naszą skropiony, w tej wojnie, którą od lat 10 z sąsiadami moimi, mniej lub więcej potężnymi Baro-nami i Bonzami, ciągle i niezwytyczenie toczę. Ujrzycie jutro

o zadni Gościowie, w ciemnych lochach zamku tego okutych w kajdanach ich wazalów i żołnierzy, a stąd oszczędzić, jaka jest potęga i męstwo moje. Mam prócz wojska, z któreście świeże niebezpieczeństwo dzielili, drugie tylu męźnych wazalów, wierznych towarzyszków broni. Czemuż nieczesne przybycie wasze do zamku mego nie dozwola *[tak]* mi przedstawić wam ten kwiat *[tak]* Ciemnogrodzkiej szlachty? Lecz chcieć być świadkami, a jak mi to męstwo wasze wróżyć każe, towarzyszami najbrońszej wojny, jaką te okolice za czasów naszych widziały, zatrzymajcie się dni kilka w tym zamku; wyjdzie z niego pod dowództwem mojem wyprawa przeciw zamożnemu klasztorowi, co się gnieździ w niedostępnych górach, a zachwały bogactwy swemi i kupną opieką sąsiedzkich Baronów, przywłaszcza sobie pastwiska wspólne mu z dobrami mojemu i przystępu do nich broni moim poddanym, a wdziera się w lasy moje, prawem zastarzałego wrębu. Odmówicież mi pomocy waszej, zagraniczni rycerze, w tak sprawiedliwej wojnie? Wy, co, jak mniemam, wędrujecie po świecie, byście od Wschodu do Zachodu, od Południa do Północy imie wasze głośnie uczynili? — Rzuciłem okiem na Waclawa, do którego, jako wojskowego, odpowiedź na tę Bohaterską mowę należała, którą on natychmiast tak uczynił: «Potężny i waleczny Baronie, zacne i dostojne damy! Poniesiemy w świat wam obcy odgłos cudów męstwa, którymi słynie ten zamek, usłyszcy je Europa zadumiona i zapisze imie potężnego Barona Derusa na czele męźnych. Ach, czemuż los przeciwny nie pozwała mi ćwiczyć się w sztuce wojennej pod takim wodzem, i taktyką Ciemnogrodzką Europejską *[tak]* zbogacić! Lecz wola Najciemniejszego Pana wola nas bez zwłoki przed jego Pańskie oblicze. Najwyższym jego rozkazem poświęcić winniśmy nawet tę wiekopomną sławę, której nas obfite żniwo czekało w okolicach zamku tego. Daruj, przeznacny Baronie, lecz wiesz, że posłuszeństwo jest pierwszym przymiotem żołnierza, i żem mu wszystko poświęcić winien».

Kiwnął Baron głową na znak udowolenia, mówiąc do mnie: «Zaluję, zaiste, że ten młody rycerz w szkole mojej zostać nie może; ukształciłbym go na doskonałego rycerza i na prawego szlachcica, jakich pono już w krainach waszych zbrakło». — «Jakżeż — rzecze z żywością Waclaw — mniemasz, mości

Baronie, że szlachta nasza zniewieściała? Wolalbym dać mu przeciwnie tego dowody, niż cierpieć, by tak grubym błęd dłużej go uwodził». Na co ostrożniejszy nad spodziewanie moje Baron tak odpowiedział: «Przystoi ta żywość młodości, wielbie ją w niej, bo jest oznaką szlachetnego serca; lecz inny był cel mowy mojej: zmierzala ona do świętych, do przyrodzonych szlachcie praw feudalności, niestety, już pono na całym świecie wygasłych, a w tym jednym tylko państwie mądze dochowanych. W ich zaniedbanej w Europie nauce ćwiczyć ją Wać Pana chciałem i stać się bodźcem męstwa jego do jej wskrzeszenia».

Podziękowałem grzecznie Baronowi za tak życzliwe dla szlachty europejskiej chęć, a Waclaw zapewnił go, że ma ona jeszcze żarliwych feudalności obrońców w najświetlejszych Europy narodach, co serdecznie do niej wdychają — «Tym lepiej, tym lepiej» — zawolał uradowany Baron, dodając: «Ach, szczęśliwe feudalności czasy, kiedy wszyscy inni ludzie byli niczem — a szlachta wszystkim! Kiedyż znowu przyswiecicie światu; i kiedyż przykład Ciemnogrodzkiej ziemi stanie się dla niego opiekunką gwiazdą w głębokiej oświecenia nocy! Tego ja mu, jako szlachcie, a nadewszystko jako godny kawaler orderu tego, życzę» — dotykając się niedźwiadka 2-giej klasy, co mu wisiał na piersiach.

213) *Cz. II str. 127—36.* Dwa się jeszcze ważne do odpowiedzi zostają punkta, których nie dotknął mój towarzysz. Pierwszy się ściąga do wskrzeszenia, a raczej do utworzenia w Polsce inkwizycji świętej, której — z chlubą powiem dla naszego narodu *[tak]*, on nigdy u siebie nie chciał dopuścić mimo największych Rzymu usiłowań, a to w czasach, gdzie *[tak]* najświetlejsze Europy kraje dały się jej ujarzmić. Czyliż mniemacie, że tę klęskę, od której nas ocaila mądrość przodków naszych, wprowadzi pelen ludzkości i światła rząd dzisiejszy dlatego, że się ją Hiszpani i niektórym innym krajom przywrócić podobalo? O, bodajby nie my obcych książy, lecz oni wspaniałomyślność z bogobojuścią połączoną naszego naśladowali Monarchy! a takby ich błogosławili ich poddani, jak my błogosławimy tego, co nam jest raczej ojcem, niż panem.

Nie więcej jest ugruntowaniem drugie życzenie wasze, to jest: iżby wychowanie młodzieży jedynie zakonnym [= zakon-

nikom] powierzone było. Znam ja dobrze korzyści takowego systemu i bynajmniej im nie zaprzeczam; lecz pytam się was samych: czyli do tego usposobieni jesteście? i czy długie, a — wybaczenie, że dodam — wstydlive zaniedbanie wasze w naukach i umiejętnościach czyni was do tego zdolnymi? Wszakże najwyższa magistratura, nad wychowaniem u nas przelożona, a po części złożona z osób duchownych, czyniła i czyni, co może, by zwrócić zakony do tego użytecznego celu. Lecz w kilkunastoletnim czasie przeciągu zaledwie się tu jej w dwóch lub trzech miejscach udało, a w wielu klasztorach o propozycji nawet takiej słyszeć nie chciano, jako odrywającej zakonników od wyższego pobożności celu.

Miała wprawdzie Polska dwa naukom oddawna poświęcone zakony: Jezuitów i Pijarów; drugi, że do dziś dnia nie upadł, winien to po większej części opiece Komisji Oświecenia, która, czując użyteczność i widząc, jak najszczerzą chęć jego popierania jej zamiarów pomocną podała mu rękę, pomnożyła jego fundusze, opatrzyła seminaria, byt profesorów porównała z świeckimi, nakoniec zabezpieczyła winne wysłużonym nagrody. Spytajcie się zakonu tego, a on wam powie, czyli bez tych starań Komisji nie byłby upadł, z wielkiem wychowania publicznego uszczerbkiem, którym się równie gorliwie, jak światłe [tak], od lat tylu zaprzęta. Nie wdaje się on do Rządu, do polityki i do światowych czynności; dalekim jest od tego ducha panowania, co nakoniec zgubił Jezuitów, gdy się o nim przekonali Europejscy Mocarze. Rzym, który wtedy, kasując ich, okolicznościom uledeć musiał, gdy mu one tego dozwalały, dziś ich przywraca. W innych także krajach podnosić oni głowę zaczynają; lecz już powiedziałem, daję, nie bierze od innych Rządów wzory ten, równie potężny, jak mądry, Monarcha, co zaburzeniem świata koniec położył. Wszak wspaniałomyślność jego dozwoliła przytulenia Jezuitom w stolicy państwa swego, gdzie, żyć mogąc [tak] swobodnie, do oddalenia ich stamtąd przymusił go nakoniec niespokojnością swoją. Możnaż tedy żądać rozsądnie, by stolica Polski otworzyła lono swoje tym, których odrzucić z lona swego stolica Państwa Rosyjskiego musiała?

Mniemam, iż wam oczywiście dowiedłem, że Rząd nasz nie jest temu bynajmniej przeciwnym, by wychowanie publiczne

równie duchownym, jak świeckim powierzone było, jak się to działo u nas odwiecznie, a nawet, że stara się usposobić ku temu świeckie i zakonne duchowieństwo; lecz nie można po nim żądać tego, czemu się i rozsądek i samo niepodobieństwo jawnie sprzeciwia. Snuje się ta myśl po pismach waszych, że w świeckiem wychowaniu dzisiejszem zaniedbaną jest religia; ale oprócz tego, że one [tak] nie jest dziś więcej świeckiem, niż od wieków u nas bywało, i że na niego [tak] stan duchowny ma wpływ przyzwolity, twierdzenie takowe jest zupełnie samowolne. Biorąc albowiem rzecz z góry, w Komisji Oświecenia, która jest u nas stróżem wychowania młodzieży, zasiadają biskupi, prałaci i księża, znakomici nauką i pobożnością swoją; całe zaś jej grono jest z zbyt światłych mężów złożone, by nie byli przekonani, iż bez zbawiennej pomocy religii żadne państwo ostać się nie może; czego jawniej nad wszystko dowiodła rewolucya francuska i okropne jej skutki, dopóki religia we Francyi przywróconą nie została. Przejęty jest ten uczuciem nasz bogobojny Monarcha, tchną niem publiczne mowy jego, równie jak partykularne zlecenia, a ich jest skutkiem, że u nas nigdy z większą starannością nie usilowano wcielić, że tak powiem, religię i pobożność w wychowanie młodzieży, jako najgruntowniejszą jego zasadę. Miałaż kiedy Polska fakultet teologiczny, jak go ma dziś, złożony z sześciu duchownych nauczycieli, których nauka obejmuje wszystkie jej części, a nawet potrzebne do znajomości pism świętych, a oddawna u nas zaniedbane, hebrajski i grecki języki? miałaż przy każdej szkole nauczycieli religijnych i katechanów, którzy czystą nauką Chrystusa w młodzież wpajają? miałaż po wszystkich województwach dozory szkolne, których biskup jest naczelnikiem, a członkami równie duchowne, jak świeckie osoby? byłoż powierzone proboszczom i plebanom wychowanie włościan naszych, jak jest dzisiaj? nakoniec, pytam się, w proporcji rozległości teraźniejszej Królestwa Polskiego do dawnej, byłoż więcej szkół w ręku zakonnych, niż ich dzisiaj liczymy? Ma tedy Duchowieństwo wszelką sposobność czuwania, by pobożność i duch religijny kwitnął w szkołach naszych, stosownie do usilnego życzenia Monarchy i Rządu jego; a gdyby rzecz się tak nie miała, niech nie zwraca na kogo innego winy własnej w tem opieczętości. Lecz daleki jestem, bym mu taką

czynił wymówkę, odpowiadam tylko na nieugruntowane zarzuty, którymi zbytnia może gorliwość źle zawiadomionych duchownych siebie samych kazi. Lecz jeżeli zabobonność na miejsce pobożności klasz będziecie, jeżeli fanatyzm na miejsce chrześcijańskiej tolerancji i słodyczy, wtedy nie mam wam co innego do odpowiedzenia, jak tylko, że się srodze mylicie, biorąc prządy wasze za prawdę.

W tym miejscu tekst jest bardzo słabo czytelny i zawiera wiele błędów drukarskich oraz nieczytelnych znaków. Wygląda to jak fragment zniszczonego lub nieodczytanego tekstu. Niektóre słowa są trudne do zidentyfikacji, ale można dostrzec fragmenty takie jak: "W tym miejscu", "zawiera", "niektóre", "słowa", "nieczytelny", "znaki".

Opracował S. KRZEMINSKI.

XXVIII

SŁOWACKI EUZEBIUSZ

(1772—1814)

Urodził się we wsi Podhorcach w Galicyi Wschodniej, z rodziny szlacheckiej, herbu Leliwa, jako jedno z pięciorga dzieci niezbyt zasobnych rodziców; miał dwu braci: Erazma i Józefa, i dwie siostry, z których jedna, Anna, była za Baczynskim. Przyszł na świat Euzebiusz dnia 15 grudnia 1772 roku; osierocony w 7-ym roku życia przez ojca, zawdzięczał wychowanie stryjowi, który oddał go do szkół krzemienieckich. Po ukończeniu ich, nie mając środków utrzymania, a tem bardziej na dalsze kształcenie, wczesnie musiał pomyśleć o pracy zarobkowej: za sprawą przyjaciół wyjednał sobie od Stanisława Augusta patent na geometrę królewskiego (31 maja 1792 roku) i poświęcił się tej pracy zmużnej a niemilej, grożącej utratą wzroku, a roboty mało niemato, gdyż wówczas właśnie mocą uchwały sejmowej nastąpiło ograniczenie dóbr ziemskich w całym kraju. Na nową drogę życia wszedł z chwilą, gdy, w charakterze nauczyciela domowego, dostał się do domu obywatelskiego w Tahańcu na Wołyniu, a Poniatowskich. Tam znalazł bogatą bibliotekę, obfitującą zwłaszcza w dzieła klasyków starożytnych i nowoczesnych, tam zaczęła się jego rzetelna edukacja literacka, tam wykształcił się w znajomości języków starożytnych i kilku nowoczesnych, tam też jął się pióra: przekładał «Andromachę», «Ifigenję», przekładał «Henryadę», która nawet wydano w Warszawie r. 1803, bez jego wiedzy — inne tłumaczenia pozostają w rękopiśmach. Poznany przez Czackiego, zyskał jego zaufanie i sympatję; w r. 1807 otrzymał katedrę «wymowy, poezji, literatury i języka polskiego» w gimnazjum wołyńskim. Samouk, wiele musiał poświęcić trudu, by poczęć się przygotowanym do pracy pedagogicznej: jak sam powiada, «nigdy nie rzucił się w pracowitszy zawód». W roku 1808 ożenił się z Salomeą Januszewską, córką zarządcy dóbr, należą-

cych do gimnazjum wołyńskiego, która dnia 23 sierpnia 1809 r. po-
wiła mu jedyne dziecko, syna, któremu dano imię Juliusz. Z czasów
pobytu Słowackiego w Krzemieniu pochodzi kilka mów szkolnych oraz
życiorys dyrektora gimnazjum wołyńskiego, Józefa Czecha. W roku 1809
stanął Słowacki do konkursu o katedrę wymowy i poezyi w Uniwersy-
tecie Wileńskim i za rozprawę «O sztuce dobrego w polskim języku
pisania» otrzymał nominację. Nowe stanowisko objął od 15 września
1811 r. i pozyskał miłość i sympatyę kolegów i współuczniów. W roku
1812 objął redakcyę «Kuryera Litewskiego», gdzie już od września
r. 1811 zamieszczał sprawozdania teatralne. Pisał też wiele rozpraw
i studyów literackich, z których znaczna część pozostała w rękopisach,
niektóre nie ukończone: tak np. zamierzał stworzyć krytyczną historię
literatury polskiej, ale zdążył wykończyć do niej zaledwie kilka rozbio-
rów pisarzy. Choroba piersiowa, którą przekazał w spuściznie synowi,
szybko niszczyła organizm. W przewidywaniu rychłej śmierci napisał
ten rzewny wiersz w pamiętniku dla syna, zdaje się, zaginionym:

Wędrownik, w drodze życia młłą stargawsz siłę,
Wkrótce rzucę, co miłe i co mi nie miłe,
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,
Który nagle w nieznanie przeniesie mnie strony,
W tę spokojną uchronę, gdzie wieczność przebywa
I którą chmura pełna tajemnic pokrywa.

Smutne przecucie nie zawiodło go: dnia 29 października 1814 r.,
w siłę wieku, zmarł w Wilnie, pochowany na Rossie. Katedrę po nim
objął Leon Borowski, który wykładał zastępczo już od początku
roku 1814.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Wydanie zbiorowe «Dzieł pozostałych z rękopisów ogłoszonych»
w 4 tomach wyszło w Wilnie r. 1824—6: t. I. Teorya smaku w dziełach
sztuk pięknych, Uwagi powszechne nad językami, sztuką pisania, po-
staciami mowy; II — Teorya wymowy, Teorya poezyi, Rozprawa o sztuce
dobrego pisania w języku polskim, Prestrogi względem uprawiania
uczniów do dobrego w języku polskim pisania; III — Rozbiory pisa-
rów, Przykłady stylu w prozie, Pisma własne w prozie (mowy szkolne
i uniwersyteckie, o życiu i pracach Józefa Czecha, elegja prozą na
śmierć Józefa Czecha); IV — Przekłady (Virgiliusz, Horacyusz, Pro-
percjusz, Owidjusz, Tasso, Gessner, Delille poemata o imaginacyi, po-
czątek pieśni V), dwie tragedye oryginalne: Mendog i Wanda oraz
kilka dramażgów.

B) Osobno wyszły: 1) Oda na obchód uroczysty dnia 15 sierpnia
1810 roku w Wilnie; 2) Wiersz z powodu wielkiego zwycięstwa pod
Lipskiem dnia 6/18 października 1813 r. otrzymanego (w wydawnictwie

Alojzego Capelli p. t. *In occasione delle insigni vittorie riportate degli
alleati sull'esercito Francese nel mese d'Ottobre dell'anno 1813*, Wilno
1818); 3) kilkakrotnie wydawane «Prawidła poezyi i wymowy, wy-
jęte z dzieł» (Wilno 1826, 1833, 1844, 1847, 1853, 1858).

C) O Słowackim pisał: Borowski Leon: Wiadomość o życiu
i pismach E. Słowackiego («Dziennik wileński» 1815. I; toż samo,
jako przedmowa do dzieł Słowackiego); Chmielowski Piotr:
«Dzieje krytyki literackiej w Polsce» (Warszawa 1902); Tyszyński
Aleksander: «Enz. Słowacki i Jul. Słowacki» («Tygodnik Ilustrowa-
wany» 1879, t. III, serya 3, str. 92—93); Méyet Leopold:
«Szlachetno rodu Słowackich» (Bibl. Warsz., 1903, t. II). Życiorysy
w «Pamiętniku lwowskim» (1816. I), w «Lwovianinie» (1838. III),
a także wzmianki w życiorysach Juliusza: Maleckiego, Hoescika.

Teorya smaku w dziełach sztuk pięknych.

(Dzieła, tom I, str. 1—148).

Rozprawa niniejsza, najlepiej charakteryzująca poglądy estetyczne
Słowackiego, składa się z trzech rozdziałów: w pierwszym autor wyszczę-
ca, co to są nauki wywołane czyli piękne, o stosunku sztuk pięknych do natu-
ry, o imaginacyi i geniuszu, o wzorze idealnym, o smaku, jako pracow-
niku geniuszu i imaginacyi, o jego roli i znaczeniu w twórczości; rozdział
drugi mówi o piękności, o uczuciu albo smaku nowości, o uczuciu wielko-
ści i górności, i uczuciu, czyli smaku naśladowania, o harmonii, o gracyi,
o śmiałości, o uczuciu, czyli smaku moralnym; rozdział trzeci wyklada
o ukształceniu, przymiotach i wpływie smaku, o czułości, delikatności i tra-
fności smaku, o związku smaku z krytyką, o przymiotach smaku i korzy-
ści z jego wydoskonalenia, o wpływie smaku na obyczaję i namiętność.
Chmielowski świadczy, że Słowackiemu nieobce były nowoczesne teorye
estetyczne, Sulzer i Eschenburg. To też poglądy, wygłaszane przez niego,
nie są bynajmniej ściśle pseudoklasyczne: on pierwszy w naszej literatu-
rze estetycznej opisał «wzidzenia poetyckie» (hallucynacye); pierwszy użył
terminu «wzór idealny» (t. j. ideal piękna); pierwszy wyznaczył imaginacyi
dużą rolę w twórczości poetyckiej, przyznając jednak pewne prawa
«smakowi»: pierwszy położył nacisk na pierwiastek indywidualny w kry-
tyce; pierwszy wreszcie, jak mówi Chmielowski, «był blizkim hasła sztuka
dla sztuki», jak o tem świadczy cytowany poniżej urywek.

Rozdział II § 1. O piękności.

214) Str. 47—63. To wielkie pytanie, co jest pięknem, na
czem zależy i jakie są charaktery prawdziwej piękności,
od najdawniejszych czasów było celem dociekania mędrców.
W ustach każdego człowieka ten wyraz oznaczał pewny stopień

ukontentowania i rozkoszy, które mu widok, albo w ogólności czucie jakiej rzeczy sprawiało. Ale niepewność znaczenia, które każdy do tego słowa: piękność przywiązywał, dała powód uczonym do głębszych w tym względzie badań.

Platon w dwóch rozmowach, w jednej pod tytułem *Phaedrus*, w drugiej *Hippias większy*, dotknął tej matery; lecz w pierwszej mówi bardziej o tem, co nie jest pięknem, w drugiej nie tyle rozwija naturę piękności, jako raczej mówi o przyrodzonym ludzi do tego, co jest pięknem, przywiązaniu.

Święty Augustyn napisał traktat o piękności; ale ten nie doszedł do naszych czasów. Myśli jego w tym względzie, które w różnych swych dziełach, osobliwie w piśmie o mieście Bożem, rozrzucał, odnoszą się do tego ostatecznego twierdzenia, że jedność jest kształtem i istotą piękności: *omnis pulchritudinis forma unitas est*.

Wolf w swojej psychologii twierdzi, że, ponieważ jedne są rzeczy, które się nam podobają, drugie, które się nie podobają; z tej różnicy wynika wyobrażenie naturalne ludziom piękności i szpetności.

Crouzas, na tem samem wspierając się założeniu, twierdzi, że piękność zależy od uczucia, które widok jakiej rzeczy w nas wzbudza; i tak, gdy mówię, iż widzę rzecz piękną, wyrażam przez to, iż widzę rzecz, którą pochwalam i która mi rozkosz przynosi. Rozszerzając dalej swoje uwagi, zakłada piękność na jedności, rozmaitości, porządku i stosownych kształtach.

Andres napisał dzieło pod tytułem: *essai sur le beau*, do ciekawie nad pięknoscią. Jest to jedno z najlepszych pism w tym rodzaju i którego części są najlepiej z sobą połączone. Autor nie zacięka się zbyt głęboko w metafizyczne badania, co jest piękność w swoim pierwiastkowym kształcie. Dzieli swój traktat na cztery części, w kształcie mów napisane. Uważa 1-ód piękność widzialną (*le beau visible*); 2-re piękność w obyczajach (*le beau dans les mœurs*); 3-cie piękność umysłową (*le beau intellectuel*); 4-te piękność muzykalną (*le beau musical*). W każdym znowu podziale uważa piękność pod trojakim względem: piękność bezwzględną (*le beau absolu*), piękność naturalną (*le beau*

naturel), piękność sztuczną (*le beau artificiel*). Zasada jego nauki jest, iż piękność zależy na jedności (*unité*), w której się mieszczą rozmaitość, porządek, harmonia i t. p.

Marmontel w swoich zasadach literatury pod artykułem: *le Beau*, rozbiera obszernie tę materyę i tem się różni od poprzedników swoich, że nie przypuszcza tylko jeden rodzaj piękności, a tą jest piękność względna (*le beau relatif*). Dowodzi 1-ód, że wyobrażenie piękności, tak jak wyobrażenie okrągłości, twardości, miękkości i t. p. pochodzi od zmysłów; że się z tem wyobrażeniem nie rodzimy, ale go nabywamy; 2-re, że piękność nie innego nie jest, tylko uczucie stosunków (*sentiment des rapports*), które między rzeczą a władzami duszy i naszymi zmysłami zachodzą, tudzież tych, które upatrujemy między częściami dzieła a jego całością i celem. Eschenburg i inni pisarze estetyk niemieckich twierdzą, że piękność zależy na zmysłowym wystawieniu jedności w rozmaitości.

Bouterwerk głębiej tę rzecz w estetyce swojej rozważa, kiedy powiada, że to jest pięknem, co estetyczne pragnienia duszy ludzkiej, czyli pragnienia nieograniczonej rozkoszy i przyjemności, podług praw natury i rozumu, zaspokaja.

Badanie, co jest piękność, jaka jest jej natura, jakie istotne cechy, samo z siebie trudne i głębokie, jest jeszcze utrudnionem przez równie nieuważne, jak rozmaite użycie tego wyrazu piękność. Zwyczaj w języku przywiązał je do wszystkiego, co tylko się podobać może; dzieci, potrawy, które im dobrze smakują, piękniemi zowią; pospólstwo przez wyraz: piękny rozumie często pewną miarę wielkości. Naprzód więc starać się będziemy przywiązać do tego wyrazu właściwe jego znaczenie.

Jako jest rzeczą pewną, że, co jest pięknem, zwykle się nam podobać, tak też jest z drugiej strony pewną, że nie wszystko, co się nam podoba, jest pięknem. Piękność jest tylko jedną z własności rzeczy, które w nas upodobanie i rozkosz wzbudzają. Zastanówmy się więc nad źródłami przyjemnych uczuć naszej duszy, nad sposobami, jakimi ich kosztujemy; i w tem rozróżnianiu szukajmy, co się właściwie pięknem nazywać powinno.

Codziennie uczy doświadczenie, że są rzeczy, które się nam

podobają, które przyjemne w nas wzbudzają uczucia, chociaż o ich własnościach i istocie żadnego nie mamy wyobrażenia. Takimi są wszystkie przedmioty, które przez swoje działanie wzbudzają mile materialne części zmysłów naszych; do czego się bynajmniej nie przyoznają ani ich kształt, ani poznanie istoty. Możemy nie wiedzieć, co jest rzecz sama z siebie, jakie są jej własności, a lubimy jednak to wrażenie, które na zmysłach naszych sprawuje. Takie rzeczy mają ścisły stosunek z naszymi potrzebami, składają klasę tych, które do bre mi nazywamy. Tu także należy wyobrażenie o dobroci moralnej, kiedy, nie mając względu, tylko na pożytek, wynikający dla nas z jakiej sprawy, mówimy, że jest dobra.

Są znowu rzeczy, które nam się nie wprzód podobają, aż póki przez oczywiste przekonanie nie poznamy ich własności. Tymi naprzód zatrudnia się rozum, rozważa ich cel i środki, jakimi do swego przeznaczenia zmierzają, sądzi o nich podług praw swoich: i po tej dopiero czynności rozumu następuje rozkosz, którą nam sprawują. Do tej klasy należy wszystko, co się nam podoba przez doskonałość; jakimi są ma chiny, tak dobrze złożone, tak umiejętnie rozporządzone, iż zupełnie odpowiadają celowi swemu; jakimi jest do wó d, w którym pojedyncze zdania i założenia są tak dobrze powiązane, iż z ich połączenia wynika zupełne przekonanie.

Lecz oprócz tych jeszcze jest pewny gatunek rzeczy, które wzbudzają nasze upodobanie. Środkują one pomiędzy dwiema wyżej wspomnianemi, tak, że nieco z pierwszej klasy, nieco z drugiej mają. Już ta własność i kształt rzeczy zajmuje naszą uwagę; ale często wprzód, nim ją zupełnie poznamy, wprzód, nim się o jej własnościach i ich łączeniu oczywiście przekonamy, wprzód, mówię, odbieramy od niej przyjemne wrażenie. Do tej klasy należy to wszystko, co się pięknem nazywać powinno.

Stąd wynika, 1-ód, że do bre m jest to, co się nam podoba przez swe materialne własności, które bez względu na kształt rzeczy, na jej istotę i stosunki, mogą obudzać i utrzymywać w nas przyjemne uczucia; 2-re pięknem jest to, co się nam podoba przez swój kształt, postać i własności bądź zewnętrzne, bądź wewnętrzne, chociażby przedmiot nie miał w sobie nic

takiego, co by go w innych względach pożytecznym czynić mogło, i choćby nam prócz wewnętrznego ukontentowania żadnej innej nie obiecywał korzyści; 3-cie doskonałem jest to, co się nie podoba ani przez wartość materialną swej istoty, ani przez zewnętrzną formę, ani przez nieoznaczone dążenie swoich własności, ale z wewnętrznego bądź zewnętrznego swego składu, który odpowiada zupełnie zamierzonemu celowi.

Przywiązawszy tym sposobem pewne wyobrażenie do tego, co pięknoscią nazywać powinniśmy, gdybyśmy mogli oznaczyć jej kształt i powszechne własności, dopełnilibyśmy zamiaru, który sobie estetyka zakłada; bo znaleźlibyśmy wzór prawdziwy i nieodmienny, do którego by wszystkie dzieła sztuki stosować można i podług niego sądzić o ich wartości. Ale w tym razie granice między pięknoscią, doskonałością, górnością i innymi przedmiotami uczuć smaku tak są nieznacznie zakreślone, że z jednego w drugie łatwo bardzo przejść i obłąkać się można. Tyle jest w ludziach różnic w sposobie myślenia i uczucia, tylu odmianom smak od wieku do wieku, od narodu do narodu podpada, tak wielki do niego mają wpływ stopień cywilizacyi, obyczaje i samo położenie, że trudno sobie obiecywać, aby w tym względzie rozum ludzki zbliżył się kiedy do ostatniego kresu i wszystkie pokonał trudności. Będziemy się jednak starać tyle, ile można, rzecz tę w następnych objaśnić uwagach. Zastanawiając się nad kształtem i własnościami, przez które piękność nam się podoba, przekonujemy się, iż ona znajduje się pomiędzy dobrocią i doskonałością i z obiema graniczy. Częścią wartość jej cenioną bywa przez uczucie delikatne, ale nie oznaczone, równie jak wartość tego, co dobrem nazywamy; częścią przez działanie rozumu i poznanie, które jednak w oszacowaniu tego, co jest pięknem, może nie dochodzić aż do stopnia oczywistego przekonania.

Piękne nie jest też samo, co dobre, w którym człowiek może na nic więcej nie dawać uwagi, tylko na działanie i wrażenie, na swoich zmysłach sprawione; nie jest tem, czem jest doskonałość, w której rozum przez swoje władze musi dojść aż do oczywistego poznania. Piękność więc ma swoje istotne charaktery, i te są następujące: 1-ód rzecz powinna mieć jedność i całość; 2-re kształt jej, w swojej całości uważany,

powinien bez wielkiej trudności i wyraźnie mózdz być objętym i ogarnionym; 3-cie powinna w niej panować rozmaitość, ale w rozmaitości porządek; 4-te części rozmaite tak się łączą i tak się przetapiać w jedną całość powinny, aby żadna część, osobno wzięta, mocniejszego, niż całość, nie czyniła wrażenia, to jest powinny mieć proporcję i przystawość symetryę.

W tym roku (1817) otrzymał miejsce nauczyciela poezyi w gimnazjum wileńskim. W czasie choroby Euzebiasza Słowackiego (1814) Uniwersytet powołał go na tymczasowego zastępcę do wykładu poezyi i wymowy. Po uzyskaniu stopnia magistra filozofii w r. 1816 Borowski został adjunktem przy katedrze poezyi (1818 r.) W r. 1820 ogłosił rozprawę: «Uwagi nad poezją i wymową pod względem ich podobieństwa i różnicy» i pracą to zdobył nominację na profesora nadzwyczajnego. W r. 1823 był już profesorem zwyczajnym i na stanowisku tym przetrwał aż do zamknięcia uniwersytetu w r. 1831. Po utworzeniu, na miejsce zwiniętej wszechnicy, akademii duchownej, otrzymał w niej Borowski katedrę homiletyki i prowadził

XXIX.

BOROWSKI LEON

(1784—1846).

Urodzony 1784 r. w pow. pińskim, wychowywał się w domu swej matki chrześniej, wojewodziny Zofii z Tysenhausów Chomińskiej. Nauki odbywał w szkole wydziałowej w Postawach. Po śmierci opiekunki musiał radzić sam o własnym losie. Przybywszy do Wilna w r. 1801, otrzymał tu, za poparciem Pocobuta, zajęcie w kancelaryi akademii wileńskiej, a jednocześnie uczęszczał na wykłady wydziału nauk moralnych, który w liczbie 6 katedr miał katedrę historii powszechnej (ks. Husarzewski) i literatury, a raczej wymowy i poezyi (ks. Golański). Otrzymałszy stopień kandydata filozofii w r. 1803, nie porzucił zajęć kancelaryjnych i doszedł do stanowiska buchaltera w r. 1805. Jednocześnie rozpoczął zawod literacki przykładem komedy Moliera p. t. «Skupski» (1806) i żartobliwo-rubaszną dedykacją nowego wydania: «Uwag o śmierci niechybnej ks. Baki szlachetnemu panu a panu Piotrowi Dubińskiemu, burmistrzowi Jego królewskiej mości miasta Wilna, promotorowi bractwa św. różańca, hetmanowi buławy wielkiej tegoż bractwa, i t. d.

W tymże roku (1807) otrzymał miejsce nauczyciela poezyi i wymowy w gimnazjum świsłockiem, skąd przeniesiony został w r. 1811 do gimnazjum wileńskiego. W czasie choroby Euzebiasza Słowackiego (1814) Uniwersytet powołał go na tymczasowego zastępcę do wykładu poezyi i wymowy. Po uzyskaniu stopnia magistra filozofii w r. 1816 Borowski został adjunktem przy katedrze poezyi (1818 r.) W r. 1820 ogłosił rozprawę: «Uwagi nad poezją i wymową pod względem ich podobieństwa i różnicy» i pracą to zdobył nominację na profesora nadzwyczajnego. W r. 1823 był już profesorem zwyczajnym i na stanowisku tym przetrwał aż do zamknięcia uniwersytetu w r. 1831. Po utworzeniu, na miejsce zwiniętej wszechnicy, akademii duchownej, otrzymał w niej Borowski katedrę homiletyki i prowadził

Opracował H. GALLE.

przytem wykłady literatury polskiej do r. 1842. Zmarł w Wilnie r. 1846. Samouk, bez wyższych uzdolnień, z umysłem trzeźwym, holdującym pojęciom XVIII, pracą wytrwałą zdobył dość rozległą znajomość główniejszych dzieł literatur starożytnych, a z nowszych: włoskiej i francuskiej. Nieobcą mu nawet była poezya angielska i niemiecka. Z polską zapoznawał się stopniowo, od wieku XVIII począwszy posuwając się wstecz. Poznał się także, zapewne ze wskazówkami Grodka, z pracami Niemców na polu krytyki filologicznej i estetyki. Oprócz wymienionej powyżej rozprawy: «Uwagi nad poezją i wymową», ogłosił w «Dzienniku wileńskim» (r. 1818) «Uwagi nad Monachomachią Krasickiego», które miały rozpocząć szereg rozbiórów najważniejszych dzieł pisarzy polskich. Jest to właściwie krytyczne opracowanie pierwszej pieśni poematu, ze wstępem i objaśnieniami rzeczowemi, tudzież oceną zalet i wad utworu. W tymże czasopiśmie pomieścił w r. 1826 drobną rozprawkę (15 stron.) «O wpływie obcych wzorów starożytnych i nowych na kształcenie smaku». Z przekładów ogłosił drukiem «Kobiet filozofki» Moliera (Wilno 1826), tudzież «Zale Tassa» Byrona, «Allegro» i «Penseroso» Milтона, wreszcie urywki z Lukrecjusza, pomieszczone częściowo w «Dzienniku wileńskim», a następnie zebrane razem i dołączone do odbitki pracy «Uwagi nad poezją i wymową» (str. 156). Przekład «Don Kiszota» zostawił w rękopisie. Przystąpił się też wydaniem «Przeobrażeń» Owidyusza w przekładzie Żebrowskiego (Wilno 1821) i «Jerolimski» Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego (Wilno 1826, 2 tomy, z obszernym wstępem krytycznym, na 110 stron). Jako członek towarzystwa Szubrawców, pomieszczał żartobliwe wiersze w «Wiadomościach brukowych», a prócz tego ogłosił w «Tygodniku wileńskim» (z r. 1820) «Porównanie życia Szarlowskiego i Baki» (Dwa typy wierszokolew). Z opracowań, odnoszących się do historii literatury polskiej, ogłosił r. 1841 w «Wizerunkach i rozstrząsaniach naukowych» żywo skreśloną, lecz mało krytyczną, rozprawę o Filipie Kallimachu, odmawiającą włoskiemu humaniście i sławionemu przez niego Grzegorzowi z Sanoka przypisywanych im przez Wiszniewskiego uzdolnień wysokich i zasług. Urywki z wykładów historii literatury w akademii duchownej pomieściło, po śmierci Borowskiego, «Album literackie» Wójcickiego (Warszawa 1848). Wiadomość o życiu pismach uczonych Grodka pozostała w rękopisie.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

Staranną i szczegółową biografie z oceną prac skreślił Piotr Chmielowski w «Encyklop. wychowawczej» t. II, Warszawa 1882, str. 226—252. Wszystkie dane biograficzne wzięł Chmielowski z nekrologu, napisanego przez Dominika Chodźkę. «Athenaeum» 1847, I 115—151).

A) Uwagi nad Monachomachią Krasickiego.

(Dziennik wileński, r. 1818 t. II, str. 485).

Szereg objaśnień i uwag, w jakie krytyk zaopatrzył przedrukowaną tu pierwszą pieśń powyższego poematu, zakończył następującą oceną całości.

215) Dzieło to pod względem sztuki uważać należy za wdzięczną igraszkę szczęśliwego dowcipu i dorywcy, jak mówi Dantiscus^{*)}, płód pióra Krasickiego; więcej w nim uderzają piękności szczegółowe, to jest dowcip i wesołość z pojedynczych obrazach, w osobnych wymysłach i strofach, niżeli trudna sztuka w porządnem złożeniu całości. Lubo ta właśnie piękność szczegółów sprawuje, że dzieła Krasickiego tak się podobają i zawsze podobać się będą; bo zawsze większa liczba czytelników zdolna jest czuć przyjemność obrazu lub charakteru osobno wziętego, niżeli oszacować wszystkie zalety powieści rymotwórczej, mianowicie znaczniejszej, poważniejszej lub wesołej, w jej zamiarze, postępie i całkowitym układzie. Dziwiąc się talentowi prawdziwie narodowemu Krasickiego, jednemu w swoim rodzaju w naszej literaturze, nie można nie żałować sprawiedliwie, że czcigodnym Dantyskiem, «że natura, uszczęśliwiająca Krasickiego tak niepospolitych talentów darem, zapomniała przydać do nich szczyptę cierpliwości, tak potrzebnej do odczytania i do wygladzenia robót wszelkich; niesłychana łatwość, z którą wiersze ronil bez przeglądania ich, była przyczyną, dla której dzieła jego nie są bez skazy».

B) Przedmowa do wydania Jerolimy wyzwolonej w przekładzie Piotra Kochanowskiego.

(Wilno 1826, t. I, str. VIII).

216) Od czasu jak płody sztuki głębiej oceniane poczęto, nie chcemy już przestawać na ciemnym i niewyraźnym czuciu upodobania lub wstrętu, które przy ich rozważaniu w nas powstają, ale usiłujemy wydobyc z duszy naszej czyste i wolne od wszelkiego przesądu wyobrażenie, któreby w każdej chwili

^{*)} Jest to pseudonim ka. Adama Czartoryskiego (ojca kuratora szkół i ministra spraw zagranicznych za Aleksandra I). Przynoczone następnie sąd o Krasickim wzięty jest z jego rozprawy: «Myśli o pismach polskich».

(Przyp. Aut.)

smak chciał potwierdzić, a rozum mógł usprawiedliwić. Do tego jednak nie dosyć posiadać sam twórczość poetycką, trzeba jeszcze poznać początek i sposób jego powstania; bo umysł podoba sobie w upatrywaniu harmonii między zdolnością i sposobami poety a zaletą lub niedostatkami dzieła; lubi postępować z poetą, śledzić wszystkie drogi, które przebywał, patrzeć na zawady i pomocy, a wtemczas dopiero czuje się zdolnym dać wyrok, o ile to być może, niezawodny.

Gdyby na to potrzeba było przykładów, dawna i nowa poezja obficieby ich dostarczyła; nie chybiliśmy ujrzeć, że skutkiem podniesionego sposobu sączenia już dla nas owe twory, niewiadomego początku, podobne z nieba spadłym (czyż *doméros*), które były przedmiotem zdumienia i uszanowania dla dawnych Helenów, nie mają ceny, że potrzeba koniecznie, aby umysł, dokładnie i zdrowo sądzić chcący, poznał nie tylko sam główny przedmiot, lecz i względy, które mu towarzyszą, które, lubo nie będąc istotą, składają atoli część jednej zupełnej całości.

Te uwagi służą wszystkim wielkim poetom każdego narodu i wieku, szczególny jednak zbieg okoliczności mocniejszy lub słabszy ich wpływ miarkuje. Przemieniający się wielokrotnie sposób życia i działania rodu ludzkiego przynosił widoczne odmiany nie tylko w sposobie uczucia i pojmowania piękności, ale nawet w stosunkach poetów ze światem zewnętrznym.

XXX.

KOPCZYŃSKI ONUFRY

(1735—1817).

Najzaślubiejszy po Konarskim Pijar, który, wspólnie z innymi pracownikami, tradycje Komisji Edukacyjnej przeniósł do w. XIX, a w dziejach pedagogii i dydaktyki polskiej zajął miejsce niepoślednie — Onufry Kopczyński urodził się 30 listopada 1735 roku w Czerniejewie, w województwie Gnieźnieńskim. Uczył się w szkołach pijarskich w Warszawie. W roku 1752 wstąpił do Zgromadzenia ks. Pijarów w Podolińcu na Śpiżu, a w 1754 został wyświęcony. We dwa lata potem, w r. 1756, rozpoczął zawód nauczycielski w kolegium pijarskim w Szczuczynie. W następnych latach wykładał literaturę rzymską i wymowę w kolegiach w Radomiu, Piotrkowie, Rzeszowie, Złoczowie i w Podolińcu (1768). W charakterze mentora młodego Antoniego Wisłockiego, Kopczyński udaje się za granicę i zwiedza Wiedeń, Paryż i inne ogniska naukowe europejskie. Powróciwszy do kraju, osiada w Warszawie i zostaje nauczycielem w Collegium Nobilium pijarskim. Z polecenia Komisji Edukacyjnej opracowuje dla szkół narodowych gramatykę języka polskiego i łacińskiego, która, po roztrząsaniu przez Towarzystwo do ksiąg elementarnych, uzyskuje aprobatę Komisji dnia 2 października r. 1778. Ogłoszona p. t. «Gramatyka dla Szkół Narodowych» w l. 1778—1783, w trzech częściach, na klasy I, II i III, wprowadzona została do szkół. (Liczne wydania w wieku XVIII i XIX). Towarzystwo do ksiąg elementarnych wybrało Kopczyńskiego na swego członka (1780), a król Stanisław August obdarzył go za tę pracę złotym medalem «Merentibus». W r. 1783 mianowany przez Komisję Edukacyjną pomocnikiem bibliotekarza Biblioteki Rzplitej (Zakuskich), gorliwie zajmuje się porządkowaniem jej zasobów. W tym czasie Kopczyński ogłasza w opracowanym wspólnie z Piramowiczem i ks. Jędrzejem Gawrońskim «Elementarzu dla szkół

Opracował BR. CHLEBOWSKI.

parafialnych narodowych» (Kraków 1785, wyd. 2-gie 1792) wyborną «Naukę pisania i czytania», oraz osobno «Układ gramatyki dla Szkół Narodowych, z dzieła już skończonego wyciągniony» (Warsz. 1785, Gröll) i «Zbiór nauki chrześcijańskiej i obyczajowej» (Warsz. 1786). Jako współautor złożyłwedy «De meritis Bielavii» (1789) wywołał Kopczyński przeciw sobie zjadliwy wiersz Trembeckiego p. t. «Bielawski do nieboszczyków». W pamiętnych latach 1791—1792 ukazują się dwa jego utwory okolicznościowe wierszem łacińskim: jednokartkowy «Pileus, libertatis symbolon et palladium, quo usus est Stanislaus Augustus, Poloniarum Rex, dum memorabili die 3 Maji 1791 ad cantandum Ambrosianum hymnum iret in Ecclesiam, Aeviternae memoriae ac cultui in Zalusciana Reipublicae Bibliotheca dicitur» (1791; wyszedł jednocześnie w przekładzie polskim Michała Wyszowskiego p. t. «Czapka, znak i puklerz wolności...»); drugi obszerny p. t. «Ad quosdam Polonos diffidentes adhuc rebus patriis» (1792, 24 str.). D. 5 listopada 1794, po sformułowaniu przez Kopczyńskiego przezprawili się przez Wisłę z żywnością i lekarstwami dla ocalałych. Po upadku powstania Kościuszkowskiego znalazł się wraz z innymi w Dzikowie u Tarnowskich. Zawikłany w proces patryjotów polskich, oskarżonych w r. 1796 przez rząd austriacki o zbrodnię stanu, Kopczyński przewieziony został w r. 1800 z Krakowa do Nikolsburga na Morawach i osadzony w klasztorze; stąd przeniesiono go w roku 1802 do klasztoru we Freudenthalu na Śląsku. Zgnębiony więzieniem, podał prośbę o uwolnienie do cesarza Franciszka II, w formie ody łacińskiej, która wskazuje skutku nie odniosła. Dopiero za wstawieniem się Aleksandra I, dzięki staraniom ks. Ad. Czartoryskiego, uwolniony w lipcu r. 1802, wraca z wygnania do Warszawy, zajętej wówczas przez Prusaków. Towarzystwo Przyjaciół Nauk wybiera go na posiedzeniu dnia 4 listopada r. 1802, na swego członka czynnego. Na posiedzeniu publicznem w dniu 16 listopada roku 1804 odczytano rzeź Kopczyńskiego «O duchu języka polskiego» (ogłosz. w Roczn. Tow. Prz. Nauk» t. IV, r. 1807). Obrany prowincyałem Pijarów (1804), obejmuje zarządy tego zgrupowania i sprawuje do roku 1807. W tym samym roku 1804 Kopczyński otrzymał od rządu pruskiego wezwanie do objęcia wykładów nauki obyczajowej w świeżo założonem liceum warszawskiem, od czego się wymówił, przyjął natomiast urząd efora czyli inspektora szkół. W grudniu roku 1806 stanął na czele deputacji przed księciem Muratem, w celu uproszenia opieki nad zagrożonym zakonem Pijarów i jego zakładami wychowawczymi. Za Księstwa Warszawskiego Kopczyński był członkiem Izby Edukacyjnej i pełnił urząd wizytatora szkół. W tym okresie wydał dwie prace językowe: w r. 1807, czyniąc zadość potrzebie, przez siebie ogłoszonej, podręcznik gramatyki języka polskiego dla Francuzów, p. t. «Essai de grammaire polonoise pratique et raisonnée. Pour les Français» (Varsovie, 171 i XIX str.), z listem do Napoleona na czele; w następnym zaś roku, dbaly o nieskazitelność języka ojczystego, rozprawę

p. t. «Poprawa błędów w ustnej i pisanej mowie polskiej» (Warszawa 1808). W pamiętnym r. 1814 Kopczyński ogłosił wiersz elegijny «Ad Congressum Vindobonensem» (str. 14), w którym wystąpił w obronie praw Polski. Wiersz ten wyszedł jednocześnie po polsku, w przekładzie J. D. Minasowicza, p. t. «Do Kongresu Wiedeńskiego» (1814). W uczczeniu zasług, położonych przez Kopczyńskiego na polu pracy nad językiem ojczystym Stan. Potocki, minister oświecenia, wręczył mu dnia 30 listopada 1816, w dzień jego urodzin, publicznem medal złoty, wybity na jego cześć, z napisem: «Za Gramatykę polskiego języka — Ziomkowie. 1816». We trzy niespełna miesiące po tej uroczystości, dnia 14 lutego r. 1817, Kopczyński zakończył pracowicie i pełne zasług życie. Do ostatniej chwili pracował nad wykończeniem, w nowym obrobieniu, gramatyki polskiej, która wydana została już po jego śmierci, p. t. «Gramatyka języka polskiego. — Dzieło pozgonne». (Warsz. 1817). O przedsięwzięciu swojem napisania tego dzieła Kopczyński zawiadomił rodaków w odeswie, wygłoszonej na posiedzeniu Towarzystwa Przyj. Nauk jeszcze w r. 1806. Oprócz wymienionych powyżej pism Kopczyński ogłosił nadto następujące: «Mowa przy założeniu pierwszego kamienia na kościół Złoczowski XX. Scholarum Piarum d. 6 lipca 1767 miana» (b. m. i. r.); «Prawidła przystojności i obyczajności dla studentów pijarskich (Warsz. 1806); «Nauka o dcbrem piśmie» (Warsz. 1807 [o kaligrafii]); «Treść Gramatyki polskiej, służąca za wstęp do nauk filozoficznych» (Wilno 1806), oraz szereg wierszy łacińskich okolicznościowych, w osobnych drukach, między innymi — do księcia warszawskiego, Fryderyka Augusta («Religiosus et sapiens Princeps Fredericus Augustus», 1809) i do Aleksandra I («Ad Alexandrum Rossiarum Imperatorem», 1816; jednocześnie wiersz ten wyszedł po francusku; przekład polski J. D. Minasowicza w «Gaz. Koresp. Warsz. i Zagr.» 1816, nr. 81). Kopczyński (nie Kniadzin) był ostatnim poetą polsko-łacińskim.

Kopczyński zasłynął głównie jako autor «Gramatyki dla Szkół Narodowych» i «Gramatyki» t. z. «pozgonnej». Współcześni nazywali go «prawodawcą języka polskiego» i w takim charakterze zyskiwał przez lat kilkadziesiąt niemałej powagi. Lubo sam twierdził, że «jedynym prawodawcą i sędzią ojczystej mowy» jest «Duch językowy», «Ducha» tego jednak utożsamiał z gramatyką («Popr. błędów», str. 5), którą nazywał «księgą praw językowych». O sobie mówi, że «zjadł zęby i osłabił oczy na śledzeniu Ducha językowego» (tamże, str. 4) i wreszcie «odkrył» tego przyrodzonego prawodawcę (tamże, str. 16). «Natura» zdaniem Kopczyńskiego, «nie utworzyła, ani żadnej kobiety, ani żadnego języka w zupełnej doskonałości, ale, podzielać swoje dary, pomieszała wady z przymiotami. Sztuka, oddzielając wady od przymiotów i łącząc w jedno rozsypane dary, stwarza niby istoty doskonalsze». «Nie było nigdy zbioru piękności kobiecych, a przecie Apelles odmalował je w obrazie Wenery» («O Duchu języka pol.»). Kopczyńskiemu zdawało się, że takim sztukmistrem może i powinien

być gramatyk! Stał jeszcze na stanowisku francuskich autorów t. zw. «gramatyk filozoficznych» XVII i XVIII w., którzy stosowali kategorie logiczne do faktów językowych. Sądził, że, aby napisać dobrą gramatykę, dość, «zapomnieć tylko loili przypatrywać się pilnie i uważnie ze wszystkich stron mowie ludzkiej». Nim jednak przystąpił do pisania gramatyki dla szkół narodowych, «udał się do czytania pism filozoficznych o mowie ludzkiej. Platon, Arystoteles, Bakon, Kartezjusz, Sanckycusz, Locke, Pluche, Marsais, Gibelin, Kondyllak, odkryli mi w postrzeżeniach swoich wielkie światło na poznanie mowy ludzkiej» (Wstęp do «Układu gram. dla szkół narod.» str. 5, 6). Kopeczyński widział «ściśle związek między gramatyką, logiką i retoryką», a gramatykę swoją nazywał «dziełem metafizycznym» (tamże, str. 13, 23); to też nazywano go «badaczem filozoficznym języka», a gramatykę jego «filozoficzną». Jako wychowaniec wieku XVIII, był racjonalistą na polu badań językowych i miałem, że zadaniem gramatyka jest «gruntownie o języku rozumować» («Przypisy» do gramatyki na kl. I, § III). — «Gramatyka dla Szkół Narodowych» ma niemałe zalety dydaktyczne; odznacza się jasnością i przystępnością wykładu, który Kopeczyński prowadzi sposobem indukcyjnym, przechodząc od rzeczy wiadomych do niewiadomych, od szczególnych do powszechnych, od łatwiejszych do trudniejszych. Naukę języka polskiego prowadzi w gramatyce równoległe z nauką języka łacińskiego. Rozłożył ją autor na trzy lata. Do gramatyki włączył naukę o znaczeniu wyrazów, o przenośni, o iloczynie, o wierszopisarstwie i o czytaniu ksiązek. Do każdej części dodał osobno obszernie «Przypisy», przeznaczone dla nauczycieli, zawierające dokładniejsze uwagi gramatyczne i cenne dydaktyczne wskazówki. Dla nauczycieli również przeznaczył dw. osobno wydany «Układ Gramatyki dla Szkół Narodowych» (1785). «Gramatykę» t. z. «spozgonną» (1817) Kopeczyński przeznaczył już nie wyłącznie dla szkół, ani dla nauczycieli, lecz dla «Kochanego Naroda» (ob. Wstęp). Język łaciński z wykładu wyrzucił, a całość podzielił na trzy części, odpowiednio do trzech stron języka: «głosu, myśli i pisma».

Kopeczyński wprowadził do gramatyki polskiej szeregi dowolnych przepisów; między innymi domagał się kreskowania a ściśniętego, które w wymowie ogółu znikło już w w. XVIII. Niektóre jego prawa przetrwały do dziś, jak np. przepis, który wprowadził (za Szyllarskim) wbrew zwyczajowi narodowemu i uświęcił niejako swoją powagą, przepis odróżniania rodzaju nijakiego od męskiego w narzędniku i miejscowniku l. p. deklinacji zaimkowej i przymiotnikowej (-em, -ym) i w narzędniku l. mn. (-emi, -ymi); oraz przepis wtrącania spłgł. ł. w imiesłowach na -szy. Gramatyki Kopeczyńskiego nie miały wprawdzie ściśle naukowej wartości nawet w swoim czasie; były to jednak bądźco bądź prace niepospolite, pierwsze podręczniki, z których się naród zaczął uczyć języka ojczystego. Wystąpienie Kopeczyńskiego ma znaczenie historyczne; wywarł bowiem wpływ na ogół i na późniejszych gramatyków i stworzył całą szkołę naśladow-

ców. Czas jakiś nawet, w okresie panowania klasycyzmu w literaturze, uchodził za taką powagę i wyrocznie nieomylną w dziedzinie gramatyki, że mniemano, iż raz na zawsze «przepisał» niewzruszone prawa języka (ob. Mowę Szwejkwowskiego; Śniadeckiego «O języku pol.» — «Dziela» IV, str. 5), jak Dmochowski — «prawa poezji (Śniadecki «O pism. klas. i romant.»). Kopeczyński był więc jakby twórcą «kodeksu językowego», jak Dmochowski — «kodeksu poetycznego» («Szuka rymotwórczy»). Łudźono się co do trwałości jednego i drugiego. Już nawet za życia Kopeczyńskiego powstawało przeciwko niektórym jego twierdzeniom i przepisom (np. Bohusz w «Dodatku do poprawy błędów» 1808). Pierwszy dopiero Mroziński odważył się wystąpić z ostrą krytyką przeciw powadze Kopeczyńskiego, w słynnej swej «Odpowiedzi» (1824); oddawał hołd obywatelskim Kopeczyńskiego zasługom, ale odmawiał mu talentu, a gramatyce jego naukowej wartości (ob. str. 164 i nast.). W kilka lat potem Mickiewicz, pisząc swą filipikę przeciw klasykom p. t. «O krytykach i recenzentach warszawskich» (1829), dopatrzył się trafnie analogii pomiędzy swoim wystąpieniem przeciw powadze Dmochowskiego, a wystąpieniem Mrozińskiego przeciw Kopeczyńskiemu. Dmochowski (syn), występując w obronie zasług i pamięci ojca, bronił i Kopeczyńskiego przeciw Mickiewiczowi, ale dość niefortunnie (ob. jego «Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza», Warszawa 1829, str. 84. Pomimo wszystko, zasługi Kopeczyńskiego są niespożyte. Gorąco przywiązany do kraju, całe życie poświęcił pracy nad językiem ojczystym, uczył, krzewił zamiłowanie do niego wśród rodaków, unosił się nad jego pięknością i doskonałością, gorliwie przestrzegał czystości jego i poprawności. «X. Onufry Kopeczyński, Pijar, — powiada Libelt — ten nieśmiertelny Kopeczyński, czuł całą duszą swoją, miłość ojczyzny pełną, ile na zamblowaniu i kształceniu języka narodowego zażył» («O miłości ojczyzny», Rozdz. VII). Ostatecznie «Gramatyka dla Szkół Narodowych» (1778), pomimo, że oddawała przestarzała, jest dziełem epokowem, «najlepszą naówczas nad ojczystym językiem pracą» (Kryński: «Kwestya językowa», str. 28), a terminologia gramatyczna, przez niego stworzona, została w całości niemal przyjęta i wprowadzona do nauki. To też słusznie nazwał Kopeczyńskiego Linde «nieśmiertelnym autorem gramatyki naszej narodowej», a Kryński, surowo oceniający jego przepisy — «największym gramatykiem swego czasu». Jako pedagog i dydaktyk Kopeczyński odmałczał się nieopłomitemi zaletami, o czym świadczy biogram jego, Al. Osiciński, i takie dzieła, jak «Gramatyka dla Szkół Narodowych» i «Nauka pisania i czytania», znakomita, na swój czas, pod względem metodycznym, praca. Za życia otaczano Kopeczyńskiego powszechnym szacunkiem — pamięć o nim do dziś przetrwała.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

I. Bibliografię prac Kopczyńskiego drukowanych podali: Al. Osiański w «Pochwale Kopczyńskiego» (nieokładna), Estreicher w «Bibliografii polskiej» t. II i XX. — Spis rękopisów, po śmierci Kopczyńskiego pozostałych, podaje Osiański (nieokł.) i «Catalogus librorum Bibliothecae Collegii Regii Varsaviensis cler. reg. Schol. Piar. renovatus» (Varsaviae 1822; na str. 497). Wykaz S. Bielskiego przytacza Kraushar w «Tow. Przyj. Nauk», t. V (str. 19). Tablice, w ilości kilku tysięcy, w których rozłożył wyrazy polskie, według swego systemu, w kilka tomów oprawne, Kopczyński złożył «na wieczną pamiątkę» w Bibliotece Żaluskich (ob. Wstęp do «Układu Gram.» str. 31). — «Wyjętek z rękopisma X. Kopczyńskiego» (z «Dykcyonarza pol.») podany w «Pam. Warsz.», t. VI, 1823.

II. Przeyczniki do życiorysu. — Bielski S. «Vita et scripta quorundam e Congregatione Sch. Piarum in prov. Pol. professorum» (Vars. 1812); Osiański Al. «Pochwała X. Onufrego Kopczyńskiego», wyd. drugie (Warsz. 1819. Odb. z «Roczn. Tow. Przyj. Nauk» z r. 1818; w końcu dodane: list Kopczyńskiego z r. 1809, «Zdanie Kopczyńskiego o nowym Słowniku X. Al. Osiańskiego» i Rajm. Kórsaka «Elegia na śmierć Kopczyńskiego». Broszura p. t. «Uroczystość oddania medalu złotego X. Onufremu Kopczyńskiemu S. P. w dniu 30 listopada r. 1816... z ryciną tegoż medalu i mowami przy tej okoliczności mianem». (Warsz. 1817). Są tu mowy X. Rekt. Sawickiego, powinyęła pijar. X. Szwejkowskiego, prof. Liceum Warsz. Stan. Potockiego, Oda K. Brodzińskiego «Przy oddaniu medalu Kopczyńskiemu» i mowa Kopczyńskiego, która wyszła i osobno. Mowy Szwejkowskiego i Potockiego ogłoszono wspólnie w «Pamiętn. Warsz.» (t. VII r. 1817). — Opis pogrzebu Kopczyńskiego, mowy uczniów szkół pijarskich, Leona Potockiego i Fr. Sal. Dmochowskiego, oraz wiersz z powodu jego zgonu Stan. Wyżewskiego w «Gaz. Koresp. Warsz. i Zagr.» 1817, nr. 14 i 15; Kudasiiewicz «Kopczyński O.» w «Enc. Orgelbr.» t. XV (1864); Woycicki «Cmentarz Powąz.», Wisłocki «Poczet chronologiczny prac Piramowicza» (Rozpr. wydz. filol. Akad. Umiej. V, 1877, str. 311, 351 i 399—400); Karboviak «O książkach elementarnych Komisji Edukacji Narodowej» (Lwów 1893, odb. z «Muzeum», str. 54—59); Kraushar. «Towarzystwo Przyj. Nauk» (Warsz. 1900—1906); Lector «Onufry Kopczyński jako austriacki wiewiec stanu» («Kraj», 1904, nr. 51, streszcz. z «Czasu»); Bartoszewicz K. «Drobny przyczynek do 3 maja» («Świat», 1906, nr. 22), Szczegóły do życiorysu rozproszone ponadto po pamiętnikach i innych dziełach. Są nieraz balałnutne, np. ciekawa wiadomość, podana przez Ehrenberga, z ust Ks. Ad. Jakubowskiego, w «Wykładzie bajek Krasickiego» (Kraków 1871, str. 217).

III. Oceny. Bohusz «Dodatek do książki p. t. Poprawa błędów»

(Warsz. 1808); Feliński «Przyczyny używanej przezemnie pisowni» («Pisma», I. 1816); Mroziński «Odpowiedź na recenzję» (Warsz. 1824); «Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej przez Deputację od Tow. P. N. wyznaczoną» (Warsz. 1830. Artykuły Mrozińskiego, Szwejkowskiego i innych); Kryński «Kwestya językowa» (Warsz. 1873); wykazał bezzasadność odróżniania rodzaju nijakiego od męskiego w deklinacji przymiotników: Hanusz «O zakończeniu instrumentalu i locativi sing. masc. neutr. i instrum. plur. deklinacyi zaminkowej i złożonej w jęz. pol.» (Kraków 1880); Kryński «Rozbiór gramatyki pol. histor.-porówn. Małeckiego» (Warsz. 1880); Tenże w art. «Językoznawstwo polskie w XIX st.» («Prawda», 1901, nr. 8) i w art. «Gramatyka polska» («W. Encykł. Powsz.» t. XXXVIII); Biełkowski «Gramat. polska» (Encykl. Wychow. t. V); Wisłocki «Nauka języka polskiego w szkołach polskich przed Kopczyńskim», (Lwów 1868); Chmielowski «Stylistyka polska» (Warsz. 1903, str. 38). — O «Nauce pisania i czytania» pisali: Zarański w «Zarysie dziejów nauki czytania» (Krak. 1868) i Nowakowski Fr. w «O Elementarzu Komisji Edukacyjnej» (Lwów 1871) i w art. «Elementarz» («Enc. Wych.» t. III).

„Grammatyka Języka Polskiego“ (1817).

Wychodząc z zasady, że «język składa się ze trzech części (i): z głosu, z myśli i z pisma», Kopczyński rozpatruje najprzód «powierzchność języka», potem «wewnętrzność języka», wreszcie «mowę pisaną». W części pierwszej zajmuje się głównie faktami z zakresu głosowni i fleksyi; w drugiej mówi o słoworodzie, przenośni i składni; w trzeciej — o pisowni, «dobrem piśmie» (t. j. kaligrafii) i najobszerniej o akcentach, głównie o kreskowaniu samogłosek ścieszonych, przyzem podaje tabele wyrazów i form z samogłoskami otwartymi i ścieszonymi. W mowie swej z r. 1816 Kopczyński nazywa «tę niewiadzaną dotychczas teorię akcentów» «potrzebną tak języka, jak gramatyki koroną». Zachowujemy tu pisownię oryginału.

a) Ze „Wstępu czyli Przemowy do Narodu“.

217) Kochani Rodacy! nie śmiejem zdaniem moim uprzędnąć waszego sądu. Stawiam tylko przed oczy wasze zbiór krótki postrzeżeń nad językiem Ojczystym: wnidźcie w ich iasną i rzetelną prawdę; a po wydanym narodowym wyroku, otworzą się swoyskie i cudzoziemskie oczy, a niewiadomość i szadzność zamknie usta.

Jeszcze jedna uwaga niechaj wasprze potrzebę wydania tego dziełka. Losy bytu naszego bardzo go chylą ku zgubie i ię-

zyk też za sobą ciągną. Jeżeli sąsiedztwo cudzoziemców, tyle czystości ujęło naszemu językowi, czegoż się nie lekąć od spofienia? O! miłości oyczyny! o! żądzo narodowy sławy! o! zacności polskiego języka! czyliż razem z odmianą panów ziemi ginąć macie? Dwa sławne przykłady Greków i Rzymian nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego imienia. Wymazane są z Jeograficznój karty dwa tē najsławniejszye narody, a imię ich w porządku Historij politycznej i moralnej bliższy przed wszystkim. Cóż im tę sławę zjednało? Język. Język pełen umiejętności, pełen wdzięku, pełen mocy, malujący naybliżey i nayiaśniey nayskrzysze rozum i serca ludzkiego tajniki. Czy nasz Słowiański odnozek blisko do tych wzorowych mów przystępuje, koniec postrzeżeń naszych dowiedzie. Języki są kluczem nauk, kluczem języków są Grammatyki. Bez grammatycznego rozbiuru, język jest rodakowi nawet obcy, martwy i umarły, ani lego obfitość albo niedostatek, ani moc, albo słabość, ani gładkość albo chropowatość, ani regularność albo nieforemność nie da się poznać, póki pod sznur grammatycznych prawideł podciągnionym nie będzie. Zaczem i dla korzyści doczesnej, i dla nieśmiertelnój imienia Polskiego sławy, małujemy prawdziwy obraz naszego Języka.

Przed malowaniem obrazu tēgo zrobmy wprzód rys lego ogólny, żebyśmy iaśniey i porządnēy w działaniu naszym postępowali.

Jak język nasz składa się ze trzech części: z głosu, z myśli i pisma; tak nauka o nim czyli Grammatyka, na takież części dzielić się będzie.

W porządku przyrodzonym myśl jest pierwszą, głos jest drugi, pismo jest trzecie; w porządku grammatycznym, rozbiarającym język, głos jest pierwszym, myśl jest druga, pismo jest trzecie. Chcąc tedy dokładnie, a porządnie poznać cały język, trzeba pełną a głęboką uwagą przypatrywać się tym wszystkim trzem częściami, już osobno każdēy, już łącznie iednēy z drugą, bo wszystkie ściśle są między sobą spoiłone. Pierwszą wpadnie w oczy powierzchowność języka, czyli mowa ustnā, drugā wnetrzną tēy mowy, czyli znaczenie, trzeciā, ręczne tēy mowy malowanie: wszakże, iedna część w drugą często wpadać będzie.

b) Z części I: Powierzchność Języka.

Rozdział I. § 2. *Rozbiór pisaney mocy skąd się má zaczynać?*

218) Wszelkie szczegóły iakożkolwiek są nudne; są do poznania całości, którą składają, istotnie potrzebne. Pojętność ludzkā, tak jest ograniczonā; że nic dokładnie nie poznaie, tylko stopniami cząstek. Nie wstydźmy się tedy spuścić się aż do Elementarnych drobiazgów, wystawiwszy wprzód oczom przykład iaki, całkowitēy mowy, w którym się te drobiazgi znajdują

Przykład:

«Czego placzesz? staremu mówił czyżk młody:

«Masz teraz większe w klatce niż w polu wygody.

«Tyś w niēy zrodzon (rzekł stary) przeto ci wybacze:

«Jām był wolny; dziś w klatce: i dlatego płaczę»).

Uczyńmy tu pierwsze postrzeżenie, iż pospolitē Elementarze nieporządnie i niegruntownie w uczeniu dzieci postępują; nieporządnie: gdy od Abecadła poczyniā; niegruntownie: gdy dalszych figur pisma, pisowniām znamionām nazwanych, a w czytaniu koniecznie wydawać się mających, nie pokazują i nie uczą. Skąd pochodzi niedokładne pospolicie czytanie.

Rozbiór mowy, tak się porządnie zaczynać powinien, iak Anatomia ciała ludzkiego. Wystaw wprzód całość, a dopiero iey cząstki. Nie zaczynāy od kości, nie pokazawszy skąd są wzięte. Abecadło urodziło się z mowy; poczynāy od mowy. Mowa zamykającā myśl rozumną, bawic roskoszinie będzie przebiegającēgo gołe figury i dźwięki A, B, C, nic przez się nie znaczące. W pisanym przykładzie znaydziesz tē same figury, poznasz ich dźwięki, ich wcielenie i związek z całością mowy, iako matki, w której się poczęły.

Jeżeli ieden przykład o wolności: czego placzesz? nie jest dostatecznym źródłem całego Abecadła i wszystkich znamion pisownych, nie trudno znaleźć drugi i trzeci np.

«Święta miłości kochanēy oyczyny!

«Czuiā cię tylko umyły poczciwe:

«Dla ciebie zjadł smakują trucziny,

«Dla ciebie więzy, pęta, nie zelżywe,

*) Krasicki, w Baykach. (Przyp. Aut.).

- «Kształcisz kalectwo, przez chwalebne blizny
- «Gniédzisz w umysłach roskoszy prawdziwé.
- «Byle cię tylko wspomódz, byle wspierać;
- «Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.»

Tę i tym podobne mowy przykłady, jako matki Abecadła, poprzedzać mają Abecadła naukę, która tak się rozłoży.

c) Z części II. O Wewnętrzności Języka Polskiego.

Rozdział I. § 1.

Grammatyké łącząc powinien znanomości słów ze znanomością myśli.

219) Rozwóżaliśmy dotąd ciało języka naszego, jako rzecz powierczowną; czas teraż przyszedł, abyśmy stąpili wewnątrz do jego duszy. Głos, jest ciałem: znaczenie głosu jest duszą. Głos nasz nie jest świstaniem wiatrów, albo mrużeniem niemych strumyków, ale jest technieniem żyjącego w nas ducha, oznajmującego myśl swoję, towarzyszącemu z nim człowiekowi. Niebáczni przodkowie nasi Grammatycy, anatomizując ciało, a usypiając duszę, robili z mowy, istnego trupa: a przeto nie mogli iéy, ani sami poznać, ani drugim pokazać. Pierwszy Bakon, Angielski Kanclerz, krusząc stary przesąd, powziął i wyiawił myśl swoję o tákichy Grammatyce, filozoficzną mianowaną, któraby odkrywała, nie związek słów między słowami, ale związek między słowami a myślą, ponieważ słowa, są znakami myśli*). Można osobno słowa, a osobno myśli, rozważać, jako części skłádające mowę; ale całosci mowy, rozważać nie można bez słów, razem i myśli. Nawet chcąc gruntownie poznać samych słów własności, nie obydzcie się bez myśli, iakéśmy tego doznali w stopniowaniu, rozdaowaniu, przypádkowaniu i czasowaniu, chociażéśmy tę pierwszą część Grammatyki powierczowną nazwali. Wzaiémmie teraż mając rzecz o wewnętrzności mowy, nie obydzciem się bez słów pomocy. Jak w żyjącym człeku, tak i w mowie, ciało bez duszy, dusza bez ciała bydzć nie może. Prawda, że im kto więcej słów umiéd; tym więcej umiéd języka: wszakéże, gdyby kto wszystkie słowniki zapakował w pamięci swoiey, a nie wiedział, co które

*) Krasicki, w Myszeldzie. (*Przyp. Aut.*)

**) W księdze V. Rozdz. I. o znacności i pomnożeniu nauk.

(*Przyp. Aut.*)

słowo znaczy, na coby się, proszę, albo jemu, albo komu, ta wiadomości przydała? Mowa z natury swoiey, iest tłumaczką myśli; iakéże niewiadomą myśl tłumaczyć będzie?

§ III. *Przez co się wiążé mowa z myślą?*

220) Co czyni związek między ciałem a duszą; toż samo czyni związek między mową a myślą. Jeżeli mię domysl moy nie uwodzi, związek ten zawisł na Ruchu wspólnym ciała i duszy.

Ruch, tak powierczowny, iak wewnętrzny, że iest w żyjącym człeku; ten chyba wątpić może, kto całą czulość utracił. W naywiększym mniémanym spoczynku, iaki iest w siedzącym, leżącym, i śpiącym nawet, odprawiają się ruchy przyrodzone. Płynie krew w żyłach, sercá bié, oddychają płuca, żołądek trawi.

Że i dusza má swój ruch, ten chyba nie wie, kto iéy władz i działaniá tychże władz, nie uważa w sobie, i nie poznaie. W pomyślnéy chwili, w spokojném zaciszu, o! iak się dusza rozplywa, w wyborzie szczęścia swoiego! zdrowie czéstwé, przyziéciele wierni, mieszkanie wygodné, dostatki obfite, potomstwo wesolé, służący na zawołaniu, porywają do siebie roskoszną duszy uwagę, i pomyślniejszemi ieszcze karmią nadziejami. Nie przestając już na rozrywce domowéy, puściwszy cugle wyobraźni, czyli imaginacyi swoiey, látá myślą po miescach, w których albo bywała, albo przynajmniéy widziała ié na ieoğraficznych atlasach. Nie iéy nie morduie, przebiédz z Lisony do Kamszatki, z cieśniny Weygatz do Przylądka dobréy nadziei; i na Xięzycę nawet z Gawłém się wzbíla. Wpadnieli na gazeciarskie nowiny, slyszy marsowe wrzawy od Moskwy i Madrytu aż do Paryża; dziwi się millionom uzbroionéy tłuszczy z oderwaniem rąk od pluga, warsztatu, handlu, od żon i od dzieci własnych. Zdumiéwá się nad ukáraníem potomka Cyrnusa, a cieszy się z przywróconego pokoju światu, przy którym wzdychá do zmiany losu, biednego kraju swego.

To, w imaginacyi ruch taki, a iakież nie musi bydzć w rozumie? Właśnie iak rzeki do morza ze wszystkich spływają kraiów, i poruszeniá mu przyczyniają, tak powierczowne i wewnętrzne zmysły pchaią hurmem do rozumu tysiączne uczucia

mywał od całego grona bawiących tam wtedy wybitnych osobistości, jak: Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, Stanisław Malachowski, Staszic Czartoryski wyznacza mu stały zasiłek na utrzymanie pomocnika w gromadzeniu wypisów. Znajomość z głośnym sławistą Dobrowskim ułatwia mu poznanie różnych narzeczy słowiańskich i ich literatur. W chwili kiedy ogłosił już program zamierzonego «Słownika», otrzymał od rządu pruskiego propozycję urządzenia w Warszawie liceum niemiecko-polskiego kierowania niem. Przyjawszy to stanowisko, przybył w końcu r. 1803 do Warszawy i zajął się powierzonym mu zadaniem. Do rady nadzorczej przy nowej szkole weszli sami Polacy ze Stan. Potockim na czele. Nowy zakład otwarty został z początkiem r. 1805. Pełnić gorliwie obowiązki dyrektora, nie przestaje Linde pracować nad słownikiem, a obok tego bierze czynny udział w pracach Tow. Przyjaciół Nauk, którego członkiem został jeszcze r. 1800, a więc przed rozpoczęciem publicznej działalności tej instytucji. Mając zapewnione hojne zasiłki ze strony możnych protektorów, jak: Ossoliński, Stan. Zamojski, Czartoryski (pokrywał $\frac{1}{4}$ kosztów), poparcie ze strony rządów (rząd pruski zalecił zakup dla bibliotek szkolnych, w dawnych prowincjach polskich), rozpoczął wreszcie Linde r. 1806 druk swego Słownika w drukarni Pijarów w Warszawie. Członki, papier i zecerów sprowadził z zagranicy. Tom pierwszy ukazał się w końcu r. 1807; tom szósty, wydany z zasiłku Wincentego Tyszkiewicza, referendarza lit. (za poparciem Jana Śniadeckiego), wyszedł r. 1814 (wydanie drugie, uzupełnione, ukazało się w Lwowie, nakładem Zakładu Narodowego Ossolińskich, 1854—1861).

Najważniejsze instytucje naukowe niemieckie i francuskie zaliczyły teraz Lindego w poczet swych członków. Namieśnik Królestwa Zajączek wręczył mu wielki medal złoty z napisem: «Za Słownik języka polskiego zionkowie 1816». Za Księstwa Warszawskiego Linde był członkiem Izby, a następnie dyrekcji edukacyjnej. Za Królestwa polskiego brał udział w organizowaniu uniwersytetu warszawskiego i przez czas jakiś wykładał w nim psychologię i gramatykę poważną, przytem zajmował się urządzeniem biblioteki uniwersyteckiej. Obok tego nie przestawał pełnić obowiązków rektora liceum. W r. 1823, na popisie tej szkoły, odczytując Linde, schlebając występującej wtedy reakcyi, przekład rozprawki rosyjskiej Kajdanowa o korzyściach z nauki historii, w której autor dowodził, iż upadek narodów jest zawsze zasłużony i usprawiedliwiony. Z tego powodu na obiedzie, urządzonym dnia 1 lutego 1824 r. w hotelu wileńskim z okazji uroczystego posiedzenia Tow. Przyj. Nauk w nowo zbudowanym gmachu, generał Krasiński w ostrych słowach skarcił ten postępek Lindego i oświadczył, że zamyka przed nim swój dom. Dotknięty tem Linde pisze list do Staszica, jako prezesa Towarzystwa, ze skargą na swe pokrzywdzenie i zapowiedzią usunięcia się z instytucji. Staszic sprawę tę załatwił. Linde członkiem pozostał, nawet w r. 1831 był wybrany na posła do sejmku z miasta Warszawy. Dopiero przy zamykaniu Towa-

rzystwa, w r. 1832 pomścił się na swych kolegach w sposób, nie przynoszący mu zaszczytu (Al. Kraushar, Tow. Przyj. Nauk, t. VI i VII). W r. 1833 został dyrektorem gimnazjum i członkiem rady wychowania, lecz, już r. 1835 otrzymawszy emeryturę, usunął się ze służby rządowej. Zmarł w Warszawie 8 sierpnia 1847 r. Jako człowiek, o ile w życiu domowym był zacnym i tkliwym mężem i ojcem, o tyle znowa okazywał się słabym, chwiejnym, prądnym i uległym każdej władzy urzędniczej.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

Główniejsze źródła i prace o życiu i działalności Lindego. 1) Autobiografia, umieszczona na czele tomu VI Słownika. 2) P. Koepfen. S. G. Linde, eine biographische Skizze, Wiedeń 1823 (odb. z Jahrbücher der Litteratur, 3) Jan Pajłowski. O trudach Linde, piśmo i z Warszawy (w czasopiśmie «Moskwitanin», 1842, część VI, ks. XI, 97—115, i 1854, N 5, 20, 21). 4) Bielowski, Żywot S. B. Lindego (na czele I tomu Słownika, Ławów 1854). Znajduje się tu spis prac L., ogłoszonych drukiem i pozostałych w rękopisie; są to drobne bez trwałej wartości rozprawki albo przekłady z rosyjskiego (Sopikowa, Grecza, Kajdanowa) i niemieckie przekłady ważniejszych dzieł polskich. W tejsze rozprawie znajdują się listy L. do Ossolińskiego. 5) Saint-Maurice Cabany, Notice nécrologique sur S. Th. de Linde, Paryż 1856. 6) Życie domowe Lindego z opowiadaniem rodziny skreślił Wójcicki, Cmentarz Powązkowski, III, Warszawa 1855. 7) Listy L. do Śniadeckiego ogłosił Baliński, Pamiętniki o Janie Śniadeckim II, Włocławek 1865. 8) J. Pajłowski, Kłosy 1871, XII, 268, 262. 9) Józef Przyborski, Tyg. ilust. 1871, VII, 261, 280. 10) Listy do B. Lindego, Aut. B. Lindes Briefmappe, wydał K. J. Petelenz (sprawozdania gim. św. Jacka, Kraków, 1885—1888). 11) Najszczegółowszą ocenę słownika podał Brückner, Język W. Potockiego, Kraków 1900 (odb. z t. XXXI Rozpraw Wydz. Fil. Akad. Um.). 12) Wiele materiału zawiera dzieło Kraushara, «Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk», Warszawa, 1900—1906, 13) G. Korbut, Encyklopedia Wychowawcza VI, Warszawa 1904, str. 506—511; ob. także Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek (L. Warszawa 1901, str. 335—338, 14) Listy L. do Hanki ob. W. Franczew. Pisma k W. Hankie iz sławiańskich ziemiel, Warszawa 1905. 15) W. Franczew. Srawnitielnyj sławiańskij słowarj S. B. Linde, Warszawa 1905.

Prawidła etymologii, przystosowane do języka polskiego (1805—6).

Jest to praca, skrócona w dwu językach (po polsku i po niemiecku), częściowo w programach popisu liceum warszawskiego z lat 1805 i 1806, a następnie w całości osobno z datą r. 1806. Pomieścił ją też Linde na czele

pierwszego tomu swego «Słownika». Zaczyna od odróżnienia w wyrazach «głosek istotnych» (mających do źródłosłowa), następnie zajmuje się sprawą przemiany brzmień spółgłoskowych, przy tworzeniu się form pochodnych i odmian, dalej — zmianami w samogłoskach, badaniem okoliczności, utrudniających dochodzenie etymologiczne (przeastawianie brzmień, upodobnianie, zatrata), przedstawia pomoce etymologiczne (porównawcze zestawienia z innymi językami, dawnymi formami), rozmaite stopnie pewności etymologicznej i wreszcie ostateczne zamiary etymologii. Podajemy tu ustępy z ostatniego (X) rozdziału.

Ostateczne zamiary etymologii.

221) § 76. Nie trzeba więcej wymagać po etymologii, niż może i niż powinna ziszcic. Niesłusznieby, zaiste, po niej żądano, ażeby pierwiastki dzisiejszych języków od pierwszej osady człowieka w raju, albo od korabia Noego wyprowadzała; na toby się nawet i nierozsądnie silila. Kogo świadectwa historycznie o rozrodzeniu się ludzkiego plemienia z jednej pary nie przekonywają, tego też pewnie o tem nie przeświadczy etymolog, którego pracy nie inny jest ostateczny zamiar, jak okazać jedyne źródło wszelkich na świecie języków, w rozszniedem natury naśladowaniu, wyrażeniem uczutych poruszeń i stąd wynikłych wyobrażeń; okazać w każdym z osobna języku mowę ludzką z drobnych pierwiastków, podług pewnych, umysłowi ludzkiemu przyzwoitych prawideł, do niezmiernego bogactwa zapomożona.

222) § 79. Zagęściliśmy w języku naszym obcych słów plemię, przejąwszy ich wiele, już to w sąsiedzkim obcowaniu, już w przypadkowych zdarzeniach, już nakoniec z towarami, naukami, zwyczajem. Skąd się rzeczy brały, stamtąd razem z niemi i imiona tych rzeczy. I tak przyswoiliśmy Turckie: kilim, kobierzec, dywan, kaftan, dyma, tutuń, cybuch, lulka, kapciuch, imbryk, filiżanka, bazar, targ; Tatarskie: kołczan, sajdak, taftaj, dziiryd; Węgierskie: huzar, dobosz, szereg, orszak, dołoman, ciżma. Rzemioslnicze i kunsztowne słowa przyszły do nas po większej części z Niemiec, jako i same rzemiosla i kunsztaj; słosarz, słosarstwo, rymarz, garbarz, farbiarz, hebel, warsztat, szruba, szrubsztak, szorc, majster, cech, kunszt, sztuka, malarz, pendzel, snycerz, rysunek, i t. d. Kościelne pol-

skie słowa w obrządku rzymskim wyczerpane są z łaciny, jak: oltarz, cmentarz, kielich, msza, ofiara, kancyonal, konfessyonal, ambona; w Greckim zaś obrządku, a też i u innych Słowian, trzymających się tegoż, wyszły z Greckiego języka n. p. monaster, cerkiew, trebnik, i t. d. — Niekiedy atoli, przyswajając obce słowa składane, chciano je niejako na swojskie przelać, czyli przepolszczyć, przetasowaniem zgłosek, jak się pokazuje z słów: *incarnatio* — wcielenie, *transsubstantiatio* — przeistoczenie, *substantia* — podstata, podstawa, *omnipotens* — wszechmocny, *propheta* — prorok; *Sechswöchnerinn* — sześcioniedzialka (później połoznica).

XXXII.

MROZIŃSKI JÓZEF

(1784—1888).

Jeden z pierwszych badaczy języka polskiego, urodz. 19 marca 1784 we wsi Koniuchy w pow. brzeżańskim w Galicji. Odbiwszy nauki w miejscowych szkołach niemieckich, zaciągnął się w r. 1807, z chwilą utworzenia Księstwa Warszawskiego, do pułku huzarów, z którego przeszedł do 1-go pułku legii nadwiślańskiej, z nią odbył kampanię hiszpańską, uczestniczył w oblężeniu Saragossy i, dosłużywszy się stopnia kapitana, przeszedł do sztabu marszałka Sucheta w charakterze adjutanta. Przy organizacji armii Królestwa Polskiego, jako podpułkownik, został szefem sztabu pierwszej dywizji piechoty. W roku 1820 otrzymał rangę pułkownika, a 1829 r. generała brygady. Za udział w kampaniach od r. 1807 do 1814 roku dostał krzyż legii honorowej z tytułem kawalera państwa francuskiego i pensją 1000 franków. Otrzymałszy dymisję r. 1831, zmarł r. 1835 w Warszawie.

Pobudką do podjęcia studiów lingwistycznych stały się liczne błędy językowe, jakie wykonał Mrozińskiemu Bentkowski w pracy jego, złożonej redakcyi «Pamiętnika Warszawskiego»: «Oblężenie i obrona Saragossy w latach 1808 i 1809, ze względem szczególniejszym na czynności korpusu polskiego». Zabrawszy się do studyowania ówczesnych gramatyk, znalazł w nich tyle sprzeczności i wątpliwości w kwestiach ortograficznych, że, zapalwszy się do przedmiotu, postanowił go zgłębić wszechstronnie, by dojść do pewniejszych rezultatów. Zapoznał się więc zarówno z dotychczasowemi pracami na polu gramatyki i ortografii polskiej, jak i z dawnymi zabytkami języka z wieku XV i XVI. Zwrócił się też o wskazówki w kwestyi powstawania brzmień do prac niemieckich Meinerta i Adelunga. Pierwszą pracą Mrozińskiego na tem polu były: «Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego» (Warszawa 1822). Adryan Krzyżanowski i Andrzej Kucharski ogłosili oceny tej pracy w ówczesnej «Gazecie literackiej».

Z powodu czynionych mu zarzutów ogłosił Mroziński r. 1824 «Odpowiedź na recenze», w której rozwinął swe poglądy na kwestyje gramatyczne i ortograficzne.

Gdy w roku 1827 na posiedzeniu dnia 7 Lutego na wniosek Skarbka powołało Tow. Przyj. Nauk deputacyę, złożoną z ks. Szwejkowskiego, Bentkowskiego, Brodzińskiego i Osińskiego, «zażęby zajęła się pisownią polską i stała jej prawidło podała», grono to zaprosiło następnie do udziału w pracy Mrozińskiego, który nie był członkiem Towarzystwa (wykaz członków podany w dziele Kraushara nie zawiera jego nazwiska) ale mimo to, jako najbardziej uzdolniony i zapalony do badań językowych, zajął w deputacyi stanowisko kierownicze, chociaż prezesem był ks. Szwejkowski. W ogłoszonym roku 1830 zbiorze prac tejsze deputacyi p. t. «Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej» (Warszawa 1830, str. XXIII i 588) prace Mrozińskiego zajmują połowę zbioru i wartością naukową górują nad rozprawami innych członków, z wyjątkiem Szwejkowskiego, słabo przygotowanych do powierzonego im zadania. Z wymienionych powyżej prac Mrozińskiego jedna tylko, a mianowicie «Oblężenie i obrona Saragossy» doczekała się przedruku w «Bibliotece polskiej» Turowskiego. Biografii specjalnej i oceny pism zasłużonego lingwisty nie posiadamy dotąd.

O znamionach nad samogłoskami (1830).

Jest to jedna z siedmiu rozpraw Mrozińskiego, pomieszczonych w książce: «Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej». Rozpatruje on naprzód historyczny przebieg sprawy odróżniania w piśmie samogłosek otwartych i pochylonych, a następnie szuka podstawy w fizjologicznych warunkach wyrażania brzmień głosowych do sformułowania zasad, według których umieszczano znamiona w piśmie.

223) Str. 48—50. Wszyscy dawni pisarze, którzy zastanawiali się nad ortografią polską, odróżniali w samogłoskach: a, e, o, dwojakie brzmienie, jedno otwarte, drugie ściśnione [tak]. Różnicę tę brzmienia wyrażono w piśmie zwykłe przez znamiona, kładzione nad literami. Jest wprawdzie wiele pism z czasów Zygmuntońskich, w których niemasz wcale znamion nad samogłoskami; pochodzi to stąd, że znamiona, utworzone w piśmie naszym dopiero na początku XVI-go wieku, nie zaraz mogły się upowszechnić w piśmie ręcznem, wprowadzenie ich nawet do druku wymagało nieco czasu.

W połowie XVIII-go wieku zniknęło zupełnie z pisma polskiego a kreskowane. Później gramatycy nadmieniali o a ści-

śnionem, jako o brzmieniu w mowie polskiej, w niektórych tylko województwach dochowanym. Kopczyński usiłował koniecznie zaprowadzić na nowo znamię nad literą *a*, i powrócić brzmienie ściśnione samogłoskom we wszystkich przypadkach, w których je miały w wieku XVI, lecz usiłowania Kopczyńskiego były bezskuteczne. Zaledwie kilku pisarzy zdolał nakłonić do kreskowania samogłosek podług dawnego zwyczaju. «Niewielu nawet, mówi Feliński, znalazło się nauczycielió ściśle poslušnych, którzy do tego kreskowania w szkołach przymuszali, a i tych nawet uczniowie przestali kreskować, jak tylko mogli przestać, to jest, jak tylko wyrwali się ze szkół (str. LXII)».

Kopczyński, wskrzeszając znamię nad samogłoską *a*, która, jak sam w Układzie Gramatyki wzniję (str. 139), w żadnej już książce po roku 1746 drukowanej nie była zamionowana, odwołuje się do powagi pisarzy wieku Zygmuntoó: «Dźwięk ten dwojaki, mówi, był od dawności w naszym języku; świadectwem tego są znamiona pisarskie nad temi samogłoskami, statecznie u dawnych Polaków zachowywane (Przyp. do G. n. k. III, str. 16). Za czasóó Zygmuntoó, wszyscy pisarze, choć nie ze wszystkim jednostajnie, zachowywali znamiona (Przyp. do G. n. k. III, str. 29)». Feliński twierdzi (str. IJ), że w licznych rękopismach dawnych nie widział litery *a* kreskowanej, że wiele nawet jest dawnych drukóó, w których *a* wszędzie jest bez znamienia. «Skądże więc, mówi, dzisiaj możemy mieć pewność, że to prawidło i w oym nawet czasie było powszechnie przyjęte, a nie raczej uważane tylko za próżny wymysł niektórych literatóó?». Gdyby *a* ściśnione było tylko wymysłem ówczesnych literatóó, nie byłoby się w drukach dochowało aż do wieku XVIII-go, nie byłoby się na jedno zgadzali wszyscy gramatycy i wszyscy pisarze, którzy rozważali ortografię polskiego języka, nie byłoby niektórzy, dla wyrażenia dwojakiego brzmienia samogłosek, zaprowadzili do pisma liter, nawet nieznaných w alfabecie łacińskim. Sama rozmaitość środkóó, których używano dla odróónienia otwartego i ściśnionego brzmienia samogłosek w piśmie, jest niezaprzeczoným dowodem, że różnicę tę wszyscy w mowie czuli. Zaborowski kreskuje *a* otwarte. Po nim Seklucyan radzi kreskować *a* ściśnione, Kochanowski, w piśmie swoim o ortografii, każe nad otwartem

a pisać znamię od prawej ręki, nad ściśnionem zaś od lewej; mówiąc znowu przed śmiercią swoją z Januszowskim, radził, aby ani nad otwartem, ani nad ściśnionem *a* nie kłaóó kreski, lecz, aby dla wyrażenia ściśnionego *a*, utworzyć w alfabecie literę *a* innego kształtu. Następnie wszyscy pisarze, aż do wieku XVIII-go, którzy rozważali brzmienia mowy polskiej, mówią o różnicy między *a* otwartem i *a* ściśnionem. Gramatycy ówczesni, którzy pisali dla cudzoziemców, uczył, jak ściśnione polskie *a* należy wymawiać. Mesgnien mówi, że głoska ta wymawia się nakształt francuskiej głoski *au*. Schlag, aby dać wyobrażenie o brzmieniu ściśnionego *a* w słowie *pan* każe bardzo prędko przeczytać *paon*. W najpierwszych próbkach drukóó polskich nie widzimy wprawdzie różnicy między *a* otwartem i *a* ściśnionem, bo też te druki nie mają jeszcze liter na wyrażenie głosek polskich, które się nie znajdują w mowie łacińskiej, niemaz w nich różnicy między *o* otwartem i *o* ściśnionem, między *ł* i *l*, między *cz* i *ć*, w niektórych nawet nie różni się *ą* od *a*; niemaz w nich znamion nad samogłoskami, bo ich niema jeszcze i nad spółgłoskami. Alfabet polski, taki, jaki jest teraz, ustalil się dopiero w XVI-tym wieku.

XXXIII.

KRÓLIKOWSKI JÓZEF FRANCISZEK

(1781—1839).

Badacz języka, pedagog i pisarz, ur. 1781 w Galicyi, pobierał nauki od r. 1793 w Sanoku, Przemyślu, Zamościu, a w końcu na wydziale prawnym uniwersytetu lwowskiego. Przez czas pewien pełnił obowiązki sędziego w pow. brzeżańskim. W r. 1808 zostaje zastępcą nauczyciela matematyki i filozofii w Zamościu. W roku 1809 przechodzi do służby administracyjnej i od r. 1814 do 1816 jest prezydentem Radomia. Wreszcie r. 1820 obejmuje stanowisko nauczyciela literatury polskiej w Poznaniu, gdzie wydaje przez krótki czas pisma peryodyczne: «Mówkę poznańską» (1821) i «Pismo miesięczne poznańskie» (1822). Powołany na stanowisko inspektora szkół elementarnych, przeniósł się do Warszawy i pełnił te obowiązki do roku 1833. Zmarł r. 1839, pochowany na Powązkach. Syn jego Jan zasłynął, jako pierwszorzędný artysta dramatyczny sceny warszawskiej.

Miłośnik muzyki i teatru, interesował się żywo sprawą zgodności muzyki z rytmiką wiersza. Tłumaczył sam trzy opery dla sceny warszawskiej (w latach od 1818 do 1820). Umieszczony w «Pamiętniku warszawskim» z r. 1817 «Panegiryk nowych, a szczęśliwie wynalezionych rymów» przez St. Okraszewskiego, pobudził Królikowskiego do pomieszczenia w temże piśmie rozprawki: «Uwagi nad jednozłogowym rymem» (przedrukowanej później we wstępie do «Prozodyi»). Następnie, rozczytując się w dziełach niemieckich, poświęconych temu przedmiotowi, skreślił na podstawie pracy Marpurga «Anleitung zur Singcomposition» rozprawę «O śpiewach polskich z muzyką», pomieszczoną w «Pam. warsz.» (nr. 10, z paźd. 1817 do nr. 4 z kwietnia r. 1818). Ogłoszona w roku 1818 «Rozprawa o rytmiczności i metryczności języka polskiego» przez Józefa Elsnera (Warszawa 1818, w tem 7 arkuszy pracy Elsnera i 4 arkusze przykładów, wybranych przez K. Brodzińskiego), wywołała ze strony Królikowskiego: «Uwagi

nad dziełem: Rozprawa o metryczności i rytmiczności języka polskiego» (Warszawa 1818). Uwagi, żartobliwym tonem wypowiedziane w sprawie wierszy miarowych przez St. Okraszewskiego, pobudziły Królikowskiego do pomieszczenia w «Pam. Warsz.» (lutą i marzec roku 1818) odpowiedzi i rad w tej kwestyi. Zebrawszy wszystko, co w tej sprawie był ogłosił, uporałkował Królikowski swoje spostrzeżenia, uzupełnił je i pomnożył dodatkami tudzież nowym rozdziałem o heksametrach polskich i wydrukował w r. 1821 w Poznaniu, jako osobne dzieło p. t. «Prozodya polska czyli o śpiewności i miarach języka polskiego z przykładami w nutach muzycznych» (215 str. i kilka tablic nut). Ogłoszenie pracy tej przypada właśnie na chwilę wstąpienia nowej poezyi i bliższego już momentu rozkwitu muzyki polskiej. Mickiewicz, który pracę Królikowskiego będzie studiował w Moskwie, urzeczywistni, a nawet prześcignie życzenia jej autora w cudownej muzykalności sonetów krymskich i lirycznych ustępach Konrada, zwłaszcza w tak poryjającej melodją słowa «Pieśni z wieży» i rozmowie, a raczej dwaśpiewie Konrada z Aldona.

Prócz wymienionych powyżej ogłosił Królikowski następujące prace i wydawnictwa:

«Rozyrki literackie prozą i wierszem» (Poznań 1824, 2 tomiki).

«Proste zasady stylu polskiego, rozmaitemi spostrzeżeniami względem języka, dla użytku jasno, zwięźle, poprawnie, gładko i szczerze po polsku pisać chcących, praktycznie w przykładach okazane, a wzorami rozmaitego toku i sposobu pisania, nauką o listach, wykładem pewnej liczby synonimów i kilku rozprawkami o języku tudzież wyjaśnieniem pisowni dopełnione, przez Józefa Franciszka Królikowskiego, Doktora filozofii, prof. języka i literatury polskiej w król. gimnazjum poznańskim, Towarzystw: Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk, Krakowskiego Naukowego, Warszawskiego Przyjaciół Muzyki kościelnej i narodowej członka; orderu Ś. Stanisława kawalera. W Poznaniu i Bydgoszczy u T. A. Munka 1826, str. XXIV; 224. Dedykacja ks. Antoniemu Radziwiłłowi, Namiestnikowi królewskiemu w wielkiem ks. Poznańskiem».

«Wzory estetyczne poezyi polskiej, w pięknościach pierwszych mistrzów naszych z przytoczeniem teorii wystawione» (Poznań 1826).

«Rys poetycki wedle przepisów teorii, w szczegółach z najznakomitszych autorów czerpanej, ułożony» (Poznań 1828).

«Biblioteka konwersacyjna czyli wykład wiadomości rzeczy najpotrzebniejszych i najpożyteczniejszych w poźniucy towarzyskiem» (Poznań 1830, 4 tomiki).

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. 1) Wójcicki, Cmentarz Powązkowski, tom I. Warszawa 1865, str. 148—158. 2) Plenikiewicz, Roman Eneki. Wychowawcza, tom VI, Warszawa 1904, str. 391—397.

Prozodya polska (1821).

Najważniejsza z prac Królikowskiego, zaczyna się od wstępu, podającego genezę dzieła, mieszczonego uwagi nad rytmiką polską i jednozłotkowym rytmem (XXXI str.), potem idzie część pierwsza, obejmująca rozprawę o potrzebie zgody poezyi z muzyką (w operach i śpiewach). Część druga obejmuje prozody i budowę wiersza. Zajmuje się tu autor akcentem, iloczasem, miarami, rodzajami wiersza polskiego, heksametrem polskim w porównaniu ze starożytnym, rytmem i własnościami wierszy, dla muzyki przeznaczonych, w końcu zaś formami muzykami w operze (arya recitativo, duet, chór i t. p.).

Podajemy tu dwa wstępy z części pierwszej.

224) § 5, str. 7—8. Nie wszystko, co poeta nazwał śpiewem, jest nim istotnie, a częstokroć najpiękniejszy wiersz nie ma tych przymiotów, które w śpiewie zachowane być powinny, bo, ażeby śpiewy były dobrymi, powinien poeta choć w malej części być muzykiem. Łatwo w tem miejscu przewiduję zarzut, na bardzo pozorych mniemaniach oparty: «Dawniej poeci nie wszyscy byli muzykami, a przecież śpiewali». Prawda; ale czy wszyscy istotnie śpiewali, czy tylko dzieła swoje nazywali śpiewami, potrzebuje być okazaniem. O starożytnych poetach innych narodów wiemy, iż ci w samej rzeczy przy instrumentach muzycznych wiersze swoje odśpiewywali, a uważając po ich wierszu miarowym, mniej wątplić można, ażeby śpiewy ich nie miały być zgodne z muzyką. Czyli to samo i o poetach polskich powiedzieć można, bez przekonania się nie śmiałbym tego utrzymywać, i kto nas zapewni, że starzy nasi poeci, a po nich i późniejsi, nazywając pisma swoje śpiewami, nie naśladowali w tem tylko poetów innych narodów, chociaż poezya tamtych co do wiersza najmniejszego z naszą nie miała podobieństwa. Że jednak starzy poeci bliżsi, aniżeli my, byli śpiewności, widać tego ślady niejakię w śpiewach kościelnych i narodowych; a potem czyli wyraz śpiewam ma zawsze dowodzi śpiewanie z muzyką albo śpiewanie muzykalne, to wprzód udowodnionem być powinno: i kto wie, czyli ten wyraz nie był brany częściej za opiewam, co nie koniecznie pociąga za sobą muzykę.

225) § 12, str. 17—18. Ażeby śpiew był dokładnym i zgodnym z muzyką, nie dość jest zachować akcent mowy, ale potrzeba jeszcze, ażeby się poeta z muzykiem zgodzali

w myśli i uczuciach. Jak szkodliwą jest niezgodność w tej mierze, wkrótce poznamy. Każda rzecz ma swoje cele — poeta chce zawsze wzbudzić jakoweś uczucie; łatwiej tego dokáže zapomocą muzyki, ale potrzeba, ażeby się te dwie sprężyny, poruszające umysł ludzki, bardzo porozumiały z sobą. Muzyka ma wyrażać namiętność wyrozumianą nie tylko z ogólnej myśli śpiewu, ale często stosuje się do jednego wiersza, do jednego nawet wyrazu, inaczej śpiewy będą martwą tylko muzyką. Czyli do śpiewów polskich dotychczasowych można było taką pisać muzykę, lub nie? dlaczego? i czyli tej niedogodności na przyszłość zaradzić można, przekonamy się z doświadczenia. Kompozytor, pisząc muzykę do śpiewu, na strofy przedzielnego, robi ją też samą do wszystkich strof; jakże jej charakter zgodzi się z charakterem poezyi, jeżeli poeta, na to nie pomny, w każdej strofie inną wyraża namiętność, innem się unosi uczuciem? bo czyliż niepodobną jest rzeczą, ażeby poeta w pierwszej strofie swojego śpiewu palając najtękliszą miłością, w drugiej lub następujących zapalił się do najsroźszej zemsty? i czyliż można wymagać, ażeby na ten czas taż sama melodya wszystkim strofom towarzyszyła?

rozwiązane. Bliższych szczegółów tej katastrofy nie znamy; zdaje się, że Szubrawcy, którzy w ostatnich latach pucili się na mętne fale satyry osobistej i paszkwila, musieli w swoim piśmiku obrazić jakąś wysoko położoną osobę, i to spowodowało upadek towarzystwa. List niejaki p. J. K. donosi, że męga jej aresztowano, przyciem «papiery szubrawskie zostały opieczętowane i zabrane», niemają więc figurę musieli dotknąć redaktorowie i wydawcy «Wiadomości Brukowych». Członkowie dzielił się na «urbanów» (miejskich), t. j. członków czynnych, których było zawsze 40, rusków I i II rzędu (wieskich), t. j. osób postronnych, sprzyjających celom towarzystwa i współdziałających z niem (w liczbie nieograniczonej), i korespondentów. Urbani przybierali przewiska z mitologii litewskiej. Lista znanych nam z pomiędzy nich, według Hordyńskiego i Ottmanna, różniących się jednak między sobą pod pewnymi względami, przedstawia się w następujący sposób: Szymkiewicz (Perkunas), Kontrym (Pokus, zwany też «Dyguitarzem Ojcem, jubilatem Towarzystwa, trzykróć od braci tem nazwiskiem nazwanym i od każdego serdecznie obramionym»), Śniadecki Jędrzej (Sotwaros), Szydłowski Ignacy (Gulbi), Baliński (Anszlawis), Giecwicz Jan, Gorecki Antoni, poeta (Litwanos), Grzymala Franciszek (Gurcho, cz. Curocho), Karczewski Wincenty, Borowski Leon (Pergrubis), Lachnicki Ignacy (Chaurirari), Marcinowski Antoni (Sejmi, cz. Sejmji), Niemczewski Zacharyasz, dziekan wydziału fizyczno-matematycznego (Kielu), Porcyanko Konstanty, prof. chirurgii (Eskulap), Baliński Józef, brat Michała (Sweytistiks), Rychter Jan, Strawiński Kazimierz, Sękowski Józef, znany orientalista, Zan Tomasz, Worcell (Gryromir Tukan), Lagiewnicki Ignacy, Szantyr Jan, Sakowicz A., Dąbrowski. Do ruskich należeli: Chodźko Ignacy (Wirszajtos), Chodźko Jan (Wajszgantos), Szulc Maciej, Puttkamer Wawrzyniec, Grabowiecki, Kaszelewski, dwaj bracia Maniewiczze z Rafałki, w powiecie pińskim (jeden z nich przezwał się: Duzares), Mońuszek Aleksander, magister prawa, Marczyński Wawrzyniec, dr. teologii, Smokowski, Śniadecki Jan, Tymieniecki, Wilamowski, Wołski, Mianowski, profesor położnictwa, Witowski Maurycy («Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia», autor korespondencji z Warszawy do «Wiadomości Brukowych»). Ottman podaje, że w pracach szubrawskich brali też udział księża: Filip Golański i Jan Kanty Chodani, członkiem korespondentem (zdaje się, jedynym) był Franciszek Zablocki. Jak świadczy list Maryli Wereszackówny do Mickiewicza, i ona też pisał coś do «Wiadomości»; co to było, nie wiemy wcale, gdyż Szubrawcy zamieszczały swe artykuły bezimiennie. Znamy tylko, składną, listę prac Śniadeckiego Jędrzeja, Balińskiego, Szydłowskiego, Chodźki Ignacego, jedną Kontryma. Zarząd Towarzystwa spoczywał w rękach «dostojników», wybieranych jednomyślnie, i «urzędników»,

powoływanych większością głosów. Do pierwszych należeli: «fundator», osoba, bliżej nam nieznaną, może ów ukryty pod przewizkiem Pateli przyjaciel Kontryma; dalej założyciel Szubrawców, zastępca przewodniczącego, obok niego zajmujący honorowe miejsce za stołem obrad, «ojciec» Kontrym. Dalej «witajnicy» pierwszego i drugiego rzędu i «zaletnicy», wprowadzający nowych członków do stowarzyszenia. Urzędników było pięciu, a każdy z nich miał swego «namieśnika»: prezydent (do r. 1818 Szymkiewicz, potem aż do końca Śniadecki) mówca (Borowski-Pergrubis; zastępca jego był Gulbi-Szydłowski), strażnik (Auslawis-Baliński), sekretarz i redaktor (Marcinowski). Obowiązkiem «strażnika» było utrzymywać porządek na schodkach, godłem jego była łopata, która walił w stół dla przywrócenia ciszy i spokoju; na łopacie widniał napis: *taeore qui nescit, nescit loqui* (t. j. kto nie umie milczeć, nie potrafi i przemawiać). Prócz onej łopaty, która stanowi często powtarzający się motyw w «Wiadomościach», jako symbol działalności szubrawskiej, na stole prezydyalnym obok sakramentalnego dzwonka stał gąsior, napełniony wodą, z napisem: *agua fontis* (t. j. woda źródłana), szklanka oraz podręczniki geografii i historii. Pod blazónskim strojem tych dziwacznych akcesoriów, tajemniczości, przemów, symbolów, stylu przesadnie humorystycznego, pseudonimów mitologicznych Towarzystwo Szubrawców kryło myśl zdrową i szlachetną. Byli oni spadkobiercami idei wolnomularzy, na których niewątpliwie poniekąd się wzorowali: stąd ich kierunek satyryczny, ośmieszanie zastarzałych nałogów, obskurantyzmu usłowego, szulerstwa, pijaństwa, pieniactwa («jurmanni»), zabobonności, wespół z wszelkim mistycyzmem, magnetyzmem zwierzęcym i mesmeryzmem, przesądów kastowych, ucisku chłopów, uniożoności względem możnych, pogardy małuczkich, próżności rodowej, zaslepiętego nacjonalizmu i wstecznicstwa, ciemnego konserwatyzmu, zbytejnego uwielbienia przeszłości narodowej, złego wychowania młodzieży męskiej i żeńskiej i t. d. Ale z drugiej strony, jako ludzie epoki suchego racjonalizmu, potępiali budzący się wówczas w tajnych stowarzyszeniach ruch polityczny, zwłaszcza wśród młodzieży, potępiali też kierunek romantyczny. I, rzecz zmianna, może tylko prosty zbieg okoliczności: «Wiadomości brukowe» przestały wychodzić w tym samym 1822 roku, kiedy ukazał się pierwszy tom poezji Mickiewicza: młodemu pokoleniu chłodny liberalizm Szubrawców już nie wystarczał. Odegrali oni jednak poważną rolę w dziejach umysłowości polskiej na Litwie w pierwszej ćwierci XIX stulecia i położyli znaczne zasługi w walce z ciemnotą i reakcją umysłową, przedko jednak wyczerpali swe zasoby ideowe, jak również i pomysły literackie, które w dalszych rocznikach powtarzają się do znudzenia; listy z krain egzotyycznych i opisy podróży po niebywałych krainach: Nipu, Eldorado, Balnibarbi, Ryspa i t. d., nieskończone wędrowki «szlachca na łopacie», listy nieistniejących korespondentów, często znalezione w nadszycajny sposób (motyw «Historii» Krasickiego), dyalogi na ziemi

i w państwie cieniów — oto najczęściej używane formy, w które wlewała się treść myślowa grona Szubrawców. «Wiadomości Brukowe» wzięły w spadku ideały społeczne i moralne, a po części i formy literackie «Monitora», wzercując się, jak i on, na zachodnio-europejskich czasopiśmie satyrycznych, a zwłaszcza na angielskim «Spektatorze», z którego pewne artykuły tłómaczono lub przerabiano; poza tem czerpano materiał ze Sterna, Goldsmitha, Swifta «Podróży Gulliwera», Pope'a, Woltera, Jounga, Krasickiego «Przypadków Doświadczeńskiego».

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Materiały do dziejów Szubrawców można odnaleźć przede wszystkim w «Wiadomościach Brukowych» (1816—1822), kompletny egzemplarz znajduje się m. in. w bibliotece ord. hr. Krasinśkich w Warszawie; dalej w «Kodeksie szubrawskim» (Wilno 1819), w niektórych czasopiśmie współczesnych, jak «Pamiętnik warszawski» (t. IX), jak «Tygodnik wileński» (t. VII i VIII), wreszcie w «Pismach Szubrawskich z papierów M. Balińskiego» (rikp. Biblioteki Jagiellońskiej), a także u M. Balińskiego w zbiorowym wydaniu dzieł Jędrzeja Śniadeckiego (Wilno 1840). Są także w notatkach i pamiętnikach współczesnych, jak: Sobarrki: «Obrazy litewskie ze wspomnień tułacza» (Poznań 1874), Kirkora Adam Honory: «Przechadzki po Wilnie» (Wilno 1856), P. nakoniec życiorysu Śniadeckiego Jędrzeja, Balińskiego Michała i innych wybitnych Szubrawców; ze współczesnych oceniali działalność Szubrawców: Mochnacki, Goszczyński, Jundziłł i inni.

b) Opracowania działalności Szubrawców dali: Chmielowski P.: «Towarzystwo Szubrawców i Jędrzej Śniadecki, zarys obyczajowo-literacki» («Tygodnik Ilustrowany») 1878, V); Hordyński Zdzisław: «Towarzystwo Szubrawców» («Przewodnik Naukowy i Literacki» 1882, w odbl. r. 1883 we Lwowie); Ottmann R.: «Przyczynek do historii Szubrawców» («Tygodnik Ilustrowany» 1882, t. XIII; toż samo: «Reforma» 1882, Nr 75—81); Chmielowski P.: «Obskurantyzm i liberalizm na Litwie i Rusi (1816 do 1823)» w «Ateneum» 1883, t. I i II i osobno; Bartoszewicz K.: «Księgi Humoru Polskiego».

A) Mowa Dygnitarza Szubrawissymusa Okopirnosza z powodu przyjęcia do Szubrawstwa nowego członka (zwój dziuplowy).

(«Wiadomości Brukowe» 1818, Nr 19, str. 129—131).

226) Szanowny, nowo przyjęty Szubrawcze! Posłuchaj słów kilka Dygnitarza, które on dla powitania ciebie, wcho-

dzącego w grono naszego towarzystwa, i dania niektórych ostrzeżeń do twej szanownej osoby obraca.

A najprzód, nie dziwuj się, że tu słyszysz o godności Dygnitarzkiej. Tytuł ten u nas nie jest przywiązany, jak niegdyś bywało, do opasłości, próżniactwa, pychy i wzgardy stanu niższego, nie robi on między nami różnicy, nie narusza równości; jest bardziej przez nas ustanowiony dla nadania powagi całemu Szubrawstwu, niż wywyższenia szczególnych osób.

Wszyscy zarówno staramy się usilnie pracować i w zamiarach naszych dążymy do obrzydzenia złych namiętności: pijaństwa, kosterstwa, złodziejstwa, przekupstwa, chciwości, lichwy i tego wszystkiego, co tylko hańbę obyczajom dobrym przynosi. Znajomy twój dowcip, szanowny kandydacie, połączony z nauką i talentem, czyni nam wielką nadzieję, że usiłowania nasze dzielną pomocą wspierać będziesz.

Zaletnik WPana, szanowny nasz kolega Auszławisz, Strażnik poważnej łopaty i mianowany Dygnitarz, przy zaleceniu przynosił, stosownie do naszych prawideł, pismo WMPana w bajce, wierszem ułożonej, pod tytułem «Owca i Wół*»). Duch Szubrawski, jaki w niej daje się spostrzeżać, skłonił wszystkich głosy na jednomyślne przyjęcie WPana do grona naszego.

Gdy wszakże przez porównanie nas do szpaków, językiem chińskim często mówiących, okazał się niedoskonałe o towarzystwie naszym wyobrażenie: jako gorliwy członek, przy powitaniu WPana, czując się być w obowiązku odwrócić obojętne jego mniemanie i przytoczeniem pokrótce naszej historii okazać, dlaczego pisma nasze nie zawsze dla wszystkich są zrozumiałe.

Gdyby tu czas pozwalał, mógłbym obszernie WPanu dowieść, że Szubrawcy od wielu tysięcy lat trwają, a to, poczynając od potopu świata. Noe, Patriarcha ten, przez lat wiele budując arkę, ciągle upominał zepsuty lud, ażeby w występkach i niegodziwościach swoich poprawił się. Syn jego, Cham, był Szubrawcem, bo się z pijaństwa naśmiewał. Żle wprawdzie zrobił, że nie przebaczył tej ulomności własnemu ojcu; został też za to ukarany, bo ród, po nim idący, zdegradowano na chłopów, z którego to stanu i my, jego potomkowie, już w później-

*) Obacz Nrek 78 «Wiadom. Brukow.» (Przyp. Aut.).

szym czasie przeszliśmy na szlachtę, to przez indygenaty, to przez nobilitację. Ale naśmiewanie się z pijaków zostało naszą przyrodzoną namiętnością; tak dalece, iż, chociaż przekonani jesteśmy, że z ojcowskiej przywary uragać się jest grzechem prawdziwym, jednakże ten grzech może się w nas porównać z pierworodnym, którego aczkolwiek wyrzekamy się, słabość wszakże ludzka częstokroć do niego powraca. Zdarzało się więc i nam z naszego własnego Ojca*) śmiać się. To jest pierwszy wielki dowód, że od Chama pochodzimy. Drugi, równie mocny, że własności przyrodzonej człowieka, to jest wolności, bronią, jesteśmy wielkimi przyjaciółmi chłopów i niemilosiernie szydzimy z tych mniemanych panów, którzy nie po ludzku z chłopami się obchodzą i ich uciskają. A tu wyraźnie odkrywa się, pomimo powierzchowne uszlachcenie, wrodzona braterska miłość, z ciekim krwi w żyły nasze wiana.

Cham miał trzech synów, między którymi jeden, imieniem Chus, zostawił po sobie sześciu, w których jeden miał imię Raamah. Ten spłodził dwóch synów i jednemu z nich dał imię Szeba, od którego nasza gałąź jencalogaiczna zaczyna się, świetnem imieniem Szubrawców nas zaszczyca. Wiadomo albowiem, że Szeba, prawnuk Chama, podług zwyczajów starozakonných do swego imienia dodając ojcowskie, nazywał się Szeba Raamicz. Ten wielki mąż założył w południo-wschodniej części Arabii miasto, nazwiskiem Sabana, z jakiego powodu sława jego, na całym świecie rozszerzając się, imię jego od pokolenia do pokolenia podawała. Mieszkańców też miasta nazywano od tego imienia Szebaramce, które z wiekami, przez różne narodów języki przechodząc, zamiast Szebaramiec przemieniło się na Szubrawiec; nakształt owych cyganów, których, dia częstego powtarzania ja cygan, przewano Jadźwingami.

Historja jest strawą naszą; tej gdybym do sytości mógł w tym momencie użyć, dowiódłbym, że w każdym wieku i narodzie znanych światu ludzi za krewnych swoich liczymy. Zamilczcie jednakże nie mogę tego, co jest najważniejszem.

Twórca wszech rzeczy, rozmnażając pokolenie Szubrawców na liczne familie, udzielił nam szczęścia należę do jednej

z najslawniejszych. Jesteśmy z rodzaju Strutelbrugsów, o którym sławny Szubrawiec Jonathan Swift, w opisanju podróży i przypadków Szubrawca Guliwera, daje wiedzieć. Przekaz nasz, nazwiskiem Grumdrypp, urodził się w mieście Gagnapp, w kraju Lugnagianów. Świadczy o tem część historyi, ogłoszonej światu przez wiekopomnej pamięci Szubrawca Krasickiego. Nie tajna jest Wpanu zapewne ta historya. Czytałeś w niej o rodzaju ludzi nieśmiertelnych. Wiedzę o tem, że Szubrawcy, w grono których wchodzisz, do tego rodzaju należą, posiadają sekret odmładzania się, i znane im jest drzewko, wydające balsam wiecznej trwałości.

Urywek historyi o przodku naszym Grumdryppie, przypadkiem między Bilgorajem a Tarnogrodem znaleziony, nie naucza, co się dalej z nim stało. Ale jak deputacya wywodowa w kraju naszym utworzyła się, my, szukając dla siebie wywodów, znaleźliśmy testament Grumdryppa, przed odmłodnieniem sporządzony, w którym, dostatecznie opisując dalszy ciąg życia swojego, donosi, że w Litwie długi czas mieszkał, gdzie po rozmaitych w ciągu nieśmiertelności przemianach stanu spróbował ożenić się. Jakoż, upatrzwszy nadobną i znacznych przymiotów szlachciankę, pojął ją sobie za małżonkę i spłodził z nią dwunastu synów. Dotknięty nakoniec nieszczęściem całego kraju polskiego, za panowania Króla Jana Kazimierza, pod rokiem 1655, kiedy z jednej strony Król Szwedzki, Karol Gustaw, prowincye polskie, z drugiej Chmielnicki z Buturlinem całą Ukrainę opanowali, a Litwa, przez Rosyan zajęta, w dniu 8 sierpnia bramy Wilna otworzyła i 18 tegoż miesiąca i roku, za zdradą jednego z panów podpisała haniebne punkta, poddając się Szwedowi, zmierzwiwszy sobie klęski tego kraju i okrucieństwa, jakiego nieszczęściu mieszkańcy od nieprzyjaciół doznawali, nie przewidując polepszenia kiedykolwiek losu tego narodu — postanowił odmłodnić i w dalszą puścić się wędrówkę. Że zaś w tej epoce życia, jako po zniszczeniu wojennem, nie był przy dostatkach, więc przy kawałku pustej ziemi zostawił swym dzieciom w spadku za skarb najdroższy klejnot szlachecki, z wywodem pochodzenia od Chama i nazwiskiem Szubrawców, oraz sekret o balsamie.

Od tych 12 synów rozmnożeni potomkowie żyli dotąd

*) Tytuł Dygnitarski w Szubrawstwie (Przyp. Aut.).

poosobno. Ale drugi już rok temu upływa, jak niektórzy, poznawszy się na pokrewieństwie, pamiętną w dziejach Szubrawskich epokę ustanowili: zbierania i łączenia się w jedno grono rozproszonych krewnych, i od tej daty utworzyło się sławne nasze Towarzystwo Szubrawskie, czyli Szabaramskie. Ażeby zaś wiecznej trwałości cechę utrzymywał i rodzajowi ludzkiemu, na wzór pocziwego przodka naszego Grumdryppa, pożytecznymi być mogli, obraliśmy sobie pewny przedmiot prac i dla zachowania w nich porządku uchwaliliśmy prawa. O jakim powodzeniu dowiedziawszy się przodek nasz Grumdrypp, powrócił do kochanych dzieci swoich i pod imieniem Szlachca na Łopacie nie tylko z nami przebywał, lecz oraz jest prezydentem towarzystwa. Pierworodny zaś syn jego, Poklus, miejsce jego zastępuje, jako uznany przez nas za Ojca; chociaż niektórym bratem się tylko godzi i zarówno z nimi, za panowania Stanisława Augusta, kiedy nauki w kraju naszym ożywiać [tak] zaczęły, odmledniał.

Z tego, com tu w krótkim obrazie naszego pochodzenia okazał, chciej WPan uważać, że przodek nasz Grumdrypp, odwiecznie wędrując po rozmaitych krajach, różnych zwyczajów, języków i sposobów mówienia nauczył się; a żyjąc teraz między nami pod postacią Szlachca na Łopacie, naukę swoją w nas przelewał. Wiadomo WPanu, że on długi czas w Chinach przebywał, z tego powodu i w naszych pismach częstokroć chińszczyzna się przebijła. Ale pisma w tym języku obracane pospolicie były do tych osób, które, pomimo urodzenie swoje w kraju naszym, duszą i ciałem przywiązane są do obyczajów azyatyckich. Pojmiesz to WPan z łatwością, skoro naszego języka się nauczysz. Przodek nasz Grumdrypp, za przybyciem do Chin, uczył się wprzód języka krajowego, potem był przyprowadzony do Cesarza; o czem tak pisze w swojej historii: «Cesarz, pilnie się mojej twarzy i całej postaci wprzód przypatrzawszy, rzekł: człowiek, bo gada, ale musi być rodzaj inny». Pytał mnie zatem, jeżeli miał język jakowy, niżej mi się nauczył gadać w Chinach? Powiedziałem, że umiem język mój własny. Kazał mi nim mówić: zacząłem więc życzyć mu zdrowia, lat długich, szczęśliwego panowania; nie dał mi dokończyć, tak się zaczął wielce śmiać; ja, zmieszany, umilkłem;

postrzegł to i rzekł: «Nie godzi się naśmiewać z cudzych przywar. Ojcowie nasi kazali mieć w uczciwości przychodniów».

Owoż i my nakształt owych Chińczyków, do których nas w bajce obok ze szpakami WPan porównałeś, przed przyjęciem do naszego towarzystwa upatrzonego krewnego chcemy wprzód poznać, jak własnym językiem gada. Próba czyni się przez pismo; podobną próbą była Bajka, przez WPana ułożona. Chociaż sens, w niej zawarty, do wielkiego śmiechu mógł nam być pobudką, pamiętając wszakże na naukę Cesarza Chińskiego, którą przodek nasz Grumdrypp podał, że z przywar cudzych śmiać się nie godzi, a przychodniów w uczciwości mieć trzeba, nie tylko przyzwolta skromność zachowaliśmy, lecz owsem, przekonani i z ducha, i z czoła twego, szanowny kandydacie, że do krwi naszej należysz, jak z przyjemnością ciebie do rządu Szubrawców, czyli Szabaramców, zapisaaliśmy, tak z uczuciem radości przybywającego witamy.

B) Wyjątek z podróży na wyspę Balnibarbi.

(«Wiadomości Brukowe» 1820, Nr 194, str. 133—134).

227) Na wyspie Balnibarbi otyłość, szczególnie w kobietach, uważana jest za wielką przywarę ciała, i dlatego Balnibarbianki najmocniej się o to starają, żeby mieć kibić, jak trzcina, wysmukłą. Wstrzymują się przeto od wielu pokarmów, a natomiast dekokty z ziół i lekarstwa różne piją, snu się pozbawiają i wpół ciała mocno krepują się paskami rzemiennymi i żelaznemi obręczami, co nie tylko że im mocno dolega, ale nawet wolnie oddychać nie dozwala. Tak skrepowane, przez kilka godzin, a czasem i całemi nocami hasają i w kółko się kręcą prawie bez odpoczynku, co do tego stopnia je morduje, że od zmysłów niekiedy odchodzą; co większa, wiele Balnibarbianek dostaje z tego różnych piersiowych chorób i w kwiecie wieku umiera. Nie zrażają się one tem jednak, a wyszedłszy nawet z pod dozoru i opieki rodziców, krepować się tak i wiązać nie przestają, częstokroć w tym wieku nawet, kiedy powaby ciała wędzną i nikać zwykły. Balnibarbiankom nie zbywa całe na wdziękach przyrodzonych, ale te bynajmniej tam nie popła-

cają, tak, że zamiast wydobycia ich i wykształcenia, starają się, żeby ani ślad ich nie pozostał. Naprzód więc matki i mistrzynie prostają je, łopatki w tył wychylają, głowę podnoszą, ręce w dół pociągają; potem rodzaj ludzi z professyi skoczków zajmuje się ukształcaniem ich ciała. Ci przez kilka lub więcej miesięcy uczą je stać, chodzić, siedzieć i witać, a ciągiem musztrowaniem i wykręcaniem członków nie tylko że udatności i wdzięku postawie nie nadają, ale często przetwarzają je na żyjące machinki i stworzenia całkiem do siebie niepodobne. Jakoż w całej postawie Balnibarbianek widać przymus i sztukę, w każdym poruszeniu przesadę i dobrowolne cierpienie; łopatki mają sterzące, a ramiona tak w tył wygięte, że łokcie niemal się z sobą stykają. Również w ubiorach nie mają względu na naturalność i prostotę, a wykwintnemi ozdobami i nieskładnem ich dobraniem rażą i ómia resztę wdzięków swoich. Wszystkie prawie bez braku lubią wytworność, a w odzieży, nie trwałość i wygodę, ale większą wziętość mają na baczeniu; i dlatego wszystko niezmiernie drogo przepłacają. Kiedy się kilka Balnibarbianek z sobą zejdzie, natychmiast nawzajem sobie przypatrywać się zaczynają i oglądają na wszystkie strony. Ta obserwacya zaczynać się zwykła od koszów słomianych różnego koloru, kształtu i ubrania, które na głowach noszą; a byle co nowego u drągich postrzegły, wszystkie natychmiast swoje dawne odzienie zarzucają lub też za bardzo niską cenę Szacherom zbywają, a nowe skupują^{*)}. Lecz za niczem z większym zapędem Balnibarbianki się nie uganiają, nie drożej nie płacą, jak rodzaj pięknych płacht, z miękkiej wełny tkanych, formy podłużnej, które na szyi nosić zwykły. Kupcy, znając gust kobiet tamecznych, z dalekich bardzo stron je sprowadzają i za bardzo wysoką cenę sprzedają. Właśnie, kiedyś bawili na wyspie, kilku kupców z takimi płachtami przybyło; natychmiast wiadomość rozeszła się o tem po całej wyspie, a Balnibarbianki nie posiadały się z radości. W gospodzie, do

^{*)} Szacherowie — jest to naród, oddawna na wyspie Balnibarbi osiadły; różnią się oni całkiem od mieszkańców mową sobie właściwą i ubiorem; noszą brody i długie czarne naszytce, a na głowie kapelusze z brzegami jeszcze szerszymi, jak [tak] w naszych boliwarach; bawią się pokątnem handlarstwem i kręcielstwem, jako i wyraz ten szacher w języku tamecznym znaczy wierutnego kręciela (*Przyp. Aut.*).

której zaszedłem, jedna zawołała do siebie dwie szacherki, i widziałem, jak im wielki tłumok różnej odzieży oddała; poszła potem do kupca, blisko mieszkającego, zaniósła mu kilka płacht większych i spory worek złota i powróciła z triumfującą twarzą do domu, mając na szyi płachtę bardzo małą i całe, jak mi się zdawało, niepozorną, którą zaraz skwapliwie wszystkim sąsiadkom pokazywała. Przeciwnie, Balnibarbianie przez cały czas pobytu tych kupców byli bardzo w myślach ponurzeni i smutni; szepotali sobie do ucha, ścisły post zachowywali i bardzo mało bawili w domu. Kiedyś stąd jednemu mieszkańcowi moje podziwienie wyraził, tak mi odpowiedział: «Widać, że jesteś cudzoziemcem, bo u nas co rok podobne rzeczy się odnawiają, a to, co widzisz, niczem jest w porównaniu z tem, co się wewnątrz domów dzieje. Kupcy ci są kłeską na nasze dobytki, i oddawna myślimy, jakby złemu zagrozić. Niejedną już ziemię swoje z domem i całem zabudowaniem za jedną taką płachtę oddał! Niejedną zupełnie się wyul z majątku i do ostatniej nędzy przyszedł... A pomiędzy Balnibarbiankami są takie, co gotowe sobie, dzieciom, czeladzi wygod potrzebnych ująć, byle się tylko na jedną płachtę taką zdobyć. My, mężczyźni — mówil dalej — całe tego nie żądamy, ani nawet cenę tego nie umiemy, i one też całe nie dla nas to robią, ale najwięcej dla sąsiadek swoich, żeby się przed niemi pokazać, opisać i uniknąć ich wzgardy i potrącania. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że bez takiej płachty i kosza słomianego na głowie żadna z kobiet do poufałości równych sobie stanem przypuszczona być nie może. A jak te dwie rzeczy są pierwszym do zabrania znajomości i zaprzyjaźnienia się sposobem, tak najczęściej stają się pierwszą do jej zerwania podniętą: jedna bowiem stara się uprzedzić drugą, jedna drugą przesadzi, a czy dokaże swego lub nie, zawsze z jednej lub z drugiej strony nieporozumienia, niesnaski i gniewy». To mówiąc, pożegnał mię, a ja sobie pomyślałem: «Chwała Bogu, że w moim kraju kobiety dalekie są od podobnych urojeń, śmieszności i dziwactw!..»

C) Tabella, ukazująca liczbę bogatych mieszkańców tego kraju, bawiących się zagranicą, oraz ilość wywiezionych pieniędzy i ich wydatek, ze wszystkich gazet i dzienników zagranicznych przez niżej podpisanego pracownika i rzetelnie ułożona, a teraz dla dobra publicznego na jaw wydana (Artykuł nadesłany).

(«Wiadomości brukowe» 1820, Nr 195, str. 143—144).

228) Od dnia 1 stycznia 1819 roku do dnia 1 tegoż miesiąca 1820 roku wyjechało zagranicę właścicieli i posiadaczy ziemi dla poratowania zdrowia, edukacji dzieci i przedpędzenia czasu w towarzystwie wielkiego świata 163 głów, nie licząc w to półgłówek*).

Wywieźli z sobą zagranicę gotowych pieniędzy, uważając na monetę w kraju kursującą, złotych 15.200.000, czyli czer. zł. 800.000.

Prócz tego pereł, klejnotów i różnych fantów drogie, dla zastawienia w nagłej potrzebie, za czer. zł. 16.000.

Z powyższej liczby wędrowników powróciło do kraju w ciągu przeszłego roku tylko osób trzy, to jest: 1) kawaler nie bardzo majątny dla dokończenia projektu ożenienia się ze starą, ale bogatą panną; 2) mążatka, lat 45 mająca, dla dokończenia rozrodu; 3) młody panicz, dla objęcia spadłej teraz na niego sukcesy i zastawienia dóbr, a przynajmniej wypuszczenia ich w dzierżawę arendowną.

Zagraniczny wydatek wyżej pomienionych pieniędzy jest następujący:

1) Za wyjęcie starych, a włożenie nowych zębów; za wstawienie szklanych [tak] oczu; wyprostowanie garbów z tyłu i z przodu; za wyprostowanie nóg i rąk; za farbę do włosów; za peruki i peruczki; za materace do lytek [tak]; za zadarcie nosów do góry i ich wychędożenie od tabaki i tytoniowego dymu, nosowym powietrzem wypuszczanego; za uleczenie spazmów krajowych, z nudów i próżniactwa pochodzących, czyli za przerobienie ich na miłe i przyjemne oczu zawieranie; za zatyczki do uszu, żeby nie słyszeć skarg i narzekañ poddanych: słowem, za przekształ-

*) Półgłówek: rozumie się, daleci i sług (Przyp. Aut.).

cie osób we względnie fizycznym i moralnym na sposób zagraniczny, co się nazywa poratowaniem zdrowia, czer. zł. 281.500

2) Za różne perfumy, kadzidla, olejki, spiryty i octy orzeźwiające » » 7.620

3) Na bale, widowiska, karty i inne gry, loterye, najęcie pałaców i domów, pensyą dla sług, ofiary dla różnych przyjaciół i przyjaciółek, za domowników poczytanych . . . » » 325.000

4) Osobno za różne ofiary dla cudzoziemców, a to dla dogodzenia fantazy i okazania wielkiej jaśniewielmożności swojej » » 17.500

5) Składki na żołnierzy polskich, dotąd jeszcze na szczudlach zagranicą tulających się » » 26

6) Na szpitale ubogich, słabych i żebraków » » 21

7) Na edukacyą dzieci, to jest na główny cel, dla którego się najwięcej zagranicę wyjeżdża » » 66

8) Osobno za lekcye tańców i śpiewania, które biorą nie tylko dzieci, lecz nawet stare ich rodzice » » 8.400

9) Za różne towary, do ubiorów i strojów służące; za meble, karety, koczki, szory, zegary, toalety, estampy i tym podobne sprzęty i fanty, co wszystko taborami, jakby na jarmark berdyczowski, do kraju przychodzi . . » » 240.000

10) Za książki polskie w czasie przejazdu, we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Lipsku, dla służących swoich kupione*) » » 6 1/2

A zatem ogół wydatku czer. zł. 983.939 1/2

Okazany tu nad przychód wydatek, zaspokojony jest zaściągniętą u lichwiarzy zagranicznych pożyczką, z umiarkowanym za zwyczaj po 75 od sta procentem, częścią na zastawy, a częścią na proste weksle, z którymi (jak słysząc) śpieszą

*) Panowie, jako ludzie bogaci, a zatem i wysoce edukowani, nigdy po polsku nie czytają (Przyp. Aut.).

cudzoziemcy do akt właściwych krajowych, dla zapewnienia ewikcyi na dobrach.

U w a g a. Jeśli ziomkowie nasi nie przestaną ratować zdrowia, edukować się i szukać rozrywek zagranicą, niechybnie pomnoży się w kraju liczba eksdywizyi. A tak niżej podpisany radziłby spokojnym obywatelom, sąsiadującym z dobrami, wyżej opisanym sposobem obciążonemi, aby się wcześniej usunąć z sąsiedztwa starali, bo po rozdzieleniu sched eksdywizorskich między dentystów, okulistów, magnetystów, różnych operatorów, artystów i tym podobnych zagranicznych wierzyteli oczy, nosy, uszy i zęby, choćby nawet i zdrowe, będą mogły podpaść pod niebezpieczną zagranicznych krytykę i naprawę.

Muteusz Łamigłócka, Rachmistrz.

D) Ogłoszenie o nowej pensyi dla panien.

(«Wiadomości brukowe» 1829, Nr 199, str. 153—155).

229) Niżej podpisana, po odbytych w cudzych krajach rozmaitych podróżach, po zwiedzeniu najslawniejszych instytucyj ku wychowaniu młodzieży, w różnych stolicach państw założonych, umyśliłam osiąść w Litwie i otworzyć w jej stolicy pensyą dla płci żeńskiej, w nowym, w kraju tym dotąd mało znanym rodzaju. To moje dla znacznych tego kraju mieszkańców poświęcenie się, spodziewam się, że mile przyjętem będzie, zwłaszcza, że wychowanie panien bardzo tu jest zaniedbane. Z litością patrzeć przychodzi, jak po niektórych pensjach, pod pozorem niby skromności, zaniedbują istotnych wychowania zasad, którym świat tyle sławnych kobiet winien. Z poniższego prospektu lekcyi, mających się dawać w ciągu roku na mojej pensyi, łatwo się każdy przekona, że powierzono moim staraniom i troskliwości młode panienki wkrótce na wielkim świecie jaśnieć poczną.

Prospekt lekcyi, dawać się mających na pensyi.

Historya starożytna. O początku i postępie tańców u Greków i Rzymian. Wybór anegdot o najslawniejszych w starożytności tancerzach. Mody za panowania rzymskich

cesarzów Tytusa i Karakalli. Życie prywatne Aspazyi z prawą o ubiorze, w którym się na igrzyskach olimpijskich pokazywała.

Historya nowożytna. O postępie wielkiej sztuki tańczenia u Francuzów i Anglików. Historya turniejów, festynów i balów, które cesarzowie i królowie swoją bytnością zaszczycałi. Historya francuskich i włoskich teatrów, a mianowicie wiadomość o operach, baletach i tragediach. Żywoty publiczne i prywatne najslawniejszych śpiewaczek i aktorów.

Geografia. Statystyka mody, czyli rzut oka na ubiory rozmaitych narodów, że szczególnie zastanowieniem się w sposobie rozprawy nad tymi, któreby najstosowniej można wprowadzić do tutejszego kraju. Wiadomość geograficzna, statystyczna i polityczna krajów, w których przychodzą najdroższe szale, najmłodniejsze wstążki, koronki najcenniejsze, perły, korale, dyamenty: słowem, to wszystko, co do ubioru pięknej kobiety posługiwać może; i na tem kończy się kurs geografii.

Języki. Z góry zapowiadam, że języka polskiego na mojej pensyi uczyć nie będę, ponieważ tyle, ile się panna nauczyła od nianiek i służących w domu po polsku, aż nadto wystarcza; za to język włoski i francuski ze szczególniejszą bacnością dawać się będzie, aby zaś panien zawilemi grammatycznymi regulami nie mordować, cała grammatyka ułożona jest w krótkich śpiewach, które Francuzi kupletami (*couplets*) zowią. Wprawiać się będą panny w wymawianie, aby akcent w mówieniu samą tkliwością oddychał. Ukończy kurs języka francuskiego czasowanie słowa *aimer* z gracją i miłością.

Mitologia. Dawać w całej obszerności nauk mitologii nie widzę potrzeby. Uczyniłam przeto wybór ze wszystkiego, cokolwiek młode serca zajmować może: miłości Tezeusza i Aryadny, sąd Parysa, przypadki Psychy i tym podobne. Metoda w dawaniu mitologii będzie na wzór listów do Emilii o mitologii. Oprócz tego mój profesor mitologii, człowiek pełen grzeczności, odbywać będzie ćwiczenia mitologiczne z uczenniczkami, ułożone w madrygały, w których je porównywać będzie do Wenery lub do trzech Gracyi.

Tańce, muzyka, deklamacya. Ponieważ te trzy przedmioty są istotną zasadą dobrego wychowania, przeto wszel-

kiego dołożę starania, aby nauki te w całej obszerności dawane były na mojej pensyi. Teorya i praktyka połączą się z sobą, aby moje uczenniczki stały się godnemi wielkiego świata, na którym mają figurować. Tańce zajmować będą codzien po godzin sześć, z których dwie poświęcone będą części teoretycznej. Wtenczas panny za wydoskonalone w tej sztuce uważać się będą, skoro potrafią udawać wiatry w powrocie zefira. Muzyka także zaniedbaną nie będzie; moje uczenniczki nauczą się na pamięć najnowszych ariy z oper ulubionych, oznajomią się ze wszystkimi instrumentami, tak, iż każda panna po wyjściu z pensyi może być uważana za prawdziwe Panharmonicon. Deklamacya, równie jak tańce, tymże samym sposobem dawana będzie; część naukowa poprzedzi praktyczną: jest to bowiem rzecz równie istotna, jak przystojna, aby panny umiały grać komedye.

Nauka moralna i obyczajowa. Na ten przedmiot oddzielnego kursu nie będzie, wiadomo bowiem całemu światu, że teraz wszędzie pełno moralności: jest ona w śpiewach, znajduje się w romansach, nawet balety, opery i komedye mają swoje moralność. Pod tym względem tańce i muzyka niemalo się przyłożą do oswojenia panien z moralnością; obie te sztuki wzbudzają tliliwość, łagodzą temperamenta i kształcą obyczaje. Deklamacya także niemala ma udział w moralności, teatr jest szkołą świata, i nie widzę potrzeby powtarzać, że tryumf moralności szczególnie jest zalecanym przez Arystotelesa piszącym komedye i tragedye.

Z tego wszystkiego każdy się przekona, że dosyć posiadam sposobów gruntowania powierzonych mi panien w moralności i obyczajności. A w końcu, moi profesorowie historii, geografii i mitologii mogą, kiedy ku temu czas i ochota posłużą, w godzinach od zatrudnień wolnych wykladać pannom prawidła moralności.

Na końcu każdego roku szkolnego rozdawane będą na mojej pensyi nagrody dla panien, w przytomności zaproszonych osób, i to po odegraniu komedyi. Takich nagród będzie rozdanych 20 za tańce; 15 za deklamacyą; 10 za muzykę; 8 za mitologią; 6 za geografiją; 4 za historiją; 2 za grammatykę, a 1 za moralność.

Wszystkie panny będą miały uczestnictwo w nagrodach; jeżeliby zaś znajdowały się takie, które na żadną nie zasługują, takim dawane będą nagrody nadziew.

O szczegółach tego instytutu, warunkach i mieszkaniu niżej podpisanej dowiedzieć się można każdego czasu w biurze «Wiadomości brukowych».

Zefiryna.

E) Rozmaitości.

(«Wiadomości brukowe» 1822, Nr 283, str. 72).

230) Pewny obserwator narachował w mieście naszym 1.992 małżeństw, które rozklassyfikował następującym sposobem:

Pięćset małżeństw, będących w otwartej wojnie . . .	500
Trzysta dwadzieścia siedm żyjących w niezgodzie, lecz ukrywających się z tem przed światem	327
Dwieście czterdzieści siedm rozłączonych	247
Siedmset pięćdziesiąt trzy żyjących w obojętności . . .	753
Osiemdziesiąt ośm udających, że się kochają	88
Pięćdziesiąt dwa takich, które są w mniemaniu, że się kochają	52
Dwadzieścia cztery takich, które się kochają, lubo same temu nie wierzą	24
Jedno, które się kocha, ma tego tysiączne dowody i jest szczęśliwe	1
Ogół	1.992

NB. Czy coś podobnego nie ogłoszono w jednym z pism periodycznych?

Opracował H. GALLE.

XXXV.

BANDTKE v. BANDTKIE JERZY SAMUEL.

(1768—1835).

Według autobiografii swej ur. d. 24 listopada 1768 r. w Lublinie, gdzie ojciec, jego, Jan Samuel, prowadził znaczny handel, przywędrowawszy nad Bystrycę z Wielkopolski. Matką mu była Anna z Noków. Na wiosnę 1779 r. ojciec wyprawił go do Wrocławia, do gimnazjum św. Elżbiety. Po ośmioletniej nauce wstąpił młodzieńcem na uniwersytet w Halli, przebył w nim dwa lata i na rok jeszcze udał się do Jeny. Z wdzięcznością wspomina stryjka, który po ruinie majątkowej ojca zasilał go talarami i troską przez cały czas samodzielnej już nauki. W roku 1790 został Bandtkie nauczycielem domowym dzieci pastora Nürnbergera w Hermansdorfie pod Wrocławiem, ale już po trzech miesiącach zamienił to obowiązki na inne: u Piotra Ożarowskiego, wówczas jeszcze tylko kasztelana wojnickiego, a w Targowicy hetmana w. k., tego samego, którego lud warszawski w Ryнку Starego Miasta dnia 9 maja 1794 r. obwiesił. Katastrofa ta nie wpłynęła na stosunek do Ożarowskich. Przez trzy pierwsze lata ochmistrzował Bandtkie w Warszawie i Brzeczce, przez trzy dalsze w Dreźnie i Berlinie; dwa ostatnie na swem nauczycielstwie spędził w Petersburgu, gdzie, dzięki książkom i osobnym, pobyt szczególnie sobie chwalił. W roku 1798 otrzymał posadę nauczyciela-substytuta w tem samem gimnazjum, które przed laty dało mu pierwsze światło nanki. W rok potem został tłómaczem przysięgłym przy magistracie wrocławskim, później i przy Izbie wojenno-ekonomicznej (*Kriegs- u. Domainen-Kammer*). W gimnazjum posunięty w r. 1804 na pełnego nauczyciela, stał się już «kolegą siódnym»; przez cały czas wykładał łacinę i język polski. Gdy w szkole szpitalnej św. Ducha na Nowem Mieście otworzył się wakans, mianowano go jej rektorem, a w tym samym czasie (1805—6) bibliotekarzem u św. Bernarda. Nauczycielstwo od pierwszej chwili łączył Bandtkie z pracą naukową badawczą.

Najwcześniejszym jej owocem są rozprawy w «*Schlesische Provinzial-Blätter*» i w dodatku literackim do nich, w znacznej części przedrukowywane w «*Analekten*» (1802). Zajmował się w nich słowiańszczyzna, językami jej, pismem, Śląskiem piastowskim, losem i stanem społecznym chłopca polskiego (za Skrzetuskim), z którego zdierał nazwę niewolnika, daną mu jeszcze w parę lat później przez Bonapartego w Konstytucyi Księstwa; miał zamiar napisać historję Śląska do roku 1355. Uczył Niemców, że «*Wasserpollacken*» są to Polacy, a język ich najrodowitszym polskim i zachęcał szczer panujący politycznie na obszarach ziemi polskiej do zerwania z «*celtomanią*» i poznawania Słowian. Zapuszczając się w dzieje Polski piastowskiej poza obrębem Śląska (arcybiskup Henryk v. Brene), powołał gromadził zasoby w takiej obfitości i ciągłości, że postanowił posunąć się dalej z biegiem lat dziejowych i zyskać podstawę do napisania książki, całą przeszłość ogarniającej: tak zrodziło się «*Krótkie wyobrażenie dziejów Królestwa polskiego*», wyd. w r. 1810 we Wrocławiu. Wiedząc już o «*Analekten*», Tow. Przyj. Nauk w Warszawie przybrało go do grona swych członków. Już od roku 1804 należał do Towarzystwa, uprawiającego nauki na Górnych Łużycach w Zgorzlecu (Görlitz); był też członkiem Towarzystwa, popierającego naukę i sztukę we Wrocławiu; układał gramatyki dla Niemców, «*Elementarze dla ludu polskiego i słowniki*».

W r. 1811 Iłba Edukacyjna Księstwa, wskrzeszając akademię krakowską, wezwała Bandtkiego na bibliotekarza przy niej i profesora bibliografii. Straszliwy stan tego księgozbioru (po Voigcie i Przybylskim), przez niego samego opisany (1821), pochłonął mu dziesięć lat życia, zanim się z nim jako bibliotekarz uporał, ale już po roku zmudnej pracy doprowadził zbiory do porządku o tyle, że mógł je do użytku publicznego otworzyć. Tym znojem, w których łączył «*polską odwagę z niemiecką wytrwałością*», winien jest swą wiedzę historyczno-literacką. Działając metodycznie jako bibliotekarz, a uzupełniając Bentkowskiego, wcielanie tej wiedzy w druk rozpoczął od cennej rozprawki o inkunabułach krakowskich (1812). W trzy lata później wydał «*Historję Drukarz krakowskich*», a po kilkunastoletniej pracy na podstawie Daniela Hoffmanna opracował już dzieło syntetyczne, o całej Polsce (1826). Przytem ogłaszał zabytki języka i literatury polskiej, zajmował się językoznawstwem słowiańskiem i potrafił o ogólne, opisywał rzadkości bibliograficzne, ogłaszał swe odkrycia starożytnicze, opisywał mapy ptolemeuszowe, podejmował poważne badania nad średniowieczem polskiem, zapuszczał się nawet w gąszcz dziejowy zamierzonych. On pierwszy chyba podał badaczowi polskiemu wiadomość o Psalterzu floryjańskim, otrzymanym od Kopitara; on dał nam w wydaniu poprawnem «*Libellus*» Parkosza; powybierał z rękopisów różnych lat, ze starych druków, ze «*Slavina*» i «*Slovinki*» dawne brzmienia Modlitwy Pańskiej i drukiem ogłosił; wreszcie swoje «*Miscellanea Cracoviensia*» odkryciami własnymi i krytyką historyczną zasilał. W świecie naukowym polskim i czeskim nabierał coraz więk-

sęgo rozgłosu i powagi. Choć bibliografia w hierarchii nauk nie stała wysoko, od r. 1814—6 wydział filozoficzno-literacki oberał go na swego dziekana; w r. 1815 został członkiem Towarzystwa Nauk krak., a przez rok 1819 zasiadał w senacie wolnego miasta Krakowa. Stosunki z uczonymi zaciętniały się, zwłaszcza z Dobrowskim (1810—27) były stałe, ściśle w granicach dotychczas naukowych zamknięte i stały szczególnie ważne. Dochował się kilkadziesiąt listów obu badaczy: bije z nich uczoność Bandtkiego. Korespondencya naukowa łączyla go z Lelewalem, Ossolińskim, Czarnockim, a z zagranicznych z Kopitarem, Hanką, Koepfenem, Rammeceuem.

Oddany wiedzy, żył mimo ożenienia się, w odosobnieniu od świata, zajęty badaniami, biblioteki i bibliotekarstwem, które wykładał wraz z bibliografią, «ucząc się wespół z uczniami», co, choć objawia nam skromność człowieka, dowodzi prztem jednak i niesprawności nauczyciela: i rzeczywiście, wykłady Bandtkiego nie były wzorowe. Zewnętrzny też, materyjalny porządek w układzie ksiązek, niezależny od wewnętrzznego, przedmiotowego, w katalogach, wywoływał sarkanie. Jako racjonalista i protestant nie wahał się przesądzić, może nawet niekiedy pozwalał sobie na uszczypliwe dotknięcia. A gdy do tego jeszcze w «Historji biblioteki Uniwersyteckiej krakowskiej», opisując stajnię Augiaszową, którą zamiatać musiał, dotknął, chociażby pośrednio, tego i owego, zerwała się burza. Zaczęto wypominąć przeszłość; owo ochmistrzowanie wystawiano, niemal jako współnictwo ze zdrają; w nowym wydaniu «Krótkiego wyobrażenia dziejów» dopatrywano się stronniczej, niepartyzotycznej surowości, wytknięto mu wrzecie pochodzenie niemieckie — jemu, który wśród Niemców zawsze «rodowitym Polakiem» się nazywał, a badanie przeszłości Polski obrał sobie za cel życia: został złym Polakiem. Wrzasa już dawniej niechęć, ale dopiero «Pszczółka» krakowska Majeranowskiego w r. 1821 napisała na Bandtkiego, już nie krytykę, ale paskwil. Stanęli w jego obronie Helcel («Gaz. liter. warsz. 1821»), Ossoliński («Wiad. hist. kryt.» III c. II) i bezimienny z Płocka, prawdopodobnie Żdzarski, redaktor «Dziennika». Oszczerstwo uciхло, a Bandtkie pracował dalej, więcej rozmową, roztrząsaniem i objaśnieniami, niż wykładem z katedry kształcał przyszłych uczonych, jak Helcel, Maciejowski, Muczkowski, następcą jego w bibliotece, i inni, i do śmierci już trzymał się Krakowa. Raz tylko jeszcze wychylił się z niego: w r. 1824, do Dreżna, w sprawach rodzinno-majątkowych; zawiatał wtedy aż do Sztutgardu, zatrzymał się dłużej w Lipsku. Wtedy już może, albo wkrótce po podróży, otrzymał od Perthesa propozycję napisania Historji Polskiej: odmówił. Dlaczego? bo «*prima lex historiarum ut vera sit, a Polacy nie lubią prawdy*»; zastąpił go Mianich.

Okolo r. 1830 energia naukowa Bandtkiego słabnie; po roku 1831 śladów jej w druku już nie widać. Dotychczas jeszcze nie wydobyto dowodów zachowania się jego podczas powstania narodowego,

wrzęcia emigracyi w Galicyi, dyktatury trzech mocarstw w r. 1833. Zajęcia Krakowa przez wojska sprzymierzonych przeciwko Polakom w Münchengrätz nie doczekał: zmarł dnia 11 czerwca 1835 r., nie zdążywszy wydać swego «Krótkiego wyobrażenia» w trzeciej edycyi, już jako «Dziejów Narodu Polskiego». Jeżeli liczne prace literacko-naukowe i wydawnicze zapewniły mu już za życia prawo do tego tytułu, którego pożądał, kiedy o sobie mówił, iż wylamuje i obciosowa kamienie, aby z nich inni budowali, to w «Dziejach» już sam budował: są one rzeczywistym dziełem historyi, opowiadającej sumiennie przeszłość.

Całość pracy człowieka, który, jako badacz i pisarz, zawsze się czuł, zawsze był Polakiem i nigdy się od rzeczy polskich nie oderwał, rzetelnie tak charakteryzuje Ossoliński w owej obronie słowy, jakoby od niego samego wychodzącemi: «Oto wszystkie moje pisma: w domu, zagranicą nigdyw ojczyzny Moje z celu nie spuścił; wziął pracowilem na jej użytek, na wyjaśnienie jej dziejów, na rozszerzenie jej nauki, na obeznanie obcych z jej zaszczytami, na odkrycie źródeł pewniejszych o niej wiadomości». Trzeba tu tylko na miejsce «Ojczyzny» wstawić «wiedzę ojczystą».

BIBLIOGRAFIA I. Pisma i wydania Bandtkiego. Estreicher sporo druków pomija; i tu wymienić wszystkich niepodobna. Chronologicznie: 1) «*Histor.-kritische Analecten zur Erläuterung d. Geschichte d. Ostens von Europa*» (Wrocław 1802, Meyer; XII, 308 str. 1 k.; 12^o). 2) «*Ueber d. Bauernstand in Polen*» (tęże t. r.); 3) «*Heinrich, Erzbischof v. Gnesen* (tęże t. r.); 4) «*Fredra przystawo*» (tęże 1802); 5) «*Nowy Słownik kieszonkowy niemiecko-polsko-francuski*» (tęże 1805; z Trotza; wyd. nast. 1818, 1820, 1823, 1828, 1834; z tych wydań pierwsze dwa opracował wespół z bratem, Janem Winc.). 6) «*Słownik polsko-niemiecki*» (tęże 1806). 7) «*Gramatyka polska dla Niemców*» (tytuł drugi niemiecki; tęże 1808, 1818, 1824, 2 t.). 8) «*Ueber d. gräfliche Würde in Schlesien*» (tęże 1810). 9) «*Krótkie wyobrażenie dziejów Król. Polskiego*» (ob. objaśnienie wstępne do wypisu A). 10) «*De primis Craecoviae incunabulis in arte typographica*» (Krak. 1812). 11) «*Miscellanea Craecoviensis*» (I 1814, II 1815, III 1829; Kraków; 4^o). Tu w roczniku I streszczenie-przekład z rozprawy o Fiolu w «*Historji Drukarń krakowskich*» pióra, W. Al. Maciejowskiego, p. t. «*De Sueboldo Fiolo et Joanne Hallero...*» 12) «*Historja drukarń krakowskich*» (Kraków 1815; ob. objaśn. do wyp. B). 13) «*Historja Biblioteki uniw. Jagiellońskiej*» (Krak. 1821). 14) «*Modlitwa pańska w języku polskim i w innych słowiańskich 22 razy*» (Wrocław 1825). 15) «*Historja drukarń w Królestwie Polskiem i W. Ks. Litewskiem jako i w krajach zagranicznych, gdzie książki polskie wychodziły*» (Krak. 1826 [1825—6], 3 t.: I: V—XI, III—XXXII. Wiadomości o Hoffmannie Daniela Toruńczyku, którego B. znacznie rozszerzył, uzupeł-

nił późniejszymi i uporządkował, właściwie użył go za osnowę; II: 353 str. [ważne podanie od drukarza na sejm 1784 r. przeciwko drukarniom pijarskim i wogóle zakonnym, oraz inne dokumenta]; III 299 str.; 8^o min.) 16) «Wiadomości o najstarszym moze psalterzu polskim w rękopisie pergaminowym w klasztorze św. Floryana kan. reg. św. Augustyna w Wyższej Austrii; drugi tytuł: «*De psalterio Davidico trilingui*» (Kraków 1827). 17) «*Jacobi Parkossii de Żórawice antiquiss. de orthographia polon. libellus*» (Poznań 1830; str. III—IV, V—XVI *Vita Parcossii*, str. 17—35 *Anonymi praefatio*, 36—99 *J. P-ii Dissertatio*; 16^o).

W czasopiśmie i pismach zbiorowych: z) polskich: 1) «Roczniki Tow. Nauk. Krak.» 1817—31: Tom I (Hanza), IV (Gazety polskie) V—VII, VIII («Krotochwila z wyrazów Adam i Ewa»), XI (Szachy Kochanowskiego, Stanisław Chrościński) XII (Psalterz Floryjański) XIV (Dodatek do Chrościńskiego). 2) «*Index lectioium in universitate Stud. Jag.*... 1822—3» (Mapy ptolemeuszowe w Bibl. Jag.). 3) «Rozmaitości naukowe» (Krak. 1828—31; współredaktor Bandtkie); m. in r. 1829 nr. I O języku i piśmie; że mowa ludzka nie da się zupełnie piśmie wyrazić. 4) «Pam. warsz.» Osińskiego 1809 III Mieszkańce w górach śląskich nie są szczytami starożytnych Germanów (ze *Schles. Pr. Bl.* T. XXXIX). 5) «Pam. Warsz.» Bentk. (1816—22); 1815 I Uwagi nad językiem czeskim, polskim i terazniejszym rosyjskim; 1816 IV O najdawniejszych monetach polskich i śląskich (przekł. J. W. Bandtkiego ze «*Schl. Pr. Bl.*»); 1816 V Jędrzej Gałka o Wiklefię; 1816 VI Pisownia polska ze zbioru Piotra de Illuzus; 1819 XIV Sobudki, góra sobótka na Śląsku; 1821 XX Pochwist. 6) «Dziennik Warsz.» 1826 III Dopełnienie wiadomości o Stanisławie Hłowskiim i Fr. Masłowskiim, tłumaczach Demetryusza z Falery. 7) «Dz. wileński» 1815 II Slavin i Slovánka, dwa dzieła niemieckie o literaturze słowiańskiej. — 8) w obcych. 1) «*Schlesische Provinzial Blietter* 1798 do 1810 T. XXXIX, LXI, LVIII, oraz rozprawy włączone do «*Analecten*». 2) «*Schlesien chedem u. jetzt*» 1806 zes. V—VII. 3) «*Hallische Liter. Ztg.*» z pierwszej ćwierci XIX w.

II. O Bandtkim: 1) Jego autobiografia («Kwartalnik naukowy» Helca i Wielopolskiego, Kraków 1835, II). 2) Listy do Lelewela z roku 1809—21 (Rkps Bibl. Jag. nr. 4170). 3) Korespondencya z Ossolińskim r. 1811—21 (Rkps Ossol. nr. 179—96). 4) Korespond. z Chodakowskim (Czarnockim); «Pam. nauk.» Krak. 1837 III; ob. w niniejszym tomie Chodakowski Zoryan (Czarnocki). 5) Helcel Ant. Zygm. «J. S. Bandtkie w stosunku do społeczności i literatury polskiej» («Kw. nauk.», 6) «Wiadomości o życiu i pismach J. S. Bandtkiego» («Wiz. i rozpr. nauk.» serya II r. 1842 T. XIII). 7) «Korespondence Josefa Dobrovského díl II: vzájemné dopisy... a Jiřího Samuella Bantkeho z let 1810—27; k vydání upravil V. A. Francouz» (Praga 1906; ze zbioru «*Stírka pramenů k poznání literárního života*

z Čechách, na Moravě a v Slezsku». (Najcenniejsze ze wszystkich dotychczasowych). 8) «*Pamiętnik literacki*» 1903 (T. II), 1904 (T. III). 9) Kraushar Al. «*Warsz. Tow. Pra. Nauk.*» ks. I.

A) Dzieje Narodu Polskiego (1835).

W wyd. I-tem tytuł: «*Krótkie wyobrażenie dziejów Królestwa Polskiego*» (Wrocław 1810, Korn; 2 tomy 12^o). W T. I, str. 1—68 Wstęp o ziemiach, na których mieszkali Słowianie przed powstaniem Polski, i o Litwie; str. 68—120 Bajeczna historia Polski i o religii pogańskich w Polsce i Litwie. Historję pewną doprowadza T. I do Jagiły w Krakowie (str. 432). W T. II kończy się opowiadanie na r. 1763 (str. 629); za dalszy czas jest tylko register chronologiczny do r. 1795. W obu tomach 22 rys. kolor. W przedmowie mówi autor, że cały Wstęp jest jego własny, i nie przechrwała się; rzeczywiście, opracował go samodzielnie. Historję prawdziwą do Ludwika brał z Naruszewicza, niekiedy od niego odstępując. Do T. II czerpał zasób z kronik, aktów publicznych, świadectw współczesnych i z własnych swych badań. O Wadze nie wspominał. Dzieło swe przeznaczył dla dzieci w wieku 12—14 lat; ale już z powyższego widać, że było ono odrazu książką dla dorosłych. Przejmował je duch krytyczny, ale nie dość jeszcze pogłębiony, wiele też jeszcze źródeł stało przed autorem, czekające na otwarcie. Drugie wydanie, wolne już od błędów i braków, wytkniętych przez krytykę (Lelewel «*Dz. Wil.*» 1816, III) i dostrzeżonych przez samego Bandtkiego, jako «*Dzieje Królestwa Polskiego*» (Wrocław 1820, 2 t.: T. I: XII, 468; II: VI, 560 str., 8 rycin, 8^o min.), mimo usterek wskazanych przez Lelewela («*Rozbiory*», Poznań 1844, str. 117 n.) pozwoliło dziełu już wystąpić z powagą naukową; wzmocony znaczenie Wstęp, pomnożony nieco dodatkami o Wielkiej Morawie i bóstwach słowiańsko-hinduskich; w ciągu tekstu obu tomów liczne uzupełnienia wyd. pierwotnego. Chronologia doprowadzona do pierwszego sejmiku królestwa konstytucyjnego (1818), kultura wszędzie uwzględniana, wydobywana na wierzch. Wielki badacz był zachwycony: «*Bandtkie jeszcze raz (pierwszy w «Analecten») staje obok Naruszewicza i Czackiego, a nikomu nie godzi się nad dziejami narodowemi pracować bez zgłębienia dzieła jego*» (str. 119). W wyd. 3-kiem stanęły «*Dzieje jeszcze wyższe; technic z nich życie wewnętrzne, a wykład jest równomierniejszym, niż w poprzednich. Choroba nie pozwoliła przetworzyć dzieła tak, jak zamyślał; nie doznał Bandtkie druku; prowadził go ktoś uproszony, osłoniłony w bezimienności. Trzećcie to wyd., zastylowane «*Dzieje Narodu Polskiego*» (Wrocław 1835, Korn; 2 t.: I: VIII, 359 str.; II: IV, 391 str. 1—42; 8^o, podobizna litogr. autora, 3 ryc., 1 tabl. monet, 1 tabl. ewaluacyjnej monet), równie jak poprzednie, doprowadza wykład tylko do śmierci Aug. III; wykaz zaś chronologiczny, nie wolny od błędów, słyga w niem do koronacji ces. Mikołaja w Warszawie (1829). Z nową paginacją w T. II rzecz O monetach polskich i litewskich. W podręczniku B-go*

sąd o ludziach, gromadach i czynach politycznych wywołany jest z pod uczyć, a im dzieje bliższe upadku, tem surowszy. Sam on na innym miejscu (Listy do Dobrowskiego) wyznaje, że od początku Wojny Północnej musiał się powściągać, a od bezkrólewia po Auguste ustął w drodze, bo nie chciał iść w pętach. Z rzetelnym myśleniem historyka, dając ów swój Wstęp, dopominał się już w przedmowie do wyd. 1-go przynajmniej spisu miejscowości na ziemiach słowiańskich, zapalał się na samą myśl słownika synonimów geograficznych. Po ostatecznem opracowaniu można za Helmea powtórzyć, że Bandtkle nie tylko był pragmatykiem, ale pierwszy z pisarzy syntetyków zajął w życie wewnętrzne narodu: miał też prawo wyd. 3-e nazwać „działami narodu”. Szkoda, że pracy jego dalej w nowych wydaniach nie prowadzono według wymagań postępującej wiedzy: podręcznik Bandtklego stałby się normalnym; musiałaby się do niego stosować inne, liczne a bulantnie.

231) *T. II, str. 125—7* [Zdanie o Zygmuncie Auguste i jego panowaniu]. Wielkie dary przyrodzenia zdobył król Zygmunt August. Posiadał także i nauki, matematykę znał dobrze i umiał po łacinie doskonale. Po włosku i po niemiecku mówił tak jakby w ojczystym języku. Lubiał muzykę i kochał się w uczonych ludziach. W prywatnem życiu pomierny, stronił od wszelkiej okazałości; ale gdy chodziło o wspaniałość królewską w publicznych sprawach, nie ochraniał wydatków bynajmniej i utrzymywał jak najświetniej powagę swoją. Powolność przyrodzona domowi Jagiellońskiemu była w nim cnotą dziedziczną, lecz nie bez wady zbytnej dobroćliwości, która i poprzednikom jego była właściwą. Z tego źródła pochodziła Jagiellończyków wspólna słabość: nie oszczędna rozrzutność, której, wyjąwszy Zygmunta I, wszyscy podlegali. Nie był i Zygmunt August od niej wolnym. Zaciętość i upór, od ówczesnych pisarzy Zygmunтови Augustowi wyrzucane, uniwinia po większej części smutny los jego w małżeństwach nieszczęśliwych i ustawicznych o zmniejszenie władzy królewskiej targach. Miękkie wychowanie, gdy aż do 17-go wieku matka go z rąk swoich wypuścić nie chciała, przyczyniło się do opieśzłości i niezroźlności Króla w wojnach z najstraszniejszym nieprzyjacielem Litwy i Polski: z Iwanem II [tak] Wasilewiczem. Ale w sądach, w wymiarze sprawiedliwości, w słuchaniu skarg poddanych, był król niespracowanym i aż do podziwienia czynnym. Podagra i chorągwa dręczyły go tak, że nawet rząd złożyć zamysłał przed śmiercią; ale jednakowoż nie zaniechał zbytków

w miłości. Jak roztropnie sądził o różności w wierze, tak ulegał zabobonnie zdaniom gwiazdowieszczarzy i wierzył w czarodziejstwa i gusła. Dlatego rozumiał, że aż do wieku 72-go dożyje, ponieważ astrolog jakiś wywróżył mu, że we 72-m roku umrze, co trafniek uścił, nie co do lat Króla, lecz co do liczby r. 1572-go, bo nie miał wtedy nad lat 52 wieku. Że krew ludzka dla różności zdań w religii w Polsce w owym wieku nie płynęła, wiekopomem jest to jego zaszczytem, „równie jak i całego Narodu. Nauki były w kwitającym stanie. Lubił Zygmunt August język polski i upowszechnił go w Litwie. Złoty wiek literatury polskiej nastal pod nim; nie brakło na uczonych w każdym rodzaju umiejętności. Ustawy prawa, czyli Konstytucye, zaczęto odtąd pisać po polsku. Mikołaj Rej z Nagłowic, wierszopis, Stanisław Orzechowski, mowca i dziejopis, Łukasz Górnicki i Krzysztof Warszawicki, dziejopisowie, Bartolmiej Paprocki, rodopis, Andrzej Frycz Modrzewski, polityk — celowali nad innymi. Biblia pierwsza przez Leonarda Dominikana, albo przez akademika Jana Leopólitę i Mikołaja Scharffenberger r. 1561 wydana, a druga, w Pińczowie przez Jana Łaskiego, Zaczusza, Piotra Statorjusza z Tionville, Grzegorza Orsacjusza, Andrzeja Trzecińskiego, Jakóba Lubezcyka i innych tłumaczona, nakładem księżąt Mikołaja Radziwiłła Czarnego na Nieswieżu i Olyce r. 1563 wyszła w Brześciu Litewskim. Obie dotąd czynią sławę narodowi zagranicą. Słynął Zygmunt August tak dalece, że cesarz Maksymilian II uczynił go sędzią między sobą i siostrzeńcem jego, królewicem węgierskim, Janem Zygmuntem. Hansaetyckie miasta obrały go sobie protektorem; ale, że całą sprawę odłożono do sejmu, nie było nic z tej protekcji. Wątpić nie można, że, gdyby Król był szczęśliwym w związkach małżeńskich, a zostawił potomstwo, Polska byłaby inszego losu doznała. Za pomocą mniejszej szlachty dokazał Król tego, że przyszła egzekucya praw, czyli odzyskanie starostw i dóbr stołowych, do skutku. Mimo ustawicznych targów o zmniejszenie władzy królewskiej, jednak nie dal jej bynajmniej uczynić uszczerbku, ale z stałością utrzymywał się przy tem, co od ojców odziedziczył. Lecz, widząc się bez potomstwa i bez nadziei, lubo chciał, nie mógł, dla słabości zdrowia, a bardziej jeszcze, że już wielcy panowie na wolną elekcyą zamierzali,

myśleć skutecznie o ustanowieniu następstwa. Rozumiał też pożyty dłużej, a do tego dwie siostry jego, w dalekie kraje zamąż wydane, nie miały jeszcze potomstwa do rządu zdolnego, a trzecia wcale za mężem nie była. Los to był jakiś dla Polski, że, gdy wszędzie indziej dokoła trony obiercze w dziedziczne się zamieniały, w Polsce naopak dziedzictwo Jagiellonów poszło na wolnej elekcyi wichry niespokojne, które nareszcie całą ojczyznę w bezdennej nieladu przepaści pograżyły. Krótko przede śmiercią Króla Zygmunta Augusta Iwonja, Gospodar wołoski, wykonał przysięgę wierności.

B) «Historia drukarni krakowskich» (1815).

Dzielo wyszło w Krakowie w r. 1815 (4 knib. List, str. 1—504, 5 knib. registr. 8^o min.) p. t. «Historia drukarni krakowskich» od zaprowadzenia druków do tego miasta aż do czasów naszych, wiadomością o wynalezieniu sztuki drukarskiej poprzedzoną. List «Do Feliksa Bentkowskiego, przyjaciela mego» z d. 25 lutego 1815 r., z Krakowa, wskazuje, jako punkt wyjścia do «Historyi», zamiar obronienia Świętopelka Fiola przeciwko Hallerowi, wywyższonemu ponad prawdę w rozprawie tegoż B-go «O najdawniejszych ksiązkach drukowanych w Polsce...» (Warszawa 1812). Obronę tę podjął B. skutecznie, oparty o dowody archiwalne, str. 122—73, poruszając w niej przedmioty styżne i odsłaniając fakty z bibliografii i typografii, przedtem nieznanne; cenne tu zwłaszcza są opisy mszalów wrocławskich i krakowskich, z własnego, bezpośredniego zbadania zabytków. Następnie mówi B. o Statucie r. 1491 «czyli» 1496, biorąc błędnie, co mu wytknął Lelweł, dwa wydania za jedno. Wiele zajmujące, a na czas swój nowe są wiadomości o kalendarzach, Judiach, Cyklojanach. Własną historję na str. 211 rozpoczyna Haller, co do krolej życia w Krakowie z badań archiwalnych wyprowadzony; po nim idą później: Vietor, Ungler, Lern. Na str. 283 zjawia się rodzina Scharffenbergerów (Scharpf—, Szarf—, —berg) i zajmuje tekst do str. 349. Sybencycherowie, Wierzbietka, Łaszcz Andrzejowicz, Januszowski, imni Andrzejowicze zakończają wykład XVI w. (str. 405). Nieco obszerniej o Piotrkowczykach; wyróżnione drukarnie, które dotrwały do XVIII w. W końcu o Fauście w zestawieniu z Twardowskim. Wszędzie pełno wiadomości, z których my dziś jeszcze korzystamy, wiele faktów na zawsze ustalonych naczemnym poznamiem; sporo też ważnych wyjątków. «Historja» jest pierwszą u nas po Bentkowskim poważną książką polską o drukarstwie i bibliografii.

232) «Do W. J. P. Feliksa Bentkowskiego, przyjaciela mego» (Wstęp, str. 3—8 nlb.). Zamiast Historji Drukarni Krakowskich wolałbym był dać historjã druków

krakowskich; ale do jakiegoż dzieła byloby mię przedsięwzięcie takowe zaprowadziło? Bylbym się jednak na to odważył, gdybym wiedział do tego sposobności jaką. Ale w zniszczonych po części pomnikach literatury naszej, po części w zaniedbanych i zakopanych jej skarbach niepodobną było mi rzeczã badanie takowe. Myślałem zatem, tak jak Fredro, nasz pierwszy filozof, każe: «kiedy nie można zdziałać, co jest najlepszego lub najdoskonalszego, to trzeba to zrobić, co mniej jest dobrem i doskonałem, byleby do tamtego było najbliższem». Na cześć Krakowa i drukarni jego w wieku XVI i XVII śmiało powiedzieć mogę, iż, toby zdołał porządny spis krytyczny dzieł tuteznych wydać, to objąłby bez wątpienia trzy czwarte części historji literatury naszej, do której poznania krytycznego Ty, Kochany i szanowany przyjacielu, uczyniłeś krok pierwszy, stały, niezawodny i wiekopomny w pięknem dziele Twojem «Historja literatury polskiej». Że moje dzieło o drukarniach krakowskich nie wyszło przedę, nie wyszło przed Twojem dziełem, żałuję mocno, a to tem bardziej, im więcej podchlebiam sobie, że niejedna ukryta dotąd wiadomość byłaby Ci się do umieszczenia w Twem dziele przydała. Lecz co Ci teraz służyć nie mogło, niech Ci to posłuży do drugiej Edycyi; bo że nauki prawdziwe u nas kwitnąć zaczęły, mam niemałą do tego otuchę. Niemożność korzystania z archiwum Uniwersytetu Krakowskiego, które do Warszawy przewiezionem zostało, wprawiła mię nieraz w obawę, że dzieło moje może podobnem się stanie do Meermann pism, choć zawsze zaletę jakąś mających, ale jednak w treści swej uchybionych. Wszelako pilne Akt Radzieckich przeglądanie i przetrząsanie skarbów Biblioteki Krakowskiego Uniwersytetu ufać mi każã, że aż do r. 1670 niewiele zbłądzić mogłem w wyobrażeniu rysów ogólnych.

Niedostatek w narodzie naszym gazet literackich, brak konkurencyi i emulacyi należytej, zabytki nieszczęsniej niewoli nauk, w której zrodziły się czasy panegiryczne, nie wiem na jak długo zatamowały u nas bieg wolny krytyce, od wzrostu nauk nieodłącznej. Ucho, do podchlebstwa przyzwyczajone, nie lubi śmiałego prawdy wyrazu, nie cierpi nawet i przyjacielskiej sprzeczeki. Ty, wśród wolności literatów niemieckich wychowany, nie zrazisz się zapewne, kiedy ujęcie się za prawdã dalej mnie

może uniosło, w wyrazach niektórych w obronie Świętopelki Fiola, jak mi się należało. Nie idzie i Tobie, ukochany przyjacielu, o zdanie niczyje, ale o prawdę co do czynu dziejopisnego (*factum historicum*); umiesz różnić [*tak*] rzecz, osobę i wyraz: a tak, śmiało wyrzec mogę, iż jestem pewnym, iż jeżeli: pp. 99, 134 i gdziekolwiek bądź jeszcze za daleko się posunął, to mi raczyś darować i nie wytłumaczysz inaczej, jak tłumaczonem być powinno. Szło mi o prawdę, nie o zdanie moje. W czem się pomyliłem, to niech nie będzie prawdą: może to publiczność wiedzieć z Twojej własnej ręki, jeżeliś czego w szacownem Twojem piśmie o drukach krakowskich nie zrozumiał, albo wziął naopak; ale pomyłki w wyrazach, opaczne tłumaczenie moje niech nie wadzi istotnej prawdzie, niech nie przeczy udowodnionemu pierwszeństwu starożytnemu, które, jak w naukach Krakowowi się należy, tak w drukach niepodległemu od Hallerowskich pras Świętopelkowi Fiolowi, pierwszemu słowiańskich druków na całym świecie wydawcy, przypada.

Z dwóch przyczyn w Historii drukarń krakowskich tak pisałem, jakgdym z Akademią Krakowską żadnych nie miał związków. WJPanu Józefowi Soltykowiczowi oddać trzeba zaszczyt, że najpierw o Akademii Krakowskiej światu nawet polskiemu dał wyobrażenie, jakie przystoi, a zatem wtrącać się w dzieło Jego choć pobocznie miałbym za świętokradztwo literackie (*plagiatus*): więc, jeżeli mi się zdarzyło co powiedzieć, co do Historii Akademii Krakowskiej służy, nie chciałem nigdy to [*tak*] inaczej uczynić, jak nawiasem. Uważałem się bowiem tak, jak kamieniarze się uważać powinni, co zwoją materiały dla architektów; a tego niech mi nikt niema za złe, kto wie, ile na materiałach budowli zawisło. Druga przyczyna była ta, że, czując zawsze wstręt nieprzewyciężony od zatajenia prawdy historycznej albo od upiększenia przedmiotu, przestawać chciałem na golem prawdy wystawieniu, która nikomu nie szkodzi w wiekach upłynionych XV, XVI i XVII. Wszakże już w wieku XIX żyjemy, a jeżeli gdzie trzeba było co powiedzieć o w. XVIII, to łaskawy Czytelnik postrzeże, że zawsze było wcześniej prawidłem mojem: *manum de tabula* [= ręka precz ze stołu!]; że, jak mi było miło sięgnąć niedocieczonych dotąd badań historycznych w wieku XVI, tak już mniej tego dozwalałem sobie w wieku

XVII, a w XVIII tylko wiadome rzeczy przypomniałem, i to w liczbie bardzo określonej. Mam bowiem otuchę, że dzieło niniejsze moje, równie jak ów program r. 1812, wzbudzi badaczy historii i literatury do dochodzenia niejednej prawdy historycznej, która, chwala Bogu, coraz więcej u nas pozyskuje miłośników, a której szczere ulubienie jedynie tylko może zakończyć szkaradne zabytki owych panigirycznych czasów, które nie cierpią, jak tylko chwalby, albo wierszyki. Nie zwalając na to, co może być prawdą niemłą, pisałem raczej względnie na to, co jest prawdą istotną. Naród nasz nie potrzebuje błyskotek z pochwał, które mu się nie należą. Ma on ich dosyć z własnej cnoty, a niedola, w której był nie tak z swojej winy, jak z biegu okoliczności, z losu nieszczęsnego, ta sama niedola daje mu jakąś zaletę, której gdzieindziej u innych nie znajdowałem. Praca niezwyknięta, niczem nieodparta, dążenie do jednego celu, to u nas i w naukach może być kiedyś, a podobno i w krótkim czasie, cnotą Polaka, jak to było i jest w innych względach. Wszystko, prawda, u nas trudniej idzie, ale wszystkiemu chęć szczerą podola podług staropolskiego przysłowia: *Trudność ustąpi*, gdy chęć przystąpi. Zaraza monopolizmu wieku XVII, a później z literatury francuskiej w w. XVIII pochodząca, zatruła nam zarodki polskiej w naukach gruntowności, do której w XV i XVI wieku dążono, a od której potem odwiedziono umysły młodzieży. Ale kiedy serce i umysł Polaka są nieskażone, nie trzeba nam rozpaczć. Znikną wady zarazy tej, jak już znikły makaronizmy w XVII. Wątpię bowiem, aby makaronizmy w XVIII swego kresu nie znalazły, chociaż jak tamte tak i te nie zostaną bez zostawionego nam zakalu, który dopiero z czasem lepszy smak wygubić potrafi.

XXXVI.

BANDTKE JAN WINCENTY

(1789—1846).

Brat młodszy Jerzego Samuela, przy nobilitacji otrzymał do nazwiska swego dodatek «Stężyński». Urodzony w Lublinie 1783 r. Dzieciństwo upływało mu w biedzie, bo, kiedy na świat przychodził, ojciec stracił był już całe mienie. Zajęła się dzieckiem zrazu rodzina dalsza, w Prusach, i w wieku szkolnym ścignęła je do Wrocławia (ok. 1795). Następnie opiekę rzetelną i pomoc materialną dawał chłopcu brat starszy, za co później samodzielny już, powszechnie poważany człowiek nie zawstydził się w przedmowie do «Jus Culumense» (1814) z rzecznym uczuciem publicznie mu dziękować. W tem samem gimnazjum, co i on, otrzymał wykształcenie średnie; po wyższe pojechał, znowu tak samo jak on, do Halli, na wydział prawny. Z trzech lat, spędzonych na uniwersytecie, przy niezwykłych a odrazu przez zwierzchność dostrzeżonych zdolnościach, w latach 1804—5 był po Bentkowskim lektorem języka polskiego, a w nauce prawa skupił około siebie młodzież i polską i niemiecką, aby z nią powtarzać wykłady, chwytane szybko i dobrze. Po odbyciu studiów w r. 1806 nie przyjął ofiarowanej sobie posady w Magdeburgu, odrzucił inną we Wrocławiu i pojechał do Warszawy, pod rządy jeszcze pruskie. Został aplikantem przy Regencyi t. j. sędzie departamentowym. Odrzucając polskiego ducha swego stwierdził, gdy w zaofiarowaniu swej uniwersyteckiej rozprawy «De studio juris polonici» dygnitarzom sądowym upomniał się o prawa języka polskiego i znajomości jego tym, którzy polskim rządzają krajem, zalecił. Po wkroczeniu Francuzów i ustanowieniu Kom. Rządzącej przeszedł do Łbzy (1807), a po zaprowadzeniu w nowem Księstwie konstytucyi lipcowej — do ministerjum sprawiedliwości. Tu Lubieński zamianował go assessorem Sądu Apelacyjnego, dopiero podówczas organizowanego. W r. 1808 otrzymał Bandtke stanowisko

pisarza aktowego, przy Sądzie Apelacyjnym, który był jeden na całe Księstwo, w skutek czego i pisarstwo obejmowało cały kraj. W r. 1809 został młody prawoznawca członkiem tymczasowej Komisji prawodawczej. W tym czasie zawiązywała się już w Warszawie Szkoła Prawa i Administracyi i znany już z gruntownej wiedzy Bandtke na kursach, jeszcze nieujętych w organizacyę, zaczął razem z innymi prowadzić wykłady, a gdy je w r. 1811 usystematyzowano, z delegacyi waszystkich na otwarciu szkoły wygłosił przemowę, z którą związał pochwałę Jana Zamojskiego. Wyznawca zasad prawa rzymskiego, stanął w jego obronie przeciwko Czackiemu, a pracując wciąż nad prawem polskiem, wydał o niem nieco później zbiór cennych rozpraw. Imię miał tak rozgłośnie, zasługi tak wybitne, działalność tak ożywioną, że Tow. Prz. Nauk, przybrawszy go do siebie, w bardzo krótkim czasie wezwalo na członka czynnego (1812). Za «Jus Culumense» uniw. królewiecki zrobił go doktorem *honoris causa*, już w 80 r. życia; w parę lat później został Bandtke członkiem uniwersytetów w Krakowie i Wilnie, oraz T. N. Krak. Opracowawszy cały dział prawa do «Hist. Lit. Polsk.» Bentkowskiego, w nauce swej krzątać się nie przestawał, a obycie się z dyplomatami w Metryce Koronnej pozwoliło mu z czasem wychylić się i na pole wydawnicze ściśle już historyczne: opracował drugie, po Lengnichu, wydanie t. zw. Galla (1825). W nowem Królestwie zamianowany notaryuszem wojew. Mazowieckiego, gdy zaprowadzano uniwersytet, w r. 1816 wszedł do Komisji organizacyjnej, wpłynął przeważnie na redakcyę ustawy, a po otwarciu uczelni w r. 1817 został professorem prawa rzymskiego i dawnych praw polskich. Dla ułatwienia nauki zrobił słuchaczom digesta z Instytucyi Justyniana. Młodzież go lubiła, ceniąc w nim nie tylko dobrego nauczyciela, ale i prawego człowieka; koledy chętnie poddawali się jego powadze; ponawiane co trzy lata wybory powoływały go wciąż ponownie na urząd dziekana. Ostatni rok istnienia uniwersytetu oznacza datę wyjścia dzieła, które obok «Jus Culumense» i «Historii prawa polskiego», z wykładów uniwersyteckich dopiero po śmierci ogłoszonej, zapewnia mu trwałe imię w dziejach umiejtności polskiej. Jest to «Jus polonicum», z wielką pilnością, po wieloletnich poszukiwaniach z porównaniem i ustalaniem tekstów dokonane wydanie aktów prawa publicznego, bądź nie znajdujących się wcale w «Vol. legum», bądź też skażonych; między innemi wydrukował tu Bandtke głosy ze sprawy Zborowskich Przywilej Mielnicki z r. 1501, podając go za autentyczny. Po Powstaniu Listopadowem zasiadł w Statutowej radzie stanu, a po jej zepchnięciu przez IX i X departament Rządzący Senatu (1841) był już tylko członkiem Kom. Sprawiedliwości. Uszlachcony jako Stężyński, nie wypuszczając pióra naukowego z ręki, zmarł w Warszawie d. 7 lutego 1846 r. Jego synem był Kazimierz B.-Stężyński, wydawca «Numizmatyki krajowej» (Warsz. 1837—40, 2 t.).

BIBLIOGRAFIA. 1) z) po polsku: 1) Mowa na otwarcie szkoły prawa i administracji, wydana os. p. t. «Obroma Jana Zamojskiego» (nadb. z «Otwarcie Szkoły Prawa i Administracji» — Warsz. 1811). 2) «Zbiór rozpraw o przedmiotach prawa polskiego» (tamże 1812). 3) «Uwagi o potrzebie nauki prawa w kraju naszym w szczególności, a użytku onejże w ogólności» (tamże 1814). 4) «Rzecz o czwartym groszu siostrom z pozostałości ojczyznej przez braci udzielanym» («Pam. Warsz.» Bentk. II str. 1—40, r. 1815). 5) «O notaryacie dawniejszym, czyli pisarstwie aktowem krajowem tak dawniejszem, jako i nowszym» («Pam. Warsz.» Bentk. III 327, 413, r. 1815). 6) «Co stanowi prawaiki» («P. W.» B. VI 309, r. 1816). 7) «O Macieju Sławnickim i kiedze prawa powszechnego z woli Zygmunta I przezei ułożonej (czyt. na pos. Uniw. Warsz. w r. 1825, os. Warsz. 1827). 8) Przekład polski w «Monumentum». Pośmiertne: 9) «Historia prawa polskiego, wykład... w Un. Alex. w Warsz.» (Warsz. 1850). 10) «Prawo prywatne polskie» (tamże 1851). 11) «Rozprawy o prawie i sądownictwie karzącem i o urzędach w dawnej Polsce» (tamże 1858). 12) «Skład i formaey chorągwi polskich z w. XVIII» («Bibl. Warsz.» 1858, III. 5) po łacinie: 13) «De studio juris polonici, Dissertatio, auctore... jurisprudentiae candidato» (Wrocław 1806). 14) «Vindicatio juris romani Justiniani» (tamże 1808). 15) «Jus Culmense, cum appendice privilegiorum et jurium...» (Warsz. 1814); po wstępie wywód historyczny praw Prus Królewskich i Prus Wschodnich. 16) «Lineamenta juris romani ad ordinem Institut. Just. Imp. digesta» (tamże 1816). 17) «Martini Galli chronicon» (tamże 1825; wstęp i żywot łaciński Stanisława Szczepanowskiego, przez Wincentego z Kielca). 18) «Clarissimi Baronis, J. Utr. Doct. Joannis de Ostroróg... Monumentum pro Comitibus Gen. Reg. Congestum» (tamże 1831; przekład polski). 19) «Jus polonicum, codicibus veteribus manuscriptis et editionibus quibusque collatis editum...» (tamże 1831). Są w obu oddziałach z i 5) mowy Bandtkiego w sprawozdaniach i prognoatach uniwersytetu warsz. Współpracownictwo z bratem ob. Bandtke J. S. II. O Bandtkim pisał «Bibl. Warsz.» 1846 I 603, 613.

Historia prawa polskiego (1850).

Dzielo to powstało z wykładów uniwersyteckich w r. 1818—20, urobionych przez samego Bandtkiego w książkę, wydaną dopiero przez syna, jako «dzielo pogrzebowe» (Warsz. 1850; str. I—VIII przedmowa, str. 1—32 Seytowie, Sarmacya, Słowianie; 32—55 Polska (rozdz. I); 56—249 Czasy od przyjęcia religii chrześcijańskiej do Ludwika króla (II); 250—523 do Zygma. Aug. włącznie (III); 524—722 do upadku (IV); 723—8 Czasy późniejsze; str. 1—XVI spisy; 1—III, 1 kulb. 8). Podział na okresy, przystosowany do zmian dynastji i sposobu obsadzania tronu, odpowiada przyję-

temu przez J. S. Bandtkiego i postawieniu r. 1886 na miejsce 1870-go, zaś jeszcze najpowszechniejszemu. Nie tylko w faktach, ale i w sądzie historycznym idzie autor za bratem swoim, okazuje się nawet większym jeszcze od niego monarchistą, ale zupełnie już z nim zrywa, gdy nieprzystojną historykowi nienawiścią ku szlachcie pałac zaczyna (okres II). W każdym okresie osobna rozpatruje rządów i stan kraju, podział wewnętrzny, charakter mieszkańców, przemysł, obyczaj, nawet ubióry, różność stanów, a w dwu pierwszych i mieszkańcy, dalej — oświata, skład rządu, dochody i skarb, policya, wojskowość, sądownictwo, nakoniec prawa w najobszerniejszym zakresie, wskazując ich źródła i zbiory. Dzieło, gruntownie opracowane, jest raczej historją państwa polskiego na tle kultury społecznej, niż prawa, chociaż w nim sądownictwo i prawo więcej, niż inne działy, miejsca zajmują; najpelniejszy ich obraz otrzymujemy w rozdz. III. Pomimo postępu wiedzy «Historja» dziś jeszcze jest nauczającą, i nie można jej czytać bez żywego zajęcia i pożytku tam, gdzie jej postęp nie prześcignął (roz. I). Wybrana tu rzecz o postawie duchowieństwa, króla i sejmku wobec uchwał Sob. Trydenckiego daje jasne wyobrażenie o metodzie krytyki historyczno-prawnej, której autor trzymał się we wszystkich swoich pracach.

233) Str. 500—15. Czy ustawy Soboru Trydenckiego były u nas uznane przez Sejm i przyjęte bez ograniczenia przez duchowieństwo?

Chcąc rozważyć to zapytanie: czy ustawy Soboru Trydenckiego były w Polsce przyjęte lub nie, należy się zastanowić nad rozwiązaniem następujących okoliczności: I. Co rozumiemy pod przyjęciem, czyli recepcją uchwał Soboru Trydenckiego i iloraka recepcya ta być mogła? II. Czy ustawy i postanowienia władzy duchownej najwyższej, t. j. papieżów i Soborów, nie potrzebowały sankcji najwyższej władzy krajowej, czy obowiązywały same przez się i czy władza świecka nie w tem nie postanowiła? III. Czy i jaka ustawa Soboru Trydenckiego była przyjęta przez duchownych w Polsce? IV. Czy była przyjęta przez najwyższą władzę krajową w Polsce?

Co do I. Władza najwyższa duchowna, nie mając promulgacji prawa, czyni przyjęcie swych postanowień zawisłem od władzy miejscowej, krajowej lub prowincjonalnej, duchownej i świeckiej. Sobór Trydencki ustanawia sam dwa rodzaje recepcyi swych ustaw: a) przez władzę duchowną, nakazując jej przyjęcie jawne na najbliższym Synodzie... (*Sessio XXV, decretum de reformatione, caput II*); b) przez władzę świecką krajową... (*Sessio XXV, decretum de indulgentiis*). Mniemał Kościół mieć prawo do nakazywania władzy duchownej, aby na pierwszym prowincyo-

nalnym Synodzie jawnie przyjęła ustawy, a najwyższej władzy świeckiej doradza, napomina przyjęcie ich podług przekonania i możliwości. Miano w tem na uwadze miejscowe przyjęcie, zaświele od okoliczności, a usuwanie przeszkód, zachodzących w recepcyi, poruczono papieżowi, stosownie do rozmaitych potrzeb... Łatwo mogły być przewidywane trudności w przyjęciu, skoro ustawy tego Soboru miały stanowić poprawę nauki i Kościoła, wrzuszonych przez Marcina Lutra, Kalwina i innych, i przywrócić jedność wiary i słowna tego Soboru, znajdujące się na początku rozdziału *De recipiendis et observandis decretis concilii* [O przyjęciu i przestrzeganiu uchwał Soboru]. W Polsce istniały te przeszkody i ze strony stanu i duchownego i świeckiego. Gdy ustawy Soboru w r. 1564 do Polski przez kardynała Kommen-doniego były przywiezione, odbywał on narady z Hozyuszem, biskupem warmińskim, kardynałem i byłszym prezesem tegoż Soboru, względem sposobu, jak zbiór ten przewieść przez upragnioną recepcyę, a przewidywał przeszkody ze strony Jakóba Uchańskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego i naczelnego duchowieństwa polskiego kapłana, jak opowiada kardynał Pallavicini w historii Soboru Trydenckiego (*lib. XXIV cap. XIII nr. 1*): «Roztrząsnąwszy sprawę pomiędzy sobą, uznali z jednej strony, że w danym wypadku nie będzie to dość zaszczytnem, ani też wystarczającym do trwałości, jeżeli się księgę prywatnie doręczy królowi, gdyż wtedy możnaby zawsze zarzucić, iż król nie ma w sobie władzy krepowania państwa prawami wieczystemi. Z drugiej strony, gdyby księgę wręczono w senacie, uznano to za mniej bezpieczne, gdyż senat podówczas składał się z licznych heretyków i pierwszy w nim głos miał Uchański, arcybiskup gnieźnieński i prymas państwa, człowiek porywczy do walki i ambitny i do tego stopnia z heretykami potajemnie złączony, że usiłował pod powagą króla wytworzyć własny Synod narodowy, czemu opierał się nuncyusz». Senat składał się z różnowierców, co Pallavicini i krajowi pisarze wyznają. Stan ogólnego przygotowania umysłów w Polsce najlepiej wykazuje konfederacya jeneralna z r. 1573, lat dziewięć późniejsza, która, zamiast heretyków wyklinać, jak chce tego zbiór Trydencki, bracią ich mianuje.

Co do II. Lubo atoli sam zbiór Soboru mówi tak wyraźnie o przyjęciu, mógłby może kto zarzucić, że, co najwyższa władza duchowna postanowiła, było samo przez się prawem, że nie potrzebowało przyjęcia *quo ad dogmata*, że władza świecka nic w tem nie była mocną stanowić, zmieniać i że winna była ulegać. Dlatego też Kazimierz III przyznał wiarogodność świadectwu osób, pod klątwą zostających, chociażby takowej z nich na prośby nie zdjęto. Kazimierz IV, zatwierdzając godność kardynała, przez Zbigniewa uzyskaną, zastrzegł zakaz warunkowy starania się o nią nadal... (*Vol. leg. I 171*), nad czem Długosz czyni zabawne żalose uwagi. Postanowienia papieżów (bulle) mogły być być zamieszczane w zbiory praw za szczególnem na to upoważnieniem, lub nabierać powagi za dozwalaniem przez najwyższą władzę ich wciągania w akta metryki lub grodzkie (*Vol. leg. III 857*), a nawet konkordaty wymagały sankcyi i zatwierdzenia stanów, ogłaszania pod pieczęcią monarchy, jak tego mamy dowód w konkordacie Klemensa VII z r. 1525 i w zatwierdzeniu, pod Zygmuntem I nastąpnem, oraz w konkordacie o kompozyty za Władysławem IV.

Co do III. Duchowieństwo polskie spostrzegало niektóre niedogodności w ustawach Soboru z powodu krajowych stosunków i zaraz po ogłoszeniu [ich] i ukończeniu onegoż czyniło starania u Piusa IV o zwolnienie tych niedogodnych postanowień dla Polski. Uchański, arcybiskup gnieźnieński, opierał się przyjęciu i zwolnieniu tym celem Synodu, o który Karnkowski nalegał, czyniąc nadzieję, że Rzym skłoni się do zmian niedogodności. Na Synodzie prowincjonalnym gnieźnieńskim, odbytym w Piotrkowie, pod Wawrzyńcem Gembickim r. 1621, czytamy (w rozdziale III), że, «gdy Sobór Trydencki był przez przodków chętnie przyjętym, arcybiskupi i biskupi mają łożyły starania, by przez wszystkich, ile być może, był zachowywanym po dycycezach»; lecz jakie to było przyjęcie i dlaczego tak spóźnione zalecanie zachowywania Soboru, dowiadujemy się zaraz z dalszej osnowy tego samego rozdziału... Na obudwuch Synodach tak r. 1577, jak r. 1621, domagano się moderacyi, zwolnienia! Papiery o przełożeniach i poselstwach do Rzymu, przez duchowieństwo czynionych, znajdując się mają w bibliotece Uniw. krakowskiego. W czternaście więc dopiero lat po Synodzie [tak]

Trydenckim zastanowiano się nad przyjęciem onegów, a w pięćdziesiąt ośm lat, z ponawianem zastrzeganiem żądanej moderacyi, zalecano jego wykonanie. Moderacya ta ogólna z Rzymu nie nastąpiła, lecz zaszła i była wykonaną w kraju przez duchowieństwo na dalszych Synodach w następującym sposobie: Ten sam Synod prowincjonalny Gembickiego, Piotrkowski z r. 1621, nakazał uskutecznić nowe wydanie, czyli redakcyę ustaw synodalnych prowincjonalnych, i wyznaczył na to osoby. Po śmierci Gembickiego dzieło wygotowane zostało złożonem na Synodzie późniejszym prowincjonalnym, odbytem w Piotrkowie r. 1628 przez Jana Wężyka, arcybiskupa, którego upoważniono do wydania onegów, a Andrzej Piotrkowczyk, doktor obojga prawa i typograf krakowski, otrzymał od Synodu przywilej na jego druk. Wyszła ta redakcyja z druku ozdobbnie i starannie p. t. «*Constitutiones synodorum metropolitane ecclesiae...*» (Kraków 1630, 4^o). Wydanie to jest autentycznym i aprobowanem przez Synod pod Maciejem Lubieńskim w r. 1643. Zbiór ten zawiera pięć ksiąg, a w ostatniej są: bulla Jana XXIII z r. 1412, Marcina V z t. r. (po złożeniu poprzedniego papieża), nadające Mikołajowi Trąbie, arcybisk., władzę... [poprawiania, łagodzenia, wyjaśniania, przetwarzania, zmieniania i uzupełniania, jak niemniej wydawania rzeczy nowych, stanowienia i porządkowania...]. W ostatniej, piątej księdze, ułożonej już na Synodzie Piotrkowskim r. 1577, za czasów króla Stefana Batorego i Uchańskiego arcybiskupa, znajdujemy: zatwierdzenie tej księgi przez Grzegorza XIII z r. 1577, ogłoszone przez Uchańskiego w r. 1578; podziękowanie królowi Stefanowi, że na Synodzie Piotrkowskim ustawa Soboru Trydenckiego była przyjęta; i poruczenie [tak] arcybiskupowi gnieźnieńskiemu i biskupowi krakowskiemu (wszystko z r. 1578) do wykonywania ustaw Synodu Piotrkowskiego z r. 1577. Cała więc piąta księga zawiera ustawy Synodu prowincjonalnego Piotrkowskiego z r. 1577, na którym ustawa Synodu Trydenckiego miała być przyjęta. Wykazuje się to jawnie z pierwszego, przywagowego wydania. Na tym tedy Synodzie Piotrkowskim znajdujemy takowe dwa, co do ustawy Soboru Trydenckiego artykuły, z których pierwszy przyjmuje, a następny moderacyę w przyjęciu jej zastrzega... [Rozdział I. Kanony i postanowienia świętego Soboru Trydenckiego przyjęte

i w rozkaz do powinnego wykonania zaopatrzone... Rozdział II. Pewne punkta Soboru Trydenckiego ze strony tej prowincyi potrzebują złagodzenia...] Moderacye, uproszone i dokonane przez same Synody prowincjonalne Piotrkowskie z r. 1577 i 1621, wykazują się poniekąd z samych drukowanych zbiorów tychże Synodów, bo tak przyjęto i zamieszczono w zbiorze ten «*Decretum de reformatione matrimonii* [= małżeństwo] *ex sessione XXIV concilii Tridentini*», z opuszczeniem atoli dwunastu kanonów anatemizujących. Nie szło więc tylko w tych moderacyach żądanych «[o wielość beneficjów i przebywanie przy beneficjach]», jak to w tym sposobie mylnie przedstawia ks. Ksawery Szaniawski («Historyczny wywód, jakim sposobem Sobór Trydencki przyjęty był w Polsce») lub «Themis Polska» (T. VII, poszyt IV, str. 364—5, 369). Ustawy zaś dyecezyjne i prowincjonalne mają najpierwszą powagę, a po nich dopiero idą *Canones* i *Glossarium ad doctorum decisiones*, jak to już za Łaskiego na Synodzie drugim Łęczyckim przepisano.

Co do IV. Prawie wszyscy pisarze nasi duchowni utrzymują, że na sejmie w Parczowie r. 1564 nastąpiło przyjęcie ustawy Soboru Trydenckiego. Można by powątpiewać, czy sejm w Parczowie wtedy się odbył, a to z przyczyn następujących: 1) iż niema żadnych z niego ustaw, lecz znajdują się ustawy z tego roku sejmu warszawskiego; 2) iż nasi pisarze uważają sejm ten Parczowski za nieczynny, za niedoszły, gdyż ks. Jan Bielski, jezuita, mówi: «Widok królestwa polskiego» r. 1763, T. II, str. 65): «r. 1564 w Parczowie, marszałek Siennicki, podkomorzy Chelmski; niedoszły [sejm]»; Dawid Braun («De comitis Regni Poloniae generalibus» 1721) powiada: «[W r. 1564 w Parczowie z limity poprzedzających... lecz nic tu nie postanowiono, i stąd też w voluminie żadnych akt niema. 3) Gracyan, towarzysz Komendoniego, legata papieskiego, który opisał całe poselstwo ([w życiorysie legata] po łac. Padwa 1685, przekł. franc. Flechier, Paryż 1671)... opowiada, że Komendoniego pojechał do Parczowa, gdzie był sejm; lecz w rozdz. XII mówi: «[stąd po rozpuszczeniu zjazdu Warszawskiego Komendoniego powziął zamiar zwiedzenia całej Polskij]; prowadzi go potem istotnie Wisłą do Gdańska. Można by więc mniemać, że w rozdz. XI przez pomyłkę drukarską Warszawę przezwano

Parczowem. 4) Raynald w historii pod r. 1564 przytacza list Zyg. Aug. do papieża, donoszący o przyjęciu Soboru Trydenckiego, pisany «[na zjeździe ogólnym warszawskim]».

Wszelako za bytnością sejm w Parczowie r. 1564 (choć i tego samego roku był także sejm w Warszawie) mówią następujące niewątpliwe dokumenta. Relacya Komendoniego, zdana Rzymowi o przyjęciu Soboru, datow. d. 7 sierpnia 1564 r. z Parczowa, znajduje się w Rzymie *in codice manuseriptorum bibliothecae Barberianae* nr. 2403. Kopia jej z biblioteki St. Augusta przeszła przez Czackiego do Puław. Tamże znajduje się list Zyg. Augusta pisany do papieża d. 9 sierpnia 1564 r., datowany *in conventione Regni generali Parczoviensi*. Wzmianki o tym sejmie Parczowskim są w *Vol. Legum* II fol. 796 i w aktach Metryki Kor. w księdze X. E. S. 56. 82. i w księdze X. B. S. 399, gdzie niema wprawdzie uchwał, praw, lecz tylko przywileje, uniwersał poborowy i uniwersał króla przeciw kacerzom. Hozyusz wyraźnie w liście wzmiankuje o Parczowie i podaniu tamże Synodu Trydenckiego królowi. Łukasz Górnicki słusznie więc uważa, że był sejm w Parczowie, złożony na dzień św. Jana, że doszedł, lecz, że się mało na nim sprawiło.

Dla ocenienia, jak i czy ustawa Soboru Trydenckiego była przyjęta, nie trzeba spuszczać z uwagi, że za Zygmunta Augusta do stanowienia, a zatem i przyjmowania, praw było potrzebnem zezwolenie senatu i Izby poselskiej. Gratian w życiu Komendoniego opisuje (rozdz. XI), że tenże był wprowadzonym do senatu, że po mowie jego była krótka narada, że Uchański, arcybiskup, przekładał potrzebę bliższego roztrząśnienia podanej ustawy Soboru Trydenckiego, że król, bez zbierania głosów, oświadczył przez podkanclerzego przyjęcie. W relacyi Komendoniego do papieża, w listach Zyg. Augusta, do tegoż i od niego do króla pisanych, niema nigdzie mowy o przyjęciu ustawy w sejmie i przez stany, lecz o podaniu i przyjęciu (odebraniu!) [= otrzymaniu] przez króla w gronie rad, czyli senatu. Hozyusz w liście do Zygmunta Augusta przypomina królowi [o ustawach], że w Parczowie «[w licznem gronie senatorów przez kardynała Komendoniego... Waszej Królewskiej Mości ofiarowane były i W. Kr. M. ...z wielkiem poważaniem do rąk swych je przyjęła]». Stąd też Olszowski, arcybiskup

gnieźniński, z godności i powołania znający rzecz, pisząc poufale do kardynała Altieroego roku 1675, tak się wyraża: «[Sobór Trydencki niema nie wyrażnego przeciw prymasom i urodzonym legatom... Nadto, ponieważ nie zostaje w niewiadomości... czy nie jest nawet niebezpiecznem dopuszczać do roztrząsania: zali król i stany świeckie w Polsce związane są uchwałami reformacyjnemi Soboru Trydenckiego? (skoro nigdzie zgola z akt postanowień publicznych nie wynika, żeby je król wraz ze stanami świeckimi przyjął): pozostawiam to do rozwiązania przezorności samych interesowanych]». Sprawiedliwe także czytamy zdanie w dziele «Histoire de la reception du Concile de Trente dans les differens états catholiques» (Amsterdam 1756, 8°. T. I str. 148): «[Przyjęcie Soboru Trydenckiego w Polsce powinno być uważane raczej za dzieło Zygmunta, niż sejm]».

Nadto, zwykle autentyczne wydanie Soboru Trydenckiego wychodziło z deklaracyami *saecrae Congregationis* i z adnotacyami Dominika Barbosy. Ten do sesji XXIV cap. I mówi w przypisie: «[Zali małżeństwo, potajemnie zawarte bez proboszcza i świadków w miejscach, gdzie nigdy Sobór Trydencki nie był ani ogłoszonym, ani też przyjętym, jak w niektórych dzielnicach Francji i w Polsce, dla ich mieszkańców, dopóki tam mieszkają, jest ważnem?]» — i tu powołuje wielu uczonych, tego zdania będących. Czyż można przypuścić, aby pod powagą samej stolicy Rzymskiej i przy jej ścisłej cenzurze wychodziły dzieła, któreby dopuszczały powątpiewania o tak ważnym przedmiocie?

Zresztą, list Grzegorza XIII, do króla Stefana pisany i w aktach synodalnych («Constitutions» Wężyka, Kraków 1630, str. 405) znajdujący się, nie mówi wcale o recepcji zboru Trydenckiego przez stan świecki, lecz przez stan duchowny, jak przekonywują słowa: «[oddal nam list W. Kr. Mości, a wraz z nim akta Synodu prowincjonalnego] i przyrzeczenie moderacyi przez duchownych żądanej, przez króla Stefana wspieranej: «[żądaniem duchowieństwa, o ile w mocy naszej będzie, uczynimy zadość i pozna W. Kr. Mość, że zalecenia z jej strony bardzo wiele u Nas waży]». Ze sam Stefan Batory względem małżeńskiego swego pożycia i niemieszkania z żoną lub rozvodu

powolywał się w paktach konwentach, nie na ustawy Soboru Trydenckiego, lecz na pismo i słowo Boże, przekonywał *Vol. leg. II, 901.*

Powiadano mi, że w aktach sochaczewskich ma się znajdować protestacja, zanesiona przeciw przyjęciu ustaw Soboru Trydenckiego.

W piśmie księdza Ksawerego Szaniawskiego wystawiono, że Sobór Trydencki *quo ad dogmata et quo ad disciplinam* nie potrzebował przyjęcia, że obowiązywał sam przez się, jako w kraju katolickim. Lecz widzieliśmy, że *quo ad dogmata* kanony *de matrimonio* anatemizujące są opuszczone w autentycznym wydaniu Gembickiego z r. 1630, a które gorliwy Karnkowski w swe prywatywne wydanie zamieścił; *quo ad disciplinam* zaś nie palono przecież u nas z woli Ojca św. ludzi, niby na chwałę Boga, tak jak w Hiszpanii i t. p.

Opracował S. KRZEMINSKI.

XXXVII

RAKOWIECKI IGNACY BENEDYKT

(1788—1889).

Urodził się w r. 1788, nie w 1782, jak podają, w Berdyczowie, gdzie ojciec jego był rytmikiem przy drukarni Karmelitów. Studya prawnicze odbył w uniwersytecie wileńskim, a po ich ukończeniu udał się do Zaboru Pruskiego. Za Księstwa, otrzymawszy notaryat ziemiański w Poznaniu, porzucił go dla posady plenipotenta u Zamoyskich i Potockich. Za Królestwa otrzymał kuratorstwo nad szkołami Woj. Podlaskiego, a pod koniec życia, gdy kuratorstwa już zniesiono, był inspektorem jednej ze szkół obwodowych na Podlasiu. Obok tego jako zawód uprawiał notaryat publiczny w Warszawie. Rozgłosu nabrał, jako słowianofil literacki, filolog i lingwista, związujący język polski ze starosłowiańskim. Wcześniej już wczytywał się w książki o przeszłości Słowian, przeważnie w rosyjskie, korzystał też i z naszych pisarzy dawniejszych, a później i z czeskich. Badań i poszukiwań samodzielnych nie prowadził; poznawał i przyswajał sobie fakty więcej dobrą wiarą swą i domniemaniami niż dochodzeniem i krytycyzmem naukowym. Taką samą, jak on, metodą docierał i Surowiecki do owej Słowiańszczyzny, którą Bandtko J. S. «harankową» nazywał, i rzeczywiście obaj malowali ją jak siankę; Rakowiecki najprzejrzysiej ukazał swoją w rozprawie «O stanie cywilnym dawnych Słowian», wygłoszonej w Tow. Przyj. Nauk dnia 20 maja 1820 r., kiedy wchodził do jego grona jako członek przybrany. Zaszczyt ten wyrobił mu był przekład *Prawdy* ruskiej Jarosława W., zaopatrzonej w objaśnienia i ogólne obrazy zamierzonego życia Słowian i języka, a wzbogacony (T. I) przekładami trzech traktatów, z dołączeniem pieśni czeskich, wówczas podkrywanych, lub za odkryte uważanych. Stosunki Rakowieckiego z Hanką, wrzekomym odkrywcą Rękopisma Królowodworskiego, wielką współczesną sławą, oczarowały Towarzystwo; po sprawozdaniu, złożonem w r. 1822, w następnym już został członkiem

przodkach historya zachowała, łatwo poznajemy ich stan cywilny, zwyczaje, obyczaje, prawa i zasady Paganizmu*), który, acz nie będąc świętą objawioną religią, był atoli duszą ich związku cywilnego, stawiał ich w wysokim stopniu oświaty, ukształcał ich obyczaje, był duchem ich rządu, praw i języka.

Tak starożytni, jako też wielu późniejszych pisarzy z różnych uprzedzeń przypisywać zwykli dawnym Słowianom: dzikość, ciemnotę i niewiadomość; a obok tego, nie mogąc naruszyć istoty rzeczy, przyznają jednoznacznie, iż Słowianie, niegdys i dotąd pod różnemi nazwiskami znani, od czasów niepaniętych prowadzili życie towarzyskie, nie byli, jak inne hordy, narodem koczującym, lecz mieli swe wsie i miasta, w których się znajdowały ozdobne świątynie. Trudnili się rolnictwem, chowem bydła, górnictwem, rzemiosłami i handlem. Byli przemysłni, czynni, ludzcy i nadzwyczajnie gościnni. Lubili spokojność domową, zabawy przyjacielskie, śpiewy i muzykę. Oni, zajmując większą część Europy i Azji, nie znali jednowładztwa, rządzili się gminnie, będąc podzieleni na większe lub mniejsze Rzeczypospolite, rządzone przez Starszych, Starostów, Panów, Żupanów, Gospodarów, Hosudarów, Wojewodów, Bojarów, Kniaziów, Królów, Carów, którzy powszechnie, wolnym głosem na ten stopień wybierani byli. Naczelnicy główni, czyli rządcy, czynności tyczące się dobra powszechnego ułatwiali w zgromadzeniach narodowych, które odbywały się niekiedy na ich dworze, najczęściej zaś w świątyniach umyślnie na to przeznaczonych. Jedne z takowych świątyni nazywano Kontynami od słowa «Kon», «Zakon»; drugie nazywano Gradzinami, Grodami, Horodyszczami, od słowa grodzić, św. zagroda. Takowych Zagród czas zniszczyć nie zdołał; są to lub na wyniosłych górach, lub rozległych równinach, powszechnie przy gajach i przy wodzie ogromne i nader wysoko usypane z ziemi lub kamieni ułożone waly, niejaki kształt okopów lub twierdzy mające. Aleksander Sapięha takowe Gradziny w «Podróżach» swoich po krajach słowiańskich opisał. Zoryan Chodakowski dociekl, iż one co cztery mile zaludnionego miejsca w całej przestrzeni krajów słowiań-

*) Używa się tu wszędzie słowo [tak]: Paganizm, zamiast Paganizm, albowiem to pochodzi od Pagus, nie zaś od «Nagany», «Pogany». Patrz Du Cange «Gloss» (Przyp. Aut.).

skich przy miastach były wystawiane. Tam wszelkie religijne i narodowe zgromadzenia uroczyste pod powagą Starszych i Kaplanów ułatwiała wszelkie czynności publiczne.

Jedne z takowych zgromadzeń nazywano Sniemami, Sjemami, Sejmami od słowa «z-jać», to jest zebrać się, zgromadzić się. Drugie zaś nazywano Wetami, Wiczami, Wiczami, od słowa «Wet», to jest «Prawo, Wiadomość». Stosownie do odległości wspomnianych Kontyn i Grodów czyniony był statystyczny krajów słowiańskich podział, jak oto ślady tego historya i język przodków naszych dochował. Nowogród i territorium do niego należące podzielone było na pięć końców, czyli konów, w których ustanowione były sądy, Konami zwane. Nazwisko Grodu, Grodzstwa, jako też Ziemi i Powiatów z tegoż samego pochodzi źródła.

bacznie rozwój literatury Zachodu. Jako pisarz bez własnej twórczości, położył jednak pewne zasługi, wykładając stylem jasnym i zrozumiałym poglądy nowszej filozofii. Jest on jednym z nielicznych pisarzy, zwracających uwagę na doniosłe znaczenie filozofii Kauta. Najbardziej cenione były przez młodzież jego «Rady przyjacielskie», w których wytknął drogę samodzielnego wykształcenia i wyrobienia się na pisarza. Również godną uwagi jest jego rozprawa «O naturze i przeznaczeniu urzędów w społeczności», pomyślana w duchu nieznanego jeszcze wówczas filozofii Schellinga.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. 1. «Co jest filozofia, niektóre myśli służące mogące do porównania się względem odpowiedzi na to pytanie» (Warszawa 1802). 2. «O znamienitych systemach moralnych starożytności» (Warszawa 1803. Umieszczone przedtem w Roczn. Tow. Przyj. Nauk T. II). 3. «System chrystianizmu krótko wyłożony; pismo służące za dalszy ciąg wykładu systemów moralnych» (Warszawa 1803, oraz Rocznik Tow. Przyj. Nauk T. II). 4. «Rzut oka na dzieje filozofii od czasu jej upadku u Greków i Rzymian, aż do epoki odrodzenia». Przydana rzecz o skeptycach moralnych i o szkodliwym dążeniu filozofii XVIII w.» (Warszawa 1804. Roczn. Tow. Prz. Nauk T. III). 5. «Rady przyjacielskie młodemu czcicielowi nauk filozofii, pragnącemu znaleźć pewniejszą drogę do prawdziwego i wyższego oświecenia» (Warszawa 1805; Lwów 1823). 6. «O naturze i przeznaczeniu urzędów w społeczności» (Warszawa 1808). 7. «Mowa o duchu klasycyzmu i romantycyzmu we względzie filozoficznym» (Warszawa 1822). 8. «Pochwała Cyprjana Godebskiego», czytana na publicznem posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk r. 1809». 9. «Korespondencya w materjach obraz kraju i narodu polskiego rozjaśniających» (Warszawa 1807. Listy Szaniawskiego znajdują się tu obok listów Horodyskiego, Nejmana i kilkudziesięciu innych, nadesłanych do «Gazety Warszawskiej»). W «Pielgrzymie» Ziemięckiej w r. 1842 umieścił Szaniawski «Przygotowane uwagi do filozofii polemicznej w czasopiśmiech polskich», oraz «Prawdy najwyższe, Synteza». On był jednym z tłumaczy Rulhière'a «Historia bezrządu w Polsce» (1808; wyszedł tylko I-szy tom). Prócz tego sam Szaniawski we wstępie do «Rad przyjacielskich» wymienia rękopis, p. t. «Historia pragmatyczna Logiki», który nie był drukowany. Miała też w rękopisie zostać «Historia Legionów». «Pochwała Godebskiego» wydruk. na pocz. wyd. jego pism.

Co to jest filozofia? (1802)

(według pierwszego wydania).

Autor zwraca uwagę, że pismo to wypowiada myśli, które są oddawna przedmiotem badania filozofów niemieckich, a które on podaje rodzajem jako tekst do obszerniejszych wykładów.

Filozofia jest to miłość mądrości. Mądrością jest «posunięcie do najwyższego stopnia ogarnienie właściwych dla człowieka celów, drogi i środków, oraz nateżenie woli, zwyyczajając wszystkie opory... ku udoskonaleniu». Źródło jej nie tkwi ani w zmysłowości (zmysłach), ani w rozsądku i rozeznaniu, lecz w rozumie, który wydobyla szczególności z zasad ogólnych. Pod względem formy filozofia jest podciągnięciem wszystkich części poznawania pod jedną zasadę; pod względem treści składa się w widoku teoretycznym z metafizyki i fizyki, a w widoku praktycznym z prawa i polityki, «w najogólniejszym objęciu (pojęciu) uważanych». Obejmuje także formalną naukę logiki, oraz krytykę spekulacyjnej i praktycznej rozumu.

Po tem następuje:

§ 13.

Zagadnienie względem ostatniej zasady.

235) Str. 23—26. Filozofia owocem jest potrzeby, którą ma rozum, aby w poznawaniu i działaniu naszym wszystko ujednostajniał, wszystko pod pewne najogólniejsze podciągał widoki, wszystko ku główniejszym zwracał zamiarom. Potrzebę tę czuje człowiek tem mocniej, im liczniejszych nabywa wiadomości, których mnogość, wielorakość i różnorodność systematycznego wymaga uporządkowania. Skoro natęży się w człowieku zmysł wewnętrzny; skoro ten niepojęty widz działań i postępów umysłu wyjdzie z owego ciągłego letargu, w którym jest pogrążony u ludzi, trzymających się ściśle w obrębie pospolitego rozsądku; skoro do bacniejszego nazwyczajonym zostanie czuwania; naówczas duch filozoficzny zaczyna przewodniczyć nabytkom umysłowym, nie przestaje już na żadnem trafunkowem gromadzeniu, na żadnej upstrzonej łataninie wiadomości; wszędzie wzajemnych śledzi stosunków, aby wiedział, co i ku którym zwracać ma celom; w każdym rzędzie skutków bada spójnej przyczyny, w każdym szeregu prawd i twierdzeń szuka spójnego pewności ich źródła. Każdy oddział wiadomości układa się tam w porządne genealogiczne drzewo; widać, skąd każda wychodzi cząstka, na czem się trzyma, dlaczego egzystuje, jakie ma wzajemne stosunki względem pobliskich części i względem całości, oraz gdzie jest spójne wszystkim źródło życiodajnych soków. Wprawiony takowem porządkowaniem, wprowadzonym co do każdego rodzaju wiadomości, nie ustaje odtąd człowiek w zaciekłym ku owej rozumowej

jedności dążeniu. Oddzielne poznać układy uważa, jak pojedyncze ogniwa, i usiłuje spoić wszystkie w jeden porządną łańcuch. Ale im lepiej ta udaje mu się robota, tem bardziej oddala się od niego stanowisko odпочzynku. Cały ów łańcuch jest wówczas znikomem tylko dla niego zjawiskiem, póki nie znajdzie węglanej opoki, do którejby początkowe przykuć zdołał ogniwo. Owa zadziwiająca koordynacja ustaw, skutków i przyczyn wszędzie dręczące przedstawia mu zagadnienia, póki w źródłowej wszystkiego przyczynie nie znajdzie pierwotnego punktu, od którego całe zaczyna się rozgałęziowanie i który tem samem wszystko wyjaśnia, a na miejsce pozorów i znikomości uspokajająco stawia rzeczywistość i trwałość. Wszelkie pojedyncze prawdy, na których ta lub owa opiera się umiejętność, dają mu tymczasowo tylko ubezpieczenie; wszędzie on warunkową tylko pewność i zawisły byt upatruje: dlatego wtenczas dopiero zupełną znajdzie spokojność, kiedy przez odkrycie ostatniej i bezwarunkowej wszelkiego bytu oraz wszech prawd i poznać zasady nada ogółowi ich związek rzeczywisty i wiecznotrwały, właściwym dla siebie celem niemyślnie zjedna oznaczenie, widokom swym i nadziejom dotykalszą niezawodność. Dzieje postępów umysłowych przyswajających na każdej karcie to, co dopiero powiedziałem i co jawnie dowodzi, że, im dalej kto posuwa prawdziwie w filozofii nabytki, tem żywiej czuć zaczyna potrzebę śledzenia owej ostatniej wszelkiego poznania zasady. Cała metafizyka dowodem jest dręczących wymagań rozumu, który zawsze posuwać się pragnie za granice własnych zdolności: w składzie ciał bada pierwotnego ich związku; w bezmierności przestrzeni śledzi ostatnich jej zakreśłów; w następstwie czasów szuka chwil, toż następstwo ograniczających; od uwagi nad samowolnymi działaniami zapuszcza się w zgłębienie przyrodzenia działającej istoty; ogrom zjawisk i skutków oraz tajemnicę wszelkiego bytu wyjaśnić usiłuje przez odkrycie bezwarunkowego bytu źródłowej istoty, na której kończą się owe bezliczne warunków i pochodzeń szeregi.

Odkrycie tej zasady — mówi dalej autor — zabezpiecza rozwój dalszy filozofii; przebiega więc w kilku słowach dzieje myśli, jej szukającej wskazuje dzieło Kanta, dającego „niezwrotny popęd ku gruntownym śledzeniom, od których zawisło uszczęśliwienie rozumu i serca uspokojenie”.

owego śledzi out dorytan (oszczędność w ten dochodzący w dla słabego zmysłu (także) § 15. śledzić sposobnie)

236) Str. 30—32. Ubezpieczenie tej ostatniej zasady zostanie podobno upokarzającym na zawsze zagadnieniem, którego rozwiązaniu ograniczenie własnych naszych zdolności nieprzebytą zastawia tamę. I pod tym więc względem filozofia, uważana jako systematyczna całość, architektonicznie uczłonkowana, a na jednym widocznie obwarowanym oparta węgle, ukazuje nam się znowu (§ 8), jak niedosięgle *Ideale*, do którego zbliżyć się tylko coraz więcej możemy. Ciągłe ku niemu dążenie rzeczywistą jest potrzebą rozumu, który w samym jego tworzeniu zadziwiająca ukazuje wyższość. *Ideale* to musi być niedosięgłem, by postępujący ku niemu umysł w ustawnem trzymało natężeniu; aby, posuwając przed nim coraz dalej ów kres szlachetnego ku udoskonaleniu zawodu, otwarło mu coraz rozleglejszą przestrzeń umysłowych nabytków. Przez usilne, porządne i nieprzerwane takową drogą postępy uzupełniemy [tak] filozofię, jako umiejętność, symetrycznie w swoich związanych częściach: takowa wystarcza do szczęścia i udoskonalenia naszego, chociaż nie czyni zadosyć wszystkim wymaganiom rozumu. Zaczyna ona od jednego punktu porządne części rozgałęziowanie, chociaż nie zdoła obwarować punktu tego przez jasne, umiejętnie i niezawodne jego objęcie. Wszelki byt jest tyle tylko rzeczywistym względem nas bytem, ile się o nim przez władzę poznawania przeświadczamy: w nas więc samych jedynie znajduje się ostatnia problemnia bytu i prawdy; niepodobna nam jest posunąć się za obręb subiektywnej niezawodności. Tam upatrywać należy punktu pierwotnego, od którego zaczynać się ma wywód prawd, wiążących poznania, składające całość filozofii. W widoku praktycznym mamy wszystko, czego nam do uzupełnienia tej budowy potrzeba; sama tylko przewrotna chęć może dyalektyczne wykretarstwa przenosić z pośród szkoły na rzeczywisty teatr działania w społeczeństwie. Ten praktyczny kierunek poprowadzi nas niezawodnie ku właściwemu dla rodu ludzkiego celowi; znajdziemy nawet wszelką na tej drodze pomoc do udoskonalenia naszego w teorycznym [tak] względzie. Ale trzeba, by duch filozofii ożywił zawsze wszelkie nasze postępy: inaczej ani

w poznaniach, ani w działaniach naszych nie będzie owego
ujednostniającego dążenia, które każdej rzeczy nadaje siłę,
związek i doskonałość.

„Minęłyśmy epoki fantazji, zmysłowości — mówi w ostatnim § 16
autor — świata zorza rozsząka, a głos geniusza zwiastuje dobę prawdzi-
wego świata. Do czcicieli filozofii należy zbliżyć ją. We śnie tylko żyjemy,
dopóki postępy filozofii nie obdadzą nas zmysłu wewnętrznego, nie ukazą
człeczności wielu nauk, nie otworzą widoku bezgranicznego doskonalenia.

XXXIX.

JAROŃSKI FELIKS

(1777—1827).

Należał, wraz z J. K. Szaniawskim, do rzędu pierwszych upra-
wiciarzy filozofii Kanta u nas. Wykształcenie wyższe otrzymał w Akademii
krakowskiej. Był proboszczem kościoła Wszystkich Świętych w Krakowie.
Po przyłączeniu Krakowa do Królestwa Warszawskiego w r. 1809 został
profesorem filozofii w Uniwersytecie krakowskim, gdzie wykładał do
r. 1818. W roku następnym objął katedrę profesora teologii w semi-
narium w Kielcach.

Pierwszym piśmem drukowanym Jarońskiego jest «Kazanie na
dzień Niepokal. Począ. N. Maryi Panny, miane w kościele katedry
lwowskiej» (1800). We dwa lata potem (6 czerwca 1802) wygłosił
w Krakowie «Kazanie teologa Polaka do filozofów», w którym zalecał
łączenie dogmatów religii objawionej z wynikami badań filozoficznych.
W r. 1810 miał «Mowę na dzień obchodu warszawskiego», — a w d. 15 paźd.
tegoż roku czytał na publicznem posiedzeniu Akademii krakowskiej
obszerną rozprawę, p. t. «Jakiej filozofii Polacy potrzebują?» (Kraków
1810). We dwa lata potem Jaroński wydał dzieło swe: «O filozofii»
(Kraków 1812), które oparł w znacznej części na dziele kantysty
G. E. Wentzela «Elementa philosophiae methodo critica adornata»
(1807). Składa się ono z trzech części: I. «Wiadomości o filozofii
w powszechności. II. «Logika» i III. «Przypisy i objaśnienia do lo-
giki». (Rozbiór tego dzieła przez Dowgirda w «Dzienniku Wileńskim»
1817). W piśmach swych filozoficznych Jaroński największy nacisk
kładał na stronę etyczną. Chociaż zwolennik Kanta, był jako filozof
eklektykiem. Z późniejszych piśm Jarońskiego zaznaczyć należy rozprawę
«De Michaele Vratislaviensi» (w «Miscellanea Cracoviensia» 1814).

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. O Jarońskim piisał: Krupniński
w «Dodatku» do «Historii filozofii» Schweglera (Warszawa 1865,

str. 391—393); Struve w „Wykładzie systematycznym logiki” (Warszawa 1870, str. 201—204); Chmielowski w „W. Encyklop. Powsz.” T. XXXII.

Jakiej filozofii Polacy potrzebują?

(Kraków 1810).

Po krótkiej przedmowie o uczczeniu dnia tego wykładem o filozofii autor przypomina stan filozofii w dawnej Akademii krakowskiej, sławnych mężów, których na ten polu wydała. Komisya Edukacyjna w r. 1781 zniosła katedrę logiki i metafizyki, a zachowała tylko filozofię moralną, pod nazwą prawa natury, politycznego i narodów. Było to skutkiem zniechęcenia do scholastycznego kierunku metafizyki, a po części i przeniesienia logiki do szkół wydziałowych. Po r. 1795 rząd austriacki utworzył w Akademii katedrę logiki i filozofii spekulacyjnej, a jednocześnie postanowił, że każdy przystępujący do nauk wyższych, medycyny, teologii lub prawa, musi posiadać dostateczne wiadomości z filozofii. Podajemy poniżej jeden z najcharakterystyczniejszych urrywków: o ostatnich granicach rozumu, oraz o zadaniach i podziale filozofii.

237) Str. 28—34. Co się zaś tyczy ostatnich granic rozumu ludzkiego, każdy zna, że powinnością jest rozumu robić pojęcia, czyli dostarczać wiadomości.

Wiadomości, czyli pojęcia, użyteczne są człowiekowi wtenczas tylko, kiedy są zastosowane; więc filozofia swe wiadomości zastosować powinna do pewnych i oznaczonych granic rozumu, i to do granic ostatnich: bo filozofować nie przestaje filozof, poki wszystkich granic filozofii nie przejdzie; te zaś granice muszą być dla rozumu ostatnie. A któreż one są? oto:

1. Niech człowiek to tylko chce wiedzieć, co objęcia ludzkiego nie przechodzi.

2. Niech człowiek to, co umie, zastosowywa do większego siebie doskonalenia, to jest do zrządzenia sobie większej moralności i szczęścia.

Otóż to, co nazywają *Maxima suprema hominis*, tak można powiedzieć: «Człowiecze, usiłuj poznać to, co rozum twój poznać może, i stosuj to, co poznałeś, do tego zamiaru, abyś moralnie dobrym, a przez to szczęścia godnym stał się».

Czem jestem? co mogę wiedzieć? czego się mam spodziewać? co mi czynić wypada? oto są pytania, na które filozofia każdemu odpowiedzieć powinna.

Nie obrażając więc prawdy, a dogadzając wielkiej liczbie

współrodaków naszych, możemy taką definicyę filozofii dla Polaków uczynić: «Filozofia, czyli umiejętność wstępna, jest wykład porządną wspólnych wszystkim umiejętnościom wiadomości, jakich tylko rozum ludzki dojść może, pozbiieranych, dla czynienia człowieka lepszym i szczęśliwszym».

Z tej definicyi każdy widzi, że dwojako zamiar filozofii wypada podzielić: chce bowiem

a) rozum ludzki czynić zdolnym do czerpania w samym sobie wiadomości i prawdy;

b) wolę naszą i sprawy nasze wolne do moralnej doskonałości doprowadzać, to jest: filozofia usiłuje zwiększać zdolność umysłu i moralną dobroć człowieka.

Ile ma zamiar uiszczać pierwsze usiłowanie, to jest: ile pracuje nad udoskonaleniem człowieka, jako pojmującego i używającego swego rozumu, jest teoretyczną; gdzie zaś zatrudnia się udoskonaleniem woli i moralnej dobroci człowieka, tam się zowie praktyczną.

Mówiąc jednak, że filozofia podziela się na doskonalącą rozum, czyli teoretyczną, i doskonalącą wolę, czyli praktyczną, nie twierdzimy, że dwie są filozofie, lub że ich więcej nad jedną być może. Jeden tylko umysł, jeden rozum, więc i filozofia jedna tylko może bytować. Lecz użycie rozumu jest dwojakie: jedno gdy poznajemy tylko i myślimy, drugie gdy wolę naszą działaniem wyjawiamy. To ostatnie praktycznem, tamto teoretycznem nazywamy. Pierwsze umiejętności pojmujące, drugie moralne urodziło.

Otóż widzimy, że pod dwojakim względem uważać filozofię musimy. Otóż doszliśmy już myśli tych, co ją na spekulatywę [tak] i moralną rozdzielili.

Na pytania: czem jestem, co mogę wiedzieć, czego się mam spodziewać? — odpowiada filozofia teoretyczna.

Na pytanie: co mi czynić wypada? — odpowiada filozofia moralna. Filozofia teoretyczna te w sobie zawiera nauki, które bezpośrednio umysł ludzki mają za przedmiot, które wglądają w prawidła myślenia i poznawania, które wykladają władze i siły, człowiekowi od przyrodzenia dane.

Do niej należy: a) logika, b) metafizyka natury, c) historia filozoficznych systematów.

Filozofii praktycznej przedmiotem jest czynienie woli lepszą, szlachetniejszą, użyteczniejszą; do niej więc należą nauki: a) metafizyka obyczajów, b) prawo filozoficzne, czyli natury, c) wprawa roztropności.

Innemu czasowi, innemu [tak] okolicznościom zostawione być musi wykazywanie, w jakim najlepszym układzie, w jaki sposób każda z tych nauk byłaby napisaną i uczoną powinna. Są to przedmioty, mające zatrudniać gorliwych o użyteczność kraju swego i uczonych rodaków. Ja w tych momentach najdogodniej obecną tutejszą zajmę się potrzebą, gdy okaże, że te nauki koniecznie w naszym narodzie ojczystą[m]ową dawane być powinny.

XL.

SIARCZYŃSKI FRANCISZEK

(1758—1829).

Wyszedł z rodu oddawna osiadłego w wojew. Ruskim; ur. d. 12 paźd. 1758 r. w Hruszowicach (nie Chruszowice) w ziemi Przemyskiej, w dzisiejszym pow. Jarosławskim, jako syn Ludwika Siarczyńskiego, podczaszego nowogrodzkiego i szambelana St. Augusta. Bratem jego starszym jest Antoni, sekretarz Wielkiego Sejmu w zdwojonym składzie. W dzieciństwie uczył się Franciszek w Jarosławiu. W 15-m roku życia złożył śluby religijne, przywdział sukienkę pijarską i wszedł do nowicyatu podolinieckiego; po dwu latach został zakonnikiem. Dokończył nauk w Rzeszowie i Międzyzrzeczu Koreckim i, obyczajem zgromadzenia Szkół Pobożnych, odrazu nauczał klasy niższe. Po odbyciu teologii w Krakowie, w r. 1781, otrzymał dnia 5 kwietnia 1783 r. od Kaspra Cieciszowskiego w Warszawie święcienia kapłańskie. Już w r. 1782 wykładał w Collegium Nobilium geografii i historję i wykłady te przez trzy lata prowadził. W r. 1785 zwierzchność przeniosła go do Radomia na nauczyciela wymowy, ale już po roku zabrała napowrót do stolicy na stanowisko kaznodzieli (*concionator*) w głównej świątyni pijarskiej; jednocześnie miał nauczać wymowy w kolegium. Dał się być już wtedy poznać z działalności piśmienniczej; korzystano z jego przekładów książek geograficznych i historycznych, a polemika ze współ-pijarem, Michałem Dym. Krajewskim, o „Podolanek”, napiętnowaną przez Siarczyńskiego w „Liście Paryżanki” jako plagiat, nadała mu nawet rozgłos. Musiał być też mówcą nieostatnim, jeżeli w czasach, kiedy Książnin, Piranowicz i Koblański byli umysłowymi przewodnikami młodzieży w Puławach, sprowadzano go tam umyślnie na niektóre święta i niedziele, aby się słowem bożem z ust jego pożywić. Król zaprosił go do siebie, wprowadził w świat obiadów czwartkowych, a pochopy do otaczania się

Opracował WL. M. KOZŁOWSKI.

sekretarzami, zaczął go używać do robót głową i piórem. Wkrótce, przekonawszy się o jego pracowitości, pilności, porządku i spornym za siebie wiadomości, skorzystał z pociągu jego do historii i zlecił mu opracowanie wyczerpującego referatu w tej samej sprawie, w której widzieliśmy Czackiego wysłanego aż do Mołdawii: w sprawie soli, za którą kompania praska w Wieliczce niemilosiernie obdzierała Rzplitą, Siarczyński opracował memoriał, noszący charakter przeważnie praktyczny, z taką starannością, że król nagroził go medalem *meritibus*, a zachęcony dobrym początkiem, zajął młodego zakonnika poważnie praktycznym w metryce koronnej i w archiwum zamkiem wszelkich umów z obcimi mocarstwami, od wstąpienia swego na tron zawartych: w dobie palących jeszcze układów z Prusami o traktat handlowy i traktat polityczny (1789—90) zbiór taki miał ułatwić dyplomacji polskiej niełatwe rokowania z Lucchesinim i Goltzem. I z tego nowego zadania wywiązał się Siarczyński dobrze: miał już za sobą pracę podobną, choć nie tożsamą, kiedy wydawał trzy tomy pijarskiego zbiora traktatów (1790). Podczas Wielkiego Sejmu okazał się królowi z inną jeszcze strony użytecznym: posiadał wprawę w szybkie, skrócone pisanie, jakby stenograficzne; korzystał z niej St. August, kiedy miał Siarczyńskiego pod ręką, posyłał go na ważniejsze posiedzenia i kazał mu spisywać mowy przedstawiające szczególną wagę. Takim sposobem znalazł się użytecznym człowiek w sali sejmowej dnia 3 maja 1791 r. i mógł dać od siebie dotychczas najlepszy, źródłowy opis pamiętnej chwili dziejowej, uzupełniony jeszcze opowiadaniem o dniu 5 maja. Podobno nawet król zlecił mu opracowanie historii konstytucji od pierwszych początków; ale zamiar ten, jeśli był, nie urzeczywistnił się.

Już wtedy Siarczyński nie nosił sukni pijarskiej. W r. 1789 wysłany przez Prowincję Polską na kapitałę generalną do Rzymu, wyrobił sobie u Piusa VI zwolnienie ze ślubów zakonnych, a zaledwie wrócił, król dał mu sate probostwo w swej ekonomii kozienickiej. Biskup poznański, Okęcki, dorucił od siebie kanonję warszawską, a Krasicki warmińską. Nie zaudybował się na nowem stanowisku Siarczyński: był pasterzem rzetelnym, troszczył się o lud, nie pozwalał go wyżytkować, złożył dla niego szkołę parafialną i szpital. Po r. 1794 fundacye te zniszczały, a w samym tym roku probostwo wraz z całemi Kozienicami poniosło wielkie straty podczas tąpnięcia odwrótu gen. rosyjskiego Nowitskiego po dniach kwietniowych z pod Warszawy. Wkrótce potem zawitał Siarczyński do stolicy, a po ustanowieniu Rady Najwyższej (d. 28 maja) zupełnie się do niej przeniósł, aby z polecenia władzy rządzącej powstaniem redagować «Gazetę Rządową» (od 1 lipca) wspólnie z Dmochowskim.

Po upadku powstania proboszcz kozienicki dolegliwie odczuwał ówczesny nacisk cudzoziemski w świętym zaborze austriackim; to też, korzystając ze stosunków, wyrobił sobie bez trudu, przy dobrej woli Elżbiety Lubomirskiej, inne probostwo, już w Galicyi, w Łańcucie

(9 września 1799 r.). Tu zastał go już ostatni rok XVIII stulecia; ale świetne i buczne życie dworskie, chociaż różniło się od gospodarki Austryaków w Nowej Galicyi, tak samo przecież spokojnie pracować nie pozwalało. Chciał się więc jak najprędzej wyrwać z Łańcucia; udało się mu to jednak dopiero w r. 1804: otrzymał probostwo kolegiackie w Jarosławiu Czartoryjskich. Tu, mając pod bokiem Sieniawę, był często i pracował w tamtejszym księgozbiore i archiwum, podejmowany szczerze przez księcia-generała i nawzajem dochowujący mu życzliwości. Blisze też stosunki łączyły go z biskupem przemyskim, Antonim Golaszewskim. Obu ich odprowadził do grobu.

Przez 22 lata pobytu w Jarosławiu Siarczyński gromadził z wielką pilnością wiadomości historyczne o Polsce, śladami Łojki i Wyrwicza poszukiwał faktów z geografii i statystyki, przyczem oddawał się głównie epoce Zygmunta III. Większy zbieracz niż badacz, ale odczytany, orientujący się należycie w przeszłości i w źródłach wiedzy o niej, zdolny prztem własnym ją unysłem wyrozumiwać, a nade wszystko miłujący papier archiwalny i książkę — zyskał sobie takie imię, że po skonie Osolińskiego ks. Henryk Lubomirski wezwał go na dyrektora zbiorów przywiezionych z Wiednia (1827). Siarczyński wezwanie przyjął, przeprowadził się do Lwowa i czynność swą rozpoczął od doglądania budowy przyszłego Osolineum. Odrazu podjął wydawnictwo organu instytutu («Czasopism»). Na tem samem miejscu, na którym został zwalony na kupę zabytki przeszłości, zaczął je porządkować, przeglądając, czytać i wyciągami z nich pomnażać swe pliki, teki i koperty. Wydobywając nowe rękopisy do druku, z dawniejszych zasobów własnych wydrukował, teraz dopiero, dwutomowy słownik z czasów Zygmunta III. Za całą działalność dotychczasową Towarz. Naukowe krakowskie zamianowało go swym członkiem (1828); pryncipalem nauk przybranych był już od pierwszych lat istnienia towarz. warszawskiego. Spotkał go też i zaszczyt pseudo-polityczny: po otrzymaniu kanonii w Przemysłu został z wyboru duchowieństwem miejscowego deputatem na sławetne Stany Galicyjskie.

Przejęty ciężką do przeszłości ojczyźnej i zajęty ogłaszaniem wydobywanych o niej świadectw, marzący o wielkim słowniku wszystkich znakomitszych i wyższych ludzi w narodzie od początku jego historycznego życia, przywiązujący się coraz mocniej do «Czasopisma», pragnący Zakład postawić na stopie rzeczywistej oficyjny światła dla tych, którzy go szukają — pelen jeszcze wiary w swe naukowe jutro — nagle zmarł dnia 7 listopada 1829 r.

Praca jego życia, choć nie naukowa, była jednak i jest do dziś dnia użyteczna, o ile się z niej korzysta krytycznie: niebezpieczny dla terminatorów, późnym jest dla majstrów historycznego rzemiosła. «Czasopism», który złożył, umiał utrzymać na wyżynie przywitoj, a z własnej pracy w ciągu dwu lat dostarczył mu przeszło dwadzieścia opracowań. Nie umieli myśli twórczej uszanować bezpośredni następcy, a w r. 1834 rząd austriacki, zamykając sam zakład, pasma istnienia

jego organu piśmienniczego przeciał. Dopiero Adam Klodziński wzkrzesił wydawnictwo Siarczyńskiego w «Bibliotece», równie jak ono poważną.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE. I. Pisma Siarczyńskiego drukowane:

- A) Geografia: 1) «Geografia czyli opisanie naturalne, historyczne i polityczne krajów i narodów we czterech częściach świata... z dołącz. geografią astron.» (Warszawa 1790—4, 3 t. 8^o min. T. IV, o Polsce, i 2 końcówce nie wyszły. O zaborach pierwszego i drugiego rozbiuru T. II str. 540, III str. 684). 2) «Wiadomość historyczna i statystyczna o mieście Jarosławiu» (Lwów 1826; XIV, 144 str. 8^o). 3) «Opis pow. Radomskiego» (Warszawa 1847; wyd. Lipiński T.; wzmianka biograficzna). 4) «Słownik hist.-statyst.-geogr. Galicji» (T. I; Lwów 1855, dod. do «Gaz. Lwowskiej»; dalsze tomy nie wyszły). 5) «Galicja, jej ziemia, plody i ludy» (tamże 1857). — Przekład: «Dykcyonarz geograficzny, po ang. napis. przez p. Echarda, po franc. przez K. Vosgien, z 8-jej ed. franc. z umieszczeniem wielu miast i prowincji polskich» (Warszawa 1782, 3 t.). — B) Historia: 6) «Traktaty między mocarstwami europejskimi od r. 1648 zaszele» (T. IV—VI; Warszawa 1790). 7) «Dzień Trzeci Maja 1791 r.» (Warszawa 1791; 1 knlb. przedmowa, str. 1—260, 16^o; wyd. bezimiennie; jest tu i d. 5 Maja; wkońcu błogosławieństwo Piusa VI dla Rzpłitej z d. 8 czerwca 1791 r.). 8) «Trakt. konwenc., handlowe i graniczne, wszelkie publ. umowy między Polską i obcemi państwami od r. 1764 do 1791.» (tamże 1793, 3 t.). 9) «Obraz wieku panow. Zyg. III, czyli obraz stanu narodu i kraju, wystawiający obyczaje, nauki, prawa i prawodawstwo, swobody szlachty, obieralność królów, swawolę możnowładców, czyny duchowieństwa, stan wojska, handlu, rolnictwa, rzemiosł; pobory, monety; ludzi znamienitych w obywatelstwie i rycerstwie, w naukach i sztukach; związki z państwami obcemi; przynioły i dzieje caobiste króla i jego rodziny: zgola wszystko, co do dokładnego obrazu wieku tego należy» (2 t.: I: Poznań 1843; XI, 337 str., 8^o; II: tamże 1858; 404 str., 1 knlb. spis. 8^o maj. Przed T. I. życiorys, wykaz druków, rzeczy w «Czasopiśmie» 1828—9 i rękopisów w Ossol. Wyjątek z T. II p. t. «Wojsko polskie za Zyg. III w «Oręd. nauk.» 1843, nr. 36—8). 11) «Czasopism naukowy księgozbioru publicznego imienia Ossolińskich» (Lwów 1828—9; 8 zeszytów). — Przekład: Raynal «Historya polit. rewol. ameryk.» (Warsz. 1783). — C) Różne: 12) «Uwaga na kosztą pogrzebowe w Wiedniu» (Wrocław [Kraków] 1781, 20 str., 8^o. Por. w T. I «Stu lat. W-ybki, część I; Bibliografia»). 13) «Sztuka ogrodnicza...» (Kraków 1780, wyd. 4-e Luck 1803, 5-e Kraków 1819; ob. Estr. «Bibl. XIX w.»). 14) «List Paryżanki do Podolanki, czyli oryginał do kopii» (b. m. i r. drk. [Warszawa 1784]; knlb. 7, 8^o min.; wyd. 2-e b. m. i r.). 15) Rozbiór rozpraw Trzczińskiego, prof. Akad. krakowskiej («Zakus nad zaciekami Wazehnicy Krakowskiej» Dmochowskiego; Warszawa

1788). 16) «Krótka fizyczna i historyczna wiadomość o soli» (Warsz. 1788). 17) «Pochwała Stan. Szez. Potockiego» (Warszawa 1789, drk. pij.; 43 str., 16^o; rzadka). 18) «Mowa żałobna na śmierć J. O. ks. Adama Kaz... Czartoryskiego... przy wyprowadzeniu zwłok jego... dnia 25 marca 1823 r. w Sieniawie» (Lwów 1823; 16 str., 12^o). 19) «Kazanie pogrzebowe na śmierć Golaszewskiego... d. 30 kwietnia 1824 r. miano» (tamże 1824). 20) «Nowy kalendarz czyli Świątnik lwowski... r. 1829» (Lwów; 12^o; 21) Rozprawki, recenzje, wiadomości w «Pazczole»; «Rozmait.», dod. «Gaz. Lwow.»; «Pamiętn.», 22) «Krótki katechizm». 23) «Kazania, wyd. z pozostałych rękopisów» (Lwów 1832). — Przekłady: «Zgodność i różność wódzochodnim i zachodnim Kościołem rzymsko-katolickim. Dzieło Józefa Hermanna Schmitta, kapelana w Lohr przy (!) Aschaffenburgu, po niemiecku napisane, a przez Fryd. Schlegela wydane, przełoż. i przekształcone po polsku... z różnemi ważnemi jego dodatkami i wydawcy» (Warszawa 1831; 533, XXIX str., 8^o; wydawca Błażej Gutkowski, którego Estreicher błędnie uważa za biskupa podlaskiego Marcelego Gutkowskiego). «Listy moralne» (z niem. przekł. oryg. angielskiego; Kraków 1788, Grebli; wyd. 4-e, tamże 1808, 2 t. 8^o).

Nr. 6—8, 12—17, jakoteż przekłady: «Dykcyonarz geogr.», «Hist. polit. rewol. amer.» i «Listy moralne» za życia autora wycho-
dziły bezimiennie.

II. Rękopisy. Oprócz wydanych pod nr. 3—5, 10 i 23 Siarczyński pozostawił bardzo wiele zasobów i rzeczy opracowanych — wszystkie w Ossolineum («Katalog Kętrzyńskiego T. II i III). W «Czasopiśmie» na r. 1830 wymieniono z większych: «Słown. hist.-statyst.-geogr. król. Galicji» T. II i III; «Dzieje narodu i kraju Rusi Czerwonej»; «Obraz wieku panowania» (nr. 9, słownik) urosły do 6 tomów; Zasoby do słownika znakomitych Polaków wszystkich wieków; 28 rozpraw i wiadomości, przgot. do druku, m. in. «O cenzurze duchownej», «O inkwizycji», «Swobody i wole», «Klasztor bazylikański w Galicji», «Ordynacya Ostrogska», «Sławianie, nie Słowianie»; «Biskupstwo bakońskie wołoskie». Przeorne korzystanie dostarczało dotychczas pisarzom historycznym, np. Szajnosze, wielu wiadomości i wskazówek.

Jedyną rzetelną wiadomością o Siarczyńskim jest krótki życiorys w «Czasopiśmie księgozbioru im. Ossolińskich» na r. 1830, zeszyt I.

«Obraz wieku panowania Zygmunta III»

(wyd. pośm. T. I r. 1843; T. II r. 1858).

Niezwykłe obszerny tytuł wyraża jak najdokładniej zawartość (Bibliogr. nr. 10). Dzieło ogarnia całe życie polityczne, narodowe i społeczne; ukazuje lub usiłuje ukazać czytelnikowi nie tylko rząd i państwo, ale oświatę, kulturę, przemysł, handel, obyczaje, zwyczaje, sposób życia —

wszystkie funkcje zbiorowego jestestwa. Nie jest to historia, bo niema tu ciągłego a przewijającego się ruchu; jest raczej opisanie stanu z 45-u lat w jedną jakby chwilę ścisłą. Na wielką, zbyt wielką formę zamalo było materyi i faktach, nie w wiadomościach, zamalo też zespalającej je siły w samym autorze. W założeniu swoim nie kusił się on o dzieło pragmatyczne; chciał napisać tylko dokładne, ale kanonu tego nie wszędzie dotrzymał. Wszelako miłośce prawdy w drodze mu przewodniczy: choć sam książę, surowo sądził dechowieństwo; choć monarchista, wywyższający Zygmunta III, błędy polityki ostro mu wytyka; tylko tam, gdzie mówi o różnowerstwie, a pod historyką wydobywa się książę z mgłą na oczach. Pantującą ideą w dziele jest znarnowanie wielkiej chwili dziejowej: stąd gniew, stąd namiętny tak opowiadania. Możliwoładztwo spotyka w autorze nieublaganego sędzie, ale z jego wyroków gminowładztwu nie dostaje się żadna okoliczność łagodząca — i na obie te żywiołowe moce spada jednako potępienie: winną jest i poraszana przez wichry fala. Szczególną nienawiść odczuwa Siarczyński do rokossa; w umysłach szlachty widzi go nieprzerwanie i w czasach wojnych od wojny domowej. Zajmujący, rzadko gdzie spotykany, jest rozbiór polityki zagranicznej (T. II, str. 298—360). Zestawiony ze słodkim Niemcewiczem, Siarczyński wydaje się dla przeszłości okrutnym.

Z rozdziału V: Wolna obieralność króla, swobody szlachty, przewaga możnowładzców.

238) T. I, str. 249—51. Nie był wybór Zygmunta III ani porządnym i podobno ani prawnym. Czyliż nie zajmowały wojska orężne miejsca narodowego zjazdu? Nie byłyż warowne obozy, lud do boju gotowy? Nie dowodziłyż przekupstwa rozproszone po rękach szlachty austriackie talary? Jakiż poczwarny rząd w bezkrólewiu losom narodu władał? Pilna zarządzenia potrzeba wymagała ustawy. Sejm r. 1588 zamysł swój o tem do dalszego czasu odłożył. Znowu 1589 r. rzecz na stół przyszła. Z różnemi zdaniem sejmujący słyszeć się dali. Ci, co w tej mierze rej wiedli, byli prymas Karnkowski i kanclerz Zamojski. Prymas kładł za najpierwszy warunek, aby król wiarę tylko rzymsko-katolicką wyznawał. Zamojski utrzymywał, że dosyć było wyrazić, aby był katolik. Okrzyknął go, jako podejrzanego, Karnkowski i zbił zastrzeżenie, które kanclerz umieszczone mieć żądał, aby książęta austriaccy od korony polskiej uchwały sejmu za wyłączonych uznani zostali. Spory stron rzecz tak zbawienną znowu w odłokę puścili. Zamojski jednak swego na sejmie następnym dopiął.

Chęć prześladowania króla, połączona ze zbytkiem troskli-

wości o zachowanie narodowi zupełnie wolnego wyboru, z podejrzeń samych, niepewnych powieści plotki na Zygmunta roznosiła, wmawiała obawę o stratę wolności, potrzebę zabezpieczenia ich przez nowe sejmu uchwały tworzyła. Takowa roku 1593 w tym sposobie stanęła: «Acz swobody Narodu Polskiego niewątpliwie są i wszemu światu jawne, jednak podług ustawy na wyborze Henryka zapadłej, każą stany, że król ani następcę mianować, ani oń się starać, ani nikomu ustępować mocen nie jest, pod nieważnością czynności całej; pod karą, koby się tego ważył lub do tego pomagał, jako na zdrajcę Ojczyzny». Dodała zaś: «które prawo wiecznymi czasy ma być świątobliwie zachowane i, koby je w wątpliwie przywoził, ma być mian i karan, jako zdrajca». Jakby na tem zabezpieczeniu nie dosyć było, nie przestano tworzyć narodu, siejąc plonne wieści, iż Zygmunto o ustąpieniu tronu polskiego zamyśla, iż znowy takowej z domem Rakuskim pewne dowody odkryto... Nie będą powtarzał, co w tej mierze obszerne dzieje nam Zygmunto podały. Tu do mej rzeczy należy, że znowu r. 1607 rokoss Zebrazydowski wymógł na królu to uroczyste oświadczenie, że, jak dotąd naród Polski miał zawsze wolną obieralność królów, tak ją i teraz ma i mieć powinien.

Nikt tak na własną zgubę się nie usadził, nikt do niej tak nagle i pilno nie dążył, nikt się właściwiej mniemanem szczęściem nie zgubił. Ocalając szlachta tą ustawą tyle cenioną wolność wyboru, podała na szwank powagę i władzę króla, kiedy warunek, uwalniający naród od posłuszeństwa królowi, gdyby zaręczone przyrzeczenie zламаł, tak wątpliwymi okryślono [tak] wyrazami, iż się stał niezrozumiały [tak] i domysłem podległy. Smutny to był widok i razem oburzający, kiedy król do potrzeby usprawiedliwienia się przeciw zuchwalcom, budującym na podejrzeniach zarzuty swoje, przeciw możnowładcom, chodzącym w zapasy z władzą tronu, przeciw rokossanom, podnoszącym brzoń buntowniczą na panującego, przywiedzionym został.

Na zjeździe sejmowym 1607 r. wpośród zgromadzenia senatu i posłów, wobec licznego ludu przy drzwiach otwartych izby sejmowej, iż każdemu wniósł i słuchać wolno było, mówił król głośno, że zarzuty nieprzyjaciół jego są czystą potwarzą, jakoby podkopywał swobody narodu. «Pomny na swą przysięgę

i powinności, zawsze je dopełniać, wolności nie zmniejszać, ale pomnażać i utrzymywać będę. O tem i sami pewnymi bądźcie, i braci, myślących inaczej, zapewnijcie». Tu dalej mówił Izzy nie dozwolili. Warunek zaręczenia żądanego, od niechętnych i podejrzliwych sobie podany, król podpisał, a zatwierdzony pieczęcią koronną i litewską, do składu ważnych pism państwa oddał. Nie dosyć miano na tem: warunek rzezczy wciągnięto do księgi ustaw sejmowych.. [Vol. leg. II 1596; por. 1595].

XLI.

SUROWIECKI WAWRZYNIEC

(1769—1827).

Urodzony w roku 1769 pod Gnieznem. Ojciec, drobny i zbie-dniały szlachcic, nie mógł sam zapewnić mu pierwszego wykształcenia; po dojściu dziecka do lat szkolnych zaopiekował się nim znaczenie starszy (ur. 1750) brat Karol, już wówczas ksiądz, późniejszy słynny reformator, obrońca i apostoł kościoła średniowiecznego. Ten, przeprowadzwszy chłopca przez szkoły początkowe, oddał go do seminarium misyjarskiego w Warszawie; ale trzechletnia nauka (1788—91) nie urobiła Wawrzyńca na alumna stanu duchownego, a sama wątłość zdrowia ułatwiła mu wydotanie się z narzuconego przez opiekuna zawodu. Wiadomości nabyte w seminarium niewiele zwiększyły wiedzę z do-padkowego czytania książek: zyskał trochę łaciny i historii, jednym ciągiem już wykładanej; czas był stracony, a podstawy wykształcenia słabe i błędne. Surowiecki wszystko, czem później się odznaczył, za-wdzięczył, tylko samouctwu, bo na systematyczną naukę nie pozwoliła mu bieda.

Biograf jego, Bentkowski, pisze, że «po trzykroć chwycił się zawodu wojskowego, ale zawsze nie mógł przywieść do skutku». Można by to rozumieć tak, że w latach 1792 i 1794 wskutek jakichś przeszkód, choć chciał, nie mógł walczyć za upadającą ojczyznę, a po jej upadku zamyślał o służbie w legionach. W roku 1795 znalazł się we Lwowie i tam przez trzy lata pracował w redakcyi jakiegoś pisma peryodycznego. W latach 1795—7 we Lwowie wychodziły: «Dziennik patriotycznych polityków» i «Zbiór pism ciekawych»; w nich przeto mógł Surowiecki zarabiać na chleb; dla chleba też dokonał przekładu, wyszłego w roku 1796. Pod koniec zaprzęskiego stulecia, szukając środków utrzymania, podjął się nauczycielstwa domowego u podko-morzyny Stroynowskiej, od niej przeniósł się do Szczanieckich w Wiel-

kopolce i został ochmistrem Ludwika, późniejszego pułkownika, jednego z blizkich Dąbrowskiego przed skonem i autora znanych pamiętników. Wyjechałszy z wychowaniem do Dreżna, sam tu kształcił się w historii i prawie.

Autobiografia, spisana dla Tow. Przyj. Nauk w Warszawie, opiewa, że «biadając nad stratą ojczyzny, postanowił napisać dzieło, wystawiające rzetelny obraz historyczny Polaków» i oddał się pracy tej w Dreźnie 1802 r., ale gdy spostrzegł, że nie mógłby zadania spełnić «bez wykrycia winy samych Polaków», powziął zamiar przynieść na dalsze pierwiastkowe w okresie jeszcze ogólnie-słowiańskim, co z konieczności doprowadziło go do badania początku Słowian w Europie. Nie wątpił do takiego skierowania się energii umysłowej dopomogło świeże zaznajomienie się z pomnikami badaniami Jana Potockiego. Wieloletni pobyt w Dreźnie, pilność, porządek i sumiennosc, przy wskazówkach Niemców, uprawiających naukę, pozwoliły Surowieckiemu nabyć poważnej już wiedzy historycznej, a nadto i rozjaśnić swe pojęcia o ustroju i życiu społecznem, ze strony zwłaszcza ekonomicznej, która wówczas głównie zajmowała społeczników niemieckich. Z Dreżna pisywał artykuły i rozprawy tak o Polsce, jak i z zakresu wiedzy ogólnej do poważnych czasopism dreźnieńskich i lipskich.

W roku 1806 powrócił w Poznańskie z myślą o podróży naukowej dla owego, wówczas jeszcze nie zaniechanego, dzieła potrzebnej; chciał jechać do Petersburga, Sztokholmu i Kopenhagi, a potem udać się na studia archiwalne do Niemiec i Francji. Zawitał już nawet do Warszawy i stąd datował swój list z własnego doświadczenia «o wadach wychowania domowego»: sobkostwie, uniżoności wobec wyższych a pysze gnębiącej niższych, wrzecie niezdołności do rzeczywistego obywatelstwa. Zwycięstwo jenańskie zdumchnęło zamysły. Nad światem, nad Ziemią Polską błysnęły zorze dnia nowego; ojczyzna Polaków miała być politycznie odzyskana. Dnia 19 listopada 1806 roku na uroczystym przyjęciu deputaty poznackiej i kaliskiej w Berlinie Napoleon zapowiedział wzmoczenie państwa polskiego: będzie więc Polska, choćby w znacznie szerszych, niż niegdys, granicach. W oswoobodzonym od nieprzyjaciela zaborse pruskim zaczął się naród organizować politycznie. Chciał i Surowiecki uczestniczyć w zbiorowym trudzie i bez długiego namysłu życiu oddał pierwszeństwo przed badanien naukowem.

W Warszawie jedna myśl poruszała wszystkich. Kto nie zaciągnął się pod chorągwie, kto nie wszedł do urzędu publicznego, ten, za przewodem Staszica, niósł sprawie odrodzenia pomoc publicystyczną. Z listów do jedynej wówczas «Gazety Warszawskiej» wytworzyła się obszerna «Korespondencya», a w niej znalazły się także rady, uwagi i wskazówki Surowieckiego p. t. «Myśli w różnych materyach statystycznych», dotychczas, z wyjątkiem «Uwag», ze zbioru nie wydobyte. Jeszcze przed dekretem grudniowym 1807 r. Surowiecki, widząc jałowość słynnego art. IV Konstytucji napoleońskiej: «*Le serwege est*

abolis», podał w tych «Uwagach» całkowity projekt uwłaszczenia ludu wiejskiego za wynagrodzeniem dworów bądź pieniędzmi, bądź robocizną dobrowolnie umowioną; projektu nie przyjęto w kraju, dla którego był przeznaczonym, ale w roku 1823 Prusy nie jeden pomysł z niego przy urządzaniu włościan w Poznańskim przyjęły. Publicystyczna działalność zjednała Surowieckiemu zaszczyt: Towarzystwo Przyjaciół Nauk przybrało go w r. 1807 na swego członka; w roku 1812 został towarzyszem «czynnym». Świeżo powstałe Towarzystwo Nauk. Krakowskie nadało mu w roku 1816 godność członka honorowego.

Zaraz po traktacie tylickim został ceniony już człowiek urzędnikiem w sekretaryacie stanu przy królu w Dreźnie. Po roku związane stosunki z Lubieńskim zapewniły mu urzędowanie w Warszawie, w ministerjum sprawiedliwości. W roku 1811 minister powołał go do wykładów w szkole prawa i administracji; powołany wykladał statystykę. Po przekształceniu Izby Edukacyjnej na Dyrekcję (od stycznia 1812 r.), gdy Lipiński z sekretaryatu ustąpił, na ważne to stanowisko dostał się Surowiecki, popierany przez Lubieńskiego wbrew woli Potockiego. Ale prezes rady stanu i zarazem dyrekcji, głowa otwarta a charakter czysty, prędko pozbył się niechęci, kiedy poznał gorliwą pracę, światły umysł i zdrowy sąd narzuconego przez protekcję; obdarzył go swem zaufaniem, uczynił współpracownikiem i doradcą. Surowiecki prowadził korespondencyę, kierował kancelaryą, zajmował się żarliwie sledzeniem i odzyskiwaniem porzucanych — przez szlachtę polską — fundusów edukacyjnych, pisał i poprawiał projekty urzędów szkolnych, przystosowywał ustawy z roku 1812 do wymagań życia i wskazówek doświadczenia. Kiedy w roku 1813 Potocki tułał się po Niemczech, tylko Staszic z Surowieckim we dwóch podtrzymywali działalność wydziału oświaty.

Przez cały czas istnienia Księstwa nie porzucił Surowiecki publicystyki. Napisał znakomitą na swój czas, dziś jeszcze w historii umysłowości naszej ważną, obszerną rozprawę o «Upadku przemysłu i miast w Polsce» (1810), a uzupełnił ją inną, «O rzekach i spławach» (1811). Gdy po utworzeniu Królestwa radzono nad osłoną i zachętą dla rzemioł i rękodziel, ujęcie się Surowieckiego za cechami odniosło skuteczną w postanowieniu namiestnika z dnia 31 grudnia 1816 roku, do dziś dnia obowiązującą.

W r. 1817 Surowiecki, zamianowany przez Potockiego członkiem czynnym komisji wyznaczenia i oświecenia publicznego, objął ster spraw administracyjnych i fundusowych. Jak za Księstwa, tak i teraz odznaczał się niezwykłą w Polakach ścisłością w urzędowaniu, oddaniem się obowiązkom i czcią dobra publicznego; pomiałał wszelkimi osobistymi i towarzyskimi względami tam, gdzie szło o prawo państwa, prawowitą władzę rządu i własność narodową. Biograf, człowiek zimny, przynajmniej na urzędzie «męstwo obywatelskie». Wyniesiony przez Potockiego, Surowiecki wraz z nim upadł (koniec 1820 r.) i za

Grabowskiego był już tylko członkiem Rady Ogólnej, zwanej także Radą Wychowania Publicznego.

W pracy nad dziejami Słowiańszczyzny nie ustawał, a prowadził ją z wielkim zapałem, starając się wyzyskać do niej literaturę powszechną od Herodota do najnowszych wydawnictw niemieckich. Literackie owoce jej ogłaszał w «Rocznikach T. Prz. N.» Prócz tych rozpraw drukowanych pozostało w archiwum Towarzystwa wiele jeszcze uwag i rozbiorów w rękopisach.

Surowiecki zmarł w Warszawie dnia 9 czerwca 1827 roku; pochowany na cmentarzu Śtokrzyżkim. W testamentie zapisał 36.000 złotych na stypendyum w uniwersytecie warszawskim dla «młodzieży, kształcącej się na świątyniach urzędników», jakim był sam.⁶

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. Z wieku XVIII pozostał tylko przekład z Eckartshausena «Bóg jest najczystsza miłością» (Lwów 1796). W wieku XIX: 1) «List do przyjaciela mieszkającego nad rzeką Wartą, z Warszawy dnia 28 września 1806 roku o wadach edukacji młodzieży polskiej» (podznac. «W. S.»; Warszawa 1806; wyd. 2-gie tże 1807; 48 str. 8°). 2) «Uwagi względem poddanych w Polsce; projekt do ich uwolnienia» (tże 1807, druk. «G. Warsz.»; 64 str. 8°). 3) «O sposobach dopelnienia historii Słowian... posiedz. publ. dnia 19 stycznia 1809 r.» («Roczn. T. Prz. N.» T. VII cz. I, r. 1812, str. 82—119). 4) «O spalności i połączeniu niektórych rzek krajowych» («Pam. Warsz.» Os. nr. X, r. 1809 Grudnia, str. 7—19). 5) «O upadku przemysłu i miast w Polsce» (Warsz. 1810; 281 str. 8°). 6) «O rzekach i spławach krajów Księstwa Warsz.» cz. I (Warsz. 1811, drk. rząd.; 20 str. 8°; mapa. Części dalsze nie wyszły). 7) «Uwagi o cechach, napis. w roku 1816» («Roczn. T. Prz. N.» XIII, r. 1820, str. 528 ust.). 8) «Zdanie o piśmie Z. Chodakowskiego o Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej» («Pam. Warsz.» Benthk. XIV, r. 1819, str. 35 nast.; «Tygdn. Lwowski» t. r.; wyd. wznow. «Kwartalnik Nauk.» Krak. 1835, wraz z rozpr. Chodakowskiego «O Słowiańszczyźnie» os. Krak. t. r.; rkps. w Bibl. Ord. Zamoyjskich. 9) «O charakterach pisma runicznego u dawnych Barbarzyńców europejskich, z domniemaniem o stanie ich oświecenia... pos. publ. T. Prz. N. d. 30 kwietnia 1822 r.» («Roczn. T. Prz. N.» XVII, r. 1823, str. 152-208; tabl. pisma). 10) «Śledzenie początku Narodów Słowiańskich...» pos. publ. T. Prz. N. dnia 24 stycznia 1824 r.» («Roczn. T. Prz. N.» XVII, r. 1824, str. 165—357; os. Warsz. 1824; 195 str. 8°, 1 ryc.). 11) «Dziela» (Krak. 1861; 561, IV str. 8°; mapa, tabl.; «Bibl. Polska» Tur. Tu przedruk. wszystkie powyższe z wyjątkiem nr. 4). — «Projekt do urzędzenia hierarchii akademicznej w krajach Księstwa Warszawskiego» (Warsz. 1815; VI, 26 str. 4-to) jest operatem urzędowym. W rękopisie pozostał wykład szkolny Statystyki.

0 Surowieckim pisał Benthkowski Fel. w «Roczn. T. Prz. N. XXI

(ostatni), r. 1830, str. 134—57; o pojęciach ekonomicznych Pietkiewicz Zygm. w «Dod. do Przegl. Tygodn.» 1835, zes. VIII, paźdz., str. 289—301. Co do «uwag względem poddanych» porówn. Grabski Wład. «Historia Tow. Rolniczego».

A) „O upadku przemysłu i miast w Polsce“ (1810).

(Tu z wyd. 1810 r.)

Urzędowi państwowemu i zbliżeniu się do Lubieńskiego zawdzięczał Surowiecki dostęp do archiwów. Raz rozpoczęta działalność publicystyczna ześrodkowała się na kulturze materialnej społeczeństwa polskiego, a gdy poszukiwania w piśmarniach dawnych, zwłaszcza w rzetelnie zasłużonym, do dziś dnia nieuznanym naleźycie, Switkowskim, dały ogólny zasób faktów, spostrzeżeń i środków przedsięwziętych jeszcze za Rzplitej, archiwa pozwoliły go skontrolować, przebrać i zamierzone dzieło o przemysle wprowadzić z samych źródeł. Z jednej i tej samej pracy powstała i druga książka, na swój czas szacowna, dziś jeszcze zasługująca na poznanie: «O rzekach i spławach» (1811). W książce o przemysle i miastach autor poprzedza wykład ogólną teorią gospodarstwa, jasno i gruntownie zarysowaną. Jak u Smitha i Saya tak i u niego źródłem istotnym mienia społecznego jest praca, ale praca wolna; takiej wymaga dla siebie i same rolnictwo i przemysł, przetwarzający jego płody wraz z surowcami, składają dostarczeniemi przez naturę; oboje zaś potrzebują pracy uczonego i technika, aby nie zgnuśnić, rozwinąć się i naleźycie zużytkować płodność przyrodzoną ziemi a właściciel przetwarzanych surowic. Autor jest wrogiem cel protekcyjnych i cen *maximum*, a przeciwnikiem cechów; drugie to stanowisko zmienił w roku 1816 w rozprawie «O cechach». Lepsze od cel wspomagających są zapomogi dla rękodziel i rzemiosł. Po wyjaśnieniu społecznego znaczenia bogactwa, wartości, ceny, kapitału, pieniądza, objaśnienia wspólnego znaku wartości zamiennej następuje wyborny rozdział o kupiectwie i handlu jako rodzaju pracy społecznej. Wszystko to zajmuje połowę książki. Potem dopiero zaczyna się autor trzymać ściśle tytułu. Przedewszystkiem wytyka dawnej Rzplitej niedolę ludu wiejskiego, uposzczenie rolnictwa przez niewolę pracy, a przemysłu i rękodziel przez fizyokratyzm i sobokstwo szlacheckie. Następnie stwierdza w dominjach król wszelkiego tytułu prawnego do zaprowadzenia stanu, który od konfederacyi warszawskiej 1573 r. stał się już powszechnym, a beznadziejnym; przyzem, jak na chwilę, w której pisał, zachowuje uderzającą powściągliwość wobec Konstytucyi 3 Maja. Dalej, ze świadectwami w ręk ukazuje i sumuje miasto, do XVI w. kwitujące, później, dzięki pp. starostom, elementnie i egoistycznemu wszechwładztwu szlacheckiemu, upadkie. Ponura wymowa ruin Kruszwicy targa mu serce aż do łez. Zakończając dziełko rzeczy uzupełniającej wykład: obszerna obrona Żydów od bezwzględnej potępienia, rozpatrzenie ich przylotów i wad, konieczność powołania do handlu wskutek samego uwarstwienia się społeczeństwa i rozkładu pracy

społecznej, wreszcie przytoczenie rad współczesnego Żyda myślącego społecznie Kalmanzona; krytyka kolonizacji prakkiej; rzecz o fałszywej monecie za Sasów i w początkach Stan. Augusta.

a) Z przedmowy do Lubieńskiego.

239) *Karta 5—6 nb.* Z upadkiem przemysłu upadło znaczenie narodu; nieszczęsna ta zmiana tem jest boleśniejsza, że Polacy, jak się okazuje, sami byli jej sprawcami. Słynąc [tak] orężem, gasząc światłem i dostatkami postronnych, od nich samych zależało wynieść Ojczyznę do pierwszej w Europie potęgi, utrzymać krzepką ręką szalę całej północy i zjednać sobie poszanowanie i przyjaciół. Nieszczęściem wypuścili z rąk ten los, który im długo wiernie sprzyjał, i zamiast wielkości zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. Nie traćmy jednak męstwa: po takowej stracie jeszcze nam pozostaje ta pociecha, że możemy być szczęśliwymi; niewyczerpane źródła naszej ziemi, leżące dotąd po większej części w zaniedbaniu, mają to wszystko, co jest potrzebnem do dobrego bytu. Nieco pracy i kosztu na ich odgrzebanie nagrodzi się wkrótce stokrotnym zyskiem. Pilne przerabianie surowych płodów, ułatwiony handel wewnętrzny oszczędzi wydatków, zapewni odbyt i przyczyni nam wygód życia. Zatem zniknie na zawsze niedostatek, powstaną miasta, a naród wzbije się na nowo do tej powagi, jaką się szczylił jego przodkowie i do jakiej wzywają go wrodzone przymioty.

b) Z rozdziału: O przemysłach w Polsce „Rolnictwo.

240) *Str. 156—165.* Włościanie rolnicy do XVI wieku, zwani powszechnie w Polsce kmieciami, dwojakiego byli gatunku: jedni na swych gospodarstwach siedzieli za zwyczajami i prawem Polskiem, drudzy za prawem Magdeburkiem. Jak jednych tak drugich zwyczajem i prawa uważali zawsze za właścicieli. Jeśli kmieć prawa Polskiego porzucił swoją osadę, panu dopóty nie było wolno rozrządzać opuszczonem jego gospodarstwem, dopóki nie dowiódł, że po czterokrotnem wezwaniu i zaniesionej przez siebie do urzędu protestacyi nie mógł go skłonić do powrotu (Stat. r. 1420 1347). Kmiecie prawa Magdeburkiego, że kupowali i sprzedawali swoje gospodarstwa, byli przez to niewątpliwymi ich właścicielami.

Prócz tego inny jeszcze był rodzaj rolników w Polsce pod imieniem zagrodników, i tych również dwa liczone gatunki: jedni osadzeni byli na mniejszej roli od kmiecej, a drudzy tylko na samych ogrodach lub chałupach. Największa część tych, podobnie jak dziś chłopci kontraktowi, za dobrowólną umową i do zamierzonego czasu siedziała na swych zagrodach. Do tej klasy należeli karczmarze, młynarze, rybacy, kowale, pilarze, folusznicy, stępiarze, młynarze wietrzni, papiernicy, rudnicy, saletnicy, hutnicy, śkielni [od «škiela»: Linde = loch, kleć na rybę, z ross.] płótkarze kopalni, dziekciarze, smolarze, popielarze, smelcarze, prasolowie furmani, węglarze, dymarze i t. d. (Uniw. pobor. od r. 1564—1629; ksg. rewiz. 1564 roku; Czacki «O lit. i pol. pr.»; Szczygielski «Tin.», którzy, podobnie jak tamci, albo byli właścicielami, albo najemcami swych posiadłości.

Ludzie pod imieniem: gołotów, pachółków, obłomków, hultajów, walaśów, odartusów i sierot nie należeli nigdy do liczby włościan rolników. Równie wolni jak ci tu, bez majątku i miejsca stałego, używani byli od innych do prac ręcznych i posług domowych. Ten, co im dał przytułek lub służbę u siebie, odpowiadał zwyczajnie za ich przewinienia (Statut 1347, 1496, 1578 roku).

Nakoniec ludzie, znani w Polsce pod imieniem rabów i nie wolników, byli brańcy wojenni; porabki [przekręcone na parobek], zaś rodzice i ojczycie z ich pokolenia byli tem, czem później zrobiono wszystkich włościan, to jest poddanemi swych panów (Czacki «O lit. i pol. pr.» II 216). Ponieważ o tej klasie rzadko i mało gdzie jest wzmianka, stąd domyślać się można, że i liczba jej w kraju była szczerpa i że, podobnie jak u postronnych narodów północnych i wschodnich, najwięcej jej używano do służby domowej lub do robót podręcznych.*)

*) *Pachółek i pachół* do naszych czasów znaczy zawsze sługę domowego; *parobek* zaś — człowieka, używanego od kogo do prac i robót gospodarskich. Pierwsi byli potomkowie ludzi ubogich, golych, lecz wolnych; drudzy pochodzili od rabów, czyli niewolników. Parobek albo parobek znaczy *plemiennika [potomka] raba*, a nie *pańskiego raba*, jak mylnie wywodzi Naruszewicz. (Przyp. Aut.)

Niemasz ani śladów, ani podobieństwa, ażeby dawni Polacy kupowali lub sprzedawali kiedy niewolników; handel taki nie zgadzał się z ich powołaniem. Ci przeto, którzy się u nich znajdować mogli, byli tylko z brańców wojennych. Od niepamiętnych czasów Polacy pilnowali rolnictwa i pasterstwa; to powołanie, wymagając spokojności i bezpieczeństwa, łagodzi zwyczajnie charakter narodu i czyni wstręt od wojen i napaści. Rolnik przywiązuje się do miejsca i do swoich plodów; wojna, która go odrywa lub niszczy w mgnienu oka całe jego nadzieje, nie może mu nigdy nagrodzić tych ofiar. Łupy są niczem dla tego, który, przyzwyczajony do pokoju, przy swoich progach znajduje wszystko, co mu jest potrzebnem do wygodnego życia. Polacy, przez długie wieki otoczeni z trzech stron od narodów pobratymskich, mało prócz tego mieli sposobności opatrywać się w ludzi niewolnych; z powszechnych bowiem praw i zwyczajów żaden Słowianin nie mógł brać Słowianina za niewolnika; taki jeniec, skoro tylko stanął na ziemi Słowiańskiej, był natychmiast wolnym, i zwycięzca nie miał już żadnego prawa do niego (Prokopios «Goth.»). Od przyjęcia Chrztu religia nie dopuszczała także Polakom traktować jeńców Chrześcijańskich jak niewolników; tych zatem, których jeszcze mieć mogli, wyprowadzali przez czas niejaki z Prus i z Litwy. Ale że te narody również im wiele zagarniały ludu, stąd częste zamiany, wracając jeńców do własnych dziedzin, mało zostawiały niewolników.

Mylą się zatem ci, którzy chłopów w Polsce biorą za ród dawnych niewolników; zdanie to, łapane na powietrzu, sprzeciwia się podaniom, prawom i obyczajom pierwiastkowym narodu. Jak pod Piastami tak pod Jagiellami chłopci uważani byli za właścicieli swych zagród i za wolnych co do osoby i majątku: za każdą krzywdę pociągali swych panów do odpowiedzialności przed trybunały krajowe, i te wymierzali im sprawiedliwość porówno z innymi. Takich praw nigdzie niewolnik nie używał i nigdy ich mieć nie mógł; bo-by tem samem przestał być niewolnikiem. Ktoby, nie zważając na te dowody, jeszcze chciał przeciwnie utrzymywać zdanie, musiałby nam wprzód okazać, przez kogo i kiedy chłopci w Polsce ze stanu niewolniczego przypuszczeni zostali do praw równych krajowcom.

Można zatem utrzymywać śmiało, że mala tylko cząstka włóścian polskich może brać początek z jeńców wojennych, reszta zaś pochodzi z tej samej krwi słowiańskiej, jaką się sprawiedliwie zaszczycać może większa część szlachty. Olizarowicz [*Olizarovius*] ma słuszność, gdy powiada («*Politica*» § 17), że chłopci w Polsce równi byli swym panom, bo ani poddoci, ani mieli kiedy książąt tyranów, którzyby ich ujarzmiłi.

Kmieć posiadał zwyczajnie lan jeden, czyli włokę gruntu; z tego dwojakie miał obowiązki: względem pana i względem ksiądzęcia. Pierwszemu albo robił pańszczyznę i pewne składał daniny, albo oddawał czynsz gotowy; drugiemu, prócz zsypek w zbożu i podatku lanowego, zwanego królestwo lub poradnie, musiał w potrzebie i na każdy rozkaz dostarczać podwód, przewodów, żywności w przejazdach, zwanych godnem, robotników do naprawy zamków i t. d. To wszystko zwano pomocne. Zwyczaje mogły być różne, lecz prawo nie obowiązywało kmiecia jak tylko do jednego dnia pańszczyzny w tygodniu (Stat. Zyg. I r. 1520). Siedmiu kmieciów, posiadających siedm włók gruntu, obrabiało pospolicie jedną włokę folwarku pańskiego (Czacki tamże T. I, str. 250). Po wygaśnięciu domu Piastów ciężary publiczne znacznie dla kmieciów zmniejszone zostały; od Ludwika aż do Zygmunta Augusta szlachta na każdym panującym wymagała dla nich pewne uwolnienia, które z czasem na własny swój pożytek obracać miała. Zniesione zsyпки, zmniejszone lanowe, ograniczone roboty okolo zamków miały potem być zastąpione przez nowe powinności i ciężary na pana.

Do XVI w. wolno było wszelkim włóścianom odmieniać pana i przenosić się z jednej osady do drugiej podług upodobania. Prawa porządkowe przepisywały im pewny czas i warunki, których się w tym razie trzymać mieli: miesiąc listopad przeznaczony był do przeprowadzania; zagroda powinna była być zostawiona w dobrym porządku, obowiązki wypełnione i na raz jeden dwóm najwięcej gospodarzom wolno było opuszczać jedną wioskę. W przypadku jednak rzuconej kłatwy na pana, zgwałcenia przez niego żony lub córki kmiecia i ucisków, doświadczanych z jego winy, wszystkim zarazem i w każdym czasie wolno było porzucić osadę (Stat. Kaz. W. i Zyg. I).

Jan Olbracht, zapobiegając nieprzychylnościom i zbytecznym odrywkom ludzi od rolnictwa, pierwszy dopiero postanowił, ażeby jednemu tylko synowi kmiecia wolno było opuścić grunt ojczysty: udać się do rzemiosł, kunsztów lub nauk, a reszta powinna była pozostać przy roli (Stat. J. Olbr. r. 1496).

Przy takich swobodach, przy opiece i sprawiedliwości rządowej, przy prawach własności i przy tak umiarkowanych powinnościach stan rolniczy miał wówczas zupełną sposobność do udoskonalenia swego przemysłu. Mógł spokojnie obrabiać obfite to źródło, bo nikt nie miał prawa odrywać go dowolnie; mógł zgromadzać majątek na polepszenie swego losu i poprawę gospodarstwa, bo mu było wolno rozrządzać nim podług upodobania; mógł nareszcie zdobywać się na nowe odkrycia, bo miał na środki potrzebne i wiedział, że sam będzie korzystał z swej pracy i wynalazku. Rolnictwo zatem tyle podówczas krzewić się i kwitnąć musiało, ile było rąk, ohotnie niem zajętych; tyle musiało podnosić się do stopnia doskonałości, ile było głów, przemysłających nad sposobami pomnożenia z niego zysków.

Chociaż pod panowaniem Jagiellów stan włościan już się zaczął zmieniać, dalekim przecież był jeszcze od tego stopnia, który zwykł szkodzić [im] i otrętwiać ich przemysł. Prócz pewnych obrębów porządkowych jeszcze rolnik był wolnym co do osoby i majątku i żył pod opieką ogólnych praw kraju; jeszcze obowiązki i powinności między nim a panem miały pewne granice, których żądań przestępować nie mógł. Pod rządem dopiero monarchów wybieralnych, kiedy zaczęto targać dawne ognia towarzyskie, szczęśliwe położenie włościan poczęło się raptem zamieniać w najsmutniejsze. Stan rycerski, przyswoiwszy sobie całą władzę prawodawstwa i rządu, zdeptał wszelkie swobody innych mieszkańców, a włościan zamienił w niewolników. Już odtąd nie tylko im zabroniono odwoływać się do dawnych względów i opieki rządowej, ale nadto gwałcono w nich często same prawa ludzkości; niesprawiedliwi prawodawcy, nie pytając się już, czyli dziedzie wioski jest nieograniczonym panem majątku i osoby chłopca, czyli go może sprzedać lub darować, to tylko dla niego jeszcze zawarowali, że go z samej swawoli i rozważnie nikt nie mógł zabijać bezkarnie.

Nieszczęśliwy ten stan włościan niezmiernie się przyczynił do ruiny kraju. Rolnictwo zawsze było najgłówniejszym i prawie jedynym źródłem jego bogactwa. Ta pierś, która odżywia, karmi i daje wzrost wszystkim przemysłom ludzkim, dopóty jest niewyczerpaną, dopóki doświadcza troskliwego pielegnowania; pod ręką niedbałą, słabą i niesposobną usycha prędko i oglądza wszystkich naokoło siebie. Rolnik w Polsce, zniechęcony pozabawieniem wszelkich swych praw, zniewolony poświęcać cały owoc swej pracy komu innemu, stał się niezdolnym do przyzwolnego obrabiania tego źródła. W swoim położeniu, bez pobudek osobistych, bez własności i sposobów gromadzenia majątku, ani mógł zdobywać się na nowe i użyteczne przedsięwzięcia, ani zasiląć inne [tak] przemysły krajowe.

B) „Śledzenie początku narodów Słowiańskich”

(Tu z «Roczn. Tow. Prz. Nauk» T. XVII, r. 1824, str. 165—357).

Owoc dwudziestokilkuletniej pracy, rozpoczętej jeszcze w podróży ze Szeszanieckim, daje treść tego, do czego doszła i zdolność krytyczna i silna odtwórcza Surowieckiego. Sam autor uważa tę rozprawę tylko za plan wielkiego dzieła, które napisać chciał, ale którego napisać nie zdołał. Przeszło dwieście dzieł od najlepszej starożytności już piśmiennej do najnowszych wydawnictw współczesnych sobie, zbadał wytrwale pracownik, wybieracz «ziarnka złota z piasku», jak sam określa czynność badacza Słowiańszczyzny pierwotnej. Tak ubieranym skarbem są Wenedzi, w czterech punktach Europy ukazujący się pod tą nazwą jako przodkowie Słowian historycznych: wziął ich dla siebie Słowacki. Najpiękniwszym i najtrudniejszym było wydzielenie tych przodków z tumanów ludów, kłębiących się przed oczyma historyka od Ktezyasa jeszcze aż do XIII w. po Chr. W osobnym rozdziale «Cechy dawnych narodów Europejskich» autor zbija mniemania wyprowadzające Słowian z innego matecznika, zbiera fizyczne i uczuciowo-społeczne znamiona Traków, Celtów, Germanów i narodów Scytyi i, wykazawszy odrębność Wenedów, odtwarza na podstawie kronikarzy germańskich, bizantyjskich i Nestora jestestwo, sposób życia i uspołecznienie pierwotnych Słowian. Wielce pomocne mu są w tem hypotetyczne zarysy u Jana Potockiego, a sfałszowany skarb przywilekii umania go w wierze, iż Słowianie mieli nie tylko runy, ale rzetelną już kulturę. Zakończając rozprawę «Postrzeżenia i wnioski ogólne względem rodu i następstwa dawnych mieszkańców Europy» — dziś jeszcze godne uwagi. «Śledzenie» przełożone na język niemiecki przez Szafarżkę, dało mu punkt wyjścia do samodzielnych badań («Über d. Abkunft d. Slaven nach Lorenz Surowiecki» Buda-Pest 1828, 204 str.). Jeszcze w roku 1846 Towarzystwo histo-

ry i starożytności w Moskwie poleciło rozprawę Surowieckiego przetłómaczyć i staraniem swem przekład wydało.

241) Str. 311—8. O rządzie Słowian, mamy świadectwo Prokopa. Nie było u nich ani panującego, ani książąt, ani różnicy stanu między obywatelami; każdy starosta, t. j. gospodarz albo naczelnik rodziny, porówno należał tak do wyboru swoich zwierzchników, jako też do stanowienia praw i głównych obrad narodowych. Taki rząd utrzymywał się u narodów Słowiańskich aż do upadku pogaństwa; bo, chociaż niektóre miały już wcześniej stałych naczelników pod imieniem wielkich żupanów, wojewodów lub książąt, tych jednak władza tak była ograniczona, że bez starszyny narodowej nie stanowić i nic przedsiębrać nie mogli. Dopiero po przyjęciu wiary chrześcijańskiej i z czasem naczelnicy ci zyskali większą powagę i zaczęli rozszerzać swoją władzę. Ponieważ Słowianie podzieleni byli na wielką liczbę pokoleń osobnych, stąd każde z nich składało osobną republikę, która w potrzebie tylko wspólnej obrony lub pomocy łączyła się z drugimi. Żupany, odznaczeni od innych gatunkiem szaczonej sukni, panowie, władcy, z dodanymi sobie starszymi, byli wykonawcami praw i stróżami porządku w poruczonych sobie obwodach, zwanych żupaniję. Te władze długo się jeszcze utrzymywały po zmianie religii i pierwotnych rządów; między innymi u Bulgarów do późnych czasów liczone żupanii 10, w Kroacyi 11, w Miśni nad Elbą 11; w Polsce do XIV w. są jeszcze wzmianki o nich. Jeden pan miał pod sobą kilka żupanii; w niektórych prowincjach węgierskich dawny słowiański podział kraju na banaty, czyli panaty, dotąd się utrzymuje.

Jak główne obrady narodowe, tak sądy odbywały się pod przewodnictwem kapłanów i naczelników pokolenia w miejscach i gajach poświęconych. Na pierwsze zgromadzano się zbrojno do wielkiego koła; wespół tego było miejsce nieco wzniesione, gdzie każdy, chcący przemówić, wstępował i przez zastukanie w stopnie żądał posłuchania. Ci, co się zgadzali na wnioski lub zdania, dawali znak przez podniesienie swoich włóczni. Kto się sprzeciwiał ogólnej uchwale, surowo, nawet cieleśnie, jak twierdzi Dytmar, bywał karany; a jeśli się poważał opierać jej wykonaniu, podlegał albo ciężkiemu okupowi, albo mu pod-

palano dom z całym dobytkiem. Wyrokowanie w sprawach sądowych i porządkowych nie zależało od samych naczelników albo żupanów; w każdym wypadku większość zdania dodanej im starszyny miejscowej była stanowczą. Te zdania były karbowane na lasce przez osobnego urzędnika, którego u Rusinów zwano metelnikiem czyli karbowym.

Dawny sposób obierania żupanów, a następnie książąt naczelnych rodu, długo był zachowywany u niektórych pokoleń Słowiańskich. Obrządek ten odbywał się zwyczajnie w gaju albo w polu przy wielkim kamieniu. Żeby przyspieszyć jednomyślny wybór, wyznaczano z grona starszyny kilka osób, które w czasie trwającego zgromadzenia narodu miały moc podług woli i własnego uznania niszczyć pola i palić domy współobywateli. Skoro nastąpiła zgoda, sadzano nowowybranego na kamieniu, obok niego kładziono najlichszą odzież, torbę i kij; pytano się: czy będzie sprawiedliwym dla każdego, opiekunem dla sierot i t. p.? W końcu, uderzony w policzek od jednego z przytomnych, rozpoczynał zaraz sądy na miejscu. Domy tych naczelników wraz z swemi obwodami, podobnie jak miejsca bogom poświęcone, były ucieczką w niebezpieczeństwie dla każdego, i nikomu nie było wolno tykać tam schronionych. Wogóle tak wielkie miano dla nich uszanowanie, że w samych nawet rozprawach wojennych żaden Słowianin nie ważył się użyć na ich osobę oręża.

Wielu nie pojmuje, jak narody słowiańskie, wszędzie podzielone na drobne i niepodległe republiki, przy gminowładnych rządach mogły dłużej, niż wszystkie inne, ocalić pierwotne swoje instytucje i uchronić się do ostatniej chwili niepokoju wewnętrznych i przemocy zewnętrznej. Zastanawiające te wypadki nie mogły być tylko skutkiem panującego ducha zgodności, przywiązania do praw i zwyczajów, zamieszkania życia spokojnego i związków przyjaznych między osobnemi pokoleniami. Takimi przymiotami zalecały się w rzeczy samej narody słowiańskie, i tych nie odmawiają im nawet nieżyczliwi pisarze współcześni. Dytmar powiada między innymi o sąsiedzkich Lutyczanach albo Wilkach, że, nie mając ni książąt, ani panujących, sami na obradach narodowych jednomyślnie roztrząsali własne sprawy, że wszyscy na to dawali swoje

zdania, co miało być przedsięwzięciem lub zaniechanem. Pomimo to zawsze pomiędzy nimi panowała zgoda i jedność. Inni podobne dają świadectwa Słowianom i wystawiają ich za wzór przywiązania do własnych swobód, spółbraci i narodów pobratymskich. Mało w dziejach mamy przykładów podobnego mięstwa, z jakim, między innymi, drobne pokolenia Nadelbiańskie przez ciąg kilku wieków broniły swej niepodległości przeciw potęgze Niemców i Dunów. Sprawa jednego stawała się sprawą innych, często odleglejszych pokoleń, które się wspierały nawzajem radą i pomocą. Uważano powszechnie, że Słowianin, gdziekolwiek spotkał Słowianina, osobnym zwyczajem narodowym całował się z nim w twarz uprzejmie; a jeśli obcy przemówił jego językiem, tem samem miany już za brata i przyjaciela.

Opracował S. KRZEMINSKI.

XLII.

SOLTYKOWICZ JÓZEF.

(1762—1831).

W 20-m roku życia pisał wierzse, w 24-m był nauczycielem szkół wojewódzkich w Lublinie; prowadził tę część nauki moralnej, która w klasach wyższych według ustaw Kom. Edukacyjnej ze strony religii spełniała się w kościele, a ze strony wiedzy społecznej świeckiej, oparta o panujące wówczas w całej Europie Prawo Natury, w szkole kształtowała się w naukę Prawa Politycznego, Prawa Narodów i wiadomości z Praw Polskich. Wszystkie te dyscypliny wykładano w klasach wyższych, poczynając od IV, głównie w VI (w początkach VII); stosowano je wprawdzie do poziomu młodocianych jeszcze umysłów, ale wykładający musieli poważnie nad sobą pracować, aby wymaganiom nowej zupełnie w Polsce wiedzy sprostać. W r. 1786 pomimo młodego wieku spotkał Soltykowicza od zwierzchności zaszczyt: delegowała go do wygłoszenia mowy na zagajenie roku szkolnego wobec Najjaśniejszego Trybunału i licznych dostojnych gości; mowca uwydatnił społeczny charakter nauki i pogłębił jeszcze tę zasadę praktyczności, której już i tak Kom. Edukacyjna, nad miarę może, hołdowała.

We dwa lata później nauczał już w Krakowie, w Szkołach Przyglównych czyli w dawnym kolegium Nowodworskiego-Władysławskiego, zreformowanem przez Kołłątaja odrazu po rozpoczęciu wizytacji w końcu czerwca 1777 r. Tu znowu wygłosił mowę otwierającą rok szkolny 1788—9, a dotknął w niej już samego rozkładu, przedmiotów i jakości nauk, które w szkołach wojewódzkich ze względu na interes narodowy dawane być powinny. W Krakowie wykład Prawa Politycznego uzupełnił ogólnymi zasadami gospodarstwa społecznego. O patriotyzmie i obywatelstwie jego umysłu świadczą mowa miana w lutym 1792 r. przy odbieraniu przysięgi na konstytucję Trzeciego Maja od dyrektorów szkolnych; prawdopodobnie był już wtedy rektorem.

W Krakowie doktoryzował się z Filozofii i Nauk Wyzwolo-

nych jakoteż z Obojga Prawa. Kiedy wszedł do Akademii — nie wiemy; w szkołach wykładał jeszcze w r. 1792. Reforma austriacka, zmierzając szkolnictwo w zaborach trzeciego rozbioru. Jeżeli go już na stanowisku nie zastała i nie utrzymała, nie mogła go w żaden sposób dopiero do instytutu wprowadzić; jeżeli w niej w r. 1801 był, to musiał wejść jeszcze za Rzplitej. Wzmocnia się to domniemanie faktem wyboru Sołtykowicza na dziekana, skoro tylko po ustąpieniu najazdu uczelnia starodawna polskiem odetchnęła powietrzem. Stanowisko to na wydziale Nauk filozoficznych zajmował wybrany aż do r. 1815. Jeżeli Rlps Bibl. Jag. nr. 3399 nie jest pogranatem jego wykładów w »Powszechnie« krakowskiej, jak on sam Szkołę Główną nazywał, to dopiero poszukiwania archiwalne nad dziejami Akademii w XIX w. odkryć mogą eo i w jakim zakresie wykładał Sołtykowicz; na pewne prawie powiedzieć można, że się od swej specjalności jeszcze ze szkół wojewódzkich nie odwrócił.

Kiedy po traktacie w Schönbrunn (d. 14 października 1809 r.) zwiększyło się Księstwo zdobyteczami na Austrii, Fryd. August odwiedził odzyskany gród jagielloński, aby się przedstawił nowym swoim poddanym. Akademii, reformowanej właśnie pod nieosobliwie wybranym stercem Horodyskiego, przy prywatnym tylko udziale Kolltāja, wypadło powitać nowego monarchę. Zadanie to włożono na dziekana wydziału filozoficznego. Dnia 10 maja 1810 r. wygłosił Sołtykowicz długą mowę o przeszłości akademii, a zacność jej podnosząc, dla pracy przetwórczej Kolltāja znalazł słowa poważnego, przy ściśłości i gorącego też uznania. Obszerne przypisy, z akt Akademii, z *Libri Pastorium* Radymińskiego czerpane, o osobach, naukach i prawach powszechni, uzupełnione jeszcze rozsądnymi spostrzeżeniami nad zadaniem uniwersytetów, doбором i rozdziałem w nich nauk, nad znaczeniem i potrzebą stopni akademickich i niezbędności wykształcenia naukowego w urzędnikach — łącznie z mową wytworzyły obszerne dzieło, z którego pisarzy później o profesorach Akademii i o niej samej skrzętnie korzystali, nie zawsze odstawiając wiedzy swej źródło.

W r. 1815 opuścił Sołtykowicz katedrę w Akademii; został profesorem wysłużonym, pracować jedna knie przestał, nauką się żywo zajmował, u Bandtkiego często bywał, Bibl. Jagiellońską odwiedzał, ale przy tem wszystkim i z życiem nie zrywał. Już pod koniec swego nauczycielstwa posiadając wiedzę i rozwagę ekonomiczną użytkował dla narodu w obrębie ówczesnego księstwa, skazanego już na rozbiór między Prusy i Rosję; napisał zapomniany dziś, a nader ściśle pomyślany i wykonany traktat o ludzie wiejskim i dworach, o konieczności ustalenia stosunku między nimi na nowych zupełnie zasadach, któreby teoretycznej wolności włościanina w dekretach z d. 21 grudnia 1807 i 18 stycznia 1810 r. nadały rzeczywistą doniosłość dla porządku i życia społecznego. Mało dziś znane pojęcia Sołtykowicza o gwałtownej potrzebie reformy dają taki całokształt: Przedewszystkiem trzeba ustanowić takę powinność, tak pieszych jak

i ciągłych, jakoteż wszelkich danin, gwałtów, powabów dla dwornu; ustalić liczbę dni pańszczyźnianych; nie pozwalać na wytwarzanie posiadłości włościańskich mniejszych od dwuwłokowych; — a potem zamienić posiadłości włościańskie dwuwłokowe na dzierżawy wiecznolene, z możliwością płacenia czynszu w robociznie, osepie lub pieniędzach, z ubezpieczeniem wzajemnem od strat, zniesieniem zupełnem wszelkich danin i powinności roboczych i uznaniem nowo-wydobytanych gruntów i nowo-otwieranych »kopanin« za nieulegające nigdy pańszczyźnie, lecz jedynie tylko czynszowi. Większe od dwu-włokowych posiadłości mogą powstawać tylko tam, gdzie dominium dla siebie nie zatrzymuje więcej nad zosłą część ogólnej przestrzeni gruntów włościańskich, których również i włościanie przez zamiany i sprzedaże między sobą nigdy zwiększać nie będą mogli. — Cała reforma miała być połączona z ogólnym pomiarem kraju i katastrzem. Wyglądał po niej Sołtykowicz przetruczenia się szlachty do przemysłu i większych przedsiębiorstw. Był w pomysłach jego i ten stosunek, jakiego domagał się na wzór angielski w późniejszym królestwie Andrzeja Zamojski, i *homestead* australski, i wieczysta dzierżawa, wprowadzona w r. 1825 na miejsce art. 590 Kod. Napoleona.

Przyjęty odrazu do grona profesorów Uniwersytetu, zorganizowanych w Tow. Naukowe krakowskie (pierwsze posiedzenie d. 25 lutego 1816 r.), wysłużony profesor odczytywał w niem swą obszerną a częściami pisaną pracę o przesądach przeciw nauce, uczestniczył w jego zajęciach i rozprawach. Poza towarzysystem w r. 1828 starł się polemicznie o Kraków i jego stan polityczno-ekonomiczny. Ze strony Akademii zasiadał Sołtykowicz do śmierci w Senacie Wolnego Miasta. Zmarł w Krakowie d. 25 kwietnia 1831 r.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. I. Pisma Sołtykowicza: A) drukowane: 1) «O stanie Ak. krakowskiej od założenia jej w r. 1347 aż do teraźniejszego czasu, krótki wykład historyczny. Najj. Manu Fryderykowi Augustowi ... na pos. publ. Szkoły Główniej d. 10 maja roku 1810 podany...» (Kraków 1810, Gröblowa; przedtytuł: «O stanie Ak. krak. i o publ. a mianowicie uczonych pracach Akademików»; zaofiarow. królowi dopiero z d. 10 maja 1812 r. i wtedy też ukończony druk; 4 k. nb., str. 1—632, 5 str. Omyłki znaczn.; 8^o). Zapowiedziane dopelnienia i Rejestr Materij nie wyszły. Wskaźnik wydał Sozański Ant. »Rejestr do dzieła F. Sołtykowicza O Stanie Ak. krak. i o publ. a mianow. ucz. pracach akademików krakowskich, 1810...» (Przemyśl 1859; 56 str. 8^o). 2) «O przyczynach wewnętrznych i najbliższych, tudzież zewnętrznych, i dalszych nędzy naszych włościan, z wyłożeniem sposobów zniszczenia tychże przyczyn i ich skutków» (Kraków 1815, Matecki; 10 str., 343 str. 12^o; 1 tabl.). 3) «Uwagi o podatku konsumcyjnym» przedruk z «Gaz. Krakowskiej» z d. 16 listopada 1817 r. nr. 92, 8 str. 4^o. 4) «Rozprawa nad przyczynami uwłaczających naukom mniemań, odradzających się w różnych wiekach świata.

Na czterech pos. publ. Towarz. Nauk. z uniw. krak. połączonego... (Kraków 1826, Matecki; 312 str. 8^o min.) 5) «Uwagi nad piśmie p. t. «Rzut oka polityczny na obecny stan miasta Krakowa i jego okręgu, czyli Rzut oka prosty na Rzut oka krzywy» (Lipsk 1828, 66 str. 8^o) 6) «Rys życia x. Bonifacego Garyckiego» («Roczn. T. N. krak.» pocz. I. T. XI str. 90 nstp.) 7) Przy tytule «Moralność w wykładzie prawa przyrodzonego stosownie do przepisów Kom. Eduk. w klasie IV Szkół Przyglównych krakowskich, podczas przerwania bytu Polski dawana przez A. M(arkiewicza)» (Kraków 1809) Esterreicher czyni uwagę (III 70): «Autorem jest właściwie Soltykowiec, z którego skryptów Markiewicz korzystał bezprawnie». — B) w rękopisach Bibl. Jagiell. 1) nr. 3748 «Zbiór wierszy pisanych przez ..., które na zostały od r. 1782», 86 kart, folio. 2) nr. 2840 «Mowa w r. 1786 w Lublinie w dzień rozpocz. nauk szkolnych miana do Trybunału o potrzebie stosowania nauk i wszelkich umiejętności do stanu narodu». 3) nr. 3347 «Mowa o potrzebie poprawy prawodawstwa i wykonywania onego dla uczynienia skuteczną edukacji publ. przy otwarciu dorocznych nauk w Szkołach Przyglównych krak...» d. 29 września uczyniona. 4) nr. 3398 «Początki czyli zasady różnych twierdzeń ekonomicznych ... w r. 1790 w Szk. Przygl. krak. wykładane», 99 kart 8^o. 5) nr. 3751 «Prawo polit. w Szk. Przygl. krak. w r. 1790—1 dawane uczniom klas. VI». 6) nr. 87 «Mowa d. 15 [14?] lutego 1792 r. w Szk. Przygl. krak. do dyrektorów wobec młodsi szkolnej przed odebraniem od nich przysięgi na konstyt. 3 i 5 Maja 1792 r.» 7) nr. 3399 «Ekonomia polit.» 31 kart 8^o; bez daty czasu. 8) nr. 1041 «Papiery z dziekanii 1809—15 r.».

II. Prócz nekrologu w «Gaz. krakowskiej» jest w Bibl. Jag. Rkps. nr. 8028 «Żywot...», skrócony przez prof. Uniw. krak. Ferd. Kojasiewicza.

„Rozprawa nad przyczynami ufwacających naukom mniemań“ (1828).

(«Rocznik Tow. Nauk. z uniw. Krakowskim polnecz. i osobno. Tu z wydawnia książkowego).

Pelniejszy tytuł w Wiad. Bibliograficznej. Pracował Soltykowiec nad tą rozprawą długo, opracował ją też starannie, z wielką erudycją, zyskaną nie tylko umysłem do danego celu, ale i w dawniejszej jeszcze pracy naukowej. Liczne, odsyłające czytelnika do źródeł, przypisy dają dowód sumiennosci i rzetelnej oryginalności; z drugiej ręki bierze autor świadectwa historyczne; rozumienie ich i sąd o nich ma swój własny. Myślą jego przewodnią jest obrona rozumu ludzkiego i jego dzieła, spełniającego się ustawicznie w nauce i oświeceniu, od napasliwego tego przesądu jakoby idealne i społeczne dobra Ludzkości cierpiał na rozwoju nauk a religia, moralność, tak zwana enoła u pisarzy współczesnych autorów i dawniejszych, doznawać musiały krzywdy od swobodnie działają-

cego rozumu. «Nie myśleć o tem, czego poznać nie można» nie stanie się nigdy kanonem dla umysłu ludzkiego; będzie on zawsze budował hipotezy, ilekroć nie zdola wnieść przybytku prawdy, którą znowa każdy przeczorny mędrzec za Cyceronem pojmuje i odczuwa jako jeno podobieństwo do prawdy. W rozprawie uderza znajomość współczesnego piśmiennictwa naukowego na Zachodzie, śledzenie go, dotrzymywanie kroku postępującej wiedzy. Teza, wręcz wroga słynnej rozprawie Rousseau'a z r. 1750 na temat zadany przez Akademię Dywiołką «*Si le rétablissement des sciences et des Arts a contribué à épurer les moeurs?*», musiała doprowadzić autora do starcia z sofistą francuskim. Stało się to w trzeciej części rozprawy odczytanej na pos. Tow. Nauk. z Uniw. krakowskim połączonego w d. 18 paźdz. 1818 r.; z niej właśnie pochodzi poniższy wypis. Wyłożenie całości ciągnęło się lat dziewięć i zajęło cztery posied. Towarzystwa: początek odczytał Soltykowiec z d. 15 czerwca 1817 r.; koniec wydrukował dopiero w «Roczniku T. N.» już z r. 1827. W zbiorze «Roczników» rozprawa zawiera się: w T. III str. 246—312 i 312—345; V str. 77—164; VIII str. 191—282; XII str. 90—150. Całość w osobnej książce ukazała się w r. 1828.

242) Str. 130—34. Oto on [Rousseau] nam jeszcze powiada że nauki wygaszają w obywatelu miłość ojczyzny. Miłość ojczyzny? Jakże więc trudne stało się już pojęcie tego imienia, jak, owszem, przesadne jego wyobrażenie! Kiedy synów Brutusa niemilosierna ręka krew przelewała przed tem Bożyszczem, Etrurya wylewała krew pod murami Rzymu dla interesu i woli tylko Porsenny, przyjacielu królów-wygnañców. Któż tu miał ojczyznę, którą powinien był kochać? Etruskowie-li czyli Rzymianie? O Russol! gdybyś był nad tym tylko jednym rysem historycznym pomyślał, byłbyś się spostrzegł, że cały naród ludzki nie mieścił się w granicach wolnej i spokojnej twojej Genewy, gdzieś ty pisał. Gdybyś do tego był patrzył z nami przez ćwierć wieku na morderczą walkę narodów najsłynniejszych naukami i kunsztami pod hasłem Ojczyzny, nie byłbyś twierdził, że umiejętności i sztuki rugują z serc obywatelskich jej miłość, nie byłbyś chciał widzieć zapewne więcej tak rozdzielonych i rozbratnionych tym egoizmem narodowym dziatek jedneje matki. Byłbyś raczej całemi siłami obstawał za zdaniem cnotliwego Penelona, który mówił: «Kocham bardziej moją Rodzinę niż siebie samego; bardziej Ojczyznę niż moją Rodzinę; ale bardziej jeszcze kocham cały naród ludzki, niżeli moją Ojczyznę».

O, zaiste! po tylu wykrzykach patryotycznych: Niech

żyje Ojczyzna! — wykrzykach, które, nieszczęściem, bywają tak często godłem tylko samoistności [= *samolubstwa*]; staszlicowy *samościec* = *samolub*, pokrywka dla pychy i chciwości i hasłem wojny, nie zawołają przeciw kiedy pokolenia ludzkie, składając zakrwawione oręża i dopelniając — bo też już czas — gorących życzeń filozofii — nie zawołają, mówię, wszystkie przynajmniej pokolenia Europy: «Niech żyje Naród Ludzkil»? Kiedy Russo przypisuje wzrostowi umiejętności i kunsztów wygaszenie w Narodach Patryotyzmu, my, przeciwnie, nie bęliśmy wierzyć w postęp oświecenia dopóty, dopóki temu szczególnemu uczuciu miejsca powszechny i cnotliwy Kosmopolityzm nie weźmie.

Jeżeli tak dalece, przewrócone przez interes ludzkich namiętności, znaczenie Powinności, Cnoty, Męztwa, Miłości Ojczyzny przed epoką jeszcze światła nauk wpłynęło na zdania samychże uczonych, a na szkalowanie umiejętności dostarczyło im razem *źródół* i języka, — niemniej także fałszywe wyobrażenie o Religii, i owszem, najwięcej naraziło je na niesprawiedliwe im uwłaczanie. — Nauki szkodliwymi stały się religii podług Russa. Takież, nie bez podziwienia i osłupienia, prawie po całej Europie rozlegające się słyszeliśmy niedawno zdanie przez sławne pismo o Duchu czyli Istocie Chrześcijaństwa (*Génie du Christianisme*) głoszone. Ważyłbym się zapytać tych poważnych Pisarzy: czyli wszystkie Religie, jakie były i jakie są, bądź o upadek, bądź o poniesienie uszczerbku mają przyczynę żalenia się na nauki? Dzieje albowiem ludzkie przeświadczają nas, że Religie Staro-Egipską wyrócili prawi czciciele Oromaza i Arymana pod przewodem srogięgo Kambyzesa; że Mojższową gnębiły wszystkie Bałwochwalcze Narody; Bałwochwałską Ewangelią Jezusa Chrystusa, przez nieuczonych głoszona, w nie obróciła; Chrześcijańską miecz Machometa z Azji, Afryki i części Europy wyrugował; na wytopienie Machometyzmu grubi Wehabcici z bronią w rękę uporczywie nastają... Cóż tu temu wszystkiemu winny nauki, sztuki nadobne, kunszta i wszelkie jakiegobądź umiejętności ludzkie? Chyba, jeżeli za umiejętność poczytamy napadać, bić się i gwałcić. A jeżeli kiedy dzielący się opiniami i muszający pióra, nie mogąc oręza, zapaśnicy używać wezwali do przykraszenia

swych nabożnych klótni pomocy od świeckich nauk, — dziwna rzecz! aby one za to odpowiadać miały i żeby naród ludzki wygnaniem ich z niego za to karano! Alboż kolor, pędzel i światło nawet samo, winić będziemy za sprośność obrazu, który nas mierzi? lub kruszec i nóż, który z niego jest, wywołamy z ludzkich użytków dlatego, że nimże samym można ukroić dla łaknącego nędzarza kawałek chleba i poderżnąć bliźniemu gardło? A potem, nie jestże pożyteczniej dla społeczności, aby ludzkie, rozerwani w różne strony fanatyzmu zapalem, długą a wszelką nakoniec zapamiętałość wyczerpującym z czasem, piórem prowadzili wojnę niżli, żeby się nawzajem wyrzynali żelazem i, nie rozsądniejszemu, ale sroższemu jedynie i mocniejszemu stronnikowi przekonanie swoje poddać narażani byli? Zapewne, najstosowniej-by było do Ducha Religii, gdyby nikt tylko pisać o przechodzących ich pojęcie tajemnicach, ale nawet myśleć nie wolno było. Kiedy atoli nie jest podobnym na długo środkiem pociągnąć ludzi od myślenia nad rzeczami Wiary, musi przeto pójść za tem, że skoro tylko zacząną myśleć, zacząną niezawodnie i pisać, jeżeli będą umieli. Przebaczyć, Panowie moi [członkowie Towarzystwa Naukowego krakowskiego], przychodząc mi w tem miejscu myśl osobliwą, kiedy powiem, że niewiele brakowało do tego potwarcom nauk, aby za zle poczytali głośno Moczarom świata, iż dla interesu Religii nie postąpili za przykładem króla Thamusa, który do przyjęcia od Boga Theuta przywiezionej dla jego kraju sztuki pisania żadnym sposobem nakłonić się nie chciał. Niewiele przynajmniej nie dostawało do tego Russowi, który tak gorzko narzekał na nieszczęsny wynalazek Drukarni*).

*) *Dicours sur les Sciences. Seconde partie. Collection complète, T. XIII. pag. 83*, gdzie tak mówi Rousseau [tu w przekładzie]: «Czyli oddające się wszelkim obłędom rozumu ludzkiego pogaństwo zostawiło potomności coś, co by się dało porównać z hanielnymi pomykami, które jej zgotowało drukarstwo pod rządami Ewangeli? Bezbożne pisma Leukippa i Diagorasa zaginęły wraz z nimi. Jeszcze wówczas nie było wynalezionej sztuki wcielania wyryków umysłu ludzkiego. Ale dzięki ezionkom drukarskim i użytkowi, jaki z nich czynimy, niebezpieczne marzenia sennie Hobbesów i Spinozów pozostaną już na zawsze». (*Przyp. Autora.*)

XLIII.

CZARTORYSKA Z FLEMINGÓW IZABELLA.

(1746—1835).

Córka Jerzego Fleminga, podskarbiego wielkiego litewskiego, i Antoniny z Czartoryskich, córki Michała Czartoryskiego, przyszła na świat dn. 8 marca 1746 r.; mając rok, straciła matkę i wychowywała się przy babce, ks. kancelaryjnie Czartoryskiej, w Warszawie i Wołczynie. Lata jej dzieciństwa i pierwszej młodości upłynęły wesoło, wśród ciągłych uciech i zabaw; nie męczono jej przytem nauką, to też wykształcenie jej było mocno zaniedbane. Wyszła w 16-m roku życia, w dniu 19 listopada 1761 roku, za Adama Kazimierza, generała ziem podolskich, znalazła się wobec wielkiego świata polityki i życia umysłowego. Długi czas wstydziała się swej ignorancji i najczęściej milczała w towarzystwie, a i od wychowania dzieci usunęła się prawie zupełnie; wychodząc za mąż, wszak «zaledwie wiedziała, że jest druga Hemisfera», a o Franklinie żadne nie dochodziły jej wieści. Później, pracując usilnie nad sobą, wypisywała całe folioly notat z różnych autorów, które pozostały po niej, świadcząc o pracowitości i żądzy wiedzy. Wierna ówczesnej modzie, założyła sobie rezydencję w Powązkach pod Warszawą, siedlisko fałszywej sielskości, panegirycznie przez Trembeckiego wychwalone. Dodatkowo na jej rozwój umysłowy wpłynęły podróże zagranicę (pierwszy raz pojechała w 1787 r. z synem Adamem Jerzym, jako towarzysząca i opiekunka), gdzie zapoznawała się z wybitnymi przedstawicielami myśli europejskiej, jak Lawatier, który długi czas prowadził z nią potem serdeczną korespondencję, nazywając ją w listach po prostu: *Vincomparable amie Czartorska*, i Delille'a, dla którego piękną prozą francuską opisała ogród pułaski, z czego poeta skorzystał w ustępie o Puławach w «Ogrodach»; dodać należy, że sama lubiła ogrodnictwo i jest autorką «Myśli różnych o sposobie zakładania ogrodów» (Wrocław 1805 i 1807). Temi drogami szedł jej rozwój umysłowy, aż

stała się jedną z najoświecenijszych Polek swego czasu: do niej to podobno stosował już Fryderyk II słowa: «w Polsce kobiety wszystkim kierują, kiedy mężczyźni uczują tylko». Ostatnia epoka jej życia zaczęła się z dn. 2 czerwca 1796 r., kiedy po upadku kraju osiadła w Puławach, wzniosłszy je po spustoszeniu. Odąąd stała się dobrym duchem całej okolicy, założyła szkołkę dla dzieci wiejskich w Puławach i zachęcała sąsiadów do pracy nad oświatą ludu; w parku pułaskim wzniosła «świątynię Sybilli», opiewaną przez Woronicza, w znacznej myśli ratowania zabytków przeszłości, zgromadzając w niej pamiątki narodowe (nie zawsze autentyczne). Ks. Izabella pierwsza z Polek układa dziełka dla ludu: przedewszystkiem «Książkę do pacierzy dla dzieci wiejskich» (I wydanie: Wrocław 1815), a potem znakomitego «Pielgrzyma w Dobromilu» (I wydanie Warsz. 1818, II, z dodaniem powieści wiejskich pióra jej córki, Maryi ks. Wirtemberskiej, Warsz. 1819; II część «Pielgrzyma» wyszła w Warszawie 1821). Pierwsza ta próba skreślenia historii Polski dla ludu jest zarazem znakomita, doczekała się kilkunastu wydań, a przez współczesnych stawiana była wysoko: pochlebnie sprawozdanie pisał o niej Lelewel w «Pamiętniku Warsz.», XVI, 293—336, a rektor Twardowski w liście do generała (w r. 1822) stawiał «Pielgrzyma» narówni ze «Śpiewami historycznymi» Niemcewicza. Słusznie Dębicki w «Dwu autorkach» nazywa tę książkę «pierwszem hasłem zwrótu do ludu». Zmarła Czartoryska d. 17 czerwca 1835 r. w Wiedniu.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Wydania zbiorowego Czartoryskiej nie mamy. Osobno wyszły: 1) «Książka do pacierzy dla dzieci wiejskich podczas mszy świętej dla szkółki Puławskiej napisana (Wrocław 1815; Warszawa 1821; Puławy 1830); 2) «Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów» (Wrocław 1805 i 1807); 3) «Pielgrzym w Dobromilu; czyli Nauki wiejskie, z 40 obrazkami królów polskich wyobrażającymi;» (Warszawa 1818); 4) toż samo z dodatkiem powieści (Warszawa 1819); II część w r. 1821, potem liczne wydania: 1822, 1826, 1830, 1834, 1843—4, 1848, 1852, 1857, 1860, 1861); 5) «Poczet pamiątek zachowanych w domu gotyckim w Puławach» (Warszawa 1828). W rękopisie pozostał francuski przekład «Emroda» Kropińskiego. Listy Czartoryskiej zamieszczono w «Kronice Rodzinnej» (1886—7); patrz też «Z dziennika podróży Izabelli Czartoryskiej 1787—1790» («Kraj» 1886, nr. 34—36).

B) O Czartoryskiej p. przedewszystkiem literaturę o Adamie Kazimierzu Czartoryskim (t. I «Stulecia»); poza tem Dębicki L.: «Z pamiętnika ks. I z Flemingów Czartoryskiej» («Przew. Nauk i Liter.», Lwów 1885); tenże: «Dwie autorki» (tamże, 1887); tenże: «Puławy» (tom I, 77—219; II, 253—392; III, 47—149); Grzegorzewska S.: «Dziecię dni w Puławach 1828.» («Przegl. Polski,

1897, odb. Kraków 1897): Żmigrodzki Michał: «Izabella Czar-torska» («Encyklopedia Wychowawcza», Tom III, Warszawa 1882); Dobrowolski Adam: «Iz. Czartoryska» («Album znakomitych Polaków i Polek w. XIX», t. I) wreszcie wspomnienie pośmiertne w «Kron. emigr. polskiej» t. III, i w «Tyg. emigracyi polskiej» cz. VI (ustęp z pam. Dwernickiego).

„Pielgrzym w Dobromilu“ (1818).

(Według nowego poprawnego wydania, Warszawa 1830).

Dziełko nie jest pozabawione pewnego węża powieściowego: zaczyna się od tego, że do wsi pod Krakowem, zwanej Dobromil, przychodzi Pielgrzym, imieniem Chwalibóg, dawny żołnierz, o ile można wnosić, kościusz-kowski, a przyjęty gościńnie przez zanego gospodarza Bira, postanawia zamieszkać u niego na czas dłuższy. Wzamięn za gościnność uczy dzieci Biry pacierza, czytania i pisania, wpaja w nich wyższe pojęcia moralne pracowitości, uczciwości, oświadczenia, porządku, zgody i t. d., a pokazując im obrázky królów i świętych polskich, opowiada przystępnie dalekie ojezdy do Mieczysława I do Stanisława Augusta, a nawet do czasów współczesnych, do Aleksandra I, którego autorka nazywa «aniołem pokoju i szczę-szcia» i takiem wezwaniem częstę tę kończy: «Niech Polak z Rossyaninem, podawszy sobie ręce, szczerze zapomną o ranach, wzajemnie sobie przez długi przeciąg wieków zadawanych, i niech oddą wzajemnie do szczęścia pomagają». W drugiej części Pielgrzym naucza dzieci o sławnych mężach Polski: Kochanowskim, hetmanie (!) Belinie za Krzywoustego, Prandocie Gałce-za Łokietka, Zawiszy Czarnym, Oleśńickim, Mieczysławie z Konar i Spytku z Meisztyna, Beacie Dolskiej, Janie Tarnowskim, Janie Zamoj-skim, Stanisławie Żółkiewskim, Janie Karolu Chodkiewiczem, Lwie Sapieżu, Stefanie Czarnieckim, Jerzym Ossolińskim, Kaeprze Karlińskim, o kronika-rzach, od Kałużka i Długosza, uczonych, poetach, od Kochanowskiego i «Symonidesa» i t. d. Dopelniają dziełka dwie modlitwy, «Katechizm rol-nika» oraz pięć powieści pła Maryi z Czartoryskich ks. Wirtemberskiej: 1) «Bożyna, dobra córka, czyli jarmark św. Małgorzaty w Jeziorowie», 2) «Kul, czyli chłop sumnenny», 3) «Jastukowa grobla», 4) «Wiecerza wiejska, czyli trań, przez Grzegorza Hoinę dzieciom opowiadany», 5) «Ucieczka Kasi».

243) Str. 1—10. Niedaleko Krakowa mieszkał we wsi, zwa-nej Dobromil, Bira, rolnik i gospodarz dobry. Ta wieś, w pięknem położeniu, rozmaite miała dogodności: grunta dobre, łąk wiele, sady duże, lasy blizkie, góry od północy, rzeczkę od południa. Bira, człowiek pracowity, sam koło roli chodził, sam łąkę kosil; zawsze czynny, a zatem zawsze zdrów, żył szczę-śliwy z Małgorzatą, żoną swoją, i z dziećmi, których miał

czworo. Jednego wieczora Bira, zgrabiwszy siano, które już pod sychało na łące, widząc słońce blizko zachodu, wracał do domu ścieżką, ubitą nad brzegiem rzeczki, którą osłaniały z obu stron drzewa stare i krzaki kwitnące. Bira, całodzienną pracą zmor-dowany, w pół drogi chcąc spocząć, usiadł pod dawnego buku cieniem, a dobywszy z kubiaki chleba i sera, smaczno zjadał. Po chwili, gdy już zamyślał do domu wracać, usłyszał w od-daleniu głośnie, ale przyjemnie śpiewanie, które się pomiędzy górami rozlegało. Mimowolnie wstrzymany, słuchał ciekawie, dziwiąc się nie bez przyczyny, że taki głos w Dobromilu się znajduje, gdzie był pewny, że oprócz organisty, który przez nos śpiewał, żadnego innego śpiewaka nie było. Odgarnawszy gałęzie, spostrzegł schodzącego z gór Pielgrzyma, który ku niemu zdawał się dróżką kroki swe kierować. Jak, już zbliżonego, lepiej słyszeć go można było, Bira te słowa uchwycił, które po każdej strofie powtarzał:

Jesteś Bogiem, jesteś Ojcem,
Zmiłuj się nad nami.

Bira, to słysząc, przekonał się i nie wątpił, że ten Piel-grzym, którego już zbliżającego się widział, pewnie poczciwym i bogobojnym być musi, i zwykłym u nas zwyczajem przywitał go temi słowy: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus», na co Pielgrzym odpowiedział: «na wieki. Amen». Już tem samem zaznajomili się Bira, chcąc bardziej jeszcze znajomości zagrun-tować, wskazał mu kamień, mchem obrosły, na którym, gdy oba siedli, Bira zapytał się Pielgrzyma, kto on jest, skąd i do-kąd idzie? Ten mu tak na to zapytanie odpowiedział: «Jestem szlachcic, zowią się Chwalibóg. W młodych latach moich cho-dziłem do szkół, potem byłem w wojsku, biłem się za ojczyznę, póki mi Bóg sił dodawał, ale, dwa razy cięty w głowę, nogę mając przestrzeloną, przytem już i wiekiem przyciśniony, po-trzebuję odpoczynku. Podziękowałem dlatego za rejestr*) i wró-ciłem się do tego kąta, gdzie się urodził. Już żadnego tam nie znalazłem z tych, co mi dobrze życzyli; jedni wymarli, drudzy się porozchodzili, domek, w którym się wyhodowałem, zni-

*) Podziękować za rejestr tyle smaczy, co się podać do władzy woj-skowej, prosząc o uwolnienie ze służby (*Przyp. Aut.*).

szczony, lipa nawet, pod którą spędziłem wiek mój młody, zwalona i spróchniała, na ziemi leży! Cóż miałem tam robić? Zaplakawszy na grobie rodziców i przyjaciół, ułożyłem sobie po świecie chodzić, póki nie znajdę przytulku, w którymbym mógł życie zakończyć. Chciałbym wesołego położenia, izdebkę ciepłą [tak], a najbardziej ludzi spokojnych. Już ośm miesięcy wędruję, bom chciai pierwej święte miejsca obejść; byłem u Najświętszej Panny Sokalskiej, u świętego Antoniego w Rodecznicy, potem w Częstochowie, a teraz idę z Krakowa. Już mi nogi ustają, chciałbym spoczynku i Boga o to proszę. Odzienie Pielgrzyma obrabam, bo wszędzie w tej sukni łatwiejszy mam przystęp, a wędrując po świecie, zdaje się [tak], że mam do niej prawo. W torbie noszę obrazki dla dzieci, paciorki dla matek, szkaplerze dla ojców». Bira, oparty na kiju obu rękami, słuchał tego wszystkiego z uszanowaniem i z pod oka każde ruszenie [tak] staruszka pilnie uważał, potem, uchyliwszy czapkę, zaprosił go do siebie: «Przenocuj Wasze u nas — powiadając mu — ja się zowią Bira, jestem gospodarzem w tej wsi, co tu blisko widać; moja kobieta zowie się Małgorzata, dobra i poczciwa, mam kilkoro dzieciak. Wasze u nas przenocujesz, a da Bóg, jutro, to obaczysz naszą wieś, nasz kościół, naszego proboszcza, a może i naszą karczemkę... No! kto wie, co się z tego wyświeci». Poczciwy Bira w swoją nad wszystkie inne przeniósł, a zatem był pewnym, że, jak ją tylko Chwalibóg zobaczy, to o wszystkim zapomni i dalej nie pójdzie. Pielgrzym, przystawszy na wszystko, z Birą ku wsi się puścił.

Przy zaszlem już słońcu właśnie wtedy było z pola wracało, fujarki się odzywały, głos kobiet słychać było, wołających na gęsi, kury i gołębie. Śmiechy radośne młodych parobków rozlegały się po wsi, kiedy, postąpiwszy dalej Pielgrzym, ujrzał domy dobre, zabudowania dosyć porządne, ogrodzenia niezłe. Przed chałupami na ławkach kobiety wiejskie przędły; koło nich tymczasem dzieci drobne wśród ulicy igrały: słowem, wszystko okazywało byt dobry i życie spokojne. Wszedłszy [tak] do Biry, Małgorzata przyjęła gościa mile i wesoło. Co dzieci, te, w kątek się wbiwszy, ze strachem na Pielgrzyma patrzyły: jego twarz, pracą i wiekiem pomarszczona, jego czoło, dwa razy cięte, blizny głębokie, kij ogromny w rękę, a naostatek broda

długa i siwa, wszystko to zdawało się dzieciom straszem i okropnem.

Bira oznajmił żonie, że starca tego przyjął na nocleg do siebie, a zatem, żeby mu zjeść nagotowała i wszelkie o nim miała staranie. Sam, poszedłszy do stodoly, słomy i siana nabral i do komory zaniósł; tam usławszy niby łóżko, przykrył je świeżo upranem prześcieradłem, a zwinawszy stary, co miał po ojcu, żupan, zrobił z niego walek i w głowach położył. Tymczasem gospodyni przystawiała spory garnek kaszy, okraszy dodała, a w rynce kartofle smażyć zaczęła. Pielgrzym, widząc Birę i Małgorzatę zajętych, umyślił tymczasem dzieci przyswoić; wyjąwszy z kieszeni garstkę orzechów, które był w lesie nabierał, z daleka im te orzeszki pokazywał. Najstarsza dziewczynka, odważwszy się postąpić kilka kroków, wyciągnęła rękę, porwała orzechy i co prędzej do kąta uciekla. Chwalibóg, to widząc, innego użył sposobu. Otworzywszy torbę swoją, zaczął z niej wybierać szkaplerze, paciorki, a naostatek obrazki rozmaitego gatunku. Ciekawość zniewoliła bojaźliwych: powoli zaczęły się dzieci przyswajać i, nie uważając już na marszczki, na blizny, nawet i na brodę, ławkę otoczyły i obstały Pielgrzyma. Starzec każdemu darował obrazek, a dzieci w największej radości z krzykiem do matki polecały dla pokazania darowanych im obrazków. Małgorzata, wdzięczna, że tak Pielgrzym dzieci obdarzył, dodała nieznacznie słoniny do kaszy, a do rynki kilka kartofli przyrzuciła.

Dzieci już bez trwogi zbliżyły się znowu do Pielgrzyma, w nadziei, że im coś jeszcze daruje; lecz staruszek zapytał się starszych: czy znają choć jednego z tych świętych, których na obrazkach mają? Przyznali szczerze, że o żadnym nic nie wiedzą; na to im Chwalibóg powiedział, że, jeżeli się w tej wsi zabawi, to im o tych Świętych bardzo ciekawe różne wypadki opowiadać będzie, bo tego wieczora, będąc zmordowanym, musi to na inny dzień odłożyć. Wtem też Bira wrócił do izby, a Małgorzata kaszę i kartofle na stół postawiła; smaczno zjadłszy wiecez, spać poszli. Sen spokojny zwykle jest nagrodą dobre użytego dnia, pracy rolnika, spokojnego sumienia lub też czynu dobroczynnego. W chacie Biry można było wszystko to znaleźć. On sam poczciwy i pracowity; ona, najlepsza matka,

gospodarstwo domowe porządnie i pilnie utrzymywała. Oboje bogobojni, nie zamykali chaty przed biednym, przed cierpiącym, Pielgrzym też ze swojej strony służył wiernie swej ojczyźnie; będąc żołnierzem, bił się odważnie, ale nie krzywdził wieśniaka nie rabował nieprzyjaciela, a zatem i gospodarze, i gość użyli tego spoczynku, który jest nagrodą sprawiedliwego, i przez noc całą wybornie spali.

Nazajutrz, ledwie jutrzienka rumieniła niebo, a Pielgrzym dopiero ze snu był obudzony, kiedy już ruch jakiś w chacie słychać było. Oddawszy hołd i dzięki Bogu za schronienie, które w tym domu znalazł, starzec wszedł do izby i zastał Birę, już ubranego, który się wybierał na łąkę po siano, od kilku dni skoszone. Wtedy Pielgrzym, wzięwszy Birę i Małgorzatę za ręce, oświadczył im, że, jeżeli go przyjmą do siebie, to ma chęć już w tej wsi zostać. «Szukałem, dolożył, wesołego położenia, to tu znajduję; ludzi dobrych, zdaje mi się, że lepszych, jak wy, ciężko się spodziewać; izdebkę ciepłą, tę mi odstępujecie: więc wszystko, czegom żądał, tu połączone mieć będę, jeżeli się na to zgodzić zechcecie... Ale, że nie chcę być próżniakiem na świecie i wasz chleb [tak] jeść darmo, ofiaruję się wam uczyć dzieci tego, co sam umiem, to jest czytać i pisać. Będę przytem wbijał w ich młode głowy bojażną Boską, miłość bliźniego, przywiązanie do ich stanu, a wstręt do leniwego życia. Przytem, korzystając z tych obrazków, czasem im będę opowiadał dzieje polskie. Póki siły moje wystarczą, tym sposobem wdzięczność moją wam okażę za tak dobre przyjęcie». Bira i Małgorzata, niezmiernie kontenci, na wszystko chętnie pozwolili i z radością przystali. Śniadanie wszyscy zjadłszy [tak], każdy poszedł do roboty, a Pielgrzym kroki swoje ku kościolowi obrócił, mszy wysłuchał, z proboszczem się poznał, potem do domu wrócił dla trudnienia się dziećmi i nowym swoim obowiązkiem.

Bira, idąc na łąkę, powierzył cały swój z Pielgrzymem układ gospodarzowi, którego spotkał przed kościołem, i Grzywaczowi z końca wsi, z którym żył w przyjaźni; ten to powiedział Białasowi. Małgorzata ze swojej strony znowu powiedziała kumie, ta się zwierzyła Soldajowej, Soldajowa Wojciechowej. Słowem, ta nowina gruchnęła po całej wsi. Różnie o tem gadano; jedni ganiłi, drudzy chwaliłi, byli i tacy, co za-

zdrościli. Tymczasem Chwalibóg zaczął swoje nauki z dziećmi Biry, których było czworo: Kasia, najstarsza córka, miała lat dwanaście, Wojtuś dziesięć skończonych, a Magdusia i Adamek, bliźnięta, dopiero dziewięć wiosec przeżyły. Chwalibóg, chcąc w nich ochotę wzbudzić ciekawością, wspominał owe obrazki, w wilią dane, i kazal je sobie podać. Kasia, że była najstarsza, najpierw swój obrazek podsunęła, a Wojtuś, Magdusia i Adamek Pielgrzymu obstały, który tak do nich mówił zaczął.

XLIV.

WIRTEMBERSKA KSIĘŻNA Z KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH MARYA

(1768—1854).

Urodzona w dn. 15 marca 1768 roku, księżniczka Marya Anna Czartoryska, córka Adama Kazimierza, generała ziem podolskich, i Izabelli z Flemingów, autorki *«Pielgrzyma w Dobromilu»*, była najstarszą z czworga rodzeństwa (Adam Jerzy ur. w r. 1770, Konstanty 1773, Zofia 1774; starsza od niej siostra Teresa, zmarła wskutek nieszczęśliwego wypadku, wynikłego od zapalenia się na niej sukni balowej). Czem były Puławy w dziejach umysłowości polskiej XVIII w., drugie ognisko sztuk pięknych i nauki w Polsce po Warszawie, wiadomo: stolica sentymentalizmu polskiego za Stanisława Augusta, brały Puławy żywy udział w ruchu umysłowym. Wychowano ją w atmosferze czułych piosenek i sielanek, sielsko-pasterskich teatrów amatorskich, w których reprezentacji brała udział cała rodzina książęca, zwłaszcza jak szło o uroczystości rodzinne, i wesolo-poważnych prób naukowych (jedną z nich w poemacie *«Balon»* opisał nadworny poeta puławski, Franciszek Dionizy Kniaźnin — było to doświadczenie z balonem systemu braci Montgolfierów). Kształcono ją przytem nader starannie, jako na dziedzińce części magnackiej fortuny Czartoryskich i Flemingów przystało: prócz matki, guwernantki panny Petit, uczyli ją: Koblański — historii polskiej, Kniaźnin — literatury ojczystej. Czy prawdą jest podanie, jakoby autor *«Balonu»* kochał się beznadziejnie w swej młodziankiej uczennicy, że ta miłość nieszczęśliwa, między innymi, przyprawiła go o pomieszanie zmysłów — rzecz to jeszcze do sprawdzenia; o wiele mniej prawdopodobną wydaje się wiadomość, podana przez Aëra (Adama Rządewskiego), że Marya odpłacała pocie równym działem uczucia (*«Przeгляд Polski»* w szkicu: *«Pierwszy romantyk»* 1882—3 i osobno: Kraków 1882—3). Tymczasem Marya padła ofiarą kombinacji dy-

plomacyjnych, pod każdym względem nieudanych. Dla wzmocnienia niejako przymierza pruskiego wydano ją w 17-m roku życia (28 października 1784 r.) za Ludwika ks. Wirtemberg-Montbelliard, uboższego, ale krwi panującego, siostrzeńca Fryderyka II, i to jeszcze bez zezwolenia rodziców pana młodego, co wystawiło Maryę na liczne przykrości ze strony rodziny mełdowskiej. Książkin na cześć księżniczki napisał pieśń weselne: *«Amarylla»* i *«Rozmarna»* — i młoda para pojechała zagranicę. Zamieszkało w Berlinie, potem w zamku rodzowym Montbelliard, wreszcie, kiedy Ludwika wezwano do garnizonu, w zamku Treptau w Pomeranii. Te 8 lat pozycja małżeńskiego były najcięższą dobą życia księżnej Maryi. Mąż nie ziścił żadnej z pokładanych w nim nadziei: hulaka, karciarz, brutal, przekładający połowania i kompanię kolegów koszarowych nad towarzystwo miłej i inteligentnej żony, nie tylko zaniedbywał Maryę, zostawiając ją na pastwę samotności i tęsknoty w smutnym burgu pomorskim, ale, co gorsza, obchodził się z nią po grubiańsku: łął, chorą za włosy z łóżka wyciągał. A łagodna i cierpliwa Marya tała przed najbliższymi smutne pożyacie małżeńskie, nie chcąc martwić ukochanych. Doszło do gorszych rzeczy. W roku 1788 oboje księstwo przeniesli się do Polski; Ludwik uzyskał indygenat, został mianowany nawet generałem dywizji. Niema nic haniebniejszego nad postępowanie ks. Wirtemberskiego podczas smutnej pamięci kampanii 1792. Z początku nie chciał wcale iść na wojnę, udając chorego na nogę; a kiedy Marya, wstydzając się jego tchórzostwa i matactwa, zagroziła rozwodem, zaczął się wymawiać, że niema o czem wyruszyć. A kiedy i temu zaradono, (20,000 dukatów do szkatuły królewskiej), pojechał, ale celem zdradzenia sprawy polskiej: rozstawił oddziały polskie dla tem łatwiejszego zwalczania ich przez nieprzyjaciół, co jednego dnia posunął się z wojskiem, to drugiego się cofnął, znosił się potajemnie z rządem rosyjskim. Kiedy wreszcie przejęto te listy, pozostawało tylko — ratować się w szybkiej ucieczce. Marya natychmiast uzyskała rozwód, kosztem największej ofiary, na jaką matka może się zdobyć: oddała mężowi jednę dziecko, syna Adama, urodzonego dn. 16 stycznia 1792 roku. Odtąd uzyskała zupełną swobodę, ale życie jej było już na zawsze złamane. Zamieszkawszy przy matce w Puławach, w pałacyku *«Marynkach»*, oddała się pracy społecznej i literackiej; chodziła po chatach, opiekowała się troskliwie wieśniakami, trzymała im dzieci do chrztu. Za czasów Księstwa Warszawskiego zamieszkiwała przez kilka lat w Warszawie: dawała obiady literackie, od 1810 r. była wizytatorką pensyi żeńskich, świeżo zakładanych. Drukowała niewiele: prócz *«Malwiny»* (1816) i *«powieści wiejskich»*, dołączonych do drugiego wydania *«Pielgrzyma w Dobromilu»* (1818) nie więcej drukiem nie ogłosiła. W rękopisach pozostało jednak sporo rzeczy polskich i francuskich, uczą i wierszem: powieść o dwóch księżniczkach, *Hermine* i *Phébé*, komedia *«Korale»*, tłumaczenie komedy *«Dobry ojciec»*, przygotowane na imieniny ks. generała, dzien-

nik podróży p. t. *Pensées*, «Niekóre zdania, myśli i uczucia doznane zagranicą» i inne — wszystkie w papierach rodzinnych. W r. 1881 czekało ją jeszcze jedno, najboleśniejsze bodaj w całym życiu przejście, kiedy syn jej rodzony, Adam, służący w armii rosyjskiej, rozkazał strzelać do pałaca puławskiego, zamieszkanego przez 63-letnią matkę i 85-letnią babkę. Po śmierci matki († 1835 r.) oddała się niepodzielnie pracom dobroczynnym i modlitwie: dbając o dobro ludu, m. in. do dóbr swoich Wysocka w Galicji sprowadziła siostry miłosierdzia, uposażając je wsią Moszczary. Przejżdżając przez Genewę, postanowiła i tu pozostawić pamiętkę swego miłosierdzia i, pomimo szalonych trudności, osadziła w tem mieście, ojczyźnie Kalwina, zakonnice zgromadzenia Wincentego à Paulo. Stratę majątku, zagarnionego przez wyrodnego syna, przyjęła z rezygnacją, żałowała tylko, że nie może tyle, co dawniej, świadczyć dobra potrzebującym. Od roku 1835 stale mieszkała zagranicą: w Wiedniu, a potem prawie ciągle w Paryżu, przy bracie Adamie, w domu jego przy ul. de la Roule. Tam dożyła późnego wieku, zachowując do ostatnich lat trzeźwość umysłu. Zmarła 21 października 1854 roku, mając lat 86.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) Pierwsze wydanie powieści: «Malwina czyli domyślność serca, romans oryginalny» (2 tomy) ukazało się w Warszawie w r. 1816, następne wydania również w Warszawie w r. 1817, 1821, 1828—9. Przekład francuski pani Nakwaskiej w pierwszej edycji wydane w Warszawie w r. 1817 p. t. «Malwina ou l'instinct du coeur, roman traduit du polonais par une Polonoise»; w drugiej — w Paryżu (u Peytieux) r. 1822 p. t. «La Polonoise, ou l'instinct du coeur, traduit du polonais de la princesse W*** par Madame Nakwaska»; przekład rosyjski w Moskwie 1834 r. Marya Wirtemberska jest też autorką «Powieści wiejskich», dodanych do «Piełgrzymy w Dobromiłu» (p. życiorys i bibliografię Izabelli Czartoryskiej).

B) O Czartoryskiej pisał: Duchlińska S.: «Wspomnienia z życia Maryi z ks. Czartoryskich ks. Wirtemberskiej» («Kronika Rodzinna», 1885, odbitka: Warszawa 1886); «Marya z ks. Czartoryskich Wirtemberska» («Przegląd Poznański», t. XIX i XXIV); Siemieński L.: «Marya z ks. Czartoryskich» (1768—1854) w «Dzielnach» (t. III. Warszawa 1881); tenże: «Matczństwo z ks. Ludwikiem Wirtemberskim» («Przew. naukowy i liter.», 1886); Dębicki L.: «Puławy» (Lwów 1887—8); Dębicki L.: «Dwie autorki» («Przewodnik nauk. i literacki», 1887); Chmielowski P.: «Autorki polskie w. XIX» (Warszawa 1885); Tarnowski St.: «Romans polski w początkach XIX wieku» («Przegląd Polski», 1874); Śniadecki Jan.: «Malwina. List stryja do synowicy» («Dzieln.», tom IV, Warszawa 1837); Pienkiewicz Roman: «Ks. Marya Wirtemberska» («Album znakomych Polaków i Polek XIX w.», tom I).

„Malwina czyli domyślność serca“ (1816).

(Według czwartej poprawionej edycji 1828—9).

Tytułowa bohaterka tego romansu jest młodą wdową, którą w 15-ym roku życia wydali rodzice za człowieka podezłego wieku, o niezbyt wysokim poziomie moralnym: zaniedbywał on żonę dla przyjaciół i polewania. To też pożycie małżeńskie Malwiny, szczęściem że krótkotrwałe, nie było wesołe: w długich chwilach samotności, gdy męża nie było w domu, jedyne jej rozrywki były: muzyka, śpiew i czytanie. Owdowiawszy, Malwina zamieszkała z młodszą siostrą w jednej ze swych majątkości, Krzewinie, sprowadziwszy sobie ciotkę na opiekunkę. Tu podczas pożaru jednej z chat wiejskich, o której omal że sama nie stała się ofiarą, poznaje młodzieńca, który wyjawia jej tylko imię swoje: Ludomir. Zraniony podczas wynoszenia nieszczęśliwych z palącego się domu, doznaje gościnnego przyjęcia w Krzewinie. Okazuje się, że był to pierwszy człowiek, który odczał i pojął umysł rzadki i serce tkliwe Malwiny. Lecz kiedy dochodzi do wyznania, ona odpowiada mu jednym wyrazem: «Niewdzięczny!», co miało oznaczać wzajemność; nazajutrz jednak Ludomir wyjechał z Krzewina, wzięwszy od niej przysięgę, że nigdy nie będzie badała jego przeszłości.

244) Tom I, str. 55—63. Miłym był, nader miłym dla Malwiny dzień jej imienin, ten dzień, w którym tyle miała dowodów zajęcia się nią Ludomira. Ale ten dzień minął. Niestety! najszczęśliwsze zawsze najprędzej mijają! Wróciwszy w wieczór do siebie, te słowa jego: «Niech ta łąka przynajmniej przypomni kiedy biednego Ludomira», słowa, które z tak bolesnym wyrzekł był westchnieniem, ustawnie w uszach jej, a raczej w sercu brzmieć zdawały się. Dotąd bez żadnych trosk nadal, ani rozwagi, spokojnością używała tysiącznych przyjemności, które wypływały z przytomności Ludomira; ale te kilka słów wyrzeczonych stały się urokiem, który ją z nader miłego oczarowania ooculił. Ta zielenia niewiadomości zastona, która jej oczom przyszłość i własne zakrywała serce, spadła raptem. Pierwszy raz Malwina pomyślała, że Ludomir mógłby ją porzucić; pierwszy raz uczuła, że z nim i słodycz życia by ją porzuciła. Z trwogą dostrzegała, ile jego pamięć głęboko w jej sercu wyrzyła; z trwogą rozważała, że ten Ludomir, tak jej miły, tak do jej życia potrzebny, tak (wyrzec naręście trzeba) ukochany, zupełnie był jej niezajomy, że nie wiedziała, czem, ani kim on jest, i że tajemnica, którą się odczał, mogła równie występki, jak i nieszczęcia ukrywać; narzęście, że tenże sam

Ludomir, choć nią jedynie zdawał się zajęтым, nigdy dotąd słowa o miłości nie wyrzekł i z szczególnem nawet staraniem szukał tego, by sam na sam nigdy się z nią nie znajdował. Te wszystkie rozważki gdy Malwina uczyniła i stan serca, rzecz można, przed zimnym rozsądkiem rozwinęła, tysiączne troski, bojaźni, żale, których nigdy dotąd nie była znała, wcisnęły się raptownie w jej duszę; i dziwić się nie trzeba, jeśli świtać już zaczynało, a Malwina oczu jeszcze nie była zmrzużyła. Nie mając już nadziei zaśnięcia i strudzona najsmutniejszymi myślami, wstała, lekką na siebie suknię wzięła, by wyjść z pokoju, sądząc, że świeże ranne powietrze osłabiony umysł orzeźwi. Nim wyszła, mimowolnem poruszeniem zajęta, padła na kolana i z tklivem uczuciem rzekła: «O! Boże litościwy, który Ojcem pozwalasz nazywać siebie, nie opuszczaj mnie nigdy! Nieszczęśliwe losy z zupełnem oddaniem się twej woli przyjmij od ciebie, jakiegobądź zechcesz na przyszłe moje zesłać lata, ale, Boże litościwy, broń mię od postępów, któreby na nie zasługiwać mogły!»

Tę krótką wymówiwszy modlitwę, Malwina mocniejszą się uczuła. Okno otworzyła i, chcąc czemś się rozzerwać, wzięła gitarę z sobą i wyszła na taras, który wokolo dom opasywał. Ranek najpiękniejszy — najpogodniejszy dzień obiecywał. Gęste krople rosy ślknęły się na listkach ziół i kwiatów, którym blasku i świeżości dodawały. Powietrze było uwonione kwiatem pomarańcz, do których lekki zapach mirtu się mieszał. Skowronki, w górę wzlatając, i żęby na gałązkach radośnie zorzę witały, pszczoły brzęczały koło kwiatów, rybki skakały w wodzie. Zdaleka słyhać było wesołe śpiewy oraczów i ryk trzód, na paszę wychodzących. Cała natura budzić się zdawała, by nowych używać rozkoszy. Ale powszechna ta radość, zamiast coby ją miała rozzerwać, boleśniej jeszcze serce Malwiny ścisnęła. Ah! nigdy skryte troski boleśniej się nie czują, [tak] jak w poród okazałości szczęścia lub w gronie zabaw i radości

Malwina, zadumana, patrząc na tę piękną krajinę, w zamysleniu oparła się o duże pomarańczowe drzewo, które kwiatem obsypane było. Wtem lekki wietrzyk zawiał, i białe listki tego kwiatu, jakby śnieg gęsty, całą Malwinę okryły. «Ach, niestety — pomyślała — ten rodzaj kwiatów później od innych

się rozwija, najpóźniej opada; niedługo i liście opadać zaczną, niedługo jesień nadejdzie! O, jakże prędko to lato minęło!»

Schodząc potem z tarasu, Malwina weszła na wał, który panował nad brzegiem lachy, zdobył ogród i razem bronil go od szkodliwych wylewów. Ławka, stojąca pod rozłożystym kasztanem na końcu wału, wabiła ku sobie. Widok na lachę, na kępę, na Wisłę i kraina najpiękniejsza szczególnie to miejsce milem czyniły. Malwina tam spočuła i, zdjawszy z głowy biały welum, co ją osłaniał, machinalnie wzięła gitarę i, pograwszy czas niejaki, te słowa, które uczuciom jej odpowiadały, cichym głosem śpiewać zaczęła:

Być kochaną, jak się kocha,
Znaleźć duszę do swej duszy —
Czyliż to prośba zbyt płoża,
Co niebios nigdy nie wzruszy?
Szczęścia domyślne marzenia,
Serc rozkosze nie zmienione,
Próżne uczuciów zamienia,
Nie będziecie uiszczone!

Dziwił się czasem, gdy zakochani, szczególniem jakimś szczęściem, zawsze trafnie znajdują się tam, gdzie mogą choć na chwilę urzędzić cel swego kochania. Nie czarami to się dzieje, i należałoby zaprzestać temu się dziwić. Łatwą jest rzeczą do pojęcia, że ci, co jednostajnymi myślami są zajęci, równie poniekąd działają. Ludomir, jedynie Malwiną zajęty, jak ona podobnie nim, ze świtem także był wstał i wyszedł był do ogrodu, by myśleć o niej swobodnie. Usłyszawszy jej głos, przybiegł, od niej nie postrzeżony; lecz jak przestała śpiewać, Ludomir z nadto już pełnem sercem, by rozum najmniejszą mógł utrzymać przewagę, straciwszy głowę zupełnie, padł do nóg Malwiny — i nie innego nie mógł wymówić, jak: «Przestraszyłem cię, Malwino! ach, daruj!.. wybac!.. ależ bo ja tak nieszczęśliwy!» Malwina, zlekuniła, zmieszana, omiamała. Serce jej tyłu przeciwnościami w ten moment było miotane, że sama nie wiedziała, co ma odpowiedzieć; ale, oczy podniosszy na Ludomira, postrzegła wyryty na jego twarzy takowy wyraz żalu i cierpienia, że ten słaby cień gniewu, który między innymi

uczuciami z jego raptownem zjawieniem mignął się był w jej myślach, zniknął zupełnie, i nic innego w sercu nie zostało prócz najukliwszej litości. Zamiast wyrazów gniewu, śpiesznie wyrzekała: «O, nie bądź nieszczęśliwym! to najwięcejby mnie dręczyło; tego najbardziej wytrwałobyś [tak] nie mogła». Te kilka słów wymówiwszy, zapłoniła i zmieszana, twarz w welum schowała i rzewnie zaczęła płakać. «Malwino uwielbiona! Aniele dobroci! — rzekł Ludomir — nie płacz... ah, nie płacz nigdy... ostatnią kroplą krwi mojej radbym odkupił każdą łzę, którą wylewasz». Hałas z przyczyny nadchodzących osób, który zdaleka usłyszeli, przerwał tę rozmowę. Malwina z pośpiechem wstała, Ludomir, zatrzymując ją, z najczulszem dolożył rozrzewnieniem: «Malwino, na wszystko, co ci tylko jest drogiem w świecie, zaklinam cię, nie porzucaj mnie, nie zostawaj z tą myślą tak okropną, żem cię obraził. Przez litość przynajmniej; bo nie możesz pojąć, nie pojmiesz nigdy, co to jest śmieć ciebie kochać, nie mając nigdy nadziei być od ciebie kochanym!»

Malwina w ten moment tak żywo w sercu czuła, ile Ludomira kochała, że, nie mogąc [tak] pojąć, by on się tego nie domyślał, to słowo: «Niewdzięczny!» z ust jej się wymknęło; a słysząc coraz bliżej nadchodzące osoby, czas miała tylko najspieszniej uciec, welum swój, łzami jej jeszcze zmoczony, w tym pośpiechu zapomniawszy. «Niewdzięczny!» z niewypowiedzianem uczuciem powtórzył Ludomir i, schwyciwszy welum Malwiny, do serca go przyciskając, rzekł z zapalem: «Chyba z życiem go stracę!»

Ta przysięga staje się osiłą całego romanu. Zasmucona po wyjeździe kochanka, Malwina nie może znieść samotności; chce więc rozzerwać smutek i tęsknotę, udaje się wraz z ciotką do Warszawy. Tu na jednym z balów poznaje Ludomira w osobie ks. Melsztyńskiego, wytwornego balamuta-salonowca, który uwija się koło twicy wielkoiwitatowej, Dorydy. W pamięci Malwiny powstają wspomnienia krzewińskie, ale serce przestrzega ją, znajdując ks. Melsztyńskiego innym zupełnie, niż jej sentymentalny Ludomir z Krzewina. Z przeszłości ks. Melsztyńskiego dowiaduje się Malwina tylko tyle, że jest on synem Taidy, że matka jego, wbrew woli ojca, który chciał ją wydać za ks. Sanguszkę, wyszła za rycerskiego Ludomira, że syn urodził się w lichej wiosce na granicy tureckiej po śmiereci ojca, że matka wkrótce umarła, jego zaś wychowywała lat parę młynarka z tamtejszej wioski. I nie omyliła Malwiny «domyślność serca»: na turnieju, urządzonym na życzenie Malwiny przez ks. Melsztyńskiego w dniu

3 maja, jawia się tajemniczy czarny rycerz, który zwycięża wszystkich i otrzymuje z rąk Malwiny nagrodę. A kiedy wojska polskie gotowały się do boju (zapewne w r. 1812) i ks. Melsztyński, udając się na wyprawę, nocą w parku wilanowskim, prosił na kłęczkach Malwinę o przyrzeczenie mu ręki, ta już miała mu dać odpowiedź przychylną, gdy wtem z poblizkich krzaków z okropnym krzykiem wyłoniła się biała twarz Ludomira.

245) Tom II Str. 80—88. Malwina, jak drudzy, wiadomości o wojnie u siebie zastała; zastała także listy ciotki i siostry; każda z nich podług swego widzenia mówiła jej o księciu Melsztyńskim: Wanda, wspominając Krzewin i rozumiejąc, że Malwina poniekąd, równie jak wtedy, myśli; ciotka zaś, na tem najbardziej gruntując uwagi swoje, iż miłość Ludomira zbyt już była w społeczeństwie znana i od Malwiny jakoby pobłażana, ażeby bez powszechnej nagany odpowiedzi jakiegokolwiek przynajmniej już mu nie dała. Malwina, zawsze prędka do sądzienia się winną, z przykrem wrażeniem przeczytała uwagi ciotki i z bolesnem uczuciem życzenie siostry. Krzewin, Ludomir, wojna, odjazd na nią księcia Melsztyńskiego, rycerz o czarnej zbroi, wspomnienie nawet tego nieszczęśliwego jeststwa, o którym u Dżęgi słyszała i który, po tej długiej chorobie śieszkanie odmieniwszy, żadnego śladu po sobie nie zostawił: wszystkie te przedmioty i tysiączne przykre i przeciwne jedne drugim uczucia cisnęły się do serca Malwiny i boleśnie myśli jej niespokojnością napełniały. Obraz wojny, czarną wydany farbą, ustawnie stawał jej w oczach, i niemało pomnażał niespokojności. Dzień cały przepędziwszy w smutnych i trwożliwych rozmyśleniach, wieczorem chcąc się rozerwać, a nie czując ani siły, ani chęci do znajdowania się między ludźmi, umyśliła użyć samotności, korzystając razem z pogodnego wieczora. Zaprzędk kazała i, wioząc się sama, nie bardzo uważała, którądy jedzie. Po chwili znalazła się blisko Wilanowa, zajęchała na dziedziniec; ale że zamek nie był wtedy zamieszkanym, cichość tam największa panowała, cichość, która po hałaśnym i świetnym dniu przeszłym tem bardziej się i głuchą i smutną wydawała. Malwina wysiadła z pojazdu i weszła do ogrodu. Słońce już było zaszło, i blask księżycza oświecał tylko odwieczne szpalery, poważne świry i statuy kamienne, świadki owe wieków dawnych, które tyle już pokoleń przeżyły, tyle odmiannokoło

siebie widziały. Malwina, u której odwaga nie była cnotą wrodzoną, nie bardzo śmiała oczu podnosić na te posągi, cieniami odkryte, którym promień księżycy, niekiedy przez liście przedzierający się, ruchu jakiegoś zdawał się udzielać. Do tego jeszcze trwożliwa pamięć Malwiny przypominała jej wieść, mocno między pospółstwem zakorzenioną, jakoby w wilanowskich ogrodach widno jakieś nadzwyczajne czasem miało się pokazywać. Wtem zegar na wieży zamkowej godzinę dziewiątą wybił, i Malwina, coraz bardziej strwożona, wspominała, że od tej godziny w poniedziałki mało kto bywał w ogrodzie dla przesądu zadawnionego, że wtedy właśnie widno to nocne wśród ciemnoty zjawiać się zwykło. Nieszczęściem, trafiło się właśnie, że tego dnia był poniedziałek, i Malwina, która, przy jasnym jeszcze słońcu z Warszawy wyjeżdżając [tak], ani pomyślała o tych wszystkich bajkach, w tej chwili umysł jej, tyłu smutnemi uczuciami zmęczony i osłabiony, tymi nawet drobnymi szczegółami przelekniiony został. Nie śmiejąc na dziedziniec wracać, bo znowu-by przez cały ogród przechodzić trzeba, gdzie każda biała statua zdawała się marą dla niej, w grobową płachtę odziana, wolała w przeciwną udać się stronę. Zbiegła do dolnego ogrodu i odetchnęła swobodniej, gdy się w ulicy nad łachą znalazła. Ta ulica, z jednej strony wysokim lipowym szpalerem brzożona, z drugiej strony do samej wody dochodzi. Księżyc w całym blasku, wzniesiony nad łachą, srebrną pręgą ją przecierał, a słowik, wdzięcznym swoim głosem ciszę przerywając, zdawał się chcieć wypędzić okropność z serca Malwiny, a słodką tylko melancholią napelnić. Malwina, trochę już spokojniejsza, została zdolną cenić piękności tej nocy wspaniałej; szal i kapelusz zdjęła, by lepiej z powietrza korzystać. Wietrzyk igrał w jej włosach i z białym muślinem, którym była odziana; a ktoby ją był wtedy spotkał, mógłby ją wziąć łatwo nie za marę okropną, ale za ducha powiewnego. Ławka na końcu ulicy nad wodą stała, Malwina doszła do niej i usiadła; strach ją był niemal zupełnie opuścił, ale skłonność do rozrzewnienia się i ściśnienia serca nie ustawały jeszcze. Rok mijał właśnie, jak w tym samym miesiacu, o tej samej niemal porze Ludomira była poznała w Krzewinie. Wielu zdarzeń przez ten rok doświadczyła? wiele uczuć, dotąd jej obcych, doznała? wiele

nadziei przyćmionych, wiele odmian zgasłych?... Zdawało jej się, to wszystko wspominając [tak], że dłużej żyła przez ten rok jeden, niż przez resztę bytu swojego na ziemi.

Wtem dumania jej przerwane, a strach znowu wzbudzonem został postrzeżeniem figury, idącej ku niej z końca ulicy; lecz wkrótce uspokojona została, gdyż poznała, że to był książe Melsztyński. «Nie śmiałbym nigdy przerywać samotności twojej, śliczna Malwino — rzekł, do niej przybliżając się — ani naprzykrzać się powtórzeniem wyrazów niebezpieczliwego uczucia, które, gdy nie jest dzielone, aż nadto nieznośnem być musi; lecz rozpacz czasem zuchwałym czyni. Rozpacz serce moje zajęła, gdy, nie widząc cię dzień cały, w wieczór nie zastałem cię w domu. Jutro równo ze świtem rozkaz mamy rzucać Warszawę; wychodzim na wojnę. Wojna okropna nas czeka; losy wszystkich niepewne. Malwino! myśl, że może przyjdzie zginąć; nie widząc ani pożegnawszy ciebie, nie powtórzywszy ci raz ostatni, że uwielbiam cię nad wszystko w świecie, myśl ta okrutna opanowała całą duszę moją i żadnej innej nie dopuściła rozważy. Dowiedziawszy się, żeś w tę stronę pojechała, przyleciałem i u nóg twoich o przebraceniu mojej zuchwalości, o litość błagam nad moją rozpaczą!» To mówiąc, książe Melsztyński padł u nóg Malwiny i, wlepiwszy w nią oczy, z trwożą czekał, rychło ona słowo wyreknie.

Tysiąc uczuć cisnęło się w serce Malwiny i moc do odpowiedzi odejmowało zupełnie. Lecz wyraz boleści, wyrity na twarzy Ludomira, przestrogi ciotki, tylokrotnie powtórzone i które w ostatnim liście tyle jej uczyniły wrażenia, tkliwe rozrzewnienie, któremu zbiór okoliczności, miejsce, pora, ledwo nie powiem, godzina, mocy niezwyčajnej dodawały, a bardziej, jak [tak] to wszystko, obraz niebezpieczeństw, na które szedł Ludomir, które żywa imaginacya Malwiny najokropniej jej wystawiała, wszystko to, złączone razem, opanowało jej duszę i wymogło (rzec mogę), że, podniosłszy oczy, podała rękę księciu Melsztyńskiemu i raptownie wymówiła: «Wróć książe tylko szczęśliwie, a po wojnie...» Wtem krzyk okropny przerwał jej słowa, i widmo nad zwyczajne zmysły jej odjęło. W gęstwinie szpalerem, blaskiem księżycyca zupełnie oświeconego, na przeciwko siebie Malwina ujrzała drugą postać Ludomira; postać ta okropność i roz-

pacz nosiła na twarzy; nielad włosów i bladeść nadzwyczajna mieszkanka już nie tej ziemi wyrażać zdawała się. Malwina zemdlala zupełnie, a księżę Melsztyński, który, tyłem obrócony do szpaleru, nie mógł widzieć przyczyny jej przestachu, rozumiejąc, że krzyk ten okropny, którego oboje słyszeli, jedynie sprawiał jej trwogę, niemniej jednak, jak Malwina, został zleknionym, widząc ją leżącą bez duszy i tak daleką od wszelkiego ratunku. Oparł ją o ławkę, a sam poleciał do lachy czerpać wodę w kapeluszu, nie mając naprędce innego sposobu ratowania jej. Szczęściem ludzie Malwiny, niespokojni, widząc, że tak długo nie wraca, szli właśnie jej szukać i, słysząc ten krzyk okropny, zbiegli się nad lachę, gdzie znaleźli panią swoją, jak martwą, leżącą, a księcia Melsztyńskiego, któremu ten widok przytomność odejmował, w ostatniej rozpaczy.

Długa i ciężka choroba przypłaciła Malwina to widzenie, a po przyjęciu do siebie ucieka od tych wspomnień do Krzewina. Tymczasem z pola walki dochodzą wieści, że w bitwie pod Mohylowem ks. Melsztyński został ocalony przez nieznanego rycerza, który o mało tego nie przypłacił życiem; szukano go potem wszędzie, chcąc go wynagrodzić za to bohaterkie poświęcenie, ale znikł gdzieś bez śladu. Nadspodziewanie odnajduje się w Krzewinie, w samotnym domku na kępie; ku jeszcze większemu zdziwieniu wszystkich okazuje się, że jest on ludzako podobny do ks. Melsztyńskiego, a Malwina poznaje w nim owego Ludomira, z którym spędziła tyle uroczych chwil w Krzewinie. Z opowiadań młynarki, która pielęgnowała Taidę podczas choroby, okazuje się, że Taida powiła nie jednego, lecz dwu synów - bliźniaków, z których jeden, dla znamienia na ramię, został nazwany Płomieńczykiem. Ów Płomieńczyk, wyszedłszy kiedyś do lasu na jagody, zaginał, a młynarka, chcąc uniknąć odpowiedzialności, utyla przed ojcem Taidy istnienie dwu synów. Płomieńczyka wzięli z sobą cyganie, a potem wychowywała go pewna dobra kobieta, u stóp Karpat, wśród skał i lasów; owa to właśnie natura górską bogata i dzika wyrobiła w chłopcu wrażliwość i uczuciowość, cechy charakteru, które od pierwszego poznania pociągnęły ku Ludomirowi serce i wyobraźnię Malwiny. Wszystko pomyślnie się kończy, bo i Malwina wychodzi za Ludomira Płomieńczyka, i ks. Melsztyński, wyrzekłszy się płochych i lekkich miłostek, żeni się z jej siostrą, Wandą. Romani cechując właściwy Pulawom sentymentalizm, ujawniającej się i w postaciach bohaterów i w sytuacjach. Rozmowy miłosne, pełne uczuciowości tkliwej, urwane, z towarzyszeniem wykrzykników, westchnień, a wreszcie i łez, całym potokami przelewanych przez bohaterów i bohaterki - oto czem charakteryzuje się Malwina. Jeżeli kochają, to czule i stale, z sercem gotowem do poświęceń; jeżeli spotykają się, to zawsze nocą, w parku: krzewińskim lub wilanowskim; jeżeli urządzają jakie zabawy lub uroczystości, to na tle mitologicznem jakiś obraz ślania-

kowy: np. na imieniny Malwiny Ludomir układa żywy obraz, w którym Wanda gra rolę Przyjaźni, a mała dziewczynka, Alina - Miłości. Ta skłonność do sentymentalizmu i marzytelstwa rozwinęła się w autorce pod wpływem Rousseau'a i Sterne'a, a także jej własnego, smutnego w samotności życia po rozjeździe się z mężem. Nie ulega wątpliwości, że w opisie pojęcia Malwiny z pierwszym mężem autorka ma na myśli siebie samą i ks. Wirtemberskiego. Dodac należy, że rozdział p. t. «Kwesta» zawiera sporo szczegółów obyczajowych z życia ówczesnej Warszawy; przytem Krzewin, nad brzegiem lachy wiślanej, z kępą, «cienistymi umajoną laskami», przypomina Pulawy; jest tu też opis Wilanowa ze wspomniałym parkiem; nie brak wreszcie i podkładu narodo-patryotycznego. Ma jednak «Malwina kilka punktów słabych, na których osnuwają się wypadki z życia obu Ludomirów i Malwiny: np. przyśległa Malwiny, że nie będzie nigdy starała się odkryć tajemnicy pochodzenia Ludomira, nadzwyczajne podobieństwo obu braci, niespodziewane zjawienie się Płomieńczyka w parku wilanowskim, przybycie jego do Krzewina, które rozwiązują spletną sytuację, i t. d.

Opracował H. GALLE.

XLV.

CHODŹKO JAN

(1777—1851).

Jan Borejko Chodźko urodził się w r. 1777 dnia 24 czerwca we wsi Krzywiczach w województwie mińskim, powiecie mińskim. Chmielowski w «Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej» podaje, jako rok urodzenia — 1776, jako miejsce urodzenia — Zaborze, nie wskazując jednak źródła, skąd czerpie wiadomości. My idziemy tu za wskazówkami Dominika Chodźki. Osierocony w młodych latach przez rodziców, nauki szkolne pobierał w Wilnie. Po ukończeniu szkół oddał się gospodarstwu rolnemu, nie zapominał wszakże i o obowiązkach społecznych i był kolejno sędzią, podkomorzym, wreszcie prezesem izby cywilnej mińskiej. Dom jego w Mińsku był prawdziwym ogniskiem oświaty i ruchu umysłowego. Między innymi był Chodźko członkiem loży wolnomularskiej, a potem założycielem i wielkim mistrzem dwu loży: w Mińsku i Wilnie. Ożeniony z Klarą Korsakówną, nabył majątek Parafianów, w bliskości rodzinnych Krzywicz. Przeniósłszy się do Wilna w charakterze prokuratora masy Radziwiłłowskiej (Jedyną spadkobierczynią olbrzymich dóbr Radziwiłłowskich była Stefania, późniejsza Wittgensteinowa), zyskał i tu uznanie: brał udział w pracach Szubrawców pod przydomkiem Wajzgantosa, został mianowany honorowym członkiem uniwersytetu wileńskiego, piastował też godność wizytatora szkół gubernii mińskiej i wileńskiej. W r. 1815 przedsięwziął podróż do Warszawy dla nawiązania stosunków z miejscowymi literatami i wolnomularzami. Do ulubionych jego rozrywek należał teatr amatorski: widowiska, składające się przeważnie z tragedji pseudoklasykcyjnych, odbywały się w miasteczku Zaborze w powiecie oszmiańskim, u marszałka Bujnickiego; Chodźko organizował je i sam też brał udział w ich wykonaniu z aktorami Teatru Narodowego w Warszawie. Sam też pisywał dramaty: sztuka okolicznościowa, napisana w r. 1812, zjednała mu rozgłos; w spuściznie jego

literackiej pozostały dwie jeszcze tragedye: «Bolesław Krzywousty» i «Krakus», z których pierwsza tylko była wystawiona. Największy jednak tytuł do pamięci dały Chodźce nie dramaty, i nie powieści, choć najlepsza z nich, «Pani kasztelanowa i jej sąsiedztwo», dzięki wyrazistości typów i scen rodzajowych, podobała się w swoim czasie niezmiernie, a Syrokomla wysoko ją stawiał: dla niezmiernie trafnej prawdy i rysunku staroświeckich typów i miłości, jaką te postaci otoczyły, i nie przekłady Scribego tem bardziej, ale nadewszystko i niemal jedynie utwór, przeznaczony dla szerokich warstw czytelnicych, p. t. «Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrujący» (Wilno 1821; wyd. 2-e tamże 1825, przekład litewski ks. pałata Rupejki, Wilno 1823); dzięki to przez komitet szkolny uniwersytetu wileńskiego zostało uznane za elementarne dla szkółek miejskich. Na starość Chodźko usunął się od spraw publicznych, osiadł zrazu w Krzywiczach, potem zaś, po sprzedaży Krzywicz i Parafianowa, w wydzierzawionym folwarku Janowszczyźnie, na samej granicy gubernii mińskiej i wileńskiej. Powołany w r. 1851 na członka mińskiej komisji budowlanej, przebiegł się w drodze podczas wizyt urzędowych i zmarł w Mińsku dnia 10 listopada; pochowany w Zaslawiu.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

Zbiorowe wydanie dzieł Chodźki wyszło w Wilnie w r. 1857—42, w dwunastu tomikach. Treść tych tomików, jak również szczegółowy wykaz osobnych druków i rękopisów, podaje Dominik Cezary Borejko Chodźko w życiorysie Jana Chodźki («Teki Wileńskie» N. 5, str. 271—292) «Pr. art. Chmielowskiego w «Wielkiej Encyklopedii Ilustr.»

„Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrowny“ (1821).

Dziełko niniejsze, «uznane przez Rząd Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu za pożyteczne dla szkół parafialnych», a natchnione przez «Pielgrzyma w Dobromilu», składa się z dwu części, każda po 11 rozdziałów. Pomyśl jego przypomina nieco «Pana Podstolego» Krasickiego w szatę powieściową przybrany szereg nauk i przepisów życiowo-moralnych. Akcja powieściowa, jak i w pierwotworze, niezmiernie uboga: pan Jan ze Świsłoczy, zany kramarz wędrowny, chodził od wsi do wsi, z kierzmasu na kierzmas, z odpustu na odpust ze swoim towarem, składającym się z książeczek popularnych, rzeczy potrzebnych i pożytecznych włościanstwu, a także z przetrzost, nauk, wskazówek, które wypowiada bądź w rozmowach z chłopami, bądź do autora. Są tu więc rady gospodarskie: orce i uprawie roli, o hodowaniu i leczeniu bydła rogatego i koni, o pszczelarstwie, o sadownictwie aż do drobiazgowych wskazówek bielenia płótna, rozpoznawania grzybów trujących i jadalnych i t. p. Wiele tu też znajdziemy wskazówek

hygienicznych, dyetetycznych, a także ratowniczych w nagłych wypadkach utonięcia, zacczadzenia, zamrznienia, zduszenia w tłumie, utracenia przytomności od pijaństwa, a to wszystko zaczerpnięte z dziełek popularno-medycznych, jak np. «Instrukcja o rozpoznaniu śmierci prawdziwej od pozornej», «O pozornej śmierci» Jędrzeja Śniadeckiego («Dziennik Wileński», 1805—6), «O ospie krowiej» prof. Augusta Becu. Wszędzie, gdzie zjawia się pan Jan, jest prawdziwym dobroczyńcą i opiekunem wieśniaków: ratuje ginących, uczy cenniejszych (zapomocą popularnej wówczas metody Lankastra), wykorzenia zabobony, jak np. wiara w czarownic, szwedza szkółki wiejskie, łagodzi dokończ obyczajów, tłumacząc np. chłopom, że nie należy bić żony, choć własnemu, przestrzega przed wszystkim oszustw i wydrwigroszów: cyganów, Węgrów-olejkarzy, znachorów, arandarzy, powstaje zwłaszcza przeciw Żydom, ciesząc się nadzieją, że rząd przesiedli ich do południowej Rosji, podnosi dobrobyt, ucząc np. dzieci wiejskie koszykarstwa, gromi najbardziej za pijaństwo, a z powodu jakiegoś chłopaka, który odciał sobie palec, by nie pójść w rekruty, karci uchyłanie się od służby wojskowej; wrzesieć w postaci dawnego wojakowego kreśli typ doskonałego, rządowego, pracowitego i postępowego rolnika. Dziełko to, drugie z szeregu tudowych w naszym piśmiennictwie po «Pielgrzymie w Dobromilu», natchnione ideami wieku «oświeceniela», mimo pewnych tendencji nad miarę lejałlistycznych sprawia niezwykle dodatnie wrażenie swą gorącą chęcią niesienia dobrobytu materialnego i duchowego pod strzechy.

Kiermasz w Czaśnikach. — Zdanie pana Jana o żebrakach. — Przypoda z małżeństwem swariwim. — Wróżbiarstwa Cyganów.

246) *Cs. I. str. 29—37.* Nic szczególnego nie zdarzyło się nam w dalszej podróży. Pan Jan znalazł wiele osób znomych sobie na kiermasz w Czaśnikach; a że te doświadczyły nieraz jego rzetelności i innym ją zalecały, wyprzedal znacznie towarów, tak dalece, że, czując potrzebę odpoczynku, wcześniej przed wieczorem zamknął kram i udał się ze mną na przedchadkę dla przypatrzenia się kiermaszującym.

Blizko kramów siedzieli na ulicy we dwa rzędy żebracy, rozmaitem kalectwem dotknięci, i ciągłym wrzaskiem wzbudzali przechodzących do litości. «Moi panie, rzekł do mnie pan Jan, nigdy nie mogę bez gniewu i zawstyżenia patrzeć na nielad i prawdziwie niechrześcijański obyczaj w naszym kraju. Niema tego gdzieindziej: każdy gospodarz w domu utrzymuje okaleczonych lub zgrzybiałych rodziców i krewnych swoich; a gdy są pozbawieni rodziny, wieś ich rodzinna dostarcza z ogólnej składki na wyżywienie i odzież. Ta obojętność na cierpienie i nędzę bliźniego przeciwna jest głównej zasadzie świętej re-

ligii naszej, nakazującej, abyśmy się wspólnie, jak bracia, ochali i wzajemnie wspierali siebie we wszystkich przygodach życia tego, zwłaszcza nie z winy naszej przytrafionych [lak]. Ścierpiż przykładny i bogobojny chrześcijanin, aby dzieci własnych rodziców zgrzybiałych z domu na żebranie puszczały? aby rodzina nie przytułiła w chacie swojej krewnego, gdy go kalectwo dotknęło? A gdy ci nieszczęśliwi nie mają nikogo ze krwi, czyliż dopuści, aby dlatego włożyć się mieli? Nie jestże powinnością każdego korzystać z nauk, jakie gorliwi plebani wykładają prawdy Ewangelii świętej, tak często powtarzają i własnym zachęcają przykładem? Nie trzeba na zaliczenie nieodbitych potrzeb prawdziwie ubogich wielkich nakładów; małe ofiary, ale rzadnie użyte, stałyby się dostatecznym w każdej parafii funduszem do utrzymania zgrzybiałych i kalekich. Co gorsza, mospanie, że liczba żebraków coraz zdaje się powiększać. Niejeden, sprzykrzywszy pracowity kawałek chleba, okryje się brodą, zawiesi torbę na plecy i dalej na wędrowkę; a nikt go nie spyta: dokąd i dlaczego wędruje? Patrz WPan! Oto ślepy dziadek mija, chłopak wyrostek prowadzi go; rozumiesz może, że to syn pobożny czyni tę usługę ślepowemu ojcu? Przekonajmy się. — «Staruszkul czy tutejszy jesteś?» — «Nie, do brodzieju, przywlokłem się z daleka». — «Skądże przecie? Aż z za Połocka». — «A tenże chłopiec, czy to twój wnuk?» — «Nie, mospanie, to jest sierota, służył za pastuszka u gospodarza, namówiłem go, aby mnie prowadził, i posłaliśmy razem». — «A widzisz WPan — rzekł dalej pan Jan — to już nowe pokolenie żebraków. Chłopak ten do niczego zdalny nie będzie, nauczy się zmlodu próżnowania, pijaństwa i temu podobnych nalogów; przywyknie do łatwego chleba: cóż będzie czynił, gdy mu go zabraknie? Bogdajbym nie wywróżył! ale wyjdzie niezawodnie na hultaja i złodzieja. Gdyby ten ślepy został w swojej wiosce i pilnował parafialnego kościoła, nie potrzebowałby przewodnika. Gdyby gospodarze, sąsiedzi jego, znali obowiązki religii, nie puściliby go na włóczęgę; przewodnik pomagałby któremu w chacie i wyrósł z czasem na dobrego parobka, a teraz już go i poprawić nielawo».

Szliśmy dalej. «Hej, hej, panie gospodarzu! — zawołał pan Jan — za cóż waszeó bijesz tę biedną kobietę?» — «To jest moja

żona» odpowiedział. — «Tem ci gorzej, przyjacielu! Bóg ci dał towarzyszkę nie dlatego, abyś się z nią po katowsku obchodził; jest to współniczka twego życia, matka twych dzieci i gospodyni domu, a zatem warta poszanowania». — «Ej, co tam — ofuknął się wieśniak — co to do wasześci należy? Ja wiem, co robię». — «Nie chce mi się temu wierzyć — odpowie pan Jan — ale przecież powiedzcie, o co rzecz idzie». — «Wieśniaczka: Ach, dobrodzieju! nie uwierzysz waszeć, co to za przekłętą opilec! Dziś rano poszliśmy na kiermasz i kożę do sprzedania wypradzili, przedaliliśmy ją za złotych 6, potem on i ja byliśmy na chwałę Bogu u spowiedzi, po nabożeństwie wypiliśmy kwaterek wódki; chciałam, żeby się na tem skończyło; ale ten opój, dobrawszy sobie podobnych towarzyszków, już dwa złote przepił, i nie można go z karczmy wyciągnąć; biedna ja kobietko! Dzieci bez chleba w domu placzą, a on tu bankietuje i póty będzie siedział, aż wszystkie pieniądze przepije. — Wieśniak: Co tobie do tego, te pieniądze są własne moje, rozumiesz? ja za swój grosz piję. — Wieśniaczka: Twoje, opoju, twoje! a to skaranie Boże!.. przemieniłeś z Żydem-arendarzem moją posadną krowę na tę kożę, wziąłeś przydatku rubla i dwa garnce wódki, przepiłeś wszystko i jeszcze teraz gadasz... O, ja nie-szczęśliwa kobietko! skarał mnie Pan Bóg takim hulajem. — Wieśniak: A pókiż tego... Tu znowu zabierał się do bicia żony, ale pan Jan przeszkodził i tak mówił do wieśniaczki: «Matko! zatrzymaj swój język, on tu nie tylko nic nie pomoże, ale gorszego jeszcze narobi licha. Powiadasz, że byłaś u spowiedzi, musiałaś wyznać przed kapłanem grzech tak ciężki, to jest święgotliwość, dla której, jak uważam, ustawnie mówią głowę pilujesz. Któż wie, może zmartwienia, jakich stajesz się przyczyną, przyprowadzają go do pijaństwa? Bądź więc, matko, łagodną; powiedz w czasie, co masz powiedzieć, bez wyrzekania i przekleństw; zobaczysz, że Bóg cierpliwość twoją pobłogosławi, mąż się ustakuje, i gospodarstwo poprawicie». — «Ach! jakże WPan słusznie mówisz — przerwał wieśniak — Powiedziawszy prawdę, nie myślę czasem pójść do karczmy, ale, jak zacznie Agata mleć językiem... Człowiek nie święty, w złość wpadnie i upije się z biedy». — «To nie wymówka, gospodarzu — odpowie pan Jan — mąż jest głową domu; żebyś waszeć był

pracowity i stateczny, żebyś dawał dobry przykład żonie i dzieciom, żebyś dobytku i chudoby z domu do karczmy nie włożył, wszystko inaczej byłoby; żonaby ciebie szanowała i słuchała, ustalaby przyczyna do swarów, gospodarstwo szłoby, jak z płatka, a dobra corazby przybywało. Ale to, jak uważam, obojeście lepsi; a co najgorsza, że i spowiedź wam nie pomaga; gdy nawet tego dnia, któregoście za grzechy swoje żalowali, znowu do nich powracacie. Posłuchajcież mnie teraz, wstrzymajcież się od nalogów swoich i od dziś dnia zaczniecie [tak]; z początku będzie może ciężko, ale potem sami nie przychylności; pracujecie szczerze i wspólnie, a Bóg wam pomoże. Tymczasem ruszajcie zaraz z kiermaszu i prosto jedźcie do domu». — «Niechże i tak będzie — rzecze wieśniak — aby tylko w pokoju». — «Ręczę ci za to, Macieju — odpowie żona. — Dziękujemy WPanu za dobrą radę».

— «Cóż tam znowu nowego — rzecze pan Jan — gdyśmy kilkadziesiąt kroków rynkiem uszli. — To są, widzę, Cygani i Cyganki, których tłum wieśniaków otacza; otóż podobne Żydom pijawki; pójdźmy przypatrzeć się ich oszustwu. Cyganki wróżyły wieśniaczkom z rąk i z oczu, a cygani grali na szalambajach i tańcowali. Zbliżyliśmy się w cichości. Pan Jan poskoczył raptownie i schwycił jednego Cygana, wyciągającego wieśniakowi worek z kieszeni. «A tuś mi, lotrze! — zawołał — także to pięknie bawicie tych łatwoiernych ludzi?» Wyrwał się winowajca i potrafił ukryć się w ciżbie; pomieszali się tańce i wróżbiarstwo. A pan Jan, oddając skradziony worek wieśniakowi, tak mówi: «Moi przyjaciele, żal mi was prawdziwie, że się pozwalacie durzyć tym oszustom; gdy jeden was zabawiają, a druzdy przysze rzeczy niby wróżą; każdy z nich o tem tylko myśli i na to cały próżniacki wysiła dowcip, jakby was oszukał lub okraść. Pomiarukujcie sami: żeby ich wróżby szczęście jakowe sprawić wam mogły lub przysze rzeczy przepowiedały, czyliżby najpierw sobie co dobrego nie wywróżyli i nie znaleźli sposobu wydzignienia się bez pracy z nędzy, w jakiej zostają? Przyszłość jednemu tylko Bogu wiadoma; ukrył on

przed człowiekiem dalszą kolej życia jego, aby w pracy swojej szukał zabezpieczenia od nędzy i kawałek chleba spokojny na starość przygotował. Ty, matko, chciałaś się zapewne od tych bałamutek dowiedzieć: czy będziesz miała z dziełek swoich pociechę? lecz ta od ciebie samej zawisa: wychowuj je w bojaźni Bożej, bądź sama przykładną i cnotliwą i nic takiego nie dopuszczaj się, ooby dzieci gorszyć mogło; zaprawiaj je wczesnie do pracy i trzeźwości, nie psuj pieszczotą, nie kochaj jednego więcej nad inne, a zobaczysz, że ci się wszystkie udadzą, i na starość będziesz z nich miała pomoc w domu i poszanowanie, najmilszą za starania rodzicielskie nagrodę. A ty, dziewczyno, czegoś się pytała? pewnie o zamążpójście, kiedy nastąpi, i jakiego dostaniesz męża? Płonisz się więc prawdą wiedzieć o tem, że i ja wróżbitem jestem, a jeżeli rady mojej posłuchasz, najlepszy w wiosce dzieciuch nie minie ciebie. Bądź zawsze obyczajną i skromną, tak ściśle przestrzegając siebie, aby i najjadowitszy język nie złego o tobie powiedzieć nie mógł; to w twoim stanie najpierwsza cnota. Niewiele usiłuj, aby ubrać się wykwintnie i pięknyć; to płochych tylko pociąga i niejednego kłopotu staje się przyczyną; ochędoźnie i podług stanu ubrana dziewczka najlepiej się podoba, bo często ludzie o wewnętrznych przymiotach z powierzchowności sądzić zwykli i nie zawsze się mylą. Bądź pracowitą, wszystkie roboty, stanowi swemu przyzwolite, umiej dobrze i wypelniaj je ochoczo, unikaj swarów i plotek, nie mów źle o nikim, aby o tobie we trójnasób nie odgadali. A z tymi przymiotami, choćbyś i posagu nie miała, zaręczam, że najlepiej za mąż pójdziesz. Wy zaś wszyscy, jeżeli dobra swojego pragniecie, unikajcie na zawsze społeczeństwa Cyganów; czegoż dobrego od tych włóczędzów nauczyć się możecie? Zastanówcie się sami i osądźcie, jakiej wartości jest człowiek, który, będąc zupełnie zdrowym, unika pracy i z oszustwa tylko chce pożywać chleba? Strzeżcie się ich, jak morowej zarazy, i, skoro się we wsi pokażą, wyganajcie natychmiast. Hultaje nie zasługują na litość; okazać im, owszem, wzgardę należy i zamknąć serce i chatę przed nimi. To będzie jedyny sposób poprawienia ich i przyuczenia do pracy.

Ledwie skończył mówić pan Jan, hałas wielki dał się słyszeć opodal. Pobiegliśmy w tę stronę i dowiedzieliśmy się, że

Cygan ukradł włóścianinowi konia i co tchu z nim umknął. «Otóż to prawdziwie nauka, doświadczeniem wsparta — rzekł do mnie pan Jan, wzruszając ramionami. — Mój Boże! i takich proźniaków i złoczyńców cierpią jeszcze! Lecz i my tutaj czekać nie mamy czego; opuścmy miasteczko przed nocą, aby i nam co podobnego nie przytrafiło się w kiersmaszowym zgielku».

CHODAKOWSKI
(Czarna Akademia)

Pracował H. GALLE.

XLVI

CHODAKOWSKI ZORYAN (Czarnocki Adam)

(1784—1825).

Przyszedł na świat w Podhajnej pod Nieświeżem w województwie Nowogrodzkim, jako syn oficjalisty wiejskiego, Jakuba Czarnockiego, zbieднаego, może nie bez winy własnej, szlachcica, którego stryjowie i bracia posiadali wieś i wioski na Białorusi, zwłaszcza w Sluczczyźnie. Gdy matka zmarła, a ojciec w poszukiwaniu lepszej doli powędrował na Mazowsze, ośmioletniego chłopca wziął do siebie brat matki, ksiądz Borodziej w Mińsku. Chłopiec umiał już jakotako czytać, wuj go w sztuce tej wykształcił, a dziecko chciwie bardzo jeło się książki. Po trzech latach ojciec wrócił w strony rodzinne, lecz za nim szła i dawna bieda; widząc zdolności marniejące z braku nauki, odważył się uderzyć do zamożnego krewnego, Ksawerego Czarnockiego, podstolego witebskiego w Leczyźnie; przywiózł mu syna na wychowanie. Podstoli nie był niechętny, wybaczył krewniakowi biedę i dziecie jego do swego domu przyjął. Adaś dostał się pod ochmistrza domowego Małowicza, któremu wspomnienia rodzinne wystawiają dobre świadectwo. Chłopiec uczył się tak pilnie, iż po dwu latach niespełna można go było oddać już do średniej klasy (gramatyki) trzyklasowych szkół sluckich. Szkoły słynęły, ale uczeń, ponad zwykły poziom już odczytany, żywy, rozumny i poważny, nie był z nich zadowolony; wszedłszy na retorykę, w 15-m roku życia, w pamiętniku swym zapisał wstępnie: «O, żebym ja choć od jednego człowieka doznał zachęty! Żeby mnie choć jeden zechciał nauczyć co myśli, żeby choć jeden chciał zbadać co ja myślę» — a ojcu usprawiedliwiał się ze zły cenzur: «Nie ma tygodnia jak stopy nauczycieli łzami oblewalem, błagając: uczcie mnie, uczcie. A oni, zowiąc mnie niesfornym, upartym, zgromili i gniewają się, że ja dalej a może głębiej zapuszczam spojrzenia niż oni». Mógł się nawet co do tych

spojrzeń nie mylić: w szkole umysłowi tak ciekawemu i rozprężliwemu było zaciągnięto i stąd niezchęcenie, zaniedbywanie się w nauce, która, będąc przezwadnie formalną, filologiczną, w duszy rwącej się do życia, do ludzi żywych, nie do liter, zostawiać musiała po sobie czczość. Niezawodnie też do ujemnego nastroju przyczyniło się i uczucie miłości własnej, nieraz smaganej w domu bogatych krewnych. Przebywszy obie dwuletnie klasy, d. 12 lipca 1801 r. ukończył retorykę a z nią i szkoły.

Ojciec już nie żył, zmarł był przed rokiem. Osierocając 17-letniego syna, zwał na niego ciężar: dwoje przyrodniczych z drugiego małżeństwa. Adam zaopiekował się drobiazgiem jak mógł: wyjednał oboju przytułek u krewnych, ale już innych, w głębszej Sluczczyźnie. Co miał z samym sobą robić — nie wiedział. W palestrze pewny był zawsze kawałek chleba. Czarnocki, przy swej chciwości na książki, i dawniej już nieraz pewno do Statutu zaglądał, a teraz, gdy musiał nie tylko o sobie samym myśleć, ale i rodzeństwem się opiekować, odzyskanie domu w Mińsku, wydzieranego jeszcze ojcu w niesprawiedliwym procesie, mogło się stać poważnym celem wiedzy prawnej, sztuki wygrywania procesów. Tej też sztuce poświęcił się młodzieńczo, szukający drogi swej przez świat. Tułając się po Nowogrodzkim, w r. 1803 zaczął praktykę przy adwokacie-regencie w Nowogrodku; wyrobił się szybko; w końcu r. 1805 musiał zdać jakiś egzamen, gdyż w styczniu następnego wystawiono mu patent na regenturę ziemską w Slucku, co dawało już stanowisko. Jedną z najpierwszych spraw wygranych było wypędzenie wdzierców z owego domostwa mińskiego; oddał je Adam bratu i siostrze przyrodniej, zrzekając się wszelkich praw własnych. W całej krótkotrwałej praktyce największe dla niego samego znaczenie miały archiwa sądowe w Nowogrodku, Slucku i Mińsku, które przeglądał, wraz z kronikami i herbami; sama praktyka przywiązać go do siebie nie zdołała; dążności czysto umysłowe silniejsze były od pomyślnych korzyści, jakie daje adwokatura. Bywając w Leczyźnie, przemierzając tam nawet czas dłuższy, pozbywał się niechęci, zawiązał nawet z młodym krewnikiem swoim Karolem stosunek serdeczny i zapewne temu później zawdzięczał poparcie do Niesiołowskiego, ostatniego wojewody nowogrodzkiego; w marcu 1807 r. został zastępca pełnomocnika, a wkrótce i samym pełnomocnikiem, i osiadł w Woronicy. Obowiązki swe spełniał dobrze, ale z największą gorliwością porządkował archiwum, które znowu pozwoliło mu zajrzeć w przeszłość. Niema śladu, aby zetknięcie się z ludem obudziło wówczas już, w okresie pospolnym, jakkolwiek chętkę ludoznawczą; żadne też świadectwo nie stwierdza skierowania się już wtedy myśli twórczej na Slowiadźszczyę.

W życiu Czarnockiego miał nastąpić zwrot niepodziewany. Signęła po niego z księstwa idea niepodległości. Skarżył się był później na Czarnockich, że wychowany wśród Polaków, nie był wychowanym na Polaka; teraz sam zapragnął Polakiem się okazać.

Jeden z młodych Niesiołowskich zbiegł był do Księstwa i zaciągnął się pod chorągiew narodową. Dobrze mu było w wolności i w wojsku; napisał do pełnomocnika w Woroneży: przyjeżdżaj. Czarnocki usłuchał i nierozważnie oddał list na pocztę. Czujnie miała wtedy oczy, uszy i nosy policja rosyjska: list przejęła i d. 5 marca (s. s. 1808) uwzięła Czarnockiego w Woroneży. Wędzony na kibitkę, przywieziony przed gubernatora w Grodnie, stamtąd dostawiony do Petersburga, przesiedział w Petropawłowsku do końca roku. Dnia 12 stycznia 1809 r. pognano go w party do Nowogrodu nad Wołchovem. Tam dopiero dowiedział się, że za owo przestępstwo listowe skazany jest na całe życie «w soldaty» i to w niezwykle soldaty, bo aż do drugiej dywizji, Głazenapa, o 3550 wiorst, do Omska. Oczywiście, utracił i szlachectwo. Znana dobrze Polakowi droga na Kazań, Perm, Tiumeń, prowadząc Czarnockiego na Syberję, dała mu poznać Rosję północną i zetchnęła go z jej ludami i ludzyszcami, poza Wołgą już wyłącznie fińskimi i mongolskimi. Zdaje się, że wtedy dopiero zaczęła się w nim obudzać ciekawość etnograficzna w najrozleglejszym pęczeniu. Sam on mówi, że po drodze zbierał wiadomości o Czerezimach, Wotiakach i Wogulach, ściągając z nich znamiona antropologiczne i układał słowniczek gwar ludków fińskich. Spotykany Polakom pisywał listy do kraju. U celu podróży stanął w początku lipca 1810 r. Niedługo miał być jego pobyt zrazu w Presnowsku, później w Omsku. Ledwo go w mundur żołnierski przyodziano, dywizja otrzymała rozkaz wyjazdu do Europy; Aleksander I, przygotowując się do wojny z Napoleonem, ściągając zawczasu swe siły. W końcu września rekrut maszerował już napowrót do Rosyi. Na zimowe leże dywizja stanęła w Permie i w okolicy. Czarnocki prowadził dalej swe wywiady etnograficzne, niedotykając jeszcze wcale Słowiańszczyzny. Wczesną jesienią roku 1811 znalazł się w Bobrujsku, gdzie karano dywizji się zatrzymać. Całą tę drogę wygnańczał tam i napowrót opisał w dzienniku pamiętniku p. t. «Bez chęci podróży mojej». Los obecny tych zaciekawiających zapisków wiadomym nie jest; zdjęcia etnograficzne uromił Czarnocki w podróży.

Zamiar powstrzymany w r. 1808 urzeczywistnił się w warunkach o wiele cięższych w 1811-m. Czarnocki zbiegł z szeregów rosyjskich do Księstwa; w kontrolach zapisano go jako umarłego. Według Lelewela do Warszawy przybył jako Zoryan Lubrański, a przybywał z «planem Bobrujska». Zapewne ten «plan», który mógł nie mieć istotnej wartości dla wojskowych, natchnął go myślą napisania listu do ks. Józefa i drugiego, do Sobolewskiego, następcy ministra policji. Rezydent francuski de Serra używał go do układów z duchowieństwem dalmackim, prowadzonych właśnie w Warszawie (Napoleon chciał wtedy w Dalmacyi urządzić hierarchię i liturgię słowiańską). Zbieg wstąpił do V pułku piechoty jako podoficer-furjer (pisarz kancelaryi batalionowej). W kwietniu z wielkiej armii, już ciągnącej na Rosyę, Davoust wysłał Czarnockiego za Niemen. Furjer był prawdopodobnie

użytecznym, bo kiedy d. 30 maja 1812 r. dawano mu urlop z pułku, zatrzymano go przy głównej kwaterze. Domyśla się Leleweł, że dociągnął tylko do Smoleńska. Po pogromie ukrywał się w okolicy Kiejąłowice w rodzinie Nowogrodzkiem, gdzie mu największe właśnie groziło niebezpieczeństwo, spotegowane jeszcze zakochaniem się w jakiejś Julii Czarnockiej, do której, jak z przekąsem pisze historyk, «czule kwilił piosenki». Nie wykwił małżeństwa i usunął się na Wołyń, gdzie go wcale jeszcze nie znano, a teraz poznać miano pod nazwiskiem Chranzowskiego. Przystąpił znalazł w Woroneżynie Kropińskiego, którego poznał był w Księstwie, jak i Karola Sienkiewicza. Zawiązał się stosunek ściślejszy; z dochowanych listów całość ogłoszonych dotychczas zesnastu stanowi ważny przyczynek do życia, umysłowości i prac etnograficzno-topograficznych Czarnockiego, a ukazuje generała w uchwycie spełnianej roli protektora i pośrednika do Puław i Sieniawy.

Na Wołyniu dopiero, i wogóle na Rusi polskiej, zrodził się badacz jestestwa i życia ludowego oraz marzył o przeszłości Słowian. Lata 1813—7 uczyniły go takim, jakiego już widzimy w dziejach naszej umysłowości. Wtedy-to zebrał te wszystkie pieśni, legendy, dumy i podania ludu rusińskiego w ziemiach Rzeczypospolitej, które kto inny (Rosyanin Maksimowicz) miał wydać pod swoim nazwiskiem. Wtedy, przebiegając rozległą krainę mogłami usianą, horodyszczami w dorzeczu Prypeci tak zaciekawiająca każdego podróżnika, powziął pierwszą myśl układu jakby systematycznego, w którym przy bójnej swej naturze, więcej do poetyzowania w nauce, niż do twardego trudu stworzony, postawił zachwał hipotezę podzielał prastarej Słowiańszczyzny na «okręgi duchowe», źródłowane właśnie w horodach, horodyszczach, — nie w grodach, ale w grodziskach, miejscach ogrodzonych, świętych, typowo skupiających w około siebie, jeżeli nie te same, to pojęciowo i celowo zbliżone nazwy uroczysk, miana miejscowości wybitnych. Wtedy zaczął szukać owych «starych set» (stare sta), które miały uzupełnić systemat ogrodzisk jako całości społeczne świeckie pod wspólnym teokratycznym zarządem. Wtedy-to zawolał: «Jest, zaiste, szczęście na ziemi tułać się pomiędzy ludem, żyć całą siłą poetycznego życia wieśniaków». Zakochał w ludzie rzucał światu, rzucał szlachcie polskiej wyzwanie: «Pokażcie mi chociaż jednego rolnika chłopa, któryby z własnego popędu źle robił! Złe ma serce, kto ludu nie kocha całą braterską miłością». Wtedy też na koniec, podczas tych wędrowek po Rusi gromadziły się w marycielskiej głowie postaci do tego uroczego widzenia, blaski do tej jakby jutrzni przyszłego naukowego rozumu, które jego rozprawce «O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem» zapewniają najtrwalszą u potomnych wartość.

Dawszy się poznać w Krzemieńcu, dokąd często zaglądał, aby się uczyć, wczytywał w książki i rękopisy, a gdzie pozawierał liczne stosunki osobiste (tylko nie z Czackim, jak chce Gawroński, bo

Czacki od 20 lutego 1813 r. już nie żył), zaznajomiwszy się z Gołębiowskim w Porycku, zalecony przez Kropińskiego, znalazł się w sierpniu 1817 r. w Puławach już jako «Zoryan Dołęga Chodakowski» — od chodaków nazdzieranych w wędrowkach między lud. Do tej transfiguracji przykładał się i pieczęć z herbem Dołęga w otoku szafszowanych run prywlickich, które wyrażać miały imię i nazwisko. Zbiory, które nagromadził, badania, których dokonał, opowiadania przygód, może nawet i zwierzenia się z tajemniczej przeszłości, ogień w oczach, głowie i mowie — cała niepospolitość zjawiska, czyniąca z twarzy grubej, ospowatej, brzydkiej oblicze piękne, uderzyła księcia-wojewodę i przychylnie go usposobiła: poddał Czarnockiemu myśl ujęcia pojęć zasadniczych jakby w prospekt przyszłego wielkiego dzieła. Obejrzawszy zbiory puławskie, zasłony na drogę, wyruszył starożytnik dnia 7 września 1817 r. na wędrowkę; zwiedził Czarnolas, Sandomierz, Łysą Górę, Kielce, Chełciny, Małogoszcz, Lelów, Częstochowę, Smoleń, Skalę i Dolinę Ojcowską wyszedł na północne płaskowzgórza Krakowa. Na Łysicy doznał wrażenia «jakby jakiegoś przedziału w świecie»; nie wątpił już, że tu spełniała się część «Ledy, Leli i Poleli». Pieśni z ludu polskiego nie zbierał tak, jak z rusińskiego. Dopiero w N. M. Korczyńcu i pod Głowem zapisuje pieśń o Turze, której potrzebował do swego systemu. W całej tej wędrowce i w dalszych, już po zaborze austriackim, głównie go zajmują owe «stare sta»; jak zbierał je z okola Łysej Góry, tak się o nie kusił około Krakowa, Przemysła, Halicza, Lwowa. Przebiegając kraj polski nadzwyczaj szybko, nie tak, jak na uczonego przystało, zawyrokował, że nie ma tu nawet jednej dziesiątej tego, co między Dnieprem, Dniestrem i Bugiem. W Krakowie oglądał, wymierzał, porównywał, starożytność oceniał mogily, nicował nielitostwie Kraka, księży, chrześcijaństwo, Kadłubka, martwość krakowską. Naukowość Bandtkiego odrzucał i do niej przyglnął, a znajomość, przeciagnioną w korespondencyę, starał się dla mogił, domyślnych grodzisk, daleko, aż pod Opawą i Wrocławiem, wyzyskać. Po 9-tygodniowym pobyciu w Krakowie w grudniu ruszył nad Nidę; szukał jeziora Czartory, ale znalazł tylko rzeczkę pod Winiarami. Dunajcem i Białą podpłynął pod Tarnów. Mogiły spać mu nie dawały; zwiędzając je na zachodzie, wypatrywał je pod Moskwą, dopominał się ich wymiarów z pod Owruca.

Na Nowy rok 1818 zjawił się u księcia-generała w Sieniawie. Ks. Adam Jerzy nalegał o rozprawę. W lutym Czarnocki zebrał i uporządkował myśli, a 15 marca domosił już o rzeczy napisane. Chociaż rys Słowiańszczyzny uważał za «przedczesny», chociaż uległ był namowię «z niechęcią», z pracy jednak gotowej był zadowolony i jął osnawać na niej wielkie nadzieje. Przesyłając rękopis Czartoryskiemu, dołączył zaofiarowanie staro-słowiańskie dla Alexandra I, ułożone stylem niestychanie nadętym, wraz z prośbą o jaknajszysze odpisanie rozprawki i złożenie jej wraz z dedykacją »Wielkiemu Kaganowi, Najstarszemu staroście słowiańskiemu; pewny był

że mu cesarz i król przyzna sutą na wiele lat pomoc pieniężną. Czy Czartoryski prośbę spełnił? Braknie dowodu przeciwnego, ale jest dowód w rzeczy samej tkwiący, że chyba nie spełnił; poprzestał zapewne na oddaniu rozprawki do «Cwiczeń naukowych» Krzemienieczan, w Krzemiecu bowiem, «na szczycie Dziewiczej góry» wysnuł Czarnocki pierwsze pasma tych myśli, które weszły w rozprawę. Marzyciel tak wielką przejęty jest wiarą w swój poemacik prozą, że poleca w Krzemiecu odczytać go zbiorowo, wyznacza nawet lektora; posyła odpis własnoręcznie Kropińskiemu, każe sporządzić z niego inny dla Platera i inny snowu dla wyższego duchownego prawosławnego, Romanowskiego w Ostrogu; dba o przekład rosyjski jaknajlepszy i wysłanie jego do kanclerza Rumiancewa zaleca. Już wtedy, w Sieniawie, widząc, że Czartoryscy nie dadzą mu upragnionego subsydyum, a przeczuwając, że Uniwersytet Wileński lub Liceum Krzemienieckie dadzą zbyt małe — myślał o zwróceniu się na wschód, o zawitaniu do Moskwy i uderzeniu osobistem do kanclerza.

Rozprawka, napisana świetnie, jakby jednym tchem, pełna wiary w niezawodność marzeń i skuteczność naukową pomysłów, rozlegała szerokie widnokręgi, wypełniona myślami o wielkim promieniu — gorąca, jasna i z ducha swego młoda, podobala się szczególnie młodemu, pośród których wielu zapaliła, a zjednała sobie odrzucenie uznania i w pośród starych. Tow. Przyj. Nauk nie mogło odmówić wniosku o zaszczytowanie tak świetnie występującego badacza tytułem członka-korespondenta. «Pamiętnik Lwowski» z r. 1819 nie zaważał się rozprawy przedrukować. Imię Chodakowskiego stało się głośnem na całą Polskę. Oziębłe, trzęszo zachowali się Śniadeccy; otrzymawszy od kuratora przed zamierzonym zasiłkiem staliśmy rozprawę do opinii, wraz Jundziłłem nie ulekli się wytknąć «niedostatecznego» przygotowania naukowego.

Odezwa rektora Malewskiego z taką opinią zastała już Czarnockiego w Międzybożu na Podolu. Przebiegłszy w maju przez Halicz, Wierch Racie, Rawę, Potylicze, Żółkiew, Kreczów, Goraj («Górę Rajską»), na początku czerwca zawitał do Lwowa, gdzie spotkał się z Gołębiowskim. Zaczął sobie wyrybiad urzędowe pozwolenie na wędrowki po Galicyi. Czy je otrzymał — niewiadomo; ale niema śladu, aby z niego korzystał. Korespondencya ukazuje go w środku paźdz. 1818 r. już za kordonem, w Klewaniu. Stąd zwiędził Peresopnicę i Czartorysk i napisał list do Ordynata Zamoyjskiego o zapomogę; w odpowiedzi otrzymał «list chlubny», ale bez pieniędzy. Środek ciężkości groził przeniesieniem się na wschód, bo i Czartoryski milczał, a nowa miłość, dla Józefy Kulezyńskiej, posiadanej panny w Peredyłu, na Wołyniu, podczas wycieczek z Klewania skrytalizowana w pomysł małżeństwa, rozbiła się o odmowę i samej panny i jej rodziców. Jakby na ironię właśnie z rąk jej otrzymał od Rumiancewa zachętę do przyjazdu. List z Międzyboża d. 25 (18) listopada do Kropińskiego oddaje ten nastrój, w którym dusza polska, zwolna, lecz

stałe, wskutek radykalizmu w myślach, omdlewająca, a wskutek samych marzeń wiedzy przez pra-słowińskią wypierana, chylić się zaczęła ku «Rusej kosiej», jak Czarnocki krainy państwa rosyjskiego nazywał. Korzystając z zachęty pojechał do Homla i był tu już niezawodnie na wiosnę 1819 r. Pół roku w tej miejscowości przepędził i dopiero gdy Czarortoryski przyzwał pieniądze, d. 21 (9) września wyruszył na Mobyłew, Witebski, do Połocka, gdzie pożegnał Litwę i na Siebiez pojechał do Pakowa. Tam nagle wziął ślub z towarzyszką podróży, Konstancją Fleming. W Nowogrodzie odwiedził uczonego arcybiskupa Eugeniusza, wypatrywał zabytki, wskazał niezawodne horodyszcze; podążył ku Narowie, był w Narwie, a rozpoznawając upostaciowanie powierzchni, ludność brał błędnie, ale uprzywie, za staro-słowińskią. Dnia 12 listopada 1819 r. donosił już Karolowi Czarnockiemu, że od d. 21 z. m. jest w stolicy północnej. Doznał tu przyjęcia nadspodziewanie uprzedzającego. Jego projekt podróży po Rosyi, zarysowany może już w Sieniawie, opracowany teraz na miejscu, w marcu złożony Galicynowi, min. oświaty, zaimponował nad Nową. Prezes Akademii Szyszakow odrazu już ofiarował był Polakowi tytuł członka-korespondenta. Zjednany Karanzjin wydał sąd przychylny. Galicyń wyłożył cesarzowi pożyczki naukowe przedsięwzięcia. W lipcu cesarz plan zatwierdził, kazał wypłacić 8000 rubli i wystawić glejft, otwierający dostęp do wszystkich miejsc badania i nakazujący dawać wszelką pomoc. Otrzymał Chodakowski i pomocnika, niejakiego Koszelskiego, płatnego ze skarbu. Cała podróż miała trwać cztery lata i stęgnąć do Starej Ładogi, Białego Jeziora i Dźwiny północnej, przeciąć Rosję od północy na południe, od zachodu na wschód tam i napowrót, na wschodzie przekroczyć Wołgę; zapuścić się aż do Jaiku i Uralu; na południu dotrzeć do ujścia Donu, do Tauryki i linańców czarnomorskich; wreszcie zasiągnąć jej zachodni ustąg miał dopiero na Rajgradzie, już w Królestwie.

Część tylko niezłączną rozległego planu wykonał Chodakowski od września 1820 do grudnia 1821 r. Poznał najpierw lud ziemi Iżorskiej na zachód od Petersburga, potem Czudów ok. Narwy; i tu i tam znalazł gródki, uroczyska, rzeki z nazw swoich słowińskich, i cieszył się, niepytając czy przed niemi nie było innych, nie-słowińskich. Zwidział ponownie Psków, Nowogród; był w Izborsku i Ładodze, Nowej i Starej; rozkopywał «sopki» (usypiska); odkrycia i sprostżenia zestawiał, porządkował, przetrabiał na wiedzę — wciąż w ogniu zapalu. W Ładodze pochował syna; chrzcil mu go i grzebał duchowny prawosławny. «Nie dobrze jest Polakowi rodzić się na obczyźnie» — zawołał nieszczęśliwy ojciec; ale nie dodał: «nie dobrze i żyć i umierać» — co na nim samym sprawdzić się miało. Na południo-wschód zapuścił się w gub. Kostromską; za górną Wołgą napotkawszy pole Bjełyje Bogji, rozradował się odkryciem, bo właśnie końcówki bog szukał. Wróciwszy na zachód, w Twerze utracił żonę. Teraz był już sam — z «ludami Rusej kosy», ze «skrzynią swych

marzeń» i charakterem uczonego rosyjskiego. Wędrował dalej; przywędrowawszy do Moskwy, z chlubą pisał: «Pierwszy ten kurs przyniósł mi 2000 grodzich, wiele imion Dunaju, Łady, Leli, Radogosta, Pieruna i 49 wyrazów kończących się na boh i buk». W Moskwie zajął się opracowaniem zdobycy: według szczegółowych map 21 gubernij poznaczal miejsca odkryć świeżych i dawniejszych, podobno nawet «Mapę słowińskiego grodzitwa»; pومیеjałwiał dialekty, krywickim szczególnie się zajmując; wzbogacił dawniej już rozpoczęty słownik geograficzny, do którego już w pierwszym wydaniu Historii Bandtkiego mógł znaleźć zachętę.

Obszerne sprawozdanie z podróży dostało się do rozpatrzenia umyślniej komisji z Kaładowiczem na czele. Sprawozdanie opracował śmiało, jak przedtem rozprawę twórczą. Ponieważ sam człowiek niezdolnym był do autokrytyki, nie było więc krytycznego zmysłu w summie jego pracy; spotkał ją też sąd surowy, a skutek sądu łatwo dawał się przewidzieć: już na jesień 1822 r. stosunki były zerwane; badacz został na bruku Moskwy. Życiowość M. Polewoja, u którego bywał i który go w ciężkiem położeniu wspierał, chroniła go od rozpaczey. Zarobku z odkryć swych spodziewać się nie mógł, a od pracy fizycznej odwodziło go jakby opętanie horodyszczami. Nieraz w głodzie i chłodzie chodził na t. zw. Rynek Błotny, aby się wieśniaków wypytywać o horodyszcza; ciągnięto go niekiedy na policję jako podejzranego. Natarczywym też był wobec nowych znajomości. Żył, sprzedając swe książki, pożyczając po kilka rubli, korzystając z miłosierdzia Polewoja, któremu w tragicznem położeniu swojem nie mógł się czem innem wywdziżyć jak tylko fałszywą autobiografią. I gdyby zdolnym był do sądu o sobie, niezawodnie wtedy, tułając się po Moskwie, byłby poczuł całą chępliwość tego zaręczenia przed wyjazdem na wschód, w którym zapewniał, że i za Dnieprem okaże się równie dobrym Polakiem jak nad Wisłą.

Z upokarzającego położenia wydobyl go dopiero po roku Polak, niewiadomego nazwiska, właściciel ziemski z gub. Twerskiej: wziął do siebie na ofycjalistę. Niegdyś zaród na wielkiego człowieka, teraz rozbitek, zaczął się gryźć swym upadkiem, tracił coraz bardziej równowagę, grzął coraz głębiej w środowisko, które już ani naukowym dążnościom, ani narodowemu sumieniu, ani samowiedzy własnej, tak niezwykłej indywidualności nie odpowiadało. Ożenił się z kobietą z ludu, i tak zasiawszy przed sobą nieszczęście, zapadł w mrok, zapragnął śmierci. «Wraca bocian w kraje przodków swoich; porzuca jaskółka nasze okolice i gil pieśń wznosi na bezlistnym drzewie! Ach, kiedyż ja porzucę to życie, co mi już przykre jest, co mię udreżca? Kiedyż powrócę w żalnik, tę krainę, w której się znajduję jak pod własną strzechą?» Nie był to już jednak duszy polskiej; było tęskne jakby rwanie się ducha, który z zamierzchłej przeszłości pra-słowińskiej zabłąkał się w wiek dziewiętnasty i nie umiał w nim żyć, a teraz chciał z niego w przedwiecze powrócić. I jako uczony i jako

człowiek strawił się wewnętrzną gorączką. Zmarł d. 29 (17) listopada 1825 r. w Petrowskoe Selo; Lelewel dodaje: «otruty».

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA. I. Jedynym drukiem polskim jest rozprawa «O sławiańszczyźnie przed chrześcijaństwem», wydr. w «Źwięzieniach Naukowych» warsz. z r. 1818 nr. 5, przedrukowana w «Pamiętniku Lwowskiem» z r. 1819 T. I nr. 1, następnie przez Helca w Krakowie 1835 r. wraz z krytyką Surowieckiego (ob.), czterema listami do Gołębiewskiego i wzmianką biograficzną, wreszcie przez Gawrońskiego w jego pracy o Chodakowskim; przetłumaczona na jezyk ros. «Bez chęci podróży moją» znana była przed r. 1830 i Gołębiewskiemu i Lelewelowi, pierwszy z nich odtworzył ją z notat Skimborowiczowi; obaj różnią się w opisie manuskryptu, liczącą dwieście kilkadziesiąt stron. Po śmierci Czarnockiego miała się ta «Podróż» dostać Tow. Prz. N. w Warszawie, a jeśli jej gospodarka Lindego nie usunęła ze zbioru, dziś jeszcze powinnaby się w nim znaleźć bądź w Warszawie, bądź w Petersburgu. W Moskwie miał Czarnocki pozostawić po polsku ułożony Słownik nazw horodyszcz i uroczysk okolicznych. «Projekt Chodakowskiego podróży do Rosyi dla objaśnienia historyi Słowian» zamieścił «Dz. Wileński» 1820 w przekładzie z «Syn Oteczestwa» nr. 33—6, 38—41. Fałszywa autobiografia, dla zatępienia przeszłości w r. 1822 napisana dla Polewoja, znajduje się w wyciągach w «Bibliograficzeskije listy» Koepena, r. 1826, a w całości w «Syn Oteczestwa» z r. 1839. Podanie do kuratora uniw. Charłowskiemu zamieściła «Kijewskaja Starzina» 1891 T. XXXIII (Gawroński). Zaofiarowanie Aleksandrowi I Rkps nr. 1002 Bbl. Ord. Kras. W Ossolineum Rkps nr. 953 «Drogi komunikacyjne w starożytnej Rosyi» (8 kart 4^o). Listy wydane dotychczas w liczbie kilkadziesiąt: 1) Do Gołębiewskiego — «Pamiętnik umiejetn. moral. i literatury» Warsz. 1830 (4). 2) Do Bandtkiego J. S. z r. 1817—8, z Krakowa i Sieniawy — «Pamiętn. naukowy» krak.; wyd. Gieszkowski, r. 1837 T. III, str. 16 (9). 3) Do Karola Czarnockiego z r. 1818—22, z Tarnogrodu, Międzyboża, Kijowa, Petersburga i Moskwy (od D. Chodźki) — «Athenaeum» Kras. 1842, tom I str. 227—36, II 203—18 (9). 4) Do Rakowieckiego J. B., Moskwa 29 stycznia (s. s.) 1822 r. — «Cmentarz Powązkowski» Wóycickiego T. II str. 56—8 (1). 5) Do Ludwika Kropińskiego z r. 1817—21 z Puław, Krakowa, Sieniawy, Lwowa, Klewania, Międzyboża, Homla, Petersburga i Moskwy. — «Bibl. Warsz.» 1866 II 161—97 (16). 6) Listy w streszczeniach i wyciągach w artyk. Skimborowicza w «Przełg. Naukowym» (ob. niżej).

II. O Czarnockim najwięcej wiadomości zebrał Rawita-Gawroński Fr. «Zoryan Dołęga Chodakowski; jego życie i praca» («Przew. nauk. i lit.» 1897 i os. Lwów 1898 188 str. 189—206 przedr.

«O Sl. przed Chrześc.»). Pierwszy prawdziwe nazwisko wyjawiał Eustachy Marylski w «Wspomnieniach». Wzmiankę poważną dał «Kuryer Polski» 1830 nr. 259. Dom. Chodźko w «Encyklop. powsz.» wileńskiej Odyńca-Glücksberga (1838) zamieścił wiadomość o rzeczywistem życiu Chodakowskiego przed znalezieniem się w Rosyi, a w «Tece Wileńskiej» 1857 nr. II str. 277—303 powtórzył ją, uzupełnił z listów, dodał przekłady z czasopism ros. między innymi ważny artykuł dotyczący pozostałości rękopiśmiennej rosyjskiej przez Starczewskiego w «Biblioteka dla cztienia» CXII r. 1852 wydrukowany. Tu również znajduje się i fałszywa autobiografia. W r. 1842 Skimborowicz pisał o Chodakowskim w «Przełg. Nauk.» warsz. T. III; korzystał przytem z posiadanych listów, a w «Tece Wil.» 1858 nr. VI dał dopełn. i sprostowania «Jeszcze o Zor. Chod.» Dalsze wiadomości przyniósł «Dzien. warszawski» 1855 nr. 101 i tego samego roku «Gaz. Codzienna» w «Listach z Cułdówki». Najwybitniejsze jest wspomnienie, pióra Lelewela, w «Dzienniku liter.» lwowskiem 1859 nr. 79. Odbicie wpływu na młodzież dał Wóycicki w «Warszawie... (1800—30)» str. 112, 126. Wogóle życiorysu i krytycznej oceny pracy ze stanowiska dzisiejszej wiedzy dotychczas niena.

W literaturze rosyjskiej (Gawroński): Życiorys przez Pypina w «Istorija Russkoj Etnografiji» T. III, poprzednio w «Wjstajnik Ewropy»; «Zapjiski K. A. Polewoja» (Petersb. 1885). Inne, dawniejsze, u Chodźki.

„O sławiańszczyźnie przed chrześcijaństwem“ (1818).

(Tu z «Pamiętnika Iwowskiego 1819 T. I nr. 1 str. 17—48.

Po oglądzie ogólnym, poniżej zamieszczonym, na str. 28-ej stawia Chodakowski twierdzenie, że na każdej mili czworogrannej znajdowało się sto miejscowości, uroczysk i osad a w pośrodku wyniosłość na święte obrzędy. W całej Sławiańszczyźnie powtarzają się te same nazwy. Przyszycielo starym Słowianom, którzy tworzyli jeden naród, śladem gwiazd wozowych, trzy księżycy, trzy zorze dziewicze, świeciła nad nim zorza Lełowa, trzy rzeki płyną u nich pod stopami obulobieniec. Pieśni mieli piękne. Że też Kochanowski nie wpadł na myśl ich zbierania! Przez herb polskie przemawia także prastara przeszłość. Robiono w herbarzach kłamstwa zamiast wyciskać z herbów prawdę. Wszyscy zgadzają się na to, że były herbys już za pogaństwa; ale dopiero Wacław Potocki miał odwagę powiedzieć, że Łada jest zabytkiem bożyszca. W samych postaciach, w zarysach herbów są przypomnienia wierzeń i obrazów symbolicznych starodrzewia «starożytności słowiańskiej. Szacownym, znacie, jest ten zodyk szlachciek: «Zakoda, że ustal już duch obrończy szlachetwa i nikt nie myśli o dopełnieniu zbioru herbów» Były w Sławiańszczyźnie i pieczęci, ale poprzepadały. Wędrujemy tylko z ułożonym należycie planem; badajmy, spisujmy, rozkopujmy, a «przekonamy się o pochodzie naszym zlnad, t. j. z Indy

(str. 47). Charakterystyczne jest zakończenie o «duży północnej», która sam w sobie odczuwał. Postawiwszy sobie myślą za dziewięciu walami wieków oddalonych, przed obliczem oświatej i poważnej brody naszych przodków, nie mogłem już mówić bez pewnej czci dla nich i jakby w ich imieniu, bez pewnej śmiałości, która, wspierając się na rzetelnej prawdzie, ze skutków dotykalnych wywiedzionej, duszy północnej zawsze powinna być znamienną. Nie było w tej potężnej głowie muru bezpieczeństwa między wiedzą a fantazją; płomienie tej pożerały tamte.

247) Str. 17—28. Zniknęły przed wiedzą uczoną dzieje, obrzęd, i zwyczaj nasze w Epoce wielobóstwa. Nie sprzyjała oświata Europi całemu czasowi, w którym krzyż święty wznosił się począł wśród rozległej i podzielonej Sławiańszczyzny. Pierwsi posłańcy do nas z wiarą dzisiejszą dalecy byli od umiarkowania, ażeby mieli co uszczędzić dla Historii i wieków, i ten nieprzychylny zapal w ich następcach ledwo do naszych czasów nie doszedł. W tym duchu dziesięciu lub więcej władców naszego plemienia kolejno wywracali budowę przyrodzonym natchnieniem wzniesioną i obok nowych prawideł nieba nie zdolali zabezpieczyć własności ziemskiej, któraby przetrwała do nas i była ichże samych pamiątką.

Wypadek ten jest najglówniejszym w Sławiańszczyźnie, bo całą jej rozległość z czasem objął, upoważnił nowo tworzące się dzielnice i coraz więcej pomnażał. Ogniwa nowej wiary wcielały niepodobnych nas do reszty narodów Europy. Uczęszczał Słowak z nabożeństwa lub potrzeby do Rzymu lub Carogrodu, a przejawy się nienawiścią wzajemną stolic chrześcijaństwa, zapalał pochodnie wiekiuich wojen na przestrzeni swojej o to, że nie jednej głowie uświęconej daną placifa. Biała nam! Długo nazbyt przetrwaliśmy w tych obłądках. Nie wspominałbym ich może, gdyby nie miały zgubnego wpływu na ten zakres naszej historii i nie były pierwszym podkopem milej nam zawsze narodowości. — Czas przyszedł wyjaśnić tę prawdę, że od wczesnego polania nas wodą zaczęły się zmywać wszystkie cechy nas znamienujące, osłabiał w wielu naszych stronach duch niepodległy, i kształcąc się na wzór obcy, staliśmy się nakoniec sobie samym cudzymi.

Pierwsze dło dziejów północy w czym było ręką, wszystkim wiadomo; łatwo widzieć, że powołanie zawsze trącało ich ręką i szczyrby sprawiło w obrazie ojczyzny. Niedziw zatem,

że u nich epoka przedchrześcijańska, jeżeli nieominiona całkiem i niezarużona wymysłami, wystawia nam tylko grube obyczaje, dzikość i ślepotę naszych ojców. — U nich to z łatwością jednaka w Poznaniu, Kijowie i Nowogrodzie dzieje się przejście do wiary; podług nich dosyć było przykładu i woli panującego, aby dzień jeden lub rok to przeznaczenie spełniły.

Tak mniemając, ci Latopisarze, rzekibys, nie znali upoczywej duszy sławiańskiej, nie znali dziejów rodzinnego i pierwotnego ludu, u którego sposób rządzenia się i życia, obyczaje i mowa sama ściśle były spójne z nauką o Bogach. Przeobrażenie więc nagle i szczęśliwe być nie mogło i w istocie nie było. Nowogród wielki o cztery lata [tak] spóźnił się po Kijowie, w sto lat Rostów, a jeszcze później u nas Szczecin nawrócił się. Nieprzywodząc naszych dowodów, spomnijmy co Naruszewicz mówi o okropnościach u Lachów w 70 lat nowej wiary, z powodu okropłowania pogan, zamilczanego od naszych Kronikarzy. Schronienie się naostatek kapłanów z wielu Bogami wśród zapadłej Litwy podwyższyło nieznana dotąd krainę, i w porze dogodnej do zemsty nieraz miecz poniesio [tak] na Polskie i Ruskie sadyby. Jatwież przy źródłach Narwi ileż dokoczyła jednemu i drugiemu spółbraciom. Co Nestor pisze o spółczesnych Radymiczanych i Wiatyczanach, a życiopsis S. Wojciecha wyraża o Czechach i w życiu S. Benna, biskupa Miśneńskiego, co się działo na Ostrówie Ranowców, — wszystko okazuje: że nigdy człowiek żyjący pośród swojej rodziny nie przemienił siebie, nigdy z uprzedzeń i nalogów, które jemu długo towarzyszyły, razem nie otrząsnął się. Bo niełatwo jest powstać przeciw sobie samemu, zmienić sposób życia, myślenia, poniechać wszystko, co mu jest milem, nadewszystko nadać inny obrót językowi używanemu, czcić wielorakie bóstwa i pełnemu tych przenosi, przysłów i wzorów przyrodzonych, które stanowiły jego śpiewy obrzędowe, igrzyska, potoczną mowę i zawsze tchnęły jego wiarą.

W dziejach zapomnianych, dawno rozślawionych i obecnych, nasz ród zajmuje swoje miejsce. Nie zebrał się on z wygnanców ani szczątków upadłych mocarstw, był zawsze ludem pierwotnym, właściwym i jednosłownym. Niewiadomy jeszcze czas i przyczyny, dla których on opuścił sąsiedztwo Indowego Stanu, jak długo był w tej wielkiej drodze, nim wkroczył do Europy

i zajął jej połowę od strony Azji. Pewnem tylko jest, że po usadowieniu się w nowem stanowisku zajmowali razem okolice zadunajskie aż do podstawy Balkanu, nad Adryatykiem, za Łabą, i całą między niemi przestrzeń, jako też północ od ściany Swoonów, rządzoną przez wielkich kaganów, nim przenieśli stolicę do Kijowa. Ze zmiany takowej na ziemi poczynili niektóre poprawy w zasadach wielbionych światel nieba, liczne przenosił [tak] z jestestw przyrodzonych rozciągnęli do poznanych na północy, i całą jej przestrzeń na jednake Sta podzieliwszy, jedynymże ustawom, obrzędowi i zwyczajom podlegali. Widać wszędy w tej epoce naczelników z chorągwią przewodniczącą w pokoju, wojnie i świętych obrzędach. Połączenie w jednej osobie tak wielorakiej władzy nad liczny narodem tyle podawało sposobów stanowienia i wykonywania wszystkiego, że Sławianie w tym stanie rzeczy, i ręką przyrodzenia czezonego kierowani, nie mogli być ludem nieczynnym, ani uśpionym. Wojna dla ubezpieczenia i rozszerzenia bytu, a w pokoju łowy, rola, rzemiosła pewne, obrzędy, połączone z wielkimi gram i uczta, były ich powszechną zabawą, znamenitem i płci obojgę spólnem zatrudnieniem. W pamiętnikach owych wieków, dosyć często natrafia się na wyrazy: rola, plug, socha, kosa, kowal, stolar, tiesła, tke, dębę, dłoto, a nawet pisar i malar. Wszystko to było potrzebne i użyte, zyskiwało swoją cześć i przyniosło do późniejszych wieków wysoką, ale już przenośną pochwałę. Nigdzie niewidać śladu, aby przed epoką poluru naszego byli na północy poddani; nie mogli być oni w przechodzie z Azji do Europy, i dotąd w drugiej części świata nie znają co jest pracować na wieczystego Pana, który w oczach swojego Monarchy jest im [tak] równy.

Wrodzona Sławianom prostota, wesołość, uprzejmość i szczerść wydawały się nawet w oczach nieprzyjaciół, i to świadectwo zyskały. Męztwo, miłość i ta gościnność doskonała, na podziw i uwielbienie starym Saksynom służąca, bóstwami były całej naszej ziemi wzajemnie się wynagradzającami, i hojne dary im niesiono.

Kiedy mniej będziemy oczekiwać od wieszczkich pisarzy zagranicznych, mniej na nich polegać, a przedsięwzięciem wśród siebie na własnej przestrzeni, w gnieździe ojców naszych, szu-

kać o wszystkim wiadomości, znaleźmy może więcej niżli dotąd gdziekolwiek pisano. Wpatrzmy się tylko w ziemię naszą. Może Sławianie zostawili ją dla nas jako najtrwalszą księgę, może ją zakleli, aby nigdy z dziedzictwa potomków nie wychodziła, i w tym celu urzekli owoczesnym sposobem, by mogła służyć za świadectwo odwiecznej własności najpóźniejszym wnukom. Nie śmiejemy przeczyć naszym założycielom troskliwej przeczności o zachowanie takiej pamiętki, bo kto z ludem przeszedł rozległość między Indem i Bałtykiem, ten pewnie zyskał wiele doświadczenia i baczności na przyszłość i mógł być, jak Mojżesz, drugim zakonodawcą swojego plemienia. Poznajmy się więc z naszą ziemią, obliczmy wszystkie jej miana czyli uroczyska. Będziemy wiedzieć, iż mimo dziewięciu wieków, mimo tyle [tak] wojennych zniszczeń, mimo niewiadomości i próżności samochwalną w odmienniu starych nazwisk, zachowały się przeciw i doszły jeszcze do nas imiona Bogów, imiona do czci ich należące, imiona jej sprawców i tego jestestwa ziemnego, które, w przestrzeni czasów zaleciwszy się wielkim dobrem i złem, na chlubę rodu ludzkiego i mowy naszej Czolem Wieków nazwane zostało^{*)}. Będziemy na teźże ziemi czytali nazwiska wszystkich zwierząt i ptaków, zarówno w Indzie zostawionych jako i w tutejszym klimacie poznanych, wszystkich drzew leśnych i owocowych, ziół przyjemną wonią i kwiatem wabiących jak i do pożywienia sposobnych, niemniej tych, co do leków i mniemanych czarów służyć mogły, oznaczenie wszystkich kruszców wtenczas wiadomych, imiona wojny ze wszystkimi jej na tę porę narzędziami jako też miaru, wodzącego długi szereg na łonie swoim zabaw i trudów; uroczyska morza ze wszystkimi podziałami wody i statków na niej używanych, wszystkie odmiany powietrzne, pewne liczby znaczące, lub Bogom poświęcone, wyrażenia wszystkich przeciwności, jakie tylko wyobraźnia człowieka wystawić sobie może; wszystkie przymioty złe

^{*)} Miło dla nas byłoby za jednym razem okazać ten tryumf Sławiańskiej mowy, gdyby ta rzecz nie zawierała się w ogólnem jej prawie składania i mnożenia wyrazów. Tak wszystko poszło na niewiadomość, że, chcąc jedną rzecz objaśnić, trzeba całą, tak nazwę, machinę poruszyć; wszelako można przeświadczyć się o tem i ze Słownika P. Lindego pod wyrazami Czolo, Wiek i Człowiek... (Przyp. Aut.)

i dobre, wszystkie członki, które składają ogół żywego ciała, wszystkie ich działania, wszystkie władze zmysłowe, wszystkie nazwiska ogólne i szczegółowe. Nakoniec myśl, pamięć i sława jako sprężyny i cel tego obrazu, krócej mówiąc, cała encyklopedia, rzekłbyś, i cały słownik nasz w prostym lub przenośnym znaczeniu, pojedynczym i składanym sposobie, na ziemi naszej rozwinięty, dzielące ją stare sta w pewnym porządku napelnia. Niema stopy ziemi w starej Sławiańszczyźnie, żeby nie należała do tego rządu słownego. Zarówno okrywa on osiadłe jak i próżne miejsca, użyteczne i dzikie, wyniosłe i poziome, najeżone góry jak doly i zapadłe bagna, czyste pola jak zamierchłe lasy: słowem, cała powierzchnia ziemi była stolicą naszych Bogów jedną tablicą naszej wiary.

Opracował ST. KRZEMINSKI.

XLVII.

GODEBSKI CYPRYAN

(1765—1809)

Cyprian Godebski urodził się w r. 1765 na Polesiu wołyńskim. Po skończeniu szkół pijarskich w Dąbrowicy, pełnił obowiązki aktowego wiceregenta w powiecie swoim. Porzucił jednak ten urząd i w zaciszu wiejskim oddał się studjom nad literaturą rzymską. Niebawem przerwać musiał owe studia i zajął się przygotowaniem do powstania Kościuszkowskiego. Kiedy w r. 1797 powstały we Włoszech legiony polskie, Godebski po całym Wołyniu rozszerzał proklamacje Dąbrowskiego, wzywające do formowania tych legionów. Gdy się rząd dowiedział o propagandzie, Godebski musiał natychmiast uciekać z kraju. Z wiosną 1798 r. dotarł do Rzymu. Jako adjutant generała Rymkiewicza, przebywał G. w Mantui. Tu z inicjatywy generała wydawał G. z kapitanem Paszkowskim dla żołnierzy rękopiśmienną gazetę, p. t. «Dekada», w której pomieszczał wiadomości ze zdarzeń we Francji i Polsce. Ciężko ranny w bitwie pod Weroną, gdzie otrzymał stopień porucznika, G. przeniesiony został do Mantui i tam w szpitalu leżał przez cały czas obłączenia, które opisał później. Po zdobyciu Mantui przez wojska nieprzyjacielskie G. o kulach podążył ku swoim. Na kanwie wrażeń z tej uciążliwej podróży osnuł później powieść, p. t. «Grandyler-filozof. Powieść prawdziwa wyjęta z dziennika podróży r. 1799» (Warszawa 1805). Po przybyciu do Lugdunu, otrzymałszy nominację na kapitana w legii nadnunajskiej, formowanej przez Kniaziewiczę, walczył G. pod Offenbach, Hochstadt, Filipsburgiem, i Hohenlinden (1800). Po zawarciu pokoju lunewilskiego (1801) odprowadził swój oddział do Toskanii, a sam udał się do Paryża, skąd wkrótce wrócił do kraju. W Warszawie w latach 1803—6 wspólnie z Ksawerym Kosseckim wydał 5 tomików «Zabaw przyjemnych i pożytecznych», w których umieścił kilka wierszy oryginalnych i przekładów z francuskiego. Prócz tego pomieszczył kilka sprawozdań z literatury obcej; między innymi wydrukował tu w streszczeniu i wyjątkach na podstawie przekładu fran-

cuskiego świeżo ogłoszoną «Pieśń o pulku Igora». Wydał też osobno geografie dla dzieci i «Wiersz do legiów polskich», który ma zjedną rozgłos. W listopadzie 1805 r. został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Kiedy w roku następnym otrzymał wezwanie Dąbrowskiego, natychmiast udał się do Poznania. Powierzono G-mu utworzenie pulku piechoty i polecono przełożyć z francuskiego regulamin musztry pieszej. Po kampanii 1807 r. został dowódcą twierdzy Modlińskiej. W wolnych chwilach od zajęć przekładał wierszy obce i napisał oryginalne «Listy o wsi» i niedokończony «Wiersz do poci pięknej». Po wybuchu wojny z Austryą podążył G. z pułkiem pod Raszyn, gdzie zginął śmiercią bohaterką d. 19 kwietnia 1809 r. Utwory G-go, pomieszczone w wydaniu zbiorowym, są przeważnie tłumaczone i wzorowane na francuskich pisarzach podręcznych. Jedyne «Wiersz do legiów», pomimo formy pseudoklasycznej, odznacza się prawdziwym uczuciem i odtwarza zapal rycerski, który zrodziły legiony.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Zbiorowe wydanie utworów G-go wyszło p. t. «Dzieła wierszem i prozą Cypryana Godebskiego», 2 części w jednym tomie (Warszawa 1821). Osobno za życia wydał Godebski: 1) Granadyer-filozof. Powieść prawdziwa, wyjęta z dziennika podróży, r. 1799» (Warszawa 1805); 2) «Wiersz do legiów polskich». (Warsz. 1805) i 3) «Wiersz do JW. Dąbrowskiego, generała dywizji, dowódcy legionu S w. p. . . . z powodu jego małżeństwa napisany d. 13 listopada 1807». B. w. m. d. Wydał też G. przekłady: 1) Geografia, ułożona w grę kart 96, czyli sposób nauczania się samemu geografii z zabawą w posiedzeniu, tłumaczona z francuskiego i powiększona wielu dodatkami, przez dwóch przyjaciół, w języku polskim i francuskim (Warsz. 1805); 2) Przepis musztry i manewrów dla piechoty francuskiej, wydany w r. 1791, tłumacz. z francusk. (Warsz. 1807—8) 4 części; 3) Toż dzieło rozszerzone wyszło w r. 1811 i 1815. Z papierów pozostałych po G-m wydrukował syn jego, Ksawery, «Pamiętnik obłężenia Mantui» (Lwów 1864).

b) O Godebskim pisał: 1) Szaniawski Józef Kalas: «Pochwała Cypryana Godebskiego» (przy zbiorowym wydaniu z r. 1821); 2) Wójcicki K. Wł. «Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu». (Warsz. 1880); 3) Galle H: «Godebski C.» (Album zasłużonych Polaków i Polek); Schnür-Peplowski Stanisław: «Rycerz-poeta». (Opowieści historyczne. Lwów 1899).

A) „Granadyer-Filozof. Powieść prawdziwa“.

(Warszawa 1805).

Powieść ta jest rodzajem dziełka, przepłatanego wierszami, z czasów podróży autora przez Weronę, Novi i Mont-Cenis. Autor byłby niechybnie zginął, gdyby nie pomoc ze strony Henry'ego, bohatera powie-

ści, który za własne pieniądze wynajął dla Godebskiego i jego wójtrodaka muly. Ow Henry, granadyer-filozof, syn samotnego mieszczanina, podczas rewolucji gwałtem zaciągnięty został do wojska. Tego rodzaju doświadczenie nie mogło go pociągnąć na stronę rządu republikańskiego. Pomimo pozornego okrucieństwa pozostał granadyer szlachetnym w duszy. I Godebski nie zachwyca się porządkami wolnej Francji; woli on spokojny żywot Sawajcarów.

248) Str. 26—34. Jednego dnia burza nas zachwyliła wśród góry, na wierzchołku której postrześliśmy chatkę, otoczoną drzewami. W nadziei schronienia przeciw nadchodzącej chmurze chcieliśmy się tam dostać; — ledwo połowę drogi przebyliśmy, pelzając po skalach, gdy człowiek, podobny swym ubiorem do mieszkańca Kanady, wyskoczył ku nam i zaprowadził do tego górnego przybytku. — Była to raczej buda, niżeli chatka, zamieszkała przez alpejskiego pasterza. — Ciało czerstwe, postać dorodna, twarz rumiana i wesola malowały nam w nim szczęśliwego człowieka. — Te korzyści były dla niego, ale co w nim znaleźliśmy zyskowego dla nas, była to jego uprzejmość i sposób umiający, choć prosty. Pozdrowiwszy nas mile, ukazał nam lawkę, wyniósł chleb i mleko, które jego małżonka, świeża, jak róża, tylko co przyniosła od kozy. — «Przyjmuję was, rzecze, tem, co mam, i przyjmuję sercem najszczerzem. My, pasterze, nie znamy podróży, ale lubimy oddawać posługę podróżnym. Powracam właśnie z pobliskiej wsi, gdzie zaprowadziłem jednego z waszych; takiż bowiem miał ubiór i tak, jak wy, zarywał, mówiąc językiem naszym. Nie wiem, skąd był rodem, bo my, pasterze, widząc potrzebującą pomocy, nie pytamy się, z jakiego jest kraju. Pomnę tylko z tego, co mi powiedział, że był w wojsku francuskim, ale nie był Francuzem, i że do jego ojczyzny sześć razy dalej stąd, jak *(tak)* do Rzymu. Zabłąkawszy się pomiędzy górami, postrzegł mnie, pasącego trzody, i prosił o pokazanie drogi do Chambery. Widząc go być strudzonym, zaprowadziłem do siebie i, dawszy mu nieco posiłku, którego zdawał się potrzebować, wywiódłem go prostymi ścieżkami do wsi pobliskiej na wielki gościniec. — Nie wymienił wam czasem nazwiska swojej ojczyzny? przerwiemy pasterzowi. — Tak jest, odpowie, mianował mi ją po kilkakroć, ale jak wam powiedziałem, że nazwiska krajów mało nas obchodzi, nie zatrzymałem go w pamięci;» — potem, zamyśliwszy się nieco

i kładąc rękę na czole, jakby dla przypomnienia czego: «Ach może, rzecze, zaspokoję ciekawość waszą! — Widziałem, jak przed chatką, wsparty na kamieniu, ryl jakiegoś na nim słowa, skrapiając je łzami. Smutek jego przekał mi ten bardziej, że to były pierwsze łzy, com w tej widział ustroni. — Idziemy oglądać kamień i znajdujemy na nim dwa wiersze z Eneidy w języku Marona, których zbyt słabe w języku naszym łączę naśladowanie:

Niema takiej krainy, niema prawie ludu,
Gdzieby ślady nie doszły klęsk naszych i trudu.

Po tych wyrazach poznaliśmy nieszczęśliwego ojczyznę i ledwo sami wstrzymaliśmy się od płaczu, ażeby nie pomnażać smutnych pamiątek w życiu szczęśliwego pasterza. «Sposób, mówił on dalej, jakim dziękował mi za moje przyjęcie, dał mi poznać dobre jego serce; można go bowiem okazać, nawet odbierając posługę. Piękna to jest rzecz ta wdzięczność!»

Śniadanie, co nam hoża sprządziła Dorota (było to imię żony pasterza) i które głód przysmaczył, zdalo się nam wyborniejsze nad wszystkie włoskie łakocie.

Patrząc na pomyślność dwojga tych ludzi: Nieszczęście, rzekłem, od nas pochodzi, bo szczęście naszym jest dziełem. — Wszystko, co otaczało tego dobrego człowieka, służyło do jego szczęśliwości. Chatka była składem jego bogactwa i schronią w przykłej porze czasu; góry czyste wyrzucały zdroje; trzody dostarczały mu odzienia i zdrowego pokarmu; nakoniec posiadał ulubiony przedmiot, od którego był równie kochany.

Luba chatko! ty stawiasz w mych oczach wiek złoty,
Gdzie człowiek żył na łonie niewinnej prostoty;
Był szczęśliwym, a jasnej życia jego przędzy
Nie zasępiła panna i zgrzyot i nędzy;
Gdzie ludzkość była długim, co się płacił wzajem;
Własne uczucie prawem, a cnota zwyciężajem.
Wszyscy tam jednym rodem, jednym byli stanem:
Żądze niewolnikami, a rozum ich panem.
Kontenci ze schronienia, wśród niekształtnej budy,
Nie znali, co pałace, ani co ich nudy.
Zabawy ich niewinne nie rozdziły sporów:
Gra w chwili nie chłonega wieoletnich zbiorów!
Gra, to dziecko łakomstwa, a matka rozpaczy,
Która jednych niesławą, drugich nędzą znaczy!

W obyczajach niewinni, w powinnościach zgodni:
Niewiele znali ustaw, a mniej było zbrodni.
Mniej znali cnoty nazwisk, — więcej ich pełnili:
Mniej mówiąc o ludzkości, bardziej ludźmi byli.
Każdy w sobie nadgrode znajdował swych czynów;
Przykład ojca praw księgą był dla jego synów;
Miłość tworzyła związki, a te wieńczył statek;
Matki cór były wzorem, te ozdoba matek.
Podłość nie ubóstwiała niszczycielów świata:
Człek w rządzą widział ojca, rządca w czelku brata;
Ani sąsiad, a swoją własność bojaźliwy,
Kamieniem swej od cudzej nie przedzielał niwy.
Dumny patron z praw ciemnych nie wyjeżdżał księga:
Ufność była rękojmnią, a słowo przysięgą.
Obluda dobra kraju nie brała postaci:
Człek swe szczęście zakładał na szczęściu współbraci;
Zasługiwał na pamięć, choć nie znał, co sława;
Mniej mówił o przyjaźni, znał lepiej jej prawa.
Kontent z swych ojców ziemi, z swej pracy bogaty,
Nie szukał śmierci, nowe odkrywając światy;
Wad obcych za ojcowskie w kraj nie niósł dostatki,
Nie wstydił się języka, który wyssał z matki.
Zdań różność nienawiści nie była pochodnią:
Błąd umysłu był błędem, wady serca zbrodnią.
Szczęk broni lękliwego nie ploszył pasterza:
Nie znał on innych wrogów, prócz leśnego zwierza;
Radośnych jego pieni nawykłe multanki
Nie umiały się skarżyć na zdradę kochanki;
A nucąc swoje szczęście na wieśniaczym flecie,
Nie wierzył, żeby inne być mogło na świecie.

Taki byłeś za naszych ojców, czasie złoty!
Potomki snem być mieniał ich szczęście i cnoty;
A z czasu, w jakim sami żyją, biorąc miarę,
Słodzą go, między bajki kładąc wieki stare.

«Widzę, rzeknę do pasterza, że pokój i szczęście udziałem są waszej ustroni; ale winszujemy wam nowej onych rękojmii». — «Jakiej?» zapyta. — «Konstytucyi, co wam przynieśli Francuzi». — «Oto jest, rzecze, nasza konstytucya» — wskazując na skały — póki te trwać będą, póty my zostaniemy wolnymi! — Ja ledwo wiem, że w Sabaudyi są Francuzi, i nie wiedziałbym o tem, gdybym nie był przymuszony iść niekiedy do miasta, dla kupienia soli. — Widziałem ja tych republikanów, szepięcych

drzewa wolności po rynkach! — ale to nie tam, lecz tu, pokazując na serce, potrzeba je szczeplić.

Słyszając tak dobrze rozumującego, zagadywaliśmy go w różnych szczegółach, tyczących się pasterskiego życia; — odpowiedzi jego były w słowach krótkich, w przypowieściach i w uderzających podobieństwach. — Zapytaliśmy go, co sądził o miastach: — «Jest to, rzecz, nieustanny jarmark, gdzie ludzie pędzą życie na kupczeniu. — Każdy ci tam gada o swojej rzetelności, ażeby ci lepiej przedał nierzetelność swoją».

Ponieważ w opowiedzi jego zabaw dniowych nie było wzmianki, ażeby kiedy szedł do kościoła, dałem jemu poznać moją w tej mierze ciekawość. — «My tu, odpowie, bliżej jesteście Bóstwa, ażebyśmy go mieli szukać po dolinach.» — «Macież tu kiedy księży dla obrządków wiary?» — «Nie — ci Jehność nie lubią pelzać po nieplodnych skalach. Widziałem niegdyś nasze wsie i miasta, rojące się tymi posłańcami nieba, nim znowu inni, co się być mienią posłańcami rozumu, nie wygnali pierwszych; — ale mi się zdaje, że jedni nie lepiej służą swemu panu, jak drudzy».

Patrząc na jego wzrost piękny, cerę świeżą i postawę kształtną, różniące go od innych Sabaudczyków, po wsich i miastach zamieszkałych, zapytaliśmy o przyczynę. — «My, górale, odpowie nam, wskazując na sosnę, podobni jesteśmy do tego drzewa: — tak dorodne na miejscach piaszczystych, traci moco swoją i bujność, na żyzną przeniesione ziemię». — Na te słowa, zdało się nam, że słyszymy mówiącego Buffo, w pasterskiej odzieży; widok zaś tego patryotycznego drzewa głębokie w nas wycisnął westchnienie, tak jak głos pieśni krajowej wyciska lzy Szwajcarowi, oddalonemu od swojej ojczyzny.

B) „Wiersz do Legiów Polskich“ (1805).

Nox erat et coelo fulgebat luna sereno.

249)

Kiedy jeden z narodów, w tej plonnej nadziei,
Ze wieku żelaznemu wiek zwrócił Astrei,
Chciał świata moralnego dawną burzę postać,
Polak pragnął szczególnie swą własność wydstać

I płochych z Ikarami nie dzieląc układów,
Żądał tylko odzyskać szczęśliwość nadziadów;
Ufny w dzielnym ramieniu, a bardziej w swej sprawie,
O własnej, nie o świata zamyślał poprawie;
A biorąc samą zemstę w zbytnie może kluby,
W ocaleniu swem obcej nie zamierzał zguby;
I — rozpacz każe wyrzec, na wieku smrotę, —
Dlatego tylko zginał, że zbyt wierzył w cnotę.
O wy! których opiewać przedsięwzięłem czyny
I przenieść na ojczyste z cudzych ziem wawrzyny;
Wy, co, jedni po różnych rozsypani stronach,
Szukacie śmierci w obcych już dla nas znamionach,
Drudzy, kiedy nieszczęśne przeznaczeń kowadło
Każe nam brzoń przerabiać na lemiesz i radło,
Chlubni obywatelstwu wyplaconym długiem,
Kroki wprawno do boju oswajacie z plugiem:
Darujcie, że się ważę smutnymi obrazą
Rozjrzeć w sercach waszych niezgojone razy,
I że w rymie, niezdolnym oddać waszych czynów,
Lzę wam niosę, współbracia, na miejscu wawrzynów!

Już głuchej nocy postać okryła narody,
A księżyc świecił milej nadzieją pogody;
Wy, czując w sercach waszych cnotorodny płomień,
Szliście tam, gdzie nadziei prowadził promień,
Promień, na który błędnie występki i zdrada!
On dla nich strasznym błyskiem, w którym grom wypada;
Im wszędy towarzyszą postrach i zgrzyoty;
Nadzieja jest udziałem samej tylko cnoty!
«Wszak ją mają, kto rzecze, równie i zbrodniarze!»
Tak jest! — lecz ta z postrachem idzie do nich w parze.
Gdzie się każeś spodziewać, nie wzbudzać trwogi,
Tam ja ciebie poznaję, darze niebios drogi!
Ten to promień, szlachetne zapalając dusze,
Wystawiał dla was niczem i śmierci i katusze;
Odlęłość, niedostatek i ostre zakazy
Nie sprawiły do stałych przedsięwzięć odrazy.
Próżno zaparto bramy, podwojono strażę;
Czegoż miłość ojczyzny z chęcią nie dokaze?

Tak, gdy ukryte w ziemnym wulkanie przestworze,
Ze swojego łożyska wypierają morze,
Próżno one swe belty ciska pod obłoki,
Napróżno, ładem zwarte, chce rozpostrzeć boki,
Nie mogąc siłą swoją naprzeciw naturze
Ani wylać na lądy, ani zostać w górze;
Kiedy wiatr coraz bardziej rozdyma je srogi,

Skryte sobie pod ziemią wynajduje drogi
I rozsyła swe nurty na różne manowce;
A gdy błędne po drodze zdybia się krajowce,
Czyniąc otwór swobodny sil swych połączeniem,
Te małe dotąd żyłki stają się strumieniem;
Nakoniec okazałe rzek wzięwszy nazwisko,
Powracają wspaniale w rodzinne łożysko:
Równie i wy obiegli kraj światła daleki,
By wrócić do ojczyzny, jak do morza rzeki.
Zamiar z niebezpieczeństwem kładł każdy na szalę,
I mówił: «Albo zginę, lub kraj mój ocalę».
Każdy z was tę przysięgę powtórz najszczerzej:
Szczęśliwy ten przynajmniej, co uścił pierwszą.

Ty! pod którego berłem znalazłem schronienie
I te wolne od trwogi noszę braciom pienię,
Co, łącząc godność czełka z blaskiem majestatu,
W monarsze cnot domowych dajesz przykład światu;
Gdy cię radość twych dzieci otacza dokola,
Nie sądź o mojem czuciu z posępnego czoła
I daruj, że się stawię przed tobą w żalobie!
Polak jestem! — chcę płakać na mej matki grobie.
Król! — naszych przeznaczeń ty nie jesteś winą!
Ten tylko broni płakać, kto też jest przyczyną.

Tkwi mi zawsze ten moment w pamięci niestarty,
Gdy srogi los Polaka wymazywał z karty;
I kiedy on, zrzucając dom, ród i dostatkę,
Rozpierzchnął się po świecie, jak pszczoły bez matki;
Ja, wśród zagonu łzami zlewając rzewnemi
Płag, idący z oporem w nowych panów ziemi,
I myśląc nad ojczyznę smutnem przeznaczeniem,
Usnąłem, zadumany pod jaworu cieniem.
Gdy się myśli unoszą po krańcach marzeń,
Snując pasmo zwodniczych obrazów i zdarzeń,
Na skrzydłach urojenia niesiony po świecie,
Ujrzałem się na Alpów niebotycznych grzbiecie;
Skąd hesperyskie pola i Tanaru brzegi
Postrzegłem Lechickimi odkryte szeregami
W ich zbrojnym ciele dusza narodu jaśniała;
Na twarzą była rozpacz, a na czole chwala;
Każdy pyłem odkryty marsowego znoju,
Nucąc hymny ojczyste, pałał żądzą boju;
A gdy wśród tęta koni, trab i kotłów wrzawy,
Godzinę walki bożec zapowiadał krwawy,
Zamiast odkazu innej dla siebie spuścizny,
Jeden drugiemu pomstą polecał ojczyznę.

Choć zaś śmierć ich małego nie szczędziła liku,
Szeregi zawsze pełne stawały do szyku;
Zdawało się, że z każdej pobitych mogiły
Nowe rotę mścicieli na plac wychodziły.
Tam ludów, różnych mowa, ubiorem, postacią,
Napierśnię zdobit napis: «Wolni wszyscy bracia»;
Widziałem, jak się boje rozpoczęły krwawe
I jak człowiek za własną potykał się sprawę;
Ale w takowej walce spór nie mógł być długi,
Gdzie naprzeciwko wolnym pan wysłał sługi;
Próżno zbłądził fanatyzm z mistycznego tronu
Tluszcze zwoływał znakiem grzechotki i dzwonu;
Głos wolności zagłuszył poświęcone spiże,
A przed jej chorągwiemi uciekały krzyże;
I ten, co swe Polakom winien ocalenie,
Drzał Wiedeń na zdradzonych wybawców zbliżenie;
Sztandar zaś Mahometa, ten wojenny spadek
Naszych przodków, a sąsiad niewdzięczności świadek,
Co go polskie wydarło Muzułmanom ramię,
A Lorec ze czczi chował, jako cudu znamię,
Stawiając na myśl Polakom Sobieskich przykłady,
Wiódł tam wnuków, gdzie mgłne zdobyły go działy.

Gdy się oku zwodniczym nasycą obrazem,
Zbir srogi mnie go zbawił, przysłały z ukazem,
Obłąd smu tak był dzielny, kiedy mnie przebudził,
Że chciałem tem go straszyc, czemem się sam ludził.
Czytał pismo; — lecz skofoczyć nie czulem się zdomlił:
Kazano mi przysięgąć, że nie będę wolnym.

O ty, ulgo nieszczęnych, darze niebios miły,
Co krzepisz śmiertelników utrudzone sily,
A w naczynia ciał naszych lejąc trunki boski,
Usypiasz nas na łonie rozkoszy i troski,
Śnież luby! — czemuś, kiejąc splakane powieki,
Nieszczęsnemu zarazem nie zawarł na wieki?

Jak na łożu boleści, gdy zmysli sen złodzi,
Chory z wjękuszem się jeszcze udręczeniem budzi,
Tak ja równie ockniony z pięknego marzenia,
Czułem dotkliwiej srogość mego przeznaczenia;
I, jak ów zmarły, śmiertelnym pociskiem rażony,
Ciska się, party bolem, w rozmaite strony,
Rozumiejąc, nieszczęsnym, że z miejsca odmiana
I srogie jego razem cierpienia ustana,
Obiegałem nadbrzeża, doliny i góry,
Chcąc myśl smutną ożywić pięknością natury;
Ale wszystkie jej niegdyś wdzięki i ozdoby

Wdziały przed niewolnikiem postawę żaloby.
Nie zmieni stanu serca, zmieniając przedmioty,
Komu wewnątrz śmiertelne dokuczają groty.
Gdzieś tylko wzrok zapuścił, i za każdym krokiem,
Smutny obraz ojczyzny snuł mi się przed okiem;
To znowu sen w ludzającej stawiając postaci,
Chciałem nim cieszyć siebie i moich współbraci;
Lecz oni, próżno w Syon kolacąc skargami,
Mieliz ufać bożkowi, co nas we śnie mami?
Jeden, sporym w niewoli postępując krokiem,
Bał się wspomnieć, eżem byli Polacy przed rokiem;
Drugi, snów nawet samych słuchając z ostrożną,
Mówił, że za podobne karze podpaść można;
Inny, zwykły brać wszystko pod rachunek ścisły,
Liczył mile po skali od Padu do Wisły;
I gdy cerkłem na karcie miejsce odległość zmierzył,
Wstrząsnął głową i radził, bym we sny nie wierzył.

Jeszcze złoty wóz Feba, w kół ognistych toku,
Nie dostarczał szat nowych czterem córom roku,
Jeszcze w pierwotne brzoźdy pokrajana niwa
Nie dała dwukrotnego swemu panu żniwa,
I ptak, co był w jesieni ścierni smutną porzucił,
Jeszcze z wiosną na gniazdo ojczyste nie wrócił,
Kiedy odgłos nad Padem zebranych Polaków
Wzywał z niemi się łączące walecznych-rodaków.
Mając miłość ojczyzny i wzór ich na celu,
Szedłem z chlubą, choć w liczbie późniejszy z wielu;
I, co sen mi wystawiał w zwodniczej postawie,
Gasło przed ich świetnymi czynami na jawie.

Kiedy chmura naokół zionęła pioruny,
Świat jęknął i obadwa wstrząsły się bieguny;
Gdy grom potrójny w Lecha uderzył siedlisko,
Zamieniając gmach pyszny na gruzów zwalisko:
Tak, jak Noe, co niegdyś wśród świata powodzi
Plemię czekał od zgyby unosił na łodzi,
Polak równie, wśród losów nieszczęśliwych kolei,
Chciał się jeszcze ratować na łódce nadziei.
Czemuż do niej nie zabrał jednoci i miru?
Nikt nie chciał robić wiosłem, każdy pragnął stępu:
Wy ten korab, nadziei falami tłuczony,
Parł przeciwko wiatrom własnymi ramiony.
Niestety! — on był jeszcze daleko od ładu:
I Sternicy się kłócili o nowy ster rządu;
I, chcąc dom na nadziei kształcić budowany,
Ten podwyższał sklepienia, ten odmieśniał ściany;

A czego jeszcze wspomnieć nie można bez sromu,
Już się nawet o miejsca kłócono w tym domu.
Ani w śródkach ratunku jednoci nie było:
Ten chciał powstać przez pomoc, drugi własną siłą;
Gdy inny polityczne przedstawiał układy,
Drugi w nich gramatyczne ukazywał wady:
Wy, nie trwoniąc tak drogiej dla ojczyzny pory,
Z nieprzyjacielem w boju toczyliście spory,
Zwracając światła baczność na dół świetnych sławę,
Wasz oręż czezą zagluszal tych Solonów wrzawę.

Czułości! — wstrzymaj twoje niewieszne zapędy!
Już teraz późno przeszłe ukazywać błędy;
Dziś nad grobem ojczyzny płaczą wszyscy razem.
Darujcie, żem się z smutnym rozciągnął obrazem!
Jest to wadą niektórych, że mają w zwyczaju
Unosić się, gdy mówią o nieszczęściach kraju.
Nakoniec, skryte dla nas przznaczeń są drogi:
Niech błędy ojów dzieciom służą za przestrogi!
Ten zarzut nie ubliża szacunku ich onocie:
Różni w śródkach, lecz byli zgodnymi w przedmiocie;
Każdy niósł na ratunek sił swoich ostatki,
Gotowy własnem życiem zgon okupić matki;
Na tych tylko niech spadnie hańba i sromota,
Niechaj bojażń z rozpaczą umysłem ich miota,
Niech im robak wewnętrzny twarde serca toczy,
Co na jej zgon patrzyli spokojnem oci!
Ale po co odrodków ojczyzny wspomnienie
Przerywa jej obrońcom poświęcone pienię?

Jak błędne w nocy światła, co ludzą podróżnych,
Tak cień matki was wodził po krainach różnych;
Niosąc z sobą nadziei i braterstwa znamię,
Szliście z ludem walecznym złączyć wasze ramię;
A dzieląc z nim odwagę i trudy i sławę,
Sądziłicie, że swoją złączy z waszą sprawę.

A czyliż dla Polaka tak jest przznaczone,
Żeby od tych brał ciosy, których był obroną?
Myślałyż nasze dziady pod Wiedniem za Jana,
Że, zamiast przyjaciela, dadzą wnukom pana?
Mogliścież i wy myśleć pod Sessa*), Weroną
Że was poszłą pić wodę Oceanu słoną?
O, jak bolesne miejsca drugiego wspomnienie!
Stawają mi przed oczy Rymkiewicza cienie.

*) Sessa, albo Suessa, miasto w królestwie Neapolitańskiem.
(Przyp. Autora).
26*

Czytam ten zarzut w jego surowej postaci:
 «Zal niegodnym jest holdem dla meźnych twych braci».
 Pomnę, kiedy w nieszczęśliwej pod Leniogo stracie
 Los mi kazał, prócz innych, płakać śmierci w bracie:
 «Łza w boju żołnierzowi, rzecze, nie przystoi»
 A wskazując na rotę: — «To są bracia twoi».
 Ach przebac, raz ten jeszcze, drogi wodza cieniu,
 Latni w ręku żołnierza żalosemno brzmieniem!
 Nie mogąc innej braciom wypełnić postugi,
 Wdzięczność, w miarę sił swoich, płacić winna długi.

O ty! który, żyć nie chcąc po wolności zgonie,
 Zamiast pomścić się onej, miecz topisz w swem łonie
 I cios matce zadajesz, wgadając w siebie,
 Katonie! ja w tym kroku nie poznaję ciebie:
 Cóżes swoją rozpaczą dla ojczyzny zrobił?
 Zamiast bronić jej swobód, tyś jeszcze je dobił;
 Zdaje się, że wolności cios gotując srogi,
 Dałyś tę myśl przychylnie Cezarowi bogi.
 Ona nie tak Farsalską zachwiała się stratą,
 Ile rozpaczający zaszkodził jej Kato.
 Jeśli dość na stoika, że męźnie umiera,
 Nie sama wzgarda śmierci robi bohatera.

Gdy czyn Katona z waszym porównywan czynem,
 Chlubniej być mi Polakiem, niżli Rzymianinem.
 Krew Katona jest tylko kłęką dla współbraci:
 Wasze rany zbyt drogo nieprzyjacieli płaci.
 Ów zgon Rzymu przez swoją pieczętuje bliźną,
 Z was każdy swoją z sobą unosi ojczyznę;
 A nie mając swej ziemi na jedną już stopę,
 Mierzy krokiem zwyciężskim zdziwioną Europą,
 I ten, którego imię zniknęło na karcie,
 Dla jednych postrach zemsty, drugim niesie wsparcie.

Tak, gdy niegdys Pers dumny wszystkie siły wschodu
 Na zagładę greckiego poruszył narodu,
 Tworząc działy na ziemiennę i wodnem przestworzu,
 Płynął, gdzie były góry, przechodził po morzu;
 A pomstę swoich przodków mając w przedsięwzięciu,
 Na jednego Grecyzna swych zbroił dziesięciu;
 Ateńczyk, chcąc odeprzeć napaścianki tłumy,
 Rzuca miasto, ten przedmiot najezdnicza dumy,
 Łącząc siłę i rozpacz z miłością ojczyzny,
 Idzie walczyć z nachodcą wśród morskiej płaszczyzny;
 I ten, co się na ziemi rozgościł był Greka,
 Pan tysiąca okrętów, na barce ucieka.

Z równym i wy ojczyznę rzucili zapalem!
 Choć szczęście Aten waszym nie było udziałem,
 Przynajmniej wasza chwala nie jest posłedniejsza:
 Los preciewny szacunku ofiary nie zmniejsza.

Co za widok wspaniały uderza me oczy!
 Tam, gdzie Erydan nurty lazurowe toczy;
 Gdzie Gallów z Germanami Ren dzieli szeroki,
 I gdzie Tyber, skrapiając Scypijonów zwłoki,
 Zazdrośny sławy Rzymu, w swem łonie głębokiem
 Ukrywa twórcze dzieła przed najezdy okiem,
 I skąd, niesyty niegdys i sławy i danin,
 Jednym berla, a drugim siał pęta Rzymianin,
 Który dla swych widoków i wojennych trudów,
 Nie znał innej granicy, nad pokorę ludów;*)
 Gdzie potem na Trajanów i Tytuśów tronie
 Śladzszy święty rybołów w troistej koronie,
 Ze schodów marmurowych, nakształt majestatu,
 Dwa palce, zamiast berla, pokazywał światu;**)
 Gdzie bystry Dunaj, świadek tylu krwawych bojów,
 Niesie morzu daninę krajoróżnych zdrojów,
 I gdzie Wulkan z swej paszczy czarną lawę ziewa:
 Wszędzie sztandar zwycięski Sarmatów powiewa;
 A wśród ojczystej mowy, stroju, obyczajn,
 Zda mi się, że na łonie mego jestem kraju,
 I nie przedzej to słodkie omamienie ginie,
 Aż gdy wzrok mój po obcej zapuszcze krajinę.

Liczbą zbrojnych przychodniów mieszkancie zdziwiony,
 Trwożnem okiem przebiega obce legiony,
 Jakie ich przedsięwzięcie, jaki zamysł, bada;
 Sam siebie zapytuje i sam odpowiada:
 «Może umysł, napadów albo zwycięstw chciwy,
 «Nowych wieździe Attyłów na Anzofskie niwy?»
 Nie. — To naród salachetny, łagodny, spokojny;
 Zawsze był mężny w boju, lecz nie szukał kony.
 «Może klima niewdzięczne, chciwość lub potrzeba
 «Zagnaly tych wędrowców pod te szczęsne nieba,
 «Gdzie ziemia, co rok płodna, nie znając odlogów,
 «Lubym niegdys pobytom była ojca bogów?»
 Nie. — Zamożny i w niwy i stada i trzody,
 Ten lud inne odziewał i żywił narody;
 Gościnnie, dzielił z obcym dostatek krajowcem,
 Lubił wspierać przychodniów, sam nie był wędrowcem.

*) *Parcere subjectis et debellare superbos (Przep. Aut.).*

**) *Orbi et urbi (Przep. Aut.).*

«Może, smutne Pergamu rzuciwszy zwałiska,
«Nowi jacy Trojanie szukają siedliska,
«Chcąc, na wzór Eneasów, nowem państwem stynąć?»
Nie. — Przyniesli kraj swój zbawić lub za niego zginąć.

Ala próżne, niestety, zamiary i znoje!
Jak nie dla siebie znoszą miod pracowne roje,
Jak nie sobie pod jarzmem wół kraje zagony*),
Równie kto inny zebrał pracy waszej plony.
Co za smutne uczucie dla Polaka duszy!
Lecz nowy jakiś odgłos uderza mi uszy:
Auzończyk, wsparty dzielnie Lechity ramieniem,
Niesie mu hold wdzięczności swem ponętne piemien;
A nie mogąc mu równym odstąpić wymiarem,
Płaci jego ofiary obietnicy darem.

Brzeg auzoński za mały na wasze był czyni:
Sława was w odleglejsze wywała krainy;
Kędy ojce szukały winy odpuszczenia,
Ich dzieci szły na hasło ojezyczny zbawienia;
Tam, odkryty laurami na werofońskim polu,
Dziennie rozkazy**) Polak dawał z Kapitolu;***)
I gdzie bagna pontyjskie dech zabójczy zioną,
Wszędy widziano ziemię, krwią jego zbroczoną****);
Walcząc mężnie na polach nowej Partenopy,
Utkwił sztandar Sarmacki na krańcach Europy.
Tam obiegłszy zwyciężkim krokiem okolicę,
Zdobitł w pamiętki męstwa niewdzięcznych stolicę*****).
Może kiedyś życzliwsze od swych ojców plemię,
Patrząc na zhołdowane i ludy i ziemię,
Na zwyciężskich w swym grodzie znaków skład bogaty,
Wspomni imię z wdzięcznością mężnego Sarmaty.

*) Sic vos von vobis... (Przyp. Aut.).

**) Wyraz wojskowy, po francusku: l'ordre du jour (Przyp. Aut.).

***) Kapitolium było pod strażą Polaków. Sztab Legii I-szej, i szef jej, generał Kniaziewicz, mieli tam swoją kwatery. Dzień zaś 3-go maja, którego polskie bataliony weszły na Kapitolium, stał się dwakroć pamiętnym w dziejach tego narodu (Przyp. Aut.).

****) Zaburzenia w okolicach Terracina selagnęły Legię polską w te strony, gdzie jądowite z bagna Pontyjskiego wyziewy zarażają powietrze. Ta wyprawa sprawiła znaczną klęskę w ludziach przez choroby i wściekłość uzbrojonego fanatyzmem mieszkańca. Legia straciła kilku oficerów — kilku było ciężko ranionych. Między pierwymi, major Podolski w liczbie drugich znajdował się kapitan Downarowicz, idący na czele grenadierów do szturu (Przyp. Aut.).

*****) Wzmianka ta jest o chorągwiach Neapolitańskich, które generał Kniaziewicz odwoził do Paryża i złożył w Dyrektoryacie na uroczystym jego posiedzeniu. — Miane z tej okazji mowy i wszystkie szczegóły tej pamiętnej dla Polaka epoki przyjemnym dla niego będą obrazem w historii Legiów, już będącej pod piórem (Przyp. Aut.).

Lecz tu nie koniec waszych i trudów i chwaly:
Nowe was laury, nowe cyprysy czekały;
Wy, na wszystkie przygody mając umysł męski,
Znosiście zarówno zwycięstwa i klęski,
A krótkie w czasach krwawych trąb wojennych przerwy
Przyjemnym poświęcał zabawom Minerwy*).
Ten pracowny spoczynek nie był dla was długi:
Żądano od was nowych ofiar i posługi;
Wkrótce chmury gromowe, rycząc od Tyrolu,
Kazały wam się stawić na marsowem polu.
Tam odwieczne Zachodu i Północy sily
Siłom, jeszcze w kolebce będącym, groziły;
A ziemia, co darzyła rozkosznym pobytom,
Wzięła postać krajiny, oblanej Kocytem.

Jak, kiedy Trójzębę chcąc burzyć dziedząc,
Wiatrowładny z swych miechów poruszył drużynę;
Pędząc nawał świszczącej Eolskiej czeladzi,
Rozwała, o co tylko po drodze zawadzi;
Zasmuciwszy rolnika, swą srogość wymierza
W schronią ptaków i pobyt swobodny pasterza,
Gdzie, z posępnym wód szmerem, słabych listków drżenie
Zapowiadła straszne przychodnia zbliżenie;
I gdy już swoją wściekłość na drzewach wywiera,
Te, łącząc swe ramiona, jedno drugie wspiera, —
Tak wy równie z narodem Pađu i Sekwany
Dzielili męstwo, klęski i trud naprzemianny;
A słoniąc obraz śmierci wolności obrazem,
Mówił jeden drugiemu: «Umierajmy razem».

*) Wielu z oficerów czas, zbywający od zatrudnień wojskowych, poświęcało naukom; wielu z nich było, co godzinę spoczynku i zabaw łożył na uczenie żołnierza. Rozkaz dzienny generała Dąbrowskiego, wydany w Rzymie dnia 3 maja, r. 1798, godny jest wiadomości rodaków. — Zachęcając w nim do uczenia się matematyki, historii, geografii i języków, powiada, że nie licząc, ale przyzmiotami i czcią możemy zwrócić uwagę na Europę. — Generali Rymkiewicz w Mantui zmierzal do tego celu wszystkie swoje usiłowania; a między innymi naukami, zwracając wzgląd na ojczyzny język, w niedostatku polskiej drukarni, ważniejsze wiadomości i tłómaczone z lepszych dzieł wyjątki kazał czytać żołnierzom obok dziennych rozkazów. To pismo, w dwóch arkuszach, pod nazwiskiem Dekady Legionowej, wychodziło co dni dziesięć. Kapitan Paszkowski, który się przykładał do tej pracy, w osobnych godzinach dawał początki historii, matematyki i języków. W Palsburgu, gdzie się tworzył zawizek Legii Naddunajskiej, szefowie Fizzer i Drzewiecki założyli szkołę żołnierza, zachęcając w niej równie nauczycieli i uczniów. — Młodzież zaś, która wzniosła nauki wzięła początki w kraju, znalazła w nich dalszego przewodnika i poradę w osobie szanownego rodaka, co, calej swej pędząc na usługach ojczyzny, ostanki jego poświęca szczęśliwie obowiązkom ojca z pożytkiem rodaków (Przyp. Aut.).

Może w czasie wędrowiec, zwiedzając te strony,
Kiedy ujrzy na polach stek mogił wzniesiony,
Czyjeby kryły zwłoki, mieszkanka zapyta:
- Tu, szukając ojczyzny, grób znalazł Lechita;
- Tam Francuz, co nam niegdyś prawil o wolności;
- Tu, rzeczce, moich ziomków spoczywają kości.

Gdy zaś błędem, czy zdradą, czy z losów wyroku
Francuz trzykroć Germanom ustępując kroku,
Na zgrabną straż zostawił szczęśliwej Troi,
Na mecie stęchłych jezior wzniesionej ostoi,
Każdy z was, bieżąc nowym do sławy zawodem,
Walczył z nieprzyjacielem, chorobą i głodem;
A kto śmierci uniknął, na zabójczej kopie
Znalazł więzy w mniemanych wybawców podstępnie.

Tak, jak roje swobodne hyblejskich ogrodów,
Gdy je sąsiad napadnie, cheicy cudzych miódów,
Rzucając ulubione swej matki siedlisko,
Puszczają się, jak błędne, na wiatrów igrzyisko
I z swych gajów ojczystych lecą w obce kniepie,
Mając za przewodnika rozpacz i nadzieje;
A zdybawszy po drodze wśród swego przechodu,
Chociaż cudzokrajowce, ale tegoż rodu,
Naówczas różnych gajów zjednoczone roje
Świątym węzłem braterstwa łączą siły swoje.
Jeśli zaś i w tych stronach napastne owady
Rozbijają lotne kłęby wędrowczej gromady,
Cna rzesza znowu w inne zapuszcza się ziemie,
Niosąc, zamiast słodyczy, swoich nieszczęść brzemień,
I w powszechnem cierpieniu srogi smutek tuli
Nadzieją powrócenia do ojczystych uli;
Ni przeciwność jej stałej nie przerywa pracy:
Tak różnym losem wazędy miotani Polacy,
Ci, rzucając brzeg Padu, ci ojczyste gniazdo,
Gromadzą się raz jeszcze pod ładną gwiazdą;
I, gdzie Ren licznych krain użycnia płaszczynom,
Idą szukać gościnną do swojej ojczyzny.
Tam dowódca, podobny Marsowi z postaci,
Przykładem swym do męstwa zagrzewał współbraci,
Co nigdy śmiałych kroków trudnością nie mierzyl,
Budząc odwagę hasłem, któremu sam wierzył,
I sam nim zawiedziony, — próżnej sławy syty,
Przeniósł ziomków szacunek nad obce zaszczyty.
Tam każdy z swego stopnia w rycerskim zapale
Stawił wieczne pamiętki narodowej chwale.
Tam żołnierz, idąc w swoich przełożonych ślady,

Lamał hufce i czerni rozpędzał gromady,
Które chytry Włoch dusznej ponęta nagrody
Krwia znacznym gościnnem na wieczne stał gody.
Tam, czyn godząc obrońców z przeznaczeniem bractwów,
Żołnierz za dnia wzniesionych bronil w nocy szafców;
Niosąc karabin z rydłem na służbę z wysługą,
Jedną ręką je sypał, a zasłaniał drugą.
Naostatek, zwycięzca w nadreńskiej krainie,
Poszedł utkwic swój sztandar tam, gdzie Dunaj płynie;
A przechodząc sąsiedniej tej rzeki łożysko,
Uścił, że nie próżnie jej nosił nazwisko:
Tkwią mi jeszcze w pamięci Hohenlindu błonie,
Gdzie Francuz jego męstwem swe uwieńczył skronie.

Niestety! — jakież dano wam za to podziękii?
Krew się ścina w mych żyłach — pióro pada z ręki;
Boleść zatłumia mowę — nie staje wyrazu!
Ale na co powiększać okropność obrazu?
Szlście na głos braterstwa, — lecz, o losie srogi!
Ten grób znalazł, ten wróci bez ręki lub nogi,
Oddalony od braci, domu i rodziny,
Niejeden pije gorycz w pośród słodkiej trzciny;*
A drugi, przebiegając okropne pastynie,
Lub cudzy gród nasycą, albo własnym ginie.

O hańbo! o ślepoto w ludziach niepojęta!
Ten, który został wolnym, poniósł drugim pęta.
Poniósł — ale słusznego nie uszedł pogromu:
Znalazł lub zgon za morzem, lub niewolę w domu.
O narodzie niewdzięczny! — takaż twa wypłata,
Byś na rzeź stał przycięci wśród obcego świata,
Nadzieje matek zmieniał na rozpacz i trwogę?
Takaż nam do ojczyzny ukazałeś drogę?

Świadek waszego męstwa, a uczestnik biedy,
Koleczy, przyjaciele, zobaczęż was kiedy?
Będziemyż sobie nasze powiadać przгоды,
W przekonaniu wewnętrznym szukając nadgrody?
Ach! czemuż dla Polaka losy nieślaskawe
Nie dadzą ulżyć braciom, których dzieli sławę?
Jak kół, miotana burza po morskiej przestrzeni,
Jak listek, z drzewa spadły, błąka się w jesieni,
Tak z was każdy, z rodzinną ziemią rozłączony,
Idzie, nie wiedząc, w jakie los go niesie strony,

* Wypsa St. Domingo, czyli Hispaniola, w Ameryce, sławna ukroweml trzcinami, gdzie Legia Naddunajska zginęła prawie do szczętu. (Przyp. Aut.).

Albo walcząc ze śmiercią na morskiej płaszczyźnie,
Ostatnie swe westchnienia przysyła ojczyźnie.

O wy, drogie narodu ogromnego szczątki!
Czyż nie dość ginąć marnie? — trzebaż bez pamiętki?
Niktże waszych dzieł świetnych nie ogłosi światu,
Ni rzuci na mogły ojczystego kwiatu?
Macież dla nas pić gorzyc wszędy rozproszeni?
Albo ginąć, a jeszcze ginąć zapomnieni?
Nie! — Myśl słodka mnie cieszy, że pamięci córą
Dar nam gotaje w płodzie ojczystego pióra;
I że z waszych popiołów (przecucia me tuszą)
Powstanie polski Maro z Jasińskiego duszą;
On wasze czyny poda do wiecznej pamięci,
A gasząc moje rymy, wspomni dobre chęci.

XLVIII.

REKLEWSKI WINCENTY,

(1786—1812).

Wincenty Reklewski urodził się w r. 1786 we wsi Obręcznej w powiecie radomskim. Po skończeniu szkoły podwydziałowej w Słupi Nowej w r. 1804 wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego. Podczas pobytu na uniwersytecie, zaprzyjaźnił się serdecznie z Andrzejem Brodzińskim, również studentem filozofii, z którym poza wspólnością usposobień i upodobań, łączyła go poezja. Obaj tworzyli «proste sielanki», naśladując Karpińskiego, Gessnera, Kleista, Hallera i innych. W roku 1806 opuszcza R. uniwersytet, aby zaangażować się do wojska polskiego. W kampanii 1809 r. walczył pod Raszynem, odznaczył się w bitwie pod Sandomierzem, za co otrzymał rangę kapitana i krzyż złoty. Po zawarciu pokoju półtrzecia roku przebywał w Krakowie ze swoim oddziałem, w którym służył, jako kadet, Kazimierz Brodziński. Podczas tego pobytu zabrał się znowu R. do pisania poezji, których zbiorok wydał w Krakowie w 1811 r., p. t. «Piemia wiejskie». W tymże roku przeniesiony został do Modlina, do korpusu inżynierów, i, jako poddyrektor, kierował fortyfikacją tej twierdzy. Z Modlina wyruszył na wyprawę Napoleońską 1812 r. Po bitwie pod Smoleńskiem za męstwo otrzymał rangę podpułkownika. W dalszym pochodzie zachorował ciężko i, zaledwie dojechał do Moskwy, umarł tam w szpitalu w 27-m roku życia.

«W urodnej postaci śpiewaka «Piemia wiejskich» — pisze K. Brodziński — wszystkie zamieszkały cnoty; trudno było dać w nim pierwszeństwo jednej nad drugą. Najbardziej uderzała w oczy skromność jego, ta pierwsza ozdoba przymiotów i wdzięków. Czułe jego serce wzdychało zawsze do wsi, i większą część krótkiego tu pobytu swego przepędził on na marzeniu o przyszłej w zaciścu szczęśliwości. Przyjemna wesołość w posiedzeniu z przyjaciółmi, stosowna powaga w dopełnianiu powinności, łagodność z niższymi, szczerość z poufalsmi,

uleganie wyższym — oto rzadki oręż, którym sobie serca wszystkich, nawet powszechnych nieprzyjaciół ludzi, podbił Reklewski.

W puściznie literackiej Reklewskiego dużo miejsca zajmują naśladowania i przeróbki sielanek Naruszewicza, Karpińskiego, Gessnera i Kleista. Poza temi blademi konwencjonalnemi figurami spotykamy postacie, wzięte ze wsi polskiej z dosyć dużą dozą realizmu. Utwory R-go, osnute na tle życia wsi polskiej, stanowią przejście od sielanek w guście Karpińskiego do tego rodzaju utworów K. Brodzińskiego, na którego R. wywarł wpływ znaczny.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Wydania utworów Reklewskiego są następujące: 1) «Pienia wiejskie przez W. R.» (Kraków 1811); 2) Wybór z «Pień wiejskich» wydał Żegota Pauli w Krakowie w 1850 r., p. t. «Sielanki krakowskie Wincentego Reklewskiego»; 3) «Wieńce, poema pastorałne przez Wincentego Reklewskiego. Dzieło pośmiertne» i «Sonet» wydrukowano w «Pamiętniku warszawskim» t. XIX, 1821 r.

b) O Reklewskim pisał: 1) Brodziński K. «Wincenty Reklewski» (Pisma. V t. Poznań 1872); 2) Gawalewicz Maryan «O śpiewaku Wiesława» (Sylwetki i szkice literackie, Kraków 1888); 3) Gubrynowicz Bronisław «Wincenty Reklewski. Szkice literackie. (Lwów 1893); 4) Króćek Franciszek «Do życiorysu W. Reklewskiego» (Pamiętnik literacki. Lwów 1902, zeszyt I); 5) Pauli Żegota «Krótka wiadomość o życiu Wincentego Reklewskiego» (wstęp do wydania «Sielanki krakowskie». Kraków 1850).

A) Krakowiaki.

250) Przyjechali z obcej wsi parobeczki hoże,
Wprowadzili koniki na nasze podwórze;
Jeden z nich przed okienkiem w podkówekki krzesze,
Kiedy Kasia w komórce czarny warkocz czesze.
Proszą ojca i matki, by córce kazali
Wyjść z komory. Ojcowie córkę zawolali.
Wyszła Kasia, do ziemi spuszczone oczęta;
Uśmiechały się na to sąsiedzkie dziewczęta,
Które się poziegały, słysząc niespodzianie
Na podwórku Kasynem podkówekki i granie.
Kiedy Staś urodziwy, co dla Kasi płonie,
Uderza w podkówekki, pięknie się uśmiecha,
Nachylony kilka słów powiada jej z cicha;

Podniosła Kasia oczy na Stasjowe lica:
Widać, jak ich wzajemnie uroda zachwyca.

Do czegoż, kiedy grają, młodych chęćka wiedzie?
Zawsze trzeba tańcować, kiedy Staś przyjedzie.
Bo Staś z sobą przowiezie zawsze skrzypciela,
Dziewczęta popaprasza i chłopaków wieła:
A to wszystko, by Kasię ubawić do woli;
Kasia nockę tańcuje i główka nie boli.

Lecz ojcowie w podwórku tańcować nie dali,
Ani krzesać do składu w podkówekki ze stali,
Dlatego że od rana dziadek zachorował;
Oni zaś chcieli, by się prawncząć dochował.

Więc poszli na łąkę wsi, gdzie cieniące dęby,
Gdzie często kochankowi pada dziewczęce gręby,
Gdzie jest ziemia ubita niedzielnemi tany,
Gdzie często spadnie w tańcu wianeczek ruciany;
Dziewczyna się zapłoni, po wianek się schyla:
Już nierychło! zgubiła wianek jedna chwila.
Matka o wianek pyta i dziewczynę łaje,
I z którym tańcowała, temu ją oddaje.
Oni się uśmiechają, bo takie skaranie
Za łajanie, za płacze i za wianek stanie.
Tutaj więc, gdzie okólnie dęby dają cienie,
Gdzie jest miejsce do tańca, dla starych sędzenie,
Przy świetle palomego na środku lacywa,
Odzwijają się basy, gdy skrzypek wygrzywa.
Piękna Kasia ze Stasiem na sterze zamiata,
W zawrotach zgina ogień rozpuszczona szata;
Za niemi zaś drużyna pusty tańiec toczy,
Sobie mile wzajemnie rozmawiają ocy.
Staś, jak dawna w Krakowskiem uczy nas zabawa,
Po kilkunastu kolach na prost skrzypka stawa,
W podkówekki uderza i śpiewkami wieła
Nadobny chłopiec rączę hasania przedziela.

«Zagraj mi moją piosnkę, luby skrzypicielu!
Bo ja będę za družbę na twoim weselu;
A ty się kręć, dziewczyno! wyciągaj kolanka,
Trzymaj główkę prościuchno, by nie zgubić wianka.

Mały jeszcze gdy wiewiórkę do stada na błonie,
Najśmielej w jeździe dzikie mordowałem konie;
Nie zaraz na mem czole potne staną piany,
Nie zmożesz mnie, dziewczyno, jakimi cheesz tany.

Raz się Kasia z wiewiórką w leszczyźnie spotkały,
Odkończyły od siebie jako lotne strzały;

Nie dziwcie się wiewińce i dziewczynie mojej,
Tamta się Kasi złąkla, ta wiewiórki boi.

Biegnij ze mną, koniku, do nocy od rana:
Staniemy u dziewczyny, tam dadzą ci siana,
Dadzą ci dużo owsa, w źródelku napoją,
Pogłaszczcie cię dziewczyna, która będzie moją.

Żaden mi dziarski chłopak nie stanie na drodze,
Cztery konie na jednym lejcu dzielnie wodzę;
Żaden mnie wóz, gdy jadę z Krakowa, nie minie —
W tobie dopiero pierwszej kocham się dziewczynie.

Powiedzże mi, dziewczyno, czy jestem lubiony?
Wyskoczy po podworku ze mną konik wrony;
PodkóWKi sygną ognia, krakowiak pohasa,
I pięćdziesiąt kółcezek zabraknie u pasa.

Lubi zima na Karpach, a wiosna w dolinie —
Kasiu! kiedy bez ciebie dzień mi nędznie płynie,
Powiedzże mi, matulu, jeśli Kasia moją?
Bo się smucę i smatne moje konie stoją.

Niemasz nic piękniejszego nad słońce na niebie,
Ni na ziemi piękniejszej, dziewczyno, nad ciebie;
I kiedy słońce zgładnie, noc pola zamroczy,
Pomiędzy nami świecą twoje lśniącej oczy.

Przestań już, skrzypicielu! bo mojej dziewczynie
Po rumianych jagodach czysta rosa płynie;
I matka na nią mruga, że już czas do domu:
Muszę je odprowadzić, bo noc niewidoma.

B) Jolenta.

(Sielanki krakowskie, str. 10—15).

251) Słońce jeszcze z różanej nie wyszło osłony,
Szary dzionek rozległe odkrywał zagony:
Wieżczone drzewem wioski i wody w dolinie,
I gór rozległe pasmo w niebieskiej mgłę ginie;
Jolenta na przydrożne ugoru wzniesienie
Wesołe ojca stada zasmucona żenie.

Usiadła pod jaworem, co stoi przy drodze,
I te słowa z bladawych ust płyną niebodusze:
«Paś się, trzodo! te pola dłonie jego siały;
Tu z niego pot ciągnęła praca i upały.
Pij ze zdroju, wszak on go wydobył z pod góry;
Tutaj go zimnym deszczem często zlały chmury.

Pamiętne są, kochanku, polom twe usługi,
Tyś z jutrzanką wywoził na ugory plugi;
Przez ciebie ojciec niwy uprawne dziedziczy,
Chowam ja twoją kosę, chowam sprzęt rolniczy.
Obys ty jeszcze w łąki niósł porankiem kosę,
Obys orał! te próby odzieni w niebo niosę.

Witaj, słońce! na ciebie czekam utęskniona,
Prędko zająśniesz w pośród bławatnego łona.
Niech ten dzień, który twoja obecność wyleje,
Przyjemne poda wieści i zmoćni nadzieje.
Przedzam po pagórkach twoje złote kroki,
Skąd ślędzę drog rolniczych dalekie widoki;
Každy jeździec, do mego podobny z odzieży,
Každy mnie biedną zwodzi, gdy w te strony mierzy.

Niechaj z was który spocznie, niechaj tu zczekał!
Czyliście nie widzieli, przechodnie, z daleka
Urodnego na wronym koniu gdzie młodziana?
Mówcie o nim, co wiecie! jam jemu kochana.
Nosi teraz błękitne z czerwonym odzienie,
Dzida w rękę, na wronym koniu prędko żenie;
Z białem piórem za czapką czerwoną, nad głową
Na znak mego żalu ma różgę świerkową.
Czyliście nie widzieli takiego młodziana?
Mówcie o nim, co wiecie! jam jemu kochana.
Tutaj przeciwko niemu co ranek wychodzę;
Jego gościnne dłonie dały cię tej drodze.

O kochanku! jakże ci wojny los posłuży?
Będę się jeszcze z tobą kiedy cieszyć dłużej?
Bo mnie bojaźń z rozpaczą przychodzi do serca:
Sroga bojaźń! jak samo nieszczęście morderca.
Gdy z mężnymi młodzianu ku dzielnej obronie
Ojczyzny poświęciłeś mężne twoje dłonie,
Do serca ja twojego prawo mam jedynie:
Niech me imię z miłości twojej po wsi słynie.

Może przed tobą miłość przykra w oddaleniu
Oskarża moją wierność w samotnem myśleniu,
Nie biadaj na mnie! Ani mnie bukowe gaje,
Ani strumień mnie widział, że z innym przestaję.
Nie biadaj, bo jeżeli — niech nie mówię wiele...
Nieme świadki zmienności niech będą mściciele.
Pamiętam ja, na konia rękem ci dawała,
Przysięgając przed niebem, że ci będę stała.

Kochanku! chowam chustkę, ostatniego rana
Którą, kiedyś mnie lajał, żem jest zaplakana,

Otarlam zaszle łzami czarne oczy twoje:
Przyciskam do ocz moich i łzami ją poję.

Gdy w lasku dumam między świerkami smutnemi
Ze drżeniem ucho moje przyciskam do ziemi;
Żaden odgłos wystrzału mej duszy nie mija,
W każdym słyszę śmieć twoją, i to mnie zabija.
Strzał każdy, gdy okropny we mnie zgon powtarza,
Nadzieja boską mocą życie moje stwarza,
A ciekawość do nowej prowadzi mnie zgbu.
Tysiąc razy umieram — raz ty giniesz, luby!...
Siedząc w oknieku, wlepiam oczy w tamte strony,
Gdzie zwycięstwa lub śmierci szukasz, ulubiony:
Lubo przez góry, lasy wzrok przebyć nie może,
Widzę krew, widzę ogień i goniwy hoże.

Upadasz — naprzódo cię twój przyjaciel broni,
Widzę cię, krwią zbroczonyś pod kopytem koni...
Znów cię widzę, jak toczysz koniem upocony,
Zawalasz gęstym trupem krwią naszle zagony.
Rzucasz się na pioruny, dymu chmury sine
Biorą cię oczom moim, ja za tobą ginę...
Lecz wychodzisz szczęśliwy! — tu nadziei wiele!
Zawczasie radość z twojej waleczności dzielę.
Oj! nie dla ciebie wiosna w tym się sadzie sili:
Spadną kwiaty, nie zerwiesz ty ich w rannej chwili,
Ani ja w twoje włosy wleję z kwiatów wonie;
Marną tylko nadzieję zapłakana gonię.

O nadziejo przyjemna! smutne omamienie!
Gdzie mnie znowna przeczorność niedołężna żenie?
Nie wiem wyroku niebies, czy się niebo śmieje,
Czy na moją zagładę ostry piorun leje.
Znużona, przez noc całą i od wschodu zorzy,
Niepewna przyszłość do mnie śmieje się i sroży.

Koniu, którego moje głaskiwały dłonie...
I ty, widzę, z twym panem leżysz na zagonie,
Zrywasz się i upadasz, grzebiąc nogą ziemię;
Pan pod tobą, w strzemieniu noga, cięte ciemię.

O smutne przeznaczenie! kiedy w obcej ziemi
Tarzać się będziesz, luby! z trupami obcymi,
A ktoś szczęśliwszy wróci do ojczystej roli,
Powie, żeś zginął — kogoż los mój nie zaboli!
Precz, okropność! przynieś go do mnie, koniu wrony,
Kiedy pierzchnie najezdnik z kraju zwyciężony;
Przynieś go! o północy u mnie sen nie bywa,
Uderz nogą o wrota, wybiegnę szczęśliwa.

Pozna go serce moje mimo nocne cienie,
Przywita go kochanki wymowne milczenie,
Na nowe jego wasy całą czucia siłę,
Całą duszę wyleję przez całunki mile.

Zagęszczaj twardym liściem twe, dębie, konary,
W twoim cieniu odbierze najmilsze mu dary;
Broń tu słońcy, co w piersiach nieprzyjaciół tonie:
W twoim cieniu odpocznie na kochanki łonie.

Rośnij, bluszczu! co rano pilnie cię podleję.
Rośnij, bluszczu! ziszczą się miłosne nadzieje.
Sam cię zerwie kochanek na wieśce weselne,
Głowę mogą wzięć jego dłonie dzielne.

Lecz gdy zginął! — o nieba! — moja miłość wściekła
Poniosłaby mnie za nim do samego piekła.
O radość! o pociecha! o weselne gody!
Cieszyć się będą na nich piekielne narody.

Ale precz, udręczenie! ustap, myśl sroga,
Wznies się, duszo, od piekła do dobrego Boga:
Ty, co dajesz nadzieję, z dobroci nam znany,
Który odwracasz kule i łamiesz kajdany,
Boże obrońco cnoty! o Stwórcu potężny!
Wiem, że się nie ochrania kochanek mój mężny:
Niechaj go Twoja dzielna prawica ochrania,
Niech wróci i odbierze nagrodę kochania,
Niechaj skutecznie sweni nadstawia pierśiami,
Niechaj go podła bojażąd nigdy nie omami;
A jeśli mu okropne naznaczą koleje,
Niechaj wprzódy najeźdźców wojnie krew rozleje.

Ale nie — tak nie będą srogie twoje losy,
Miłością oddychają szczęśliwsze niebiosy!
Kropkle tego napoju darowałś ziemi...
Wróci się do mnie luby z wieńcy zwyciężkami.

Powracaj, ulubiony! gdy się skończy wojna,
Kiedy przeżegna ziemię dłoń Boga spokojna;
Na niwy, któreś oral, wiosna dar wylewa,
Pierwszy raz zakwitnęły, któreś szczepił, drzewa.

C) Halina.

(Sielanki krakowskie, str. 16—17).

252) Jechali przez wieś ulani po wojnie,
Chorągiewkami wiewał wiatr spokojnie,

Ku nim wieśniaków z chat wybiegły tłumy,
Kiedy podolskie wyciągali dумы.

Matki — lzy w oczach — synów oglądały,
Których w młodości powalily strażą.
Smutna się ku nim zbliżyła Halina
I temi słowy mówić im zaczyna:

«Dziarscy bojanie! a gdzie konia macie,
Który po moim został u was bracie?
Nosił go, nosił daleko po świecie,
A z pół Raszyńskich nie uniósł go przecie.

O, nie dziwicie się, że go jedna płaczę...
Niech wam powiedzą tutejsi oracze,
Że ojciec umarł i matka już kona,
W grobie nieszczęsną kochanka złożona.

Pochowałam ją ongi w czarnym lesie:
Wiedziałam dobrze, że się tam przeniesie
Cienie braterskie z powojennej niwy,
Zwiastowały go straszące powiewy...

I wyprzedził was! — o północnej dobie
Wzdychał zdyszany na kochanki grobie;
I broń jęczała na smutnym kamieniu,
Rzucając ogień po okropnym cieniu.

Umilkła, żenąc,* gdzie jest matka chora,
Krówkę, co z paszy wróciła z wieczora.
Ułani ze wsi ku lasom jechali;
Widać chorągwie i łyskanie stali.

D) Wiesław.

(Sielanki krakowskie, str. 30—32).

253) Szedł Wiesław w czasie zimy przez karpacie góry,
Mróz ścisłał, nad skalami wisiał dzień ponury,
Ścieżki, które udeptał, śniegami zaległy,
Potoki, jemu znane, nately nie biegły,
Potoki, z którymi on często na doliny
Razem zbiegał pod lubej mieszkanie dziewczyny;
A jeżeli ją wprzódzy zoczył u potoka,
Puszczal jej z wodą jabłka czerwone z wysoka.
Nie smałaż tych strumieni: błędne znaczy kroki,
Pnie się na ślizkie lodem skały lub głęboki

*) goniąc, pędząc (P. w.).

Brodzi rozdół, mroźnymi śniegami zawiany;
Ustepuje mu z twarzy wieku kwiat rumiany;
Mróz ścisła... a w połowie góry, poświęconej
Bogu, który się zjawia gromem rozpalony,
Pada Wiesław na śniegu, w górę wznosi głowę,
Gdzie stoją ciężkie zimą gaje Piorunowe.
Głaszcze psa... śnieg na niego opada z drzewiny.
Z rozczuleniem te słowa mówi Wiesław siny:

V ierna ty służbo, psino mój srokaty!
Nie pójdę dalej na te lodu skały;
Pioran okrutny chce mojej zatraty; —
Jednymże ogniem z nim gorę zachwały?

Zadyma lasy zielono-świerkowe
Prędki bóg wiatru śnieżystymi stogi;
Upadnie zaspą z góry na mą głowę,
Wali mnie zimny sen... mróz okuł nogi.

O Kwiatosławo! skarbie modrookil!
Do której Żywie goni mnie w te burze,
Choćby cię inny swemi zwiódlł uroki,
Tybys zrosiła nade mną twe róże.

Niedawne wąsy i pokrętne włosy,
Które tylekroć gładziły twe dlonie,
Ciążą mi, pełne złodociągłej rosy;
Przejęty mrozem Wiesław w śniegach tonie.

Bogowie nasi! żalcie się przechodnia,
Którego żywcem taki grób pożera:
Zawita wiosna, grób zniknie! (o zbrodnial!)
Na pastwę dzicy Wiesława otwiera.

Niechaj nie puka brzozy biało-pniowe,
Jeśli kto inny łono Kwiatosławy
Dziedziczyć będzie: niechaj śniegi nowe
Zasypią miejsce pierwszej ich zabawy.

Żywie! ty jeszcze grzejesz moje siły,
Lesna Dziewanno! Pogodo! o bogil!
Gdy ja przebędę góry do mej miłej,
Będzie wam daną baran kręto-rogi.

Dalej! psie wierny! puńmy się na lody;
Nas Kwiatosława ciemnowłosa czeka:
Rozdnieje żywszym promieniem urody,
Gdy ciebie wprzódzy zobaczy z daleka.

E) Urodziny.

(Sielanki krakowskie, str. 41-43).

254)

Duże upadły śniegi i z pola i z błoni;
 Wszystko się do zacizy i ogniska chroni.
 Słońce rumieni białość, gdy za góry spada.
 Po pracy idzie sąsiad gwarzyć do sąsiada.
 Siedział w oknie Mikuta, przyjaciel wsi całej,
 Śnieżne mu włosy z brody na piersi spadały;
 Z każdej chaty do niego biegła ścieżka nowa,
 Bo tu była bogaty i uboga wdowa.
 Westchnął starzec do nieba, kiedy liczne trzody
 Do obory wracały skurczone od wody;
 Syn Mikuty szedł w tyle z siekierą u boku,
 Pewnie robił przerebłą dla trzody w potoku.
 Beczą krowy i owce; gdy weszły w podwórze,
 Skaczą czerwone cielki i żrzobaki hoże.
 A wnuczek, który matce podobny w urodzie,
 Z małym koziołkiem, krzycząc, goni się i bodzie.
 Starzec się uwesela, gdy młodość swawoli;
 Kazał wynieść owieczkom pod okienko soli.
 Wyniosła soli w białej odzieży dziewczyna.
 Śmieje się, gdy się wojna wokoło niej zaczyna;
 Wszystko się skupia, tłoczy, sypcha i wywraça,
 Słońce ten piękny widok, zachodząc, pozłaca.
 Mróz pościagał przejrzyste sople wokoło strzechy...
 Słychać we wsi przyjemnej odgłosy uciechy.
 Domyslał się Mikuta tej wrzawy przyczyny:
 Bo jutro przypadają jego urodziny,
 A u sąsiadów miłym to było obchodem
 Święcić tę uroczystość ze słońca zachodem.
 Szły skrzętnie gospodynie, z niemi piękne córy,
 Potem mężczyźni, nad nie wzniesieni do góry,
 Starzy i młodzi, którym kwitnie wiek rumiany.
 Każdy ma w ręku dzbanek, miodowcem nalany.
 Rozplakał się Mikuta, gdy miła drużyna
 Pod dom jego zbliżona tak śpiewać zaczyna:

Nie idziemy tu z darami,
 Bo jesteś niebu kochany;
 Ale wesołość jest z nami:
 Wypijamy miodu dzbany.

Gdy wchodzimy w twoje progi,
 Wypijamy bez kolei;

Wesel się, Mikuto drogi!
 Pelen przyjemnej nadziei.

By two uccić skromne cnoty,
 Razem jesteśmy zebrani
 W ustroniu twojej prostoty,
 Wesołość ci niosąc w dani.

Gdy wchodzimy w twoje progi,
 Wypijamy bez kolei;
 Wesel się, Mikuto drogi!
 Pelen przyjemnej nadziei.

Tak śpiewali wesoło i razem w tej chwili
 Czystego miodu dzbanki z wykrzykiem wypili.
 Potem weszła do chaty wesoła gromada...
 Chędogą na jej przyjęcie czekała biesiada.

XLIX.

BRODZIŃSKI ANDRZEJ.

(1786—1812).

Andrzej Ksawery Brodziński urodził się 26 września 1786 r. w Lipnicy w Krakowskim. Mając lat 8, stracił matkę i znosił przesładowania macechy, o czym wymowne mamy świadectwo we «Wspomnieniach mojej młodości», skreślonych przez młodszego jego brata, Kazimierza. Po skończeniu gimnazjum w Tarnowie wstąpił w 1804 r. na wydział filozoficzny w uniwersytecie krakowskim. Tu zaprzyjaźnił się z W. Reklewskim. «Grając na polach Łobzowskich», układali «wesołe śpiewki» i «proste sielanki». Po śmierci ojca, z braku fundusów, musiał B. przerywać studia uniwersyteckie, które dopiero po pewnym czasie ukończył w Lwowie. Za czasów Księstwa Warszawskiego zaciągnął się do wojsk polskich, brał udział w wyprawie Napoleońskiej 1812 r. i w czasie odwrotu zginął nad Berezyną w 27-m roku życia.

Z utworów Brodzińskiego za jego życia wyszły w 1808 roku w Krakowie «Zabawki wierszem». W tym zbiorze większość utworów jest wzorowana na Karpieńskim, Gessnerze, Kleiście i Wirgiliuszu. Po śmierci z puścizny literackiej B-go wydał młodszy brat, Kazimierz, przekład «Dziewicy Orleańskiej» Szyllera i kilka pomniejszych utworów oryginalnych. Nie weszły do tego zbioru «proste narodowe pieśni wojenne», jakie, wedle słów Kazimierza, pisał Andrzej w czasie pobytu w wojsku; pozostała też w rękopisie oryginalna tragedia «Ludgarda» i przekład z Tomasa z Kempis «O naśladowaniu Chrystusa».

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Wydania utworów Brodzińskiego są następujące: 1) «Zabawki wierszem» w Krakowie 1808; 2) «Dziewica Orleańska, tragedia romantyczna z Szyllera, polskim wierszem przełożona przez Andrzeja

Brodzińskiego. Wystawiona pierwszy raz na teatrze narodowym w miesiącu grudnia 1820 r. Z dodaniem różnych poezyi tłumacza» (Warszawa 1821).

b) O Andrzeju Brodzińskim spotykamy wzmianki w następujących pismach: 1) Brodziński Kazimierz: «Wspomnienia mojej młodości» i inne wrytki autobiograficzne (wydał i wstępem opatrzył Józef Treliak, Kraków 1901); 2) Hordyński Zdzisław: «Brodzińskiego [Kazimierza] lata szkolne, Lwów 1888 (odbitka z «Kwartalnika historycznego»); 3) Brodziński K. pomieścił wstęp do wydania przekładu «Dziewicy Orleańskiej»; 4) W «Gazecie Literackiej», wydawanej w Warszawie w 1821 r., w Nrach 1, 2 i 3 bezimiennie umieszczono recenzję przekładu B-go «Dziewicy Orleańskiej» ze wzmianką o tłumaczu.

A) Pożegnanie z kochanką.

(«Zabawki wierszem», str. 107—108).

255)

Czyliż ojczyzny nie kochasz, o luba,
Że mi iść bronisz, piersi stawiać za nią,
I czyliż nie znasz, jak wielka stąd chluba
I jak jest słodkie na placu skonanie?

Alboż tak dufasz męstwu memu mało,
Że się piscołom nie zdołam odwinąć,
Że bić nie zdołę nieprzyjaciół śmiało,
Lub ich zwyciężyć, lub z honorem zginąć?

Wrócę li, wrócę zwycięzca, a tobie
Nie miłoś będzie oglądać mię w chwale?
A gdy nie wrócę, wiedz, że poległ w grobie,
Lecz pomnij na to, że poległ wspaniale.

Żalce ci będzie, żeś mą lubą była,
Gdyś rzekną: poległ dla ojczyzny sławy?
Lub czyż się ze mnie nie będziesz pyszniła
Na głos: twój luby był bojownik żwawy?

Jeszcze na względy nie zasłużył twoje,
Czegoż kosztowne twe nie warte wdzięki?
Pójdę na wojnę, ty mi przywdziej zbroję,
A wnet pokażę, że mój twój wart ręki.

Bądź zdrową, luba; daj mi chustkę twoją,
Nią otrę czoło z marsowego potu,
Pod nią się prędko rany moje zgoją:
Będę do ciebie pisował z namiotu.

B) Ranny powraca zwycięzcą.

(«Zabawki wierszem», str. 111—112).

256) Szlachetne bliźni! wyście dla mnie chwałą,
Z wami się chlubnie pokazują wszędy,
Wy cechą męstwa jesteście wspaniała,
Wy u monarchów czynicie mi względy.

Lecz jakże pójdę do kochanki z wami,
Jakże jej chustkę zbroczoną pokażę,
Co ją hojnemi oblewała łzami,
Gdy mi ją nosła wśród rozstania w darze?

Ach, obwijajcie, góście rany moje!
Zmyjcie krew z chustki, a zmyjcie bez zwłoki,
Inaczej płakać będziemy oboje,
Aż łzy hojnemi popłyną potoki.

Ona zna dobrze, co jest honor święty,
Lecz razem tkliwa, będzie lkać zapewne:
Jam wojak męzny, lecz jej łzami tknięty,
Będę się wstydził, że mam serce rzewne?

Ale coś czynię? Tak długo mię czeka,
Tak długo tęskni beze mnie; już może
Zwątpiła o mnie i na mnie narzeka,
A ja się bawię: daj skrzydeł mi, Boże!

C) Pieśń.

(«Dziewica Orleańska» i t. d., str. 169—171).

257) Odstąpcie, strażę przemocy,
Odbijcie mi zamki rdzawe;
Pójdę dzień ujrzeć po nocy,
Obudzę śpiącą mą sławę.

Mój orzeł do góry leci,
O drogi orle mój biały!
Już my dwunastu, twe dzieci,
Żniw pod twym skrzydłem nie miały.

Lecz jakże chmura ta krwawa,
Którą wskrzeszony ty prujesz!
Znać, ciężka twoja przepawa:

Dzieci na pomoc zwołujesz.
Odstąpcie, strażę przemocy,
Odbijcie mi zamki rdzawe;
Pójdę dzień ujrzeć po nocy,
Obudzę śpiącą mą sławę.

Pójdę, choćbyście kazali
Wiatrom w południe dąć srodze,
Moc onych z nóg mię nie zwali;

Pójdę ku północnej drodze.
Rżące powodzie przebędę,
Ku sprzecznej wiodące stronie,

Odstąpcie, strażę przemocy, i t. d.

O rodzice, rodzice kochany!
Lęz łzy nade mną w tej chwili:
Już ja nie zadam tym rany,

Którzy mej sprawy bronili.
Wytocz łez radosnych zdroje,
Nie ujrzyś w więzach mej nogi,
Ochota stroi mię w zbroje,

Nie wdziewa jej przymus srogi.
Odstąpcie, strażę przemocy, i t. d.

Niech jej tysiącem nie grożą
Są, co dumnych moc ukróca.

Tysiące strzał ich położył,
A na nich milion rzucą.
Odstąpcie, strażę przemocy, i t. d.

A duch w weselnej postaci,
Chodząc w empirze przez gaje,
Doniesie cieniem swych braci,
Że polskie powstały kraje.
Odstąpcie, strażę przemocy, i t. d.

D) Pieśń.

(«Dziewica Orleańska» i t. d., str. 160—161).

258) Na cóżem wyszedł z pod twojej opieki!
Dręczony smutkiem, pokoju daleki,
Wiosnę dni moich trawiąc na żalobie,
Myślę do tobie.

Jeśli źle jeńcom u srogięgo pana,
Przynajmniej wolność myślenia im dana,
A ja nie umiem, tylko w każdej dobie
Myśleć o tobie

Rażą świat straszny tyrani widokiem, —
Ty, tak łagodnym poglądnąc okiem,
Tym mię w dotkliwszym zniewalasz sposobie
Myśleć o tobie.

I niewolnicy wychodzą z więzienia;
Dla mnie i tego niema pocieszenia —
I nie przestanę, chyba w rychłym grobie,
Myśleć o tobie.

E) Mazurek.

(«Dziewica Orleańska» i t. d., str. 175).

259)

«O mój Jasiu złoty!
Kochanka cię prosi:
Nie chciejże tęsknoty
Szczęsnej z tobą Zosi».

Tak Zosia mówiła,
Zlitujcie się, nieba!
Jej mowa tak miła,
Jej mi słuchać trzeba.

Jakże tu pojechać,
Kiedy Zosia prosi!
Ach, trzeba poniechać
Wszystkiego dla Zosi.

Już ja nie pojedę;
Wracaj, kary koniu;
Gdy mi dziewczę rade,
Ty bujaj po błoniu.

Paś się na wygodach:
Nie pojedziem wprzody,
Aż po naszych wdach
Do naszej zagrody.



Opracował JAN MICHAŁSKI.

TYMOWSKI KANTORBERY

(1790—1850).

Kantorbery Tymowski urodził się w r. 1790 w Kaliskiem. Po skończeniu szkół średnich za czasów pruskich wstąpił do wojska polskiego, bił się w Hiszpanii. Po powrocie do kraju został urzędnikiem. Za czasów Królestwa Kongresowego mianowany referendarzem stanu. Zostawszy wolnomularzem, był reprezentantem 3-go stopnia w loży Kazimierza (w r. 1817). Był również członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W życiu literackim brał żywy udział, zasilając utworami «Pamiętnik warszawski», «Astree», «Sybille nadwiślańska», «Tygodnik polski». Łączyły go zażyłe stosunki z L. Osiańskim i K. Brodzińskim. Należąc do obozu postępowego, którego duszą był Stanisław Potocki, «kochał lub nienawidził, według słów K. Brodzińskiego, pisarów zawsze o tyle, o ile się ich plody wolności religijnej lub politycznej tyczyły». Z tego powodu wysoko cenil Woltera, którego «Mahometa» tłómaczył, a później Szyllera. Pod wpływem Brodzińskiego przestał «według zwyczajów starszych literatów pogardzać» pisarzami niemieckimi, poznał Schillera i Goethego i bronil ich «przeciw napaściom naszych mniemanych klasyków». T. jeden z pierwszych u nas drukował przekłady Schillera: «Marzenia» (die Ideale), «Do radości». Najubiejszym jednak poetą Tymowskiego był Horacjusz, który odpowiadał najczęściej jego pogodnemu i wesołemu usposobieniu. W 1816 r. wydał T. «Ody Horacjusza, wybrane z ksiąg różnych, rymowym i nierymowym wierszem». Wznowił w tym przekładzie rozpoczętą w XVIII w. przez ks. Nowaczyńskiego sprawę prozodyi polskiej. Uważał on, że poezye Greków i Rzymian, którzy nie znali rymu, można wiernie tłómaczyć jedynie wierszami miarowymi. Niestety, próby, podjęte w tym kierunku przez tłómacza, który nie posiadał widocznie poczucia melodyi, niezbyt były szczęśliwe. Oryginalne utwory Tymowskiego posiadają charakter różnorodny. Część ich wywołana jest wypadkami naro-

dowymi. Największym rozgłosem cieszyły się z początku jego anakreontyki, a później pisane pod wpływem Schillera: «Zamítowanie prawa», «Narodowość», «Ojczyzna». Po rewolucji 1830 i 1831 roku podążył T. na emigrację. Umarł w r. 1850 w Montpellier.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) Zblorowego wydania utworów K. Tymowskiego niema. Wiersze jego rozproszone są po czasopiśmie warszawskich z lat 1815 do 1831. Oddzielnie wydał następujące utwory: 1) «Dumanie żołnierza polskiego na wałach starożytnego zamku Maurów w Hiszpanii» [b. w. m. i r. (1810)]; 2) «Oda z powodu ogłoszenia aktu Konfederacji Jeneralnej w Krakowie napisana» (1812); 3) «Do braci naszych w służbie moskiewskiej» (1812); 4) «Wiersz do Litwinów» (1812); 5) «Rym liryczny do Ludwika Osińskiego» (b. w. m. i r.); «Na rok nowy do St. hr. Potockiego, Prezesa senat. Król. Polsk.» (Warsz. 1821); 7) «Ody Horacyusza, wybrane z ksiąg różnych, rymowym i nierymowym wierszem» (Warszawa 1816); 8) «La Pologne, le Russie et l'Europe. Discours prononcé le 29 novembre, jour anniversaire de l'insurrection polonaise», (Paris 1835); 9) «Przyszłość. Do ziomków pospółstwo miłujących» (Bordeaux 1841).

b) O Tymowskim spotykamy wzmianki u następujących pisarzy: 1) Sulima L.: «Polacy w Hiszpanii» (1808—1812). Opowiadanie historyczne». (Warszawa 1838); 2) Wójcicki K. Wł.: «Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu» (Warszawa 1830); 3) Brodziński K.: «Nieznany wrywek z «Wspomnienia mojej młodości» (Pamiętnik literacki. Lwów 1905, zeszyt 1).

A) Dumanie żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem.

(«Pamiętnik warszawski», t. I. Warsz. 1815, str. 80—81).

260)

Umilkły bębny, gasną tlejące ogniska,
Księżyc z srebrnego wozu błąd promień ciska;
Drą w bystrych nurtach Tagu niebotyczne bramy
Zamku, gdzie panowały kiedyś Abderamy*.)
Wiatr uparte balwany roztrąca o wieże,
Których spią polski broni, a odwaga strzeże.
Stokroć odgłos: «Kto idzie?», wiekami nieznany,
Obją się o czarne sklepienia i ściany.
Bezpieczni tarczą hasła: zginę lub zwyciężę!
Oparci na żelazie spoczywają męże.

*) Nazwisko kilku kalifów, którzy panowali w Hiszpanii (*Przyp. Aut.*)

Noc spokojność rozlewa na całą naturę,
Mnie tylko sen przerywa wspomnienia ponure...
O Ty! co ogień męstwa zapalasz w mem łonie,
Ojczyzno! Ciebie szukam, za Twem zwycięstwem gonię.
W Twej sprawie Piramidy i Hajtejskie skały*)
Nieraz szczeniemi oręża sarmackiego brzmiały;
A krew, co kapitołskie broczyła świątynie,
Pod słupami Alcya w ziemi Maurów słynie.
Choć wszędzie piękna sława dla kraju usługi,
Odbijając przekute na oręże pługi,
Podpierając zasady Iberyjskich tronów,
Tracę zaszczyt obrony ojczyźnianych zagonów...
Tępić lackie żelazo na Kantabrorów murze
I od swojej daleki, — obcą ziemię burzę!...
Lecz gdzież mnie myśl unosi?... Łańcuch z oczu gubię,
Łączący los mych ziomków w twórcy ich rachubie...
Potrój się, męstwo moje! niech wiślańska ręka,
Strażna pod Albuhera, mur Gadeski spłka;**)
A wtedy niech Bellona przez podbite grody
Wiedzie znużoną stopę do ojców zagrody.
O przyjemna nadziejo! spełnij szczęście moje:
Niech nad brzegami Wisły ciężką zdejmię zbroję:
A powietrzem ojczyzny odetchnąwszy drogim,
Powrócę orać rolę, leżącą odłogiem.
Tam zgromadzonych braci pod jaworu cieniem
Rozrzewniać będę chlubenem, lecz tkliwie wspomnieniem
I wyliczą imiona godne potomności —
Tych, co za Pirenejami położyli kości,
Bohatyrów, co, walcząc dumne zyny Cyda,
W stu bitwach zadziwili rycerzy Alcya.
Okkana, Almeida, gór Moreńskich szczyty,
Talawera***) zachowa wiślańskie zaszczyty;
I prędzej czas zardzrosny prawica ze stali
Warownej Saragoasy kamienie obali,
Pokruszy starożytnej Tarragony skały,
Niż zgasnie w Iberyi pamięć polskiej chwały.
Któż przeżył wawóz Somo****), którego bronila
Potrójna męstwa, sztuki i natury siła?

*) Haiti nazwisko pierwotne wyppy S. Domingo (*Przyp. Aut.*)

***) Gades dawne nazwisko dzisiejszego Kadyksu (*Przyp. Aut.*)

****) Okkana, Almeida, Talawera, miejscza sławne walcami bitwami (*Przyp. Aut.*)

*****) Somo-Sierra, wawóz, prowadzący na płaszczyzny Kastylli, sławny zdobywcem go przez pułk ubawów polskich dowództwa pułkownika (dziś jenerala) Krasńskiego. (*Przyp. Aut.*)

Lud, do zwyczajów przywykły, tego zdobyć nie mógł;
 Polakowi przystało: uderzył i przemógł.
 Tu poległ Dziewanowski, waleczny młodzieniec,
 Gdy nadzwyczajnej sławy biegi osiągnąć wieniec.
 Tu z nim jeźdźnego hufca naczelnicy śmieli,
 Krzyżanowski, Rudawski męską krew przeleli.
 Ileż chwaly potomność ziomkom moim przyna!
 Blaskiem jej z żalem jednak zdobi się ojczyzna,
 Z żalem zgasyłch rycerzy zaszczytu wspomina...
 Jakiegoż w Sobolewskim utraciła syna!
 Mąż nieulekły w boju, nieugięty w cnocie,
 Polskiej pod Almonacid*) przywoził piechocie;
 Dzielną ręką zwycięstwa sam przeważał szalę
 I śmiertelne zdał życie nieśmiertelnej chwale.
 Tutaj Sielski, Wiśniewski, wojownicy biegli,
 Obok dowódcy swego chlubną śmiercią legli,
 A pola, świetnych laurów zubożone plonem,
 Gajewski i Tomicki swym wstawili zgonem.
 Gdziebądź stąpi wędrownik po krainie Gotów,
 Wszędzie ślady sarmackiej odwagi i grotów.
 Walladolida grobem Boguckiego słynie,
 Pod Alkaraz waleczny Horowicki ginie;
 Miejsce to sławne dziełem ręki Rzymianina**).
 Piękniejsza zdobi sława mogiłę Suryna***):
 Bez przodków, narodową dźierząc tylko dzielność,
 W męstwie znalazł szlachectwo, w zgonie nieśmiertelność.
 Zwaliska Arragonu stołicznego miasta
 Zwycięską świadczą bytność wojowników Piasta.
 Tam, uwiecznywszy męstwo warowni zdobyciem,
 Szot, Emeryk, Bieliński rozstali się z życiem.
 Czemuż tak piękny wawrzyn krew bliźniego plami?!
 Gromiliśmy nieszczęsnych, nieszczęśliwi sami.
 Tak miłości ojczyzny umiesione żądzą,
 Ludy ze zbytku cnoty na drodze jej błądzą.

Chwała wam, święte cienie! lecz dwakroć szczęśliwy,
 Kto przed zgonem ogląda rodowite niwy,
 A ległszy, broniąc kraju, lub usnąwszy mile,
 W usztej z ziemi przodków spoczywa mogile.
 O współziomkowie moi! których drogie zwłoki
 Poehłonyły w swych głębiach kastylskie potoki,

*) Pamiętniej walną bitwą w roku 1809 (*Przyp. Aut.*).

***) Wodociąg rzymski (*Przyp. Aut.*).

***) Suryń, żołnierz prosty, poległ, nadzwyczajne okazawszy męstwo.
 (*Przyp. Aut.*)

Lub przykrył głaz nieczuły ojczyzny Pelaga*);
 Choć nieśmiertelny pomnik wzniosła wam odwaga, —
 Na obcej ziemi chwila wybiła ostatnia!
 Już smutnych grobów waszych łza nie skropi bratnia,
 Ani ich mirtlem ręką kochanki ocieni,
 Ni przyjaciele zwiedzić przyjdą zasmuceni.
 Kiedyś rolnik hiszpański wyorze te szczytki
 I uragać się będzie z przykryj mu pamiątki...

Marsie! coś z walki w walkę wiodąc krok mój śmiały
 W utrudach dla ojczyzny sznukaż kazał chwały,
 I stawil w rotach mężów na Ibru podbicie,
 Nie oszczędzaj krwi mojej, lecz ochraniaj życie!..
 Pozwól jeszcze widoku ulubionych brzegów!
 Szczęściem mojem śmierć będzie wzdóć bratnich szeregów!
 Głowę moję na roli ojczystej położę,
 A dłoń Wandy zaszczepli na mym grobie różę.

B) „Elegia z powodu wprowadzenia zwłok ks. Józefa Poniatowskiego przez wojsko narodowe, wracające do ojczyzny“.

(„Almanach lubelski na rok 1815 dla amatorów literatury ojczystej“, Lublin, str. 122—133).

261) Kiedy bogi zazdrośnie śmiertelnika chwały
 Wóz zwycięstw w ziemi naszej piewszy raz wstrzymały,
 I raz jeszcze cofańszy polskiej łódź nadziei,
 Przywiodły do Luteku ród Newy i Sprei;
 Gdy bohater, wzgardziwszy dalszych bojów trudem,
 Wyrzekł się panowania nad niestałym ludem, —
 Wy, ostatni stróżowie dobroczyńcy tronu,
 Wracacie do polskiego gruzów Ilijonu!
 Wracacie do rodziny po łzy i nadzieje:
 Pierwszych brakło zręcznie, druga już wiednieje.
 Rozlały się po globie laskiej krwi strumienie,
 Wielkich ofiar owocem laur i podziwienie.
 Dla serc waszych nagroda nie wystarcza taka;
 Innych może nasycić, nie może Polaka!
 Szlachetniejsze uczucia dusza jego władną,
 I chwala bez ojczyzny nie jest chwałą żadną.

*) Wskrzesiciel niepodległości hiszpańskiej w wieku VIII, pierwszy król Leonu i Asturyi. (*Przyp. Aut.*)

Rycerze! ta ojczyzna, żalobą okryta,
Ze łzami was żegnała, ze łzami was wita.
Któryż o jej wdzięczności powątpiewać mniema,
Ceni wielkość zasługi, lecz nadgrody nie ma?
Znajdzie ją w sercach, które z męstwem niestrwożonym
Tęgnęły miłością ziemi i gardziły zgonem.
Chwalebnych mieszcząc waszych zazdrozczą nam ludy,
Cóż, gdyby szczęście świetne uwieńczyły trudy?
Wysilił się gniew Niebios, dusze jednak stałe
Pęta w chlubę, niedolą zamienily w chwałę.
Lecz po cóż świetność dzielnych przypominać czynów?
Wszędzie smutek się łączy do blasku wawrzynów!
Jakaż to biała żaloba czoła sepi męskie?
Obwidła krep ponurość ramiona zwycięskie;
Orly w kirze, ku ziemi pochylone bronie,
Nowy żal, nową chwałę rozniecają w łonie.
Już nic zaszczytów waszych przewyższyć nie zdola:
Bluszcz wdzięczności otoczył bohatyrskie czoła.

Kiedy walcząc daremnie tyranów liktory,
Na polu Filipickim skołał Brutus wtory,
Prochów męża, pod obcem porzuconych niebem,
Nie przyszedł wolny ziomek zaszczyć pogrzebem.
Szczęśliwszą jesteś, Polsko! Syny twoje prawe
Zapomniana od Rzymian odzierżyli sławę.
Bliżko Sali, co, żywe oblewając niwy,
Po słupach Bolesława toczy nurt gniewliwy,
Wzniósł się gród, przemysłu zubożacony plonem,
Sławny walką obrzymią i Józefa zgonem.
Tam wydarte Elsterze bohatera ciało
Na splamionej niewiarą ziemi spoczywało!
Lecz gdzież Polak dziedzicznej chwały zapomina?
Zawolała ojczyzna o popioły syna!
I ci, na których walczył i zwyciężał czele,
Przyszli po świętą własność — smutni właściciele.
Przyszli! i na orędu do grobowca matki
Przynoszą sarmackiego Brutusa ostatki.

Ponura cichość bramy ogarała miasta,
Milcząco w sercach smutek z każdą chwilą wzrasta.
Wszystkie dusze zajęło widowisko wielkie
I żaloba uczucia ustąpiły wszelkie.
Ledwie trzykroć pogrzebne spiże zaryczyały,
Wybiega lud stolicy zmieniony, zwątpiały!

I na drodze wolności od płaszczyzny Woli
Czeka na ostatniego potomka swych króli.
Próżno! już on nie przyjdzie w tej świetnej postaci,
Kiedy spękał [tak] okowy Małopolskich braci —
I gdy, zbawczym orędem zdumiewszy Karpaty,
Wracal bluszczem wdzięczności i laurem bogaty,
Placz, Warszawo, Józefa! za kraj wiodąc boje,
Dwaokrć własną zaslaniał pierśią mury twoje.
On na łonie twem wkrzesił narodowe rotę
I przydział się blaskiem wdzięczności i enoty.

Ale już dźwięk okropny smutną przerwał ciszę!
Żal pogrzebowym dzwonem leniwo kołysze.
Zdrojem się lzy z męskiego wydzierają oka,
Nie może ukryć smutku wieczorna pomroka.
Błysnęły wachle śmierci i światłość niemila
Straszny wielkiego zgonu obraz oświeciła!
Zbliża się wóz żałobny i żałobne bronie!
Smutne rączego biegu zapomniały konie,
A Wisła, świadek wieczny poległego chwały,
Żalosci gluche toczyć rozkazała wały.

Patrzcie! Nieme Józefa kir osłonił ciało!
Tyle nam z najpierwszego Polaka zostało!
Skoro w nurtach Elstery drogie zgaśło życie,
Stanął duch nieśmiertelny na Olimpu szczyście.
Szukał sprawiedliwości, a znalazłszy głuchą,
Wrócił na łono braci z nadziei otuchą.

Widzę go w tych zastępach, które w obręb mały
Całą chwałę poległych i własną zabrały.
Widzę w ludzie: szlachetna go unosi pycha;
Cierpi, ale miłością ojczyzny oddycha.

Tak gdy zaszrodną chmura czoło skryje Feba,
Caśnie świetność natury, nłknie błękit nieba;
Lecz dzień, rozwodząc światło po cieniach obłoku,
Świadczy przytomność Boga śmiertelnemu oku.

Jakiż to rycerz błady z pojrzaniem wspaniałem
W powietrzu nad Józefa unosi się ciałem?

Opiera dłoń na trumnie obwiedzionej kirem.
 I cień jeszcze nad zmarłym czuwa bohaterem?
 Walecznego Bleszama czyż nie poznajecie?
 Nic rycerskiej młodzieńca nie zrówna zalecie.
 Towarysz wodza, z wodzem zawód skończył męski,
 Wielką podzielił chwałę i nie przeżył klęski.
 Wy, których los ojczyźnie w czas zachował dalszy,
 Z ciężkim dziełcie żalem zaszczyt najwspanialszy,
 Rycerze! ten wasz hufiec nieszczęsny, lecz dzielny,
 Wiódł w pole wódz zwyciężski, z pola nieśmiertelny.
 Ukój łzy sprawiedliwe, niezgięty narodzie!
 Już zwłoki męża w królów spoczywają grodzie!
 Hold im potomki nasze niech złożą ostatnie,
 A my orły i roty powitamy bratnie.

* * *
 Ziomkowie, odetchnijcie pod ojczystym niebem;
 Odżywcie się po trudach narodowym chlebem.
 A jeśli jeszcze szczęsne wyroki pozwolą,
 Że wolni orać będziem ojców naszych rolę,
 Każdy z was rzeknie bratu z szlachetnym zapalem:
 «Do wskrzeszenia ojczyzny i ja należałem».
 Lecz cóż? że sercom naszym kraj ojców jest miły,
 Poświęcenia dostatki, Mars wyczerpał siły,
 Duch tylko został dzielny w osłabionem cieśle,
 Chwała, męstwo, nadzieja i nieprzyjaciele.
 Tamta pęta niewoli blaskiem swym oświeci,
 To najdroższą wolności iskierkę roznieci,
 Trzecia ożywiad będzie patryotyzm bratni,
 A cnotę naszą muszą szacować ostatni.

* * *
 Lecz gdzież mię myśl uniosła? natchnienie mi wieszczę
 Rzekło: jest Bóg słusznosci! w Nim ufajcie jeszcze.
 Ty, co, rządząc północą w towarzystwie sławy,
 W bluszcze uszczęśliwienia mieniasz wawrzyn krwawy;
 Co, zawiesiwszy zemstę na Paryża wale,
 Zwyciężyć i przebaczyć umiałeś wspaniale, —
 Pójdź do nowej wielkości, tej dokonaj drogi,
 Na której szczęście nasze zatrzymały bogi.
 To, którego nie mogły siły wnieść olbrzymie,
 Wamies królestwo Chrobrego, zaszczyty i imię.
 Europa się zawstydzi, a potomność powie:
 «Upadł gmach, co go sami stawili bogowie;
 Dźwigał go Alcjd Franków, lecz runął na nowo!
 A jedno Aleksandra podniosło go słowo!»

C) «Elegia na śmierć Tadeusza Kościuszki».

(«Pamiętnik Warszawski» t. X, 1818, str. 103—110).

262)

Jakież to odgłos żalobny, ponury
 Uderza strwożone ucho!
 Posepnie zabrzmiął i głucho
 Niepodległy dzwón Solury.
 Serce się żalem rozdziera...
 Na wolnej ziemi niezgiętego Tela
 Wolnego dosięgł zgon obywatela.
 Polsko! Kościuszko umiera!
 «Kościuszko nie żyje miły!» —
 Usty żalu kraj powtórzył
 I u Józefa śpijony mogiły
 Narodowy smutek ożył.
 W łzach smutku tego pociecha!
 Z tych łez, co chwale jego odpowiedne,
 Zda się, że rodzina Lecha
 Serce i oczy ma jedne.
 Wdzięczność ojczyzny cnot rycerza żniwem,
 Jej głos potomność słucha;
 Ona jest pierwszym ogniwem
 Nieśmiertelności łańcucha.
 Mężów wolności imiona,
 Miłe i ziemi i niebu,
 Powracają z wieków łona;
 I kiedy pamięć Sesostrzyśy kona,
 Żyje Brutus bez pogrzebu.
 Tak podobny mu w zaszczycie,
 Wyższy mości cnoty swemi,
 Nie ma Kościuszko grobu w swojej ziemi,
 Lecz w sercach ziomków ma życie. —
 Upredź, muzu, dziejów chlubę,
 Uwiedźz laurem imię lube,
 I na straż drugiego bohatera czuła,
 Opowiedz chwałę, co dni jego snuła:
 Czas narodów mści cierpienia,
 Swoboda przemocę kara.
 Ledwie wolności rozległy się pienia
 Nad daleką Delawarą,
 Gdzie Wasyngtona [tak] znaki powiewały,
 Niosą rycerza oceanu wały,
 I w cudzych swobód obronie
 Sposobi te dziełne dlonie,

Co własnych ratować miały*
Pogoda była, nad brzegiem Missury
Wolności świeciło słońce;
Polszcze trzy burzą zagroziły chmury,
I w Lipska gościnnie mury
Kryjomo przyszli ojczyzny obrońce.
Jakież igrzysko losów! o pamiętny grodzieł!
Tej, której zgonem zasłynął,
Stąd niósł Kościuszko ratunek swobodzie...
Tu Poniatowski za wróconą zginął.
Gdzie z olbrzymich gór stracona,
W sąsiedztwie płynie Karpatów,
Raz dopiero ujarzmiona
Rzeka Sarmatów.
Tam na słynnej żniwem roli,
Zazdrosny swobód, zazdrosny zaszczytów,
Kwitnie dzielny szcep Lechitów,
Chwała współziomków i króli:
Tu, aby nie dał w ohydzie
Zginąć ojczyźnie, która wieki chwali liczy.
Lud w bohaterów zamienił rolniczy
Kościuszkę idzie.
Ach! jakże jest wspomnieć miło,
Ze jeszcze w ostatniej dobie
Zwycięstwo na kraju grobie
Męжных wieńczyło.
Ty, ludu Wandy, co wesołem pieniem
Powtarzasz jego i imię i dzieła,
Smutnem się podziel cierpieniem;
Już chluba twoja zniknęła!
Przez góry, potoki, lany
Smutek w każdej stanął chacie,
Po walecznym płaczą bracie.
Co do Boga powołany...
Już nad Zielonęk strumieniem
Krakowianek koło
Chwałę męża swojskiem pieniem
Ogłasza wesoło:
«Ten, którego sławą brzmiały
Te pola i skały,
Co kraj ratował w potrzebie,
Już Kościuszkę w niebie».
Nieśmiertelne wasze pienia;

*) Niemasz różnicy i sławy i nieba,
Gdy z jarzma wyzwalać trzeba (*Przyp. Aut.*).

Każdy, z nim co w smutnej dobie
Krew przelał dla kraju,
Ma żal jego, laur na grobie
I mieszkanie w raju
Milczysz, Warszawo? Klio przypomina:
Wszak tutaj Kościuski męstwo
Wyrzęło z wozu Fryderyka syna
Upokorzone zwycięstwo.
I czemuż był mur dla Troi?
Runął wśród tarcz i oręża:
Tu murem piersi była męza,
I gród wywołony stoi.
Ostatni to był wawrzyn, kłęką niech ostatnią
Niemcewicza muza powie,
Co z wodzem przyjaźń i boje, i zdrowie,
I niewolę dzielił bratnią.
Smutnej już chwili nie wspomnę,
Chwili ojczyzny mej zgonu,
Wiekі ją laurem uwieczą potomne,
Bo zdarła sprawiedliwość z mowy wiarołomne
U Aleksandra Augusta tron;
Bo imię Polski ogłosiły usta
Aleksandra Augusta.
Ustap, podbijania chwało,
Czystej wyzwolenia chwale;
Tamtę przeklestwo czekało,
Tę wdzięczność wieńczy wspaniale.
Gdy po straconej swobodzie,
Chlubnemi odkryty rany,
Ozdobą więzów skarany,
Cierpiał Kościuszkę w wielkim Piotra grodzie;
Kiedy śmierci tylko życzył,
Od ulubionej oddalony roli,
Szały chwile, lecz chwil nie liczył,
Bo niemasz życia w niewoli.
Jakże się dumne bohaterzy mylą,
W liczących zwycięstwach szukający sławy!
Wspaniałość zemście miecz wytrąca krwawą,
Unieśmiertelnia się chwilą.
Dumał wódz polski nad losy srogimi;
Lecz dla ojczyzny smutek mu udzielał;
Krwі mu zostało, — ale brakło ziemi,
By ją za wolność jej przelał.
Wy! których pochlebne usta
Cacili rzymskiego dzieła Augusta,

Takiego czynu nie miały,
Takiej nie głosili chwały
W nieprzyjacielu, co cnotę ocenia
I lituje się cierpienia.
Wznosi się wielkość, gdy ją zniży cnota,
W nowej świetniej ozdobie;
Czyjaż to ręka o niezwyklej dobie
Niewoli otwiera wrota?
Czy prześladowcy nielitośna dusza
Chce dni polskiego stargać Maryusza?
Nie, — Paweł, pan milionów,
Którego rządóm nie zachodzi słońce,
Wstąpił; zstępuje z najpierszszego z tronów
Wyzwalać Polaki obrońce
Wdzięczność tysiąca rodzin zaplakała
Za smutek radości łzami;
I z jakimż wawrzynami
Taka porówna się chwala?
Potomność czyni porównywa świata:
Tu konsul wiedzie ród królów spętany,
Tutaj monarcha na ręce Arata
Targa kajdany.
Ameryko! Kosciuszko powraca do ciebie;
Spoczął u Toweru wieży;
Lud niegościnnie, co tylko czci siebie,
Z czcią dla bohatera bieży,
Bo chwala wielkich ludzi do świata należy.
Ziemio wolności i wolności wzorze,
Gdzieś dłoń taż sama i walczy i orze,
Ty ojczyzno Waszyngtona,
Coś w swe wygnańca przyjęła ramiona —
Pozwól, niech ci dzięki przyna
Za syna Chrobrych ojczyzna!
«To syn mój» — matka Jeffersonów powie —
«On moje zasłużył dzięki,
Cześć swobód z jego mam ręki,
Mój wawrzyn na jego głowie;
I cóż, że przemie od osi do osi
Trzyma narody w kajdanach warownych:
Kto wolność w swem sercu nosi,
Ten ma ojczyznę u równych».
Już Kościuszkę zgięły lata,
Kiedy przy pamiętnej Jenie
Niedościgłe przeznaczenie
Przemieniło postać świata.
Wzywano wodza w pola ziomków żyznych;

Zamilczał, — czemu? niech rozwiążą dzieje.
Podobno dawną chciał ujrzeć ojczyznę,
A widział tylko nadzieje.
Tak sternik, co okrętą miotanego burza
Nie mógł schronić do ostoi,
Lubo się nieba odchmurza,
Nie ufa lódce, co u brzegu stoi.
Towarzysz Kościuszki chwaly
Wsiada w nią rycerz zuchwały
I niepomny, że się chwiewie,
Miłą chce przewieźć nadzieję.
Szała przy okręcie, co panował morzu,
Zwyciężala z nim balswany,
Świata opłynęła ścianą,
Aż w lodowatym zabłądził przestworzu;
Runął rozbikiem: — lódka się strzaskała
I nadzieja na rękę rycerza skonała.
Przykład ten niezgiętego Polaka zasmucił,
I choć Wielkiego Aleksandra słowem
Życiem Polska wstała nowem,
Już nie powrócił.
Wy! co płaciecie nad zgonem
Wolnego ziomka, wielkiego człowieka;
Wy! coście chwaly zastąpili plonem,
Co ojczystej brakło niwie
I czego swoboda czeka;
Wy! nieszczęśliwi szczęśliwie,
Nie usypiacie na drogi połowicie,
Żywiec w pierśiach ogień bratni,
Bo surowa przyszłość powie,
Że Polak skonał ostatni.

D) «Oda do brzucha».

(«Pamiętnik Warsz.», t. III, r. 1815, str. 505—508).

263) Sprężyno życia, wielowładny brzuchu,
Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu,
Tobie, któremu hołdują i trony,
Brzmiały moje strony.

Skróci się odchmurza Olimpijskiego pana,
Gdy piękna Hebe, ugiąwszy kolana,
Boską prawicą leje ci nektary
Z Wulkana czary.

W obliczu twojem równymi są ludzie;
Ubogi wieśniak w pochylonej budzie,
Mocarz, przed którym sto narodów klęka,
Ciebie się lęka.

Na twe rozkazy unia się pycha;
Tyś jednym z celów dobrego jest mnicha;
Nieraz on wspomni nawet przy altarze
O refektarzu.

Ojcie przemysłu, ojcie twórcze pracy!
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy;
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy,
Robić się uczy.

Napróżno miłość, gdy żółądek pusty,
Koralowemi odzywa się usta;
Kupido zimny i Cypryda niema,
Skoro jeść niema.

Kiedy pocie żółądek się ścieśni,
Stygnie w nim zapal, przerywa swe pieśni,
I z uniesieniem za kawał pieczenia
Dramę zamieni.

Niechże o tobie w boju Mars zapomni,
Rzucą oręż rycerze niezłomni,
Złotu i twardej niedostępny stali
Mur się obali.

Dyanna srebrne rozprzęga już konie,
Puszczą dzień w nocnej ukryty zastonie,
Twój rozkaz ploszy sen z leniwych powiek,
Budzi się człowiek.

Huczą siekiery, upadają dęby,
Krew ofiar płynie, dym wije się w kłęby
I przemysłnego geniusz kucharza
Potrawy stwarza.

Ciągłem o tobie staraniem zajęty,
Poci się rolnik, pracuje z bydłoty;
Tobie wybite silnym cepem ziarna
Trą ostre żarna.

Z twego natchnienia młoty iskry sypią,
Chrupią nożyce i poduszwy skrzypią,
Warczy kołowrot, sprzeczne śruby piszcza
I heble świszcza.

Wietrak się kręci, prądkie szumia młyny,
Wrą kotły, płoną rozległe kominy,

Goreją piece, kołacz się rumieni,
Garnek szepleni.

Tobie w haraczu od kolebki świata,
Gdzie Indus płynie, Nil żyzny i Piata,
Pławią ogromne przez ocean nawy
Drogie przyprawy.

Tobie puncz tworzy i chłodzące lody,
Jakich nie miały Pellejowe gody,
Pieni kakao i leje karmelki
Lesel nasz Wielki.

Czy Rozengarta smakują pierogi,
Których zadrzościć mogą nam i bogi,
Czyli pieniste rozlewam szampany,
Tyś wspominany.

Tyś kęsy dzielił z bogami ofiarne,
Tobie polewki Spartan warzył czarne,
A żarłok Tybru na złotym obrusie
Niósł mózdzki strusie.

Gdy kartę dziejów odwrócę zbutwiałą,
Widzę Lukullów, służących ci z chwałą;
Dziś ku czci większej przyjaźń chowa ścisłą
Sekwana z Wisłą.

Miejski pasibrzuch teraz już nie schudnie,
Nie ranek tylko, wieczór i południe:
Wzywa go usta restauratora
Każda dnia pora.

Schnie gach z miłości, błagając nieczułą,
Mędrzec nad księgą, skąpiec nad szkatułą,
Kiedy dwaj głupcy westfalską kielbasą,
Śmiejąc się, pasą.

Wśród zgietku miasta i w ustroniu wioski,
Kiedy ty łakniesz, głuche rządzą troski;
Gdyś syt, swoboda i weselość pusta
Otwiera usta.

Powszechne prawo twoje i potęga
Od mroźnej Zemli do Nigrytów sięga,
Dziki i światłe narody na globie
Podległe tobie.

Tobiem poświęcił język mój i zęby,
Służyć ci mojej rozkoszą jest gęby;
Miło jej, czyli parzy się czy dmucha,
Byle dla brzucha.

E) -Narodowość.

(Sybilla Nadwiślańska I, r. 1821, str. 39—42).

264) Kto narodowość, swobody, Lecz, jak przed prawdy promieniem
 Światło zamilował czyste, Rój przesądów pierchnął ciemny,
 Ten gardzi więzami mody, Przed dzisiejszem pokoleniem
 A muzy kocha ojczyznie, Legnie i ten ród nikczemny.

Błogi mu cień swojskich gajów, Do swobód szczęścia i chwały
 Rodzinnej spokojność wioski, Średnią iść drogą przystoi;
 Swych miłośnik obyczajów, Pokorny ani zachwały
 Cudzoziemskiej nie zna troski. Nie przestąpi ich podwoi.

Zamorskich błyskotek świetność, Gdzie namiętność kietkno przerwie
 Do holdu go nie poruszy; W chwili w bezprawia obfitej,
 W sercu męstwo i szlachetność, Biada cnotom i Minerwie,
 Miłość ojczyzny ma w duszy. Niemasz rzeczypospolitej.

Gościny, otwarty, hojny, Gdzie oczy obywatelów
 Pan myśli swej i uczucia, Upzędzeń ślepią zawiązki,
 Cnót własnych prostotą strojny, Uchybią najbliższych celów
 Depce obcy kwiat zepsucia. I pomina obowiązki.

Skromny, niepochlebna widzi, Zniewałajny muzy cudze,
 Chwałę w narodowej dumie; Synów świata dzieła chwalmny,
 Szkoły świata się nie wstydzi, Lecz narodowej zasłudze
 Siebie jednak waży umie. Ponięśmy najpierwsze palmy.

Niedaremnie obca niwa, Tak dla Albijonu synów
 Zadziwia go skarbem plonu, Najmilszą ojczyzna lira;
 Przyswaja szczęśliwsze żniwa, Przenoszą nad wdzięk Rasyków
 Dla drogiego mu zagonu. Surowy geniusz Szekspira.

Grunt doświadczenia ma żyzny, Nie zabłyśnie promień Feba,
 Śpieszy za przemysłu głosem, Gdzie zimne dla ziomka serce,
 I lubej skronie ojczyzny Tam godne lepszego nieba
 Piękniejszym uwieczna kłosem. Talenta gasną w iskierce.

Owoce ganić domowe, Przewoźne rośliny kwitną,
 Pożyczonem świecić pierzem, A swojski wawrzyn usycha,
 I sekwańska pieścić mowę — Chwałę jednak starożytną
 Jest to mody być rycerzem. Śmie przypominać nam pycha.

Płci pięknej zganić się godzi, Jeśli pragniemy się chlubić
 Tę powabną zbyt przywarę; Blaskiem, co wiek przodków zdobył,
 Podłością jest w męskiej młodzi, Nie dosyć nam męstwo lubić,
 W pogardzie niech znajdzie karę. Przez które się sławy dobił.

Znajome są mędrków koła, Muzy trzeba kochać jeszcze,
 Co przed próżności bożnica, Co w Czarnolesia gościły,
 Bezecne schylając czoła, Pielegnować lutnie wieszczę,
 Zebranem się jarzmem szczyca, Rozpóścićć dźwięk ich miły,

Wywalczonych część wawrzynów Tę narodowość miłować,
 Na skromniejszy bluszcz zamienić, Co swobód tarczą i siłą;
 Cześć obywatelskich czynów Tak tylko możemy uchować
 Umieć i dzielić i cenić, Ojczyznę, ojczyznę miłą!

F) -Ojczyzna.

(„Sybilla Nadwiślańska” t. I, 1821 r. str. 135—6).

265)

Króluje prawo, a ojciec rządzonych
 U jego świętych podwoi;
 Najwyższy kaplan, dłoń stowarzyszonych,
 Ich siłą potężny stoi.

Węzłowiec jego Miłość Pospolita;
 Wieńcem wdzięczności nagroda;
 W szczęście, wawrzyny i światło obfita,
 Stróżem tronu jest Swoboda.

Nieciężkie berto Sprawiedliwość trzyma,
 Porządek skiniemien szery;
 Ani się gniewu obawia olbrzama,
 Ani piorunów rycerzy.

Kochanka nauk, na przemysłu lonie
 Chwała jaśniejsze spokojna;
 O lwa oparta, a wierna obronie,
 Nie łatwo budzi się wojna.

Rycerstwo z ogniw sprężonych ojczyznych
 Jedności tylko zna ducha
 I umie łączyć do wawrzynów czystych
 Miłość wolności łańcucha.

Rodzina ziomków równo matkę kocha,
 Wspólnie obowiązki dzieli;
 Duma, przesady, ani próżność plocha
 Nie różnią obywateli.

Tak rzeka, co ją zniewoliła Praca,
 Płynię strumyki małemi
 I do wspólnego koryta powraca,
 Chlubna żyznością swej ziemi.

Brać! nie ziemia ojczyzna się zowie,
 Nie brzeg, gdzieśmy dzień ujrzeli,
 Nie święte miejsca, gdzie żyli przodkowie,
 Co chwale służyle umieli;

Jest nią narodu nierozdzielna całość,
 Równa mowa, obyczajem;

Na praw puklerzu spoczywa jej trwałość;
Nie ogranicza się krajem.

Miło zapłakać na łubej mogile,
Walczyć za przodków popioły,
Żyć, gdzie młodoci ubiegaly chwile,
Gdzie Mieczysławów kościoły.

Lecz pęta w domu, za domem nadzieje
Gdyby kazal los wybierać, —
Lepiej powtórzyć Eneasa dzieje,
Niż w Ilionie umierać.

G) «Zamifowanie prawa».

(«Sybilla Nadwiśl.», t. I, r. 1821, str. 159—163).

266)

Prawo miłujcie, ten dar Ojca święty,
Tę swobód kotwicę stałą.
Niech ogień męstwa, raz w sercach zajęty,
Nieśmiertelną gore chwałą —

Chwałą, co dzielną rodzinę Lechitów
Ściaga z wieków potokiem,
Kłesk towarzyszką, piastunka zaszczytów,
Opatrzmem strzeżona okiem.

Ludu, co prawa nektarem się poi,
Najpierwszą potrzebą męstwo,
Bo przemoc straszną prawicę uzbroi
I przyniewoli z wycięstwem.

Lecz prędko starga swą odwaga siłę
Bez bratniej światła przewodni;
I mężnych świętą podepcę mogiłę
Niepobożnej stopy zbrodni.

Światło śmiertelnym spłynęło od Boga:
Nie zna kłeski ani zgonu;
Choć karki w jarzmo dłoń nakloni sroga,
Tli się w gruzach Ilionu.

Zazdrośne po niem stapać będą lata,
Ciemnoty potwór łakomy,
Z tronu, z ołtarza na nadzieję świata
Zabójcze wyrzuci gromy.

Powstanie jednak chwila uwieczniona,
Rozumu niesiona pióry,
I świętą iskrę z zapomnienia łona
Zda w ręce wolności córy.

Jest nią Ustawa, co zbawienie głosi,
Tron wspiera na nowej sile,
I, obu ziemskich przyjaciółka osi,
Władza na Nocy mogile.

Jako świątynia, co ją sztuk potęga
Słupów wieńcem otoczyła,
Co ziemię dziwi, co pod nieba sięga,
Cześć święta i oku miła

Stoi i póty wieków się nie lęka,
Póty wytrwa ich żelazna,
Dopóki czasu ołowiana ręka
Jednego nie ruszy głazu —

Zaraz się szczyty zachwieją wspaniale,
Wyniosłe runą sklepienia,
Braterskich słupów legną czoła śmiale
I chwalne umilkną pienia —

Tak praw narodu księga poświęcona
Cześć traci bez jednej karty;
Jedna gdy będzie swoboda zgubiona,
Już wszystkim żywot wydarty.

Cierpi obecna na przemocy sława...
Godzi się jej ustępować;
Ale zezwalać na uszczerbek Prawa
Jest to potomność mordować.

Skarb Praw plemieniu obecnemu dany
Własność to prawników święta!
Na chwilę tylko przyjąwszy kajdany,
Wiekom narzucamy pęta.

Stróże ojczystej swobody i chwały,
Nie skapny bluszcza ich skroniom,
Lecz umysł zawsze prawy i wytrwały
Żadnym ich nie podda broniom.

Jakże przyjemny zgon obywatela.
Co, błogosławiąc swe syny,
Nielkniętych swobód dary im rozdziela
I wolne żegna godziny!

Tak słońce, piękna gdy opuszcza ziemię,
Lica nurzając w purpurze,
Mile spogląda na wesołe plenię,
Zdane w opiekę naturze.

mieszal, pozostając w dobrych stosunkach z jednym i drugim obozem. Więcej jednak sympatyzował z romantykami:

Uważam, romantycy czasem może bredzą,

Ale też za to piszą ustawicznie:

A ci, co myślą klasycznie,

Coś cicho siedzą.

Po wybuchu rewolucji w Warszawie Gorecki stanął na czele Komitetu, który przygotowywał powstanie w Wilnie. Walczył później w szeregach bratnich i dosłużył się rangi pułkownika. Otrzymawszy misję dyplomatyczną, wyjechał zagranicę jeszcze przed wzięciem Warszawy. Po upadku rewolucji pozostał na emigracji w Paryżu. Długie lata spędził rycerz-poeta na obczyźnie, zdala od żony i dzieci, w oplakany stan majątkowym. Rząd skonfiskował cały jego majątek i zmusił żonę do oddania synów do korpusu wojskowego w Petersburgu. Nieszczęścia krajowe i osobiste podziały w sposób przynębiający na poetę, co zaznaczyło się w utworach, pisanych na emigracji. Pisał wówczas i drukował bardzo dużo, nawet za dużo. W pierwszych latach smutek i religijność panują w wierszach poety. Uczucie pobożności, w której szukał pociechy, zbliżyło Goreckiego do słynnego pokutnika emigracji, Bogdana Jańskiego, w którego domu zamieszkał. Lecz wkrótce sprzykrzyły mu się nieustanne praktyki religijne i zerwał z Jańskim stosunki. To samo było później z Towiańskim. Z początku Gorecki pod wpływem Mickiewicza, z którym na emigracji zawarł był ścisłą przyjaźń, z całym zapętem oddał się «sprawie», rychło jednak ochłonął i zerwał z towianizmem. W ostatnich latach życia oczekiwał się pociechy z oglądania syna, Tadeusza, który pielęgnował z niezwykłą pieczołowitością ojca schorzałego. Umarł Gorecki d. 18 września 1861 r. i został pochowany na cmentarzu w Montmorency, niedaleko Mickiewicza i Niemcewicza.

Puścizna literacka Goreckiego przedstawia się na ilość pokaznie. Przed r. 1830 powstały najlepsze jego utwory — bajki, pieśni rycerskie i krakowiaki. Później powtarzał się autor, a z drugiej strony, wychowany na wzorach dawnych, nie mógł się nagięć do nowego sposobu pisania.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

A) **Zbiorewe wydania utworów Goreckiego są następujące:** 1) «Krakowiaki ofiarowane Polkom. Muzykę zebrał Fr. Mirecki, śpiewy A. Gorecki». (Warszawa 1816); 2) «Poezye Litwina» (Paryż 1834); 3) «Bajki i poezye nowe» (Paryż 1839); 4) «Kłosek polski, czyli Nowy tomik poezyi...» (Paryż 1843); 5) «Siewba, czyli Nowy tomik poezyi» (Paryż 1857); 6) «Nowy zbiorek wierszy» (Paryż 1858); 7) «Jeszcze tomik pism» (Paryż 1859); 8) «Nowe pisemko» (Paryż 1860); 9) «Rozmaitości» (Paryż 1861); 10) «Wolny głos, czyli Nowy

LI.

GORECKI ANTONI.

(1787—1861).

Antoni Gorecki urodził się w r. 1787. Ojciec jego brał czynny udział w powstaniu pod dowództwem Jasieńskiego w 1794 r.; po wojnie był mecenasem przy trybunatach litewskich. W domu rodzicielskim młody Antoni nasłuchiwał się opowiadań rycerskich z ust różnych wiarusów Kościuszkowaków. Po ukończeniu szkół średnich odbywał studia w r. 1802—5 na uniwersytecie wileńskim wraz z J. Lelewelem, z którym serdecznie się zaprzyjaźnił. Już na ławie uniwersyteckiej pisał Gorecki bajki i wiersze satyryczne, zastosowane do osób i czasu; najczęściej powstawał przeciw butnym panom, wytykając im prywate, zbytki i ucisk chłopów. W r. 1812 porzucił Gorecki Wilno, aby zaciągnąć się do wojska polskiego. Brał udział w wyprawie Napoleona na Rosję, walczył pod Smoleńskiem, Borodinem-Możajskiem pod dowództwem Kniaziewicza i Mielżyńskiego. Za waleczność otrzymał krzyż legii honorowej i rangę kapitana. Ciężko ranny podczas odwrotu wojsk Napoleońskich, przebywał Gorecki kilka miesięcy na kuracji w Krakowie. Wyleczywszy się z ran, wrócił do domu i osiadł na wsi pod Wilnem. Odtąd zasiliał stale czasopisma wileńskie i warszawskie poetyckimi utworami. Największym rozgłosem cieszyły się jego dumy rycerskie, krakowiaki i liczne bajki, szczególnie polityczne. Na początku roku 1816 wyjechał za granicę, zwiedził Niemcy, Francję i Włochy. Stamtąd przysyłał również do gazet utwory, najczęściej bajki, które drukował pod pseudonimem A. Pelki. Po powrocie do kraju ożenił się w r. 1819 i osiadł na roli pod Wilnem, nie wypuszczając z rąk pióra. Pisał w dalszym ciągu ulubione bajki polityczne, przez co naraził się na gniew ks. Konstantego, który za bajkę o furmanach skazał poetę na areszt. Wychowany na wzorach klasycznych, duchem jednak i nastrojem zbliżał się Gorecki więcej do romantyków, aczkolwiek do głośniejszej walki ich z klasykami się nie

tomik pism» (Paryż 1850); 11) «Bajki» Paryż 1867 (Biblioteka ludowa polska. Zeszyt 53); 12) «Pieśni» (z przedmową Aleksandra Rettla; Paryż 1868 [Biblioteka ludowa polska; zeszyt 54]); 13) ostatnie, najkompletniejsze wydanie «Pisma Antoniego Goreckiego» (2 tomy, Lipsk 1886 [Biblioteka pisarzy polskich tom 80 i 81]); 14) w poprzednim zbiorowym wydaniu niema «Powieści o zających» wydrukowanej z autografu przez Wislockiego w Kalendarzu Czecha (Kraków 1880; jest i odbitka).

B) O Goreckim pisali: 1) Rettel A. I. w przedmowie do wydania z r. 1868 i 1886; 2) Mickiewicz A. w wykładach o literaturze słowiańskiej; 3) Wóycicki K. W. I. «Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu» (Warszawa 1880); 4) Wóycicki K. W. I. «A. Gorecki» (Tygodnik ilustrowany. Warszawa 1862); 5) Grochowski Wojciech «A. Gorecki» (Tamże 1862); 6) Ottmann Rudolf «Antoni Gorecki, poeta-żołnierz» (Muzeum. Kraków 1881).

A) Zdobyte przez wojsko polskie w Hiszpanii wąwozu pod Samo-Sierra.

(«Pisma». Lipsk 1886. T. I, str. 65).

267) Gdzie wąwóz Samo skałami się jeży,
Jest ciasne przejście, jak na szyk rycerzy.
Tam dumny Hiszpan, siadłszy na gór szczycie,
Czekał z pioruny na wrogów przybycie.

Z jakim łoskotem w alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szli do szturm u Frankowie zuchwali,
Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak była trudna dla męnych ta droga;
Próżne wysiłki męstwa i rozpaczy,
Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga.

Zacięte Maury z gór wierzchu szczydziły:
«Chodźcie tu, chodźcie, dawno was czekamy,
Wam tu Kastyki robią uśmiech miły,
Wam stary Madryt otwiera swe bramy».

Wtenczas bohater, co wiódł nasze częde,
Przybiegł, gdzie polskie łniły się oręże;
W cichem milczeniu zwarte łufce stały,
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały:

«Wy, co z waszymi znajome szeregi
Egiptu piaski, Apeninu śniegi,

Ty ze lwim sercem młodzieży niestrwożna,
Wam to zwyciężać, gdzie innym nie można».

Rzekł. Huczą trąby, ostrz mieczów się świeci,
Przez grad kartaczy las proporców leci,
Gromi grom po gromie i razem ustaly —
Na wierzchu szanów usiadł orzeł biały!

B) Duma o Zakrzewskim.

(Pisano w roku 1827).

(«Pisma». Lipsk 1886. T. I, str. 67—9).

268) Nad dalekim Dniepru brzegiem
Sły ciche wojska łniące się żelazem;
Pomiędzy niemi bystrym wiatru brzegiem
Leciałem z wodza mego rozkazem.

Jak teraz wszystko uległo odmianie!
Koń mój był rzeźki, i ja byłem młody.
Słyszę głos silny: «Wstrzymaj się, młodzianie!
Z tobą Dnieprowej napijem się wody!»

Był to Zakrzewski, mąż sławny dziełami,
Szlachetność w sercu, surowość miał w oku;
Pod jego pierwej byłem rozkazami,
Nim mnie Mielżyński wziął do swego boku.

Pułk jego w każdej wstawiony potrzebie,
Stapał pułk trzeci po zielonej błoni;
A on mię wzywał: «Pijemy do ciebie,
Choć nas rzuciłeś, towarzyszku bronii!»

Wstrzymałem konia — rąy, pieni się wspinia,
A wódz, częstując mnie Dnieprową wodą:
«Na twem weselu napijem się wina,
Po wojnie żonę wyswatam ci młodą»

— «Ach, wodzu, rzekłem, walecznym dzieły
Oby z nas każdy doszedł twojej chwały!»
A wtem z daleka spiże grzmieć poczęły
I coraz bardziej i bardziej huczały.

«Ścisnąć szyki, dwójcie krok, rycerze!» —
Krzyknął Zakrzewski; wojsko słucha wprawne —
A już Smoleńska widać było wieże
I mchem pokryte baszty starodawne.

Traciłem konia, leciał, jak wiatr chyży:
A na rumaku tak białym, jak śniegi,

Tam, gdzie najgęstszy szedł ogień ze spiży,
Zakrzewski swoje prowadził szeregi.

Ostatni raz już rycerza widziałem,
Jak nawałnica, szła za nim młódź dzielna;
Już przeszli szczyty, już byli pod walem,
Gdy wodza kula wstrzymała śmiertelna.

Długo tam, długo słychać strzały było,
Aż noc zakryła krwawe bojowisko;
Nazajutrz nasi szli i Dniepru blisko,
Uczcili męża mogiłą.

Tam garstką piasku zakryte,
Zakrzewski, zasługi twoje;
Rany we Włoszech nabyte,
W San-Domingo krwawe boje.

Taka zapłata od ludzi —
Spoczywaj, rycerzu, mile,
Aniela trąba cię zbudzi:
Będziesz ty jaśniał w tę chwilę.

Kiedy wieczorem dziawta mię otoczy
I siądzie przy mnie żona urodziwa,
Zawsze mi obraz twój staje przed oczyma,
Zdaje się, duch twój że z nami przebywa.

Tys mi dotrzymał słowa i za grobem,
Tys mi wyswatał tę żonę nadobną;
Bo jakże mógłbym ja ludzkim sposobem
Znaleźć niebiankom istotę podobną.

W tej czarnej chwili, pod tą niską strzechą,
Kiedy rozmyślał, co jest, a co było,
Ona jest moją jedyną pociechą,
Ach! przy niej tylko żyć mi jeszcze miło.

C) Krakowiaki (1816).

(«Pisma», Lipsk 1886, T. 1, str. 256—9).

I.

269) Nie będę też ronić, Niech się we mnie kocha
Choć mnie Stach ma rzucić; Ze wsi młodzież cała;
Pójdzie kraju bronić: On wie, że nie płocha,
Czegóż mam się smucić? Że mu będę stała.

Mam ja nietykane
Dwa krzaczki różane;
Jak wróci młodzieniec,
Uwiję mu wieniec.

Bo kto krew ochoczy
Za ojczyznę toczy,
Takiemu kochanka
Nie żałuje wianka.

II.

Ej no, piękna Rózio!
Nie droż się tak z buzią;
Nie prosim my długo,
Znajdziem sobie drugą.

Nikt kochać nie broni,
Pókiśmy dziś młodzi;
Woda wodę goni,
Dzień po dniu przechodzi.

Za wioską na łące
Jest kwiatów tysiące;
Szuka miodu pszczoła
I lata dokola.

Kwiat jeszcze odrobinę,
Choć go zima zwarzy,
Nam już nic po wiosnie,
Gdy raz będziemy starzy.

III.

Niech też matka miła
Przedzę patrzeć bieży;
Bo polskich żołnierzy
Idzie przez wieś siła.

Tato i wójt chcieli,
Żeby odpoczęli;
Lecz nie mogą oni,
Starszyzna im broni.

Widziałam, jak nasze
Z nimi orły lecą;
Zewsząd tam pałazie
I krzyże się świecą.

Z całej wsi ich proszą,
Na drogę im noszą,
I my placek mamy,
I ten im oddamy.

IV.

Jestem Krakowiaczek
Z tamtej Wisły strony,
Gdzie jodłowy krzaczek,
Naszej groz w jesieni.

Za górą krynica;
Tam się coś zieleni:
To moja pszenica,
Będzie grosz w jesieni.

Wesołość w mym progu,
Choć ubóstwo w domu,
Lecz też, dzięki Bogu,
Nie dłużnym nikomu.

Oj, tanio jej nie dam,
W Krakowie ją sprzedam;
Tam dobrze zapłacą,
Będzie hulać za co.

V.

Dziewczyną ja biedna,
Zostałam ja jedna,
Odeszła drużyna,
Burza grzmieć poczyna.

Jak straszna ulewa!
Grom po gromie bije
Wicher łamie drzewa;
Pod składy się skryję;

Niech burza grom miecie!
 Nie lękam się gromu,
 Nie zrobiłam w świecie
 Nic złego nikomu.

Wezoraj Jaś wziął szlochać,
 Że ja jego gubię;
 Lecz jak go mam kochać,
 Gdy już Stacha lubię?

VI.

Bywaj, Zosiu, zdrowa,
 Daj buzi na drogę;
 Jadę do Krakowa,
 Kupić wstążek mogę.

Gdy biją zegary,
 Trabią tam nad wieżą,
 A gdzie zamek stary,
 Polskie króle leżą.

Oj, miasto to śliczne,
 A tyś w nim nie była;
 Trzy dni-byś błądziła,
 Tak domostwa liczne.

I dziewcząt niemało,
 A wszystko rumiane;
 Bądź mi, Zosiu, stałą,
 Bo z niemi zostanę.

VIII.

Jakby róża mléczna,
 Nasza Zosia śliczna;
 A jak koza, dzika,
 Od Stacha umyka.

Oj, my Stacha znamy,
 Dopędzi on Zosi;
 Zawiedzie do mamy,
 O rączkę poprosi.

Ale od chłopaka
 Trudno się ochronić:
 Przyjdzie pora taka.
 Że musi dogonić.

Będzie Zosia płakać,
 Będzie strachu wiele;
 A my będziemy skakać,
 Jak przyjdzie wesele.

D) Do kmiotków (1817).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. I, str. 80).

270) Wy, co chwalicie i króla i Boga,
 Choć lży wam codziennie przemoc sroga,
 Kmiecie poczciwi! rodzice pogardzony!
 Wam brzmią me strony.

Był wieszcz, co umiał słodkimi liry brzmieniem
 Wywodzić z piekiel rój duchów wybladły;
 Ja bym chciał tylko, by za mojem pienię
 Wam więzy spadły.

Ale to próżno — jak wietrzyk wiosenny
 Nie dotknie śniegu, co na Alpach stoi,
 Tak nie dochodzi do duszy kamiennej
 Głos z piersi mojej.

Ta, którą żadna nie wstrzymuje tama,
 Dla której niczem góry, oceany,

Ta może wasze rotrzącić kajdany,
 Śmierć tylko sama.

Wtenczas przyjści ręką Zbawiciela,
 W królestwie Jego poczynając życie,
 Kochani bracia, wśród swego wesela
 O mnie pomnijcie.

E) Chłop i kaznodzieja (1818).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. II, str. 216—7).

271) Proszę zawierzyć, bo pan Jan był świadkiem,
 Na swoje własne on to słyszał uszy,
 Jak, mówiąc raz kazanie: O aniołów duszy,
 Jakimś przypadkiem,
 O miłości bliźniego wspomniał kaznodzieja.
 Wtem chłop ozwie się w tłumie: «Spytam dobrodzieja,
 Czy to z miłością bliźniego się zgadza?
 Pan, któremu nad nami powierzona władza,
 Pędzi nas w tydzień po sześć dni pańszczyzny!
 I jeszcze dzień daremśczyzny!
 Pracujemy na polu, choćby było święto,
 Gdy jego żyto nie zżęto;
 Już upadamy pod plugiem,
 Jeszcze nas bije kańczugiem.

A kiedy przyjdzie z naszych który prosie chleba:
 «Kijów (powiada), chłopie, ci potrzeba;
 A gdzie podziałeś jesienne zebranie?» —
 «Na podatki oddał, panie.
 — «Patrz, jak on kłamie,
 Precz, chamiel!»

Toż samo i ksiądz pleban, ten także nas gubi!
 O, godny pasterz, bez rubelków wzięcia
 Nie pogrzebie, nie posłubi,
 Chochoj konalo, nie ochrzcił dziecięcia». —
 Tu kaznodzieja zawoła:
 «A nie przestaniez, chłopie, bluznić wóród kościoła!
 Co do mojego należą kazania
 Twoje chłopskie narzekania?
 Ja się nie wmięszam do rzeczy światowych:
 Do Wiadomości oddaj to brukowych». —

F) Dyabek i zboże.

(Bajka).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. I, str. 26—7).

272) Gdy Adam, coś tam bardzo zgrzeszywszy podobno
 Z swą połowicą nadobną,
 Musiał był z raju uchodzić,
 Bóg, który umie słusznosci z litością pogodzić,
 Stworzył zboże i wszędzie po drodze im rzucił.
 Widząc to, dyabek bardzo się zasmucił.

Przejrzał on bowiem miłosierdzie Boże,
 Że to z tego chleb być może,
 Że się znajdują ludzie potem,
 Którzy, gardząc dyabła złotem,
 Za narzędzie ucisku nie dadzą się użyć,
 Woląc o suchym chlebie świętej prawdziwie służyć.
 A więc pobiegł drogą skrytą
 I, tocząc wojnę z miłościwym Bogiem,
 Wszystką pszenicę, jęczmień, owies, żyto,
 Zagrzebał pilnie do ziemi swym rogiem.
 Mniemał, że wiecznie pozabawił nas chleba;
 Ale właśnie to zrobił, co było potrzeba.
 Z podziwem jego ziarno z ziemi wschodzi
 I po dziś dzień chleb się rodzi.

O wy, co w więzach trzymając narody,
 Przyjaciół prawdy, światła i swobody
 Grzebiecie z katowskimi pomocnikami swymi
 Albo w wnętrznościach zamykacie swymi!
 Zniszczyć dar Boży, wszak o to wam chodzi,
 Ale się na nic złe wasza nie przda;
 Wkrótce obfity plon ich wolność wyda
 I właśnie z tych męczeszkich ziarnek się urodzi.

G) Bajka o furmanach (1828).

(«Pisma». Lipsk 1886, T. I, str. 82—3).

273) Leć komu z prawdą w oczy, broń mnie, Panie Boże,
 Czy ja szalony? wołę bajki prawić!
 Za bajkę nikt się rozgniewać nie może,
 A tymczasem niewinnie można się zabawić.

Pewnemu panu, jak się zwał, nie pomnę,
 Ale ma hrabstwa ogromne,

Piękne folwarki we wszystko obfite,
 Ma wielbłądy, ma stada koni rozmaite —
 Raz mu z dóbr jednych słudzy zaczęli donosić,
 Że rodzaj polskich koni na nie stał się warty,
 Wszystko chce tylko brykać i roznosić,
 Taki się zrobił uparty.

Trzeba system srogości wprowadzić w rajtazuli,
 Bo go dawniejsi rządce glaskaniem zepsuli.

Pan, co był bardzo w tej chwili zajęty,
 Siał na morza swe okręty,
 Gdy sam we wszystko wejrzeć czasu nie ma,
 Kazał tam komuś rozpatrzyć rzecz całą;
 A ten sobie myśląc mało,
 Potwierdził nowe systema.

Tu się zaczęły piękne widowiska!
 Smutne rumaków codziem słuchać rżenia,
 Biją, katują niewinne stworzenia,
 Aż krew z nich tryska.

A panu codziennie raport posyłają nowy,
 Że niczem krnąbrność niepomahowana —
 Ustawicze schadzki, znowy;
 Niedawno chcieli zabić zrzebięta furmana.

Chodzą koniska chude, gdyby haki,
 Oni donoszą; wierząją rumaki.
 «Otóż to, mówią, z dobrodziejstw twych zyski.
 Nie bierz ich pierwszej między twe zaprzęgi,
 Półci ich w szkole nie ujeżdżim tegiej;
 Na twoje życie robią nawet spiski». —
 Pan, który znany z rozsądku, z nauki,
 Miał więcej czasu wolnego w tej dobie,
 Sam czytał raport i pomyślał sobie:
 Cóż to mnie oni prawią białuکی!

Dał go jednemu z dworzan, co ma olej w głowie.

Ten, przeczytawszy, także uwagę swą powie:

«Wiadomo, Panie, polski rodzaj koni
 Wiatry wyściga po błoni.
 Nie dzisiejszemi już są znane laty —
 Nie potrzebna im różeczka,
 Pogłaskać tylko troszeczka,
 To już gotowe lecieć na armaty».

A więc pan kazał śledzić, odkryto rzecz ładną!
 Jasnio wielmożne furmany
 Żyją sobie, gdyby pany —
 A skąd biorą? Obrok kradną,
 Raczą siebie winkiem drogiem,
 W karty grają, szumią, hucają,

A koników nie nie ucza,
Tylko ich biją batogiem.
Teraz ze strachu starszy furman chory,
I na twarzach forysi widać coś frasunek;
Lecz go wyleczą tą razą doktory:
Niechaj zda z owsa rachunek.



Cykl. Naukowe

Nr III

Nr inw. C. N. 11768

Opracował J. MICHAŁSKI.

UZUPEŁNIENIA I POPRAWKI.

- T. I, str. 3. Ślad odbycia kursów teologicznych, mianowicie w dawnej Akademii Lubrańskiego, za czasów Staszka Szkoły wojewódzkiej poznańskiej, znalazł się w «Raportach Szkoły Wydziałowej Poznańskiej», ogłoszon. przez Teodora Wierzbowskiego w końcu r. 1905 (Warszawa), na str. 212 i 214. Na teologii, przy tej Szkole utrzymującej przez Kom. Edukacyjną, uczęszczał Staszic w latach 1777—8, w dwu poprzednich musiał przebywać w Poznaniu, gdyż Raporty wykazują go w tych właśnie latach jako doręcz. uczniów, t. zw. dyrektora.
- T. I, str. 3, w. 2-gi od góry. «Kontrakt» ten, ominiemy od ogłoszonego w «Dzielnach» T. IV, współcześnie litografowany folio p. t. «Ustawa dla Towarzystwa Hrubieszowskiego» z r. 1822, znajduje się w rękopisie nr. 774, 6^o, Bibl. Un. Warsz.
- T. I, str. 13, w. 2-gi od dołu. Dodać: tenże «Korespondencya co do ostatnich pism o Staszicu» («Bibl. warsz.» 1892 III).
- T. I, str. 13. O przekładzie «Iliady» — «Tyg. polski» Kiciń, r. 1819 T. III nr. 31—2, 38.
- T. I, str. 55, w. 1-szy od góry. Przetawienie imion syna i ojca; powinno być: *Aleksisja Michajłowicza*.
- T. I, str. 144. (Rękopisy Czackiego). W Bibl. Uniw. Warsz.: 1) nr. 749, 4^o 1/2, obejmuje «Uwagi nad handlem Czarnego Morza... w imieniu komisji Skarbu Koron. Deputacyi spraw zagr. podane 1790 roku» 12 k. fol. 2) nr. 286 «Miscell.» Jaroszewicza: «O źródłach praw polskich i litewskich». 3) W tymże «Miscell.» «Odpowiedzi dane ministrowi justycyi księciu Łopuchiniowi na różne kwestye prawne».
- T. I, str. 145, w. 3-ty od góry. Dodać: Lachs Jan «Projekt Taj. Czackiego i Jędrzeja Śniadeckiego, zmierzające do założenia Szkoły lekarskiej na Wołyniu» (Kraków 1903).
- T. I, str. 162. Dodać: D. 9 grudnia 1807 roku Albertrandi na czele Depu-

tacyi Tow. Prk. Nauk miał do Fryd. Augusta mowę o potwierdzeniu tej instytucji nadal («Krótki zbiór wierszy, pieśni i mów», Warsz. 1809, str. 283).

- T. I, str. 163.* (Rękopisy Albertrandiego). W Bibl. niegdyś Szkl. Główniej, obecnie Uniwers. Warsz., znajdując się. 1) Nr. 598, 4 ^{1/2}. Przekład Filangiiego T. I. i II; 2) pod tytułem nr. przekład Listów Pliniusza Młodszego; 3) pod tytułem nr. przekład z Vellejusa Paterculus — dwa ostatnie autograf.
- T. I, str. 193.* Do działalności Wybickiego wespół z Barasem w Paryżu dodać pomysł sejmu polskiego, który, w dalszym ciągu Sejmu Czteroletniego, zebrać się miał w Medyolanie.
- T. I, str. 213, w. 31* zamiaść: «historyczne» pow. być: «historyzoficzne».
- T. I, str. 225, w. 17* zam. «przykłego» pow. być: «sprykliwego».
- T. I, str. 261, w. 23* zam.: «1816» pow. być: «1815».
- T. I, str. 263, w. 15* zam.: «St. Nowicki i t. d. pow. być: St. Nowiński: O bajkach J. U. Niemcewicza («Bibl. Warsz.», 1888, nie zaś: 1880).
- T. I, str. 263, w. 29.* zam.: Potocki J. pow. być: Potocki St. K. (Stanisław Kostka).
- T. I, str. 263.* Dopelnienia do bibliografii Niemcewicza: a) **Pisali a Niemcewiczu:** Kraushar A. Obrázky i wizerunki historyczne (Warszawa r. 1906); Kraushar A. Tow. przyjaciół nauk, 8 tomów; Wojciechowski K. Zagadnienia społeczne w powieści polskiej w w. XVIII i początkach w. XIX (Lwów 1906); Kozłowski W. M. Rozstanie się Kościuszki z Niemcewiczem w Filadelfii («Kwartalnik historyczny», 1906); Szyrma K. L. Mowa w rocznicę śmierci Niemcewicza (Paryż 1842); Łamanski W. I. Doprośy Kościuszki, Niemcewiczu i drugim i ich pokazanija («Cztenija w Imp. Obszczestwie Istor. i Driewn. pri Mosk. Uniwers.», 1866, kn. I, otd. V, str. 60—190); Czarnik B. Spór literacki o Jana z Tęczyna («Pamiętnik Literacki», 1906); Kozłowski W. M. Pulaski w Ameryce («Bibl. Warsz.», 1905); por. tenże: w «Bibl. Warsz. r. 1906. Chrzczanowski Ign. Pieśń wygnańca («Myśl Polska», 1906); Chrzczanowski Ign. Bohdan Chmielnicki, tragedia Niemcewicza («Pamiętnik Literacki», 1906); Dzieduszycki Tytus. Uwagi nad Janem z Tęczyna przez J. N. Niemcewicza (w «Rozmaitościach Iwowskich» 1825); Chłędowski Walenty. Rozbiór uwag Philopolskiego nad Janem z Tęczyna (Lwów 1825). Kozłowski K.: Raport o Śpiew. hist. N. «Pisma prozap.» (Kraków 1889). b) **Osobne druki:** «Paluwy» — «Przegląd Poznański», XXI; «Rok 3333 czyli Sen niesłychany, tamże, XXVI; «Młiemana sierota», «Przegląd poznański», 1858; «Powrót z Petersburga do Ameryki», tamże, 1858. c) **Rękopisy:** Pamiętniki z r. 1830—1831 znajduje się w Bibl. ord. Zamoyskich w Warszawie, pod nr. 1262.
- T. I, str. 269, w. 29.* Zam.: «1812» pow. być: «1821». W skutek tej pomyłki

- powieść «Lejbe i Sióra» znalazła się nie w swoim miejscu: powinna być zamieszczona po «Zbigniewie», na str. 300.
- T. I, str. 292, w. 1.* Zam.: «1816» pow. być: «1815».
- T. I, str. 317.* Dopelnienia do bibliografii Śniadeckiego Jana: Libelt Karol: «Dwa bracia Śniadeccy»; Świeżawski L.: «Jan Śniadecki» (Petersburg 1898); Lutosławski W.: «O poglądach filozoficznych J. Śn.» (Ateneum, 1894, I).
- T. I, str. 398, w. 33* zam.: «O Filizofii» pow. być: «O Filozofii».
- T. I, str. 411:* Dopelnienie do bibliografii Śniadeckiego Jędrzeja: Libelt Karol: «Dwa bracia Śniadeccy».
- T. I, str. 449:* O Majewskim pisał jeszcze Tyszyński: «Rękopisma Majewskiego» («Biblioteka Warszawska», 1842, I).
- T. II, str. 2, w. 10* zam.: «ustanowianiu» pow. być: «ustanowieniu».
- T. II, str. 17:* Dopelnienie do bibliografii Ostajskiego: o Oa. pisał Koźmian Kajetan w «Pamiętnikach», tom III.
- T. II, str. 40, w. 28* zam.: «Horacego» pow. być: «Wirgiliusza».
- T. II, str. 41, w. 31* zam.: «piemię» pow. być: «piemle».
- T. II, str. 58, w. 23* zam.: «Pulkowski» pow. być: «Rulkowski».
- T. II, str. 90, w. 17* zam.: «rozrowle» pow. być: «rozrownie».
- T. II, str. 165, w. 3* zam.: «Wędyk» pow. być: «Wędyk».
- T. II, str. 158.* Dopelnienie do bibliografii Iksów: pisał o nich Koźmian Kajetan w «Pamiętnikach», tom III, w rozdziale o Mostowskim T., który, jak się zdaje, jest autorem ocen «Barbary» i «Ludgardy».
- T. II, str. 170, w. 25* zam.: «pierwszej» pow. być: «pierwszej reprezentacyi».
- T. II, str. 174, w. 6* zam.: «podkanclerza» pow. być: «podkanclerzego».
- T. II, str. 174, w. 23* zam.: «wzgardzila» pow. być: «wzgardził».
- T. II, str. 176, w. 1* od góry. Po «ich» dodać «wraz».
- T. II, str. 196, w. 19* od góry. «tych» popraw. na «tylu».
- T. II, str. 203, w. 16* od góry. Po «co więcej» dać przecinek.
- T. II, str. 214, w. 9* od dołu. Przed «Tyran» dać cudzysłow.
- T. II, str. 221, w. 14* od góry. «rewolucyę» popraw. na «rewolucyą».
- T. II, str. 229.* Dopelnienia do Bibliografii E. Stowackiego: pisali o nim też: Hoeseick F.: «Szkice i opowiadania historyczno-literackie» (Warszawa 1900, str. 70—82); tenże w «Albumie znakomitych Polaków i Polek XIX w.»; Hahn W. w monografii o «Mindowem» Juliusza Słowackiego; Pawłowicz we «Wspomnieniach z nad Willi i Niemna», Méyet L. w «Tygodniku Ilustrowanym» w r. 1897. Dokładny tytuł rozprawki Tyszyńskiego brzmi: «Dwie poezye przedśmierne (ojca i syna Słowackich)».
- T. II, str. 287.* Na sam koniec Bibliografii II, O B a n d t k i m, dodać: Franczew W. A. «Polskie słowianowiedza końca XVIII i I pierwszej połowy XIX w.» (Praga 1906). Są tu jeszcze przyczynki do Borowskiego,

Czajkowskiego F., profes. Uniw. Krak., Czarnockiego, Chodakowskiego, Kucharskiego, Lindego, Majewskiego, Potockiego Jana, Rakowieckiego, Sapiehy Aleks., Surowieckiego i inn.

T. II, str. 396. *Wiadomość Bibliograficzna*, w. 15-ty. Część «Słownika geograficznego słowiańskich miejscowości» od Ba do Chody 163 str. fol. (obszerność opracowania) znajduje się w Bibl. Un. Warsz. Rękop. nr. 824, 3⁴11; podarował ją Leon Rogalski.



